PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK CZWARTY. — TOM XIII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1887.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

W dodatku do Nr. 37 str. XXII wiersz 20 z góry — ma być:

„Jedyny lekarz, który był przy boku jego Szymon Simonius z Luki przyniósł doraźną pomoc i wezwał drugiego nadwornego lekarza Mikołaja Buccellę z Padwy.

SZTUKA RYMOTWÓRCZA HORACEGO

wierszem polskim przełożył

X. Biskup Adam Krasiński.

Twarz ludzką z końskim karkiem gdyby malarz spoił,
Pozbierał zewsząd kształty, pierzem je ustroił,
Gdyby do pasa piękna, nadobnego lica,
Okazała się wstrętną półrybą dziewica;
Któżby z was głośnym śmiechem nie parsknął od razu.
Wierzcie mi, że do tego podobny obrazu
Poemat, w którym jakby chorego marzenia,
Błędne widmo po widmie roi się i zmienia;
Gdzie się całość ni z głową nie zgadza, ni z nogą.
Malarz, wieszcz słusznie na coś odważyć się mogą.
Znam, dozwalam i taką chcę mieć sam swobodę.
Ale nie żeby z ogniem aż pogodzić wodę,
By ptak z węża się rodził, lub z tygrzycy jagnię.
Kto zdala błyszczeć, wiele obiecując, pragnie,
Poważny wstęp w błyskotki stroi purpurowe:
Kiedy ołtarz Dyany, zieloną dąbrowę,
Lub strumyk co się wijąc po dolinie brzęczy,
Gdy rzeki Renu obraz maluje, łub tęczy.
Czyż to w miejscu? czyż cyprys potrzebny tu na co?
Gdy rozbit na obrazie, za który ci płacą,
Tonący, bez nadziei, dopływa do brzegu.
Stągiew toczyć zacząłeś, czemuż w koła biegu,

Wyszedł dzbanuszek? zresztą głównie idzie o to:
Ażeby jedność była złączona z prostotą.

Ojcze! i godni ojca Pizonowie młodzi!
Pozorna piękność wielu nas poetów zwodzi.
Usiłuję być zwięzłym, zawiłość się wkradnie,
Kto się sadzi na górność, ten w nadętość wpadnie.
Lekki ton się nie zgodzi z zapały wieszczemi.
Zbyt ostrożny, lękliwy, czołga się po ziemi.
Kogo rozmaitości chęć nazbyt uniesie,
Dzika w morzu, delfina odmaluje w lesie.
Małych wad unikając w grube błędy wpada,
Jeśli kto znajomości sztuki nie posiada.
Jest plac Emila, przy nim prosta dłoń rzeźbiarza
Ryje w miedzi paznokcie, włos jedwabny stwarza,
Ale co najgłówniejsze, choć mu głowa pęka,
Całości niedołężna nie odleje ręka.
Byłoby to jak gdyby do szpetnego nosa
Przydać blask czarnych oczu i kruczego włosa.
Bierz przedmiot nie nad siły, i zważ jak na szali,
Co udźwigniesz na barkach, a co z nóg cię zwali.
Bo gdzie się po mistrzowsku osnowa nawinie,
Tam porządek zakwitnie, rzecz sama popłynie.
Porządku, gdy nie błądzę, ta będzie zaleta,
Że to wybierze, tamto odrzuci poeta,
Lub nadal, co mógł teraz powiedzieć, zachowa.
Skąpo i najoględniej nowe stwarzaj słowa.
Lepiej gdy trafny obrót tak mowę wzbogaci,
Że znany wyraz w świeżej zjawi się postaci.
Gdyby zaś po raz pierwszy nazwać przychodziło
Co dotąd pod zasłoną tajemnic się kryło,
Czego Cetegi nawet nie słyszały stare,
Masz prawo, lecz go skromnie używaj i w miarę.
A nowe się wyrazy utrą i ostoją,
Gdy ze źródła greckiego zręcznie się przyswoją.
Czyż tego prawa, jakie miał Plaut i Cecyli,
Nie mógłby słusznie użyć Waryusz, Wirgili?

Gdy mogło Enniusza pióro i Katona,
Wzbogacić język, nowe dać rzeczom imiona,
Za cóż mnie winić? gdybym zdołał co przysporzyć?
Wolno wyraz, gdy wieku jest odbiciem, stworzyć.
Jak lasy, gdy z nich liście opadnie z jesienią,
Młodym się z przyszłą wiosną majem zazielenią;
Tak gdy wiek przestarzałych wyrazów ubieży,
Nowe zakwitną wzorem nadobnej młodzieży.
Śmierć, jak swoje zabierze nas i nasze dzieła:
Czyli port, który królów potęga dźwignęła
Chroni flotę od burzy; czyli na jeziorze,
Gdzie wprzód łodzie pływały, dziś pług ciężki orze,
Sąsiednie karmiąc grody; czy koryto rzeka
Szkodliwe zbożom zmieni; znikną dzieła człeka.
Czyż język wiecznie świeżość zachowa i kwiaty?
Wiele słów się odrodzi, wiele zginie z laty
Dziś żyjących, gdy zechce zwyczaj narodowy:
On jest sędzią, on mistrzem, prawodawcą mowy.

Jak śpiewać krwawe boje, bohatery, króle,
Wzór podał Homer. Smutki zrazu i niedole,
W Elegiach, z kolei wesołość zabrzmiała.
Lecz komu wynalazku ich należy chwała,
O to spór, zdania dotąd ważą się na szali.
Jambem zagrzmiał Archiloch, gdy go zemsta pali.
Zaraz teatr oburącz tej chwycił się miary.
Bo rozmowa w niej płynna, bo tłumiła gwary.
Do dramatu zrodzona. Lutnia w podział wzięła,
Śpiewać Bogów pochwały i półbogów dzieła,
Szermierza i rumaka, co zwycięstwem słyną,
Niepokoje serc młodych i dar Bogów — wino.
Gdy prawideł zachować, barw nie umiem schwycić,
Czyż mam prawo nazwiskiem poety się szczycić?
Czemuż leniąc się uczyć, nieukiem być wolę?
Komiczną czyż wypada tragicznie grać rolę?
Lub czyż ucztę Tyesta odda wiersz powszedni?
Podług treści daj barwę i ton odpowiedni.

Czasem wprawdzie i komik wyższe wznosi tony.
Pioruny ciska Chremes gniewem zapalony.
Nieraz tragik po prostu i z serca zapłacze.
Czyż Telef, albo Pelej, wygnańce, tułacze,
Gdy który do czułego serca się odzywa,
Na szumne i sążniste słowa się zdobywa?
Nie dosyć że wiersz gładki, niech mówiąc do duszy,
W którą chce stronę umysł pociągnie i wzruszy.
Człowiek płacze z płaczącym, z śmiejącym się śmieje.
Kto chce żebym zapłakał, niechaj sam łzy leje.
Wtenczas współczucie twoje obudzą niedole.
Rozśmieję się, lub zasnę, gdy źle grasz swą rolę.
Gdy serce boli, smutek mówi sam przez usta.
Gniewnego mowa groźna, swawolnego pusta;
Poważna rzecz poważnej osobie właściwa.
Bo natura w człowieku sama się odzywa
Za każdą uczuć zmianą: cieszy, gniew zapala,
Lub cały ogrom cierpień na duszę nam zwala.
Potem już język serca uczucia tłumaczy.
Ztąd nawet mimowolnie śmiech porwie słuchaczy,
Gdy mowa niestosowna do rzeczy i osób.
Czyż Dawus mówi w taki, jak bohater, sposób?
Drżący starzec, jak młodzian w którym ogień płonie,
Błędny kupiec, jak prosty rolnik na zagonie?
Gruby Kolch, Assyryjczyk, jak Grek wykształcony?
Czyż taki język mamki, jak możnej matrony?

Z wyobraźni wieszcz tworzy, lub dziejów się trzyma.
Kiedy nam sławny Achill staje przed oczyma,
Maluj go dzielnym, srogim, niezbłaganym mężem,
Niech depce prawa, wszystko rozstrzyga orężem,
Niech Medea się sroży, niechaj Ino płacze,
Smutne Orestes, Ijo dni pędzi tułacze.
Gdy nową rzecz wprowadzasz, niech osoba nowa
Raz dany jej charakter, do końca zachowa.
Potoczny przedmiot trudno podnieść i ozdobić.
Więc lepiej co z Homera na scenę przerobić,

Niźli brać przedmiot dotąd nietknięty i nowy.
Treść znana, jednak dzieło własnej będzie głowy,
Gdy wieszcz nie krąży w kole pospolitych myśli,
Ani jak wierny tłumacz słowo w słowo kryśli,
Ani jak naśladowca uplącze się w sidła,
Z których wyjść nie pozwoli ni wstyd, ni prawidła.
Ni też tak szumnie zaczniesz jak ów cyklik dawny:
„Losy Pryama, Troję i bój śpiewam sławny“!
Cóż godnego z tej bańki mydlanej wychodzi?
Oto, zamiast gór złotych, śmieszna mysz się rodzi.
Baczny na wszystko Homer czyż nie wyżej stoi?
Muzo! powiedz o mężu, co po wzięciu Troi,
Poznał rozlicznych ludów obyczaje miasta.
Nie dym z blasku, lecz z dymu blask się tam rozrasta.
Z nim występuje cały szereg cudów świata:
Polyfema, Charybdy, Scylli, Antyfata.
Lecz Tydyda powrotu z Meleagra zgonu,
Od Ledy nie wywodzi zguby Ilionu.
Do celu zawsze zmierza, wprost do środka wkracza,
I w świat niby znajomy, porywa słuchacza.
Uchyla co się nie da odmalować wdzięcznie.
Tak zmyśla, tak zmyślenia wiąże z prawdą zręcznie
Że i środek z początkiem i koniec się zgadza.
Słuchaj czego lud żąda, co mój głos doradza.

Jeśli żądasz by widze siedzieli dokoła,
Aż dopóki „klaskajcie“ aktor nie zawoła,
Masz poznać obyczaje każdej życia doby,
Wydać różne skłonności, lata i osoby.
Dziecię, gdy się już biegać i szczebiotać wprawi,
Rade się ze swojemi rówienniki bawi;
Gniewa się byle o co, uspokaja, kwili,
W jednej do niepoznania odmienia się chwili.
Młodzian, którego mistrz już nie strzeże surowy,
Całą jego zabawą psy, konie i łowy;
Do złego jakby z wosku, za zyskiem nie goni,
Na przestrogi się zżyma, grosz na zbytki trwoni,

Dumny, namiętny, płocho uczucia swe zmienia.
Przeciwnie mąż dojrzały, w wieku doświadczenia,
Goni za dostojeństwy, stosunkami, złotem,
Strzeże się błędu, coby rumienił go potem.
Starzec w ciągłych kłopotach: drżąca jego ręka,
Gromadzi grosz do grosza, a użyć się lęka.
Co czyni, to z obawą, zwleka i marudzi.
Ociężały, odległą nadzieją się łudzi,
Gderze, skarży się, w przyszłość wpatruje się z trwogą,
Dawne czasy wychwala, młodzież karci srogo.
Z laty wiele dobrego przybywa za młodu,
Wiele znika gdy wiek się chyli do zachodu.
Mąż, to nie dziecię; starzec, to nie młodzian żywy;
Każdy wiek musi mieć swój charakter właściwy.

Dzieje się rzecz na scenie, lub się opowiada.
Słabsze czyni wrażenie, co przez uszy wpada,
Niż to, co sami własnem oglądamy okiem.
Niech więc scena okropnym nie razi widokiem,
A na coby się patrząc wzdrygnęli widzowie,
Niech to raczej poeta żywo im opowie.
Gdy Kadmus pełznie wężem, Progne ptakiem leci,
Medea broczy ręce we krwi własnych dzieci,
Lub Atrej ludzkie ciało pożera na scenie,
Taki widok obudzi wstręt i przerażenie.
Z pięciu aktów nie więcej, niech się sztuka składa,
Na którąby publiczność uczęszczała rada.
Niechaj Bogi na teatr nie zstępują z nieba,
Chyba rozwiązać węzeł godny ich potrzeba.
Ni też czwarta wystąpi osoba na scenie.
Chór, co w sztuce ma ważną rolę i znaczenie
Niechaj myśl jej swojemi uwydatnia śpiewy:
Otwiera serce zacnym, uspokaja gniewy,
Wylany dla przyjaciół, nie dopuszcza zwady,
Dom otwarty i skromne zaleca biesiady,
Niech zna co sprawiedliwość i co praw powaga,
Dochowuje tajemnic, i Bogów niech błaga

Żeby się los ku progom nieszczęśliwych zbliżył
Poniżonych podwyższył, a hardych poniżył.

Nie jak dziś, w miedź oprawny, równy trąbce chwały
Z otworami szczupłemi flet prosty i mały
Wystarczał niegdyś chórom, a cichemi tony
Brzmiał teatr gdy był jeszcze nie zbyt przepełniony,
Do którego choć mały lud licznie się zbiegał,
Co wstydu, obyczajów skromności przestrzegał.
Lecz gdy zwycięzkim mieczem kraj szerzyć zaczęto,
Mury w Rzymie wciąż rosły i dzień w dzień jak w święto
Bezkarnie Bachusowi ofiary się lały,
Huczniej muzyka, pieśni wolniejsze zabrzmiały:
Bo cóż gawiedź próżniacza, gruba, nieuczona,
Rozumiała wśród światłej publiczności grona?
Więc ponęty zmysłowe, taniec, strój bogaty,
Przydał aktor, i długie wlókł po scenie szaty.
A tak liczba strun lutni poważnej urosła,
I głos przedtem niezwykły wymowa podniosła,
A mistrz nauki życia, wiersz jasny uprzednio,
Stał się jak gdyby ciemną Delfów przepowiednią.
Gdy się tragik w nagrodę o kozła ubiegał,
Przy żartach nieco wolnych powagi przestrzegał;
Wnet Satyrów obnażył, kiedy tłum opiły
Po ofiarach, ponęty nowości bawiły.
Gdy więc przyjdzie rubasznych Satyrów przedstawić,
To tak umiej powagę żartami zaprawić,
By bożek, lub bohater, na którym bogata
Lśni królewską purpurą, kapie złotem szata,
Jako gmin w karczmie, słowy nie bluzgał tłustemi,
Lub nie latał po gwiazdach, unikając ziemi.
Tragedya płaskiemi żartami się brzydzi.
Jej godność tak się wiersza nieskromnego wstydzi,
Jak gdyby w święto tańczyć poważna matrona
Wśród swawolnych Satyrów była przymuszona.
Satyra nie gminnemi tylko mówi słowy.
Ni tyle od tragicznej odróżnia się mowy,

By Dawus tak przemawiał, jak Pytya śmiała,
Co talent u Symona wyłudzić umiała;
I jak Sylen, co Bogów pielęgnował dziecię.
Rzecz znana za osnowę posłuży poecie,
Iżby tego dokazać, każdy sobie tuszył,
A porwawszy się, głowę nadaremnie suszył
Taka to jest układu i słowa potęga;
Tak wysoko potoczny nawet przedmiot sięga.
Dziki Faun, puszcz mieszkaniec, gdy na scenę wchodzi,
Niech wzorem zniewieściałej nie pieści się młodzi,
Niechaj w żartach nieskromnych, w rubasznym dowcipie,
Choć gmin pęka od śmiechu, oklaski mu sypie,
Każąc przystojność piosnek gorszących nie śpiewa;
Tem się wyższa publiczność obraża i gniewa.
Długa zgłoska po krótkiej nosi jambu miano.
Miara szybka, dlatego trójmiarowym zwano
Wiersz, co się z sześciu jambów jednostajnych składał.
Potem by w ucho wolniej i poważniej wpadał,
Spondejom swoje prawa w tym nadał sposobie,
Że drugie miejsce z czwartem zawarował sobie.
Tej jednak bardzo rzadko używali miary
W swych trymetrach Akcyusz i Enniusz stary.
Bo gdzie się jakby w pługu ciężkie wiersze wloką
Zbytni pośpiech, niedbalstwo tam widać na oko,
Albo nawet i sztuki nieznajomość całą.
Choć się rzymskim poetom przebacza nie mało,
I nie każdy o słabym wierszu umie sądzić;
Czyż dla tego niedbale mam pisać i błądzić,
Że chociaż wiem, iż wszyscy z moich wad się śmieją.
Ani dbam, przebaczenia łudząc się nadzieją.
Nie wielka zresztą chwała, żem uniknął wady:
Dniem i nocą czytajcie pisarzów Hellady.
Za przodków naszych, Plauta wiersz i dowcip płaski
Cierpliwe, gdy niepłoche, odbierał oklaski.
My od dowcipnych słowa odróżniamy grube,
Uchem tony, na palcach miar znamy rachubę.

Tespis, co miał tragicznej ojcem być Kamenie,
Ze śpiewem na wędrownej występował scenie,
I sztuczną barwą krasił oblicza aktorów.
Po nim Eschyl bogatych zwolennik ubiorów
Tło deskami wymościł, na twarz maskę wcisnął,
Wzniośle mówić nauczył i koturnem błysnął.
Po niej sława na starą komedyą spadła,
Lecz do niej z nadużyciem swawola się wkradła,
A więc prawo stanęło, chór z hańbą zaniemiał,
Kiedy wyszydzać osób już wolności nie miał.

Nic niema nietkniętego naszych wieszczów piórem.
Chwała temu, kto greckim śmiejąc nie iść torem,
Co swoje, co domowe samodzielnie śpiewał,
A na teatr pretekstę, albo togę wdziewał.
Jaśniałby Rzym tak piórem, jak oręża chwałą,
Gdyby się poprawnością i pracą wytrwałą,
Nie zrażali poeci. Wy, co ród wiedziecie
Ze krwi Numy, za dobry czyliż wziąć możecie
Wiersz, którego dziesięćkroć autor nie poprawił,
Tak iżby do żądania już nic nie zostawił.

Demokryt, który talent nad sztukę przekłada,
Wyłącza z Helikonu, gdy kto w szał nie wpada.
Więc ktoś z brodą do pasa, w pustkach się zamyka,
Paznokci nie obcina i łaźni unika.
Bo czyż to nie widoczne poety znamiona?
Gdy mu włos nie strzyżony spada na ramiona,
A trzech Antycyr zioła nie ostudzą głowy.
To bieda, że się leczyć muszę w czas majowy,
Bo żaden by poeta nie zdołał mi sprostać.
Ależ to nic wielkiego. Więc ja wolę zostać
Osełką, co nie kraje, a ostrzyć stal może.
Sam nie pisząc, prawidła pisania wyłożę.
Zkąd płyną źródła bogactw? co czyni poetą?
Co przystoi? co wadą? i co jest zaletą?

Mądrość dobrze pisania gruntem jest i źródłem.
Treść obmyśl pod nauki Sokratesa godłem.
A gdy rzecz obmyślana, wiersz łatwo popłynie.
Kto zna, co winien Ojcu, gościowi, rodzinie,
Co jest miłość Ojczyzny, co przyjaźni związki,
Jakie panów Rad? jakie sędziów obowiązki?
Czem na wojnie jest wodza biegłość, doświadczenie?
Ten da każdej osobie wybitne odcienie.
Mistrz biegły niechaj życie, obyczaje zbada,
Niech prawda z nich wysnuta, piórem jego włada.
Nie raz przedmiot w treść samą i w myśli bogaty,
Chociaż nie ubarwiony ni sztuką, ni kwiaty,
Bardziej pociągnie, milsze uczyni wrażenie,
Niż w myśl ubogie wiersza harmonijne brzmienie.
Grekom, którzy niczego nie chciwi, prócz chwały,
Geniusz i uroczy Muzy język dały.
U Rzymian wprawna w długie rachunki dziecina
Na sto części grosz dzieli. „Powie syn Albina:
„Trzy czwarte od jednego? — jedna czwarta. „Brawo!
„Nie zubożeje z taką do rachunków wprawą.
„Dodam do trzech półtora, ile mi wypadnie?
— Półpiąta — Gdy tak sercem chęć zysku zawładnie
A umysł zardzewieje, jakże się spodziewać
Żeby pierś mogła cedru godną pieśń wyśpiewać?
Zadaniem jest poetów uczyć, albo bawić,
Lub tem co miłe, życia naukę zaprawić
Jeśli uczysz, bądź krótkim, bo treściwe słowa
Łatwiej umysł obejmie, a pamięć dochowa.
Co zbytnie z przepełnionej wyleje się czary.
Zmyślenie niechaj będzie podobne do wiary.
Bo i któżby mógł wierzyć? że jędza krwi chciwa,
Pożarte dziecię żywo z siebie wydobywa.
Wiersza bez treści siwe głowy nie pochwalą.
Suche nauki żywej młodzi nie zapalą:
Ten prawdziwym jest mistrzem, który trudną sztuką,
Wdzięk z pożytkiem, zabawę połączył z nauką.
Takie dzieło popłatne, przejdzie morza, rzeki,

Sławiąc imię poety w najpóźniejsze wieki.
Drobne jednak usterki znajdą przebaczenie.
Wszak niezawsze żądane wyda struna brzmienie.
Fałszywa nóta w czyste może wkraść się tony.
Ni też w cel zawsze trafia grot z łuku puszczony.
Lecz gdzie piękności wiele, nie razi mnie mała
Plamka, co jak ślad ludzkiej słabości, została.
Lecz jako pisarkowi, gdy mimo przestrogę.
Nie poprawia się w błędzie, przebaczyć nie mogę;
Jak muzyk, co się zawsze w jednej nucie myla;
Poeta, gdy wciąż grzeszy, jest nakształt Cheryla,
Który gdy kilka wierszy nie złych sklecić zdoła,
Podziwienie w nas tylko i uśmiech wywoła.
Gniewa mnie, kiedy Homer niekiedy zadrzymie,
Ale też trudno w długim nie znużyć się rymie.
W poezyi jak w malarstwie, na to trzeba zbliska,
Na tamto z odległego patrzeć stanowiska.
To się w cieniu, to w świetle lepiej wyda oku,
Co się groźnego sędziów nie lęka wyroku.
To raz, tamto i stokroć widziane zachwyca.
Ty, najstarszy młodzieńcze! chociaż głos rodzica,
Jak za rękę cię wiedzie, i własne masz zdanie;
Niechaj ci moja rada w pamięci zostanie:
Są rzeczy, w których nawet mierność dozwolona.
Tak rzecznik co mu sprawy zwierza się obrona
Choć z niego nie Kascellus, ni Messala drugi,
Lecz pomimo to, może niebyć bez zasługi.
Poecie za nic w świecie mierność nie uchodzi:
Na to ludzie, księgarnie, niebo się nie zgodzi.
Jak u stołu muzyki nie dobranej tony,
Złe wino, mak sardyński miodem zaprawiony,
Rażą, bo się i bez nich obejdzie biesiada;
Tak wiersz, co ducha wznosi, i sercami włada,
Gdy szczytu nie dosięgnie, to aż na dół spada.
Nie walczy, kto się w szkole nie ćwiczył Gradywa,
Kto nie umie, ten w piłkę i w kręgle nie grywa,
Boby się zeń obecni śmieli towarzysze.

Wiersze, czy kto co umie, czy nie umie, pisze.
Czemuż nie? wszakże szlachcic, przytem z łaski nieba
Nie zbrodniarz i ma dobry swego kawał chleba.
Pomnij słowa nie wyrzec i nie stąpić kroku,
Jeśli się to Minerwy nie podoba oku.
Wiersz twój pod Mecyusza sąd poddać należy,
Ojca i mój; a w tece dziewięć lat niech leży.
Poprawi się, wykończy niewydana praca:
Raz na świat wypuszczone słowo nie powraca.

Grał Orfej, tłumacz Bogów, a lud dziki lasy,
Podłą strawę i krwawe porzucił zapasy;
Stąd bajka, że ugłaskał tygrysy i lwice.
Że Amfion, co w Tebach założył stolicę,
Dźwiękiem lutni i pieśnią twarde wzruszał skały,
Że same szły, i mury miasta budowały.
Była niegdyś ta mądrość i ten urok w śpiewie,
Że wieszcz miasta zaludniał, rył prawa na drzewie,
Umiał od spraw publicznych osobiste względy,
Od świeckich rzeczy święte odróżniać obrzędy.
Karcił związki nieprawe, czcił małżeństwa świętość,
Stąd pieśni, stąd i boskich wieszczów taka wziętość.
Po nich zakwitnął Homer i Tyrteusz śpiewał,
Co pieśnią mężne serca do boju zagrzewał.
Wierszami w Delfach przyszłość obwieszczały Bogi,
Wiersz królów łaski jednał, uczył życia drogi;
Otwarto teatr, długich koniec trudów miły.
Czyżby więc Feb, lub muzy wstyd ci przynosiły?
Pytano: czy natura przeważa? czy sztuka?
Według mnie, bez wrodzonej zdolności nauka,
Ni zdolność bez nauki arcydzieło zrodzi;
Tak wzajem jedna drugiej na pomoc przychodzi.
Ten kto w gonitwach pierwszy staje u zawodu,
W trudach, na mrozie, w skwarze hartował się z młodu.
Nierządem się nie bawił, nie kąpał się w winie.
Muzyk, co na Pityjskich dziś igrzyskach słynie,
Bał się mistrza, nauce wiek poświęcił młody.

Niedość wyrzec: ja śpiewam, klękajcie narody!
Klątwa miernym poetom, dla mnie to za nisko,
Ażebym drugorzędne zajął stanowisko,
Lub wyznał, że na jakiej nauce mnie zbywa.
Jak woźny liczne rzesze na targi przyzywa,
Tak wieszcz bogaty sprasza pochlebców gromady.
Lecz kiedy jeszcze sute wyprawia biesiady,
Wyrwie z kłopotów, nędzy ze wsparciem pośpieszy,
To cud będzie jeżeli wśród pochlebczej rzeszy,
Rozpozna kto prawdziwy, kto szczery towarzysz.
Ten komu co przyrzeczesz, lub hojnie obdarzysz,
Bezstronnym twoich rymów sędzią być nie zdoła.
Bo z góry: „ślicznie, cudnie, wybornie!“ zawoła,
Nogą w ziemię uderzy, podskoczy, zblednieje,
A nawet przyjaznemi łzami się zaleje.
Jak płaczki na pogrzebie szlochają tak głośno,
Że się najgłębsza boleść wyda mniej żałośną;
Tak szyderca się bardziej, niż wielbiciel wzruszy.
Są królowie, co zbadać chcąc tajniki duszy,
Kolejnemi kielichy póty poją zdradnie,
Aż wypatrzą, co w sercu ukrywa się na dnie.
Niech więc lisem podszyte nie zwodzą cię zdrady.
Jeśliś kiedy zasięgał Kwintylego rady,
„To mówił, i to popraw“ co jeśli szło tobie
Jak z kamienia, po drugiej i po trzeciej próbie,
Przekreślił i na nowo zły wiersz przykuć radził.
A gdyś zamiast poprawy, bronić się usadził;
Słowa więcej nie rzekłszy, próżne rzucał spory;
Byś nad sobą i swemi rozpływał się twory.
Mąż prawy a rozsądny złe wiersze zaznaczy,
Niegładkie popodkreśla, twardym nie przebaczy.
Poobcina gdzie szumna w ozdobach przesada.
Co dwuznaczne, co ciemne, temu jasność nada.
Stanie się Arystarchem i gdy rad udziela,
Nie powie: na co fraszką zrażać przyjaciela.
Bo za te fraszki można pokutować srogo,
Bo poetę, źle przyjąć, albo wyśmiać mogą.

Jako gdy trąd na kogo zaraźliwy padnie,
Gdy kim szaleństwo, albo zaraza owładnie;
Tak rozsądni od wieszcza szalonego stronią,
Za nim żaki, i tłumy nierozmyślne gonią.
On błądząc w kraju marzeń, gdy górny wiersz składa,
W dół, jak ptasznik na kosy czatujący, spada.
A chociaż: gwałt, ratujcie! w niebogłosy wzywa
Niechaj go już z przepaści nikt nie wydobywa.
Bo gdyby kto ratując chciał spuścić mu linę,
Skąd wie, że się rozmyślnie nie rzucił w głębinę.
Komuż zgon Sykulskiego poety nie znany?
Empedokles za Boga chcąc być poczytany,
Z zimną krwią w ognie Etny gorejącej leci,
Niech giną mają prawo i wolność poeci.
Ratunek samobójcy śmierć tylko odwlecze.
Czyż to raz? czy ocalon tej myśli się zrzecze?
Żeby przez samobójstwo głośnej nabyć chwały?
Nie wiem za co mu nieba wiersz pisać kazały?
Czy Ojców prochy zelżył? czy zbezcześcił Bogi?
Że oszalał, to pewno; a jak niedźwiedź srogi,
Kiedy klatkę rozłamie, tak nudziarz gdzie wpadnie,
I znawcy i nieznawcy pierzchają bezładnie,
Ale gdy kogo złowi, dobija, a czyta,
Jak pijawka nie odpadnie, aż chyba krwi syta.

A. S. K.

KILKA UWAG O WPŁYWIE KOŚCIOŁA

NA USTAWODAWSTWO ŚWIECKIE.

Z istoty Kościoła, jako Boskiej Instytucyi, w której urzeczywistnia się działalność religii chrześcijańskiej obejmującej całego człowieka, jego życie tak w niewidomej sferze myśli, jak również działalność jego w świecie zewnętrznym, widomym, — wypływa, że Kościół krzewiąc Boską naukę bądź w państwie rzymskiem bądź wśród ludów barbarzyńskich, musiał wywrzeć wszędzie i wywarł rzeczywiście, jak świadczą dzieje, stanowczy i potężny wpływ na cały rozwój życia ludzkiego we wszystkich jego dziedzinach, czyli na cywilizacyę ludzkości w prawdziwem słowa tego znaczeniu. „W zasadach Kościoła, jak się pięknie wyraża kardynał Pecci (pap. Leon XIII.) w jednym ze swych listów pasterskich, tkwi najcenniejszy zaród cywilizacyi, i gdyby je zastosowano do życia, doprowadziłyby one do najwyższej moralnej doskonałości, jakiej na tej ziemi spodziewać się wolno“ [1], a Donoso-Cortes powiedział, że historya cywilizacyi jest historyą Kościoła.

Rzućmy okiem na te rozliczne sfery życia ludzkiego, a najprzód zwróćmy uwagę na sferę działalności człowieka, w celu zapewnienia sobie materyalnego dobrobytu. Chrześcijanin uważa wprawdzie tę ziemię za miejsce tylko czasowego pobytu swego, nie przywiązuje się do rzeczy służących mu do użytku, wiedząc o tem, że nie on, lecz Bóg sam, Stwórca wszechmocny jest ich właści-

[1] Kościół i cywilizacya kard. Joach Pecci (pap. Leona XIII.) tłum. X. W. Kalinka, Kraków 1878. S. 99 i inne. *Kober.* Ueber den Einfluss der Kirche und ihrer Gesetzgebung auf Gesittung, Humanität und Civilisation im Mittelalter: Theol. Quartalsschr. Tübingen 1858. 40 Jahrg. S. 443—494.

cielem, a on tylko czasowym szafarzem. Z drugiej jednak strony chrześcijanin w otaczającym go świecie zewnętrznym, widzi wspaniałe dzieło Boga, Stwórcy swojego; oświecony więc pochodnią wiary, natęża siły umysłu, aby zgłębiając tajniki przyrody, poznać tę otwartą przed nim zawsze księgę, świadczącą mu o dobroci i wszechmocności Bożej — aby uwielbić Boga w dziełach jego [1], a następnie, aby na podstawie zdobytej znajomości przyrody, wśród pracy w pocie czoła, którą uważa za swój obowiązek, — obracając owe twory przyrody na swój użytek, umożliwić i ułatwić sobie spełnienie zakreślonego mu przez Stwórcę zadania.

Zakwitną więc w społeczeństwie, na chrześcijańskich zasadach opartem, rolnictwo, rękodzieła, handel i przemysł. Wspomnę tylko, iż za sprawą Kościoła i jego wysłanników koczownicze ludy germańskie, nie znające dotąd prawie innego zatrudnienia prócz boju i polowania, powoli obierały sobie stałe siedziby, zakładały wsie i miasta, tworząc w ten sposób trwałą, nieodzowną podwalinę dobrobytu i pomyślnego państwowego i społecznego rozwoju; nadmienię tylko niepoślednie w tym względzie zasługi zakonu Benedyktynów, oraz świetność miast włoskich Wenecyi, Genui, Pizy, Luki, Florencyi pod względem handlu i przemysłu w wiekach średnich, dopóki uległe były władzy Kościoła, dopóki żyła w nich wiara [2].

Kościół jednakże, popierając ze wszechmiar wraz z cywilizacyą dobrobyt, potępiał z drugiej strony zbytek, jako niezgodny z chrześcijańską zasadą wstrzemięźliwości i umartwienia, wykraczający zazwyczaj przeciw chrześcijańskiej miłości bliźniego [3]. Uwielbienie dla dobroci i wszechmocności Stwórcy objawi chrześcijanin nazewnątrz; zapragnie on utrwalić i coraz bardziej rozkrzewić takowe. Wiara, rozum, wyobraźnia, uczucie wskażą mu w Panu Bogu najwyższy ideał wszelkiego dobra, prawdy i piękna, który uwielbi chrześcijanin w wspaniałych świątyniach, budzących powszechny podziw swym ogromem, bogactwem i pięknością swych form architektonicznych; boć te świątynie mają się stać przybytkiem samego Boga, który w ich ukryciu dla zbawienia ludzi zamieszkać raczy. Chrześcijanin

[1] A magnitudine enim speciei et creaturae cognoscibiliter poterit creator horum videri (Sap. XIII. 5).

[2] Kościół i cywilizacya.

[3] *Walter F.* Lehrb. d. Kirchenrechts 14 Aufl. §. 344.

przyozdobi takowe w natchnione głębokiem uczuciem religijnem obrazy, które świat cały ogłosi za nieprześcignione arcydzieła sztuki malarskiej.

Dosyć wspomnieć wzniesione w wiekach średnich, a dotąd istniejące katedry gotyckie, i takich artystów, jak: Giotta, Brunelleschi'ego, Piotra Perugino, Rafaela. Niemniej jednak nauka chrześcijańska stała się potężnym bodźcem do coraz to większego i doskonalszego rozwoju rozumu ludzkiego, a w następstwie do prawdziwego postępu wszelkiej umiejętności. Religia katolicka uczy [1] wprawdzie, że rozum ludzki przez grzech pierworodny, przez który w osobie pierwszego człowieka cały rodzaj ludzki podniósł bunt przeciw świętej woli swego Boga i Pana, utracił wyższe światło i moc, w jakie pierwotnie, wychodząc z rąk swego Stwórcy był uposażony. Jednakże ta sama religia, usuwając nieszczęsne skutki grzechu pierworodnego, podając człowiekowi środki, aby powstał z upadku grzechowego, odradzając, że tak powiem, człowieka wewnętrznie, staje się tem samem potężną dźwignią dla rozumu ludzkiego, który oparty na gruncie wiary katolickiej, wzniesie się na wyżyny, na które przedtem nadaremnie, błąkając się, podążyć usiłował. Rozum uprzytomni, ugruntuje w duszy chrześcijanina owe prawdy objawione przez samego Stwórcę, a dotyczące najżywotniejszych dla człowieka zagadnień, bo odnoszących się do stosunku człowieka do Boga, do zadania, do celu człowieka. Zakwitnie przedewszystkiem umiejętność o Bogu, tj. teologia, w dziełach takich geniuszów, jak św. Augustyna, św. Tomasza z Akwinu i wielu innych doktorów Kościoła, a w ślad za teologią nastąpi na podstawie religijnej rozkwit wszystkich innych umiejętności, które jakkolwiek za przedmiot nie mają bezpośrednio nauki o Bogu, jednak pośrednio dążą z natury rzeczy i dążyć koniecznie muszą do poznania najwyższego ideału Prawdy, jakim jest Pan Bóg. Guizot [2], wykładając dzieje cywilizacyi europejskiej, powiada: „że Kościół musiał wielki „wywierać wpływ na porządek moralny i umysłowy w Europie, na „wyobrażenia, na uczucia i obyczaje publiczne, że rozwinięcie mo„ralne i umysłowe w Europie było rzeczywiście teologicznem. Prze-

[1] Concil. Trid. Sess. V. Decr. de pecc. origin.

[2] *Guizota dzieje cywilizacyi europejskiej.* Tłum. Fel. Bentkowski. Warszawa 1842. str. 165, 166.

„biegając dzieje od V. do XVI. w. widzimy, że teologia zajmuje „umysły i kieruje niemi; wszelkie mniemania noszą piętno teologii; „pytania i wątpliwości filozoficzne, polityczne, historyczne, zawsze „są uważane pod względem teologicznym, rozwiązywane ze sta„nowiska teologicznego. Ten sam fakt, mówi dalej Guizot, ob„jawia się we wszystkich gałęziach literatury. Wpływ ten Kościoła „nietylko utrzymywał, upładniał ruch umysłowy w Europie, lecz „oraz system nauk i prawideł, w imieniu których Kościół ten „wpływ wywierał, daleko był wyższym od tego wszystkiego, co „tylko w świecie starożytnym znano. Panował tu zarazem ruch „i postęp".

Dowodem rzeczonego wpływu Kościoła na cały ruch umysłowy, wymownem świadectwem, jak Kościół pojmował poruczony sobie przez Boskiego swego założyciela urząd nauczycielski, jak się ze swej misyi wywiązywał, jest powszechnie uznany w dziejach fakt, że całe szkolnictwo, zwłaszcza wieków średnich, zawdzięcza Kościołowi powstanie swoje, byt i rozwój. Uniwersytety, od najdawniejszych w Bolonii i w Paryżu począwszy, powstały na gruncie Kościoła, z charakterem wybitnie kościelnym; ich założenie zawisłem było od zatwierdzenia papieskiego [1].

Instytucya Kościoła zmierza ostatecznie do umoralnienia człowieka; boć jej posłannictwem jest właśnie czuwać nieustannie nad zawiązaniem i wzmacnianiem węzła łączącego człowieka z Bogiem, który to węzeł stanowiąc właśnie religię katolicką, polegać winien przedewszystkiem na harmonii między człowiekiem, jako istotą obdarzoną rozumem i wolną wolą, a Bogiem, Stwórcą i Rządcą Wszechrzeczy. A jakże mówić można o harmonii między Bogiem a człowiekiem, jeżeli człowiek świadomie nie daje wiary owym prawdom, w których Bóg sam przez Kościół katolicki, jako swój organ tu na ziemi, poucza go o stosunku, który zachodzi między Bogiem a człowiekiem? Gdzież owa harmonia, jeżeli człowiek świadomie i dobrowolnie postępuje wbrew owym zasadom, które Bóg sam mu objawił, wpoił w jego duszę, w sumienie, jako najwyższą niezmienną normę postępowania dla człowieka, jako swoje Boskie

---

[1] Porów. *Walter* l. c. §. 336—338. S. 750—754. *E. Rittner.* Prawo kościelne katol. Lwów, 1879. T. II. S. 164.

prawo, którego wieczne przechowanie poruczył Kościołowi? A zatem zasady moralności zostają w najściślejszym nierozerwalnym związku z zasadami wiary katolickiej; są one bowiem zastosowaniem owych prawd wiary do życia człowieka. O moralności niezawiśle od Boga, od religii mowy być nie może.

Ale Kościół umoralnił nietylko człowieka uważanego zosobna lecz również umoralnił, udoskonalił cały ustrój i porządek społeczny. A w jaki sposób tego dokonał? W odpowiedzi na to pytanie przytoczę znowu trafne uwagi Guizota[1]. „Wielką był korzyścią, mówi „on, wpływ moralny, siła umysłowa, siła polegająca na przekonaniu „i uczuciach moralnych wpośród owego potoku siły materyalnej, która „wówczas, (tj, w czasie upadku cesarstwa rzymskiego zachodniego) „zwaliła się na społeczność. Gdyby nie było Kościoła chrześcijań„skiego, świat cały uległby sile materyalnej. Sam tylko Kościół „wywierał siłę moralną; więcej jeszcze działał: on utrzymywał, on „upowszechniał wyobrażenie prawa wyższego nad wszelkie prawa „i ustawy ludzkie; on głosił i wpajał tę zasadę fundamentalną dla „zbawienia społeczeństwa, że nad wszystkiemi prawami ludzkiemi „pierwszeństwo trzyma zakon nazwany Prawem Boskiem, który „zawsze i wszędzie jest tem samem prawem".

Więc nie środkami materyalnemi, nie siłą fizyczną i przemocą umoralnił Kościół człowieka i społeczeństwo, lecz dokonała tego jego Boska nauka, która jako normę postępowania stawia człowiekowi i społeczeństwu Wolę Bożą, źródło i podstawę wszelkiego prawa, wszelkiego społecznego porządku[2]. Pan Bóg, stworzywszy świat i człowieka, nie przestał rządzić światem i opiekować się człowiekiem, a objawiając mu prawo Swoje, objęte w Dekalogu, ugruntowane w sumieniu człowieka, rozwinięte i uzupełnione w nauce Kościoła katolickiego, nie przestał być najwyższym Prawodawcą. Miłość Boga a w miłości Boga, miłość bliźniego, oto kardynalna zasada prawa Bożego, podstawa moralności chrześcijańskiej, nić przewodnia, która w ustroju społecznym i w prawodawstwie ludów nauką Kościoła oświeconych dostrzegać się daje. Owe liczne instytu-

[1] L. c. str. 53.

[2] Konsekwencye tych zasad Kościoła widzimy między innemi w kanonicznej teoryi prawa zwyczajowego (ob. *C. Fr. Rosshirt* Geschichte d. Rechts im Mittelalter. Mainz 1864. S. 467 u. folg.)

cye dobroczynne, wyrosłe na gruncie i pod wpływem Kościoła, nieznane pogaństwu, okrutnemu dla słabych, owe dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego [1], opartego nie na chłodnej, niestałej filantropii, lecz na poświęceniu przyjemności, majątku, zdrowia a częstokroć nawet wolności i życia, dla potrzeby i ulgi nieszczęśliwych są tylko zastosowaniem tej kardynalnej zasady prawa Bożego o miłości Boga i bliźniego. Owa zasada chrześcijańska, miłości bliźniego dla Boga, który człowieka stworzył i odkupił, przyczyniła się niezmiernie i pod każdym względem do uzacnienia człowieka, do podniesienia jego godności, a tem samem nadała wszelkim między ludźmi stosunkom, a w następstwie i prawu, które też stosunki reguluje, zupełnie odmienny, wyższy od tego co był w pogaństwie charakter.

Wobec tak wzniosłej nauki chrześcijańskiej ostać się nie mogły twarde, bezwzględne przepisy ustaw pogańskich; musiały one uledz gruntownemu przeobrażeniu pod wpływem wymagań słuszności *(aequitas)* tj. owych pierwotnych wrodzonych człowiekowi, jak wyżej wspomniałem, a przytłumionych pogaństwem, ogólnych kardynalnych zasad sprawiedliwości, prawa Bożego, którym w pewnym stopniu torowało już drogę do ścisłego prawa rzymskiego — *jus gentium* powstałe wskutek coraz to częstszych stosunków niewieściejących Rzymian ze zdrowszymi moralnie, aczkolwiek jeszcze pogańskimi ludami, a które to zasady w całej pełni, dopiero w nauce chrześcijańskiej rozwinięte zostały. Jeżeli bowiem według zasad religii katolickiej (jak wzwyż nadmieniłem) źródłem wszelkiego prawa jest wola Boga najmiłościwszego, toć oczywista, że wszelkie prawo ludzkie, jako na woli Bożej opierać się mające, winno twarde, bezwzględne swoje wymagania łagodzić słusznością, winno być, że tak powiem, przepromienione miłością chrześcijańską, którą ideałem wszelkiej słuszności nazwaćby można, słowem winno być sprawiedliwem w prawdziwem, chrześcijańskiem słowa tego znaczeniu; inaczej bowiem łatwo stać się może *summum jus, summa injuria.*

Wpływ chrześcijaństwa na prawo rzymskie objawia się zwłaszcza w kodeksie Teodozyańskim, mianowicie w przepisach dotyczących święcenia niedziel [2], zniesienia niektórych rodzajów kar,

[1] Kościół i cywilizacya, l. c. S. 50, 55.

[2] L. 1, 3, Cod. Theod. d. execut. (VIII. 8). porów. L. 1 sqq. Cod. Just. d. feriis (III. 12).

mianowicie kary ukrzyżowania, ze względu na cześć Zbawiciela [1], wypalania piętna na twarzy w ustawach karnych co do niektórych zbrodni [2]; w przepisach zmierzających do złagodzenia położenia niewolników [3], co do zniesienia nieprzyzwoitych widowisk [4]; co do ulg od wielu nader uciążliwych danin [5]; co do uwolnienia majątku kościelnego od podatków [6]; co do zaprowadzenia t. zw. prawa azylu dla kościołów chrześcijańskich [7] i t. p. Widzimy również ów wpływ chrześcijaństwa w ustawodawstwie Justyniańskiem, w którem karność kościelna gorliwe znalazła poparcie. Kościół zyskiwał przez nie nader wielki wpływ na stosunki państwowe zwłaszcza na sądownictwo [8], o czem niżej, przebiegając poszczególne ważniejsze kwestye wpływu Kościoła na ustawodawstwo jeszcze nadmienię [9].

W nierównie wyższym stopniu objawia się ów wpływ chrześcijaństwa w ustawach ludów germańskich, które przyjąwszy naukę chrześcijańską, konsolidując się dopiero wówczas w trwalsze organizacye państwowe, pod wpływem takowej nie już tylko reformowały, jak Rzymianie, ale raczej na fundamentach chrześcijańskich, tworzyły sobie prawa [10]. Przedewszystkiem wspomnieć tu należy

---

[1] Ob. *G. Phillips.* Kirchenrecht. Regensburg 1848. III. B. §. 118. S. 20. u. folg. — *Ch. de Monléon.* L'Eglise et le droit Romain. Etudes historiques. (L'association catholique. T. XVII. Nr. 3, 4, 6 (a. 1884). Paris. — *Troplong.* De l'influence du christianisme sur le droit civil des Romains 3 ed. Paris 1868. — L. 2. Cod. Theod. d. poen. (i X. 40).

[2] N. p. l. 1. 2. Cod. Theod. de lenonib. (XV. 8); l. 3. Cod. Theod. ad leg. Jul. d. adult (IX. 7); l. 1 sqq. Cod. Theod. d. rapt. virg. (IX. 21); l. 1. Cod. Theod. d. exposit. (V. 7).

[3] L. un. Cod. Theod. d. manumiss. in Eccl. (IV. 7).

[4] L. 1. 2. Cod. Theod. d. Majuma (XV. 6).

[5] L. 3. Cod. Theod. d. exact. (XI. 6); l. 1. sqq. Cod. Theod. d. indulg. (XI. 28).

[6] Cod. Theod. de annon. et trib.

[7] Cod. Theod. de his qui ad eccles. confug. IX. 45. Ob. jeszcze Cod. Theod. de episc. et cler. (XVI. 2), l. 4, 15, 40.

[8] Cod. Just. l. 1, 4, 7 de episc. aud. (I. 4).

[9] Ob. *Walter.* l. c. S. 160, 161, 162, 91, (§§. 69, 44); c. 45. C. de episc. (I. 3); Nov. VI. c. 1. §. 8. praef. (Justin. a. 535). Nov. LXXXIII. c. 1; Nov. CXXXI. c. 1.

[10] *Walter.* Corp. jur. I. p. 238: Prolog do Lex Bajwar. (i do innych praw ludowych): „Ipso (scil. Theodorico) autem dictante jussit conscribere legem unicuique genti... secundum consuetudinem suam, addiditque quae addenda erant, et inprovisa et incomposita in melius reformavit, *et quae erant*

Capitularia królów frankońskich, a zwłaszcza Karola W., w których nader wyraźnie przebija się gorliwe dążenie do popierania Kościoła w całej sferze jego działalności, do sprowadzenia najzupełniejszej harmonii między władzą duchowną a władzą świecką. Kapitularya oparte są w znacznej części na kanonach i na wyjątkach z Ojców Kościoła; są one, jak się wyraża jedno z koncyliów [1] *canonum pedissequa*.

Kościół jednak, zdaniem Molitora [2], krzewiąc naukę Chrystusa Pana wśród ludów germańskich w państwie frankońskiem, z jednej strony nie folgował w niczem ludzkim namiętnościom, i nie ustępował władzy świeckiej w rzeczach, sprzeciwiających się odwiecznej Prawdzie, której stróżem tu na ziemi ustanowionym został, lub uwłaczających jego Boskiemu prawu, które stanowi kardynalny warunek jego istnienia. Z drugiej strony Kościół stosował się ile możności w granicach prawem Bożem zakreślonych do wyobrażeń zwyczajów i organizacyi ludów, wśród których miał sprawować dzieło zbawienia. A nawet tam, gdzie chodziło o zaszczepienie i zastosowanie w życiu i stosunkach prawnych ludów barbarzyńskich, owych odwiecznych prawd Bożych Kościołowi do głoszenia powierzonych, nie postępował gwałtownie, nie wtłaczał, że tak powiem, przemocą tej świętej nauki, w stosunki prawne ludów, ale działał roztropnie, zwolna; bo jak się pięknie wyraża Skarga [3]: „twardym sercom nie podobna wszystkiego zaraz odjąć, jako na górę idąc nie zaraz wzlecieć, ale pomału postępować potrzeba". W znacznej także części wpływ Kościoła na ustrój prawny ludów był bezpośrednim rezultatem umoralnienia, udoskonalenia chrześcijańskiego jednostek, wśród których dopiero po okiełznaniu dzikich namiętności barbarzyńców nauką i środkami religijnemi, jakiemi Kościół katolicki rozporządza, mogły instytucye prawne, duchem chrześcijańskim owiane, trwałe i głębokie zapuścić korzenie. Stawały się one bowiem po-

---

secundum consuetudinem paganorum, mutavit secundum legem christianorum. Ob. *Schulte*: Deutsche Reichs- u. Rechts-Geschichte §. 22. S. 55.

[1] Concil. *Troslej.* a. 909 c. 3 (Hardouin T. VI. P. I. col. 511). Ob. *Phillips. G.* Kirchenr. l. c. B. III. S. 107; *Walter.* Lehrb. d. K. R. l. c. §. 92. S. 197. Note. 2. — Capitulare Karola W. z r. 789. Ob. *Walter:* Fontes p. 46 sq.

[2] *W. Molitor.* Über Kanon. Gerichtsverfahren gegen Kleriker. Mainz 1856. S. 71.

[3] *Skarga.* Żywoty Świętych, wyd. 24. Kraków 1881. t. VI. S. 69.

trzebą ludu chrześcijańskiego [1]. Co więcej Kościół rozwijając swoje prawo udawał się sam nader często do praw świeckich [2], mianowicie zaś do prawa rzymskiego; stąd zasada: *Ecclesia vivit lege Romana* [3]; jednakowoż słowom rzymskim nadawał zupełnie odmienne znaczenie, przyoblekając w formę rzymską ducha chrześcijańskiego, który przenika całe prawodawstwo kościelne.

Przypatrzmy się teraz, w których punktach owa kardynalna chrześcijańska zasada miłości bliźniego w Bogu, owa nić złota, snująca się przez całe dzieje ustawodawstwa ludów chrześcijańskich, szczególniejszym przyświeca blaskiem? Najpiękniej niezawodnie jaśnieje ona w całej instytucyi małżeństwa, które, będąc podstawą rodziny, jest tem samem podwaliną porządku prawnego w społeczeństwie. Boski Kościoła św. Założyciel podniósł małżeństwo do godności sakramentu, przez który zlewa się łaska Boża dla utwierdzenia nierozwiązalnego związku między jednym mężczyzną i jedną niewiastą dla utrzymania, spotęgowania między małżonkami miłości, dla wzajemnego wreszcie ich uświęcania się. *Mężowie miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań,* mówi św. Paweł [4], poczem dodaje: *Sakrament to wielki jest, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele* [5]. Jakże niezmiernie wysoko wznosi się chrześcijańskie pojmowanie małżeństwa ponad dawne pogańskie, a nawet żydowskie jego rozumienie, nie stawiające skutecznej zapory niesfornym żądzom zmysłowym, wielożeństwu i rozwodom, do szczętu małżeństwo każącym. Monogamia i nierozwiązalność małżeństwa, podniesionego do godności sakramentu, oto główne filary małżeńskiego ustawodawstwa kościelnego, któreby chyba w całości przytoczyć trzeba, chcąc wyjaśnić doniosły wpływ Kościoła w tym kierunku na prawodawstwo świeckie [6]. Nadmienię tylko, że w obliczu ustaw kościelnych mąż i żona,

---

[1] Kościół i cywilizacya l. c. S. 81.

[2] Lex Ripuar. Tit. 58. c. 1.

[3] *Phillips G.* Kirchenr. l. c. B. III. S. 63. u. folg. porów. *Phillips G.* Deutsche Reichs- u. Rechtsgesch. 3. Aufl. München 1856. §. 54. S. 142 u. folg ob. c. 1. X. de novi operis nunt. (V. 32). — Benedykt XIV. de synod. dioeces. l. IX. c. 14. *Molitor.* l. c. S. 117 i nast.

[4] Do Efezów V. 25.

[5] Ibid. v. 32. — Ob. Concil. Trid. sess. 24 doctr. de sacram. matr. c. I. i II.

[6] Ob. *M. Th. Huc.* Influence du droit canenique sur la constitution

jako dzieci Ojca Niebieskiego, oboje odkupieni krwią Zbawiciela i oboje do wiekuistego szczęścia przeznaczeni, w stosunkach małżeńskich i rodzinnych postawieni zostali narówni: *Una est lex, erit viro et feminae*, jak się wyraża jedno z koncyliów [1].

U pogańskich Rzymian żona pozostawała *in manu* męża tj. w stosunku do własności zbliżonym, nie była *sui* lecz *alieni juris:* była w rodzinie na stanowisku córki, *filiae loco* [2]; u pogańskich Germanów mąż miał nad nią prawo życia i śmierci — z jego śmiercią i ją palono lub grzebano [3]. W rodzinie chrześcijańskiej zajęła żona obok męża, jako naczelnika rodziny zaszczytne i wpływowe stanowisko matki rodziny; z niewolnicy męża stała się jego dozgonną towarzyszką i przyjaciółką, uczestniczką jego władzy ojcowskiej, której również Kościół odjął dawną szorstkość, niekiedy nawet srogość rzymskiej *patriae potestatis* [4]. Odtąd władza rodzicielska polegać miała na miłości chrześcijańskiej, skierowanej wspólnie ku dobremu wychowaniu dzieci tj. ku wyryciu w ich sercach zasad karności, sprawiedliwości, będących podstawą życia społecznego [5]. Okrótne porzucanie słabowitych niemowląt, nie obiecujących państwu silnych obywateli, będące w pogaństwie jedną z atrybucyj władzy ojcowskiej, napiętnował Kościół jako zbrodnię; boć dusza ułomnego dziecięcia, zarówno jak kształtnego i silnego człowieka odkupiona przez Zbawiciela niezmiernej u Boga jest ceny [6].

Ta sama zasada chrześcijańskiej miłości: że wszyscy ludzie zarówno bogaci, czy ubodzy, wolni, czy niewolnicy, panujący, czy podwładni, mają jednego Ojca w Niebiesiech [7], przed którym zaró-

juridique de la famille — w Revue Critique de Législation de Jurisprudence. Paris 1856. T. IX. VIII. et IX. Livrais. p. 224—243.

[1] C. 5. C. XXIX. qu. 2. Conc. *Compend.* z r. 757.

[2] Ob. *Walter F.* Geschichte d. röm. R. II. Th. Bonn. 1861. §. 501. 503. S. 98. 102.

[3] *Kober.* l. c. S. 456.

[4] L. un. Cod. de his qui parent (IX. 17). Co do pr. życia i śmierci nad dzieckiem; Instit. §. 7 de noxal. act. (IV. 8), co do jus liberos noxae dandi; prawo wydziedziczania dzieci ograniczone Nov. CXV. c. 3—5.

[5] Kościół i cywilizacya l. c.

[6] Concil. *Vaseus.* a. 442 c. 9. 10. Hard. I. p. 1790. Concil. *Arelat.* II. a. 443. c. 51. i Concil. *Agath.* a. 506. c. 24. Hard. II. p. 777 i 1000; porów. także Gracyan c. 9. Pars III. ex concil. *Arelat.* II. c. 32 D. LXXXVII. *Kober.* l. c. S. 455. Th. *Huc.* l. c. S. 240—243.

[7] Porów. c. 1. C. XXIX. qu. 2.

wno zdadzą ścisły rachunek ze wszystkich myśli, słów i czynów swoich, że wszyscy zatem wobec Boga jednemu podlegają prawu, dokonała jednej z najważniejszych, w ówczesny ustrój społeczny najgłębiej sięgających zmian, która świadczy i zawsze świadczyć będzie najświetniej o misyi cywilizacyjnej Kościoła. Zmianą tak doniosłą za sprawą jego dokonaną jest zniesienie niewoli, wyrównanie zapomocą miłosierdzia chrześcijańskiego przepaści społecznej między majętnym a nędzarzem, złagodzenie nieprzyjaznego stanowiska jednych narodów wobec drugich, ba nawet nawiązanie pomiędzy zupełnie obcymi sobie ludami ścisłych pokojowych stosunków. Równość w obliczu prawa, wszak to do dziś dnia naczelne hasło konstytucyi wszystkich dzisiejszych państw do cywilizacyi pretensyę mających; wszak to do dziś dnia główny filar wolności obywatelskiej; wszak i dziś t. zw. „koncert mocarstw“ służy za podstawę stosunkom pomiędzy narodami, w których dopiero nauka chrześcijańska, jedna dla wszystkich ludów i po wszystkie czasy głoszona przez św. Kościół powszechny, obudziła poczucie, że wszystkie razem należą do jednej wielkiej rodziny.

W szegółności, aby ocenić całą doniosłość wpływu Kościoła w sprawie zniesienia niewoli zważyć trzeba, że w pogaństwie uważano niewolników za istoty duchowo upośledzone, prawie narówni ze zwierzętami stojące[1]. U Rzymian los ich wcale państwa bezpośrednio nie obchodził, byli bowiem własnością swego pana, podlegli w zupełności jego władzy, za której sprawowanie tenże przed nikim nie był odpowiedzialny; nie byli zatem w rozumieniu prawa osobą, lecz rzeczą, którą pan mógł sprzedać, chłostą, a nawet śmiercią ukarać; w sądach nie przyjmowano skarg niewolników, małżeństw ich nie szanowano, uważając je tylko za faktyczne *contubernia*. Słowem pozbawieni byli wszelkiej opieki prawa. Wprawdzie łagodniejszy, sumienniejszy charakter pana, niektóre rzymskie uroczystości religijne np. *Suturnalia*, *Compitalia*, niekiedy i urząd cenzorów przynosiły niewolnikom pewne ulgi w srogiem ich położeniu, które odbiły się nieco w późniejszych ustawach rzymskich np. w *lex Petronia* i w kilku uchwałach senatu. To wszystko jednak wobec coraz to większego upadku moralnego pogańskich

[1] Porów. Odyss. XVII. 322. Aristoteles, Politic L. I. c. 2.

Rzymian nie zaradzało skutecznie zasadniczemu złemu, które na wskróś przenikało całą instytucyę niewoli [1].

Nie lepiej było u pogańskich Germanów [2], u których również niewolnik był własnością pana, jego rzeczą, bezwarunkowo podlegał jego władzy, zawisł od jego widzimisię. Aby wśród tak trudnych warunków módz skruszyć srogie pęta niewoli, które przez wieki trzymały w upodleniu i pohańbieniu ogromną większość rodu ludzkiego, pozbawioną kardynalnych praw człowieka, trzeba było koniecznie kościoła, tej Boskiej instytucyi, która przedewszystkiem działała w kierunku odrodzenia moralnego umysłów i serc tak ciemiężców jak i ciemiężonych; a na tak przygotowanym dopiero gruncie, statecznie, bez gwałtownych przewrotów społecznych dokonywała pięknego dzieła wyzwolenia. Kościół mianowicie starał się usilnie, jak świadczą liczne synody w państwie frankońskiem odbywane, położyć koniec srogiemu obchodzeniu się panów z niewolnikami [3]; groził ekskomuniką temu, ktoby swego niewolnika śmiercią ukarał, bez interwencyi publicznego sędzi [4], zakazywał sprzedaży niewolników poza granicę państwa frankońskiego poganom, jako ofiar dla ich bożyszcz [5], czuwał nad tem, aby nie stawiano przeszkód moral-

---

[1] Ob. *Walter F.* Gesch. d. röm. Rechts. l. c. II. B. §. 466. u. folg. *Walter F.* Lehrb. d. Kirchens. l. c. §. 348. — *Gajus* I. 52, 54, ob. Co do innych ustępów źródeł prawa rzymskiego ob. *Walter* Gesch. d röm. R. l. c. §. 466. notę 7. i następne.

[2] *Kober* l. c. S. 446. — *Tacit.* Germ. c. 25. Verberare servum ac vinculis et opere coërcere, rarum occidere solent, non disciplina et severitate, sed impetu et ira, ut inimicum, nisi quod impune. — Porów. *Walter F.* Deutsche Rechtsgesch. 2 Aufl. Bonn 1857 I. B. § 12. — *Schulte* Reichs- u. Rechtsgesch. l. c. §. 12 etc.

[3] Ob. *Kober* l. c. S. 448 u. folg. *Sschulte*: Deutsche Reichs u. Rechtsgesch. l. c §. 55. *Schulte*: Handb. d. kathol. Eherechts Giessen 1855 S. 115. *Walter F.* Lehrb. d. Kirchenr l. c §. 348. *Phillips G.* Kirchenr l. c. B. III. S. 91 u. folg. Ob. c. 6. X. de immunit (III. 49.) c. 43. D. L. (ex concil. *Eliberit.* circa a. 310.

[4] *Concil, Agath.* a. 506 c. 62. „Si quis servum proprium sine conscientia judicis occiderit excommunicatione, vel poenitentia biennii reatum sanguinis emendabit.“ Hard II. p. 1005. Concil. *Epavn.* a. 517 c. 34. Ibid. p. 1051.

[5] Concil. *Cabilon.* cori. a. 650. c. q. Hard. III. p. 949. concil. *Aenhamcus.* a. 1009. c. 6: Sapientes etiam decernunt, ut nemo Christianum insontem pretio tradat extra patriam praesertim in pagani alicujus servitium: caveat autem diligenter, ne illam animam perdat, quam Dominus noster Jesus Christus

nemu, religijnemu niewolników życiu [1], co więcej przyjmując ich do społeczności wiernych przypuścił ich tem samem do skarbnicy łask duchowych, których jest szafarzem. Małżeństwa niewolników pomiędzy sobą, ale nie z innemi osobami, zrazu za zezwoleniem, a później nawet bez wiedzy i woli ich pana zawarte, uznał Kościół za ważne i nierozwiązalne [2]; urodzonych z ojca niewolnika, a matki wolnej, wbrew dawnej pogańskiej zasadzie uznał za wolnych [3]; wyzwolenie niewolników zalecał jako uczynek miłosierdzia [4]; wyzwoleńców opieką swą otaczał [5]; otwarł im nawet drogę do pierwszych urzędów kościelnych, do stolic biskupich, na których też wkrótce wyzwoleńcy w wielkiej zasiedli liczbie [6].

Kościół atoli głosząc w zakresie etyki chrześcijańskiej fundamentalną zasadę wolności woli, i dokładając wszelkich starań, aby owo szczytne *principium* wcielić w stosunki społeczne, w stosunki prawne, musiał przeobrazić z gruntu pogańskie pojęcie władzy, która zamiast być narzędziem sprawiedliwości, gwarancyą porządku prawnego w społeczeństwie, a tem samem podstawą dobrze zrozumianej wolności osobistej, była raczej w ręku władców pogańskich srogą tejże wolności negacyą. Władza, głosi Kościół, pochodzi od Boga [7]. Jego wola bowiem jako Stwórcy i Rządcy Wszechrzeczy jest, jak widzieliśmy, źródłem i podstawą prawa; z czego bezpośrednio wypływa, że wszelka władza na ziemi, jako czynnik konieczny do ugruntowania i przeprowadzenia prawa, w imieniu niejako, w zastępstwie Stwórcy sprawowaną jest przez ludzi, którym sam Bóg takową w jakikolwiek sposób powierzył. „Władza zatem, pochodząc „od Boga, winna w sobie, jak mówi kardynał Pecci [8] przedstawiać „Majestat Boży, by ją szanowano, i dobroć Bożą, aby ją z łatwo-

---

suo sanguine mercatus est. Hard. VI. p. 775. — Gregor. III. epist. ad Bonifac. Archiepiscop. (Hard. III. p. 1869).

[1] Concil *Berghamsted.* a. 697. c. 10. 27. 15. Hard. III. p. 1819.

[2] c. 1, 2, 5—8. C. XXIX. qu. 2. (Concil. *Corupend.* a. 752. c. 8. i Concil. *Cabilon.* II. a. 813 c. 30). c. 1. X. de conjug. servorum (IV. 9.)

[3] c. 8. X. de servis non ordinandis (I. 18).

[4] c. 6. 8. C. XII. qu. 2. (Gregor. I. a. 599).

[5] c. 6, 7, 8. D. LXXXVII.

[6] Porów. l. 1. 2. Cod. de his, qui in eccles. manumitt. (I. 15.) Ob. *Kober* l. c. S. 450. *Phillips.* Kirchenr. l. c. III. S. 92.

[7] Św. Paweł do Rzym. XIII. 2.

[8] Kościół i cywilizacya l. c. S. 93 i nast.

„ścią można było przyjąć, i aby pożądaną była dla tych, co jej ule-
„gają". „Ktokolwiek przeto, mówi on dalej, władzę w swem ręku
„piastuje, czy to jest indywiduum, czy też osoba zbiorowa, czy go-
„dność swą wyborom, czy urodzeniu zawdzięcza, czy w państwie
„demokratycznem, czy w monarchii — nie powinien szukać we władzy
„zaspokojenia swej ambicyi i pychy, aby był ponad wszystkiemi
„stawiony, ale tylko możności służenia braciom, podobnie jak to
„czynił Syn Boży, który nie na to przyszedł na świat, aby mu
„służono, lecz na to, aby służył".

Kościół pojmuje zatem wszelką władzę na ziemi przedewszystkiem ze stanowiska obowiązku, który ciężką na jej dzierżyciela wkłada odpowiedzialność. Im wyższy urząd, tem większa z nim łączy się odpowiedzialność. Ta surowa odpowiedzialność władców, jako zastępców Boga na ziemi, przed Sędzią najsprawiedliwszym, oto główna rękojmia dla poddanych władzy chrześcijan, że sfera ich praw należycie przestrzeganą, a tem samem ich wolność osobista szanowaną będzie. Z drugiej strony prawo Boże gruntuje w sumieniu chrześcijanina nie mniej ścisły obowiązek szczerego posłuszeństwa i uległości, a nie natchnionego tylko bojaźnią kary, służalczego, niewolniczego poddaństwa względem władzy, zakreślając jej zarazem ostateczną, nieprzekraczalną granicę[1].

Najlepiej uwydatnia się chrześcijańskie przeobrażenie władzy, w odnowionej przez Karola W. godności cesarskiej, jak w ogóle w ugruntowanej przezeń organizacyi państwa, i w stosunku tegoż do Kościoła. „Karol W. mówi Guizot, stanowi kres, na którym
„kończy się rozkład starożytnego świata rzymskiego, a od którego
„rozpoczyna się kształtowanie świata nowego". Główne zarysy monarchii Karola W., — w której sfera praw i obowiązków tak władcy jak i poddanych na zasadach prawa Bożego określoną została, w której temsamem sprawa prawdziwej wolności osobistej najsilniejsze znalazła poparcie, — utrzymywały się przez cały przeciąg wieków średnich, ba nawet w nowożytnych państwach niektóre z tych rysów odszukać się dadzą. Naczelnik *Sancti Imperii Romani*, a w ślad za nim inni królowie chrześcijańscy, wyniesieni z łaski Bożej na

[1] Ob. co do tej kwestyi Encyklikę pap. Leona XIII. z d. 29 czerwca 1881 r. „Diuturnum". De auctoritate politici imperii. *Archiv. f. Kirchenrecht* N. F. 40. B. S. 238 i nast.

najwyższy szczebel politycznej hierarchii, z rąk Namiestnika Chrystusowego, lub jego delegata, otrzymywali i otrzymują dotąd w akcie koronacyjnym sakrę swej władzy. Przy przysiędze koronacyjnej, tak jak nam ją podaje Pontyfikał Rzymski *De benedictione et coronatione regis*, jak również i nowsze ceremoniały, koronowani odbierali od koronatora upomnienie, że: „każda władza jest od Pana Boga, „przez którego królowie panują i prawodawcy sprawiedliwość mierzą. „Ty także Królu, opiewa formuła Pontyfikału, za trzodę sobie powie„rzoną samemu Bogu rachunek zdasz. Przedewszystkiem pobożność „zachowaj. Pana Boga Twego z całej duszy i sercem czystem czcij, „chrześcijańską religię i wiarę katolicką, którą od dzieciństwa wy„znajesz, aż do końca nieskażoną zachowaj, i broń jej wedle mo„żności przed wszystkimi przeciwnikami. Prałaty kościelne i wogóle „duchowieństwo, jak należy szanuj. Wolności kościelnej nie depcz. „Sprawiedliwość, bez której żadna społeczność długo nie ostoi się, „wszystkim niezachwianie wymierzaj, dobrych wynagradzając, wino„wajców należycie karząc. Wdowy, sieroty, ubogie i słabe broń od „wszelkiego uciemiężenia. Dla wszystkich do Ciebie się zbliżają„cych, wedle dostojeństwa Twego królewskiego, bądź dostępnym, „łaskawym, uprzejmym. I tak się zachowuj, ażeby widziano, że nie „dla swego, ale dla dobra ludu Tobie poruczonego panujesz, że „zapłaty za dobre czyny nie na ziemi, lecz w niebie oczekujesz“ i t. d. Poczem król kładąc obie ręce na otwartej księdze Ewangelii wykonywał przed koronatorem przysięgę, że sprawiedliwość i pokój powierzonemu sobie od Boga ludowi czynić będzie, jak mu to sumienie i wierna rada najlepiej ukaże, że obiecuje strzedz praw Kościoła, stanom zaś państwa uczciwość oddawać [1].

Tej przysiędze królewskiej, nad której wykonaniem i wierną interpretacyą czuwał Kościół, jako wychowawca sumień, a przeciwko niepomnym swych obowiązków władcom do nadzwyczajnych środków, nawet do klątwy się uciekał [2], odpowiadała z drugiej

---

[1] Ob. *Encyklopedya kościelna* wyd. X. Mich. Nowodworski. Warszawa 1878. Tom XI. Str. 176 i nast., Tom X. 1877. Str. 94. Pontificale Romanum Venetiis a. 1765. p. 136.

[2] Ob. c. 2. de suppl. neglig. praelat. in 4-to (I. 8); c. 2. de sent. et re judic. in 4-to (II. 14) Sachsenspiegel III. 57.

strony przysięga poddanych na wierność królowi, którą w r. 802. wykonali Karolowi W. wszyscy poddani od 12 r. życia. Jej znaczenie wyjaśnia tenże monarcha w Kapitularzu z r. 802 [1] w dopisku. Tak więc cały organizm państwa sprzężonym został silnem ogniwem przysięgi, która we wszechmocnym Majestacie Bożym, panującym w sumieniu człowieka, całe swe znaczenie i potęgę czerpie.

Skutkiem powyższego pojmowania władzy, opartej na zasadach chrześcijańskiej sprawiedliwości, przepromienionej zatem chrześcijańską miłością, była szczególniejsza opieka, jaką ubodzy, wdowy, sieroty, osoby bezbronne, niezdolne wywalczyć należnych sobie praw, przez Kościół otoczone zostały: Kościół, jak w wielu innych rzeczach, tak zwłaszcza w uregulowaniu stosunków prawnych wspomnionych osób *(personae miserabiles)* przodował władzy świeckiej, przez długi czas zastępował ją w zupełności, zanim takowa z barbarzyńskich naleciałości pogaństwa otrząsnąć się zdołała [2]. Na gruncie i pod wpływem Kościoła powstawały zakony rycerskie, których najszczytniejszem zadaniem była obrona ciemiężonych. Sprawy *personarum miserabilium* zrazu pod opiekę i nadzór biskupów, później pod wyłączną juryzdykcyę Kościoła poddane zostały [3]. Koncylium Turoneńskie II. [4], grozi klątwą sędziom, którzyby ubogich uciemiężali. I dotychczas jeszcze ślad rzeczonego wpływu Kościoła utrzymał się w t. zw. prawie ubogich.

Pod wpływem zasady miłości chrześcijańskiej, mającej łączyć wszystkich ludzi w jedną wielką rodzinę, przybrały wogóle stosunki prawne łagodniejsze i szlachetniejsze formy. Wobec niej

---

[1] „Każdy w swoich myślach i pragnieniach powinien pozostawać w służbie Bożej, strzedz się ma oszustwa, grabieży, krzywdzenia kościołów, wdów, sierót, pielgrzymów, gdyż cesarz jest ich obrońcą". — *Pertz.* Mon. Germ. leg. I. 91.

[2] Ob. *Walter* Lehrb. d. K. R. l. c. §. 184. S. 420, 421; *Kober,* l. c. S. 460 i nast. — *S. Ambros.* († 387) De offic. II. 29. Egregie hinc vestrum enitescit ministerium si suscepta impressio potentis, quam vel vidua vel orphana tolerare non queat ecclesiae subsidio cohibeatur; si ostendatis, plus apud vos mandatum domini, quam divitis valere gratiam. Meministis ipsi, quoties adversus regales impetus pro viduarum imo pro omnium depositis certamen subierimus.

[3] Ob. c. 10, C. XXIII. qu. 3. c. 11, 15, X., de foro compet. (II 2) c. 25, X. de verb. signif. (V. 40).

[4] R. 567, c. 26. Hard. III., p. 366.

nie mógł się ostać barbarzyński odwet, zemsta krwawa, jak również najazdy, na których polegało pierwotnie u Germanów prawie całe postępowanie prawne. Za pomocą t. zw. prawa azylu, Kościół z odwołaniem się do dawnych rzymskich i germańskich zwyczajów zawarował nienaruszalność świątyń chrześcijańskich, cmentarzy, nawet mieszkań biskupich, w których prześladowany zemstą krwawą, znajdował opiekę i bezpieczeństwo, co najmniej ochronę przed karą śmierci i przed innemi ciężkiemi karami cielesnemi [1]. Prawo rzeczone znalazło potwierdzenie i poparcie w licznych ustawach świeckich. Znany „Pokój Boży", *Treuga Dei*, zwany także *Pax Dei*, *Pax Ecclesiae*, zaprowadzony za sprawą biskupów, opatów i licznych synodów, zrazu we Francyi, (stąd *Pax Gallicana*) potem w Belgii, Anglii, Hiszpanii, we Włoszech, w XI. wieku w Niemczech, gdzie już cesarze Henryk III. i Henryk IV. kazali go zaprzysiądz stanom państwa [2]; później na II. i III. soborze lateraneńskim przez papieży Innocentego II. i Aleksandra III. potwierdzony, jako powszechnie obowiązujący przepis, — skuteczną kładł zaporę ówczesnym ustawicznym zajazdom, wyjmując w zupełności zpod takowych pod zagrożeniem klątwą i najcięższemi karami świeckiemi, duchowieństwo, zakony, kobiety, pielgrzymów, pasterzy i ich trzody, rolników, wogóle bezbronną, pokojowym zatrudnieniom oddaną ludność kraju; a nawet i wśród zbrojnych drużyn, tolerował zajazdy tylko w pewnych, ściśle oznaczonych okresach czasu. Zajazdy takie, wymagały podówczas pewnej tolerancyi, będąc częstokroć, z powodu niedostateczności ówczesnych władz sądowych i wykonawczych, jedynym środkiem wywalczenia prawa; ale z drugiej strony otwierały z natury rzeczy szerokie pole wszelkiego rodzaju nadużyciom, i utru-

---

[1] Ob. *Walter*. Lehrb. d. K. R. l. c. S. 765. *Phillips*. Kirchenrecht. l. c. B. III. S. 88. *Wilda W. E.* Das Strafrecht der Germanen. Halle 1842. S. 537—543. — *U. Heyzmann:* Ustawodawstwo Kościoła o azylach. Kraków 1879. c. 6. §. 1, c. 20, 35, 36. C. XVII. qu. 4; c. 5, 6, 10, X. de immun. eccl. (III. 48) c. un. Cod. Theod. de his, qui ad statuas confug. (IX. 44) c. un. Cod. Iust. eod. I. 25; C. Th. de his, qui ad eccles. confug. (IX. 45). C. I. eod. (I. 12). Nov. Inst. XVII. c. 7. Ob. *Walter*. Lehrb. d. K. R. Cc. §. 345 noty 7—10. Austr. konkord. a. 15.

[2] *Pertz*. T. IV., p. 55.

dniając prawidłowy, spokojny rozwój stosunków społecznych, musiały być coraz ciaśniejszemi okiełznane prawami i warunkami. Stąd przepisy uprzedniego wniesienia skargi do zwyczajnego sędziego, tudzież dowodnego uwiadomienia przeciwnika o dokonać się mającym zajeździe [1]. (Dok. nast.)

Dr. Józef Brzeziński.

---

[1] Ob. *Phillips:* Kirchenr. l. c. B. III. S. 84—88 *Kober.* l. c. S. 473 i nast. *Walter:* Lehrb. d. K. R. l. c. §. 344. S. 763; c. 47, C. *XXIII.* qu. 5, c. 1, 2, X De treug. et pac. (l. 34), in concil. Lateranensi III. Aleksander III., c. 21, 22. Concil. Lateran. II., can. 12. (Hardouin, t. VI. p. II., col. 1210). *Bened. XIV.* d. syn. dioec. Lib. XI. c. 11, n. g. Lib. XIII. c. 17, n. 5.

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII.

(Ciąg dalszy).

III.

Indye.

Indye w koronie Wielko-Brytyjskiego cesarstwa są tym jak słońce błyszczącym brylantem, który najwybredniejszego jubilera zadowolnić chyba musi. Przed i Zagangesowe Indye, obszarem, odpowiadają całej Europie z wyjątkiem Rosyi. Kolej żelazna z Bombaju do Kalkuty tę samą przebiega odległość, co z Londynu do Neapolu; od podnóża sięgających nieba gór Himalai, do przylądku Kormoranu, tę samą liczą przestrzeń, co z północnej Irlandyi do południowej Hiszpanii. Ta sama zachodzi proporcya w stosunku ludności: Rosya włada 80 milionami mieszkańców, Francya 38, cesarstwo niemieckie liczy 43 miliony ludności; Anglia zaś, w samych Indyach, włącznie z należącemi do Korony wyspami Indyjskiego Archipelagu, ma dwa razy tyle poddanych, co wyżej wymienione trzy największe w Europie mocarstwa. Sądząc po takich rozmiarach lądu i milionach ludności, zdawałoby się, że dziesiątki wieków składać się chyba musiały na zajęcie tych obszarów i podbicie tych mnogich narodów. Tymczasem rzecz się ma zgoła inaczej: zaledwo z początkiem XVII. wieku angielskie towarzystwo kupieckie, mające handlowe z Indyanami stosunki, zażądało opieki Wielko-Brytyjskiego rządu i takową roku 1600 od królowej Elżbiety otrzymało. Odtąd szereg szybko po sobie następujących ludzi energicznych, ambitnych, odważnych, jedni dla własnej, drudzy dla kraju korzyści, zajmowali

zwolna najprzystępniejsze wybrzeża Indyj, zakładali na nich handlowe osady *(factorys)*; zapuszczali się w głąb kraju z podziwienia godną wytrwałością, szukając środków ku własnemu wzbogaceniu, lecz nierównie częściej, ku rozszerzeniu morskiej i kolonialnej potęgi Anglii. Może nie zawsze względem tubylców sprawiedliwi i sumienni, ale niemal zawsze w przedsięwzięciach swych szczęśliwi tacy ludzie jak Boughton r. 1636, Hamilton r. 1715, Clive r. 1757, wreszcie wsławiony wielkiemi czynami Warren Hastings, przyszłą Indo-Brytyjską potęgę, na silnych podstawach silną stawiali ręką. Już Warren Hastings, aktem parlamentu angielskiego mianowany najprzód prezydentem prowincyi Bengalu, w parę lat później został generalnym gubernatorem angielskich posiadłości w Indyach. Rząd kompanii Wschodnio-Indyjskiej roztaczał opiekę swą nad słabszemi plemionami, broniąc je przed silniejszemi, lecz jedne i drugie zwykle łagodnością, czasem przemocą, do swych posiadłości przyłączał; generalny gubernator lord Dalhouse, zająwszy r. 1852, nieco jeszcze krnąbrną ludność kraiku Pegu, Indo-Brytyjską potęgę do całej swej doprowadził świetności. Po stłumieniu okrutnego powstania, posiadłości indyjskie utraciła kompania, w r. 1858 przyłączone zostały do Korony. Odtąd, dumnym wzrokiem cesarzowa Wiktorya sięgać może od Oceanu Spokojnego do Indyjskiego Oceanu, od południowej zatoki Singapur do wiecznie śniegiem błyszczących szczytów Himalai; wszędzie oko jej spocznie na Wielko-Brytyjskim sztandarze, wszędzie ucho jej dosłyszy wojskową orkiestrę grającą *God save the Queen* wobec angielskiej i krajowej ludności, z tradycyjnem poszanowaniem przysłuchującej się, z odkrytą głową narodowemu hymnowi.

Pod zwrotnikowem słońcem, istne iskry żaru na wszystkie roznoszącem strony, jakby upałem zdyszany zwolna wtacza się statek w olbrzymią przystań okalającą Batawię. Nigdzie, pisze baron Hübner, tyle nie widać, co na wyspie Jawa niebotycznych drzew, krzewów różnobarwnych; kwiatów zaś tak rozmaity przepych, że nasz europejski wzrok do takich splendorów kolorytu nieprzywykły, zaledwo go znieść jest w stanie. Ale do piękności niczem niezrównanej przyrody, przybywa wnet dla niedoświadczonego podróżnika i znajomość onej przyrody z odwrotnej strony: sterczą mnogie ogniem ziejące wulkany zawsze gotowe srogą ludności wyrzą-

dzić niespodziankę; wśród wysokich traw i morskich roślin zdradziecko snują się krokodyle, bez litości napadając tych Europejczyków, których jeszcze wiecznie na wyspie grasująca żółta febra, z powierzchni świata nie sprzątnęła; lecz bogactw chciwi ludzie, zdrowie, często i życie narażając, tysiącami zjeżdżają do Jawy, gdzie wszystko czego złota żądna dusza zapragnąć może, ściele się pod stopy zdumionego Europejczyka: nigdzie wyborniejszej nie uprawiają kawy, nigdzie tak wspaniale nie wzrasta trzcina cukrowa, giętki bambus, aromatyczna wanilia, wszelkiego rodzaju korzenie. Snuje się też na wszystkie strony cała skala ludzkich, wschodnich i zachodnich ras, pod postacią przemysłowców, kupców, agentów, pracy szukających robotników i prawdopodobnie wszelakiego rodzaju wydrwigroszów. Jawa, Borneo, Sumatra, oraz kilka małych wysp Archipelagu indyjskiego, stanowią wspaniałą kolonię holenderską, blisko czterdzieści razy większą od swej europejskiej władczyni. Doświadczeniem stwierdzona szkodliwość klimatu, nawet tak odważnego jak baron Hübner podróżnika, długo na wyspie Jawie zatrzymać nie może; spędza on zatem parę tylko dni w Batawii pod gościnnym dachem konsula austryackiego i nieco pobieżnie miejscowość tę zwiedza. System kolonialny rządu holenderskiego oparty jest na monopolu główniejszych produktów kraju, oraz na pracy obligacyjnej, z czego i rząd i rządzeni są zadowoleni. Ludność miejscowa poddaje się bez oporu, ale i bez sympatyi, prawom przez Holendrów zaprowadzonym; znacznie mniejsze niż za czasów własnych ich książąt płacą podatki, co po większej części uległość tybulców tłumaczy; Europejczycy zaś, istne, jak kreda białe, bezkrwiste widma, tylko o tem myślą, żeby jaki taki kapitał uciuławszy, czemprędzej tę złotodajną wprawdzie, ale i śmierciono śną krainę opuścić. Najsilniejszą podstawą rządu jest tu poszanowanie ras kolorowych dla ludności białej; bronią się też Holendrzy dotąd jak mogą przeciw równouprawnieniu krajowców, wiedząc dobrze, że dzięki tej właśnie tylko moralnej przewadze żywiołu europejskiego, garstka ich zdolna jest w ryzie utrzymać miliony Azyatów. Gubernatorem kolonii jest zawsze Holender, niemal autokratyczną dzierżący władzę; ma wszakże zawsze przy sobie, dla upozorowania niby to autonomicznych koncesyj, potomka z ongi panującej na wyspie dynastyi; potomkowi onemu, noszącemu miano rezydenta, powie-

rzone jest utrzymanie porządku, *vulgo* policya, i płaci mu rząd dość znaczną pensyę. Na wszystkie strony rozprowadzone koleje żelazne z niesłychaną przez kraj cały pędzą szybkością, nie tyle może, by pośpiechem zyskać na czasie, choć i dla Holendra *time is money* nie jest czczym wyrazem, ile dla uniknięcia zbyt częstego spotykania z tygrysem, panterą lub nosorożcem, oraz dzikim bawołem zwykle nie zbyt życzliwie dla podróżnika usposobionym. Co się tyczy krokodyli, niezliczona ich mnogość nigdy się prawdopodobnie nie zmniejszy, ludność miejscowa mająca ich za potomków dawnych bożków i tylko po dowiedzionych, niezwykłej miary morderstwach ciążących na sumieniu takiego krokodyla, wolno mieszkańcom udać się do arcykapłana, by tenże osądził czy czworonożny winowajca rzeczywiście na śmierć zasłużył. Ceremonia odbywa się z pewną tragiczno-klasyczną okazałością; białemi okryty szatami, zbliża się nad brzegi rzeki arcykapłan, otoczony tłumami ludu żałosne pieśni zawodzącego. Gdy wreszcie potwór głowę z wód wychyli, zajrzawszy mu w oczy arcykapłan przekonywa się, czy na prawdę tak niecnym jest zbrodniarzem, i wówczas dopiero, nadaje ludowi prawo pozbawienia go życia. Co się w duszy samego Indyjskiego kapłana dzieje, w czasie wywoływania z wód owego dzikiego zwierza, łatwo sobie wyobrazić można.

Uprawa kawy i ryżu wielkiej ilości rąk wymagająca, nadaje całemu krajobrazowi ogromny ruch i niezmierną rozmaitość — pracują tam bowiem prócz krajowców i Chińczycy i Japończycy, wszyscy jak najmniej nosząc na sobie ubrania, a okrywająca ich króciutka szmata najżywszych jest zawsze kolorów, co się wielce przyczynia do urozmaicenia widoku. Wszędzie, tak w miastach, jak po wsiach każdy budynek tak szczelnie jest zakryty drzwiami z olbrzymich liści, że nie łatwo przychodzi odnaleść te mistyczne ludzkie mieszkania. Zawadziwszy o Jawę tylko w skutek spóźnienia się zapowiedzianego statku, baron Hübner chwyta pierwszą sposobność, by się czemprędzej dostać do Singapur i stanąć na Indo-Brytyjskim gruncie. Nadarzający się parowiec, niezbyt wprawdzie ukazuje się szybki by te 550 mil angielskich z Batawii do Singapur przebyć, ale jest na nim kucharz francuz, nader potrzebny sędziwemu eks-dyplomacie do zdrowia po wypalającej podniebienie jawajskiej kuchni, on też to całkiem go oswaja z nieco wolnemi ruchami statku.

Pierwsza na południowem wybrzeżu Indyj przystań Wielko-Brytyjska, Singapur, daje od razu miarę siły rządu i pracowitej twórczości angielskiego narodu, jeszcze bowiem r. 1871, niezgłębione bagna otaczające Singapur, mieściły w sobie, prócz rojów krokodyli i wężów, miazmy roznoszące na miasto i na całą okolicę żółtą febrę, cholerę i różne epidemiczne choroby. Dziś, na nieistniejących już moczarach, stoi miasto, ze znaczną ludnością, znaczniejszemi obracające jeszcze milionami. Ulubiony pobyt Chińczyków, którzy w Singapur niemal wyłącznie handel i przemysł w ręku swym trzymają, wygląda to miasto, jakby go kto na barkach wprost z Chin do Indyj przeniósł. Ośmkroć sto tysięcy Chińczyków, około pięćdziesiąt tysięcy Malajczyków i Murzynów, a w przeciwstawieniu tej masie zaledwo parę tysięcy Europejczyków, zniewala rząd angielski do surowej czujności. Przemysł i handel pozostawiony krajowcom, wszelkie zaś urzędy tak cywilne jak wojskowe bezwarunkowo Anglikom powierzane bywają i to tylko ludziom wykształconym, najczęściej z wyższych warst społeczeństwa pochodzącym. Będąc względnie do krajowców w takiej nieproporcyonalnej mniejszości, stara się rząd dobierać osoby zasługujące na ogólne poszanowanie, czem najsilniejszą władzy swej nadaje podstawę. Nigdzie przepowiednia barona Hübnera, że świat kiedyś Chińczycy zaleją, tak się szybko prawdopodobnie nie sprawdzi, jak w Singapur; w samym roku 1883, wylądowało ich tam sto pięćdziesiąt tysięcy! gdyby to było sto pięćdziesiąt tysięcy próżniaków, zginęliby zwolna wśród wykształconych, energicznych, czynnych europejskich kolonistów, ale zastęp ten ludzi sprytnych, pracowitych i niezmiernie wstrzemięźliwych to nie lada potęga, z którą bądź co bądź, liczyć się trzeba. Z Singapur udaje się baron Hübner na wyspę Cejlon: w stołecznem jej mieście Kolombo oczekuje go ekwipaż gubernatora, *à la Daumont*, a w *Government House*, uprzejma gościnność lorda i lady Gordon. Nazajutrz przy dniu niedzielnym, solenne nabożeństwo w pięknym katolickim kościele, przepełnionym malowniczą miejscową ludnością, oraz nie małą liczbą ponsowych mundurów angielskiego wojska. Dziwną wrodzoną mają Cejlańczycy dystynkcyę: każdy ruch prostej kobiety z ludu wygląda jakby obliczony ua efekt do żywego obrazu; młodzi ludzie o długich włosach świecącym grzebieniem w górę podniesionych poganiają woły ze spokojem peł-

nym biblijnej godności; kłaniają się sobie wzajemnie mieszkańcy z salonową grzecznością. W mieście Kimdy, można za pomocą protekcyi samego gubernatora otrzymać zaszczyt oglądania zęba Buddy, starannie przechowywanego w kilku misternych pudełeczkach. Ząb ten, co prawda, w niczem się od naszych zębów nie różni, choć do tak prześwietnego należał bożka, ale zato puzderka takiemi osadzone są brylantami, rubinami, szafirami, że istotnie oczy bolą na nie patrzeć. Dość życzliwie dla obecnego rządu usposobiona ludność miejscowa przyznaje nawet, że się dobrobyt kraju znacznie polepszył od czasów zajęcia wyspy przez Anglików (1815 r.) do jednej tylko rzeczy przywyknąć nie mogą, do niczem niewzruszonego systemu w płaceniu podatków. Wprawdzie za dawnych czasów gdy rok był dobry, panujący władca ze skóry mieszkańców obdzierał, ale natomiast, gdy nadszedł nieurodzaj, z wszelkich zwalniał ich obligacyj; a teraz, czy rok dobry czy zły, zawsze to samo płacić trzeba. Nie tyle więc korcą Cejlańczyków podatki, ile symetrya w uiszczaniu się z takowych.

Nieprzystępny, za lada wietrzykiem niebezpieczny nawet port w Madrasie, dość łaskawie przyjmuje tym razem wsławionego gościa. Bogate, porządnie utrzymane, o czysto indyjskim charakterze miasto, bardzo dla cudzoziemca interesujące; wszelkie krążące po ulicach wehikuły ciągnione są przez małe, zwinne, o wyzłacanych rogach woły. Takim to właśnie ekwipażem *du cru* dostaje się baron Hübner nazajutrz po swoim przybyciu do Madras, na górę św. Tomasza; stoi tam kościół na miejscu gdzie św. Apostoł męczeńską poniósłszy śmierć, chrześcijaństwa pierwsze rzucił ziarna na niwę, tyle wieków później przez św. Franciszka Ksawerego świetnie upra wianą. Tylko w naszym rzymsko-katolickim Kościele spotkać się można z takim nieprzerywalnem poświęceniem i nieprzerywalną świętością.

Zwiedzanie Madrasu, kilka wycieczek w głąb wielce ciekawego kraju, oraz wielkie manewra wojska angielskiego w Bengalor, wszystko razem najmilsze byłoby zostawiło baronowi Hübner wspomnienie, gdyby nie częste, zawsze niespodziewane spotkanie z wężami, do których taki nawet ze wszelkiemi niebezpieczeństwami oswojony podróżnik, przyzwyczaić się nie może. Opowiada mu jeden z urzędników kancelaryjnych gubernatora, że w wilię wieczorem, gdy przy

otwartym ogniu list pisał, ujrzał nagle na biurku o kilka cali od siebie, małego, wielce zjadliwego węża zwanego Kobra; wsparty na ogonie, już się miał rzucić płaz na niego, jedna chwila wahania byłaby urzędnika o niechybną przyprawiła śmierć — szczęściem miał tuż przy sobie nabity rewolwer, i nieprzyjaciela na miejscu położył. Manewry w Bengalorze ślicznie się przedstawiły: dziesięć tysięcy wojska wielko-brytyjskiego, kilka pułków krajowych, i jeden, trochę fantastyczny pułk księcia z Mizory, wszystko to w gorącym połysku zwrotnikowego słońca. Istny to był dla oczów czar! Sam Książe, przywrócony na tron przez rząd królowej Wiktoryi, i na tymże, może nieco fikcyjnym tronie, za pomocą angielskiej opieki utrzymywany, piękny, poważny, pełen godności i iście wschodniego pokoju mężczyzna, odznaczał się na tle różnobarwnych mundurów, karmazynowym o złocistym hafcie fularem, artystycznie na głowie związanym; zresztą ubrany był po europejsku. Naokoło wojska, mnóstwo stało słoniów i wielbłądów, a między niemi zwijała się ludność wszelkiej cery, w najrozmaitsze przybrana szaty, zwabiona nie tyle może wojskowemi manewrami, ile ku zabawie i ochłodzeniu publiczności, na prędce urządzonym bazarem. Dla barona Hübnera, sięgającego głębiej w każdy objaw politycznego lub socyalnego życia zwiedzanych przez siebie krajów, przegląd ten, prócz wspaniałości widoku, przedstawił jeszcze w całej swej doniosłości połączone pod jednym sztandarem, tak ze wszechmiar odrębne dwie rasy, jednej i tej samej służące sprawie, i to sprawie z w y c i ę z c y, będącej w całych niemal wielko-brytyjskich Indyach, przez z w y c i ę ż o n y c h za swoją uznanej. Siła moralna dosięga tu zenitu swej potęgi. Dla barona Hübnera siła ta uosobiała się w czasie przeglądu, w postaci sędziwego gubernatora, Sir Donalda Stewart, 40 lat służby w Indyach liczącego, oraz w osobie znanego z wojny w Afganistanie Jenerała Sir Frederika Roberts, który z wykwintną grzecznością angielskiego *gentleman'a* pełnił obowiązki gospodarza obozu. Tej miary, tej zacności ludzie, muszą koniec końcem wpływ wielki wywierać. Po ukończeniu ćwiczeń wojskowych, całe towarzystwo angielskie i krajowe (to ostatnie, w małej tylko ilości), *inclusive* baron Hübner, zaproszone zostało na bal kostiumowy do Księcia z Mizory. Gdzież marzyć jakiemu skarbcowi w Europie, choćby i *Grüne Gewelbe*, o równym przepychu klejnotów i drogich ka-

mieni; jest to bowiem prawdziwa niczem niepohamowana u indyjskich nababów namiętność.

Przedstawiciele rządu królowej Wiktoryi, jakkolwiek sami innego wyznania, nigdy kapłanom katolickim nie stawiają trudności w wypełnianiu misyjnych obowiązków. Stwierdza to z wdzięcznością wobec barona Hübnera, Mgr. Coadon, sędziwy Bretończyk będący od wielu lat Wikaryuszem apostolskim w Madrasie. W obszernej dyecezyi ma dziś dwadzieścia pięć tysięcy wiernych, po większej wszakże części z niższych tylko warstw społeczeństwa, wyższe sfery są bowiem pod bezpośrednim wpływem Braminów, mniej dbałych o uratowanie dusz *della gente volgare*. Następująca rozmowa dowodzi zresztą, że gmach Braminizmu na kruchych już obecnie spoczywa filarach: niezwykłego używający miru Bramin, zapytany przez barona Hübnera, czy wierzy w potęgę swego bożka, odrzekł, że wiarę w niego stracił podczas pobytu w Madrasie, gdzie do angielskich szkół uczęszczał, że chrześcijaninem jednak nie został. „W nic za„tem nie wierzysz?“ — zapytał zdziwiony eks-dyplomata. „Owszem, „sądzę że może jest jakiś Bóg, który nas kiedyś za dobre uczynki „wynagrodzi a za złe ukarze, ale z przekonaniem tem przed ro„dziną starannie taić się muszę i do świątyni regularnie chodzić, „inaczej straciłbym prawo należenia do naszej k a s t y“. Czem zaś jest w Indyach potęga k a s t y, czy religijnej, czy socyalnej, tego nasza nawpół już bezwyznaniowa, a całkowicie zdemokratyzowana Europa chyba zrozumieć nie potrafi.

Szczęśliwym trafem, podróżnika żądnego ceremonij o miejscowym kolorycie, wspaniała czekała reprezentacya. Właśnie bowiem za pobytu barona Hübnera w Madrasie zjechał tam, lord Ripon, wice-król na całe cesarstwo Indo-Brytyjskie, by udawszy się z Madrasu do Hejderabad, wręczyć z małoletności wyzwolonemu tamtejszemu Nizamowi, inwestyturę władzy administracyjnej. Przyszły władca Hejderabadu, potomek jednej z najdawniejszych w Indyach dynastyj Nizamów Golkondy, wskutek wewnętrznych rozterek i ciągłych napadów wrogich plemion, zniewolony został udać się o pomoc do władz Wielkiej Brytanii. I — nie zawiódł się: Wielka Brytania nie mająca nic wspólnego z tą dziesięciomilionową ludnością ani w pochodzeniu, ani w wyznaniu, ani co do języka, ani w obyczajach, tron odwiecznej dynastyi chwiejący się, w posadach swych wzmocniła po-

tęgą moralnej swej w Indyach siły, zarówno na młodego władcę jak i na jego królestwo (znacznie *nota-bene* od całej Wielkiej Brytanii obszerniejsze) roztaczając wszechwładną swą opiekę. Za tyle dobrodziejstw, do których dołączyć jeszcze trzeba, trzy miliony liwrów szterlingów listy cywilnej, Nizam Hajderabadu, mający czterdzieści pięć tysięcy wojska, zobowiązał się wojsko to, na każde zawołanie vice-króla, bezzwłocznie oddać pod komendę angielską. Cywilizować i uszczęśliwiać w miarę możności, by jarzmo obce jak najmniej ciężyło; ani na chwilę nie spuszczając z oka interesu rządu, nigdy zarazem nie pomijać interesu kraju przez tenże rząd zajętego; tyle nadawać samorządu i wolności, ile się to zgadza z bezpieczeństwem opiekunów, a korzyścią doznających opieki, oto rdzeń potęgi angielskiej w Indyach. Świadoma skuteczności źródła, z którego siłę swą czerpie, stara się Wielka Brytania system ten utrzymać w całej pełni, pomimo wewnętrznych trudności i zewnętrznych wrogich knowań, z któremi jej bezustannie walczyć przychodzi.

Ogromnym otoczeni orszakiem, do którego, jako najmilszego gościa zaproszono barona Hübnera, wice-król i lady Ripon, koleją żelazną przybyli do Hejderabad. Na dworcu oczekiwało ich mnóstwo wspaniałych czysto wschodnich ekwipażów, sam zaś potężny lennik, w ogromnym namiocie z pysznych indyjskich materyj, rozłożonym tuż obok dworca, czekał na reprezentanta królowej Wiktoryi. W odstępie kilkuset kroków między wagonem a namiotem, niezliczona ilość ludzi od stóp do głów pomalowanych i pozłoconych, przedstawiać miała indyjskich bożków. Jednego z nich tak nawet na tę intencyę szczodrze pozłocili, że żar zwrotnikowego słońca bijąc w to złoto, na miejscu życia pozbawił nieszczęśliwego przedstawiciela Braminizmu. Z wszystkich lenników Indo Brytyjskiego cesarstwa, Nizam Golkondy, największym jest potentatem, tak dla obszaru kraju i jego bogactw jakoteż i dla ilości ludu, nad którym panuje. Jemu też w danym razie przypada najwybitniejsza rola polityczna, czego dziad dziś panującego Nizama wymowny już dał dowód, wręcz odmówiwszy wszelkiego współudziału w powstaniu (1857 r.) niemal wszystkich w Indyach lenników Anglii — powstaniu które tak mocno zachwiało potęgę Indo-Brytyjskiego rządu. Piękne za nadobne: za pomocą Anglii, dynastya Nizamów Golkondy tron odzyskała; mija lat czterdzieści, Nizam powagą swą

i przykładem lojalności, nadwerężoną potęgę Wielkiej Brytanii, do równowagi przyprowadza.

Po imieniu spisywać wszystkich Indo-Brytyjskich lenników, byłoby i długiem i zbytecznem zadaniem. Wystarczy zaznaczyć, że lenne księstwa wraz z posiadłościami bezpośrednio do korony angielskiej należącemi i rządzonemi przez gubernatora, wynoszą ni mniej ni więcej tylko dwieście pięćdziesiąt pięć milionów ludności. Lennicy wzamian za zupełny w krajach swych samorząd, zrzekają się wszelkich stosunków dyplomatycznych z zagranicznemi państwami, nie mają prawa sami wypowiadać wojny, a na każde zawołanie vice-króla, ze zbrojną pomocą rządowi przybyć winni; vice-król natomiast, obowiązany jest siłą wojskową dopomódz lennikowi w razie napadu jego kraju przez obce plemiona, lub w razie wewnętrznej rewolucyi, której lennik sam stłumić nie jest w stanie. Wszechmocny opiekun bywa zwykle wyrozumiały, cierpliwy i dyskretny: pupilowi zostawia ceremonialną, zewnętrzną pompę, tak wschodnim narodom drogą, prawdziwą władzę w swych rękach zachowując. Koleje żelazne i poczty absolutnie wykluczone są zpod dobrodziejstw samorządu i autonomii; i jedne i drugie należą bezpośrednio do administracyi rządu angielskiego. Cały ten polityczno-społeczny system oparty więc jest na wzajemnem podtrzymywaniu się: rząd broni lenników, którzyby się bez niego wzajemnie pozjadali; lennicy stają po stronie Anglii w każdej ważnej potrzebie. Zaniechanie wzajemnie przyjętych zobowiązań, byłoby nie mniej fatalne dla Maha-Radżów indyjskich, jak i dla rządu cesarzowej Wiktoryi.

Po przyjęciu vice-króla przez Nizama na dworcu kolei żelaznej, nastąpiło przyjęcie Nizama przez vice-króla w *Government-House*. Gdy się młody książe ukazał w bramie parku w przepysznym, czysto europejskim tym razem ekwipażu, vice-król wyszedł naprzeciw niego aż na pierwsze schody, do sali recepcyjnej wprowadził i przy sobie na srebrnym tronie umieścił; sam zaś usiadł na wyższym wyzłacanym tronie. Władcy zamienili z sobą kilka słów po angielsku, poczem nastąpiło przedstawienie vice-królowi ministrów, główno dowodzącego jenerała i wyższych urzędników Heyderabadu. Obyczajem w całych Indyach przyjętym, każdy z przedstawionych podawał reprezentantowi królowej Wiktoryi rękojeść szpady swej, której wicekról, głowę skłoniwszy, dwoma palcami dotykał, poczem częstowano

dygnitarzy wodą różaną pieprzem zaprawną, w mikroskopijnych lecz szczerozłotych filiżaneczkach. Napój ten w Indyach tę samą odgrywa rolę, co kawa i fajka w Turcyi lub Egipcie. Piękny małomówny siedemnastoletni Nizam (obdarzony już wszakże synem i dwoma córkami) z zadziwiającą na tak młody wiek zachowywał się powagą, która go i nazajutrz przy odbieraniu inwestytury opuścić nie miała. Ceremonia ta odbyła się w starodawnym pałacu władców Golkondy, wobec starszyzny cywilnej i wojskowej Heyderabadu oraz tłumu ludu, zalegającego kolosalny dziedziniec i jeszcze kolosalniejsze książęce ogrody. W ogromnej sali z białego marmuru i złota, wice-król w pełnym mundurze z mnóstwem na piersiach dekoracyj, stanął na podwyższeniu mając przy sobie młodego Nizama, z którego postaci istne biły promienie, tak był brylantami okryty. Wolnym, pełnym namaszczenia głosem, odczytał wice-król długi akt inwenstytury, akt pełen powagi ojca usamowalniającego syna, i monarchy przyjmującego w zamian za ofiarowaną opiekę, przyrzeczenie lojalnej wierności lennika. Gdy lord Ripon skończył, Nizam blady i głęboko wzruszony, wypowiedział swój *maiden speech*, poczem minister jego przetłumaczył obecnym akt inwestytury i mowę księcia na język hindostański. Wówczas wice-król podawszy lennikowi szpadę honorową, sam mu ją do boku przypasał. Wieczorem iluminacya rozciągająca się, prócz samego miasta, na dziesięciomilową okolicę sprawiała widzom wrażenie, że się nurzają w oceanie ogniów i światła.

Jedno z najgłówniejszych handlowych miast na całe Indye Bombaj (780.000 mieszkańców) wielką odznacza się rozmaitością, tak co do budynków, jak i co do krążącej po ulicach różnobarwnej ludności. Uniwersytet, Obserwatoryum, olbrzymia latarnia morska, kilka kościołów katolickich i anglikańskich, mnóstwo świątyń dla różnego rodzaju szkodliwych lub dobrotliwych bożków indyjskich, a wśród tego istne mrowisko zapracowanych ludzi. Kobiety o klasycznych, jak boginie z Olimpu kształtach, snują się po ulicach z żywością rzadko spotykaną w ludnościach w ogóle spokojnych i poważnych. Jedną z najciekawszych do oglądania rzeczy w okolicach miasta, jest tak zwana W i e ż a S ę p ó w, te bowiem ponure ptaki zastępują w Bombaju grabarzy. Chowa się tam sępów moc niezliczona; chciwie oczekują one nieboszczyka,

gdy go z miasta lub okolicy przyniosą, po kilku minutach, zostają po nim zaledwo, do szczętu obnażone kości; te, wrzucają zaraz w ogromny dół pod śmiertelną na ten cel wykopaną wieżą. Obyczaj ten, wedle twierdzenia niektórych uczonych, sięgać ma aż do czasów Zoroastra; on to przez poszanowanie dla wszystkich żywiołów, oddalał od nich tym sposobem możliwe zetknięcie się z ludzkiemi trupami. Sami tragarze, którym powierzają nieboszczyka, by go do Wieży Sępów odstawić, naciągają grube rękawiczki z obawy przed dotknięciem się trupa. Gdy złowrogie ptaki, ukończywszy wstrętny festyn, na wszystkie rozlecą się strony, pozostawione ludzkie kości zbierają tragarze szczypcami i wrzucają do wspomnianego już dołu. Cóż dziwnego, że poganin, prócz zgnilizny, nic w śmierci nie widzi! Choć nie tak jaskrawo jak przez przodków ich wyznawana, cześć dla elementów bynajmniej się u tamecznej ludności nie zaciera, i zachodnia cywilizacya najmniejszego pod tym względem nie wywiera wpływu. Z Bombaju odbywa baron Hübner paro-dniową wycieczkę do Goi, do tej kolebki chrześcijaństwa w Indyach. Świetna ongi posiadłość portugalska, dziś przez potęgę angielską do minimum zredukowana, odznacza się jedynie poszanowania godnemi pamiątkami. Arcybiskup Goański, aczkolwiek dyecezya jego jest jedną z najmniejszych w tych krajach, nosił do niedawna tytuł prymasa Indyj. W starodawnym pałacu gubernatora, wszystkie ściany zawieszone są portretami wice-królów portugalskich, od zajęcia wybrzeża tego przez Albukierka r. 1510. Galerya ta, świadcząca o czterowiekowem panowaniu Korony portugalskiej, stanowi sama w sobie niezmiernie ciekawy przyczynek do historyi. Dziwne też wrażenie robi tam wytrwałość w zachowaniu średniowiecznych pamiątek, oraz przywilejów hojnie ongi przez Papieży tej zamorskiej kolonii nadanych, gdy się tę wytrwałość porównywa z dzisiejszym prądem bezwyznaniowej negacyi, tak teraz Portugalię, od góry do dołu zalewającej. Naokoło miasta Goi, mnóstwo kamiennych zamków o zwodzonych mostach i okrągłych basztach, z ogromnym nad bramą rodzinnym herbem; sięgają one pierwszej połowy XVI. wieku i świadczą o dawnej świetności tego starodawnego klejnotu korony portugalskiej.

W zamkach owych mieszkają do dziś dnia, zubożali lecz z swej

przeszłości dumni potomkowie rycerzy, których waleczność wybrzeże to podbiła. Ludność kolonii dość nędznie wygląda, nie widać tu jak w angielskich częściach Indyj, kwitnącego handlu i ruchu przemysłowego życia. Wspaniały okop chroniący Goę przed srożącemi się morskiemi burzami, dzieło dawnych, a tak przez rząd portugalski prześladowanych OO. Jezuitów, nadaje całemu miastu pozór obwarowanej fortecy. „Wznieśli ją Jezuici za pomocą szatana, w ciągu jednej nocy". Taka chodzi po kraju gadka, przez Goańskich wolnodumców rozpowszechniona, co bynajmniej nie wstrzymuje miejscowej ludności, od tłumnego zwiedzania zwłok św. Franciszka Ksawerego, złożonych w wspaniałym kościele OO. Jezuitów, ani od uczęszczania tam rano i wieczór na solenne nabożeństwa. Po kwitnących dobrobytem, bogactwem i pracowitością angielskich posiadłościach, nędzna ta, opuszczona i jakby zgnuśniała kolonia portugalska, przykre robi na turyście wrażenie, dodawszy do tego jeszcze klimat wielce Europejczykowi szkodliwy, oraz blizkie sąsiedztwo panter i wężów zjadliwych. Jedne te dzikie mieszkańce ongi wspaniałej kolonii, nic na swej dawnej nie straciły świetności i nadal jej prawdopodobnie nie stracą, ludność bowiem tameczna nie zajmuje się bynajmniej tępieniem tak niemiłych współziomków. W czasie pobytu swego w Goi, otrzymuje baron Hübner wielce pożądane zaproszenie na wesele *du cru*, mające się odbyć w czysto mahometańskiem, lecz w angielskiej prowincyi będącem mieście, Ahmenadab. Śpieszy więc tamże całe miasto z okazyi tych godów, oświetlone *al giorno;* dom rodziców panny młodej przez dwie doby bezustannie otwarty dla każdego co doń wejść zechce; ojciec, naprzemian z kilku synami częstuje gości, każdemu z przybywających zarzucając na szyję, gdy już ma odejść, wieniec ze świeżych kwiatów. Z wyjątkiem dwunastoletniej panny młodej, dziecinnie jeszcze wyglądającej i kilku w bardzo lekkim stroju tańcujących bajaderek, nie znajdziesz tu żadnej kobiety. Korzystając z ostatnich w życiu chwil swobody, młodziuchna narzeczona, której od następnego dnia żaden już prócz męża nie ujrzy mężczyzna, kręci się między gośćmi, figlarnie się do nich uśmiechając. W cienką ponsową jedwabną tkaninę misternie owinięta, nosi ogromne brylanty na szyi, na ramionach, na rękach, na nogach, w uszach i... w nosie. Przyszłego pana jej losu starannie unika, on też, co prawda, zbyt

za nią nie goni. Z różnych krajowych instrumentów złożona orkiestra, ani na chwilę grać nie przestaje, i to w tak krzykliwy, drażniący nerwy sposób, że nawet silny na duszy i na ciele baron Hübner, nie może wytrzymać dłużej nad dwie godziny w tym hałasie, i od świeżych kwiatów duszącej woni.

Jeśli Bombaj, Madras i Kalkuta przedstawiają główny punkt Indo-Brytyjskiego bogactwa i przemysłu, to największą moralną i społeczną wartość ma miasto Rajputana. Dwa główne plemiona prastarej tej Indyjskiej krainy wielką ku sobie dnia jednego zawrzały nienawiścią, ale i tu na wzór naszych europejskich niesnasek, zawołać było można: *cherchez la femme.* Każde bowiem z wrogich sobie plemion, miało swego osobnego księcia, obydwaj zaś książęta, w jednej i tej samej zakochali się dziewicy: w pięknej księżniczce Udipur. Rzuciły się na siebie szeregi nieprzyjacielskie; straszliwa rozpoczęła się walka, a ponieważ żadna z wojujących stron za zwyciężoną uznać się nie chciała, trwałaby była wojna może do dziś dnia, gdyby nagle, przedmiot miłości indyjskich rywalów, nie był przepadł jakby w jaką misterną otchłań. Po długich dopiero obopólnych poszukiwaniach, odnaleziono ciało nieszczęśliwej księżniczki. Czy własną, czy cudzą ręką zadana trucizna, przerwała wątek młodocianego jej żywota, lecz wątku niezgody, nawet ze śmiercią tej co była jej przyczyną, przerwać nie zdołała. Zaledwo zgodzono się wreszcie na krótkie zawieszenie broni, oraz na udanie się do wice-króla angielskiego, jako do sędziego polubownego, by rozstrzygnął, kto ma słuszność. Wice-król sprawę najprostszym ułatwił sposobem: ogromny kraj, przez wrogie sobie plemiona zamieszkały, do korony Wielko-Brytyjskiej przyłączywszy (1818). Obydwóch w amorach współzawodniczących książąt, każdego na przynależnym mu osadził tronie, nie naruszając w niczem ani tradycyi ludności, ani jej obyczajów, ani autonomicznej administracyi tak cywilnej jak i wojskowej rządu książęcego. Do tych wszystkich dobrodziejstw jeden wszakże dodał warunek, mianowicie: że ani owi dwaj romansowi królikowie, ani żaden z ich następców, nigdy już na własną rękę, wewnętrznej, ani zewnętrznej wojny nie rozpocznie, całe swe siły wojskowe zachowując na utrzymanie porządku w kraju swoim, oraz na dostarczanie bitnych zastępów wice-królowi, gdy ten ich zażąda. Tak przez arcy-

mądrą, praktyczną kombinacyę albiońskiego wice-króla, została „i koza cała i wilk syty". Dla zapewnienia się zaś, że nałożone na książąt Rajputanu zobowiązania, sumiennie będą dotrzymane, bawi przy każdym z nich przedstawiciel wice-króla z mianem Regenta, którego obecność żadnym nie jest dla mieszkańców ciężarem, gdyż ich utrzymuje i to szczodrą ręką rząd angielski. Nie zawadzi wspomnieć w tem miejscu ku ogólnemu czytelników zbudowaniu, że wszelki kandydat do jakiegobądź urzędu w administracyi Indo-Brytyjskich posiadłości obowiązuje się pod słowem honoru, *in honour bound*, nigdy w żadnym przypadku, od kogokolwiekbądź z krajowców nie przyjmować prezentów. Niedaleko od Rajputany, znajdują się w Dilwara dwie niezmiernie ciekawe pogańskie świątynie: jedna z nich bowiem rozpoczęta r. 1032, druga r. 1197, całe z marmuru, złota i żelaza — w tych częściach Indyj drzewa do budowli niemal całkiem nie używają z powodu olbrzymich czerwonych mrówek, co w krótkim bardzo czasie wszelkiego rodzaju drzewo do szczętu stoczą. Architektura odwiecznych tych świątyń oryginalna, mnóstwo w nich wspaniałych szczegółów, ale całość grzeszy zupełnym brakiem wszelkiej proporcyi, nieraz i brakiem harmonii w ornamentyce; prócz tego niezliczona moc pięknych jak i monstrualnych tuż przy sobie umieszczonych posągów, dziwnie razi oko Europejczyka, do pewnej jednolitości artystycznej przywykłego. Innego jeszcze rodzaju uwagi i myśli tłoczą się do głowy tak inteligentnego badacza, jak baron Hübner, dla którego nic obcem nie jest ani w historyi ani w archeologii, ani w sztuce. Zwiedzając starożytne świątynie Grecyi i Romy, czuł się, powiada, wobec wspaniałej lecz niepowrotnej przeszłości pogańskiego świata; w Indyach świątynie te i pogański ten świat, to t e r a ź n i e j s z o ś ć, to obecna chwila, to religia mitologiczna w całej swej pełni, dla milionów ludzi jeszcza istniejąca, religia z czasów przed Chrystusowych.

W Dilwary poznaje się nasz podróżnik z kilkoma angielskimi oficerami; ci mu opowiadają, że najmilszą ich rozrywką jest polowanie na tygrysy, a że okolica ta najpłodniejsza jest w ową niebezpieczną zwierzynę, nigdy więc nie braknie ciekawych godnych opowiadania epizodów; przekroczywszy wszakże już i tak wyznaczone do niniejszej pracy ramy, z prawdziwym żalem przychodzi

nam odrzucić pokusę podania choć kilku takich epizodów. Dużo nam jeszcze z baronem Hübnerem do przebycia pozostaje drogi, ledwośmy czwartą część Indyj zwiedzili, a tu nam przyjdzie po Indyach zwiedzić Kanadę, po Kanadzie odbyć podróż po Oceanii, z Oceanii wrócić do Europy; gdybyśmy się więc dali skusić przy takich podróżach, jeszcze i do opisów polowań to nie w czterech, albo w pięciu artykułach, ale w dziesięciu nie pomieścilibyśmy wszystkich przygód i opisów.

Z dwunastu prowincyj Indo-Brytyjskich najobszerniejsza (800 mil wzdłuż, 650 wszerz) prowincya Pendżabu, od niepamiętnych czasów wzbudzała pożądliwość sąsiednich narodów — począwszy od plemion Iranu na tysiąc siedmset lat przed narodzeniem Chrystusa, aż do Afganów napadających kilkakrotnie Pendżab w połowie XVIII. wieku; skończyło się jednak na zajęciu całego kraju przez koronę angielską. Nie sama to rozległość Pendżabu nęciła narody w tę stronę; nęciły je stokroć bardziej niezmierne bogactwa urodzajnej ziemi i złotodajnych kopalń. W dzisiejszych czasach same saliny przynoszą rządowi angielskiemu rok rocznie pół miliona funtów szterlingów, cóż więc przynosić muszą znakomicie już obecnie eksploatowane kopalnie cynku, siarki, żelaza, ołowiu. Rzeka Indus początek biorąca u stóp Himalai, wynosząca dziewięćset czterdzieści dwie mil długości, użyzniа najurodzajniejszą na całą Azyę okolicę a od czasu do czasu wyrzuca jeszcze na brzeg zapasy piasku dość obficie zawierającego złoto. Pod wiosenny zasiew idzie dwanaście milionów morgów gruntu; pod jesienny dziewięć milionów; z tych ostatnich dwanaście tysięcy poświęca się uprawie herbaty. Czem jest bogactwo tego kraju, najlepiej dowodzą cyfry; otóż sama prowincya Pendżabu przynosi dziewięć milionów liwrów szterlingów (117 milionów reńskich) wywozi zaś towarów za sześć milionów (78 milionów reńskich). Ludności jest około dwudziestu dwu milionów. Dziwić się tu teraz, że tyle plemion i narodów kusiło się o to złote jabłko, i że korona angielska, raz je dostawszy nie da go sobie wydrzeć! Jeśli położeniem, rozległością i ilością mieszkańców, Lahora kwalifikowała się na stolicę Pendżabu, to najstarsze na całe Indye miasto Delhi sięga przedpotopowych niemal czasów; widzi się tam dobrze jeszcze zachowane ruiny świątyń z roku 1560 przed Naro-

dzeniem Chrystusa. Coby to za ciekawą napisać można monografię Delhi, streszczając wszystkie plemiona, które sobie po kolei piękny ten kraj z rąk wydzierały i wszystkie potężne dynastye, każda co najmniej o półłokciowem nazwisku, wszechwładnie na Delhickim tronie panujących, illustrując treść dzieła, widokami drogocennych ruin z przeszłości, przeciwstawionych teraźniejszym, zawsze czysto indyjskiego stylu budynkom. Dla archeologa historykiem podszytego, napisanie takiej monografii, nie małą by mogło być pokusą. Przez poszanowanie podobno, tak sędziwych lat, tak sędziwych raczej wieków nie w Kalkucie, Bombaju lub Madrasie, ale w Delhi, Królowa Wiktorya dnia 1 listopada 1858 roku cesarzową indyjską *urbi et orbi*, solennie ogłoszoną została. Najgłówniejsza Delhicka świątynia, rozmiarami i wspaniałością przypomina bazylikę św. Piotra w Rzymie; i tu i tam, genialni tych arcydzieł artyści, doskonałością proporcyi, ogrom budynku do ludzkiego oka zastosować umieli; w Italii, w krainie sztuk pięknych, wzrok turysty do wszelkiej perfekcyi form i miary łatwo przywyka; w Indyach, gdzie przepych i olbrzymie rozmiary, z prawami proporcyi rozbrat zwykle biorą, wyżej wymieniona świątynia w Delhi, głębokie, bo całkiem niespodziewane robi wrażenie. Prowincya Pendżabu, znaczny wziąwszy udział w powstaniu Indo-Brytyjskich plemion przeciwko angielskiemu panowaniu, pozostała odtąd pod bezpośrednim zarządem Korony i, jakkolwiek obecne w kraju położenie bynajmniej nie zdaje się być groźnem lub nieprzychylnem względem Anglii, znaczne załogi skoncentrowane są w okolicach głównych miast.

Na północ Pendżabu, Indo-Brytyjskiego cesarstwa granicę stanowi Afganistan, olbrzymie gniazdo opryszków, zawsze do walki i do rabunku gotowych. Sądząc po wypadkach lat ostatnich, na tych to krańcach wiecznie rozgrywać się będzie krawy spór dwóch najpotężniejszych mocarstw europejskich, z których jedno, indyjskie swych posiadłości ze wszystkich sił bronić będzie, a drugie, również całą siłą, posiadłości te dla siebie zagarnąć będzie się starało, różnych godziwych i niegodziwych sposobów ku temu używając, byle rządy Wielkiej Brytanii w Indyach, jak najtrudniejszymi uczynić.

Po starożytnem Delhi, o mało mniej starożytne, zasługuje na wspomnienie miasto Peszawar. Bliskie sąsiedztwo nie wiel-

kich, ale bardzo zwykle niespokojnych wulkanów, zniewoliło ludność do budowania samych drewnianych domów o dziwnie oryginalnych rzeźbach. Bez najmniejszego planu, bez rysunku, w oczach jednak artysty — na rzut oka, co prawda trafny i niemal zawsze z miarą i gustem, rzeźby te mają odrębny swój charakter, gdzieindziej niewidziany. W bazarach gęsto po ulicach rozrzuconych sprzedają gliniane naczynia o najklasyczniejszych kształtach, które miejscowe kobiety z równąż gracyą noszą na głowie lub ramionach. Handel ptakami jest poniekąd specyalnością kupców w Peszawar, ludność Pendżabu ma bowiem starodawny przesąd, że kto nabywszy kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt ptaszą, obdaruje je od razu wolnością, wdzięczne ptaki przyjmują na siebie cały ciężar popełnionych przez nabywcę grzechów. Co za poetyczne i wygodne zastępstwo naszej spowiedzi św.! Ludność obojej płci, nosi się całkowicie w bieli, kobiety oczywiście starannie zakwefione — a w dnie świąteczne posypują głowę, twarz i szaty pachnącym, różowym proszkiem, dziwny nadający ludziom odblask.

Ośmset lat z rzędu dochowanej Budyzmowi wierności, nadało miastu Benares właściwy charakter, osobne w nim też zachowują się obyczaje; ciała zmarłych podlegają spaleniu, dusze zaś prawem metampsychozy, w ciała przeróżnych przechodzą zwierząt. Wraz z obszernemi przedmieściami, Benares w murach swych zawiera tysiąc czterysta świątyń indyjskich i dwieście siedemdziesiąt dwa meczetów mahometańskich; niemal na każdym domu odmalowana jest jakaś scena mitologiczna, a do mnogich owych świątyń doroczne pielgrzymki, ściągają nieraz po sto tysięcy ludności ze wszech stron Indyi, do świętego miasta dążącej. W każdym, choćby najskromniejszym sklepiku, zgrabni rzemieślnicy na zawołanie rzeźbią małego bożka i wedle żądania nabywcy, malują go, lub wyzłacają całego; z takim bożkiem w zanadrzu, wraca uradowany pielgrzym do domu, zapewniwszy sobie i rodzinie powodzenie we wszystkiem, na resztę życia. Lecz nie tylko bożkowie obdarzeni są pozłotą, na nieszczęście i dachy bogatszych domów podlegają temu indyjskiemu zwyczajowi, co w trójnasób zwiększa już i tak nieznośny upał; słońce, odbijając się od wyzłacanych dachów, istny żar w domach sprawia. To też, pomimo najszczerszej chęci dokładnego zwiedzenia choćby kilku główniejszych świątyń, baron

Hübner widział się zniewolonym uciekać czem prędzej z tej otchłani prawdziwie piekielnego gorąca.

W całych Indo-Brytyjskich posiadłościach, koleje żelazne nic nie pozostawiają do życzenia: wagony obszerne, wygodne wszędzie starannie zaopatrzone w przyrządy wentylacyjne, nieraz nawet i w prowizye lodu, bez tych bowiem ostrożności, Europejczyk stopiłby się chyba w wagonie. Jedna tylko służba kolejowa przez krajowców odbywana, nie zawsze jest na wysokości swego powołania, nie dla złej woli, lecz dla braku pewnej energii i sprężystości, których to zalet w ogóle brak Indyanom; póki dobrze idzie, póty wszystko jest w porządku, lecz za najmniejszym nieprzewidzianym wypadkiem, konduktorowie od razu tracą głowę, czasem nawet, jak się to baronowi Hübner zdarzyło, do europejskiego podróżnika o radę i pomoc się udają. Po drodze z Benares do Kalkuty, przejeżdża się przez najznaczniejsze pola herbaty, której gatunek śmiało współzawodniczyć może z herbatą uprawianą w Chinach.

Dziwnego wrażenia doznaje podróżnik przybywający poraz pierwszy do Kalkuty, w czasie pory wielkich upałów; ogromne to bowiem miasto, bogate na miliony, jeśli nie na miliardy, nadające całym Indyom ruch przemysłowy i handlowy, gdy przychodzą najgorętsze miesiące lata, wygląda jakby wszyscy mieszkańcy naraz wymarli. Władze rządowe zacząwszy od jeneralnego gubernatora do najskromniejszych urzędników, wyższe towarzystwo, bogaci kupcy i bankierzy wynieśli się na ośm miesięcy w górzystą okolicę, gdzie żar słoneczny mniej bywa dokuczliwy; banki, sklepy, fabryki hermetycznie pozamykane od 9 rano do 7 wieczór; wszystko ucichło, wszystko śpi. Za to wieczorem, gdy powietrze trochę chłodu z sobą przyniesie, ruch się zaczyna szalony, jakby dla powetowania tylu straconych, najlepszych zwykle do pracy godzin. Odkąd się energicznie i umiejętnie rząd angielski zajął kanalizacyą Kalkuty i osuszeniem zewsząd dawniej otaczających miasto bagien, żółta febra już nie tyle co przed kilkunastu laty europejskich pochłania ofiar. Natomiast cholera, zawsze się gdzieś, w jakimś zakątku miasta przezimuje, a potem zapomocą upałów setkami wyprawia ludzi na tamten świat. Ludność Kalkuty wynosząca ośmkroć sto tysięcy mieszkańców, wszelkich istniejących na bożym świecie narodów, plemion, cer i charakterów, ma pewną cechę kosmopolityczną

i nie zdołała dochować tak czystego typu indyjskiego jak mieszkańcy Hejderabadu, Bombaju, Lahory i Delhi a zwłaszcza ci ostatni. Pomimo dość jeszcze znacznej ilości świątyń i budynków w czysto krajowym stylu, element europejski stanowczo w Kalkucie przeważa.

Były poseł austro-węgierski w Paryżu baron Hübner, nosi w sercu dla Francyi sympatyą nieszczęściami jej bynajmniej nie osłabioną, to też nie bez pewnego wzruszenia zwiedza Pondichery; zbliżając się do tej francuskiej kolonii, zdaje mu się jakby go znana, pełna wdzięku zalatywała atmosfera. Wrażenie to potęguje jeszcze uprzejma gościnność miłego i wielce dowcipnego gubernatora, pana Drouet. Nieco mniej niż w innych częściach Indyi dolegający klimat, przepyszna roślinność, nie tyle handlowego ruchu, ale może więcej niż w angielskich prowincyach towarzyskiego życia, piękne budynki po większej części z czasów odrodzenia, wspaniała katolicka katedra, i najmilszy w podeszłym już wieku pasterz dyecezyi, — wszystko razem mile mu przypomina Francyą i to nie dzisiejszą republikańską Francyą, którą cała Europa pomiata, ale dawniejszą, świetną, pełną chwały uroku i rozumu. Z tem to rzewnem uczuciem w sercu opuszcza baron Hübner Indye, z zamiarem zwiedzenia jeszcze Kanady, oraz główniejszych wysp Oceanii. Ostatnie jego notatki z podróży po Indo-Brytyjskiem cesarstwie, streścić można w następujących słowach z żalem, że tylko daje się s t r e s z c z e n i e, kiedy by c a ł o ś ć tak interesującą i pouczającą być mogła.

Po stłumieniu, niemal całe już Indye ogarniającego powstania w roku 1857 królowa Wiktorya upoważniła gubernatorów kilku prowincyi, by dopuszczali zwolna krajowców, po ukończeniu szkół angielskich, do niektórych rządowych posad Szkoły te zaś pozakładano wówczas kosztem rządu po wszystkich głównych miastach. Niebawem kandydatów stawiło się więcej, niż było do rozdania urzędów, jakkolwiek tylko drugorzędne powierzano im posady. Odtąd już młode Indo-Brytyjskie pokolenie upomina się natarczywie, w czem mu prasa naturalnie wtóruje o większy udział w administracyi krajowej, oraz, aby w szkołach angielskich język hindostański, arabski i perski były obowiązkowe. Rząd możeby i przystał na to, ale pod warunkiem, żeby język angielski uważany był za obowiązkowy we wszystkich elementarnych szkołach indyjskich. Zrobiono w niektórych miejscowościach koncessye w kie-

runku żądań krajowców, ale wydały one owoce najopłakańsze, tak iż chcąc nie chcąc trzeba było wrócić do dawnego systemu. Indyanie godzą się koniec końcem na rządy Wielko-Brytyjskie, byle rządy te nie wymagały od nich by całą ludność na Anglików przekształcić; trzeba ich zatem, albo w karbach łagodnego, ale stanowczego trzymać posłuszeństwa, co dla bezpieczeństwa panowania angielskiego w Indyach jest najpewniejsze, albo postępować po szerokiej drodze autonomicznych ustępstw i wówczas powiedzieć sobie, że całe Wielko-Brytyjskie posiadłości w Indyach są już tylko c z a s o w o w posiadaniu korony angielskiej, co po ogólnym prądzie dzisiejszego ducha sądząc, jest wielce prawdopodobne. Nie trzeba wszakże myśleć, aby nie było w Indo-Brytyjskich krajach, silnego z tybulców złożonego stronnictwa, szczerze z rządem angielskim trzymającego. Stronnictwo to z tej wychodzi zasady, że właśnie w rządzie korony tkwi potęga Indyi, i że całe Indye z dniem, w którym usamowolnią się zpod panującej obecnie władzy, zamienią się w jedną olbrzymią wiecznie krwawą arenę, na której wrogie sobie plemiona, bezustanne już walki będą z sobą staczały. Zrozumiała korona całą siłę tej dźwigni, posługuje się nią ku wzmocnieniu swej potęgi, ale swoją drogą, gdzie tylko może to robić bez narażenia powagi lub bezpieczeństwa władzy swej, nadaje prowincyom prawa autonomiczne i administracyjne, zachowując wszakże zawsze *the upper hand* we wszystkich ważniejszych sprawach, w czem ją zresztą doskonale popiera liczna angielska biurokracya. O tej to biurokracyi w następujących zaszczyt przynoszących narodowi słowach, wyraża się baron Hübner: „Rozmaitość obowiązków wy„rabia i kształci umysł Indo-Brytyjskich urzędników; grożące im nie„mal ciągle nieprzewidziane niebezpieczeństwa, hartują ich dusze. „Na drżącym nieraz pod ich stopami gruncie, mężnie zmuszają się „do pracy. Bez przesady twierdzić mogę, że nie ma drugiej na świe„cie biurokracyi, tak odważnej i do ciężkich obowiązków wdro„żonej. Urzędowanie tutaj jest najpewniejszą drogą do wyrobienia „w sobie zalet prawdziwego męża stanu. Indo-Brytyjska administra„cya składa się niezaprzeczenie z najczystszych, najuczciwszych lu„dzi“. Będąc w czasie podróży w ciągłym stosunku z wyższymi i niższymi urzędnikami słynny badacz świata i ludzi, wszędzie trafiał na pracowitych, zacnych, do obowiązków swych przywiązanych

urzędników. Przez miłość do kraju rodzinnego, za którym bądź co bądź zawsze tęsknią, i aby nie być zbyt zacofanymi, gdy im przyjdzie do Anglii kiedyś wrócić, usilnie się starają codziennie parę godzin angielskiej literaturze poświęcić. Nie można dać chwalebniejszego świadectwa rządowi Wielkiej-Brytanii, i to świadectwa tem większą mającego wartość, skoro baron Hübner w księdze swej wcale nie pomija milczeniem i odwrotnej strony administracyi angielskiej w Indyach i w tym to właśnie celu, dla zapewnienia sobie sprawiedliwego, bezstronnego sądu zawiązywał wszędzie w ciągu podróży stosunki nietylko z reprezentantami i urzędnikami królowej Wiktoryi, ale starał się także wszędzie badać usposobienia, oraz uczucia krajowców, co nie małej zdaniu jego dodaje politycznej i moralnej wartości. (Dok. nast.)

A. M. L.

O OBJAWIENIU.

Określenie kwestyi: Wyroki Kościoła o niej — dwie klasy tajemnic. Istnieją prawdziwe tajemnice Boże dla rozumu ludzkiego niedościgłe. — Bóg może przypuścić człowieka do uczestnictwa w tajemnicach swoich. — Człowiekowi nie brak zdolności do ich zrozumienia.

Zadaniem wszystkich naszych filozoficznych rozpraw o wierze, jest wskazanie i wyjaśnienie tej prawdy: że wiara jest *rationabile obsequium*. W tym celu rozprawialiśmy o istności Boga, o człowieku i jego stosunku do Boga; Bóg bowiem i człowiek to dwa czynniki, bez których wiara religijna istniećby nie mogła, uznanie bowiem ze strony człowieka za prawdę tego, co mu Bóg objawić raczy, stanowi wiarę. Loicznie więc następuje trzecie pytanie, tyczące się możności objawienia — czy Bóg może prawdy swoje zakomunikować człowiekowi? Samo pytanie dziwnem się wydaje. Już król prorok z sprawiedliwem oburzeniem odpowiada na nie. *Qui plantavit aurem, non audiet, aut qui finxit oculum non considerat? Qui corripit gentes non arguet, qui docet hominem scientiam.* Jakby chciał powiedzieć: Jakto, jeśli człowiek z daru Bożego posiada tę zdolność, że może innych pouczyć o nieznanych im rzeczach, czyż Bóg, który go tą zdolnością wyposażył, nie miałby posiadać tego przymiotu? Odpowiedź zaiste wystarczająca i dosadna, ale nie chcemy tej kwestyi jednym zamachem przecinać, owszem radzibyśmy ją zbadać umiejętnie, by się dowiedzieć jaką nam prawdziwa filozofia na to dać może odpowiedź.

Analizując to pytanie, znajdujemy, że się w niem trzy inne zawierają: 1) Czy w głębi mądrości Bożej kryją się jakieś prawdy, któreby można i warto było objawiać człowiekowi? 2) w razie ich

istnienia, czy może Bóg o nich pouczać człowieka? 3) czy wogóle i o ile jest człowiek w stanie je zrozumieć?

Panteistyczny racyonalizm zarówno jak i materyalistyczny naturalizm nie zastanawiają się nad tem, twierdzą one bowiem, że w pytaniach tych rażąca zachodzi sprzeczność; jeden tylko idealistyczny Hegel mówi o objawieniu a najdoskonalsze objawienie widzi w chrystijanizmie; ale omyliłby się każdy, ktoby te słowa brał wedle ich brzmienia, pod szatą pięknych słów kryje się sens pogański. Hegel nie zna poza światem żadnego Boga osobowego, któryby mógł do człowieka przemawiać. U niego świat, człowiek i wszystko, co tylko istnieje, jest Bogiem, bo to wszystko jest tylko jednej istoty absolutnej urzeczywistnieniem, w chrystijanizmie zaś najpiękniej się to ujawniło. Objawienie tak pojęte — to parodya objawienia Bożego.

Kościół Boży, który jako stróż prawdy, zawsze gotów jest pouczyć o niej ludzi i z błędnych manowców sprowadzić, nieomylną dał odpowiedź na ono trojakie pytanie, a w odpowiedzi tej jest potępienie dumnej nowożytnej filozofii, która nie dziw, że zżyma się na nieproszonego nauczyciela. Oto co kościół Boży na koncylium Watykańskim wyrokuje: *Si quis dixerit in revelatione divina, nulla vera et proprie dicta mysteria contineri, anathema sit* [1]. Rozróżnia kościół dwie klasy prawd, które Bóg człowiekowi oznajmić raczył. Pierwsza klasa obejmuje one prawdy, które *in rebus divinis humanae rationi per se impervia non sunt*, ale ich poznanie dla różnych przyczyn nader utrudnione jest rodzajowi ludzkiemu *firma certitudine et nullo admixto errore* [2]. Drugą klasę stanowią tajemnice, *mysteria in DEO abscondita, quae humanae mentis intelligentiam omnino superant* [3], które nawet bez objawienia poznane być nie mogą, *nisi revelata divinitas innotescere non possunt*, a nawet, gdy są objawione, rozum ich doścignąć nie może: *suapte natura intellectum creatum sic excedunt, ut etiam revelatione tradita et fide suscepta ipsius tamen fidei velamine contecta*

---

[1] Conc. Vatic. Const. de fide. c. 4. c. 1.
[2] Ibid c. 2.
[3] Ibid.

et quadam quasi caligine obvoluta maneant, quamdiu in hac mortali vita peregrinamur a Domino [1].

Uroczyste te orzeczenia najwyższej powagi nauczycielskiej wystarczają dla wiernych synów Kościoła. Ilużto jednak liczy kościół w gronie swojem takich, co się wprawdzie od łona jego jeszcze nie odłączyli, ale którzy się z nim o naukę jego spierają, biorąc pod rozbiór ścisłej wiedzy każdy jego wyrok. Każdy zresztą światły syn kościoła powinien być gotów dać wystarczającą odpowiedź na czynione mu wątpliwości w tej mierze. Przystąpmy zatem do naukowego rozstrząśnienia tych pytań.

Gdyby nas codzienne doświadczenie nie przekonywało że niewiara z radością wita nawet oczywistą sprzeczność, jeśli tylko przeciw wierze występuje, to za zbyteczne uważalibyśmy odpowiadać na pierwsze pytanie: czy w łonie mądrości Bożej znajdują się jakie tajemnice, których żaden rozum ludzki żadną miarą doścignąć nie zdoła.

Wszakże przed nami otworzył Stworzyciel księgę, w której każda litera niezgłębione w sobie zamyka tajemnice. Od majestatycznego chóru gwiazd aż do ziarneczka piasku, od nieprzebranego oceanu aż do kropelki rosy — w całym szeregu niezliczonych stworzeń nie ma atomu, w którym byśmy nie spotkali zagadki, którą odgadnąć napróżno się kusimy. „Znam prawa atrakcyi, powiada „Newton, ale zapytany na czem jej istota polega, na to nie mam „odpowiedzi“ [2]. Podobnież i Burmeister: „tak mało twierdzi on jesteśmy w stanie powiedzieć o tem, czem jest życie i siła żywotna, jak i o tem czem jest siła sama w sobie, że wystarczyć nam musi owo nędzne tłumaczenie, że jest ona przyczyną wszystkich zjawisk w materyi“ [3]. To samo wyznają i inni koryfeusze nowożytnej wiedzy [4]. A filozof starożytnej Grecyi podaje racyę tego, mówiąc: „Świat jest Bożej mądrości dziełem, wszechmocną dłonią jego wykonanem, a nasz biedny rozum w stosunku do tej mądrości jest jak *oculus vespertilionis* wobec słońca“. A jeśli na każdym kroku w świecie tyle

---

[1] Ibid c. 4. cf. list dogmatyczny Piusa IX. do Biskupa Monachijskiego z d. 11. Grud. 1862.

[2] *Geologische Bilder* I. str. 257.

[3] *Hettinger* Apologie des Christenthums, Abhandlung 2., n. 10.

[4] *Aristoteles* Metaph l. 2. c. 1.

znajdujemy tajemnic, cóż dziwnego że Istota Nieskończona jakieś rzeczy zakryte w sobie mieści. Cały ten świat jest tylko słabym wyrazem wszechmocności Bożej, a jeśli mimo to dla każdego rozumu choćby i najwznioślejszego tak jest pełnym tajemnic, czyż podobna by ten odmęt wszechmocy i mądrości Bożej miał być księgą dla każdego otwartą i przystępną?!

Gdzież więc konsekwencya u tych, co gdy idzie o świat nie mają żadnej trudności do przypuszczenia niedoścignych tajemnic i nie wstydzą się wyznać, że wszelka wiedza wobec tego jest niedołężną, ale — kiedy idzie o Boga to poczytują za ujmę dla ludzkiego rozumu przypuszczanie jakichś tajemnic [1]. Inaczej wyraża się mędrzec pański piszący z natchnienia Bożego. „Z trudnością się do„myślamy rzeczy, które są na ziemi i co mamy przed oczyma „z pracą znajdujemy. A które w niebie są, kto doścignie? A radę „Twoją kto pozna, jeśli Ty nie dasz mądrości a nie spuścisz ducha „Twego świętego z wysokości?“ [2].

Koniecznie więc przyznać trzeba, że są prawdy w Bogu utajone, Jemu samemu wiadome ale dla ludzkiego rozumu a nawet dla każdego umysłu stworzonego zgoła niedostępne. A przyznając to, nie czynimy żadnej ujmy rozumowi ludzkiemu. Coby bowiem filozof racyonalista powiedział, gdyby prosty nieuczony kmiotek ze wzgardą odrzucał jego zdania, dlatego jedynie, że ich zrozumieć nie może. A jeśli samo wykształcenie naukowe taką potrafi stworzyć różnicę, że jeden umysł z łatwością przenika to, czego drugi pojąć nie jest w stanie, jakąż różnicę wprowadzić musi sama natura. I w istocie, wszakże wpośród samych ludzi znajdują się geniusze, co wrodzoną siłą umysłu swego dosięgają prawd, których biedny prostaczek nie będąc tak uposażonym od natury nigdy zrozumieć nie zdoła. Czyż więc nieskończony umysł Boga nie musi mieć takich sił rozumowych, którym nigdy nie sprosta umysł stworzony, a wskutek tego czyż nie musi ona nieskończona mądrość Boża poznawać wiele

---

[1] *S. Thomas* c. Gent. l. I. c. 3. „Rerum sensibilium plurimas proprietates ignoramus eorumque proprietatum, quas sensu apprehendimus rationem perfecte in pluribus invenire non possumus. Multo igitur amplius illius excellentisimae substantiae transcendentis omnia intelligibilia humana ratio investigare non sufficit“.

[2] *Ks. Mądrości* IX. v. 16, 17.

rzeczy, które dla skończonej mądrości na zawsze niedościgłe zostaną. Przecząc temu, zaprzecza się nieskończoności Boskiej, albo wynosi się człowieka na nieskończoną wysokość Boga. Tak argumentuje św. Tomasz. Między duchem Bożym a duchem człowieczym jest przepaść nieprzebyta, a taka sama przepaść oddziela siłę poznawania Bogu właściwą od władzy pojmowania własnej umysłowi ludzkiemu. Prawda ta widoczną jest dla każdego, kto tylko uznaje prawdziwego Boga. Na tem oparci wywodzili starzy filozofowie chrześcijańscy to o czem tu rozprawiamy, choć na innej drodze. Jak każda siła żywotna, tak i władza pojmowania musi mieć swój przedmiot właściwy działalności, który je do czynu sprowadza *circa quod activitas ipsi propria in actum transit.* Konsekwentnie więc, przedmiot właściwy potęgi umysłowej, która jest nieskończenie wyższą od drugiej, musi leżeć także w sferze nieskończenie wyższej niż przedmiot niższej potęgi. A w takim razie rzecz jasna, że owa wyższa potęga zdoła ogarnąć przedmiot niższej władzy, ale nigdy niższa nie wzniesie się do przedmiotu wyższej. Zastosujmy tę ogólną naukę do dziedziny poznawania.

Przedmiotem właściwym Boskiego umysłu nie może być nic innego, jak tylko własna jego nieskończona istota. A że siła ludzka nieskończenie niższą jest od Boskiej, a więc i ten przedmiot właściwy poznania Bożego musi leżeć w sferze nieskończenie wyższej od przedmiotów właściwych potęgi umysłowej człowieka, a stąd konieczne następstwo, że rozum ludzki nie zdoła nigdy ogarnąć istoty Bożej, a zatem dla niej zawsze tajemnice niedościgłe w istocie Bożej ukrywać się będą. Ten sam wniosek można z tego argumentu i w inny sposób wyprowadzić. Potęga umysłowa, a więc i sposób poznawania jest zawsze proporcyonalny z naturą istoty poznawającej, tak że miarą i wielkością władzy rozumowej będzie miara i wielkość natury, że wyższa i doskonalsza natura wyższą też obdarzona będzie potęgą poznawania, a przeciwnie u niższej natury niższe też będą władze umysłowe a stąd i niższy sposób poznawania. Oczywista więc rzecz, że przedmiot może być tylko pojmowanym stosownie do natury istoty poznawającej, a nie proporcyonalnie do natury własnej, a stąd, jeśli natura przedmiotu poznawanego jest nieskończenie wyższą od natury istoty poznawającej, wtedy przedmiot taki nie może być wyczerpnięty poznaniem, ale zawsze

będzie dla poznawającego mieścił w sobie tajemnice niedościgłe. Takimto przedmiotem nieskończenie wyższym nad wszelki rozum stworzony, jest istota Boża, stąd żaden rozum stworzony nie poznaje Boga tak wyczerpująco, żeby dlań nie było już żadnej tajemnicy [1].

Tę naukę tak wykłada Tomasz św. *Impossibile est, quod aliquis intellectus creatus per sua naturalia essentiam DEI videat. Cognitio enim contingit secundum quod* ***cognitum*** *est in cognoscente* tj. obraz umysłowy przedmiotu powstaje w duchu poznawającego. *Cognitum autem in cognoscente secundum modum cognoscentis* tj. obraz ten umysłowy przyjmuje swą doskonałość od istoty poznawającej tak, że im wyższą jest natura tego ducha, tem też doskonalszym będzie obraz. *Unde cujuslibet cognoscentis cognitio est secundum modum suae naturae. Si igitur modus essendi alicujus rei cognitae excedat modum naturae cognoscentis oportet, quod cognitio illius rei sit* ***supra naturam illius cognoscentis.*** *Relinquitur ergo, quod cognoscere ipsum* ***Esse*** *subsistens* (Bóg) *sit connaturale soli intellectui divino et quod sit supra facultatem naturalem cujuslibet intellectus creati,* poznawanie Boga jest jedynie rzeczą proporcyonalną dla umysłu Bożego, ale przewyższa władzę umysłową wszelkiego stworzenia, dla każdego więc stworzenia muszą być tajniki nieodgadnione w poznaniu Boga [2].

Ale może ten dowód zanadto jest zawiły i niezrozumiały, damy więc inny zupełnie widoczny a również niezaprzeczalny. Sposób poznawania w tem życiu nam właściwy odpowiada siłom od natury człowiekowi udzielonym. Jeśli chcemy jakąś rzecz wyczerpująco poznać, tak, żeby nic w niej nie pozostało dla nas tajnego, musimy mieć intuicyę jej istoty, gdyż od tejże zawisły jej przymioty, cała jej działalność, cel do którego zmierza, słowem cały jej byt i możność *[ihr ganzes Sein und Können]* musi się nam jak najjaśniej przedstawić. Ale czyż mamy intuicyę istoty Boga w tem życiu?

Wśród filozofów tak starszych, jak i nowszych, byli tacy, co nie wahali się tego twierdzić. Lecz sam zdrowy rozum wzdryga się

---

[1] *Suares Metaph.* Disp. 30 n. 11 & de DEO l. 2. c. q. *Franzelin* De DEO Cap. II. th. 13.

[2] *S. Thomas* S. p. 1 q. 12. a 4. & Cajetanus in hunc locum.

na podobną zarozumiałość. Jakżeż możemy mieć intuicyę istoty Bożej, skoro w stworzonych rzeczach zjawiska tylko zewnętrzne podpadają pod zmysły nasze, a z nich wnosimy o istocie jako ich przyczynie i podstawie. I w rzeczy samej, gdybyśmy mieli intuicyę istoty Bożej, toby wszelkie powątpiewanie o Jego istnieniu i przymiotach Jego własnych zgoła nie możebnem było. Oglądanie bowiem intuicyjne czy to okiem cielesnem, czy umysłowem tak jasne daje poznanie rzeczy, że o tem na co patrzymy, powątpiewać nie możemy. A jednak o istnieniu Boga tylu powątpiewa, tylu je zaprzecza. Boga więc intuicyjnie nie widzimy, ale oglądamy jakby w źwierciadle, w stworzeniach, wnioskując, że to przymioty, które w nich znajdujemy, muszą się znajdować i w ich przyczynie, tj. w Bogu. Tak stosujemy pojęcia zaczerpnięte z poznawania stworzeń w poznaniu Boga. Ale czyż te pojęcia mogą nam dać dokładny i wyczerpujący obraz istoty Boga? — Zaiste nie! Najprzód bowiem pojęcia te nasze, choć prawdziwe, nie są bynajmniej wyczerpujące co do samych stworzeń, nie dają nam bowiem żadnego dokładnego obrazu właściwej ich istoty. Nadto stworzenia te są nieskończenie niedokładnem źwierciadłem Boskiej istoty. Bóg bowiem tej doskonałości, i w tym stopniu w jakim On ją posiada, nie udziela, ani udzielić może stworzeniu, doskonałości więc stworzeń są nieskończenie niższe od doskonałości Bożej. W przenoszeniu więc pojęć naszych ze stworzeń zaczerpniętych, nie otrzymujemy dokładnego objaśnienia Boskiej istoty. Kiedy powiadamy o Bogu, że jest mądrym, dobrym, potężnym, to idee mądrości, dobroci, potęgi, wyobrażają nam stworzoną, a zatem skończoną mądrość, dobroć, potęgę, i dlatego też nie mogą nam dać dokładnego wyobrażenia o tych przymiotach Boga. A choć staramy się ten brak poprawić i uzupełnić dodając, że Bóg jest mądrym, ale nie tą nędzną mądrością, którą w stworzeniach spotykamy, ale nieskończenie wyższą niestworzoną, która jest pełnością wiedzy, światła, — to jednak to uzupełnienie nie przedstawia nam tej nieskończoności, a stąd pojęcia nasze o Bogu, choć prawdziwe, nie są jednak dokładne. Są to wprawdzie obrazy umysłowe Boga i przymiotów Jego, ale nie są właściwe lecz tylko analogiczne. To poznanie Boga jest *in speculo et in aenigmate* jak mówi Apostoł: *In speculo*, które nie przedstawia całej istoty Boga, lecz tylko ślaby tej istoty objaw, a stąd też po-

znanie to jest *in aenigmate*, bo w tem poznaniu mieści się tyle rzeczy dla nas niezbadanych [1].

Są więc tajemnice w Bogu, tj. jakaś sfera prawd o Nim i Jego doskonałościach, których nigdy w zupełności nie doścignięmy. O istnieniu niektórych prawd poucza nas wprawdzie słaby nasz rozum, a mimo to nie mamy jasnego o nich pojęcia, i w nich na przepaść niezgłębioną tajemnic napotykamy. I tak wiemy, że Bóg jest wieczny, ale któż pojął kiedy tę wieczność Bożą, to życie pełne działalności, a przecież w sobie bez żadnej zmiany, które jest przyczyną wszelkiego ruchu w świecie stworzonym, a samo jest wiecznem nieruchomem t e r a z bez początku i końca, bez przeszłości i przyszłości, które o b e c n e jest początkowi i końcowi naszego świata i ciągłe szeregi wieków po sobie idących jako obecne jednem spojrzeniem ogarnia. I któż to pojmie i zrozumie? A jak w wieczności tak i w każdym innym przymiocie podobnych tajemnic moc. Tymczasem oprócz tych prawd, które nam sam rozum wskazuje, czyż nie mogą być inne, o których istnieniu ani nawet domyśleć się nie możemy? I tak np. bez wątpienia Bóg zdolny powziąść jakiś zamiar, nie zmuszony doń żadną koniecznością, ale z wolnej jedynie woli. Tymczasem człowiek, co nie zna zamiarów bliźniego swego, miałżeby znać zamiary Boże, które Mu wolna Jego miłość dyktuje?

Ale przystąpmy już do drugiego pytania: czy Bóg może nam zakomunikować te prawdy, których nasz rozum naturalnym sposobem odkryć nie jest w stanie? Racyonaliści odpowiadają na to przecząco. Skoro bowiem te prawdy, mówią oni, są ponad siły naszego pojęcia, to choćby je Bóg nawet objawił, człowiek ich ani pojąć, ani zrozumieć nie może, a to dlatego, że brakuje tu podstawy do ich udzielenia, brak nam odpowiednich idej i pojęć o Bogu. Nauczyciel, chcąc uczniowi nowej jakiejś wiadomości udzielić, posługuje się w tem słowami lub innemi znakami, których umysłowa wartość znaną jest uczniowi, inaczej nie wywołałyby one żadnego pojęcia w umyśle ucznia. Gdyby więc Bóg chciał być naszym nauczycielem co do onych prawd nam nieznanych, to musiałby się uciekać do słów i znaków nam wiadomych. Atoli wszystkie te słowa i znaki

[1] *S. Thomas* c. Gent. IV. c. 1.

budzą w nas pojęcie i idee odpowiedne rzeczom stworzonym, naszemu naturalnemu poznaniu dostępnym, które jednak rzeczom Bożym zgoła nie odpowiadają, jako nieskończenie od nich oddalone i odmienne. Nie mamy zaś wcale odpowiednich wyrazów na wyrażenie pojęć Boga, nam nieznajomych i niedostępnych. A więc konkludują racyonaliści, gdyby nawet Bóg objawił nam coś w tej mierze, miasto osiągnąć prawdę, popadlibyśmy w błąd, gdyż nauka ta nie odpowiadałaby rzeczom Bożym.

Oto zarzut mający jedynie jakąś filozoficzną wartość. Zarzut ten jasno wyłożony znajdujemy już u Scholastyków, którzy go zwycięsko odparli. Prawdą jest, że nie mamy dokładnych i wyczerpujących pojęć o rzeczach Boskich, ale są w umyśle naszym wyobrażenia i pojęcia, przedstawiające rzeczy stworzone, które z pewnym naddatkiem mogą być zastosowane do Boga.

Każdy przymiot, zaletę, doskonałość, jaką posiada stworzenie, posiada też i Bóg, stworzenie bowiem otrzymało ją od Boga a *effectus suo modo continetur in causa.* W stworzeniu wprawdzie znajduje się wszelki przymiot z przymieszką niedoskonałości, lecz w Bogu jest on wolny od wszelkich braków i ujemności. Pojęcia zatem nasze o doskonałości wyobrażają coś co istotnie jest w Bogu, a stąd mogą być i doń zastosowane. Przenoszenie to jednak pojęć od rzeczy stworzonych do Boga stałoby się źródłem fałszu, gdybyśmy sądzili, że te przymioty w tym samym stopniu jak w stworzeniach, znajdują się także w Bogu, albo tak, jak je nasze pojęcia przedstawiają. Ale właśnie ten niedostatak naszych pojęć może być uzupełniony przez uznanie, że w Bogu znajdują się te przymioty bez wszelkiej niedoskonałości, nieskończenie wyższe i pełniejsze *eminenti modo.* A choć to uzupełnienie pojęć nie daje nam jeszcze jasnego obrazu, jak się te doskonałości w Bogu znajdują, ale przynajmniej obraz choć niedokładny nie będzie fałszywym. Bóg więc, kiedy nas przypuszcza do uczestnictwa w poznaniu swych prawd, może używać słów i znaków, które budzą w nas odpowiedne pojęcia. Wtedy będziemy mieli choć niedokładną i niewyczerpującą, ale zawsze prawdziwą wiadomość o rzeczach Boskich, a te jednak pozostaną dla nas tajemnicami niedościgłemi, nigdy ich bowiem ogarnąć i wyczerpnąć nie będziemy w stanie.

I tak np. doskonale pojmujemy co jest jeden a co trzy, co

jest natura a co osoba (persona); przedmioty, z których te pojęcia są zaczerpnięte, są niedoskonałe, a ta niedoskonałość oddziaływa też na nasze pojęcie. Kiedy więc te idee mają być zastosowane do Boga, to sam rozum wymaga, że to tylko dziać się może z owem zastrzeżeniem, które uwalnia je od wszelkiej niedoskonałości. Słowem *a priori* uznać musimy, że kiedy mowa jest o Bogu to jedność i troistość, natura i osoba nie mogą być o Nim głoszone w sposób, w jaki się stosują do stworzeń. Kiedy więc Bóg sam mówiąc o swojem jestestwie używa onych słów objawiając, że jest jedynym co do natury a troistym co do osób, wtedy jasną jest rzeczą dla nas, że to co w stworzeniach zowiemy naturą, to w Bogu jest rzeczą nieskończenie doskonałą. Znając również dobrze ze stworzeń stosunek natury do osoby i wiedząc, że osoba jest podmiotem posiadającym naturę i przez nią działającym, rozumiemy też z objawienia onego Bożego, że w Nim są trzy przedmioty posiadające tę samą naturę i przez nią działające. Poznajemy więc prawdziwie z objawienia Bożego co to znaczy: Bóg w Trójcy jedyny, nie pojmując wprawdzie jak to być może. A jednak rozumiemy, że pojęcia nasze nie mogą nam stać na przeszkodzie w przyjęciu tego objawienia Bożego, względem Boga są one bowiem niedokładne, gdyż wzięte są z rzeczy stworzonych, w których nic podobnego nie spostrzegamy tj. nie znamy żadnej natury, któraby jedna i taż sama, bez podziału, rozłączenia i pomnożenia do różnych osób należała. Widoczną więc rzeczą, że mamy zasób pojęć, któremi posługując się Bóg może nas o swoich tajemnicach oświecić. Będzie to zawsze cząstkowe poznanie *cognitio ex parte*, *cognitio in aenigmate*, bo jak mówi św. Paweł *ex parte cognoscimus et ex parte prophetamus*. Poznajemy sam fakt tajemnicy w Bogu zachowanej *quod sit* poznajemy w głównym zarysie naszkicowaną treść prawdy *quid sit*, *quadantenus*, ale niewidzialny i niedostępny nam zostanie jasny obraz całej tej prawdy.

Z tego wszystkiego jasno widać, że władze naszego poznawania nie są tak ciasnemi określone granicami, żebyśmy nic zgoła zrozumieć nie mogli z rzeczy Boskich, kiedy On nam coś objawić raczy.

Upada tem samem i drugi zarzut racyonalistów, że objawienie niepojętych tajemnic żadnej nie przynosi korzyści umysłowi naszemu, gdyż to tylko za zdobycz naukową uważać możemy, co pojąć zdołamy. W zarzucie tym tkwi dwuznaczność a zatem za wykazaniem jej

upada i niknie wszelka trudność. W istocie to, czego żadnym sposobem i pod żadnym względem pojąć nie potrafimy, to też akwizycyą dla rozumu nie będzie, ale przeciwnie wielkiem bogactwem dla rozumu będzie, jeśli sam fakt i główniejsze jego zarysy są nam wiadome, chociaż nie możemy zgłębić całej jego treści ani dokładnego obrazu sobie przedstawić. Takich tajemnic pomiędzy prawdami naturalnemi mnóstwo. I tak nie tajny nam jest fakt grawitacyi i znane najgłówniejsze jej prawa, ale któż dotąd zdołał odkryć całą istotę. A czyż dlatego, że nie możemy zgłębić całej jej natury, mamy i te niedokładne o niej wiadomości odrzucić, jako bezwartościowe? Któż pojmuje na czem właściwie polega elektryczność, światło, samo życie wegetacyjne i tysiączne inne rzeczy. Zaprawdę, gdybyśmy taką się zasadą kierowali, wtedy musielibyśmy z wielu zdobyczy nauki pożytecznych i wzniosłych zrezygnować.

Spokojnie zatem możemy twierdzić, że nasza nieudolność do pojęcia tajemnic Bożych nie stoi na przeszkodzie, żeby nam Bóg nie mógł jakiejś wiadomości o nich udzielić. Inna jest zupełnie kwestya, czy może nas Bóg o wszystkich tajemnicach, które mądrość Jego przenika, powiadomić? O tem filozof nic pewnego wyrzec nie może. Przyczyna tego jest: ponieważ możebność komunikacyi tajemnic Bożych na tem polega, że w nas istnieją pojęcia analogiczne *conceptus analogi*, mające jakieś podobieństwo, powiedziałbym nawet jakąś pokrewność z pojęciami o Bogu, a temi to jedynie może się Bóg posługiwać w objawianiu nam swoich tajemnic. Gdybyśmy mieli takie analogiczne pojęcia co do wszystkich rzeczy Bożych, wtedy możebność oświecenia nas o wszystkich Jego tajemnicach byłaby rzeczą pewną. Ale któż to twierdzić może, że Bóg zostawił w stworzeniach ślad swej nieskończenie doskonałej istoty wedle wszystkich jej doskonałości i sposobów Boskiego bytu.

Bóg wprawdzie stwarzając świat, dał w nim człowiekowi niejako księgę z której miał poznać w jakiś choć niewyczerpujący sposób Jego doskonałości i która miała go uzdolnić do zrozumienia wyższej wiedzy o Bogu od niego samego mu udzielonej. Prawda że Paweł św. mówi, że *invisibilia DEI per ea, quae facta sunt intellecta conspiciuntur*, ale czy te invisibilia ogarniają wszystkie tajemnice Boże?

Lecz o to nam nie chodzi, czyśmy zdolni do przyjęcia nauki

o wszystkich prawdach, mądrości Bożej znajomych. Głównie idzie nam o to, czy jesteśmy w stanie pojąć jakąś naukę, choćby o niektórych tylko tajemnicach, przez Boga nam udzieloną. Nie wątpliwą jest rzeczą, że od wieków Bóg znał te prawdy, które zamierzył w czasie zakomunikować ludziom, i dlatego, stwarzając świat, poskładał w nim jakby nasiona pojęć potrzebnych do zrozumienia onej nauki. W tych pojęciach mieści się nasza zdolność do poznania tajemnic Bożych i możebność z naszej strony co do zrozumienia objawienia Bożego.

Jeden jeszcze pozostaje nam zarzut, do którego racyonaliści wielką przywiązują wagę. Bóg nie może, mówią oni, domagać się od nas, ażebyśmy uważali za prawdę to, co sprzeciwia się rozumowi, a takiemi są wrzekome tajemnice.

W każdej nauce zawiera się jakieś orzeczenie o pewnym podmiocie, np. Bóg jest w trzech osobach, Bóg jest p o d m i o t e m o którem się o r z e k a, że jest troistym w osobach. Trojakim może być stan rozumu wobec orzeczenia. 1) Rozum, poznając dokładnie podmiot i orzeczenie, uznaje, że to orzeczenie rzeczywiście należy do tego podmiotu, np. kiedy mówię, że trójkąt ma trzy kąty, to rozum poznając istotę podmiotu „trójkąt“ i istotę orzeczenia: „mieć trzy kąty“ uznaje, że orzeczenie jest własnością podmiotu. 2) Albo też rozum musi uznać niezgodność podmiotu z orzeczeniem np. kiedy powiem „trójkąt jest okrągły“, to rozum jasno widzi, że orzeczenie „okrągły“ sprzeciwia się podmiotowi „trójkąt“ a więc nie może być jego własnością. Ale jest jeszcze trzeci stan możebny. 3) Rozum, nie poznając dokładnie ani istoty podmiotu ani istoty orzeczenia, nie widzi ani uznać potrafi, czy orzeczenie przynależy do podmiotu, czy się mu sprzeciwia i dlatego zostaje w zawieszeniu *suspensus haeret.* I tak rozum nie zna doskonale istoty Boga ani istoty orzeczenia „być w trzech osobach“ i nie może dostrzedz zgodności lub przeciwieństwa między orzeczeniem a podmiotem. Ale czyż w takich razach nie może Bóg wystąpić i rzec: „Wy nie pojmujecie dostatecznie ani mojej Istoty, ani tego co to znaczy, być w trzech osobach, ale ja jedno i drugie doskonale poznaję i widzę, że rzeczywiście Jam jest jeden Bóg w trzech osobach i to wam objawiam, choć tego pojąć nie zdołacie“. Czyż może wtedy człowiek tę naukę Boską za fałsz poczytać, dlatego że jej nie rozumie? Wszakże, co Bóg za p r a w d ę

uznaje i głosi, to prawdą być musi. Prawda jest rzeczywistością a co jest rzeczywistością dla Boga, to i dla człowieka nie może być kłamstwem, dlatego jedynie, że swą naturalną siłą poznawania tego dostrzedz nie może.

Otóż wobec tajemnic Bożych rozum ludzki jest zawsze w tym trzecim stanie, gdyż one są ponad siły naturalnego poznawania ludzkiego. Względem rzeczy stworzonych, które leżą w dziedzinie naturalnego poznawania, rozum nie ma żadnej trudności, kiedy się znajdzie w tym trzecim stanie. Nie widząc, czy to co orzeczenie w sobie zawiera, jest własnością lub nie podmiotu, z łatwością zawiesza swój sąd, i zostaje w stanie mniemania *(opinio)* albo wątpienia *(dubium)*. Lecz kiedy idzie o rzeczy leżące poza obrębem naturalnych sił umysłu, to rozum pochopnym jest do sądu, że to czego pojąć nie może, jest zarazem i niemożebnem. Tę to skłonność opanować potrzeba zastanowieniem się nad tą potrójną prawdą: że oko duchowe człowieka niedaleko sięga i tylko w granicach tych sił swoich używać może, że mądrość Boża nieskończenie dalej się rozciąga i wszelką prawdę ogarnia, że wreszcie co dla Boskiej Mądrości jest prawdą to dla rozumu ludzkiego jest niepojętym ale nigdy fałszem być nie może.

Nie ma bowiem podwójnego porządku prawdy, jednego dla Boga, drugiego dla człowieka. Jeden tylko jest fundament prawdy: Bóg, jedna tylko prawda: Bóg a co się prócz Boga prawdą nazywa, to od Boga swą prawdziwość zapożycza. O tyle bowiem coś jest prawdą, o ile 1) jego rzeczywistość z jestestwa Bożego wpływa 2) o ile zdolność i możebność poznania jej przez rozum stworzony na tem się zasadza, że Bóg swą mądrością przenikając swą istotę widzi tę rzeczywistość jako możliwy odcień swego jestestwa, 3) o ile rozum stworzony ma podobieństwa z rozumem Boskim, które na tem polega że i on potrafi za rzeczywistość uznać to, co Bóg w swojem jestestwie ogląda. Ztąd jasno wynika, że podobieństwo rozumu stworzonego do Boskiego nie może tak daleko sięgać, aby wszelką rzeczywistość, która się oczom Bożym przedstawia, i on mógł poznać, słowem dla rozumu stworzonego wiele rzeczy musi być tajemnicą.

Tak nauczali Ojcowie św. [1] i cała starożytna szkoła filozofów chrześcijańskich [2], to otrzymało też sankcyę najwyższą od nieomyl-

[1] *Ambrosius* de fide ad Grat. l. I. c. 10 n. 64.
[2] *S. Thomas* i Gentes l. I. c. 7.

nej w świecie powagi: „Chociaż wiara, mówi Pius IX. w jednej z encyklik [1], jest ponad siły rozumu, nie może być jednak prawdziwej sprzeczności pomiędzy niemi“ *Etsi fides sit supra rationem, nulla tamen vera dissensio nullumque dissidium inter ipsas unquam inveniri potest* i zaraz dołącza przyczynę: ponieważ obie te rzeczy od Boga się wywodzą i wspólnie się wspomagają, *quum ambae ab uno eodemque immutabilis aeternaeque veritatis fonte D. O. M. oriantur, atque ita sibi mutuam opem ferant.*

Zostaje nam jeszcze trzecie pytanie: Czy Bóg, ten duch najwyższy i najdoskonalszy, posiada jaki sposób, ażeby mógł swe prawdy nam istotom zmysłowym choć w części zakomunikować? Kto uznaje Boga i wierzy weń, dlatego nietrudną odpowiedź na to. Wszechmocnym jest Bóg, a ta wszechmocność może dostarczyć mu tysiące sposobów do urzeczywistnienia jego zamiarów. Bóg jednak nie wytęża swego ramienia do tego, ale posługuje się sposobem więcej naturalnym, zastosowanym do natury ludzkiej, i ludzi przez ludzi naucza o prawdach swoich. Wybiera sobie posłów, im swoje tajemnice powierza, wlewa w nich przekonanie nieprzeparte, że to są prawdy Boże, posyła ich do ludów jako Boskich nauczycieli znakami swej potęgi i mądrości tj. cudami i darem proroczym stwierdzając ich wysokie posłannictwo. W tym sposobie Boskiego postępowania jaśnieją miłosierne drogi Boskiej Opatrzności nad człowiekiem. Chce Bóg zgromadzić rodzaj ludzki w jednę wielką familię w jedno wielkie królestwo duchowe. Sam będąc jednym, najdoskonalszą jednością obok wszech doskonałości, jedność też ma za cel wszystkich dzieł swoich. *Ut omnes unum sint sicut et nos unum sumus* [2]. Dlatego ustanowił nauczycielstwo dla całego świata, aby nauczając go prowadzili prawdziwą drogą do najwyższego końca i dopomagali mu do tego celu przez rozdawnictwo środków, które im Bóg razem z nauką powierzył [3].

Filozofowie chrześcijańscy widzą w tem postępowaniu działanie sprawiedliwości Bożej. Bóg od początku nauczał człowieka, ale człowiek wierzył więcej stworzeniu jak Bogu, choć nie miało żadnej od Boga powagi, owszem wierzył stworzeniu wbrew Bogu, bo gardząc jego objawieniem z własną swą zgubą, teraz więc musi wie-

[1] Pius IX. Encycl. d. 9 Nov. 1846. Conc. Vatic Sess. IV. c. 3.
[2] *Joann.* XVII. 11.
[3] *S. Thomas* c. Gentes l. III. c. 154.

rzyć stworzeniu ale Boską powagą widocznie obdarzonemu, wierzyć musi stworzeniu dla Boga i dla własnego zbawienia.

Ale i tu wraca pytanie, jakto naucza Bóg tych posłów swoich? W dwojaki sposób może Bóg przemówić do rozumu ludzkiego. Najpierw drogą wewnętrzną działając wprost na ducha jego. Jak rzeczy materyalne i zewnętrzne za pomocą zmysłów robią wrażenie na ducha, tak i Bóg to samo sam przez się uskutecznić zdoła. Wywołuje on w duchu pojęcia różne, łączy je w sądy, dając poznać że jedno pojęcie należy do drugiego i przedstawia własności jego, nakłania wreszcie umysł, żeby z niezachwianą pewnością uznawał prawdziwość tego poznania, a nadto wyraźnym rozkazem poleca tak osiągniętą prawdę innym jako prawdę Bożą ogłaszać. Objawienie to umysłowe *intellectualis revelatio* zwie się także inspiracyą. Że w tem działaniu Bożem na umysł ludzki nie masz żadnego czynnika, któryby był niemożebnym, albo Boga lub człowieka niegodnym — to widzi jasno sam rozum. Czyż bowiem tego samego nie czyni nauczyciel zwykły, który prowadzi umysł ucznia od poznania jednej rzeczy do poznania drugiej. Albo czyż Wszechmocnemu brakuje siły do bezpośredniego działania na umysł człowieka bez zewnętrznych znaków, albo Stwórcy czyż nie wolno działać na umysł swego stworzenia w sposób jaki mu się podoba?“ [1].

Racyonaliści wierzący jeszcze w Boga wszechmocnego, jedną tylko trudność w tem upatrują, że człowiek pod tem działaniem Boga zostaje zupełnie biernym [2], i nie ma dostatecznego probierza do odróżnienia prawdziwego objawienia od fantastycznej iluzyi [3]. Błahe to zarzuty! Biernym jest człowiek pod działaniem Bożem nie inaczej, jak każdy uczeń pod przewodem nauczyciela poddając się mu, ale samo poznawanie pod wpływem Bożym jest czynnością żywotną, płynącą ze sił rozumu, które Bóg wzmacnia i kieruje do kojarzenia pojęć i idej, którychby człowiek z własnej inicyatywy nigdy nie zdołał połączyć. Co się drugiego zarzutu tyczy, nie utrzymujemy z Molinosem [4], żeby sama pewność była kryterium obja-

[1] *S. Thomas* c. Gentes c. 22. q. 173. a. 2. 3. Quaest. disp. 12 de prophet a. 7.

[2] *Wegscheider* §. 41. Sect. 181.

[3] *Bretschneider* Dogmatik I. Seite 205.

[4] Prop. damn. 53.

wienia, gdyż byłoby to istotnie okazyą do niezliczonych fałszów, ale sądzimy, że Bóg potrafi tak swoją naukę przedstawić, że ją człowiek nietylko pojmie, ale zarazem i upewni się o jej pochodzeniu od Boga.

Jest jeszcze inny rodzaj objawienia a to przez wyobrażenia czyli obrazy umysłowe. Jeśli człowiek może w swej wyobraźni tworzyć obrazy pełne znaczenia i prawdy, dlaczegóżby Bóg nie mógł tego samego dokazać w umyśle człowieka. Czyżby to było niegodnem Boga? Ileż to razy posługuje się zdolny nauczyciel takimi obrazami, ażeby uczniowi prawdę zrozumiałą i dostępną uczynić. Obrazowe przedstawienie rzeczy większe i trwalsze wywiera wrażenie w umyśle i pamięci człowieka, wielu nawet łatwiej pojmuje taką naukę, niż najsilniejszemi dowodami popartą. Prawda, że obraz taki sam przez się nie jest pełnem objawieniem i może być różnie pojęty i tłumaczony, dlatego też musi przystąpić jako wytłumaczenie jego objawienie umysłowe. Niezrozumiałą jest wprawdzie dla nas rzeczą w jaki sposób działa Bóg na ducha naszego wprost i bezpośrednio *directe et immediate*, ale — twierdzić, że taki sposób komunikacyi między duchem Bożym i ludzkim jest niemożebnym jestto otwarcie zaprzeczać wszechmocności Bożej. Bóg, któremu służy wszelkie stworzenie, może używać podobnie jak człowiek i zewnętrznych znaków i słów i obrazów do udzielenia swej nauki (revelatio sensitiva). Człowiek jest istotą na poły tylko duchową, bo duch jego złączony jest jak najściślej z materyą, i stąd też każda myśl jego bierze początek od zmysłów i każdej jego czynności umysłowej towarzyszą wyobrażenia. Najstosowniejszy więc sposób nauczenia człowieka jest przez materyalne słowa i obrazy.

Historya objawienia stwierdza inny jeszcze rodzaj objawienia, na któryby człowiek nigdy nie wpadł, ale mając przed sobą fakt boski, uznać też musi jego doniosłość. „Bóg, pisze Augustyn św., „mówi nietylko słowami, ale i czynami, Bóg swą wszechmocną „opatrznością kształci nieraz osoby i ich czyny, owszem całe ludy „i ich dzieje w ten sposób, żeby były wyraźnem przedstawieniem „przyszłych osób ludów i dziejów“. Prorocze te fakty nazywamy typami. Filozoficzna niewiara[1] i racyonalistyczny protestantyzm[2]

[1] *Kant* der Fac. p. 46. — *Strauss*. Glaubenlehre §. 16.

[2] *Griesbach*. Comment. X. de imaginibus judaicis. — *Bretschneider* Dogm. I. §. 20. *De Wette* Protest. Dogmat. §. 63. not. 6.

odrzuca całą typologię, nic innego w nich nie widząc, jak tylko przypadkowe podobieństwo, nie mające zamierzonego związku przeszłości z przyszłością. Wiara jednak upewnia nas o tem. Sam list św. Pawła do Żydów starczy za dowód istnienia typów. Cały stary zakon jest proroczym obrazem nowego, Chrystus Pan i wszystkie niemal ważniejsze chwile jego życia i śmierci przedstawione zostały przez osoby zdarzenia i rzeczy w Starym Zakonie. Filozofia chcąc przeciw temu wystąpić, musiałaby udowodnić, że Bogu brak potęgi, mądrości i przewidzenia przyszłości, ażeby mógł kierować wolną wolą ludzką i jej czynami tak, by mogły być obrazem następnych ludzi, osób i dziejów. A dowodzić tego byłoby to samo, co wykazywać, że nie ma Boga. Ale skoro jest Bóg, to istnieje i opatrzność jego, która wszechmocną dłonią kieruje ludźmi i narodami, i wiedzie jednych i drugich z całą ich wiedzą i wolnością, z wszystkiemi ich cnotami i zbrodniami do wytkniętego im celu. Na to się zgadza prawdziwa filozofia, a kiedyś sąd ostateczny okaże to w całej pełni. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

STARE DZIEJE Z NOWEGO ŚWIATA.

(De l'Origine des Indiens du Nouveau monde et de leur civilisation par. *P. Debry de Thiersan.* Paris 1883. — L'Amerique préhistorique par le Marquis *de Nadaillac.* Paris 1883).

Przywykliśmy uważać Amerykę jako świat nowy, bez tradycyi, bez przeszłości, i sąd ten po części słuszny: na miano bowiem przeszłości, w znaczeniu historycznem, zasługuje właściwie to, na czem potomni budować mogą i budują. Przeszłością, jest dla nas świat helleński i rzymski, przeszłością nawet cywilizacya Egiptu i Indyj, Asyryi i Persyi, w każdej z nich bowiem odnajdujemy jakieś szczeble i stopnie, po których duch nasz, to piął się, to przystawał w tej drodze powolnej, po której kroczy dotychczas. Przeciwnie, te cywilizacye, że tak powiem, skamieniałe, których szczątki odnajdują się to po pustyniach Indyj Zagangesowych, lasach dziewiczych Ameryki, to po bezludnych dzisiaj, lub przez dzikie szczepy zamieszkałych wyspach Polinezyi, są dotąd wielkim znakiem zapytania, są polem więcej obszernem niż wdzięcznem dla ciekawości badaczów: polem o tyle dla nich korzystnem, że długo jeszcze pozwoli im stawiać hipotezy tem śmielsze, im mniej ściśle udowodnione. Jeśli o jakim, to o tym świecie powiedzieć można, iż pozostawiono go *disputationibus eorum.*

Nikt nie zaprzeczy, że szczep, który zostawił po sobie ślady trwałe, noszący znamiona jakiegobądź kunsztu i technicznego wyrobienia, że szczep taki posiadał własne warunki życia i własną kulturę. Dla zapewnienia miejsca w dziejach, nie wystarczą wszakże głazy i posągi: jeśli duch ludu nie skrystalizował się w jakimbądź momencie swoich dziejów w pomnikach myśli, w słowie pisanem, lud ten, dla ogółu ludzkości nie istnieje. Dlatego, do pierwszego

założenia wracając, powtarzamy, że Ameryka niema tradycyi o znaczeniu dziejowem, bo teraźniejszość jej w niczem się do przeszłości nie nawiązuje.

Pomimo tego ruch naukowy, zwrócony wszędzie ku badaniu najdawniejszej przeszłości, jest w Ameryce nadzwyczajnie w tym kierunku rozwinięty, a studya pojedyńczych uczonych zarówno jak sprawozdania kongresów i akademij, tworzą już dzisiaj całą literaturę. Co do nas, nie chcemy iść za prądem obecnym, nie chcemy przeceniać odkryć przedhistorycznych: nie sądzimy, jakeśmy to na wstępie zaznaczyli, aby cywilizacye Kmerów, Azteków lub Inkasów, wpłynęły na losy i przyszłość ludzkości: jednem słowem, w historyi dziejów ducha ludzkiego, one nie zaważą, bo jako konar oderwany od wielkiej rodziny ludów semicko-aryjskich, żywiąc się sokami wyniesionemi z pnia wspólnego, nic mu w zamian nie przyniosły. Inna jest wszakże waga odkryć, które Opatrzność jak gdyby znamieniem wieku naszego mieć chciała: waga ta, podług naszego zdania, streszcza się w kilku punktach, tem ciekawszych, że odkrycia i fakta naprowadziły na nie mimowolnie, a często i przeciw woli tych, którzy je podjęli.

Jakiż jest ostateczny wynik dotychczasowych badań archeologiczno-antropologicznych, licznych, ścisłych, a w ogóle sumiennych? Oto stwierdzona coraz bardziej jedność rodzaju ludzkiego: stwierdzona co do wszystkich głównych charakterów fizycznych i moralnych, tak u ludów żyjących, jak i u tych, które znikły z powierzchni ziemi. Jedność obyczajów, jedność językowa, jedność w pojęciach, w tradycyach; jednem słowem wszędzie i zawsze odnajdujemy na szczycie stworzeń — człowieka, a nigdzie ogniwa pośredniego pomiędzy organizmem zwierzęcym a ludzkim — tego człowieka trzeciorzędnej epoki, który żyje dotąd tylko w wyobraźni i pragnieniach pewnej szkoły uczonych.

Na obu półkulach odnajdujemy człowieka tak wybitnie tego samego, że pochodzenie od jednego rodzica, stało się już za dni naszych, skutkiem studyów na obu hemisferach podjętych, niewzruszonym naukowym dogmatem. Drugą zdobyczą nauki, wygrzebaną, rzec można, z pokładów ziemi, wydaje nam się względna młodość rodzaju ludzkiego. Kto chce koniecznie w człowieku dzikim upatrywać człowieka pierwotnego, ten niezawodnie potrzebuje

tysiące wieków mieć na zawołanie, aby wytłumaczyć, jak kolejno każdy szczep przechodził wszystkie stopnie od stanu pierwotnego do barbarzyństwa, początków oświaty, aż do coraz wyższej kultury. Lecz te wieki hypotetyczne niczegoby jeszcze nie dowiodły. Gdzież przykład, że lud dziko się błąkający lub mieszkający w jaskiniach, podniósł się własną siłą do uobyczajenia, wyrobił w sobie czynniki społeczne i duchowe? Czemu tyle wieków nie wpłynęło na rozwój Indyan amerykańskich? Czemu Australczycy nie podnoszą się ze stanu niemal zwierzęcego i potrzeb wyższych w sobie nie wyrabiają. Z drugiej strony, skąd wziąć te wieki? Cóż z tego, że człowiek był współczesny ze zwierzętami czwarto-rzędnej formacyi, cóż z tego, że mamy przed sobą szczątki licznych cywilizacyj z tego jeszcze nie wynika, iż należy cofnąć w tył rodzaj ludzki o kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy lat! Nic nas nie uprawnia do sądu, że inaczej się działo w czasach przedhistorycznych, aniżeli w tych, do których wiadomości ludzkie sięgają. Otóż wszędzie i we wszystkich, choćby najdawniejszych czasach, widzimy kulturę rozwiniętą u jednych ludów, a w tymże samym czasie i obok nich dzicz lub barbarzyństwo: stąd przypuszczenie zupełnie logiczne, że tak było od początku, czyli że stan dziki nie p o p r z e d z i ł stanu kultury, ale był mu w s p ó ł c z e s n y m.

Powiedział to dawno de Maistre, z zwykłą jasnością i stanowczością zdania: *Le sauvage n'est pas l'homme primitif, c'est l'homme dégénéré* [1]. Wnioski, które on z tej prawdy wyprowadza, nie należą już do naszego przedmiotu: my tylko tę uwagę zrobimy od siebie, że do tajemnic, które co krok napotyka się w każdej gałęzi nauki, należy niezaprzeczenie stan dziki i stan kultury ludzkości, tak nierówno we wszystkich czasach na naszej planecie rozpostarte. Położenie jeograficzne, walka z klimatem i żywiołami, zdobywanie warunków życia, wyczerpujące cały zasób sił fizycznych i moralnych, nie wszystko tłumaczą. Wszakże, nie wychodząc z naszego przedmiotu, zobaczymy cywilizacyę potężną, barwną, różnorodną, kwitnącą na niedostępnych wyżynach Kordylierów, a tuż obok krainy najżyzniejsze, najłatwiejsze do uprawy, zamieszkałe przez plemiona zupełnie i rozpaczliwie dzikie. Trzebaby przyznać, że ta

[1] Soirées de St. Petersbourg.

sama nierówność indywidualna, tak umysłowa jak fizyczna, która jest jedną z uderzających cech rodzaju ludzkiego, rozciąga się i do szczepów: jedne posiadają warunki rozwoju, i na podstawie pewnych prawd porządku moralnego i społecznego doszły do kultury, drugie tych warunków nie posiadają, lub je utraciły.

Studya kraniologiczne i antropologiczne nad plemionami wszystkich stref i epok nowego świata dowodzą, że Ameryka nie posiada specyficznie własnej rasy. Ludność jej nie jest i nie była nigdy jednolitą, a odmiany, tak co do koloru skóry, jak co do gatunku włosów, do kształtu czaszki (wyłączając sztuczne i liczne bardzo deformacye), do budowy członków i przekrojów kości, są w Ameryce równie liczne, jak u mieszkańców innych części świata. Niema w Ameryce ani typu wspólnego, ani cech charakterystycznych, któreby pozwalały klasyfikować jej ludność, jako rasę osobną. Badania językowe doprowadziły do tychże wniosków. Gwary i narzecza dotąd rozpoznane dają się sprowadzić do wspólnych typów, tak eufonicznych, jak gramatycznych.

Wreszcie badania bardzo staranne i szczegółowe ludów amerykańskich przedhistorycznych dowodzą, że te ludy są napływowe, przybyły z Zachodu a może i ze Wschodu, a to nas znowu doprowadza do jednej, jedynej kolebki rodu ludzkiego.

Takie uwagi ogólne nasuwają się z poglądu na dzieje przedhistoryczne amerykańskie: podamy obecnie treściwie ostateczne wyniki sumiennych badań uczonych archeologów.

Jeżeli początki historyczne najlepiej znanych nam ludów są zagadką, to tembardziej to jest prawdą o ludach amerykańskich. Ameryka przedhistoryczna jest wielką zagadką. Zagadką w samym fakcie zaludnienia, w epoce i sposobie tegoż, zagadką w różnorodnej swojej cywilizacyi, w niewyczytanych dotąd piśmiennych pomnikach swoich, zagadką co do następujących po sobie epok i szczepów.

Dla rozwikłania różnorodnego a bogatego materyału, jaki nauka nam przyniosła, należy go uporządkować i podzielić na epoki. Te wszystkie epoki nie będą ściśle chronologiczne, jednakże im więcej zbliżać się będziemy do wieku XV., do odkrycia Kolumbowego Ameryki, tem następstwo ludów i odnośnych kultur da się z większą pewnością oznaczyć.

A najprzód w Ameryce widoczne są ślady dwóch różnych stanów społeczeństwa, mianowicie ludu koczowniczego i ludu osiadłego. W borach Północy, w pampasach Południa natrafiamy na ślady ludu, który żył w różnych czasach, żywił się mięsem zwierzęcem i ludzkiem, wysysał szpik z kości, używał broni i walczył z zaginionymi dziś mamutem i mastodontem. Najdawniejsze ślady odnajdują się w czwartorzędnej formacyi geologicznej, tak samo jak i w Europie; starszego człowieka nie odnaleziono, wprawdzie lat temu dziesięć czaszka z Calaveras narobiła była wiele hałasu swem starożytnem pochodzeniem, lecz niebawem okazało się, iż twierdzenie było zbyt pochopnem [1]. W dzisiejszych czasach wiele ludów amerykańskich na Północy i na Południu, prowadzi jeszcze ten sam rodzaj życia koczowniczego; są może między nimi ludy, które od przybycia do Ameryki innego nie prowadziły, ale są niezawodnie inne, jak ludy z Paraguayu, które zdziczały i ze stanu osiadłego powróciły do koczującego.

Ludy osiadłe, pozostawiając z istoty stanu swego więcej śladów działalności, lepsze przedstawiają warunki do swego poznania; lecz i tu jakie trudności! Ślady życia ich i kultury są widoczne, ogromem swem budzą nieraz zdumienie, lecz kto tu żył, kto budował te pomniki! O jednych nic a nic nie wiemy, zaginęła wszelka tradycya, nawet co do nazwiska jakie nosiły, o innych mało co dowiedzieć się można. Jak mówić o przeszłości ludów, które przed czterma wiekami nie istniały, dla tej mianowicie części rodu ludzkiego, która jedna znajomością dziejów własnych, zmysłu do badania dziejów obcych nabyć mogła? Ludów, z których, gdy stopa Europejczyka na nowym lądzie stanęła, jedne już nie istniały, drugie były w upadku, których pomniki piśmienne, w każdym razie nieliczne, po części zniszczono, po części nie zbadano. Należy jednak wyjść z tego chaosu i ująć gdzie się da nić Ariadny. W braku nazwisk rzeczywistych nowożytni badacze dali starym ludom ame-

[1] Mowa tu o odkryciu czaszki ludzkiej, w Calaveras County, (Kalifornia) pod kolejnemi pokładami lawy i namulisk, od 150 do 200 stóp głębokości. Geolog amerykański P. Whitney zrobił jakoby to sławne odkrycie w r. 1866, na którem na prędce zbudowano teoryę o człowieku trzeciorzędowym. Parę lat zajęcia gorączkowego na obu półkulach, skończyło się powątpiewaniem samych nawet Amerykanów o autentyczności odkrycia.

rykańskim nazwy, mające związek ze śladami i pomnikami, jakie po sobie zostawili, zowią je: Kjökkenmöddings, Mound-Builders, Cliff-Dwellers.

Kjökkenmöddings, znaczy z duńska „odpadki kuchenne", archeolodzy dali tę nazwę kopcom złożonym przeważnie ze skorup muszlowych i innych pozostałości z pokarmów, jakich używały ludy w epoce przedhistorycznej; kopce te zowią się po angielsku *Shell-Mounds*. Kjökkenmöddings były wynalezione i badane w Danii, otóż tenże sam rodzaj kopców w bardzo licznych miejscowościach napotyka się tak w północnej, jak i w południowej Ameryce. Ławice te od wieków ziemią i roślinnością pokryte, ciągną się wzdłuż rzek i brzegów morskich, miewają nieraz kilkaset metrów długości. Wśród stosów muszli, odnajdują się w nich w różnych głębokościach, niemylne ślady człowieka: kości wzdłuż połupane lub zwęglone, narzędzia ostre z kości lub kamienia wyrobione, groty, młotki, siekiery; pomiędzy zwierzęcemi i ludzkie kości pojedyńcze, jakoby o ludożerstwie świadczące; niekiedy znów, całkowite kościotrupy, rzadko skorupy garncarskie, przedstawiając jako jedyne ozdoby, wyciski z plecionek roślinnych.

W Brazylii ławice te zowią się *Sambaquis*, w La Plata zaś *Paraderos*. Charakterystycznem znamieniem jest, iż pomiędzy szczątkami nie wynaleziono kości zwierząt zaginionych gatunków, stąd wnosić można, że ludy Kjökkenmöddings'ów żyły już w naszej epoce. W Ameryce nie znaleziono również żadnych narzędzi brązowych, miedzianych lub żelaznych, w Peru jednakże napotkano na ozdoby wyłożone srebrem i złotem. Kiedy żyły te ludy niewiadomo, żadne podanie o nich nas nie doszło. Dzisiejsi Indyanie nie żyją w ten sposób, Eskimosi podbiegunowi są może jedynymi potomkami tych starych ludów, które dawniej od Terre-Neuve do Terre-de-Feu zamieszkiwali Amerykę. Stosy kości fok, morsów, ryb, muszli i innych odpadków, jakie znajdują dziś podróżni obok mieszkań Eskimosów, ich broń, narzędzia i sposób życia upoważnia do tego sądu.

Obok ludów Kjökkenmöddings, a może z nimi współcześnie żył w Ameryce lud mnogi, potężny, wyższej nierównie kultury od poprzedniego; zostawił on ogromne pomniki *Mouud-Builders*, których też i nazwę nosi. Dzisiejsze stany Missuri, Mississipi, Miczi-

gan, Wisconsin, Jowa, Nebraska, Arkansas aż po zatokę meksykańską są zasłane tymi wałami. Co to był za lud, skąd się wziął, kiedy żył — niewiadomo; jednakże wobec tożsamości pomników, jakie stawiał na ogromnych przestrzeniach należy wnioskować, iż był jednolity i uorganizowany państwowo. Lud ten sypał mogiły, wały, piramidy, których mnogość i liczba przechodzi i wiarę, i możność opisu, a świadczy o rozwinięciu inteligencyi, imponującem energią, siłą i wytrwałością, której dowodzi. Niezaprzeczenie potężny liczbą i organizacyą musiał być szczep, który z bryl glinianych na słońcu suszonych, czasem z kamieni, najczęściej z prostej ziemi wznosił matematycznie regularne i oryentowane piramidy, tworzące liście lub jeometryczne figury, dokładne koła i półkola, pryzmy, elipsy, który to wszystko otaczał wałami na kilkanaście stóp wysokimi, a na kilkadziesiąt szerokimi, ciągnącymi się nieraz na kilka kilometrów. Oczywiście, że o całości i kształtach tych dziwnych pomników, tylko ze znacznej wysokości można mieć wyobrażenie, i to się przyczynia do trudności i w pomyśle i w wykonaniu. Lud ten, tak jak i ziemne jego budowy, jest zapewne jedynem w swoim rodzaju zjawiskiem. Mogiły i tumulusy znajdują się mniej więcej w każdej części świata i pod każdą strefą — ale pomiędzy kopcami słowiańskiemi, skandynawskiemi, etruskiemi, a temi, o których mowa, zachodzi różnica taka, jak pomiędzy wyjątkiem lub przypadkiem, a regułą, tak że porównywać jednych z drugiemi nie można. Dość wspomnieć, że w stanie Ohio liczą tych mogił do dziesięciu tysięcy, w Missuri nie o wiele mniej, a biorąc w rachubę te, które pług pionierów i farmerów dawno przejechał, te które lasy i puszcze kryją, do jakich cyfr by się doszło? Tu nasuwa się oczywiście pytanie co do celu pomników tak licznych i dziwnych. Otóż badacze amerykańscy, którzy najdokładniej kwestyę studyowali, rozróżniają pomiędzy temi konstrukcyami: obronne, obrzędowe, ofiarne, grzebalne czyli właściwe *tumuli*.

Wały, tworzące istne fortece, miały na celu obronę, o tem tem mniej wątpić można, że w niektórych okolicach łatwo upatrzyć w nich cały system fortyfikacyjny, ciągnący się wzgórzami, przytykający do rzek, uwzględniający przejścia i przesmyki. Od jakich nieprzyjaciół tak się odgradzali i bronili? o tem pomniki te nas nie pouczą. Że w pośród wałów, a u stóp, jakoby

ręką ludzką wzniesionych bogom wzgórzy, tuliły się ludzkie mieszkania, o tem przekonać mogą ślady domostw i ognisk dawno wygaszonych, które się jeszcze odszukać dadzą, a tak uprzytomniają nam byt szczepu pracowitego, przemysłowego, którego instynkta raczej ku obronie niż ku napaści były skierowane, a życie zamknięte było pomiędzy świątynią i grobem. Bo jeśli najwyższe piramidy o stromych i regularnych stokach były prawdopodobnie miejscem obrzędów i ofiary, to wiele z nich były, podobnie jak w Egipcie, to grobami wodzów, to wspólnemi nekropolami dla całych rodów, plemion czy pokoleń. Wiele z nich oczywiście już dzisiaj w celach naukowych rozkopano, i znaleziono w nich obok nielicznych kościotrupów, płasko zwykle położonych — ślady kultury i przemysłu, nie mniej od samych pomników oryginalne i ciekawe. Ceramika naprzykład przedstawia wiele typów osobnych i, tak co do kształtów jak co do ornamentacyi, interesujących. Uderza zwłaszcza częste naśladowanie zwierząt i twarzy ludzkiej, czasem bardzo charakterystyczne. Postacie całe, pojęte są w sposób barbarzyński, to znów komiczny czy karykaturalny, ale typy nierzadko akcentowane silnie i szczęśliwie. Ta sama nieokrzesana ale żywa fantazya cechuje niezmiernie liczne odmiany fajek, których jak wiadomo, Nowy świat jest ojczyzną. Trafiają się i kamienne, ale najwięcej glinianych, dziwacznie fantastycznych, malowanych, wyciskanych. Kształty zwierząt i ptaków czasem trafnie uchwycone; najdziwniejsza z nich, i na całe perspektywy hipotez naprowadzić mogąca, znaleziona w stanie Jowa — fajka w kształcie słonia. Wiadomo, że w historycznych czasach Ameryka słonia nie posiadała, zatem ów artysta znał go chyba z tradycyi. Nie chcemy zapuszczać się w opis wszystkich dotąd znalezionych typów, wszelako wspomnimy jeszcze o fajkach w kształcie głów ludzkich, których rysy i strój tak dziwnie przypominają staro-egipskie, jak gdyby wybrzeże Nilu, raczej niż Missisipi były ich ojczyzną.

Prócz wyrobów glinianych, znajduje się w *moundach* broń, drobne sprzęty ku wygodzie i ozdobie, jakoto: szpilki z rybich ości lub kości zwierzęcych, takież igły, paciorki kamienne lub gliniane nieraz powleczone delikatnym listkiem miedzianym tak subtelnie, że spojenia nie znać; groty i ostrza także trafiają się miedziane. Ten kruszec był zatem *Mound-builderom* znajomy. Rzeczywiście,

odnaleziono niedawno nad Jeziorem Wyższem kopalnie miedzi, widocznie od niepamiętnych czasów opuszczone, a w nich młotki kamienne i niektóre bardzo pierwotne narzędzia: wszystko jednak dowodzić się zdaje, że szukano nie rudy, ale odłamów czystego kruszcu znajdującego się w bogatych filonach, i takowy bez przetapiania, młotkiem na surowo obrabiali i rozcieńczali tak subtelnie.

Temu samemu szczepowi, tak osobnego typu kultury, przypisują szczątki kanalizacyi usiłującej połączyć niektóre rzeki i jeziora w jednę sieć wodną, czy ku potrzebom handlu zamierzonego, czy dla ułatwienia pochodów lub przewozów? *Moundy* rozciągają się, jakeśmy wspomnieli, aż, a nawet poza Góry Skaliste; dodajmy, że, im więcej na zachód, tem pomniki te przybierają kształty fantastyczniejsze: to wydłużają się i w pierścienie zwijają nakształt olbrzymich węży lub smoków, to się podnoszą, jak gdyby w kadłub szeroki jakiegoś ogromnego ssawca, w którym naśladowanie mastodonta znaleść chciano, wreszcie postać leżącego człowieka, acz bezkształtnie dopatrzyć w niektórych można. Jakaś barbarzyńska fantazya i bujność wyobraźni cechuje widocznie niektóre odmiany tego szczepu, którego przeszłości, późniejsze badania nam może więcej szczegółów podadzą.

Ostateczne wyniki badań o Mound-builderach nie wiele nas nauczyły. Nie wiemy skąd się wziął ten lud, kiedy żył, jak się zwał, gdzie i kiedy zaginął. Europejczycy w XV. w. już ich nie zastali, tubylcy pobliscy żadnych o nich nie mieli podań, wiekowe olbrzymy zapuściły korzenie w ich wałach. Rzecz przedstawia się nieco lepiej z trzecim ludem nieznanym, któremu archeolodzy nazwę *Cliff-Dwellers*, „mieszkańcy skał", nadali; resztki tych ludów zastali jeszcze Conquistadorowie na miejscu, lecz nic o ich przeszłości się nie dowiedzieli i nic też nam o niej nie przekazali.

Cliff-Dwellerowie zamieszkiwali Kalifornię, Arizonę, Nowy-Meksyk, Newadę, Colorado, i kraj Mormonów; Hiszpanie nazwali ich zabudowania *pueblos*, „wieś, siedziba". Lud ten wyróżniał się od Mound-builderów kulturą, a szczególniej rodzajem zabudowań: tamci byli grabarzami, ci zaś murarzami. Cliff-Dwellerowie umieszczali swe mieszkania na skałach niedostępnych, lecz przytem wznosili mury w żyznych dolinach, które uprawiali: wszędzie murowali

wedle jednych i tych samych prawie planów, i to nadaje im właściwą cechę i uprawnia do podciągnięcia pod jednolitość.

Uczony amerykański M. Holmes rozróżnia trzy rodzaje ich budowli: *Lowlands* mieszkania budowane w dolinach; *Cave-Dwellings* rozszerzone pieczary; *Cliff-Houses* istne gniazda jaskółcze przyczepione do skalistych urwisk.

Domy Cliff-Dwellerów są zawsze murowane, często kilkopiętrowe; wyższe piętra zwężają się, całość przedstawia się jako stożek. Brak jest zupełny schodów i drzwi zewnętrznych, prawdopodobnie używano drabin ruchomych, stąd każdy dom był jakby fortecą.

Cechą każdej osady, niemal każdego mieszkania, jest rodzaj wieży, o planie identycznie jednakim, której parter zwykle w ziemi się kryje, a przedstawia zawsze izbę okrągłą, otoczoną ciasnemi celkami, i w tych jedni upatrywali łaźnie *(estufas, étuves)*, drudzy izby obrad, większa część badaczów domyśla się, iż służyły jakimś tajemnym obrzędom, a to jedno w istocie tłumaczy typ tak jednostajny, i niezbędną w każdym domu obecność. Pueblos jednak, nie zawsze z osobnych składały się domów: jest ich wiele, które raczej ul o niezliczonych komórkach przedstawiają, lub jednę z tegowiecznych utopij — falanster. Są to budynki, których ruiny świadczą o wielkich rozmiarach, podzielone na całe setki ciasnych izdebek, jednego kształtu i miary, piętrami ułożonych, niby cele klasztorne lub więzienne. Jak żyli mieszkańcy tych ludzkich ulów? Czy każda izdebka była jednej rodziny własnością, czy, co do prawdy podobniejsze, rodziny tam nie było, a tylko jednostki ludzkie, w mocy jednego lub kilku tyranów, pozbawione własnej indywidualności, składały twardy haracz pracy? W każdym razie doliny niegdyś żyzne, zachowały jeszcze ślady dawnej uprawy, i wspólnej pracy pomniki; są niemi fortece i wieże, na miejscach górujących, a czasem niedostępnych stawiane. Stąd szczep bywał zapewne o grożącym napadzie ostrzegany. Czy to było plemię wojownicze? Szczątków broni z krzemienia, agatu, porfiru, obsydyanu, znaleziono wiele w gruzach starych pueblów. Wszelako możnaby sądzić, że i oni odporne raczej, jak zwykle ludy osiadłe i rolnicze, mieli instynkty: napadnięci uciekali zapewne w skalne kryjówki, gdzie ptaki chyba ścigać ich mogły. Wśród skał, formacyi złożonej z warstw twardych i mięk-

szych, lub na wpływ powietrza wrażliwszych, znajdują się naturalne szczeliny, jaskinie, dziupla, czasem w bardzo wielkiej wysokości, i tam murowali oni ściany, podpierali sztucznie naturalne sklepienia, dawali belkowe pułapy: w żadnem bez wyjątku z tych mieszkań nie brak charakterystycznych *estufas*. Jakim cudem znosili tam budowlane materyały? Jak sami się dostali i czem tam żyli? Znowu znak zapytania zamiast odpowiedzi położyć musimy. Że to były schroniska, nie stałe mieszkania, dowodzi mała ilość owych niemych świadków pobytu człowieka, na niskim chociażby stopniu cywilizacyi — kości, skorup, a zwłaszcza brak cmentarzysk, który nie tylko w skalnych mieszkaniach, ale koło tak gęsto zaludnionych *pueblos* uderza. Znali garncarstwo — dowodzi tego niemała ilość czerepów w ruinach pueblów znajdowanych. Są one dość kunsztowne, prostszych i szlachetniejszych kształtów, niż u *Mound-builderów* a rysunek i ornamentyka (liniowa) przypominają najstarsze etruski. Byli oni jednak przedewszystkiem murarzami, znali wiele sekretów sztuki budownictwa: pion, rozmiary, ciężar i dobór kamienia, cegłę surową i wypalaną, tynki tak trwałe, że się ich wiele dotąd w pośród ruin przechowało. Przechowały się jeszcze w strefach przez szczep Cliffdwellerów zamieszkałych, osobliwe pomniki, czy to zmysłu ich artystycznego, czy też wrodzonej człowiekowi potrzeby utrwalenia wrażeń, myśli i czynów swoich. Cannony czyli głębokie jary skalne w prowincyach Arizony, St. Juan, Rio Colorado, wybrzeża Słonego jeziora w kraju Mormonów, pokryte są wizerunkami ludzi, zwierząt, ptaków, czyli to rytemi w skale ostrem narzędziem, czyli też szkicowanemi barwą białą lub czerwoną. Co prawda, w pomniki podobne, na które archeologia ma osobny wyraz: piktografia, obfitują oba lądy Ameryki; nigdzie jednak tak wiele jak w tych strefach ich nie znajdują.

Zamkniemy szczupłe dotychczasowe wiadomości o tem interesującem plemieniu wzmianką nie obojętną, że niektóre *pueblos* Nowego Meksyku, zwiedzane w ostatnich czasach przez podróżnych amerykańskich, są dotąd zamieszkałe, i że Indyanie szczepów Zuni, Moqui, i niektóre drobne plemiona, zachowały nie jedną cechę, jak gdyby w słabem odbiciu obyczajów rasy, którą opisujemy; gdy tymczasem właściwe dawne siedliska Cliffdwellerów są dziś w ręku

jednego z najdzikszych indyjskich plemion Apaszów. To nas naprowadza na niektóre przyczyny upadku i zniknięcia całego szczepu.

Lud party, jak się zdaje od północy najazdami srogich Apaszów porzucał po trochu wiekowe siedziby, spuszczając się coraz ku południowi. Nieoględne wycinanie lasów wysuszało źródła górskich potoków, a z niemi i żyzność ziemi znikała. Tak wobec podwójnego wroga, plemię gęsto osiadłe zwolna topniało, najazd Hiszpanów zastał je na schyłku, a niedobitki, tu i owdzie pozostałe, zachowały się do naszych czasów.

Dwa tedy ludy Mound-Builderowie i Cliff-Dwellerowie zamieszkiwali środkową Amerykę, pierwsi wschodnią jej część, drudzy zachodnią; mogły one być współczesnymi. Dzieje ich giną w pomroce czasów; inne ludy, bardziej ku równikowi posunięte wychodzą na widownię dziejów, otworzyły one potężne państwa, z których kilka zastali Conquistadorowie w pełnej sile i potędze: o tych ludach, bliżej nam znanych, przychodzi obecnie pomówić. Napotykamy tu jednak wielkie trudności. Pozostałe po tych ludach wprawdzie ogromne zgliszcza, nawet pomniki piśmienne, lecz tych ostatnich dotąd nie odczytano, pierwsze niedokładnie są zbadane. Pozostały podania zawiłe i często sprzeczne, przechowane czy przekręcone przez zdobywców i przez zdziczałych potomków dawnych mieszkańców, pozostały niektóre księgi jak „Popol Vuh“, co do znaczenia i treści których panuje dziś jeszcze zupełna dowolność i różność zdań pomiędzy uczonymi. Wreszcie pozostało dwóch rzekomych historyków: Ixtlilxochitl dla Meksyku, Garcilaso de la Vega dla Peru: obaj wprawdzie związani krwią i tradycyami ze szczepem podbitym, ale piszący pod wpływem nowej wiary, nowych wyobrażeń, źle powiązanych z pierwotnemi, tak, że zdaje nam się, raczej szczegóły obyczajowe nam przechowali, niż o całości dziejów, wiary i kultury kraju własnego dali wyobrażenie. I to jakich dziejów? Kto nam powie gdzie się myt kończy a fakty zaczynają? Kto myty te objaśni, powiąże z innemi, które są wspólną własnością ludzkości całej, a oddzieli miejscowe, dające pogląd na własne dzieje? Tak jak nas doszły, dzieje te są jednostajnie nużącem następstwem podbojów, najazdów, kolejnych ujarzmień szczepów jednych przez drugie; szczepy te, prowadzone przez wodzów, zarazem najezdźców i cywilizatorów, bogów czy pół-

bogów, mających wiele pokrewieństwa z innemi mytycznemi postaciami, prócz strasznie brzmiących imion, które powtórzyć i wypisać zarówno jest trudno. Wobec tych trudności postaramy się rozjaśnić cokolwiek wątek tych dziejów, trzymając się wskazówek skrzętnego badacza Markiza de Nadaillac.

Dzisiejsze kraje: Meksyk, Jukatan, Honduras, Guatemala i Nikaragua zajmowane były przez lud rasy Nahuatl, w której pokolenia Mayów, Tolteków, Szyszymaków i Azteków niestarte zostawiły ślady w historyi: kilka słów o każdym z nich.

Mayowie dzielili się na kilka szczepów, niektóre z nich znikły z widowni dziejów przed najściem Hiszpanów, inne długi czas jeszcze się utrzymały. Mayowie zajmowali wybrzeża Atlantyku, wyspę Kubę i inne, tworzyli wielkie i dobrze uorganizowane państwa, budowali ogromne miasta i wznosili pomniki, które mogą iść w porównanie z indyjskiemi i egipskiemi. Odnaleziono dziś zgliszcza ich dawnych grodów: Palenk, Szyszen-Ica, Tulan i Kopan. Szczątki świątyń, pałaców, piramid, napotykane przez podróżnych wśród lasów i pustkowi wzbudzają podziwienie. Piramidy amerykańskie, jakkolwiek ogromem swym nie dorównywają egipskim, mają jednak zdumiewające rozmiary: piramida w Kopan ma 624 stóp, od południa i północy, a 809 stóp od wschodu i zachodu; mury jej wznoszące się prostopadle nad rzeką dochodzą do 90 stóp wysokości. Palenk nie istniał już za Korteza, lecz Szyszen-Ica dotrwała do XVIII. w., w r. 1697 dopiero wzięta była przez Hiszpanów. Mayowie stali na wysokim stopniu cywilizacyi materyalnej. „Ich pomniki, mówi de Nadaillac, ilością swą, rozmiarami, smakiem artystycznym, bogactwem ozdób, uderzają badacza. Doskonałość w ceramice, tkaninach, haftach i w innych wyrobach wskazuje, iż stali daleko wyżej od samych Hiszpanów".

Państwo Tolteków kwitnęło w VI. w. naszej ery; ich główne miasta były Tollan i Szoszula. Kulturą dorównywali Mayom, państwo ich najechane przez Szyszymeków istnieć przestało.

Między Szyszymekami szczep Tezkuanów był panującym. Xolotl, król Tezkuanów, wtargnął z całym swym ludem, wynoszącym 3,202.000 mężczyzn i kobiet, w kraj Tolteków i tam się osiedlił. Państwo ich podbite zostało przez Azteków w r. 1431.

Azteki stanowili jedno z najpotężniej uorganizowanych społe-

czeństw w Ameryce; granice ich oblane były dwoma oceanami. Mexico, Meksyk był stolicą państwa. Ogromna ilość świątyń, pałaców, piramid i pomników przyozdabiała ten Rzym amerykański; widzieli i podziwiali jeszcze ten gród zdobywcy hiszpańscy, dziś same jego zgliszcza trudne są do wynalezienia. Inne wielkie miasta, jak Tezkuko, które miało posiadać 140.000 domów, znikły również z powierzchni ziemi — zniknął też i lud, który je budował.

Najazd Hiszpanów zastał te szczepy i państwa w nierównym stopniu rozwoju: jedni w pełnym rozkwicie, inni w upadku. Tezkuko, siedziba potężnych władców, którzy się długo przewadze Azteków opierać potrafili, obfitowała w świątynie i pałace, wodociągi, gmachy publiczne. Handel, nietylko zamienny, wspierał się na bardzo rozwiniętym przemyśle. Wszystkie kruszce prócz żelaza, znane były i umiejętnie użyte; pokłady drogich kamieni wyzyskane były ku ozdobie tak mieszkań jak strojów; opisy pałaców królewskich, których ściany inkrustowano kruszcami i drogiemi kamieniami, lub misterną mozaiką z piór różnobarwnych obijano, dowodzą równie daleko posuniętej jak oryginalnej wykwintności obyczajów. Potomek tych dynastów, Ixtlilxochitl, Meksykanin z krwi i imienia, Hiszpan z obyczajów, zachował nam pomiędzy licznemi szczegółami kulturowemi nie mniej ciekawy zabytek, dowodzący rozwoju na innem polu. Są to urywki poetyczne jednego z przodków jego, królów Tezkuańskich, o dziko brzmiącem imieniu *Nezahualkoyotl*, a między niemi rodzaj elegii nad znikomością rzeczy ludzkich, który przeciwstawia potęgę sławie i pamięci u potomnych.

Styl pomników, których ogólną podstawą piramida o terasowem zakończeniu, ziemne lub murowane wały i nasypy, przenoszą nas między staroasyryjskie zabytki. Rzeźby i posągi noszą cechy to indyjskie, to perso-asyryjskie; jednem słowem, nie możemy dziwić się uczonym, którzy cywilizacyę staro-amerykańską, uważają za oderwaną od azyatyckiej latorośli.

Do niedawna sądzono, że Gwatemala, Yukatan, Honduras, nie miały przeszłości, ani politycznej, ani kulturnej: tak mało wiedziano o szczątkach i pomnikach, które jakoby gęstą zasłoną oplotły lasy, jak mniemano, dziewicze, o potężnej podzwrotnikowej wegetacyi. Z takich to puszcz i zarośli wychylają się potrochu w naszych czasach oniemiałe świadki dawnej potęgi — miasta, z któ-

rych niektóre raczej opuszczone niż zrujnowane się zdają, tak niezużyte wydają się kamienne stopnie ich świątyń i pałaców, tak dokładnie cięte i sztucznie spajane głazy, że je dopiero korzenie wyrastających z pomiędzy nich drzew rozsadzają. Pierwotne nazwiska miast tych w wielkiej części zaginęły: jedne ochrzcili samowolnie Hiszpanie, innych zachowały się imiona w tradycyi Indyan miejscowych, którzy o założycielach i dawnych ich mieszkańcach nic więcej nie wiedzą. *Palenque* było znane Hiszpanom już w XVII. wieku. Kopan, Uxmal, Szyszen-Ica, tylko w małej części do dziś są znanemi, a mglista tajemnica, która je otacza, dodaje im jeszcze uroku. Palenque stąd sławne, że w jednej z tamtejszych świątyń znaleziono ową tablicę Krzyża, która tak rozogniła wyobraźnię najezdźców. Fantastyczne, na pół roślinne, na pół ludzkie, ale dość wyraźne wyobrażenie krzyża, spotkano później jeszcze razy kilka, a zawsze w szczegółach podobne. Zawsze u góry zakończone jakimś tworem skrzydlatym, jakoby fantastycznym ptakiem, a dolnem ramieniem gniotące coś nakształ potwornej głowy; zawsze z obu stron dwie osoby, w postaci skupienia i ofiary, a obok nich długie rzędy hieroglifów, czy słowa modlitwy, czy tłumaczenie wyobrażenia zawierających. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie, w czasach ogólnej wiary, zrobiło to odkrycie, wiele pobożnych i śmiałych wniosków postawiono, jakie legendy osnuły się wkoło tego pomnika. My się w przypuszczenia wdawać nie będziemy, konstatujemy tylko fakt, nie przecząc że ciekawy, i na wyobraźnię działać mogący.

Innych rzeźb płaskich i wypukłych, chorobliwą fantastyczność i indyjską sztukę przypominających, głów o różnych typach, najczęściej o potwornie uciekającem czole, wyliczyćby trudno. Jak wszędzie jednak, tak i w Ameryce architektura pierwsze zajmuje miejsce pomiędzy sztukami, i tutaj nosi ona piętno charakterystyczne i dziwnie wyraziście głosi potęgę szczepów, które się w niej uwieczniły. Jedynym prawie znanym im typem, jest ścięta piramida: każda świątynia, każdy pałac, — a jest tam moc budynków, których celów podróżni dowolnie nieco się domyślają, — wznosi się na podstawie szerokiej, ściętego stożkowato tarasu.

Niekiedy natrafia się na pomniki, według pojęć naszych, czysto klasycznego zakroju; i tak, niedaleko opuszczonego miasta Uxmel, sterczy wśród ruin ogromny portal o półokrągłem

sklepieniu, z ciągłych ciosów, który prostotą, powagą a zwłaszcza śmiało rzuconym łukiem, rzymskie przypomina budowy. Najdłużej z pomiędzy osad Yukatanu, miasto Szyszen-Ica zachowało niepodległość swoją, dlatego i pomniki jego najlepiej zachowane a z niektórych stron bardzo interesujące: rzeźby delikatniejsze, typ głów ludzkich odmienny i więcej do obecnych tych stron mieszkańców zbliżony. Piramidy i gmachy pokryte wizerunkami, czterema farbami malowanemi, a przedstawiającemi uroczyste pochody kapłanów i rycerzy, wraz z niewątpliwie hieroglificznemi objaśnieniami. Ktoby uwierzył, że cywilizacya do niezaprzeczonych materyalnych, a nawet umysłowych rezultatów dochodząca, rozwijać się mogła na tle niepojętego moralnego barbarzyństwa: że religia tego ludu była synonimem okrucieństw, niepraktykowanych może nigdy i nigdzie w tym stopniu, że wykwintne potrzeby życia godziły się z ludożerstwem, praktykowanem pod osłoną bóstw i ołtarzy, do samego czasu najścia Hiszpanów!

Śmierć króla lub większego dygnitarza, prośba o powodzenie w wojnie, zażegnanie niepowodzeń, każde większe zdarzenie wymagało krwawych ofiar. Ofiarami byli brańcy i branki wojenne, lecz i sami mieszkańcy kraju płacili swą osobą ten straszny haracz krwi. Dzieci, dziewice, młodzieńcy, starcy różnemi czasy wedle przepisów i zwyczajów rozciągani byli na kamiennym ołtarzu. Ofiarnik po rozpłataniu kamiennym nożem piersi, wyrywał drgające serce z żyjącej jeszcze ofiary i rzucał je na stos płonący przed bałwanem; czasami setki skrępowanych ofiar płonęły żywcem na stosie.

Kronikarze hiszpańscy podają straszne fakty o krwawych obrzędach. „Podczas uroczystości poświęcenia wielkiej świątyni w r. 1487 Meksykanie wymordowali na ołtarzu 72.344 nieszczęśliwych ofiar ludzkich. „Kapłani, piszą kronikarze, upadali od znużenia, należało ich zastąpić w spełnianiu tej okrutnej pracy; lud wydawał dzikie okrzyki radości, które zagłuszały jęki mordowanych. Za Montezumy II. 12.000 niewolników padło pod nożem ofiarnym, z okoliczności sprowadzenia do Meksyku nowego kamienia ofiarnego“. Liczby może są przesadzone, lecz tak pomniki kamienne, jak i podania przechowane na piśmie stwierdzają te okrucieństwa, a pomiędzy historykami był jeden szczególniej, który pochodził z rodziny dawnych władców meksykańskich i któremu leżało na

sercu w dobrem świetle przedstawić swych praojców, a jednakże podaje on fakta i liczby.

Jaka była wiara, która tak okrutnych domagała się obrzędów, o tem mało pewnych doszło nas wiadomości: na dnie różnorodnych mytów kwitł niezawodnie, jak u wszystkich ludów, z obrotem ciał niebieskich obznajomionych, kult światła i słońca. We wszystkich podaniach, tak Nahuatlów jak Majów, snuje się obok tego, postać mistyczna cywilizatora półboga. *Quetzalcoatl* (wąż skrzydlaty), zarazem król, kapłan, pielgrzym, fundator wielu miast, państw, pomników, spotyka się co chwila w rzeźbach i posągach; wyobrażenia te przypominają to Buddę, to posągi egipskie, w martwej pogodzie wyrazu. Wąż, który co chwila powraca w nazwiskach szczepów, miast, królów i wodzów, jest zarazem ulubionym motywem dekoracyjnym, to w architekturze i rzeźbie, to w ceramice.

Dziwna rzecz, jak lud tak hojnie szafujący krwią i życiem ludzkiem, mógł zachować cześć dla zmarłych, surowe i liczne obrządki pośmiertne, objaty, modlitwy, posty, wszystko w intencyi, aby zagrobowa podróż dusz odbyć się mogła spokojnie i szczęśliwie. Przechowanie ciał było nie mniej doskonałe jak w Egipcie, choć równocześnie palenie na stosach było w zwyczaju, zwłaszcza dla wodzów i królów. Ciała chowano gromadnie w jaskiniach, o ile możności ukrytych w głębiach leśnych; tam się i dziś jeszcze odnajdują w stanie nadzwyczajnego nieraz zachowania.

Z ogromnych piramid, pysznych gmachów i świątyń, misternych klejnotów, nawet z ksiąg meksykańskich, nic prawie nie zostało; natomiast ślady krwawych obrzędów, stoły ofiarne, noże z obsydyanu, wstrętne wyobrażenia kapłanów z ludzkiemi głowami w ręku lub ludzką skórą odzianych, na płaskorzeźbach i naczyniach, świadczą do dziś dnia o prawdzie tego, co Hiszpanie o okrucieństwie Meksykanów pisali. Twarda i bezwzględna była rasa Conquistadorów — cywilizacya Meksyku i środkowej Ameryki, na proch prawie startą została pod ich żelazną ręką: wszakże wobec krwawego fanatyzmu kapłanów, popartego tradycyą i instynktem całego szczepu, trudno się zdobyć na żal za tą kulturą.

Wreszcie dla uzupełnienia przeglądu ludów amerykańskich przekroczyć musimy Andy i pomówić nieco o ludzie, który osiedlił się na zachodnich jego stokach i wyżynach — o państwie Inkasów.

Łańcuch Kordylierów, dzieląc się pod samym prawie równikiem, na dwa równolegle do siebie biegnące pasma, tworzy pośrodku płaskowzgórze, jedno z najwyższych na kuli ziemskiej bo wznoszące się parę tysięcy metrów nad poziom morza. Na tej wysokości równie stromej jak nieurodzajnej, rozsiadła się jedna z najdziwniejszych, najsamorodniejszych cywilizacyj świata. W naszym świecie europejskim nawykliśmy z krainami gór i przesmyków łączyć wyobrażenie wolności; tam, w naszych tradycyach, chronią się przed przemocą lub podbojem ludy, które niepodległość przeniosły nad wszystkie skarby mlekiem płynących równin. Więc na myśl nam przychodzą Termopile i wąwozy Albańskie, Wilhelm Tell i bohaterskie walki z Maurami w górach Asturyi; wspomnienia te tworzą duchową spuściznę ludów w dziejach i legendach, ale pomników kamiennych zwykle nie zostawiają. Tu przeciwnie rasa dawno zamarła pozostawiła nam pomniki ogromne i trwałością dziwne, ale świadczące nie o wolności, lecz o twardem jarzmie pod którym miliony jęczały, aby w strefie najdzikszej i najnieprzystępniejszej, znosić głazy na pałace władcom i na świątynie bogom swoim. Cywilizacya peruwiańska wyrosła na pniu dwóch ras dawniejszych, Aymarów i Kuiczów, których pokrewieństwo acz nie wyjaśnione, z rasami północno i środkowo-amerykańskiemi, jest więcej niż prawdopodobne. Odłam jakoby tych szczepów dawnych, które dłuższy czas oparły się potędze Inkasów, tworzy pojedyńcze plemię Czimusów, osiadłych na północnem wybrzeżu dzisiejszej Peruwii, a których pomniki liczne i ciekawe stanowią niby przejściowe ogniwo pomiędzy meksykańską a peruwiańską kulturą. Ogromne ścięte piramidy, dochodzące do wysokości kilkuset stóp, spoczywają na podstawie z głazów pochyłych, ustawionych w regularnych od siebie odstępach. Wnętrze ich stanowią obszerne komnaty, najczęściej grobowe, niestety dawno już i gorliwie przeszukane przez miłośników nie archeologii ale złota, w których od czasu zdobyczy aż po dziś dzień obfituje Peru. Nad wybrzeżem spokojnego Oceanu wznosiło się także święte miasto *Pachacamac*, odległej starożytności sięgające. Inkasowie mieli inne święte miasta swoje, ale leżało zapewne w ich polityce, aby temu dawnej sławy nie odbierać.

Początki właściwego państwa Inkasów giną, jak wszystkie początki, ale nie w pomroce, lecz w świetlanej tęczy dziejów, wprost

od słońca bowiem, pierwszy z Inkasów Manko Kapak, około 1000 r. naszej ery żyjący, ród swój wywodził. Tym sposobem słońce, jedyne właściwie bóstwo Peruwianów, było alfą i omegą, w której skupiało się religijne i polityczne życie, losy dynastyi i ludów. Na tych więc wyżynach, skąd bliżej może zdało im się do świetlanego boga, rozwielmożniło się państwo, które zawładnęło obszarami, dzielącemi się dziś pomiędzy Peruwię, Boliwię, Ekwador, część Chili i rzeczpospolitę Argentyńską, a mieszkańców liczyło do 10 milionów. Punkt środkowy kraju stanowiło jezioro Titi-Kaka ze świętemi wyspami, do których na łodziach przypływały roje pielgrzymów. Nad jeziorem, które rozciąga się na 120 mil długości a 60 szerokości, przy 500 metr. głębokości, wznosiło się miasto Tiaguanako, które Inkasowie może rozszerzyli i ozdobili, ale które także od nich dawniejsze; była to jakby stolica religijna Peru, podczas kiedy stolicą polityczną było Kuzko, przez pierwszego Inkasa założone. Cobyśmy dali za to, aby posiadać choć takie o tych fundacyach wiadomości, ile nam ich dają hieroglify i rzeźby egipskie o stawianiu piramid. Nie znając ich, trudno pojąć inaczej jak przez cudy żelaznej woli i wytrwałości władców, jak z najtwardszych głazów cięto regularne ogromne ciosy, sprowadzano je z łomów o 20 mil odległych i stawiano jedne na drugich, bez wapna i cementu, wpuszczając czopy kamienne w samym głazie wyciosane, do tychże rozmiarów dziur w niższej warstwie muru, a wszystko cięte z akuratnością, o której inne znane nam budowy nie dają wyobrażenia. Trzeba sobie uprzytomnić, że Kuzko leży o 11.000 stóp nad poziomem morza, na granicy wiecznych śniegów, że chyba tylko lama ze zwierząt jucznych i pociągowych tam żyje, a jedne kondory są tam w ojczyźnie swojej.

O cywilizacyi i dziejach Inkasów, choć tylko szczątki ich zostały, pisano i pisaćby jeszcze można księgi. Pan de Nadaillac poświęca im najciekawszą część zajmującego swego dzieła, nie możemy wszakże więcej, jak treść jego podać czytelnikom *Przeglądu*.

Pomiędzy dwoma strumieniami, na skale stromej i wysokiej stoi dotąd, a raczej wisi nad miastem, *Saksa-Huaman*, Akropolis peruwiańska. Dotąd stoją potrójne mury zamkowe z potężnych bloków granitowych z basztami i parapetami, w położeniu prawdziwie niezdobytem. Widok ten w takie zdumienie wprawiał Garcilasa de

la Vega, że przypisywał tę budowę spółce ze złym duchem. Nowożytni obok piramid egipskich i koloseum rzymskiego ją stawiają. Potrójne bramy dawały wstęp do wnętrza fortecy a przy każdej gotowe olbrzymie odłamy skał pozwalały w razie niebezpieczeństwa zawalić wejście i wstępu niedopuścić. O budowie wewnętrznej dziś już trudno sądzić; pozostałe ślady wieży, niegdyś skarbca Inkasów skąd ostatni z nich rzuciwszy się na dół, tragiczną śmiercią przypłacił rzekomy czy prawdziwy spisek na Juan Pizarra.

Budownictwo Inkasów odznacza się wielkością, a imponuję siłą i dokładnością obrobienia; mnogich rzeźb, posągów, ozdób, jakieśmy spotykali w Meksyku i Yukatanie, tutaj brakuje. Całą ozdobę w pałacach Inkasów, a zwłaszcza w świątyniach stanowiło złoto tak dobrze do blasku słonecznego boga przypadające a z wspaniałą rozrzutnością użyte. Wielka świątynia słońca w Kuzko, dziś klasztór Dominikanów, była wewnątrz i zewnątrz złotemi blachami pokryta; ogromne złote słońce zajmowało wschodnią ścianę wewnętrzną, a z wyniosłej góry, na której świątynia stała spadał w tarasach ku rzece ogród, o złocistych drzewach i kwiatach, cud wschodnich baśni raz rzeczywiście w życie wprowadzony. Garcilasso sam widział sadzawkę złotem wyłożoną, do której woda złotemi rurami spływała, z tej samej prócz złota sadzawki, i dziś zakonnicy czerpią wodę. Bo pomiędzy dziwami tego kraju, budownictwo wodne jedno z pierwszych miejsc zajmuje. Wysokie monumentalne mury, wsparte na okrągłych łukach i takiemiż otworami przecięte, przypominają w sposób zdumiewający rzymskie wodociągi. Nie jedyny to zresztą pomiędzy Inkasami a panami starożytnego świata rys podobieństwa: coś silnego, nieugiętego przemawia z ruin, które po nich zostały. Te gościńce przerzynające od końca do końca państwo całe, z przydrożnemi koszarami, dla wygody nietyle podróżnych co kuryerów państwowych; ten podział całego ludu na tysiące, seciny i dziesiątki z naczelnikami, którzy od tysiącznika włącznie mianowani byli przez Inkasa i jemu liczbę zdawali, to zagarnięcie na rzecz panującego takich bogactw jak lamy i wigonie, których stada były wyłączną Inkasa własnością, a wełna rozdawana secinom i dziesiątkom, w części z góry oznaczonej do skarbu powracać musiała w kształcie misternych tkanin i wyrobów: to wszystko jakże niezmiernie wydoskonalonej dowodzi administracyi! Dodajmy do

tego liczne szkoły, w których młodzież ćwiczono w znajomości dziejów i wielkości narodu[1], dodajmy liczne kolegia westalek (mamakuny) dziewic słońcu poświęconych, u których się córki królewskie, a zapewne i inne obok nich chowały — czyż to wszystko nie wyrasta w wyobraźni naszej w jakiś obraz mglisty w szczegółach, ale o konturach wyrazistych, a przejmujący zarazem siłą i bezwzględnością.

Czy ta organizacya potężna była równie gniotącą dla poddanych? czy lud w niewolniczym stosunku do władców swoich pozostawał? trudno coś pewnego orzec w tym względzie. Że rząd tak twardy nie zabił przemysłu i sztuki — tego dowodzi mnóstwo szczegółów: przepyszne tkaniny, gdzie złoto mieni się wśród barwistego wątku wełny i bawełny, plecionki, ceramika, wyroby złote i srebrne, a jakaż była ich liczba, skoro Inkas Atahualpa za wykup swój ofiarował napełnić klejnotami i naczyniami ze złota największą salę swego pałacu, do wysokości, którąby Hiszpan stojąc ręką dosięgnął. Uprawa ziemi w żyzniejszych dolinach była wielce wydoskonaloną, choć ziemia była jak się zdaje własnością Inkasa, a płody jej w pewnej tylko części do uprawiających należały.

Jaki typ zewnętrzny ludu w tem twardem jarzmie żyjącego? jaka wiara i obyczaje? — o tem choć w ogólnych rysach mówią nam ich groby: przechowywanie ciał, w którem Peruwiańczycy nie mniej od Egipcyan byli biegłymi, ma w Peru coś więcej sympatycznego, żywego; nie są to martwe mumie, jak lalki w pudłach przechowane; mumie peruwiańskie, począwszy od Inkasów, których poczet wspaniały, w złotogłowie i barwiste pióra przybrany otaczał, aż do najścia Hiszpanów, wielki wizerunek słońca swego protoplasty, w głównej świątyni w Kuzko, aż do najbiedniejszych — znajdują się zwykle w postaci siedzącej, z głową nachyloną ku kolanom, jak gdyby ostatni sen w łonie matki ziemi miał być dalszym ciągiem sennego życia, przyjście na świat poprzedzającego *de utero ad tumulum*... U kobiet włosy długie, ciemnawe, zachowały dotąd barwę i miękkość, czasem i mężczyzn głowa opleciona w warkocze. Koło jednych i drugich sprzęty i narzędzia, któremi posługiwali się za życia: rydle i młotki, wrzeciona i warsztaty tkackie, czasem z rozpoczętym dopiero wałkiem, zdają się wieczną, smutną poezyę

[1] Lecz śladów pisma Peruwiańskiego nie mamy.

życia powtarzać nam znanemi słowy: *dum adhuc ordirer, succidit me.*

Kształt czaszki, w ogóle sztucznie podniesiony, nie jest jednak tak odrażający jak na rzeźbach meksykańskich; uszy tylko potwornie rozszerzone kołami z gliny lub kruszcu; co zdaje się było nałożonem przez Inkasów poddanym swoim, wyróżnieniem plemiennem.

Bóstwo słoneczne nie wymagało zdaje się w Peru, równie krwawych jak w Meksyku obrzędów: ofiary ludzkie jeśli były, to tylko wyjątkowo; siły natury czczone były pod różnemi miany, a niektórzy badacze są mniemania, że *Deus ignotus* Pan i Stwórca, był na dnie wielobóstwa. Najpewniej wiara i polityka ściśle zespolone, jak u potomków Mahometa tak i u potomków słońca, jednoczyły w czci fanatycznej ziemskich i pozaziemskich panów; to też i wojny Inkasów miały fanatyczno-religijny charakter wojen Islamu.

Nie zatrzymujemy uwagi czytelnika nad innemi szczepami Ameryki południowej; jak na przekór zasadzie o wpływie klimatu na cywilizacyę, z ich dziejów wypływa fakt, że gdy strome stoki i nieurodzajne wyżyny Andów były siedliskiem kultury tak znakomitej, poniekąd tak wykwintnej — to równocześnie żyzne równiny Brezylii, Uragwaju, Paragwaju zaludnione były przez plemiona po części dzikie i ludożercze, po części mdłe i nie energiczne.

Na ludzie peruwiańskim kończy się przegląd dziejów przedhistorycznych amerykańskich; pozostaje jeszcze kilka słów do powiedzenia o rodowodzie tych ludów.

Był czas, iż w Ameryce szkoła polygenistów liczyła w szeregach swoich licznych i świetnych przedstawicieli, antropolodzy amerykańscy utrzymywali, że rasa amerykańska nie ma żadnej łączności z rasami starego lądu; monogeniści zaś amerykańscy szli nieco zadaleko w przeciwnym kierunku, mianowicie że kolebka rodu ludzkiego była w Ameryce i stąd dopiero nastąpiło zaludnienie Azyi i Europy. Prace, dokonane w ostatnich kilkunastu latach w dziedzinie kranologii, lingwistyki, obaliły te hypotezy; dziś rzeczą jest naukowo dowiedzioną, że Amerykanie są przybyszami. Pomniki i etnograficzne zestawienia potwierdzają podania ludów amerykańskich, o ich przybyciu z północnego Zachodu — z Azyi. Podobieństwo kultury amerykańskiej z kulturą Indyi, Asyryi i Egiptu

jest uderzające. Piramidy, mumie, hieroglify amerykańskie są niejako odmianami tylko gatunku wyrosłego nad brzegami Nilu. Uderza również tożsamość wiadomości astronomicznych. Meksykanie dzielili rok na ośmnaście dwudziestodniowych miesięcy, do których doliczali pięć dni luźnych. Rok rozpoczynał się z zimowem przesileniem, 104 lata składały się na cyklus, który zaokrąglano przyczynkiem 25 dni, co podług Laplace'a, stanowi obrachunek dokładniejszy od greckiego, a dziwnie zgodny z rokiem astronomicznym Almamuna (syna Harun al Raszyda w r. 814 naszej ery). Obrachowywali dokładnie porównania i przesilenia słoneczne; oryentowali bardzo ściśle budynki i piramidy. Posiadali zegary słoneczne, gnomony do wymierzania wysokości słońca znajdowały się nietylko w świątyniach, ale na górach i skałach, których szczyt z umysłu, płasko bywał ścięty.

Te wszystkie dane nie rozstrzygają jeszcze stanowczo pytania, ale dają wielką wagę prawdopodobieństwu. Przytaczamy tu ostateczne wnioski do jakich doszły poszukiwania. „Pewną jest rzeczą, mówi de Nadaillac, że pobyt człowieka w epoce czwartorzędnej stwierdzonym został i w Ameryce... Lecz o tych ludach zanadto mało wiemy, abyśmy mogli stawiać jakiekolwiek twierdzenia... Co się tyczy ludów późniejszych, słusznie wnosić można, że Ameryka zaludnioną została w różnych czasach, różnemi rasami ludzi, które jednak mają wiele z sobą łączności. Największa część tych ludów była pochodzenia azyatyckiego. To wychodźtwo rasy żółtej, o krótkich czaszkach (brachy cephales) jest rzeczą zupełnie pewną. Największa ich część przybyła przez wyspy Północy; różne pokolenia rasy Nahuatl, które jedne po drugich dążyły ku południowej i tam się osiedlały, są ich przedstawicielami. Co się tyczy ludu, który tu ci Azyaci już zastali, ludu o czaszkach podłużnych (dolicho-cephales), którego potomkami są dziś Eskimosi na północy a Botokudowie i Patagoni na południu, o tym ludzie, o jego rodowodzie, nic jeszcze dziś na pewno powiedzieć nie umiemy".

Dzieła traktujące o przeszłości ludzkiej mają to do siebie, że czytelnik pomimowolnie zadumać się nad niemi musi. Obraz tych form bytu, tak różnego ustroju społeczeństw wytęża i przybija

myśl ludzką. Wszystkie już tedy kształty ludzkość przechodziła i wyczerpała, a my o postępie marzymy, i zdaje nam się, że nowe mamy pomysły, na nowe tory wstępujemy, nowe i lepsze warunki bytu wynajdujemy! Czyliżby dzieje społeczeństwa były istotnie błędnem kołem, któreby możebne formy i kształty, w tym lub innym porządku kolejno wyczerpywało, aby znów w tych samych epokach te same przechodzić fazy?... Takby było może, gdyby nie jedyny w dziejach fakt Odkupienia, które ruch tej ekliptyki skręca nagle na inne tory i otwiera ludzkości podwoje postępu na nadprzyrodzonej opartego podstawie. Kultury świetne i imponujące, które tego postępu nie doczekały, zamarły. Innym, jeśli „przyjdą do światłości“, może danem będzie doczekać się wyswobodzenia i odrodzenia.

Z. G.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O Zarazie Moralnej. Studyum psychologiczno-społeczne przez *J. Wł. Dawida*, Warszawa 1886.

Gdyby nie obszerna i bardzo pochlebna ocena tej broszury w *Bibltotece Warszawskiej*, zalecająca ją jako „książkę pełną treści świeżej i niezużytej“... będącą „poważnym wkładem do skarbca nauki“... jako pracę „pełną bogactwa myśli i spostrzeżeń“ a przytem odznaczającą się „metodą ściśle naukową... jedynie zalecenia godną“... pewnie nie bylibyśmy nigdy zwrócili na nią uwagi czytelników naszych. Jednakże, po tak przesadnych przechwałach tej małej książeczki p. Dawida w jednem z najpoważniejszych pism polskich, wypada nam ostrzedz przed nią czytającą publiczność naszą, jako przed robotą, jeśli nie zupełnie ujemnej, to w każdym razie małej wartości. Spostrzeżenia autora, jeśli niekiedy są trafne, to wcale nie są nowe ani „świeże“, wnioski zaś z nich wysnute nazbyt śmiałe i bezwzględne. Jeśliby końcowa teza, do której autor w ciągu swej pracy nieustannie zmierza, była rzeczywiście prawdą, natenczas ludzkość oddawna już byłaby doszła do stanu zupełnego zdziczenia. „Im więcej złych czynów spełnionych, tem więcej spełnionem być musi (sic) w najbliższej przyszłości“. Oto kwintessencya mądrości całej tej broszury. Pominąwszy już to, że, jak owe końcowe *adagium* autora, tak samo i większą część tej książki trzebaby pierwej na polskie przetłumaczyć, — tak nie warszawskim pisana językiem — bardziej jeszcze razi przekonanie autora, jakoby zaraza moralna była przedewszystkiem innem: ślepem

naśladownictwem fatalnem i nieuniknionem czynów zbrodniczych spełnianych, widzianych lub słyszanych w naszem otoczeniu. Według psychologicznej zasady autora (str. 5) „widok lub odgłos ruchu ma nieskończenie większe prawdopodobieństwo o b u d z i ć (sic!) w umyśle wyobrażenie ruchowe aniżeli które bądź inne... zaś (str. 7) „wyobrażać ruch, myśleć o nim znaczy... wykonać go w małym stopniu“... A stąd wniosek oczywisty, że zaraza moralna w miarę widzianych lub słyszanych faktów zbrodniczych, z konieczności musi coraz bardziej się rozszerzać, i nie masz rady na tę epidemię, której zarazki mnożą się w nieskończoność, skoro np. już samo widzenie, czytanie lub słyszenie o kradzieży, według autora znaczy: „wykonanie jej w małym stopniu“, i skoro zwykłe nasze środki zaradcze przeciw tej zarazie jak: religia, wychowanie, wykształcenie etc., są według niego raczej tylko słabem paliatywem, nie zaś lekarstwem przeciw złemu. Jużciż prawda, że bywają w dziejach ludzkości chwile, w których zaraza moralna szerzy się z fatalnością srogiej epidemii, a nawet zawsze, jak mówi Pismo, „zgorszenie być musi“. Jednakże gdyby to zgorszenie żadnej nie miało tamy, ani granicy i, gdyby c o r a z w i ę k s z a z a r a z a m o r a l n a była absolutnem prawem rządzącem życiem ludzkości, jakżeż tłumaczyć sobie w jej dziejach, zaprzeczyć się nie dające epoki świetnego nieraz odrodzenia moralnego po chwilach najgłębszego upadku? Czyliż zupełnie nieznaną jest autorowi moc uzdrawiania upadłych społeczeństw tkwiąca w apostolstwie Kościoła i chrześcijaństwa? Ale niezrozumiała to prawda dla tych, co wbrew własnemu doświadczeniu przyuczyli się pojmować życie człowieka li tylko jako pasmo fatalnych i koniecznych odruchów na działanie podniet zewnętrznych, nie licząc się wcale z duszą ludzką jako osobną istotą, mającą w sobie moc działania w pewnych granicach według własnego wyboru i dźwigającą odpowiedzialność moralną za swe własne czyny. Autor przyznaje wprawdzie (str. 123) „że idea determinizmu p r z e n i k a j ą c (sic) umysły ogółu, działa demoralizująco na jednostki z natury słabe i leniwe“... lecz na cóż się to przyda, skoro równocześnie (str. 122) dodaje, iż „n a u k o w o pojęcie to (wolnej woli) może nie być niczem innem jak złudzeniem“. Zaraza pozytywistycznej pseudo-naukowości, budującej psychologię bez duszy, zrodziła w autorze owo „studyum psychologiczno-spo-

łeczne: „O Zarazie Moralnej“, pozbawione zdrowej logiki, jakoteż i pierwszych zasad filozoficznej etyki i katechizmu.

Dr. I. S.

Abraham Kitaj. Powieść z czasów króla Jana przez *Zygmunta Kaczkowskiego.* Tomy 2. Warszawa 1886.

Z zameczków ziemi Sanockiej, z bastyonów górujących nad wąwozami Tatrów, prowadzi nas autor pod Wiedeń, nad Suczawę, i w kilka jeszcze miejscowości nazwiskiem Sobieskiego ozłoconych. Krytyka słusznie zarzuca powieści historycznej w Polsce nadużywanie dziejowych, kronikarskich ustępów i momentów, kosztem fabuły, która znika często w toku czysto historycznego opowiadania. Nie błądzi w tem Kaczkowski: tu historya służy jak przynależy za tło, a losy bohaterów wiją się zależnie wprawdzie od dziejowych wypadków, ale uwydatnione bywają nierównie więcej od znanych historycznych zdarzeń. Dla uniknienia może drugiego zarzutu, zbytniego rozprowadzenia akcyi na nieskończoną ilość rozdziałów a nawet tomów, Kaczkowski ujął swą powieść w ciasne, dwutomowe ramy, akcyę zaś tak przyśpieszył, iż najciekawsze bodaj momenta zbyte kilku słowami lub kartkami. Rzecz jednak dlatego nie zyskuje na powabie i interesie. Treść bowiem sama do ostateczności zużyta: z dwóch braci kitajgrodzkich, do burzliwego rodu Łaszczów należących, każdy inną idzie drogą. Szlachetny, zacny, poczciwy Rafał służy królowi i krajowi, Abraham z matki węgierki dziedziczy coś cygańskiego, wyrasta na jednego z owych warchołów, których autor przyrównywa do drożdżów rozsadzających Rzpltę. Bije się on jak lew pod Wiedniem, i znów sromotnie znika jeden z pierwszych pod Parkanami, wołając gdy go wzywano aby króla bronił i zasłaniał: „króla! — gdy ten zginie, innego sobie obierzemy, a któż mnie wskrzesi jeśli polegnę?“ Abraham Kitaj bodaj, czy nie jest jeszcze najprawdziwszą postacią powieści. Za byle urazę a raczej własną winę odbiega chorągwi i służby ojczystej, by stawać na czele opryszków — rozbijać, zabijać, i łupić. Urodą i ogładą czaruje wielu, mianowicie kobiety. Obaj bracia jednę kochają dziewicę, piękną, cnotliwą Krzysię Borowską. Obiecana Rafałowi, idzie za niego, jest dlań dobrą żoną, ale wspomnienie Abrahama i jego wyznań rzuca cień na jej życie, niby opętaniem pamięci. Żywego od siebie odpychała, zmarły wciąż ją nachodzi, mniemanemi zjawieniami i widzeniami; aż zrozpaczona chroni się do klasztoru, uciekając przed sobą, a zostawiając męża i dziecię w samotnej żałobie. Oto właściwa treść powieści, nie nowa ani oryginalna, a tak pośpiesznie przeprowadzona, że nie pozwala żadnemu charakterowi należycie się rozwinąć, żadnej postaci dokładnie narysować. Snuje ich się tam niemało, ale nikt wyraźnie nie występuje z ram powieści, ani zacni bracia Fredrowie, ani tak różni od siebie Kitajgrodzcy, ani pomniejsze figury, siląc się o jaskrawość drastyczną. Jeden może ojciec Krzysi, Kasper Borowski, zajmującą jest postacią. Śni on wciąż o naprawie Rzeczpospolitej, skargowskie snuje wyrocznie, marzy o znalezieniu w ludzie siły, której krajowi nie dostaje. Okrzyczany za waryata, chroni się w las, aby tam żyć wśród wieśniaków, a bardziej jeszcze — wśród oswojonego tłumu zwierząt dzikich. Odludek to łagodny, bez żalu do ludzi, bez żółci ni jadu, lecz z smętkiem i rozczarowaniem głębokiem, bo choć nie przestał wierzyć w słuszność swych zasad, stracił na-

dzieję wprowadzenia ich w życie i rzeczywistość: „ktokolwiek jaką ku powszechnemu dobru wielką myśl podjął", odzywa się na jednem miejscu Borowski, siedząc jak pan Pasek wśród dziedzińca rojącego się od niedźwiedzi, wilków i przeróżnej zwierzyny, „zawsze sam zginął, ale myśl po nim została, którą też przędli jego następcy dalej, aż póki swojego czasu nie wplotła się w życie. Ale u nas inaczej. U nas i wielkich ludzi i wielkich myśli nie brakło: miewali je Bolesławowie i Jagiellonowie, miewał je także Władysław IV. Ale u nas znarowiona turba szlachecka, nietylko zagryzła człowieka, ale i myśl zadusiła, ażeby tylko jak najprędzej do swej bezmyślnej swawoli powrócić". Trudno nie przyznać trafności owemu zdaniu. Są i inne, które, nawet w przyśpieszonym toku opowieści, uderzają głębszym polotem myśli. Godne zastanowienia jest określenie i ocenienie honoru. Chodzi o ukrócenie gwałtów Kitaja, odżywiającego rozboje Kostki Napierskiego: kasztelan Fredro waha się azali mu honor pozwala wnieść pozew do grodu, bo to na delacyą patrzy, a wobec tego niczem spalone, zrabowane i wymordowane wioski.

— „Honor", odpowiada na to brat jego ksiądz kantor Fredro, „taki to bałwan pogański jak wiele innych, do których ludzie się modlą ze szkodą Rzpltej, a często i wbrew chrześcijańskiemu sumieniu. Dla honoru wolno wylać krew niewinnego człowieka, a niewolno dopełnić obowiązków obywatelskich względem swoich sąsiadów, a nawet względem swojej własnej rodziny. Piękny to posąg, ale stoi na fundamencie najwierutniejszego sobkostwa, boć to sobkostwo w tym razie ma niby pobudki moralne ale sobkostwem jest, bo taki honorowy człowiek dla swoich osobistych, chociaż moralnych korzyści, wszystko inne poświęca". Zwięźlej to jeszcze określił stary proboszcz, o którym lubił wspominać wojewoda Wybicki, a który utrzymywał, że nie może pojąć tego nowego, jak powiadał uczucia, skoro onego śladu ani w starym ani w nowym testamencie nie znajdzie: „Ludzie bo zawsze popsują co Bóg zrobił, i tak stworzył On wino i cnotę, a oni honor i piwo. Jedno jest niezrozumiałem, a drugie niemieckim mętem".

Ale co niedarowanym w powieści Kaczkowskiego jest błędem, oto nie tylko zupełnie fałszywe ocenienie Sobieskiego, ale nadto ukryta jakaś dążność aby wielkość jego umniejszyć. Sromotna klęska i popłoch pierwszej bitwy pod Parkanami nierównie drastyczniej opisana, aniżeli zwycięstwo i świetny odwet dnia następnego. Ciągły nacisk stawiany na to, aby udowodnić, że Sobieski był tylko tęgim w pewnych okolicznościach żołnierzem i nic więcej. A jednak świeże z okazyi roku jubileuszowego studya jawnie wykazały, że Opatrzność dała nam w nim nietylko mężnego ale i mądrego króla, że zmysłem politycznym widział daleko i trafnie, że roztropność monarchy równała się bohaterstwu wodza. Całem nieszczęściem, że kraj niedość się umiał na tych przymiotach poznać, niedość im zaufał; dziś jednak, gdy sumienne badania odsłoniły całą wielkość i wartość Jana III., doprawdy rażą i smucą komunały o jego rzekomej niezdarności i niezdatności do rządów.

Nie można odmówić p. Kaczkowskiemu pewnej artystycznej barwności stylu, pozwalającej niejako widzieć opisywane miejscowości i zdarzenia. Obraz spalenia przez opryszków miasteczka Baligrodu, przeważnie przez żydów zamieszkałego, chyba pod wrażeniem pożaru Stryja musiał być nakreślonym: tyle tam kolorytu prawdy, tak świeże wrażenie grozy. Jest i znawstwo charakteru polskiego, większe może, aniżeli historyi polskiej. W kilku słowach wybornie

oddany zapał wywołany listami królewskiemi wzywającemi do pospolitego ruszenia i powolne gaśnięcia płomienia ofiary i ochoty wojennej, wśród zadomowienia i zgnuśniałości powszechnej. Na bitwę każdy Polak się zdobędzie, zwycięstwo każdy rad wywalczyć po bohatersku, — co innego wytrzymać zwłoki niewygody wojny; męstwa nigdy i nikomu nie braknie, — wytrwałości i karności niemal wszystkim.

Oczywiście na starą nutę, szlachta wszystkiemu winna. Że zawiniła to pewna, boć „Urazy królewiąt polskich“ głównie do rozstroju Rzpltej i osłabienia władzy moralnej się przyczyniały. Aleć olbrzymie poświęcenia okupywały niejeden grzech i winę. Gdzież jej kości nie szukać? Zasłały drogę południową i wschodnią — przedmurzem chrześcijaństwa nienapróżno się zowiąc. Ci, którzy jej błędy wytykają, zapominają o zasługach. A jednak miałoby się zaiste prawo powtórzyć i zastosować do szlachty, do rycerstwa polskiego, bez względu i pamięci na winy, z wspomnieniem tylko ofiar krwi i życia, one słowa Zbawiciela do Magdaleny przez faryzeuszów oskarżonej: „Wiele jej będzie przebaczonem, albowiem wiele umiłowała“.

K.

Żywot świętej Maryi Franciszki, od pięciu ran Jezusa str. 226. Warszawa. Nakład i druk St. Niemiery 1886 — **Postęp duszy**, przez *O. Faber'a* t. I, str. 430, Warszawa. W drukarni Stanisława Niemiery 1886 — **Książeczka dla chorych**, mogąca się przydać i zdrowym, przez *A. D.* str. 107 Gniezno. Nakład straży św. Wojciecha 1886.

Dwie pierwsze z rzędu książeczki, które mamy przed sobą, obie w małej 16-ce, stanowią dalszy ciąg pobożnych dziełek wydawanych staraniem St. Niemiery, a z których dotąd wyszły: *O Modlitwie* przez św. Alfonsa Liguoriego, w tłumaczeniu O. Prokopa; *Żywot św. Antoniego Padewskiego,; Rozmyślania i uwagi moralne; Dwa wianeczki*, poświęcone na cześć Najśw. Serca Jezusowego i Niepokalanego Serca Najśw. Maryi Panny; *Miesiąc Maryi w rodzinie; O dziewictwie* tłum z francuskiego; *Upomnienia zbawienne* dla chrześcijan wszelkiego wieku i stanu; *O grzechu*, rozmowa dwóch wiejskich dziewcząt; *Pielgrzymka do ziemi świętej*, opisał X. J. Kloczkowski i kilka jeszcze Nowen, Rozmyślań i t. d. Wybór to istotnie dobry: tego rodzaju książeczek, jak dziełka Alfonsa Liguoriego nigdy i nigdzie nie ma dosyć, zwłaszcza u nas ich mało. To też nie wątpimy, że wydawcy obdarzą nas następnie innemi jeszcze dziełkami św. Alfonsa, a potem, idąc w raz obranym kierunku, zwrócą się do św. Franciszka Salezego, do innych dziełek O. Fabra, a może i do naszego O. Pawłowskiego lub Łęczyckiego.

Żywot św Maryi Franciszki uczy jak się modlić, pracować, a zwłaszcza uczy jak po chrześcijańsku znosić cierpienia. Prace O. Fabra zbyt są znane, abyśmy szczegółowiej zastanawiać się chcieli nad ważnem, a tak pouczającem dziełkiem, jak *Postęp duszy*. W paru miejscach wydaje nam się, iż tłumacz nie oddał z dostateczną dokładnością myśli autora; w ten przynajmniej sposób tłumaczymy sobie kilka zdań, co do których musielibyśmy zrobić pewne zastrzeżenie.

Trzecia z wymienionych, *Książeczka dla chorych mogąca się przydać i zdrowym*, dopełnia pierwszej dziesiątki pobożnych dziełek, wydanych przez

założoną w r. 1882 *Straż św. Wojciecha w Gnieźnie.* Dotąd okazały się staraniem *Straży* następne książeczki: „Wykład ofiary mszy św. *Marcina z Kochem*; „Zabawa z Jezusem przez mszę św.“ *M. Hinery;* „Czyściec“ *O. Rossignoli T. J.,* „Głosy serdeczne i rozmyślania o N. Sakramencie“ *O. Wysockiego T. J.,* „Żywot P. Jezusa“ *Baltarara Opecia;* „Piekło“ *Segura;* „Żywot św. Wojciecha“ ks. H. Koszutskiego, „św. Cyryl i Metody“ ks. dr. *Kanteckiego;* „Lekarstwo przeciw pijaństwu“. Jak widzimy wybór dobry, na który składają się i nowsi i dawniejsi pisarze; a jeśli dodamy, że roczna przedpłata wynosi dla każdego członka tylko półtory marki, to przyznamy, iż warto do grona *Straży* się zapisać, tem bardziej, iż czysty dochód z jej wydawnictw, przeznaczony jest na dom sierot i ochronę św. Wojciecha w Gnieźnie.

Widać, że wielki był głód dobrych, pobożnych książek, kiedy niemal równocześnie rozpoczęte wydawnictwa takich dziełek w Warszawie, Gnieźnie, Poznaniu, Krakowie szeroki znajdują odbyt, a w tej chwili nowe podobne wydawnictwo zawiązuje się we Lwowie. Ale, wobec mnożącej się liczby takich książeczek, rośnie też odpowiedzialność wydawców, którzy teraz pierwszem lep szem byle jak przetłumaczonem dziełkiem zadowalniać się w żaden sposób nie powinni. Czego nam w tej chwili wielki brak, to poważniejszych dzieł ascetycznych, dobrego np. tłumaczenia Rodrycyusza; obszerniejszych a pięknie napisanych żywotów świętych w rodzaju np. przerobionych z francuskiego żywotów św. Józafata lub św. Franciszki de Chantal. Nie wątpimy, że byleby który z naszych wydawców zwrócił swe starania w tę stronę, trudy jego hojnieby mu się pod każdym względem opłaciły.

J.

Illustrowane dzieje porozbiorowe Polski od r. 1791—1864. Ułożył dla młodzieży *Józef Chociszewski.* Kraków 1887 str. 360—V.

W literaturze naszej nie brak dzieł traktujących o porozbiorowych dziejach naszego narodu. Oprócz kilkotomowych prac Morawskiego, Kraszewskiego, Schmidta i Gillera mamy liczne monografie, pamiątki i opisy pojedyńczych zdarzeń i mniejszych okresów. Ale rozrzucone tu i owdzie wiadomości, również jak i spore tomy nie dla wszystkich są dostępne. A przecież należy i warto znać dzieje ojczyste, bo tego domaga się miłość swego kraju, bo znajomość historyi a zwłaszcza swojego narodu to najlepsza *magistra vitae.* Krótkiej atoli a treściwej historyi ostatniego stulecia dotąd nie mieliśmy. Potrzebie tej postanowił p. Chociszewski niniejszem dziełkiem zaradzić. Pierwszy ten w tym rodzaju podręcznik przeznaczony został przedewszystkiem dla ludu i młodzieży, ale przydać się on może każdemu, co się w krótkości z odnośnemi czasami obznajomić pragnie, mieści on bowiem w sobie opisy wszystkich główniejszych wypadków, a obok tego wskazuje na liczne przykłady miłości ojczyzny, ofiarności, męstwa, poświęcenia i innych cnót obywatelskich.

W dwóch wstępnych rozdziałach przechodzi autor przyczyny i przepowiednie upadku Polski. Same dzieje porozbiorowe dzieli na pięć części. Pierwsza obejmuje okres od konfederacyi Barskiej do konstytucyi 3 Maja. Druga konstytucyę 3 Maja i powstanie Kościuszki. Trzecia dzieje legionów i księstwa Warszawskiego. Czwarta dzieje królestwa Polskiego i powstanie listopadowe. W piątej zawierają się wypadki od r. 1848 do 1864.

Przeczytawszy książkę, nie robimy autorowi ważniejszych zarzutów, ani co do ułożenia, ani co do opowiedzenia pojedyńczych faktów, owszem uznajemy wielką jego zasługę, że pierwszy przełamał lody i ułatwił tym, dla których dotąd niemożliwem nieraz było, poznanie tak ważnego okresu dziejów naszych. Na jedno jednak pragnęlibyśmy zwrócić uwagę autora, że w sądach swych zwłaszcza o osobach nadto jest stronniczy. Dla niektórych jak Czartoryskich, Skrzyneckiego, Chłopickiego okazał się zbyt surowym, dla innych jak Staszyca, Kołłątaja, Krasickiego nie ma słowa zarzutu, ale same tylko pochwały. Autor rad także przytacza sądy Łukaszewicza, a jednak pisarz ten przy uczonności swej i wielkiej pracy nadto jest namiętny i stronniczy.

Z.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Główne kierunki najnowszych wydawnictw teologicznych.

Wśród powodzi dzieł historycznych, przyrodniczych, literackich, nikną nie mogące im sprostać ilością poważne teologiczne prace, a nikną tem bardziej, iż kto nie weźmie do ręki paru pism specyalnych, łatwo mógłby mniemać, iż od długich już lat, kto wie, czy nie od trzynastego lub siedemnastego wieku, nie okazało się żadne, mające istotną wartość teologiczne dzieło. Tak źle znowu nie jest, a chociaż prawda, iż nie mamy dzisiaj św. Tomasza, ani Bellarmina lub Suaresa, i że ci nawet, co niedawno temu trzymali w ręku berło teologicznej wiedzy, umilkli od lat kilku innemi zajęciami obarczeni, to przecież „królowa umiejętności“ na zupełne opuszczenie i dziś się skarżyć nie może. Dość rzucić okiem na poważny poczet teologicznych wydawnictw z ostatnich kilkunastu miesięcy, aby się przekonać, że praca na tem polu nie ustaje. Dzięki Bogu, boć inaczej zwątpićby chyba przyszło o dzisiejszym stanie naszej nauki, niepojmującej tej zasadniczej prawdy[1], tak pięknie wyrażonej przez jednego z największych myślicieli naszego wieku, że „teologia, tem samem iż jest nauką o Bogu, jest oceanem, który „zawiera i obejmuje wszystkie nauki, jako Bóg jest oceanem, który „zawiera i obejmuje wszystkie rzeczy“.

[1] *Donoso Cortes.* Essai sur le catholicisme, le libéralisme et le socialisme. l. I. ch. 1.

Włoscy, francuscy i niemieccy uczeni rywalizują z sobą w zgłębianiu i wyjaśnianiu dzieł św. Tomasza. Przed paru miesiącami wyszedł zpod pras znanego wydawcy Piotra Marietti piąty tom *Summy teologicznej*, zaopatrzonej notami Billuarta i de Rubeisa, a w tej chwili okazał się już pewnie i szósty, ostatni tom tego dzieła. Liczne przedruki *Summy* w ostatnich czasach, okazują, iż minęły już czasy kiedy o św. Tomaszu, a w ogóle o całej scholastyce, wolno było sądzić z samej tylko barwy i jakości oprawy. Dwa tomy Franciszka Petronio: *In Summam catholicae fidei contra gentiles divi Thomae Aquinatis elucidationes*, mają na celu nie tylko ułatwić zrozumienie tej Summy, ale przedewszystkiem odpowiednio ją zastosować do dziś grasujących błędów. Nic nowego pod słońcem: dzisiejsze filozoficzne i religijne herezye, choć w nieco innym krojem uszytej sukni, dawno już chodziły po świecie; ztąd przypatrzywszy się tylko bliżej dzisiejszym włoskim czy niemieckim filozofom, można w nich bez trudności rozpoznać dawniejszych Arabów i pogan. W podobnym, lecz nie tak polemicznym duchu jest przeznaczone dla seminaryów dzieło ks. Ludwika Barré *Tractatus de virtutibus, nec non de donis Spiritus S., cui praemittitur tractatus de passionibus, juxta mentem D. Thomae.* Dominikanin, O. Lavy, usiłuje popularyzować naukę Anielskiego doktora, w możliwie dostępnych dla szerszych kół *conférences sur la théologie de saint Thomas d' Aquin.* Konferencye te są rodzajem komentarza pierwszej części *Summy teologicznej*, w których autor, jak w przedmowie zapowiada, „stara się przedstawić myśli anielskiego doktora w nowej szacie, „w języku bardziej zgodnym z dzisiejszym sposobem myślenia". Myśl bez wątpienia praktyczna, ale wobec słuchaczy, nie mających żadnych wstępnych studyów, do przeprowadzenia niepodobna. Nikt naturalnie za złe nie może mieć uczonemu teologowi, iż chcąc np. przekonać swych słuchaczów i liczne słuchaczki, iż szczęśliwość Boża zależy raczej na akcie rozumu niż na akcie woli, wolał uciec się do bardzo poetycznego choć w gruncie rzeczy niewiele dowodzącego porównania, niż długim argumentem znudzić otaczających, a ostatecznie ich nie przekonać. Ztąd też konferencye O. Lavy stoją na rozdrożu między kaznodziejstwem a ściśle wziętą teologią, a zwróciliśmy tu na nie uwagę, bo dobrze charakteryzują usiłowania podjęte

w celu zainteresowania nie samych tylko teologów z zawodu nauką św. Tomasza.

W wręcz przeciwnym rodzaju dzieło O. Dummermutha, również Dominikanina: *S. Thomas et doctrina praemotionis physicae*, przenosi nas treścią, układem, a po części i formą z dziewiętnastego w dawno minione wieki, na pole jednej z najtrudniejszych teologicznych kwestyj. Jak nam autor w dalszym ciągu tytułu zapowiada, książka jego skierowana jest na pierwszym planie przeciw O. Schneemannowi, który w głównej, przed kilku laty wydanej rozprawie, usiłował dowieść, iż Molina i cała jego szkoła w tenże sam sposób pojmowali zgodę między działaniem łaski i wolnej woli, co sam św. Tomasz i najdawniejsi Tomiści, i że Molinie należy właśnie poczytać za ważną zasługę wskrzeszenie właściwej myśli anielskiego doktora, przyćmionej przez subtelne rozumowania Bannesa. Przeciw temu twierdzeniu występuje O. Dummermuth, wyprowadzając do walki dzieła samegoż św. Tomasza, najdawniejszych Tomistów, jak Capreola, Cajetana i t. d.; teologów trydenckich jak Dominika Soto i Jędrzeja Vegę; a wreszcie otwartych Molinistów, jak Suaresa, Bellarmina, Toleta i samegoż Molinę, którym — zdaniem autora — nigdy przez myśl nie przeszło, aby św. Tomasza zaciągnąć w swe szeregi, lecz którzy stale i bez wyjątku system „predeterminacyi fizycznej“ nazywali systematem *tomistycznym*. Nie wchodząc w bliższy rozbiór tej polemiki, od której zresztą rozwiązania nie zależy bynajmniej *wewnętrzna* wartość ani molinistycznej, ani tomistycznej teoryi, widzimy z przyjemnością, iż uczony autor nie przekracza nigdy granic zakreślonych poważną, uczoną polemiką, a szyderczym lub rozgniewanym tonem przeciwników nie zraża. Gdyby wszystkie dawne spory między Tomistami a Molinistami w ściśle tylko scientyficznym tonie się odbywały, kto wie czy dzisiaj książki OO. Schneemanna i Dummermutha byłyby jeszcze na czasie, a w ogóle czy byłyby możliwe!

W rzędzie teologicznych monografij zwracają na siebie uwagę trzy niemieckie dzieła: *Schella* „Działanie Boga w Trójcy jedynego“, *Koeniga* „Stworzenie i poznanie Boga“, *Oswalda* „Nauka o uświęceniu“. *Schell* wziął sobie za zadanie wykazać, jak cała objawiona wiara, wszystkie nadprzyrodzone środki naszego usprawiedliwienia wypływają i zmierzają do tajemnicy Trójcy Najśw., owego słońca, które

promieniami swemi ogrzewa i oświeca całą nadprzyrodzoną krainę wiary. Wzniosłe zadanie, a zarazem gruntownie i z erudycyą wykonane. Tajniki i cudy wiary katolickiej: łaska, Kościół, Wcielenie, Sakramenta, cześć dla Maryi i świętych, wzięte, jako działanie Boga w Trójcy jedynego, w nowem przedstawiają się świetle, nowe niezgłębione widoki otwierają przed zdumionem okiem. Autorowi zarzucićby można jedynie, iż uniesiony wielkością i wzniosłością przedmiotu, nie zawsze umie na czas powstrzymać pióro, wyrywając się za wyobraźnią, przez co niektóre ustępy tracą na niezbędnej jeśli gdzie, to w tej przedewszystkiem materyi, teologicznej ścisłości. Jak *Schella* unosi czasem wyobraźnia, tak *Koeniga* porywa obfitość materyału, który widocznie pod ręką mu się mnoży i grozi co chwila przekroczeniem pierwotnie zakreślonego planu. Czy i w jaki sposób rozum ludzki dojść może do poznania, że Bóg istnieje, oto pytanie, na które autor starał się odpowiedzieć już przed kilku laty, w szeroko rozpowszechnionej książce: *Świadectwo natury o istnieniu Boga*, a które teraz rozbiera ponownie z większą jeszcze starannością i z większym zasobem erudycyi. Usunąwszy na bok ontologizm i tradycyonalizm, wznosi się autor idąc w ślady Pisma św. od stworzenia do Stwórcy i wskazuje, że wszystkie nowe odkrycia w dziedzinie nauki, na których materyaliści tyle pokładali nadziei, są właśnie szczeblami do coraz lepszego poznania odwiecznego Stwórcy. Darwin i Kant, Heckel i Hartman, głosić muszą, jak nierozumne zwierzęta w Dawidowym psalmie chwałę Bogu i opowiadać ją wbrew własnej swej woli i zamiarom. *Nauka o uświęceniu* tj. *o łasce, usprawiedliwieniu i słuchaniu łaski* Oswalda jest właściwie tylko trzeciem przerobionem wydaniem książki, która po raz pierwszy okazała się już przed piętnastu laty i, podobnie jak *Nauka o Sakramentach i o Odkupieniu* tegoż samego autora, znalazła powszechnie przychylne przyjęcie. Z pism Oswalda przebija duch pobożności i głębokiego zamiłowania dla traktowanej materyi a duch ten udzielać się musi uczniom i czytelnikom. Pewne niedokładności poprzednich wydań są w niniejszem w znacznej części uchylone.

Z zupełnie różnym zakrojem, w innych barwach i samym już wyborem podjętych przedmiotów zmienne są teologiczne monografie wyszłe zpod pióra Francuzów. Kiedy *Schell* lub *Oswald* usiłują odsłonić choć rąbek zasłony pokrywającej niezbadane tajniki Boga

w Trójcy jedynego lub tajemniczego działania łaski w sercach ludzkich — to teolodzy francuscy zastanawiają się nad zagadnieniami mniej może trudnemi, lecz równie, choć nie więcej od poprzednich ważnemi, a od których rozwiązania, rozogniającego umysły wierzących i niewierzących, zależą bezpośrednio bardzo doniosłe praktyczne następstwa: „Czy kościół sprzeciwia się wolności, jaki jest wzajemny stosunek Kościoła do państwa; jaki wpływ wywiera religia na społeczeństwo, na politykę, na ekonomię“? — oto pytania, na które odpowiadają nam książki mniejszej objętości od poprzednio rozbieranych, choć względnie nie mniejszej ceny.

Jerzy Romain w pierwszej z tych książek: *Czy kościół jest wrogiem wolności?* dowodzi jasno i pięknie, a dowody swe stwierdza historyą, iż Kościół nie tylko nigdy nie stawał i z samego swego założenia stawać nie może w obronie tyranii, ale że przeciwnie był on zawsze najlepszym opiekunem dobrze zrozumianej i dobrze użytej wolności. Pozorne trudności topnieją same z siebie, byle im się kto zechciał dobrze przypatrzyć i zrozumieć, iż Kościół jak nie chciał i nie mógł zaprządz się w służbę bizantynizmu, tak też nie może zezwolić i popierać wyuzdanej swawoli słów, pism i czynów. Jak zresztą błogim jest wpływ kościoła dla społeczeństwa i jak kościół wszystko popiera, co przynosi ludzkości pożytek a więc prawdziwą wolność, postęp i nawet materyalny dobrobyt, o tem przekonywa nas obszerne studyum L. Desgrand'a, prezydenta i założyciela geograficznego towarzystwa lugduńskiego: *O wpływie religii na ekonomiczny rozwój narodów.* Uczony ekonomista wskrzesza starą, przez wielu dziś z ironicznym uśmiechem przyjmowaną tezę, iż prawdziwa wiara jest rzeczywiście zadatkiem nie tylko wiecznego szczęścia ale i doczesnej pomyślności. Jakoż, rozebrawszy fundamentalne zasady wrogich chrześcijaństwu religijnych systematów, widzimy, iż każdy z nich mniej lub więcej niszczy harmonię między człowiekiem a jego otoczeniem, a tem samem sprzeciwia się należytemu wyzyskiwaniu skarbów złożonych w naturze. Bramanizm — wprowadzaniem ściśle od siebie odgraniczonych kast; budaizm — niezdrowym mistycyzmem; chiński konfucyanizm — nieruchomym, jedynie w formach i dawno przestarzałej rutynie żyjącym konserwatyzmem; mahometanizm — zniechęcającym fatalizmem, który czasem zdoła popchnąć do rozpaczliwej walki, ale częściej popycha do zupełnego

opuszczenia rąk, — stawiają nieprzebytą zaporę między sobą a duchowym postępem i prawidłowym ekonomicznym rozwojem. Tembardziej takiemu rozwojowi sprzeciwia się racyonalizm, który dążąc do ustanowienia rządu bez Boga, tem samem podkopuje wszelką powagę i samo nawet pojęcie o prawie własności. Socyalizm państwowy jest z samej swej natury zagubą wszelkiego dobrobytu; a każde państwo bez Boga płynie pełnemi żaglami do państwowego socyalizmu. Dzisiejszą cywilizacyę i wszystko czem dziś się chlubimy, kończy autor, zawdzięczamy religii chrześcijańskiej i zasadom, które ona w świat wprowadziła; uważajmy, aby wespół z korzeniem, wciąż przez nas podcinanym, nie uschło i drzewo, choć tak wspaniale rozrosłe!

Wespół z Romain'em i Desgrand'em weszliśmy stanowczo na pole apologetyki, której francuscy pisarze muszą się, niestety, wobec spoganienia znacznej części społeczeństwa, coraz wyłączniej oddawać. W tymże samym tomie apologetycznym są *Teologiczne pogadanki dla ludzi świeckich o chrześcijanizmie, jego dogmatach i dowodach* przez ks. Verger'a. Jezuita O. Jeanjacquot streścił w niewielkim tomiku, p. t. *Porządek nadprzyrodzony i Kościół*, 93 tezy, wykazują gruntownie a popularnie czem jest Kościół, czem nadprzyrodzony porządek, jaki i jak ścisły między niemi zachodzi stosunek. Wszystkich książek i broszur popularyzujących we Francyi teologię przytaczać naturalnie nie ma potrzeby, bo dość wskazać na kilka znaczniejszych, aby poznać ogólny kierunek tych wydawnictw.

Kto pragnie się przekonać, czem są i do czego prowadzą wszystkie religie wyjąwszy chrześcijańskiej, ten znajdzie wyczerpującą odpowiedź w pięciu wybornych książkach angielskich, opatrzonych wspólnym tytułem: *Non christian religions systems*, a traktujących z osobna o Islamizmie, Koranie i jego nauce, o Braminizmie, Budyzmie i Konfucyanizmie. Niedorzeczności i szaleństwa wszystkich tych religij są negatywnym, ale nie mniej przekonywającym dowodem boskości wiary chrześcijańskiej. Smutno to wyznać, ale budyzm szerzący się dzisiaj już nie tylko w Azyi ale i w Europie, a znajdujący np. w Paryżu licznych adeptów i wielbicieli, sprawia, iż książki walczące z indyjskiemi i chińskiemi obłędami mają w Europie cechę aktualności, jaką w pierwszej erze chrześci-

jaństwa miały rozprawy wykazujące niedorzeczność kultu Jowisza, Wenery lub Mithry.

Nie wspominamy o ciekawych a uczonych teologicznych rozprawach, licznie rozsianych po francuskich, niemieckich, włoskich i hiszpańskich czasopismach, ani nawet o kilku podręcznikach specyalnie do wykładów szkolnych przeznaczonych, choć niektóre, jak np. dwa tomy *Platelli'ego Synopsis cursus theologici* istotnie na uwagę zasługują, gdyż nie było zamiarem naszym wyliczać wszystkie nowsze teologiczne artykuły i książki, jedynie zaznaczyć główne prądy uwydatniające się w najnowszych teologicznych wydawnictwach. Dzieł genialnych, między najnowszemi temi wydawnictwami nie znajdujemy, ale na takie dzieła składają się wieki; natomiast nie brak dzieł prawdziwie uczonych i głębokich, które rozwinęły i posunęły naprzód tę najwznioślejszą ze wszystkich umiejętności. Daj Boże, aby i u nas nastąpił większy rozwój w tym kierunku, a co zatem idzie ogólniejsze i silniejsze zainteresowanie się teologicznemi kwestyami, które bądź co bądź każdego chrześcijanina tak żywo muszą obchodzić!

X. Jan Badeni.

Institutionen des kirchlichen Kirchwahls, von *Dr. Hugo Lämmer*, Professor an der Uniwersität Breslau S. 525, Freiburg bei Herder 1886.

Dzieło to, owoc długoletnich studyów autora, znanego z prac zwłaszcza na polu historyi kościelnej, skierowane jest głównie przeciw starokatolikom, jak to widać z rozdziału o soborze watykańskim. We wstępie daje autor dokładne określenie prawa i prawodawstwa *(jus i legislatio)* a w jędrnym poglądzie streszcza główne źródła prawa kanonicznego od najdawniejszych aż do naszych czasów. Cały przedmiot dzieli na: 1) prawo publiczne; 2) prawo prywatne. Pierwsza część rozpada się znów na trzy działy: a) Ustanowienie i zarząd kościoła; b) Prawo karne; c) stosunek kościoła do innych stowarzyszeń i do państwa. Druga część zawiera: a) Prawo małżeńskie; b) Prawo patronatów; c) Prawo o stowarzyszeniach; d) Prawo o własności kościelnej.

Na pierwszy rzut oka i, sądząc tylko z liczby stronic, wydawaćby się mogło, że obszerny ten przedmiot w tak szczupłe ramy ujęty dokładnie wyczerpanym być nie może. Dopiero wczytawszy się w długie starannie opracowane noty, przychodzimy do przekonania, że jędrność nie przeszkodziła dokładności. W notach tych, obok dowodów popierających zasady wyłożone w tekście, zwraca autor przedewszystkiem uwagę na dyecezyę Wrocławską; przytacza jej dyecezalne statuta, rozporządzenia biskupie, prawomocne zwyczaje, a w niektórych kwestyach, jak np. pisząc o stypendyach mszalnych, binowaniu, mszach fundacyjnych i t. p. wchodzi w szczegółowy rozbiór. Dobry a w szcze-

gółach trafnie przeprowadzony jest rozdział poświęcony nowszym kongregacyom zakonnym, ich nowicyatom, regułom i t. d. W pytaniach odnoszących się do *forum mixtum* staje autor na gruncie czysto katolickim, z należytem uwzględnieniem praw państwowych a osobliwie pruskich, z których nieraz długie paragrafy *in extenso* cytuje. Musimy tu jednak zrobić pewne zastrzeżenia, z któremi już i w innych pismach się odezwano. Prawda, że prawo niemieckie nic a nic wiedzieć nie chce np. o przywileju *Immunitatis* dla osób duchownych; ale chociaż Kościół faktycznie nie raz nie może tego przywileju używać, to przecież nigdy z niego nie zrezygnował, jak jasno widać z pewnych jego szczątków przechowanych w konkordacie austryackim. Również niejasnem i dwuznacznem jest zdanie, iż „dobra duchowne prawnie poddane są władzy państwowej“ (str. 330), lub oryginalnie brzmiące zdanie o małżeństwach mieszanych. (str. 397). Streszczając te nasze zastrzeżenia, zdaje nam się, iż te i parę innych niedokładności wypływają z jednego źródła a mianowicie z nierozróżnienia między smutnemi faktycznemi stosunkami a właściwą myślą prawodawstwa kościelnego. Kilka tych usterek nie przynosi naturalnie ujmy całemu dziełu, ważnemu zwłaszcza dla szląskich kapłanów.

Ks. A. Kraetzig.

Notions de Géologie, accord de la cosmogonie scientifique avec la cosmogonie sacrée, par *A. Raingeabd*, prêtre de saint-Sulpice, professeur des sciences au grand séminaire de Rodez. — Nouvelle édition entièrement refondue, avec 28 planches. — Un vol. in 8° de VIII. 286 p. Rodez, imprimerie Carrère 1886.

Choć już niemal cała biblioteka istnieje o harmonii między naukową kosmogonią a opowiadaniem Pisma św. o stworzeniu świata, to przecież dzieło O. Raingeabd'a, powstałe z wykładów w seminaryum w Rodez, nie tylko nie jest zbytecznem, lecz owszem złączeniem naukowej ścisłości z możliwą popularnością, ważnym i cennym jest nabytkiem. Dzieło to dzieli się na cztery części: 1) Składniki skorupy ziemskiej; 2) Obecne zjawiska; 3) Historya kuli ziemskiej; 4) Zgoda z Pismem św. — Pierwsza i druga część przygotować ma czytelnika do dwóch ostatnich części, a zwłaszcza do ostatniej, która jest właściwem jądrem całego dzieła. Poznawszy mineralne i organiczne składniki ziemskiej skorupy; przypatrzywszy się w ogólnych zarysach królestwom flory i fauny, które między siebie panowanie nad ziemią podzieliły; zbadawszy wreszcie zjawiska, dziś jeszcze nieustannie modyfikujące powierzchnię ziemską — możemy już sobie wytworzyć ogólny obraz tego co się działo w zamierzchłych geologicznych epokach.

Tak przygotowany czytelnik przystępuje do zapoznania się z historyą kuli ziemskiej. Dwaj główni historycy: Laplace i Faye zupełnie się w opowiadaniu tej historyi nie zgadzają; autor, zastrzegając się, iż ostatniego słowa wyrzec tu nie można, przechyla się na stronę Laplace'a. Przez długie lata walczyli Neptuniści z Plutonistami, a przeciw jednym i drugim szli do boju stronnicy systematu katastrof i systematu przyczyn jeszcze teraz działających; podobno wszyscy mieli słuszność i nikt jej nie miał, o ile kładąc wyłączny nacisk na działanie jednego czynnika, wszystkie inne bezwarunkowo wykluczał. Ale czy, w ten sposób pojęta historya kuli ziemskiej, nie sprzeciwia się opisowi stwo-

rzenia w pierwszym rozdziale księgi rodzaju; czy wiedza nie staje tutaj do walki z objawieniem? W odpowiedzi na to pytanie, daje autor w czwartej części swego dzieła egzegetyczny i scientyficzny komentarz do odnośnych ustępów Pisma św., cytując, a nierzadko opierając się na zdaniach Ojców i nowszych komentatorów. Pismo św. nauce, a w szczególności geologii nie sprzeciwia się i sprzeciwiać nie może; kto twierdzi przeciwnie, ten daje tylko sobie świadectwo, że ani o Piśmie św., ani o geologii, a przynajmniej o wzajemnym ich stosunku nie ma najmniejszego wyobrażenia.

B.

Le Naturalisme, por M. *Emilia Pardo-Bazan* p. 320. Paris. E. Giraud. 1886.

Czy można zostać katolikiem, hołdując w literaturze realistycznemu prądowi? — oto pytanie, na które odpowiada jedna z najznakomitszych powieściopisarek hiszpańskich: Emilia Pardo-Bazan w ciekawej książce przyswojonej przed paru miesiącami francuskiemu językowi przez P. Alberta Savine. Autorka jest w tej chwili królową realistycznych romansopisarzy hiszpańskich; z drugiej jednak strony chroni się usilnie zatrutych śladów Balzaca i Zoli, a choć pisze realistycznie, nie przestała kochać i praktykować religii katolickiej. To też nietrudno przewidzieć jaką da odpowiedź, skreśliwszy lekkiem a ponętnem piórem portrety dowódców realistycznej powieści we Francyi i w Hiszpanii, autorka wskazuje namacalnie, iż Balzac, Zola, Daudet, Flaubert nie dlatego są niebezpiecznemi dla serc i wyobraźni, iż starają się jak najwierniej rzeczywistość odmalować, ale dlatego, iż uciekając od światła, gonią za ciemnością, a światło i ciemność, właśnie wbrew prawdzie w jednym stawiają szeregu i wbrew wrodzonym wszystkim ludziom popędom, identycznie tą samą miłością, czy nienawiścią chcieliby je objąć. Realiści hiszpańscy odmalowują również rzeczywistość, ale mają dość taktu i rozumu, aby za szczyt rzeczywistości nie uważać błota, i wciąż tylko błoto, o ile można najnaturalniejsze, najbardziej do rzeczywistości zbliżone, w obrazkach swych rozpowszechniać. Wyborne to i prawdziwe uwagi, doskonale rozróżniające między „realistami“ a „realistami“, realistami piękna a realistami brzydoty; z pierwszymi religia nigdy nie stanie do walki, drugich potępić musi, jak potępia wszystko, co kazi i upadla.

Очеркъ науки о языкѣ М. Крушевскаго, доцента Императорскаго Казанскаго Университета. Казань 1883, 8⁰ 148. (Zarys nauki o języku M. Kruszewskiego, docenta cesarskiego uniwersytetu w Kazaniu).

M. Kruszewski znany ze swoich dzieł naukowych każdemu, ktokolwiek tylko zajmuje się lingwistyką choćby na szczupłe rozmiary. Cały szereg jego prac pojawił się w „Wiestniku warszawskim“, a między niemi i ta, o której mamy kilka słów wypowiedzieć.

Lingwistyka, istniejąca zaledwo od lat 50-ciu, przebyła już dwie główne fazy w swoim rozwoju. Kiedy początkowo chodziło głównie o to, żeby wykazać pokrewieństwo języków aryjskich i wynaleźć zasady, na podstawie których

tego podobieństwa należy dociekać, zaczęto później rekonstruować języki, z których wrzekomo rozwinęły się inne im pokrewne. Na podstawie czysto naukowych kombinacyj zaczęto odtwarzać język praaryjski, pragermański, prasłowiański i t. d. To pierwsza epoka lingwistyki, rozpoczęła się z wystąpieniem słynnego profesora uniwersytetu berlińskiego Fr. Boppa, a skończyła się, można rzec, ze śmiercią A. Schleichera, jakkolwiek epigonowie tej szkoły do dziś dnia żyją i działają.

Jeszcze za życia Schleichera zaczęła kiełkować myśl nowa. Spostrzeżono się, że podstawy, na których owe rekonstrukcye się opierają są dość kruche, a zatem i gmachy na nich budowane zagadkowej częstokroć muszą być wartości. Chcąc dojść do pewnych rezultatów, trzeba przedewszystkiem obeznać się z życiem języków, a skoro zdobędzie się wszystkie prawa, jakiemi się rządzą języki, to i rekonstrukcye będą pewniejsze. Zresztą zadaniem lingwistyki nie może już być dociekanie pokrewieństwa języków, bo o niem jesteśmy już mocno przekonani, ani rekonstruowanie języków zamarłych lub tylko wymarzonych, bo to nie na wiele się przyda, ale po prostu badanie wszechstronne tego zjawiska, które językiem nazywamy. Te myśli doprowadziły do nowego zapatrywania się na ligwistykę i do wytworzenia się nowej szkoły gramatyków. Dziś już nie o to chodzi, żeby, dajmy na to, umieć wyprowadzić każdy wyraz polski z sanskrytu lub odwrotnie, ale o to, żeby umieć dochodzić przyczyn zjawisk językowych; dziś już nie ten największy lingwista, kto zebrawszy sobie słowniki i gramatyki wszystkich języków aryjskich, medytuje nad tem, które wyrazy odpowiadają sobie nawzajem w tych językach, ale ten, kto umie powiedzieć, dlaczego to lub owo w tym lub owym języku zaszło, na jakiem prawie to lub owo polega.

Ta nowa szkoła gramatyków zwróciła uwagę i na tę stronę języka, której starsi prawie nie uwzględniali. Spostrzeżono się, że język jest wynikiem nie tylko organów mownych, ale i ducha myślącego; otóż w języku muszą działać nie tylko prawa fizyczne, ale i duchowe czyli psychiczne. Wynika stąd konieczność uwzględniania jednych i drugich praw przy badaniach językowych, a tym sposobem weszła nauka lingwistyki na nowe tory.

Otóż wszystkie prace p. Kruszewskiego odnoszą się do tego nowego kierunku badań lingwistycznych. Jak wobec nowszych teoryj językowych zapatrywać się na elementa mowy, na naturę dźwięków i ich przemiany, na prawa głosowe i formacye wyrazów — oto treść książki, którą mamy przed sobą. Autorowi znane dokładnie wszystkie tego rodzaju prace niemieckich uczonych, widać też i wpływ ich na kierunek jego myśli; to pewna wszakże, że praca ta jest wynikiem długich i mozolnych rozmyślań i samodzielnych badań autora. Moglibyśmy nawet udowodnić, że autor w wielu razach daleko jaśniej i gruntowniej rzeczy pojmuje, aniżeli ci niemieccy uczeni, których dzieła p. Kruszewski miał pod ręką. Tę gruntowność i jasność widzenia rzeczy zawdzięcza on sumiennym studyom nad psychologią i fizyologią, studyom, do których pobudził go niewątpliwie znakomity jego prof. Baudouin de Courtenay.

Wszystkie znane nam prace p. Kruszewskiego, pojawiły się w języku rosyjskim, niewątpliwie ze szkodą dla naszej nauki i literatury. Ktoby jednak z tego powodu chciał p. Kruszewskiemu czynić zarzut, ten musiałby nasamprzód wychłostać tych, którzy nie muszą, a w obcych językach piszą, a wreszcie i tych, którzy pompatycznie o młodych zwłaszcza pracownikach gło-

szą, że „dali się poznać chlubnie nie tylko tu ale i za granicą". Ta chluba zwykle zagadkowej wartości kupiona kosztem ojczystego języka, bodaj-czy chlubą zwać się powinna. Takich mówię trzeba wpierw skarcić, zanimby kto chciał karcić tych, którzy w trudniejszych żyją warunkach.

Z pism peryodycznych.

Theologisch-praktische Quartalschrift. Linz 1886.

Lata kanoniczne, dla każdego czasopisma są najlepszem świadectwem jego wewnętrznej siły i istotnej wartości. Takiego wieku dosięgło w tym właśnie roku linckie czasopismo teologiczne. Stojąc wytrwale na ściśle katolickiem stanowisku, podaje kaznodziejom, teologom i prawnikom wytrawny i zdrowy pokarm. Przypatrzmy się po krótce szczegółom. Jak w poprzednich rocznikach, tak i w niniejszym, zajmuje się czcig. ks. prałat, dr. Hettinger, przedmiotem wielkiej dla kapłanów doniosłości, tj. kaznodziejstwem. W trzech artykułach omawia on t o p i k ę kazań czyli tak zwane *locos communes*, które tak wielu kaznodziei całkiem pomija z niewiadomości lub lekceważenia. A jednak nie masz lepszego środka by mowie swej nadać cechę porządku i przejrzystości. Czcig. autor, wykazując to na przykładach najznakomitszych mowców, uwydatnia zarazem szczegółowo zasady topiczne, ich wartość i zastosowanie praktyczne. Chętnie wtórzymy życzeniu czcig. prałata: oby kopalnie te znalazły jak najwięcej poszukiwaczy złotych zasad kaznodziejstwa... a może więcej byłoby dobrych kazań i obfitsze ich skutki!

Przedmiotem trzeciego artykułu są dydaktyczne wskazówki o zastosowaniu i objaśnianiu Pisma św. w kazaniach. Autor przykładami udawadnia bogactwo myśli w tekstach Pisma św. zawartych, tak że nieraz jeden i ten sam tekst może być bezpośrednią podstawą bardzo wielu myśli, różnych treścią a pełnych najwdzięczniejszego materyału. Oto np. tekst Piotra św. w Liście I. w. 18—19. „Nie skazitelnemi złotem albo srebrem jesteście wykupieni... ale drogą krwią... Chrystusa".

Z tekstu tego wysnuwa autor materyał bardzo obfity: „Jak wielki jest ten okup? Kto go ofiarował? Za kogo? Z jakiej przy-

czyny? Czem jest zatem grzech? Jak wielkie miłosierdzie Chrystusa?“ — Jakże wspaniałe z myśli tych można ułożyć kazanie!..

Podobnym przedmiotem zajmuje się O. Kolb T. J., podając kaznodziejom praktyczne wskazówki do Nabożeństwa Majowego. Najprzód omawia on ujemną w tem nabożeństwie stronę, słusznie karcąc pewne wyrażenia i tytuły, które jakkolwiek z czystych wypływają pobudek zapału i miłości ku N. Pannie, ale wobec dogmatu ostać się nie mogą. Następnie staje autor już na stanowisku dodatniem i tu wskazuje podręczne źródła, jako materyał do tego nabożeństwa, a mianowicie: 14 pism miesięcznych, przeszło 20 kazań majowych i tyleż książeczek o miesiącu Maryi. Użyteczność tych źródeł przedstawia autor nie tylko krytyczną ich oceną, ale i przedmiotowem, chociaż króciutkiem streszczeniem dzieł dawniejszych i nowszych. W końcu przechodzi do książek traktujących o przymiotach, chwale i tytułach N. Maryi P.

Dr. Sprinzl podaje ciekawe dogmatyczne studyum o charitologii czyli nauce o łasce i o eschatologii, na tle pism św. Justyna M. osnute. Dokonawszy analizy całości, słusznie kończy autor temi słowy: „Tak wyraźnie widać tu zarysy prawd katolickiej wiary i moralności, że późniejszy ich rozwój jest tylko jasnem wypowiedzeniem tego, co w pismach św. Justyna zwięźle było streszczone“.

Pracowity profesor dr. Radecavetz z Ołomuńca zastanawia się nad kwestyą: „Czy teolog może też być filozofem“? Odpowiedź oczywiście wypada twierdząco: Teolog nie tylko może, lecz owszem powinien być też filozofem, byleby filozofii nie brał za jedyną, probierczą modłę teologii, ani też nie zaciągał się do szkoły Kanta, nie obeznawszy się z prawdziwemi zasadami filozofii scholastycznej. Bez nich bowiem naraża się na niechybne niebezpieczeństwo zboczenia na błędne manowce.

Piękną pracę o brewiarzu skreślił dr. Schmitt, który już poprzednio tenże sam przedmiot poruszał, udowadniając, że odmawianie brewiarza obowiązuje *sub gravi*. W tym roczniku wskazuje autor sposób, w jaki odmawiać go należy, wyjaśniając znaczenie i zastosowanie przepisu: *distincte, attente et devote*. Do tych objaśnień dołącza autor praktyczne refleksye, kładąc nacisk głównie na dwa błędy: tj. odkładanie brewiarza na ostatnią godzinę a następnie recytowanie go z galopującym pośpiechem.

Dział prawniczy ma tu również swe zastosowanie. Jednak nie w odrębnych, jednolitych rozprawach, ale w poszczególnych wypadkach z zakresu teologii pasterskiej i w objaśnianiu niektórych formuł penitencyaryi, np. formuły: *Semel id est prima vice tantum* odnośnie do jubileuszu; zdaje nam się jednak, że kwestyi spekulatywnej objaśnienie to nie uzasadnia dostatecznie. Nadzwyczaj zajmujący jest artykuł dr. Essera, jaskrawo przedstawiający szalony zamach włoskich, oczywiście liberalnych, prawników. Zamiarem ich jest zwołać kongres do Rzymu, aby zupełniejszej jeszcze niż dotychczas dokonać sekularyzacyi praw rządowych o zawieraniu małżeństwa. Autor dosadnio wykazuje, na jakie niebezpieczeństwa kongres ów narazić może nie tylko kanoniczne ale i austryackie prawo małżeńskie.

Trafne i dla katechetów praktyczne znajdujemy uwagi w rozprawie prof. religii Antoniego Eggera o systemie erotematycznym. W szczególności roztrząsa on najprzód kwestyę, czy katecheta w ogóle pytać powinien, a powtóre jakie pytania stawiać należy tj. pamięciowe, pojęciowe i dowodowe. Dalej podaje autor praktyczne reguły o układzie pytań tak pod względem treści jak formy. W końcu przytacza poszczególne pytania, uzasadniając ich konieczność, porządek, rodzaj i układ, bardzo trafną analizą. Trzy te artykuły prof. Eggera mogą każdemu katechecie wielkie oddać usługi.

Najwięcej może znajdujemy w linckiem czasopiśmie instrukcyi i wskazówek, odnoszących się do pasterstwa dusz w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Pod tym względem czasopismo to stoi istotnie wysoko. Całość tu wyczerpująca, treść obfita, praktyczna i wszechstronna. Każdy pasterz dusz pouczyć się tu może, jak ma urządzić całe kapłańskie swe życie, jak nabożeństwa wszelkie, np. do N. Panny (Dr. Schmitt) najprzód w sobie samym zapalać i podsycać powinien, by je następnie przelać mógł w serca parafian. Obok ściśle duchownych nauk o życiu wewnętrznem pasterza, podaje autor nie mniej cenne uwagi o zewnętrznem jego zachowaniu się i obowiązkach. Jak np. utrzymywać ma w porządku swą biblioteczkę, jak postępować z zwierzchnością świecką, jak w różnem, nawet damskiem, zachować się towarzystwie, jak wzrok jego pasterski czuwać ma nad wszystkiem co do kościoła należy tj. nad porządkiem i schludnością, nad aparatami i bielizną kościelną. Owszem nawet

organy, cmentarz, dzwonnica mają być przedmiotem bacznego i częstego dozoru pasterza. Kwestya administracyi Sakramentów obrobiona tu gruntownie tak co do teoryi jak co do praktyki w rozmaitych wypadkach z działu teologii pasterskiej i w rozlicznych artykułach, jak np. „O poście naturalnym u chorych“, „O pełnomocnictwie spowiedników w czasie ostatniego jubileuszu“, „O udzielaniu wiatyku i ostatniego namaszczenia chorym w stanie bezprzytomności“ i t. d. Teoretyczną podstawą kazuistyki pasterskiej jest tu zazwyczaj powaga znakomitszych moralistów lub też długoletnie doświadczenie. Nie zapomniano tu i o młodzieży, która źrenicą być winna pasterskiego oka. W teraźniejszym roczniku zajął się tym przedmiotem niestrudzony przyjaciel młodzieży Langthaler. Znakomite są jego rozprawy o bibliotekach dla uczniów i o literaturze dla młodzieży. Szczególniejszą zwraca on uwagę na takie książki, które w młodych umysłach rozbudzają władzę poznawczą tak w naukowym jak i w religijnym kierunku. Autor wymienia 50 z górą takich dzieł i dziełek, nie pomijając nawet ulubionych bajek. Wylicza i ocenia mnóstwo doborowych powiastek i opowiadań dla dzieci 8-mio lub 10-cio letnich. Pamięta też o wesołych a pożytecznych rozrywkach dziecęcego wieku polecając bibliotekarzom młodzieży i duchownym pasterzom całe stosy odpowiednich zagadek, wierszyków i t. p.

O. Haringer skreślił piękną i pouczającą biografię ś. p. O. Klemensa Hofbauera. Szczególnie ciekawy jest drugi artykuł, opisujący ciężkie próby przez jakie O. Hofbauer przechodzić musiał w Warszawie, pod rządami Prusaków, którzy podówczas, po trzecim rozbiorze Polski, zajęli tę nieszczęśliwą stolicę. Już wtedy wrzała tam walka kulturna *à la* Falk przeciw Zgromadzeniu i jego szkołom, Prusacy bowiem uważając je za monopol państwowy, działalność Ojców zupełnie paraliżowali.

Aby zaś abonenci tego czasopisma czerpiąc zeń duchowe czy naukowe pożytki, mogli być też zawsze *au courrant* współczesnych wypadków, podaje więc dr. Scheicher („Kirchliche Zeitläufe“) sprawozdanie z ważniejszych zajść i wypadków w katolickim świecie. Przytem różni krytycy zamieszczają tu oceny najnowszych dzieł z dziedziny teologii i filozofii, tak, że szybko i łatwo nie tylko poznać można ich wartość, ale i uchwycić wątek samejże treści. Nadto

w dodatku do każdego zeszytu dołączone są odpowiedzi i dekrety rzymskich kongregacyi, co dla duchownych pasterzy niezmiernie jest ważnem.

Z tego cośmy powiedzieli łatwo każdy pozna, że Redakcya stara się, aby kapłanom dostarczyć praktycznego materyału, tak dla nich samych, jak i dla dusz ich pieczy powierzonych.

X. A. Kraetzig.

Rozmaitości.

Przemowa rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przed trzema miesiącami nowo obrany rektor Jagiellońskiego Uniwersytetu, Stanisław hr. Tarnowski, otwierał uniwersyteckie wykłady mową, w której zachęcał licznie zebraną młodzież, aby pamiętała na świetne tradycye *Almae Matris* krakowskiej. Co wtedy w krótszych zawarł słowach, to szerzej rozwinął, a praktycznie zastosował w mowie mianej z powodu immatrykulacyi uczniów uniwersyteckich 7 grudnia 1886 r. Dostojny mowca zaznaczył najprzód rodzaj i ciężar obowiązków, pod jakim już w młodych latach uginać się musi każdy człowiek, jeśli chce godnie odpowiedzieć swemu powołaniu, zwrócił następnie uwagę na przeszkody, jakie napotykają w życiu codziennem. Bogatszego młodzieńca odrywa od nauki wir zabaw i wrzekome obowiązki towarzyskie; uboższemu troska o chleb powszedni zabrania pilnie i stale uczęszczać na wykłady. Inne przeszkody są wszystkim wspólne: brak hartu duszy, brak wzajemnej wyrozumiałości, nadstawianie ucha pochlebcom, którzy szepczą podstępnie młodzieży, iż ona jedynie rozumna, jedynie energiczna i patryotyczna. Ale nie to największe i najgroźniejsze niebezpieczeństwo; jest inne jeszcze, ogromnej doniosłości, które nowy rektor wypowiedział z powagą piastowanej godności, a zarazem ze zwykłą sobie głębokością myśli i świetnością słowa. Przytaczamy dosłownie cały ten ustęp dla tej części młodzieży naszej, która od swych mistrzów i powag naukowych, inne zwykła słyszyć nauki.

Przeciw pochlebstwu jest broń dobra: rozsądek, który je przenika; prostota, która w niem nie smakuje. Trudniej walczyć z innem niebezpieczeństwem, z tym duchem przeczenia i nienawiści, który w naszych czasach chce opanować każdego i wszystko. Ale i na to jest rada. Jeżeli nas kuszą nienawiści społeczne, niech zwycięży pokusę, miłość ojczyzny tą jedną uwagą, że nie może naprawdę kochać całości, kto nienawidzi części. Jest inne przeczenie, nienawiść jeszcze bardziej niebezpieczna, nienawiść chrześcijaństwa, nienawiść katolickiej wiary i Kościoła, coraz powszechniejsza także, coraz bezczelniej otwarta. Myli się, kto sądzi, że od tej tylko Bóg bezpośredniem działaniem może człowieka ustrzedz i obronić. Bóg oczywiście, ale przez człowieka i jego wolę. Wiara jest niezależną od nas łaską, ale jest i cnotą, a tą nie mogłaby być, gdyby nie była od naszego starania, od naszej woli zależną. Zachowa ją ten, kto na prawdę zechce; kto spotkawszy na swojej drodze wątpienie, czy przeczenie, nie podda mu się potulnie i ślepo, nie uwierzy mu, że ono jest mądrością i prawdą, ale stosując do przeczenia samego tę zasadę wolnego badania, którą ono się zasłania, weźmie je na egzamin spokojnie, lecz ściśle; kto nie przestanie miękko na pozorach i powierzchni, ale przeczenie zbada odważnie i poważnie do gruntu. W naszych zaś czasach tego nie robi się prawie nigdy. Przeciw prawdom bożym, przeciw zasadom, uznawanym przez ludzkość w całym ciągu jej istnienia, protestuje się w imię badania, które się wolnem nazywa, kiedy częstokroć jest tylko swawolnem. Ale kiedy jeden umysł ludzki wystrzeli z pomysłem lub domysłem i za prawdę go ogłosi, my nie mamy odwagi tego pomysłu poddać wolnemu i umiejętnemu badaniu, któreby jego błahość wykryło, w imię wolnego myślenia poddajemy się w niewolę przeczenia, które zbyt często dlatego nam się mądrem wydaje, że jest zuchwałem. A tak go wszędzie pełno, że sposób na nie znać trzeba i trzeba pamiętać, że działania w przeczeniach i nienawiściach poczęte, choć się czasem udają, to nigdy na długo, nic trwałego zbudować, nic zabezpieczyć, nic zbawić nie są zdolne.

„Ze słabością łamać uczmy się za młodu“, powiedział w wierszu, który nad wszystkie może lubicie, wielki poeta, którego śmierci rocznicę obchodziliście przed kilkoma dniami. Dobrze powiedział: „łamcie się z wszelką słabością“, ale i tej nie dajcie nad sobą wziąć góry, pamiętajcie, że ta powolność i łatwowierność względem przeczenia jest także słabością umysłu niezdolnego do istotnego, sumiennego, wszechstronnego zbadania rzeczy, poprzestającego na pozorach: wiotkością woli, która walki podjąć i stoczyć nie śmie, albo się leni. Weźcie te słowa Mickiewicza na drogę waszego uniwersyteckiego życia i miejcie je zawsze w sercu zapisane, a w myśli przytomne. Do słów zaś wielkiego poety, dodajcie drugie słowa wielkiego króla, którego znowu śmierci trzechsetna rocznica za dni kilka przypada. *Disce puer* miał mówić Batory, *faciam te Mości panie*. Te słowa, przetłumaczone na dzisiejszą polszczyznę znaczą: „ucz się chłopcze, nie na to, żebyś ty, ale żeby twój naród wyszedł na wielkiego pana“.

Tygodnik Rzeszowski.

Dwa główne odcienia krakowskiej i lwowskiej prasy przeniosły się od pewnego czasu i do miast prowincyonalnych; czem we Lwowie lub Krakowie jest *Gazeta Narodowa* lub *Nowa Reforma*, tem np. w Rzeszowie jest *Kuryer Rzeszowski*; czem jest *Przegląd* lub *Czas*, tem w Rzeszowie znowu naturalnie *mutatis mutandis* jest konserwatywny *Tygodnik Rzeszowski*. Tygodnik ten, którego odpowiedzialnym redaktorem jest p. Karol Novak, liczy dopiero dwa lata istnienia, stąd nie rozwinął się jeszcze tak, jakby sobie jego założyciele i wydawcy życzyli; rozwinął się jednak dosyć, aby już dziś można stwierdzić, iż informując czytelników o ważniejszych sprawach zwłaszcza krajowych i miejskich, i rozumnie kierując ich opinią odpowiada swemu zadaniu.

Obok tego krótki *Przegląd Polityczny* zaznajamia czytelników z ważniejszemi kwestyami polityki europejskiej; ale *Tygodnik* ma tyle taktu, iż poza tym nie wypływa już na wody wielkiej polityki, nie godzi Gladstona z Salisburym, nie podaje mądrych rad ani niemieckiemu, ani rosyjskiemu, ani nawet austryackiemu kanclerzowi; co więcej nie usiłuje wpłynąć na obrady Koła polskiego w Wiedniu, lub choćby tylko Sejmu lwowskiego; lecz omawia stosunki zdrowotne w Rzeszowie i okolicy, zastanawia się nad miejskim ogrodem i propinacyą, nad zjazdem gorzelników polskich w Rzeszowie, nad upadającem coraz bardziej towarzystwem oświaty ludowej i nad smutnym losem innych nie mniej upadających stowarzyszeń. Korespondencye z okolicznych miasteczek: Sokołowa, Tyczyna, Rymanowa i t. d. dopełniają ogólnego obrazu życia, szlachetnych zamiarów, drobnych walk, różnych interesów wszystkich tych miejscowości. Polemika z *Kuryerem Rzeszowskim* np. w kwestyi „detronizacyi“ burmistrza, a bardziej jeszcze zgryźliwe artykuliki w rubryce *Nadesłane* rzucają smutne światło na różne spory i waśnie toczące się w nieparlamentarny sposób po mniejszych miastach.

Z dłuższych artykułów zwraca na siebie uwagę rozprawa: *O opłacie szkolnej*, a zwłaszcza wymienione już raz *stosunki zdrowotne w Rzeszowie i okolicy*, praktyczne uwagi „O pokarmach i napojach“, pióra widocznie jakiegoś doświadczonego lekarza sprawią, iż niejeden z pilnych czytelników *Tygodnika* nie tak często po-

mocy lekarza będzie potrzebował. Umieszczone niedawno temu w fejletonie *Wspomnienia z powstania 1863 r.*, zalecają się brakiem zwykłej w podobnych wspomnieniach fanfaronady. *Gawędki niedzielne*, których autor pragnie być rzeszowskim Lamem; nie bez dowcipu skreślone *Szkice kąpielowe;* opis *Pielgrzymki do Lourdes*, świadczą o gorliwości redakcyjnego komitetu, który nie mało musi się nakrzątać zanim czytelników swych zdoła pouczyć i rozweselić taką wiązanką.

Pisząc o dodatnich stronach *Tygodnika*, musimy także zwrócić uwagę i na ujemne. Przedewszystkiem nie mile rażą informacye czerpane z *Kuryera lwowskiego*, pisma, którego uczciwy człowiek nie weźmie do ręki; tembardziej, że te same wiadomości wyjąć można było z każdej innej gazety. Przy wzmiance o ukazaniu się *Głosu* jak i o świeżo wyszłych powieściach Orzeszkowej, należało choć słówkiem napomknąć o ich barwie i tendencyi. Wyrażenie, iż Lam był jednym „z największych w Europie potentatów“ pióra, brzmi nieco za bombastycznie. Otóż i wszystkie niemal zarzuty z ostatnich kilkudziesięciu numerów, bo że gdzieś jeszcze, jeden ze znanych naszych pisarzy otrzymał imię nie swoje lecz swego brata, a w dodatku na poczekaniu kreowany został Jezuitą, to redakcyjny figielek, za który nie potrzebuje się *Tygodnik Rzeszowski* rumienić.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Chwilowe nieporozumienie między katolikami niemieckimi. — Katolickie *Centrum* bawarskie. — Wzrost katolicyzmu w Anglii. — Kwestya ambasady angielskiej w Watykanie. — Duchowieństwo Irlandzkie. — Układ z Czarnogórą. — Wskrzeszenie arcybiskupstwa Barskiego. — Arcybiskup Milinović. — Nowe zamachy przeciw Kościołowi we Francyi.

Przed kilku miesiącami zdawało się, że w Niemczech już ostatecznie zakończyła się walka kościelna, i że wszyscy, znużeni długoletniem a bezowocnem jej trwaniem, nie zechcą dłużej tamować naturalnego rozwoju katolicyzmu. Przewidywania te w części tylko się ziściły. Nie mówiąc już o dość dziwnem *veto* przeciw nominacyi na proboszczów księży Jażdżewskiego i Wartemberga, *veto* które z pewną dozą dobrej woli możnaby jeśli nie wytłumaczyć to przynajmniej zrozumieć, rzeczą wydaje się oczywistą, iż tajemna jakaś a wroga Kościołowi ręka stara się skorzystać z dopiero co zawartego pokoju w celu rozdwojenia niemieckich katolików, i osiągnięcia w ten sposób planów, których innemi drogami osiągnąć nie było można. Prawda, że ostatnie chwilowe nieporozumienie w szeregach katolickich nie tak było z góry uplanowanem, jak raczej wynikło poprostu z winy niepomyślnych okoliczności i braku wzajemnego wyrozumienia, — ale sposób w jaki wrogie katolicyzmowi żywioły starały się to nieporozumienie podnieść do olbrzymich niebywałych rozmiarów wskazuje, jak bardzo byłoby im na rękę rozdwo-

jenie katolików i że pewnie nad takiem rozdwojeniem nie przestaną i nadal pracować.

W kilku katolickich gazetach pojawiły się wzmianki, iż fuldajski biskup Kopp, zbytnie ulegając rządowi, zezwolił mimo protestacyi jednego z inspektorów, von Schorlemer, na wykonanie praw majowych w konwikcie podległym swemu zarządowi, a co gorsza, iż w kwestyi powrotu zakonów do Niemiec stanął na stanowisku może dyplomatycznem, ale i sprzeciwiającem się wręcz życzeniom katolików niemieckich. Temu usposobieniu biskupa przypisywano niepomyślne dla katolików wybory w Hünfeld, gdzie po raz pierwszy *Centrum* doznało porażki. Biskup Kopp odparł wszystkie te insynuacye w energicznym liście do *Germanii* pisanym: „Wtedy „dopiero, pisał on, otwarłem konwikt w Fuldzie, kiedy z bardzo wy„sokiego miejsca otrzymałem zapewnienie, że prawa majowe nie będą „odnośnie do niego wykonywane. Inspektorom i panu von Schorle„mer dałem instrukcyę, aby nie ścierpieli inspekcyi przepisanych „przez prawa majowe i nie dozwolili nikomu mieszać się w sprawy „wewnętrzne konwiktu, a w szczególności wychowanie religijne... „Absolutnie nie wiem, czy rząd i w jakiej mierze zamyśla uczynić „papieżowi ustępstwa co do powrotu zakonów do Niemiec. Dotych„czas nie miałem możności za temi ustępstwami się odezwać i nie „mogłem w Rzymie popierać sprawy, której sam nie znam". Protestacya spisana była w formie twardej i ostrej; pomimo tego dzienniki katolickie, te nawet, przeciw którym wprost była wymierzoną, przyjęły ją z naśladowania godnem uszanowaniem. „Odkąd, pisały „za *Germanią* wszystkie katolickie gazety, biskup Kopp i baron „von Schorlemer odnieśli się do sądu wyższej swej władzy, a miano„wicie arcybiskupa kolońskiego, aby tenże rozstrzygnął kto ma za „sobą słuszność; odkąd sprawa ta stała się wspólnym przedmiotem „narad całego episkopatu, katolicy mają w ręku gwarancyę nale„żytego jej rozwiązania, a nasi wrogowie napróżno chcieliby wyzy„skać wrzekome rozterki".

Jeśli na czem nie brakło, to na dobrej chęci wyzyskania chwilowej, dziś szczęśliwie już zapomnianej waśni. *Post*, zacytowawszy z tryumfem list biskupa Koppa, usiłowała w nim dopatrzeć oznakę podwójnego prądu istniejącego w Kościele. *Freisinnige Zeitung* i *Berliner Tagblat* ogłosiły światu, iż cały ten wypadek jest wstę-

pem do zupełnego rozkładu dotychczas tak silnego katolickiego organizmu. *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* zapomniała niespodzianie na wszystkie dawne zarzuty przeciw papieżom i papiestwu, aby, unosząc się nad „pokojowymi zamysłami“ Leona XIII. i nad jego encykliką do portugalskich biskupów, stworzyć sztuczne nieistniejące przeciwieństwo między Rzymem a „demagogiczną publicystyką“ i „dziennikarskimi kapelanami prowokacyi“. Ciekawa to rzecz, zauważa trafnie *Korespondencya Parlamentarna*, iż ci co niedawno jeszcze marzyli jedynie o „zrewoltowaniu Kościoła“, teraz przybierają minę protektorów papieża i biskupów przeciw tym niegodziwym ultramontanom. W dalszym ciągu ważnego swego artykułu odsłania *Korespondencya* maskę z podejrzanej tej pieczołowitości o powagę papieża: „Chcianoby podkopać Kościół, odłączając „duchowieństwo od papieża, stawiając biskupów w przeciwieństwie „do *Centrum*. Dopełniwszy tego dzieła nie trudno już zgnieść jed„nych i drugich. Ale Rzym nie dał się nigdy chwycić na lep po„dobnych intryg. Dość znaną jest dziedziczna jego mądrość; a jak „na stałość papieża, tak niemniej możemy liczyć na to, iż biskupi „nigdy nie opuszczą silnie a jednomyślnie dotąd zajmowanego stanowiska“. Istotnie wszystkie nadzieje takich dzienników jak *Post* lub *Berliner Tagblat*, spełzły dzięki Bogu na niczem; chwilowe rozterki zawsze i wszędzie zdarzyć się mogą, ale tam gdzie tak silnie zakorzenione jest przywiązanie do wiary i posłuszeństwo dla władzy kościelnej, jak w sercach wyćwiczonych długoletnim bojem niemieckich katolików, rozterki te nie doprowadzą nigdy do istotnego rozdziału w łonie naszego *Centrum* a tem mniej do rozdziału między na wskróś katolickiem *Centrum* a episkopatem i papieżem.

Jak w ogóle niemieccy, tak specyalnie bawarscy katolicy robią co mogą, aby sprowadzić swą ojczyznę z torów, po których zbyt długo popychało ją kilku wolnomularzy. W obecnej chwili najważniejszą, piekącą kwestyą są wybory do parlamentu, w przyszłym roku odbyć się mające, od których zależeć będzie, czy katolicka większość, czy wolnomularska w intrydze wyćwiczona mniejszość, obejmie ster rządów. W pierwszej chwili, po tragicznej śmierci króla Ludwika, dało się w szeregach katolickich odczuć pewne wachanie; dziś przejściowe to niebezpieczne stadyum minęło. Prasa katolicka poświęciła rozumnie drobne zawiści, a dotychczasomy ka-

tolicki *Klub patryotyczny*, zamieniwszy swą nazwę w *Bawarskie Centrum*, wespół z nazwą rozszerzył zakres działania i jak można się spodziewać, potrafi przy bardziej sprzyjających okolicznościach, uczynić przynajmniej tyle dobrego, co niemiecki współimiennik. Nadzwyczaj ważny we wszystkich niemieckich katolickich dziennikach ogłoszony dokument, streszczający całą działalność konserwatywnej większości między 1831 a 1886, podaje tem samem program działania na przyszłość. Katolicy starali się przedewszystkiem o wprowadzenie zasad chrześcijańskich w życie publiczne i o zapewnienie religii katolickiej stanowiska, jakie jej się należy wedle konkordatu i prawomocnej deklaracyi Teggernseeńskiej. Niekonstytucyjnie rządzący Bawaryą gabinet Lutza obchodził wszelkimi sposobami te prawa; wszakże stałość i wytrwałość katolików sprawiła, że już w r. 1882 musiało ministeryum obmyśleć pewien *modus vivendi* między ministeryalną mniejszością a katolicką większością parlamentu. Uczęszczanie do szkół mieszanych przestało być obowiązującem; zezwolono na otwarcie „katolickiego“ gimnazyum w Würzburgu, ufundowano na uniwersytecie Monachijskim i Würzburgskim nowe katedry filozofii i historyi „dla szczerze wierzących katolickich profesorów“, wreszcie wznowiono przy maturze zniesiony przez Lutra egzamin z religii; kilka innych nie mniej ważnych praw szkolnych utknęło na niechęci senatu. Niemniej ważnemi były: uroczyste potępienie pojedynków po uniwersytetach, wnioski tyczące się wojskowych kapelanów i uwolnienia seminarystów od służby wojskowej, tudzież zawezwanie rządu, aby postarał się w radzie związkowej o zmienienie niechrześcijańskich praw o małżeństwie. Połączonym usiłowaniom całej prawicy udało się wciągnąć w policyjny kodeks karny stosowne rozporządzenia przeciw konkubinatowi. Mniej pomyślnie wypadła kampania przeciw starokatolickiemu biskupowi Reinkensowi, choć śmieszny urząd przezeń piastowany wręcz sprzeciwia się konstytucyi.

Oto, co chcieliśmy zrobić odnośnie do interesów religijnych, mówi *Centrum* bawarskie, a, żeśmy wszystkiemu nie podołali i w niejednym punkcie musieliśmy się zadawalniać słodkiemi obietnicami ministrów, w tem już nie nasza wina. Bądź co bądź nie ustaniemy na przyszłość przedkładać słusznych naszych żądań i dobijać się przynależnych nam praw. Niebawem okaże się, czy *Centrum* ba-

warskie będzie mogło pójść szybkim krokiem po drodze reform w duchu katolickim przedsięwziętych; czy znów jak dotychczas borykać się będzie musiało na każdym kroku z trudnościami i tracić najlepszą część sił na walce, jawną niechęcią właśnie tych, którzyby właściwie powinni przedstawiać najbardziej konserwatywne żywioły. Zależeć to będzie od przyszłych wyborów, ale nie mniej od dobrej woli i energii regenta.

W Anglii, dzięki sumiennemu wykonywaniu konstytucyi i niemalowanej tylko wolności, katolicyzm otwiera sobie coraz szersze drogi, choć rzecz prosta, wiele, bardzo jeszcze wiele pozostaje do zrobienia.

Ostatni urzędowy spis z r. 1884 nawróconych do Kościoła katolickiego wymienia: 7 członków rady tajnej, 33 członków Izby wyższej, 82 z Izby niższej, 1051 magnatów i szlachciców, 142 oficerów, pomiędzy którymi jeden feldmarszałek i sześciu generałów; 29 oficerów marynarki, pomiędzy którymi 7 admirałów; 48 lekarzy; 72 urzędników i adwokatów i 337 pastorów. Ale co najgorsze i najsmutniejsze, wyrzeka niemiecka *Gazeta Kościoła Ewangelicznego*, która powyższe cyfry podaje, to szeroko rozgałęziony rytualizm, który jest wygodnym mostem do katolicyzmu. A wszak dziś już czytamy, że na 20.000 anglikańskich księży, 10.000 lub 12.000 zalicza się do rytualistów. „Obok rytualizmu, pisze wzmiankowany „organ Kościoła ewangelickiego, niesmak zrodzony z ustawicznych „kłótni najrozmaitszych sekt wyrastających z łona protestantyzmu, „rzuca mnóstwo osób w ramiona Kościoła, który sam wyłącznie „zapewnić może zbawienie". Pod pozornie a niezręcznie ironicznym tonem wygląda tu cenne wyznanie coraz większego rozkładu i upadku protestantyzmu w Anglii. Przebieg toczącej się obecnie bardzo żywo sprawy zawiązania dyplomatycznych stosunków między Papieżem a rządem królowej Wiktoryi, jest nową wskazówką, jak wielkie uznanie zdobył sobie dziś Kościół katolicki między dawnymi fanatycznymi wrogami „nowego Babilonu i królującego w nim Antychrysta".

Przed kilku tygodniami hr. Denbigh jeden z przewódców angielskich katolików, odpowiadając na publicznym bankiecie na toast wzniesiony na cześć Izby wyższej, opowiedział w jaki sposób Leon XIII. przyjął go niedawno temu w Watykanie i zacytował następne ważne słowa Papieża o Anglii:

„Mam bardzo wysokie wyobrażenie o Anglii, czuję dla niej „wdzięczność, a z całego serca poważam jej prawa i konstytucyę. „Istotnie widzę, iż Anglia jest sprawiedliwą i dlatego używa pra„wdziwej wolności. Jest silną, a katolicy żyjący pod jej panowa„niem cieszą się większą wolnością i niezależnością, niż w reszcie „świata. Dlatego mam dla niej wdzięczność i szacunek. Pragnąłbym „szczerze przyjść jej w pomoc, wszędzie gdzie tylko wpływ mój po „świecie sięga. Nietylko mógłbym jej dopomódz do sprawiedliwego „załatwienia sprawy Irlandzkiej, ale również do załatwienia wielu „spraw w koloniach i w Indyach, — co zresztą byłoby najszczer„szem mem życzeniem. Ale w każdym razie musiałbym wiedzieć, „co robię, a w obecnym stanie rzeczy nie mam możności dokła„dnego wywiedzenia się, co się dzieje w Anglii, i czego rząd an„gielski mógłby sobie życzyć. Nie mam w Londynie mego przedsta„wiciela. Gdybym miał na mym dworze przedstawiciela Wielkiej „Brytanii, wiedziałbym co się tam dzieje i co mi obowiązek czynić „nakazuje. Aż do tego czasu z wszelkiem działaniem muszę się „wstrzymać".

Czy życzenia i usiłowania papieskie, tak jasno i poprostu określone w słowach wyrzeczonych do hr. Denbigh'a, osiągną swój skutek i czy z pewnością w roku przyszłym, jak zapewniają niektóre dzienniki, zawiążą się stałe dyplomatyczne stosunki między Londynem a Watykanem? Byłoby to może za różowo patrzeć na rzeczy, choć pocieszającym jest znakiem, że prasa angielska bardzo poważnie i rozumnie zastanawiała się w ostatnich kilku tygodniach nad tą kwestyą. Tak np. wpływowy liberalny, protestancki, *Whitehall Rewiew* wyznaje bez ogródki, iż przyjąłby z prawdziwą radością ustanowienie ambasadora u Ojca św., duchowego naczelnika tylu tysięcy poddanych królowej. Korzystając z tego pomyślnego usposobienia, wysłał lord Braye obszerny list otwarty do członków katolickiego klubu w Londynie, w którym, raz jeszcze zastanawiając się nad całą kwestyą, przychodzi do przekonania, że Anglia oddawna już czuje potrzebę dyplomatycznych stosunków z Watykanem. Energiczny lord zapowiada, iż na najbliższej sesyi parlamentarnej postawi odpowiedni wniosek w Izbie wyższej; a spodziewa się, że Anglia nie zechce w tej mierze ustąpić Chinom, Hollandyi i Prusom, które w dobrze zrozumianym interesie wysłały, lub też wysłać

zamierzają swego pełnomocnika do Rzymu. Wątpićby nie można, że rząd angielski chętnie przychyliłby ucha do tej propozycyi, gdyby — jak zauważają dobrze poinformowane dzienniki — nie obawa podrażnienia Włoch, na których przyjaźni, wobec mnożących się zawikłań na Wschodzie, bardzo wiele londyńskiemu gabinetowi zależy. Ale gdyby istotnie ten wzgląd miał przeważyć szalę, to czyż nie sprawdziłoby się raz jeszcze, że wyzucie Papieża z doczesnego panowania utrudnia mu w niewypowiedziany sposób rządy nad całym katolickim kościołem, a nieraz uniemożebnia niejeden krok, który wprost tylko dla duchownych interesów katolików, byłby nieobliczalnej wartości?

A przecież nie mówiąc już nawet o interesach czysto duchownych, stałe dyplomatyczne stosunki między Londynem a Watykanem przyczyniłyby się również niemało, jak zauważył sam Papież w rozmowie z hr. Denbigh, do należytego chrześcijańskiego rozwiązania coraz groźniejszej kwestyi Irlandzkiej. Czerpiąc swe informacye wyłącznie z dzienników angielskich przypuścićby można, że nieszczęśliwa Irlandya zmieniła się dziś w jednę wielką jaskinię zbójców i podpalaczów. Stare to dzieje, zbyt dobrze nam znane: za wybryki pewnej, prawda że niestety zbyt licznej szajki, odpowiadać musi cały naród. Duchowieństwo irlandzkie pod wodzą doświadczonych biskupów, a stosując się ściśle do rozkazów papieskich, przestrzega troskliwie aby wierni brali udział wyłącznie tylko w legalnej agitacyi, podjętej przez „Ligę narodową“, a wyłączającej skrupulatnie z zakresu swego działania wszelkie gwałtowne, niedozwolone środki. Sami protestanci umieją ocenić tę błogą działalność katolickiego kleru; świadkiem tego uroczysta manifestacya urządzona na cześć zmarłego przed kilku tygodniami biskupa katolickiego z Corku, słynnego z gorliwości i dobroczynności Delany. Procesya pogrzebowa złożona z samych mężczyzn, ciągnęła się przez trzy kilometry; a za trumną obok przedstawicieli wszystkich władz i uniwersytetu, postępował biskup anglikański w otoczeniu najznakomitszych przedstawicieli swegu kleru. Nieszczęściem w ostatnich czasach, wrogi Irlandczykom prąd przeważać znów począł z nową siłą w Londynie; wobec gotującej się nowej ery teroryzmu — teroryzmu z góry, i idącego za nim ślad w ślad teroryzmu z dołu, tem bardziej byłby pożądanym bezpośredni wpływ Papieża, skłaniający

obie „wyspy siostry“ w imię religii i rozumu do ustępstw i wzajemnej wyrozumiałości.

Jeszcze w sierpniu podpisaną została urzędowa konwencya między Stolicą św. a Czarnogórą; ale dopiero w listopadzie urzędowy dziennik Cetyński *Glas Crnagorca*, a jednocześnie i dzienniki rzymskie ogłosiły w całości oryginalny tekst tej ugody. Ze względu na szczególną jej wagę i znaczenie umieszczamy ją w dosłownem tłumaczeniu, opuszczając tylko zwykły, formalistyczny wstęp:

1) Wolno jest wyznawać publicznie w Czarnogórze religię katolicką, apostolską, rzymską.

2) Jego Świętobliwość przed ostatecznem zamianowaniem arcybiskupa Barskiego (Antiwarskiego), zawiadomi rząd o nazwisku kandydata, w celu przekonania się czy jakie sprawy lub racye polityczne wyborowi temu się nie sprzeciwiają.

3) Arcybiskup Barski, pod którego władzą duchowną zostają wszyscy katolicy czarnogórscy, zależeć będzie w sprawach kościelnych wprost i wyłącznie od Stolicy św.

4) Arcybiskup Barski, przed objęciem swego urzędu, złoży przysięgę wierności w ręce J. W. księcia czarnogórskiego, wedle następującej formułki: „Przysięgam i obiecuję przed Bogiem i na świętą Ewangelię, posłuszeństwo i wierność J. W. księciu Czarnogórskiemu; obiecuję iż nie wejdę w łączność, nie będę wspierał żadnego planu, nie będę uczestniczył i nie dozwolę uczestniczyć podległemu mi duchowieństwu w żadnej sprawie, mogącej zamieszać publiczny spokój w państwie“. Rząd czarnogórski przyznaje Arcybiskupowi tytuł „Monsignore Illustrissimus“ *(Presvietlog Pragospodin)* i naznacza mu rocznej pensyi 5.000 franków.

5) Arcybiskup Barski będzie zupełnie wolnym w wykonywaniu czynności kościelnych i zarządzaniu swą dyecezyą; będzie mógł wykonywać wszystkie prawa i używać wszystkich prerogatyw właściwych swemu pasterskiemu urzędowi, wedle rozporządzeń przez Kościół zatwierdzonych; od niego zależeć będą wszyscy członkowie katolickiego kleru w tem wszystkiem cokolwiek do wykonania ich urzędu się odnosi.

6) Arcybiskupowi Barskiemu, za pośredniem porozumieniem się z rządem czarnogórskim, przynależy ustanawiać nowe parafie. Od niego również zależy nominacya proboszczów. W razie, gdyby

chciał zamianować osoby nie będące poddanymi czarnogórskimi, porozumie się poprzednio z czarnogórskim rządem; jeśli zaś wyznaczy poddanych czarnogórskich, zakomunikuje rządowi ich nazwiska.

7) W probostwach, nie mających budynku do wykonania katolickich obrzędów, arcybiskup porozumie się z miejscowemi władzami, aby o ile możności odpowiedni budynek został w tym celu wyznaczony.

8) Arcybiskup, z mocy swego pasterskiego urzędu, zarządza we wszystkich szkołach religijnem wykształceniem katolickiej młodzieży i uaznacza, za porozumieniem się z rządem, kapłana lub nauczyciela katolika, mającego udzielać nauki religii młodym katolikom w szkołach państwowych, a nauczyciel ten pobierać będzie tę samą płacę, co i inni nauczyciele. W miejscowościach, zaludnionych wyłącznie lub w znacznej części przez katolików, rząd wybierze na tych nauczycieli w szkołach państwowych osobistości, zatwierdzone przez władzę kościelną.

9) Rząd uznaje ważność małżeństw między katolikami i małżeństw mieszanych, zawartych w obecności proboszczów katolickich stosownie do praw kościelnych.

10) Sprawy małżeńskie katolików, wyjąwszy następstw z zależnych wyłącznie od świeckiego prawodawstwa, podlegają sądowi arcybiskupa Barskiego; w małżeństwach zaś mieszanych, również wyjąwszy następstw zależnych wyłącznie od świeckiego prawodawstwa, rząd dozwala małżonkom poddać się pod sąd arcybiskupiego trybunału.

11) Modlitwa za panującego, *Domine salvum fac Principem*, śpiewaną będzie w czasie służby Bożej w języku słowiańskim.

12) W celu odpowiedniego wykształcenia młodzieńców czarnogórskich, chcących zostać katolickimi kapłanami, rząd czarnogórski w porozumieniu z arcybiskupem barskim, wybierze kilku zasługujących na to młodzieńców, których wyszle na naukę do Rzymu, wyznaczając im w tym celu odpowiedni coroczny zasiłek pieniężny.

Przez przeciąg pierwszych pięciu lat od obecnej ugody, rząd wysyłać będzie każdego roku po dwóch młodzieńców; następnie zaś każdego roku po jednym. Młodzieńcy ci będą obowiązani uczyć się w Rzymie także serbskiego języka.

13) Gdyby w przyszłości okazała się jaka trudność co do wytłumaczenia powyższych artykułów, Ojciec św. i J. W. książe czarnogórski rozwiążą ją po przyjacielsku za wzajemnem porozumieniem.

14) Niniejsza ugoda wejdzie w życie natychmiast po potwierdzeniu jej przez J. S. papieża Leona XIII. i J. W. księcia Czarnogórskiego, Mikołaja I.

Rzym 18 Sierpnia 1886.

L. kardynał Jacobini. *Jan Sundečić.*

Wskrzeszone dziś arcybiskupstwo Barskie należy do bardzo starożytnych, gdyż datuje się od XI. wieku; dopiero pod koniec ostatniego stulecia, gdy arcybiskup Barski Zmajević przeniósł się na stolicę Zadarską, Turcy niedozwolili na obsadzenie Barskiej katedry, którą dlatego przez cały wiek pograniczni biskupi musieli zarządzać z niezliczonemi trudnościami i przeszkodami, nie tyle od Turków, co daleko bardziej od Czarnogórców. Dziś po wiekowej przerwie, zamianowany został arcybiskupem Barskim O. Szymon Milinović, Franciszkanin, urodzony 25 lutego 1835 roku w Lovreću, dyecezyi i Kotarze (powiecie Spleckim, Spalato), gdzie do dziś dnia żyje jego stara matka i jeden z braci. Stąd, jak dobrze wykazuje *Katolička Dalmacija,* bardzo niedokładne miał wiadomości ruski *Nowy Prołom,* powtórzone następnie przez pisma polskie i zagraniczne, jakoby O. Milinović był Polakiem, urodził się r. 1823 w Tarnopolu i tamże uczęszczał do szkół jezuickich. Nauki gimnazyalne pobierał O. Milinović nie w Tarnopolu, lecz w Karinie i Zaostrogu; na wykłady teologiczne uczęszczał w Szibeniku i Makarskej a na uniwersytecie wiedeńskim otrzymał dyplom na profesora historyi, geografii i języka słowiańskiego. R. 1860 objął katedrę historyi w niedawno założonem przez Ojców swego zakonu gimnazyum w Sinju pod Spljetem. Liczne prace nad historyą i archeologią słowiańską dały go poznać księciu Czarnogórskiemu, który szczególnie cenił porównawcze jego studya nad słowiańską liturgią, rzadką znajomość zwyczajów, obyczajów i języków słowiańskich, niemniej jak chrześcijańską miłość i takt w postępowaniu z inaczej wierzącymi. Z tych przyczyn przedstawił książe Papieżowi O. Milinovica na arcybiskupa Barskiego, a w Rzymie chętnie na ten wybór się zgodzono. Nowemu arcybiskupowi

podlega pięć do sześciu tysięcy wiernych i dziesięciu do dwunastu księży, zarządzających tyluż parafiami; nie ma szkół, kościołów, probostw, lecz wszystko to dopiero stworzyć potrzeba, a w dodatku walczyć z dawna wkorzenionemi uprzedzeniami. To też nowo wskrzeszone arcybiskupstwo jest prawdziwie stanowiskiem misyjnem, na którem ten jedynie wytrwać i zdziałać coś dobrego potrafi, kto silnie będzie przekonanym, że godność jego i arcybiskupi tytuł nadaje mu jedynie prawo do tem gorliwszej, apostolskiej pracy. Arcybiskup Milinović zamyśla przedewszystkiem o utworzeniu szkółek dla chłopców i dziewcząt, które pragnąłby poddać pod kierownictwo zakonnic.

Kiedy protestanckie Niemcy wzywają Papieża na rozjemcę w międzynarodowych waśniach, Anglia skłania się do utworzenia ambasady w Watykanie, a prawosławna Czarnogóra zmienia z gruntu dotychczasową nieprzyjazną taktykę względem katolicyzmu; to z Francyi i z Włoch napróżno wyczekujemy pomyślniejszych jakich wiadomości. We Włoszech urządziła sekta znów kilka antykościelnych demonstracyj; we Francyi pokutuje wciąż kwestya zniesienia konkordatu, a w szczególności zniesienia ambasady Watykańskiej. „Byłoby to prawdziwem szaleństwem, jak wyraził się energicznie *Jour-*„*nal des Débats*, gdyby rzeczpospolita nie miała swego ambasa-„dora w Watykanie, gdzie jak uczy nas historya ostatnich miesięcy, „tyle i to ważnych kwestyj politycznych się rozstrzygnęło!“ Szaleństwo to, którego zresztą objawy wracają peryodycznie, w Izbach francuskich przedłożył tą razą parlamentowi pod głosowanie P. Michelin, były prezydent paryskiej Rady miejskiej. Pocóż, zakończył swą mowę, wydawać 40.000 fr. na ambasadę w Watykanie, jeżeli, gdybyśmy nawet kiedy potrzebowali mieć stosunki z Papieżem, jak np. w sprawach chińskich, to zupełnie może do tego wystarczyć nasz ambasador akredytowany na dworze włoskim?

Odpowiedzi podjął się sam Freycinet, a odpowiedź ta miała tem większe znaczenie, i tembardziej powinna była zamknąć usta wnioskodawcy i niepoprawnym jego popleczníkom, iż opierała się wyłącznie na względach politycznej natury.

„Nie myślę się tu zapuszczać w religijne uwagi, albowiem „utrzymujemy ambasadę w Watykanie ze względów nie religijnych „lecz ściśle politycznych... Wedle zdania szanownego p. Michelina,

„nieużyteczność tej ambasady nie potrzebuje dowodów. Wolno mu „gniewać się na stan rzeczy, który ambasadę tę czyni konieczną „i przeciw temu nic mieć nie mogę; ale zdanie o nieużyteczności „poselstwa w Watykanie sprzeciwia się wręcz namacalnym faktom. „Z siedmiu ambasadorów, których utrzymujemy u tyluż mocarstw, „trzech prowadzi mniejszą urzędową korespondencyę, niż ambasa„dor Watykański... Odnośnie do stosunków dyplomatycznych za„wiązanych z Rzymem, można podzielić wszystkie mocarstwa na „trzy kategorye. Jedne zawarły z Watykanem konkordat i mają „stałą reprezentacyę dyplomatyczną. Są to: Portugalia, Hiszpania, „Austrya, Bawarya i Francya. Inne nie mają konkordatu, ale mają „stałe stosunki dyplomatyczne. Są to: Prusy, Belgia, Hollandya, „Brazylia i kilka innych państw. Wreszcie są państwa nie będące „ani w konkordacie, ani w stałych dyplomatycznych stosunkach. Pań„stwa te bądź posyłają do Rzymu na pewien czas swego agenta, „bądź poruczają jakiemu księdzu swe interesa, czasami zlecają je „także przedstawicielowi innego jakiegoś narodu. W której katego„ryi pomieścić należy Francyę? Bezwątpienia w pierwszej, boć na „jej terytoryum zamieszkuje bardzo znaczna liczba katolików... „a nadto Francya ma konkordat". W dalszym ciągu mowy zwrócił jeszcze Freycinet uwagę na misye, tak bardzo przyczyniające się do zwiększenia wpływu francuskiego, a wreszcie zakończył: „Znie„sienie ambasady stworzyłoby wielkie trudności, daleko większe od „korzyści wynikających z tego kroku. Czcigodny P. Michelin spo„dziewa się, że zniesienie ambasady będzie krokiem naprzód w kwe„styi odłączenia Państwa od Kościoła. Jeśli odłączenie to nastąpi, „zniesienie ambasady w Watykanie będzie prostem jego skutkiem, „ale nie może być jego przyczyną. Rzecz oczywista, że kwestyę „odłączenia państwa od kościoła, nie możecie Panowie uczynić za„leżną od kwestyi zniesienia ambasady".

Pomimo tych wszystkich wywodów, które zdawałoby się, że nawet nieuprzedzonych pogan powinnyby przekonać; wniosek p. Michelina nie przeszedł smutną tylko większością 291 głosów przeciw 258, na 549 głosujących. Przy ogłoszeniu tego wyniku, dały się słyszeć na lewicy oklaski; istotnie, mimo, iż niektóre dzienniki starały się usprawiedliwić wynik głosowania, chętką zrobienia psikusa gabinetowi Freycineta, smutnem i poniżającem było to zwy-

cięstwo. Nowe ministeryum złożone przez Gobleta, znanego i jawnego wroga katolicyzmu, prawdopodobnie nie zniesie również poselstwa w Watykanie, bo jak Freycinet, a dawniej Gambetta, tak i Goblet rachować się będzie musiał, choć nie z religijnemi, to z politycznemi interesami Francyi Ale choć ambasady nie zniesie, to wątpić nie można, że Goblet przez krótki prawdopodobnie przebieg swych rządów, zechce odznaczyć się i zajaśnieć w swej specyalności, a jak trafnie wyraziła się *Fanfulla* „specyalnością Gobleta jest antyklerykalizm".

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

(Para czy elektryczność? — Transmisya siły z Creil do Paryża. — Amerykański Dynamo-Mammoth. — Projekt przedziurawienia ziemi aż do środka. — Kolosalna statua: „Wolność świat oświecająca" w New-Yorku).

Siły natury i zużytkowanie ich przez człowieka oto jeden z głównych przedmiotów zajmujących dziś ludzkość cywilizowaną, a z tym przedmiotem łączy się najaktualniejsze pytanie poruszane aż do znużenia: para?... czy elektryczność? czy po wieku pary ma nastąpić wiek elektryczności?... Sławny profesor fizyki p. Clausius w art. *Les forces de la nature et leur exploitation par l'homme* [1], jasno rozświeca tę kwestyę i dobre daje rady na przyszłość. Wynalazek maszyn dynamo-elektrycznych, na zasadzie odkryć Wernera *Siemensa,* coraz szersze zastosowanie znajdujących, aczkolwiek otwiera dla postępu w pracy ludzkiej nowe horyzonty, nie wyprze jednak nigdy potrzeby maszyn parowych i lokomotywy. P. Clausius nie wierzy w praktyczność zastosowania kolei elektrycznych gdzieindziej jak po ulicach miast wielkich i w długich tunelach, gdzie uniknięcie przykrości pochodzących z dymu lokomotywy, równoważy i wynagradza nam poniekąd większe koszta urządzenia kolei elektrycznych. A zresztą jak wiadomo i przy kolei elektrycznej pierwszym motorem jest i do dziś

[1] *Revue Rose* z 31 lipca 1886.

dnia w Europie prawie wszędzie, nie co innego jak stała maszyna parowa, potęgująca prądy elektryczne w maszynach poruszających wagony. Ważność odkrycia maszyn dynamo-elektrycznych według p. Clausiusa, głównie na tem się zasadza, iż za pośrednictwem tychże maszyn, możemy dojść powoli do jak największej oszczędności w konsumcyi palnych materyałów, (a szczególniej węgla kamiennego), wzmagającej się od pół wieku w tak zastraszających rozmiarach, że gdyby tak dalej iść miało, to i największe zapasy paliwa w głębiach i na powierzchni naszego globu z czasem wyczerpaćby się musiały. Postęp jest w tem największy, że podczas, gdy w maszynie parowej potrzebne napięcie siły i odpowiednią pracę otrzymujemy przez bezpośrednie zużycie w niej kosztownego palnego materyału, to do nabicia maszyny dynamo-elektrycznej silnym prądem potrzebnym do pracy, wystarcza sam r u c h m e c h a n i c z n y przeniesiony w nią z zewnątrz od byle jakiego motora. Chodzi więc tylko o to, żeby ten zewnętrzny motor, wprawiający maszynę w nadzwyczajną rotacyę i przez to potęgujący pracę prądów elektrycznych d y n a m o s u, jak najmniej był kosztowny tj, żeby ile możności nie była nim maszyna parowa, lecz najtańszy ze wszystkich motorów na ziemi: naturalny, wieczny prąd wody rzek i wodospadów, obracających odpowiednio ku temu urządzone młyny turbinowe. W ten sposób przenosząc za pośrednictwem dynamosów i za pomocą drutów elektrycznych, mechaniczną siłę prądu wody do miast pobliskich i fabryk, a nawet rozprowadzając siłę mechaniczną po domach, (podobnie jak gaz lub wodę) do domowego użytku mieszkańców np. przy maszynach do szycia etc..., możnaby niezmiernie ograniczyć potrzebę zużywania węgla i drzewa w maszynach parowych. Takie przenoszenie mechanicznej siły wodospadów do pobliskiego miasta praktykuje się już w Ameryce, mianowicie w Quebec, jak donosiłem o tem w jednej z poprzednich moich kroniczek. Dopóki jednakże do nabijania maszyn dynamo-elektrycznych, jako pierwszych motorów używamy maszyn parowych, dopóty o znacznem zmniejszeniu konsumcyi węgla mowy być nie może. A nawet, choćby ludzkość, w kierunku naznaczonym przez p. Clausiusa, doszła do najwyższego stopnia rozwoju w zastosowaniu i przenoszeniu sił mechanicznych, prądów wody, do miast i fabryk, etc. choćby cała kula ziemska, jak mówi nasz poeta „zro-

sła w okrąg wielki przez magnesowaną styczność", i chociażby powszechnem hasłem dwudziestego wieku było „wiwat elektryczność", pomimo tego maszyna parowa będzie miała zawsze zapewniony szeroki zakres swego panowania. Te dwa największe wynalazki nanaszego wieku: Dynamo i Lokomotywa, nie wykluczają się wcale, lecz owszem dopełniają się nawzajem, i razem wzięte dopiero wzmagają niezmiernie ludzkie panowanie nad naturą.

Pierwsza próba przeniesienia siły mechanicznej za pomocą drutu elektrycznego na odległość ośmiu mil (56 kilometrów) ze stacyi *Creil* do dworca *La Chapelle* w Paryżu, — próba podjęta przez p. Marcelego *Déprez* — uwieńczoną została pomyślnym skutkiem. Na podstawie doświadczeń uczonych fizyków, ogłoszonych światu na wystawach elektrycznych w Paryżu (1881), w Monachium (1882) i t. d. pp. Rotszyldy z pomocą kilku znakomitych inżynierów rozpisali konkurs stawiający następujące zadanie: „Siłę 100 koni z dworca kolei w Creil przenieść za pomocą elektryczności na dworzec La Chapelle w Paryżu, odległy od stacyi Creil o 56 kilometrów, tak żeby otrzymać w rezultacie siłę 50 koni, a więc nie stracić więcej ponad 50% siły początkowej". Jak donosi *La Nature* (z 7 sierpnia b. r.) przez dwa lata pracował p. Déprez nad urzeczywistnieniem tego projektu, wreszcie od października 1885 r. ustawione maszyny zaczęły pracować. Na stacyi w Creil pierwszym motorem są dwie lokomobile w połączeniu z dynamosem rodzącym siłę 116 koni przy 216 obrotach na minutę — na stacyi La Chapelle Dynamo odbierający za pomocą drutu spiżowego przeniesioną siłę daje pracę 52 koni, mogącą być zużytkowaną dla przemysłu, a więc około 45% siły przy 295 obrotach na minutę. Zaproszona przez p. Rotszylda komisya, złożona z członków Akademii, jakoteż inżynierów pod honorową prezydencyą p. Freycinet'a, po kilkomiesięcznych obserwacyach i dochodzeniach zdała raport, którego konkluzyę udziela nam właśnie *La Revue Rose* (7 sierpnia b. r.). Komisya uważa problem Rotszylda za rozwiązany, gdyż odliczywszy stratę siły na uboczne urządzenia dynamometrów etc. potrzebnych tylko przy obecnych dochodzeniach, można przyjąć, iż p. Déprez rzeczywiście otrzymał żądany rezultat 50 % siły ze stu, w odległości mil ośmiu pracującej. Ma to być widok zadziwiający, ta maszyna dynamo-elektryczna

w Paryżu, pracująca bez widzialnego motora, bo odległego o 56 kilometrów! dzieło więc p. Déprez stanowi epokę, i chlubę przynosi Francyi. Koszta inwestycyi tego przedsiębiorstwa łożone przez Rotszylda wynoszą: maszyna rodząca siłę *(generatrice)* w Creil 50.000 fr. — maszyna odbierająca siłę *(réceptrice)* w Paryżu 30.000 fr. — transmisya drutowa etc. 44.800 fr. P. Déprez jednakże obiecuje ulepszenia znacznie zmniejszające powyższe koszta pierwszej próby, i ma nadzieję, że potrafi wnet przenieść daleko więcej siły niż 50%. Gdyby pierwszym motorem maszyny rodzącej siłę w Creil, nie były lokomobile, lecz siła prądu wody, całe to przedsiębiorstwo mogłoby być o wiele tańszem i wydatniejszem w siłę.

W Europie robi się wszystko w rozmiarach klasycznych, umiarkowanych, Ameryka zaś we wszystkiem dąży do kolosalności. Nowym dowodem tego: *Dynamo-Mammoth*, największa dziś maszyna dynamo-elektryczna na świecie, skonstruowana świeżo przez p. Brush z Cleveland (Ohio) [1], o sile 400 koni elektrycznych. Normalna szybkość: 430 obrotów na minutę. Wprawdzie rozmiary tej maszyny są wcale skromne, dalekie od wzrostu mammuta. Mało co więcej, jak 4 metry długości a półtora metra wysokości, nikomu dziś nie zaimponuje, lecz wydatność siły (400) koni zadziwiająca, największa, jaką do dziś dnia w maszynie elektrycznej osiągnąć zdołano. Maszyna ta ma być poruszaną wodospadem o sile 2.000 koni, którym rozporządza w Jockporte *Cowles-Electric-smelting Company*.

Iście amerykańskim pomysłem jest projekt p. Martineza, obywatela rzeczypospolitej Argentyńskiej, zamieszkałego obecnie w San-Francisco. Chodzi, ni mniej ni więcej, tylko o to, żeby kolosalnym szybem górniczym przedziurawić ziemię tak, żeby dotrzeć aż do jej środka.

Coś podobnego dotąd czytać można było tylko we fantastycznych romansach Juliusza Verne'a. Tymczasem p. Martinez projekt swój bierze całkiem na seryo. „Niech tylko wszystkie narody cywilizowane, woła, zespolą swoje działanie, a cel ten niewątpliwie zostanie osiągnięty „z niezmierną korzyścią dla nauki". *La Nature*

[1] La Nature 16 octobre 1886.

w jednym z dawniejszych numerów b. r. odpowiedziała na ten manifest p. Martineza z wielkiem niedowierzaniem w możliwość takiego dzieła, przechodzącego wszelkie granice ludzkiej potęgi; jednakowoż p. Martinez nie daje za wygraną, i przysłał do redakcyi tegoż pisma list, broniący energicznie „możliwości przedziurawienia ziemi aż do jej środka". P. Martinez uznaje wszystkie trudności w kopaniu takiej studni obserwacyjnej, lecz nie uważa, żeby te trudności miały być nie do przezwyciężenia. Tunel przez Mont-Cenis i przez górę św. Gotharda, kanał Suezki, a wreszcie roboty przy przekopie Panamy, przyczem sto milionów metrów kubicznych ziemi ma być usuniętych, są mu dostatecznym dowodem, że możnaby także wykopać studnię 10 metrów długą 5 metr. szeroką, w głąb ziemi na 6 milionów metrów, „przyczem tylko 300 milionów metrów kubicznych ziemi na wierzch wydobyćby trzeba" (!). P. Martinez widzi już w bujnej wyobraźni swojej, „jak potężne maszyny na powierzchni ziemi ustawione i w głębi studni umocowane, windowałyby ziemię za pomocą łańcuchów bez końca .. albo jak tuby pneumatyczne mogłyby na wierzch wyrzucać z największej głębokości rozkopaną ziemię z szybkością niesłychaną"... „a nic łatwiejszego, mówi, jak dostarczyć powietrza i światła nawet w najgłębsze głębie"... „Nie uważam więc, kończy p. Martinez, żeby to przedsięwzięcie było ponad ludzkie siły... chodzi tylko o to, żeby raz zacząć, a na to wystarczyłyby rocznie 2 miliony franków... a kto wie, czy później przy rozmaitych ulepszeniach i nowych wynalazkach nie opędziłoby się rocznych wydatków jednym małym milionkiem!"...

P. Martinez nie radzi używać przy tem ani prochu, ani dynamitu, aby uniknąć niepotrzebnych i nieobliczonych wstrząśnień. „Wystarczyłyby tu świdry i piły dyamentowe, i tak już w górnictwie używane, a zdolne ciąć i kruszyć najtwardsze skały... Ciśnienie hydrauliczne, powietrze komprymowane, para, ciepło, zimno... mogłyby być czynnikami najbardziej pomocnemi w tej pracy nigdy nieustającej. I tak gdyby nawet nie kopano na dobę więcej jak 10 metrów tej studni... co, jak uważa p. M., nie jest wcale przesadnem wymaganiem, to już po 1600 latach dotarłoby się aż do środka ziemi... a przecież 1600 lat w dziejach ludzkości nie jest wcale epoką zbyt długą... W końcu listu swego poleca autor swój

projekt rozwadze Akademii francuskiej, radzi jej, by złożyła w tym celu osobną komisyę, dodając przytem wiele komplementów dla francuskiej przedsiębiorczości.

Gdy się zważy, że najgłębsze szyby, czyli studnie górnicze, z największym wysiłkiem i kosztem dotąd wykonane, nie dochodzą do głębokości 1500 metrów, pomimo, że przemysł i kunszt górniczy bardzo postępuje, to zdaje mi się, że na porwanie się na szyb o sześciu milionach metrów (!) jeszcze czas nie przyszedł... Lecz p. Tissandier redaktor pisma *La Nature*, które przed kilku miesiącami śmiało się z projektu p. Martineza „przedziurawienia ziemi“ — dziś do listu powyżej wspomnianego dodaje tylko tę skromną uwagę, „że wyraz niepodobieństwo powinien już raz być wykreślonym ze słownika nauki“... Ciekawe *signum temporis!*

Kolosalnym dziełom przemysłu na amerykańskim gruncie, i jeszcze kolosalniejszym pomysłom na przyszłość w amerykańskiej wyobraźni, odpowiadać musi także i kolosalna sztuka. Wyrazem tego, nowa statua wolności świat oświecającej w Nowym-Yorku. Jest ona wprawdzie, równie jak zaczęty przekop Panamy, dziełem Francuza, p. Bartholdi urodzonego w Alzacyi, jednakże dzieła tych rozmiarów dotąd tylko na amerykańskim terenie szczególnie się udają. Dziesięć lat temu wyszła myśl z pewnego kółka Francuzów i Amerykanów, aby w sposób niezwykły a pamiętny uświetnić stuletnią rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki. Projekt kolosalnej statuy oświecającej brzegi Nowego Świata, podany przez p. Bartholdego przypadł do smaku związkowi franko-amerykańskiemu, ogłoszono więc zaraz odezwę do publiczności dwóch światów, aby zbierać składki na to dzieło, oddane w ręce p. Bertholdiego z następującym programem: „Chodzi o to, aby świetną rocznicę uwiecznić wyjątkowym monumentem. W porcie Nowoyorskim, na wysepce Bedloe należącej do Stanów Zjednoczonych, naprzeciw Long Island, gdzie w imię wolności i niepodległości przed stu laty pierwszą krew przelano, ma stanąć kolosalny posąg, niby na progu Nowego Świata, przedstawiający: Wolność świat oświecającą. Statua ta rozrzucająca światło elektryczne po wybrzeżach New-Yorku, Jersey-City, Brooklyn etc. i po niezmiernem przestworzu morza, będzie wykonaną wspólnie przez oba narody złączone dziś w tem braterskiem przedsięwzięciu, tak samo

jak niegdyś w swych porywach do niepodległości (!). My poniesiemy koszta statuy, Ameryka zaś weźmie na się koszta postumentu". Program ten został właśnie spełniony, statua stanęła; przy inauguracyi obecnymi byli pp. Bertholdi i Lesseps. Aby dać wyobrażenie o rozmiarach tego kolosu, dosyć powiedzieć, że monachijska „Bawarya", jest przy nim małą statuetką, nie sięgającą nawet do kolan amerykańskiej „Wolności". Jestto poważna postać niewieścia w greckim stroju z ręką wzniesioną w górę i trzymającą pochodnię. Na głowie ma dyadem, opatrzony zamiast klejnotów we 27 lamp elektrycznych, pochodnia zaś zawiera 5 świateł elektrycznych każde o sile 30000 świec. Przypuszczają, że statua wolności, będąca niczem innem, jak kolosalną latarnią morską, nie tylko morze i ziemię oświeci wkoło, lecz że i chmury niebieskie także będą widoczne. Posąg ten 46 metrów wysoki wylany jest z bronzu, i spoczywa na postumencie granitowym przeszło dwa razy wyższym niż sam. Widziałem niedawno we francuzkich i angielskich pismach ilustrowanych szkic tego posągu, zanim jeszcze został skończony, osłonięty był już wprawdzie greckim hitonem i peplosem, lecz zamiast głowy miał żelazne obręcze, a w ręce wzniesionej zamiast pochodni, niby knut olbrzymi lub inne narzędzie tortury, ponad głową zaś wznosiło się rusztowanie w kształcie szubienicy, pod tem wszystkiem podpis *La Libérté éclairant le monde!* Takim powinien był ten posąg pozostać na zawsze, jeśli miał być rzeczywiście obrazem dzisiejszej „Wolności" na świecie... W każdym razie jest to znaczącym faktem, że francuska „wolność świat oświecająca" uciekła na drugą półkulę... widocznie nie mogła znieść ostatnich uchwał francuskich o wychowaniu młodego pokolenia w pogaństwie i niewoli ducha.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Listy z Australii.

28 grudnia 1885, New-South-Wales, Sydney.

Tak, jak podróż nasza morska należała do najpiękniejszych jaką załoga Oceańczyka zapamiętała, bo prócz jednego dnia słoty na brzegach Australii, mieliśmy sześć pełnych tygodni najcudowniejszej pogody; tak i pobyt nasz dotychczasowy w Sydney niezwyczajnie złożył się nam szczęśliwie. Kolonia tutejsza polska, w którą wprowadził nas nieoceniony nasz doktor Piotrowski, zajęła się nami jak najszczerzej od pierwszego dnia, co ze względu na nasze fundusze (każdy z nas miał funta w kieszeni!) było dla nas prawdziwem dobrodziejstwem. Mieszkamy w domu Dra Sabatowskiego, Polaka, który tu przybył przed niedawnym czasem z Paryża, i do którego przylgnęliśmy całą duszą, bo taki kochany, poczciwy i przyjacielski człowiek. Przyjaciel mój już od tygodnia pracuje w biurze ministerstwa robót publicznych, i na tej pierwszej prowizorycznej tylko posadzie zarabia 250 fr. miesięcznie! Ja zaczynam od nowego roku rysować w pracowni malarza Brojnowskiego, który wydaje z polecenia rządu atlas flory i fauny australskiej, i już wziął za pierwszą część tegoż 1000 funtów, tj. 75.000 franków! a ma wyjść takich części trzy jeszcze. Zrobiłem już rysunek na próbę — białego orła morskiego; rysunek został przyjęty, i będę dostawał funta od kartonu, tak, że trzy do czterech funtów potrafię prawdopodobnie zarobić tygodniowo. Otóż masz Australię! Jestto jednak tylko zatrudnienie tymczasowe, zanim nie nabędę języka i nie udoskonalę się w nim choć trochę: następnie zamierzam albo wstąpić do ministerstwa wód i rolnictwa (tj. melioracyi), albo pójdę na skwartera w głąb kraju, zarządzać terytoryum kompanii, która się właśnie tworzy pod przewodnictwem p. Czarlińskiego, obecnie naczelnika rządowego t. z. komisyi wodnej, a wkrótce zapewne ministra. Widoki więc na funty są, azatem kiedyś, kiedyś, daj Boże i na powrót do kraju, bo bez tej myśli tu wyżyć długoby nie można. Nie, żeby kraj tutejszy był brzydki i nie do zniesienia, ale że nie jest Podolem!

Sydney jest małym Londynem, jak Meltourn małym New-Yorkiem: i ten powtarzany tu ogólnie frazes ma w sobie coś prawdziwego. Nigdy się jednak nie spodziewałem zastać tutaj to wszystko, co zastałem, i widzę dopiero, jak niedokładne mamy pojęcia w Europie o naszych Antypodach. Nie są to kolonie prymitywne, ale wzorowo uorganizowane państwa, z samodzielnością i niezawisłością zupełną: jądra wielkich społeczeństw, które się tu kiedyś ugrupować muszą. New-South-Wales (czytaj: nju-saus-uels) jest o całą Galicyę większe od Austro-Węgier, i liczy przy tem tyle tylko mieszkańców, co sam jeden Wiedeń, tj. niespełna milion, z którego trzy kroć na miasto Sydney przypada. Węgiel, złoto, srebro, miedź, żelazo, słowem wszelkie skarby mineralne leżą jeszcze zagrzebane w ziemi w ogromnych masach z powodu braku sił roboczych, i wraz z ogromnemi obszarami żyznej ziemi czekają, aż wygłodzone ludy Europy wezmą je kiedyś w posiadanie. Podatków nie ma tu zupełnie! Cła egzystują tylko od spirytusu, tytoniu i herbaty, zresztą handel wolny. Ministeryum, parlament, składający się z dwóch Izb i namiestnika, będącego tylko malowaną figurą reprezentującą osobę królowej, bez żadnej zresztą władzy administracyjnej stanowią rząd kolonii, która się obchodzi bez wojska i floty, oprócz szwadronu ochotników, jednej bateryi artyleryi i batalionu gwardyi pieszej, od parady. NB. Oficer pobiera funta dziennie, żołnierz prosty półtora funta tygodniowo, prócz wszelkich potrzeb. Znam Polaka, który po pięciu latach służby wojskowej oszczędził sobie 20.000 franków, służąc jako szewc, i dziś jest zamożnym mieszczaninem tutejszym. Są to wszystko dla nas, europejskich żebraków, bajeczne rzeczy, chociaż prawdziwe. Dr. Sabatowski, który miał na samym początku pobytu u nas różne fatalne przygody, zarabia, mimo że bawi tu dopiero od czterech miesięcy, najmniej 3—4 funtów dziennie, mając na to 3 lub 4 pacyentów na dobę: bo każda konsultacya lekarska kosztuje gwineę, tj. 21 szylingów.

Mimo, że ogólnie mówiąc krajobraz australski nosi na sobie niesłychanie nudne piętno jednostajności, z powodu małego bardzo urozmaicenia w florze i formacyi terenu, położenie miasta Sydney jest prześliczne. Wyobraź sobie zatokę, rozgałęziającą się s e t k a m i odnóg w głąb kraju, które tworzą tyleż półwyspów najrozmaitszej wielkości, wyskakujących przylądkami w morze, zalesionych lasami

eukalipsów, drzewami stref najrozmaitszych: sadami przepysznych drzew owocowych od czereśni aż do fig, pomarańcz i winogradu; w lasach tych i ogrodach wille, domy, ba nawet piękne pałace; wreszcie na kilku z tych półwysep olbrzymią mozaikę miasta, wznoszącego się amfiteatralnie; zaludnij przy tem niebieskie zwierciadło wód setkami statków najrozmaitszej wielkości i kształtu; — a będziesz miał (niedokładny wprawdzie ale żywy) obraz naszej stolicy, która się mieni królową Pacyfiku! Klimat przytem włoski, skwar lata uśmierzony bliskością oceanu i powiewem chłodnych wiatrów od południowego bieguna; zima, będąca tylko wiosną naszą, bez mrozu ale i bez śniegu, niestety, skąd także płynie jedyny i największy brak tego kontynentu: niedostateczna ilość wody, w dodatku bardzo złej. Dlatego pije się tylko herbatę lub krajowe, wcale niezgorsze wino; nie mówiąc już o ulubionej przez Anglików „Wishke“ tj. wódce, tak obrzydliwej, że karczemna siwucha, jest w porównaniu z nią, wytwornym likierem. Życie nie zbyt drogie, jeśli się żyje skromnie: funt baraniego mięsa kosztuje 3 penny, tj. 6 susów, a więc 15 naszych grajcarów, je się też trzy razy na dzień: na śniadanie o 8 rano z herbatą; na t. z. „lunch“ czyli „tyffin“ w południe, z herbatą: wreszcie na obiad o 6 wieczór także z herbatą Jaja za to, mleko (litr kosztuje szylinga t. j. 60 centów), jarzyna nawet są drogie, w porównaniu z naszemi cenami europejskiemi. Służba i w ogóle wszelka praca ludzka płaci się wysoko, 8—10 szylingów na dzień, normalny czas pracy jest przy tem tylko 8 godzin dziennie dla pracujących fizycznie; 5 lub 6 godzin najwyżej w biurach i t. p. W sobotę w południe ustaje wszelka robota, a w niedzielę nawet szynki, teatry pozamykane.

Prócz gromadki Polaków, jak Dr. Sabatowski, pp. Czarlińscy, Brojnowscy, Czertwertyński, dyrektor konserwatorym Kowalski, skrzypek Francyk napół Czech jeszcze i kilku innych, poznałem już mnóstwo Francuzów tutaj osiadłych ludzi bogatych i kilka rodzin angielskich, o które mi najwięcej chodzi z powodu „english spoken“.

Dzień wilii i pierwszego dnia świąt wypadł wspaniale, bo nagłe obniżenie temperatury i czas dżdżysty przypominały mi niekiedy nasze polskie Boże narodzenie z kapuśniaczkiem, jak to czasami bywa. Dziś i wczoraj mamy jednakże znów niebo szafirowe jak

bławat i dwadzieścia pięć stopni ciepła, tj. czas prześliczny, bo bywały tu już za mego pobytu gorąca znacznie większe. Nocy są jednak zawsze chłodne i to reguluje excentryczność temperatury. Wilią mieliśmy bardzo wesołą, bo połączoną z chrzcinami, u pp. Brojnowskich, gdzie było całe tutejsze towarzystwo polskie. Wilia jednak była poprostu dobrym obiadem mięsnym; zamiast kolęd grano i śpiewano Chopena i Schumana.

Mieszkamy daleko dość od centrum miasta w domu, który wynajmuje Dr. Sabatowski, bo tu każda familia, jak w Anglii, zajmuje dla siebie dom cały. Mamy, każdy z nas, tj. ja i mój towarzysz po jednym pokoju, wychodzącym na werandę na 1-szym piętrze. Prześliczne kwitnące właśnie drzewa magnolii w ogrodzie przed domem i widok na trzy zatoki i t. z. północne miasto z drugiej strony wody. W dziesięć minut za dwa pensy, dostajemy się do portu parowemi tramwajami, które przejeżdżają we wszystkich kierunkach miasto i pędzą po ulicach z szybkością naszych pociągów błyskawicznych i mimo to, wypadków niema prawie nigdy: bo też ani tumanów pyłu, ani niezatrudnionej gawiedzi niema wcale w tym kraju. Dobrobyt i sprzyjające warunki wyrabiają tu rasę tęgą i krewką, przy której wkrótce już nasz wygłodzony i zdeboszowany ludek europejski będzie wyglądał jak duża gromada chuderlawych pigmejczyków. Gdyby to tak jeszcze w to ciało ducha wlać nieco można; ale i to z czasem przyjdzie i dziś już lepiej niż bywało dawniej. Wracając do pomieszkania: za całą pensyę płacimy tygodniowo po $1^1/_2$ funta (20 szylingów czyli (18 fl.) tj. wcale tanio, jak na tutejsze stosunki a dom cały urządzony z prawdziwie angielskim konfortem: kąpiel wyśmienita, dwie służące, salon, jadalnia, etc. Baraniny tylko może za wiele i za często, ale i do tego przyzwyczaić się można. Zarobek znaczny i nietrudny. Czetwertyński zarabia tu 25.000 fr. lekcyami udzielanemi w konwiktach. Podobnie Brojnowski ucząc rysunków przez trzy dni w tygodniu po trzy godziny ma z tych lekcyi 12.000 fr. rocznie, po funcie godzina.

Dość tych cyfer poetycznych i niepoetycznych opisów. Bądź zdrów! Twój całe życie.

Karol.

Z Berlina.

Sprawy kościelno-polityczne. — Gnębienie narodowości. — Socyalizm. — Sprawy kolonialne.

O przebiegu układów posła pruskiego przy Stolicy apostolskiej z dyplomacyą rzymską, o ile one dotyczą rewizyi ustaw majowych, nie otrzymaliśmy dotąd żadnych wiadomości poszczególnych. Podobno pan Schloezer oświadczył prywatnie, że podczas przyszłej sesyi sejmowej zostanie wniesiony projekt rewizyjny, ale daleko jeszcze do tego, gdyż dopiero w połowie stycznia sejm pruski bywa zwoływany. Poseł pruski przedstawił dyplomacyi rzymskiej dotychczas tylko w ogólnych zarysach projekt rewizyi. Oczywista rzecz, że projekt ten nie jest jeszcze ułożony w paragrafy, a na pewno spodziewać się można, że przedstawiciele Stolicy apostolskiej dołożą starań, aby zakres zamierzonej rewizyi ile możności rozszerzyć. Jeden rzymski korespondent prasy katolickiej w Prusiech przedstawił w bardzo różowem świetle korzyści, jakieby Ojciec św. przy tej sprawie mógł uzyskać, i przytoczył słowa posła pruskiego, że kanclerz bądź co bądź pragnie zakończyć tak zwany kulturkampf; ale dzienniki katolickie komentarzami swemi zmniejszyły owe nadzieje i sądzę, że mają w tem słuszność. Z wyjątkiem rządowej prasy, która tę sprawę przemilcza, powtórzyły wszystkie dzienniki korespondencyę rzymską. Wroga katolikom a w sprawach walki kościelnej zazwyczaj dobrze informowana *National-Zeitung* przestrzegła czytelników swoich, aby nie dowierzali zbytecznie wiadomościom szerzonym przez prasę stronnictwa środkowego. Że Schloezer bawiąc w Berlinie z decydującemi osobami naradzał się o przyszłej rewizyi ustaw majowych — przyznał organ liberalny, zaprzeczając jednakowoż, żeby instrukcye posła pruskiego były w tym względzie szczególniejszej doniosłości. Rząd berliński, jak się *National-Zeitung* wyraża, zajmował dotychczas w sprawie rewizyi wyczekujące stanowisko, i organ ten sądzi, że rząd tej zasady nie porzuci na przyszłość, tj. że w Berlinie jak najmniej myślą robić ustępstw, a targować się będą z dyplomacyą rzymską, która musi zażądać obszerniejszych koncesyj. W obecnej chwili nie umie jeszcze organ

liberalny nawet dokładnie określić punktów, mających uledz przyobiecanej rewizyi, mimo to przypuszcza wymieniony dziennik, że układy te mniej będą trudne niż dawniejsze. Doniesienie to ma widocznie zmniejszyć obawy obozu liberalnego, którego rząd żadną miarą nie chce sobie zrażać, ponieważ ci właśnie liberalni mają przeciwważyć wpływy, centrum i zachowawców ścisłego autoramentu, jak wiadomo protestantów.

W punktach przez Schloezera dotychczas w Rzymie przedstawionych, podobno nie ma wcale wzmianki o zakonach, czyli raczej o cofnięciu banicyi Jezuitów, „pokrewnych“ im zakonów i kongregacyj. Oczywiście stąd nie wynika, że Rzym tę sprawę milczeniem pominie. Stolica Apostolska bez wątpienia domagać się będzie przywrócenia zakonów w Prusiech; a skoro ta swoboda przynajmniej w zasadzie będzie przyznaną, może Prusy wytargują, że niektóre zakony, a między niemi Jezuici, pozostaną pod wyrokiem banicyjnym. *Pesther Lloyd* podał wprawdzie wiadomość wrzekomo ze Lwowa pochodzącą, jakoby w Alzacyi miano w niedalekiej przyszłości otworzyć dom Jezuitów, do któregoby jednakże Włosi, Francuzi, a przedewszystkiem Polacy nie mieli wstępu, tymczasem doniesienie owo jest bardzo podejrzane, ponieważ ustawa antyjezuicka także w Alzacyi jest obowiązującą.

Rządowcy przypuszczają, że Rzym poprzestanie na tem, że np. Benedyktyni i Augustyanie powrócą do Prus. Oba te zakony są tu mało znane wśród protestantów, powrót ich zatem nie zaniepokoiłby nawet zaciętych wrogów naszych. Liberałom chodzi zaś głównie o to, aby wychowanie młodzieży nie przeszło nigdzie w ręce zakonów.

Wspomniałem powyżej o hierarchii protestanckiej, chociaż wyraz ten jest niewłaściwy, i o dążnościach ścisłych zachowawców prawowiernych w celu wybicia się z pod wpływu ministra wyznań. Protestanci ci przemyśliwają w rzeczy samej nad tem, jakby upadek prostentantyzmu powstrzymać, i w tym celu pragną utworzyć jakąś hierarchię z „biskupami“ na czele i t. d. Liberalne stronnictwa krzyczą w niebogłosy, rządowcy lękają się politycznych zachcianek tej nieistniejącej jeszcze hierarchii, a rząd stanowczo potępia te dążności, ma on bowiem dosyć kłopotu z biskupami katolickimi, jak się głosy rządowe wyrażają. Na jedno godzą się wszyscy prote-

stanci, że pragną lepszego uposażenia „Kościoła“ protestanckiego przez państwo tj. z kieszeni wszystkich płacących podatki, nie wyjąwszy oczywiście także katolików. Na taką niezawisłość gotowiby i liberali przystać. Sprawa ta ciągle jeszcze zajmuje protestantów i wytoczy się przed forum sejmu pruskiego.

Czy w temże ciele prawodawczem wniosą nowe projekta przeciwko ludności polskiej, nie jest jeszcze rzeczą pewną, ale to już wiemy, że środki tego rodzaju nie są jeszcze wyczerpnięte; ale może rząd jeszcze poczeka, by się przekonać, jak błogi owoc wydadzą rozporządzenia, które na początku roku bieżącego cały świat cywilizowany przeraziły. Kanclerz zatrąbi znowu w surmę wojenną, a za przegrywkę posłuży ogłoszenie streszczenia memoryału, o którym książe Bismark wspomniał już podczas wiosennych rozpraw sejmowych. Jestto pismo zmarłego w Poznaniu przed 23 laty jenerała Grolmanna, człowieka burzliwego umysłu a godnego towarzysza Flotwella, pismo wystosowane przed 55 laty do rządu pruskiego a z akt wydobyte dopiero w r. 1848 celem wystąpienia przeciwko sympatyom, jakie wówczas Niemcy żywili względem Polaków. Przed miesiącem cała prasa wroga Polakom powtórzyła streszczenie owej broszurki z wyraźnem nadmienieniem, że chodzi o to, aby Polaków pozbawić ostatnich resztek owych sympatyj; byliśmy wtenczas świadkami wiadomego „oburzenia narodowego“, które się wywoła jednem naciśnięciem sprężyny w Berlinie.

Nie myślę się nad tym przedmiotem szeroko rozwodzić, ale wspomnę przynajmniej, co pisze Grolmann o szlachcie, o duchowieństwie i o włościanach polskich. Szlachtę opisuje jako zupełnie pozbawioną wszelkiej karności, oddaną swawoli, bezprawiu, rozwiązłości, intrygom, gnębiącą i upokarzającą podwładnych, obałamuconą stosunkami z Francyą, niezdolną do strawienia frazesów o wolności. Polak nie ma pojęcia o sumienności urzędnika względem państwa; on sam przyjmuje urząd tylko dla zysku lub honoru, a nie chodzi mu o to, jaką drogą doń dojdzie. Dzierżąc go, zwala trud wszelki na podwładnego zazwyczaj Niemca, sam oddając się wyłącznie używaniu. Jeśli się tedy chce wziąść Polaka do służby publicznej, trzeba go w bardzo młodym wieku wyrwać z stosunków rodzinnych, dać mu wychowanie wyłącznie niemieckie i kształcić go w starych prowincyach pruskich na uczciwego urzędnika; w kraju własnym

nigdy się tego nie dopnie. „Duchowieństwo jest rubaszne, niewykształcone, fanatycznie katolickie, w sposób fanatyczniejszy polskie, i w większej części oddane pijaństwu. Podczas powstania (1831 r.) była większa część duchowieństwa bardzo źle usposobiona; nadużywano spowiedzi i rozgrzeszenia, aby nakłonić lud do powstania, a zniechęcić dla Prus. Skoro się nie zniesie seminaryów w kraju, a księży do Poznania nie sprowadzi się z dyecezyi wrocławskiej, chełmińskiej, warmińskiej i w ogólności nie zmusi się duchownych do odbywania studyów w Wrocławiu, Królewcu lub nie założy się wydziału teologicznego dla nich, nie zakaże przygotowania duchownych w ciemnościach seminaryów — dopóty się nigdy nie osiągnie większych rezultatów“. Chłop polski, podług Grolmanna, jest najnieporządniejszem, a zarazem najniewinniejszem stworzeniem pod słońcem, bez potrzeb wszelkich, żądny tylko tańca i gorzałki, a szlachcic i ksiądz utrzymują go w największej głupocie, a on sam tak jest gnuśny, że sprzeciwia się wszelkiej reformie; nieznośny mu porządek i ochędóstwo; zresztą chłop nie jest złośliwy. Nie mając sprzętów domowych, żyje w nędznej chacie chlebem, jakiego się w Niemczech ani psom nie daje; rozkoszą jego jest wódka, za którą przyszły sprzęt już z góry zastawia u Żyda. Aby skutecznie wpłynąć na prostego Polaka, trzeba go oddać do wojska, ale każdego z osobna posłać do pułków niemieckich: tam nauczyłby się języka niemieckiego i wróciłby z innemi pojęciami. Tak Grolmann.

Od niego też wyszła myśl rozbioru Ks. Poznańskiego pod względem administracyjnym, myśl obecnie na seryo rozbierana w sferach decydujących. Przeciwko temu zamiarowi odezwała się cała prasa niezależna, nie wyjąwszy wrogich nam dzienników, a nawet organa rządowe w Poznaniu i w Wrocławiu. Projektowicze proponują, aby północną część Księstwa połączyć z Prusami Zachodniemi, zachodnią z Brandenburgią, południową z Szląskiem, a tylko polskie okręgi administrować oddzielnie, a to wszystko pozornie dla tego, aby ułatwić zaprowadzenie samorządu w Poznańskiem. Jakiego rodzaju miałby być ten samorząd, pokazuje się stąd, że z góry wszystko tak ma być obmyślonem, aby Polacy na żadnym sejmiku większości nie mieli. Nawet wrogie nam dzienniki proszą owych projektowiczów, aby poczekali cierpliwie, na rezultat osta-

tnich ustaw antypolskich, mianowicie ustawy kolonizacyi niemieckiej w Poznańskiem.

Ucisk języka polskiego potęguje się także na Szląsku. Kiedy niedawno stamtąd baron Zedlitz miał przybyć do Poznania, aby objąć posadę naczelnika administracyi w całem Księstwie, odezwały się głosy przychylne ludności górnoszląskiej, polecając urzędnikom, aby posługując się ojczystym językiem tego poczciwego ludu usiłowali nań wpływ dobry wywierać. Natychmiast wydało dwóch naczelników powiatowych surowy zakaz, aby żaden z podwładnych urzędników nie śmiał używać języka polskiego w stosunkach urzędowych z ludnością, gdyż lud lubi udawać, że nie zna języka niemieckiego, a przecież trzeba popierać tendencyę szkoły dążącej do powolnej germanizacyi Górnego Szląska i „zachować ludności niemieckość!“ Urzędnicy podwładni zastosowali się do tego z taką ścisłością, że nie spisywali nawet protokułów w sprawach sądowych inaczej jak po niemiecku. Oczywista rzecz, że sprawy tego rodzaju poczęły zalegać, i pierwszy prokurator w Raciborzu był zmuszony przypomnieć owym podrzędniejszym figurom, że przedewszystkiem czynności służbowe załatwiać trzeba, chociażby przytem czasem wypadało mówić po polsku. Zakaz używania języka polskiego został także po wszystkich szkołach całego Górnego Szląska powtórzony a to dlatego, że jakiś chłopczyna w sądzie przesłuchany jako świadek oświadczył, iż nie umie dostatecznie po niemiecku, aby w tymże języku obcym mógł zeznania złożyć pod przysięgą: zarządzono natychmiast śledztwo, które miało wykazać, że ów chłopiec nadto był skrupulatny.

Czytelnicy *Przeglądu* niech nie sądzą jednak, że ten szowinizm żyje tylko w polskich okolicach. Coś podobnego znachodzimy w Szlezwigu, gdzie przedewszystkiem z protestanckich zborów pragną wyrugować język duński. Oburzenie doszło tam do tego stopnia, że protestanckie dzienniki radziły Duńczykom, aby porzuciwszy urzędową sektę protestancką, sami czynili zadość swoim potrzebom religijnym w języku ojczystym. Także przeciwko Francuzom w Alzacyi powstała burza i odezwały się głosy żądające zastosowania w Alzacyi podobnej polityki jak w Poznańskiem. Tam atoli byłoby to połączone z wielkiemi trudnościami. W Alzacyi rej

wodzą przemysłowcy, od których cała ludność prawie pod każdym względem zależy. Przemysłowcy ci są licznemi stosunkami związani z Paryżem; gdyby rząd począł prześladować ich na seryo, przenieśliby oni zakłady swoje do Francyi, a Alzacya byłaby prawie jednym zamachem zniszczoną materyalnie. Rząd wie o tem i lęka się tego, a przemysłowcy żartują sobie dlatego z pogróżek prasy szowinistów niemieckich. Dzienniki te zarzucające przemysłowcom alzackim nieomal zdradę stanu, powinny im tę przynajmniej oddać pochwałę, że robotników swoich otaczają materyalną opieką i tem głównie przyczynili się do tego, iż socyalistów w Alzacyi nie ma.

Wiadomo, że w innych częściach państwa niemieckiego wcale inaczej wygląda. Rozpisałem się o tem w ostatniem sprawozdaniu. Po wysłaniu tegoż listu ostatniego, przedstawił rząd saski parlamentowi krótki referat o położeniu w królestwie saskiem, referat mający usprawiedliwić dalsze trwanie oblężenia w Lipsku i okolicy. Sprawozdanie to wywołało oczywiście namiętną krytykę ze strony socyalistów, zaś stronnictwa z wyjątkiem jednego mowcy liberalnego, nie brały w rozprawach nad tym przedmiotem wcale udziału. Czytając sprawozdanie saskie miałem wrażenie, iż referat ten z powodu nagłego zwołania parlamentu bardzo pobieżnie został napisany, zwłaszcza że rząd saski twierdził, iż ogromny posiada materyał przeciwko socyalistom. Referat rządowy nie oświadczył bynajmniej o skuteczności ustawy, która w znacznej części miała zgnieść ruch socyalistyczny. Jak wszędzie, tak i w Lipsku nie osiągnięto rezultatów pożądanych, bo i tam ruch wzmaga się z każdym rokiem, mimo silnej represyi i mimo ustawodawstwa, mającego polepszyć dolę robotników. Zarówno jak w Berlinie, pomnożyły się znacznie w Saksonii tak zwane związki fachowe. Są to stowarzyszenia robotników, pracujących w tej samej lub w pokrewnych gałęziach przemysłowych. W Lipsku podniosła się liczba ich z 21 na 35. W miarę jak się mnożą te stowarzyszenia, wzmaga się także prąd, wrogi obecnemu porządkowi społecznemu i pesymizm wśród robotników, co wyraźnie rząd saski kontroluje. Dawniej objawiał się prąd ten tylko sporadycznie; teraz kiedy poczucie solidarności dodaje robotnikom więcej odwagi, pogorszyły się stosunki o tyle, że owa niechęć coraz więcej na jaw występuje. Związki robotników

składają się faktycznie z samych socyalistów. Skutkiem tego ustępują pierwotne cele związków, o których wspominają statuty, na plan drugi, a chociaż statuty pozornie usuwają politykę i socyalistyczne idee z wymienionych stowarzyszeń, to jednakże pod niewinną formą kryje się duch socyalistyczny. Agitatorzy czuwają z największą energią nad wszelką zmową robotników i korzystają z niezadowolenia warstw robotniczych, aby je coraz większą zatruwać goryczą i coraz bardziej zniechęcać przeciwko prawodawcom. W jednej wsi pod Lipskiem otrzymała władza policyjna list, grożący dynamitem i puginałem. Zdaniem rządu saskiego, przyczyniają się także wypadki w wysokim stopniu do zaniepokojenia. Lipsk od samego początku w historyi ruchu socyalistycznego ważną odgrywał rolę i był punktem zbornym dla agitatorów szerzących pisma socyalistyczne. Nie ulega też wątpliwości, że pisma te i teraz rozrzucane bywają obficie, trzy razy tylko udało się w zeszłym roku schwycić agitatorów na gorącym uczynku. O jednym z tych wypadków dowiedziała się policya tylko dlatego, że pisma zakazane przez pomyłkę dostały się w ręce lojalnego obywatela, który je przesłał policyi; w dwóch innych przypadkach ukarały sądy agitatorów kilkotygodniowem więzieniem. Władza rządowa w Saksonii sądzi, że znajdujący się w Lipsku najwyższy trybunał niemiecki, potrzebuje szczególniejszej opieki i obrony ze strony policyi, a tej potrzebie nie udałoby się zaradzić bez stanu oblężenia. Najwyższy trybunał powinien także w procesach politycznych wydawać wyroki, a ponieważ te wyroki nieraz bardzo ciężkie kary ściągają na przestępców politycznych, przeto członkowie sądu najwyższego i rodziny ich mają prawo żądać skutecznej obrony i opieki. Organ „Mosta“, wychodzący w Ameryce, namawia anarchistów, aby zgładzili jakimkolwiek sposobem członków najwyższego trybunału i pomścili ukaranych towarzyszów swoich, zabijając sędziów. „Freiheit“ wspominała nawet, że osobny w Ameryce założono fundusz dla pomszczenia mordercy Lieske'go, który sztyletem przebił radcę policyjnego Rumpffa we Frankfurcie nad Menem [1]. Rząd saski nie lekceważy takich objawów, zwłaszcza że socyaliści przy rozmaitych sposobnościach, nawet w parlamencie niemieckim, zabójstwo poli-

[1] Lieske został skazany na śmierć i stracony.

tyczne przedstawiali, jako czyn całkiem godziwy. Policya lipska została zawiadomioną, że drukarz amerykańskiego tygodnika anarchicznego „Freiheit“ zaangażował brata jednego z skazanych na śmierć i straconych z powodu niedoszłego zamachu na cesarza Wilhelma i innych książąt na Niderwaldzie (przy odsłonięciu pomnika Germanii). Człowiek ten wyjechał do Ameryki, i wszystko świadczy o tem, że nietylko pozyskał całkowite zaufanie anarchistów, lecz nadto utrzymuje ciągłe stosunki z lipskimi socyalistami. Wśród takich okoliczności obawia się rząd saski, że zniesienie stanu oblężenia mogłoby stosunki tylko pogorszyć.

W ostatnim czasie przedłużono także stan oblężenia i w Berlinie i Hamburgu i w okolicy. Spodziewano się, że rząd przynajmniej cofnie ograniczenia, którym obecnie zgromadzenia publiczne wszystkich stronnictw podlegają, a o którym pisałem w ostatniem sprawozdaniu. Sądzono, że te ograniczenia miały tylko podczas lata tamować ruch strejkowy. Tymczasem stan oblężenia zachował i to ograniczenie, któremu się wszystkie, inne partye o tyle poddać muszą, że bez wyraźnego i piśmiennego pozwolenia policyjnego, które 48 godzin wprzódy uzyskać trzeba, żadne zgromadzenie publiczne odbyć się nie może. Mimochodem tylko wspomnę, że władza policyjna kilkakrotnie zezwoliła na odbycie zebrań antisemickich a nie rozwiązała ich, chociaż w bardzo namiętny sposób wystąpiły przeciwko Żydom i widać, że policya nie ma nic przeciwko temu ruchowi, który zresztą znacznie podupadł, odkąd przyboczny organ ks. Bismarka zganił udział w nim Stoeckera.

Posłowie socyalistyczni narzekali w parlamencie głównie na to, że rządy ruski i pruski w walkach ekonomicznych między robotnikami a kapitalistami stanęły po stronie ostatnich, pogwałciwszy swobodę koalicyjną robotników. Przypomniały, jak przed ośmiu laty Bennigsen, ówczesny przywódca narodowców liberalnych, podnosił, że za pomocą swobody koalicyjnej, robotnicy niemieccy tak samo byt swój materyalny polepszyć mogą, jak i robotnicy w Anglii na mocy tegoż samego prawa; domagali się tedy socyaliści, aby przynajmniej skrajni liberali potępili postępowanie rządu w tej sprawie. Poseł liberalny, baron Stauffenberg, bawarczyk, uczynił zadość temu żądaniu. Ubolewał on, że rząd krępuje swobodę robotników, za-

wiązujących koalicyę przeciwko pracodawcom celem polepszenia ich doli ekonomicznej, i zaznaczył, że teraz rząd wszędzie krępuje robotników, chociaż ustawa socyalistyczna pierwotnie miała tylko być wymierzoną przeciwko usiłowaniom, zawierającym do przewrotu porządku społecznego. Zresztą socyaliści wyparli się przy tej sposobności znowu wszelkiej łączności z anarchistami. Słowa te nie zrobiły atoli wielkiego wrażenia, ponieważ anarchiści zazwyczaj rekrutują się z obozu socyalistycznego. Teorye socyalistyczne popychają niektóre jednostki wprost do zbrodni, a tych właśnie nazywamy anarchistami. Nie wyklucza to bynajmniej faktu, że anarchiści odgrażają się przywódcom socyalistów, którym takie poszczególne zbrodnie nie są na rękę. Przywódcy socyalistów nie wzdrygają się bynajmniej przed rewolucyą, ale wtenczas dopiero, zdaniem ich, powinien wybuch nastąpić, kiedy będzie zapewnione jego powodzenie, że nie będzie zgnieciony w potokach krwi. Oto cała różnica między socyalistami a anarchistami.

Przez dni kilka odbywał się tu kongres, mający na celu popieranie interesów kolonialnych Niemiec. Nazwa zebrania była zbyt szumną, i rzeczywistości wcale nie odpowiada. Najprzód powstrzymał się od udziału w zebraniu tak zwany związek kolonialny; wszelkie usiłowania, aby członków jego pogodzić z kierownikami stowarzyszenia wschodnio-afrykańskiego, spełzły na niczem, i nawet ci, którzy pierwszą odezwę celem zwołania kongresu podpisali, nie zaszczycili zebrania swoją obecnością. Następnie udało się ściągnąć uczestników 200 do 300; większa część nawet była z Berlina samego, gdzie ciekawych mamy zawsze podostatkiem. Cały przebieg kongresu nie zrobił prawie żadnego wrażenia; jeśliby polityka kolonialna nie była popierana przez inne czynniki, musiałaby niebawem osiąść na piasku. Wśród publiczności wywołał przykre wrażenie projekt, hr. Pfeila, odgrywającego znaczną rolę w stowarzyszeniu, które zaanektowało ogromną część Afryki Wschodniej. Ponieważ żadną miarą nie uda się ściągnąć wychodźców do tamtych okolic, zaproponował hrabia, aby plantacye projektowane, przez niewolników były uprawiane. Niewolnicy ci mają być sprowadzeni przez naczelników szczepów dzikszych. Piękny to pomysł, aby zapomocą polowań na czarnych z upadku wydźwignąć murzynów i obdarzyć niemiecką cywilizacyą. Hr. Pfeil gorszy się, że misyonarze (protestanci) zbyt

często murzynom kazania prawią; zdaniem jego powinni misyonarze przedewszystkiem owe szczepy do roboty zapędzać. Oczywista rzecz, że stowarzyszeniu akcyjnemu, którego członkiem jest pan Pfeil, w pierwszym rzędzie zależy na dobrych dywidendach: tymczasem kapitał niemiecki nie ma jakoś ochoty zaprzepaścić się w Afryce. W Kamerunie, gdzie żadną miarą nie chciano dopuszczać misyonarzy pochodzących z Alzacyi i Badenii (rzekomych Francuzów) zakupili protestanci z Szwajcaryi kawał ziemi, który dawniej był w posiadaniu misyonarzy angielskich, także protestantów. Odtąd więc protestanci szwajcarscy będą tam rozwijali swą działalność; katolickiej misyi niema w Kamerunie i nie będzie tak prędko.

X.

Druk ukończony dnia 22 grudnia 1886.

Tom XIII. Nr. 38.

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK CZWARTY. — ZESZYT 2.

LUTY 1887.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

TREŚĆ ZESZYTU 2.

Str.

1. Źródła historyczne Wschodu odnośnie do Pisma świętego. Przez *Ks. W. Zaborskiego T. J.* 153
2. Kilka uwag o wpływie kościoła na ustawodawstwo świeckie. Przez *Dra Józefa Brzezińskiego* (Dok.) . . . 171
3. Stowarzyszenia katolickie w Niemczech. Przez *Dra Baumgartena* 191
4. Indyjska Teozofia w Europie. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 208
5. Zamorskie posiadłości Wielkiej Brytanii, IV. Oceania. Przez *A. M. L.* (C. d.) 224
6. W sprawie autentyczności rękopisu królodworskiego. Przez *Dra Antoniego Kalinę* 235

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego: Podstawy teoryi poznania w Systemie Logiki J. S. Milla. Przez *Dra Aleksandra Raciborowskiego.* — Catalogus Codicum manu scriptorum Musei principum Czartoryski Cracoviensis edidit *Dr. J. Korzeniowski (X. J. Polkowski).* — Karol Appel i A. Kryński. Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim *(Sz. Matusiak).* — Pruska ustawa kościelno-polityczna z dnia 21 maja 1886. *Dr. Wł. Abraham.* — Nauki na Niedziele i Święta całego roku. Przez *Ks. A. Chmielowskiego.* — Kwartalnik historyczny, organ Towarzystwa historycznego. — Kazania Niedzielne, Świętalne, Passyjne i Majowe. Przez *Ks. Zyg. Goliana* 255

Z piśmiennictwa zagranicznego: The forgotten Nation. By *Maude Aushurst Bigss.* — Ungarn von der Schlacht bei Mohács von *Dr. Wilhelm Franknói.* — Les Maitres italiens en Italie, par *Jules Levallois.* — Der Lautwerth der Nasalvocale im Altpolnischen von *Dr. J. Leciejewski (Sz. Matusiak).* — Missiones catholicae ritus latini 271

Z pism peryodycznych: Przegląd katolicki rok 1886. — Slovansky Sbornik Rocznik V. 275

Rozmaitości: Towarzystwo św. Wincentego a Paulo w Galicyi. — Przegląd katolicki o dziele Pastora. — Artykuł o Ewolucyonizmie w Muzeum. — Nowe książki 284

SPRAWOZDANIE
z ruchu religijnego, społecznego i naukowego.

1. Sprawy Kościoła: Przemowa Papieża do kolegium kardynalskiego. — Wrażenie odniesione z tej mowy w świecie katolickim i niekatolickim. — Dalsze zamachy przeciw Kościołowi we Włoszech. — Okólnik „wielkiego Wschodu włoskiego“ do lóż niemieckich. — Protest episkopatu hiszpańskiego. — Mowa Tajaniego o misyonarzach włoskich. — Kanonizacya męczenników angielskich. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 290
2. Sprawy [illegible]olne w Sejmie. Przez *Chylińskiego* 298
3. Listy z Australii 316

Z powodu broszury: „między Rosyą a Niemcami“. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* (Dodatek) XXV

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA ŚW.

Biblia jest dziełem autorów, którym towarzyszyła przy pisaniu wszechwiedza Ducha Św., wszystko zatem co się w niej znajduje jest prawdą nieomylną. Jako katolicy wiemy o tem i temu wierzymy na podstawie powagi Kościoła, rozum zaś nasz, o ile to w jego zakres wchodzi, stwierdza nam prawdziwość Pisma św. na każdym kroku.

Między wiarą a rozumem niema i nie może być przeciwieństwa: utrzymywali to najstarsi Ojcowie Kościoła, najnowsi ogłosili to światu na soborze Watykańskim, a nadto orzekli coś więcej, mianowicie że „prawy rozum udowadnia podstawy wiary". Znakomity przyrodnik, mający sławę europejską, postawił był następujący dylemat:" Albo Mojżesz posiadał tak głęboką znajomość umiejętności, jaką posiada wiek obecny, albo też był pisarzem natchnionym". Dylemat ten można rozszerzyć. Co Ampère powiedział o Mojżeszu tylko i o umiejętnościach przyrodniczych, można powiedzieć o wszystkich innych pisarzach ksiąg świętych i o wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. Każda umiejętność skoro dojdzie do wyników nie ulegających wątpliwości składa świadectwo prawdomówności Pismu św., a im która z nich, z natury swojej, bliższą ma z niem styczność, tem donioślejszych można po niej oczekiwać świadectw. Badania i odkrycia ostatnich czasów w Egipcie i Zachodniej Azyi, w zupełności stwierdziły te domniemywania.

Lud Izraelski pochodził z ziemi i rodu, który główną grał rolę w odległych dziejach Zachodniej Azyi, długie lata przebywał

w ziemi Faraonów, przez wiele wieków sąsiadował z ludami hołdującymi Asyryi, bezpośrednio staczał boje z władcami Niniwy i Babilonu, położony na pograniczu dwóch potężnych państw Azyi i Afryki, w ciągłych musiał być i bywał z niemi stosunkach. Kronikarze izraelscy skrzętnie zapisywali zdarzenia historyczne, stąd częste, ciągłe nawet wzmianki w Biblii o Asyryjczykach i Egipcyanach, całe księgi nieraz o nich prawie jedynie traktują. Te wzmianki jednak, przy braku innych pomników piśmiennych, nie odtwarzały jeszcze historyi państw z nad Nilu i Eufratu, autorowie bowiem Biblii nie pisali ani dziejów tychże państw, ani nawet dziejów, w ścisłem znaczeniu tego słowa, ludu Izraelskiego. Historyą Egiptu i Asyryi zajmowali się starzy pisarze greccy, lecz ponieważ księgi ich doszły nas tylko w urywkach, ponieważ wypadki które opisywali, działy się na kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt wieków przed ich czasem, materyały zaś czerpali z podań, nie zaś z pewnych źródeł historycznych, stąd nie miały one cech wiarogodności, były podawane w wątpliwość i ostatecznie w znacznej części bajecznemi się okazały — do ostatnich czasów historya Egiptu i Asyryi była nieznaną. Badania i odkrycia jakich dokonał nasz wiek w tych krajach, należą bezsprzecznie do tych, które największą chlubę przynoszą rozumowi ludzkiemu: w grobach egipskich i w namułach dolin eufrackich odnaleziono oryginalne kroniki współczesne, wykryto klucz do ich odczytywania, wskrzeszono języki zamarłe przed kilkudziesięciu wiekami — posiadamy dziś autentyczną historyę tych krajów.

Dzieje wielkich państw wschodnich jakkolwiek ważne same w sobie, gdyż uzupełniają ogólny pogląd na kulturę, na jej przebieg i pochód, ważniejsze są nierównie ze względu na przedmiot, którym się obecnie zajmujemy: dają świadectwo prawdziwości Pismu św. i autentyczność jego stwierdzają. Dzieje ludu Izraelskiego uwydatniają się dopiero na tle dziejów Egiptu i Asyryi. „Tym sposobem, mówi Fr. Lenormant [1], uwidocznia się ten wpływ Opatrzności, bezpośredni, ciągły, nadprzyrodzony, jakiego gdzieindziej się nie spotyka, na losy ludu, któremu zostało powierzone posłannictwo nieskazitelnego przechowania depozytu wiary, i z któ-

[1] Pref. de l'hist. anc. de l'Orient.

rego łona miał wyjść Zbawiciel... Tym sposobem podziwiać można i trzeba tę działalność P. Boga, która bez nadwerężenia wolnej woli człowieka, potrafiła skierować wypadki do swych zamiarów, i tę moralną siłę ludu Izraelskiego, ludu drobnego i słabego w porównaniu do sąsiadujących z nim olbrzymich państw, tę siłę, która wobec przeważnych i wrogich sił fizycznych, dopięła wytkniętego sobie celu i przeobraziła postać świata... Tak dla mnie, jak dla wszystkich chrześcijan, historya starożytna jest przygotowaniem, historya zaś nowożytna następstwem ofiary Boskiej na Golgocie spełnionej".

Nowe nabytki wiedzy jakie zdobyli uczeni badacze nad Nilem, Eufratem i Tygrem ważne są również w swych szczegółach. „Niedawno jeszcze, pisze Dr. Neteler [1], epokę w której pisał Izajasz, poczytywano za epokę mistyczną, lecz napisy asyryjskie umieściły ją napowrót w epoce historycznej. Po odkryciu dokumentów wschodnich spodziewano się napotkać w nich sprzeczności z danemi biblijnemi, — oczekiwania zawiodły... Asyryjczycy dlatego, zdawało się, zmartwychwstali, aby obległszy nanowo Jerozolimę zdruzgotać kanon Starego Zakonu, — otóż ci właśnie Asyryjczycy opowiadają zdarzenia, którym wierzyć nie chciano na podstawie tekstów biblijnych. Dane biblijne i dane asyryjskie uzupełniają się, i potwierdzają wzajemnie swą wiarogodność". Uczony niemiecki Dr. Bickel [2], w podobny wyraża się sposób. „Rzecz godna uwagi, że obydwa odkrycia historyczne naszego czasu podają sobie dłoń aby obronić pochodzenie mojżeszowe Pięcioksięgu. Z jednej strony egiptologia zapoznaje nas w najdrobniejszych szczegółach ze stanem Egiptu, i tym sposobem stwierdza autentyczność księgi, której autor musiał przemieszkiwać w dorzeczach nilowych, z drugiej strony asyryologia okazuje błędność hipotezy przypuszczającej różność źródeł historycznych, i poświadcza jednolitość tego najgłówniejszego dokumentu Starego Przymierza". Zasłużony na polu piśmiennictwa biblijnego uczony oryentalista ks. Vigouroux przyrównywa odkrycia dokonane na Wschodzie w ostatnich czasach do wskrzeszenia Piotrowina. P. Bóg wyprowadził z grobu przed kratki sądowe świadka dawno

[1] Das Buch Izaias, 1876, str. 1.
[2] Zeitschrift für katholische Theologie, 1877, str. 131.

zmarłego na obronę świętego biskupa, — na obronę swych ksiąg wzbudził P. Bóg uczonych, którzy z grobów egipskich i rozwalin chaldejskich przynieśli dotykalne świadectwa, popierające autentyczność ksiąg świętych. *Kamień z ściany wołać będzie,* przepowiada Habakuk [1], *a drzewo które między spojeniem budowania jest, odpowie.*

Za granicą we wszystkich niemal krajach, obok specyalnych dzieł i czasopism, traktujących szczegółowo prace dokonane i dokonywające się w tym przedmiocie, znajduje się poważny szereg pisarzy, którzy sobie wzięli za zadanie, zestosowanie nowych odkryć do egzegezy biblijnej; w naszym kraju oprócz pobieżnych artykułów w encyklopedyach i urywkowych wzmianek w dziennikach, nie posiadamy dotąd żadnego dzieła streszczającego te badania i odkrycia; w miarę sił naszych i czasu postaramy się o uzupełnienie tego braku. Przedewszystkiem przebieżymy treściwie odkrycia dokonane w dolinach Nilu, Eufratu i Tygru, rzucimy wzrokiem na prastarą kulturę Egiptu, Chaldei i Asyryi, i podamy chronologiczny przebieg usiłowań, uwieńczonych godnym podziwu skutkiem, które doprowadziły do odczytania najstarszych zabytków piśmiennych.

Archeologia zajmuje się badaniem dziejów ludzkich na podstawie starych pomników i wykopalisk, archeolodzy tedy zajęli się Egiptem i Mezopotamią. Jednakże, ponieważ badania tych krajów przedstawiały bardzo szerokie pole działalności, ponieważ odrębność udów, które je zamieszkiwały tak była wielka pod względem etnograficznym i lingwistycznym: co więcej, ponieważ kultura ich liczyła się na dziesiątki wieków, a doniosłość wyników była nadzwyczaj ważną, — stąd uczeni badacze zmuszeni byli podzielić się pracą i utworzyć dwie specyalne gałęzie wiedzy: archeologia Egiptu nosi nazwę Egiptologii, siostrzyca zaś jej znad Tygru i Eufratu nazwaną została Asyryologią. Która z tych dwóch nauk zasługuje na pierwszeństwo trudno napewno orzec. Pod względem wielości i wspaniałości pamiątek, Egipt bezsprzecznie pierwsze zajmuje miejsce, do niedawna toż samo utrzymywano i pod względem chronologicznym, badanie

[1] II. 11.

jednakże ostatnich czasów dokonane w Chaldei podało w wątpliwość ten ostatni wzgląd; nie rozstrzygając na korzyść żadnego z dwóch zdań przeciwnych zajmiemy się najprzód Egiptologią, ona bowiem pierwsza wstąpiła na szczeble wiedzy, a mnogie prace dokonane w jej zakresie umieściły ją na poważnem stanowisku naukowem.

I. Egiptologia.

Północno-wschodni kraniec Afryki, oblany dwoma morzami, oddzielony od stałego lądu na zachód pustyniami piaszczystemi, na południe rozciągający się ku równikowi, bez stale oznaczonych granic, nosi nazwę Egiptu. Starzy mieszkańcy tego kraju zwali go *Chemi* „czarny“, lub *Ha-ka Ptah* „siedzibą Ptah'a“, stąd powstało prawdopodobnie greckie Αἴγυπτος [1]. Od południa ku północy przerzyna Egipt jedna z największych rzek w świecie, mająca dla tego kraju znaczenie szczególnej doniosłości [2]. Źródła Nilu znajdują się pod równikiem; długość rzeki od jeziora N'yanza do ujścia w morze wynosi 6270 kilom., wliczając zaś dopływy tego ogromnego zbiornika, cała długość dochodzi do 7000 kilometrów. Wielkie jeziora równikowe przepełniają się około przesilenia letniego wodami spływającemi ze stoków śnieżnych gór afrykańskich, które dawniej „Górami Księżycowemi“ nazywane bywały. Nadwyżka wód odpływa Nilem, który je toczy ku morzu; lecz przypływ tak jest nagły, iż wezbrane nurty występują z łożyska i zalewają okoliczne doliny. Wody dopływające do Nilu są przepełnione szczątkami pochodzącemi z rozkładu roślinnego i zwierzęcego, namuł ten osadza się na gruntach zalanych i służy im za umierzwienie; po odejściu

---

[1] Semici nazywają Egipt *Misr*; Hebrajczycy dawali mu toż samo nazwisko lecz w liczbie mnogiej *Misraim*.

[2] Starzy Egipcyanie znali dobrodziejstwa rozlewu nilowego. Na cześć Nilu wznoszono posągi, układano hymny; pod nazwą bożka *Hapi* oddawali mu hołdy kapłani w tym celu ustanowieni. W tekstach hieroglificznych Nil nosi nazwę Hapi, w języku ludowym według pism demotycznych zwano go *A'ura, Yaro*; Mojżesz w księdze Rodzaju (XLI, 1), nazywa go z egipska po hebrajsku *Ye-or*.

wód okazuje się ziemia, której czarna barwa uderzająco różni się od żółtawych piasków sąsiednich płaskowzgórzy. Herodot wyrażał się, że „Egipt jest darem Nilu". Można powiedzieć coś wiecej: te tylko grunta były i są uprawiane, te tylko doliny były i są gęsto zamieszkałe [1], na wybrzeżach tylko Nilu znajdowały się stare olbrzymie grody, i dziś jeszcze tu tylko wznoszą się większe miasta — dolina Nilu jest właściwym Egiptem. Lecz dolina ta wąskiem jest bardzo pasem. Począwszy od Asuan'u, wybrzeża Nilu ścieśnione są wzgórzami: libijskiem na zachód, na wschód arabskiem, mającemi od 50 do 350 m. wzniesienia. Największa szerokość doliny wynosi 20 kilometrów, a w wielu miejscach ma 3 do 4-ech kilom., około Silsile ścieśnioną jest do 1200 metrów. Poza tym rąbem nilowym na prawo i lewo ciągną się pustynie piasczyste, jak tylko oko zasięgnąć może piaski i piaski, okolica martwa, dusząca, jednostajna, przerywana jedynie mirażami i gdzie niegdzie zrzadka rozsianemi oazami. Dolina Nilu przy ujściu kończy się nasypem, któremu Grecy dla podobieństwa ze swą głoską dali nazwę Delty. Nasyp ten, mający 23000 kil. kw. pow., gromadzony był wiekami przez namuł nilowy naniesiony z półczwarta miliona kil. kw. dorzeczy.

Na tej czarnej wstędze okalającej modre wody Nilu rozmieściła się sześciomilionowa ludność dzisiejszego Egiptu. Największą jej część stanowią Felahy (rolnicy); potomkowie dawnych Egipcyan, przyjęli oni od zaborczych Arabów religię, język i weszli z nimi w związki pokrewne. Mniejszą daleko, bo tylko piętnastą część całej ludności, stanowią Kopci, lecz oni są rzeczywistymi przedstawicielami prastarych mieszkańców. Nawróceni zaraz w początkach naszej ery, zachowali wiarę chrześcijańską, nie wstępowali w związki małżeńskie z Mahometanami i tym sposobem przechowali swe cechy typowe. Nazwę Koptów wyprowadzają od miasta *Guft v. Koptos*, które w czasie prześladowania Dyoklecyana zostało zburzone. Na początku jeszcze wieku XVII-go mówili Kopci swoim własnym językiem, dziś używają tylko arabskiego, w liturgii jednak zachowali

[1] W dolinie Nilu liczy się 243 mieszkańców na kilometr kwadr.; w Belgii, najgęściej zaludnionej, znajduje się tylko 190.

dawny swój język. Większa część Koptów wyznaje monofizytyzm; inni złączyli się z Kościołem, zachowując dawny obrządek. Ludność większych miast egipskich jest przeważnie pochodzenia arabskiego, lecz przez związki tak z dawnymi jak i innemi napływowymi mieszkańcami wyrobił się osobny typ. Beduini koczujący i na pół koczujący, w liczbie około 300 000 przechowali czysty typ arabski: odosobnienie w jakiem żyją i rodzaj życia jaki prowadzą, wpływa na zachowanie tej odrębności. W Kairze, szczególnie zaś w Aleksandryi liczne są osady Europejczyków (100 000), pomiędzy nimi najwięcej jest Greków i Włochów; wreszcie Murzyni, ludność napływowa z Berberyi, spełniają dziś, jak za dawnych czasów najniższe obowiązki służbowe.

Dziejami Egiptu zajmowali się najstarsi historycy greccy: Hekateusz Joński (521) i Herodot (450) pozostawili bardzo cenne materyały, szczególnie ten ostatni. Wszystko co widział i opisał Herodot jest zupełnie wiarogodne, potwierdzone przez najnowsze badania i odkrycia, lecz same dzieje starych Egipcyan spisane z opowiadania nie wytrzymały krytyki, i bajecznemi się okazały. Późniejsi: Eratosten, Strabon, Dyodor Sycylijski w dziejach odnoszących się do Egiptu mało opierali się na miejscowych źródłach historycznych, wyjątek pod tym względem stanowi kapłan egipski Maneton, za panowania Ptolemeusza Filadelfa (285—247 przed Chr.), który badał zbiory historyczne złożone po świątyniach, i na mocy tychże spisał historyę Egiptu. Dzieła jego zaginęły, urywki tylko doszły nas z drugiej i trzeciej ręki[1], został mianowicie spis władców Egiptu do Aleksandra W. Spis ten podzielony jest na dynastye; dynastyj było XXXI.; przy każdej wyrażona jest liczba lat w ciągu których miały one panować nad całym Egiptem lub jego częścią. To jest wszystko co nam zostało w spuściznie po dawnych historykach; ani dziejopisowie rzymscy, ani bizantyjscy nic nam nowego nie przynieśli. Mędrcy i pisarze greccy zwiedzali Egipt, podziwiali

[1] Jozef historyk żydowski, Juliusz Afrykański, Euzebiusz, Syncellus pozostawili wyciągi z Manetona; nazwiska władców egipskich były błędnie przepisywane, nadto daty chronologiczne zostały bądź umyślnie, bądź nieoględnie zmienione.

starą jego kulturę, usiłowali ją sobie przyswoić; Cezarowie rzymscy ozdabiali swą stolicę obeliskami z nad Nilu, w samym nawet Egipcie naprawiali dawne a nawet budowali nowe pomniki i świątynie, lecz dochodzenie początku i rozwoju dziejowego było nietknięte. Po zaborze Egiptu przez Mahometan wszystko ustało, same podróże zostały utrudnione a nawet uniemożebnione; Egipt legł w zapomnieniu. Dopiero wyprawa egipska Bonapartego zaznaczyła nową epokę badań tego kraju. Wydane przez uczonych francuskich monumentalne dzieło: *Description de l'Egypte*, zapoznało Europę z wielkiemi pomnikami, których nawet kilkudziesiątwiekowy ząb czasu nie był zdolny wygładzić z powierzchni ziemi. Niespożyte piramidy, olbrzymie posągi, resztki wspaniałych świątyń i pałaców uprzytomniły potęgę tego starego ludu, jego geniusz i ducha: szczątki przemysłu znalezione w grobach, zabalsamowane ciała umarłych, które opierały się rozkładowi przez przeciąg kilku tysięcy lat, szczególnie zaś liczne napisy ryte w kamieniu lub malowane na liściach papyrusów świadczyły o wysokiej kulturze umysłowej tych zamierzchłych ludów. Wszystkie te jednak pomniki historyczne dawały tylko ogólne pojęcia, nie wtajemniczały w szczegóły, nie przemawiały językiem dość zrozumiałym; same nawet pomniki piśmienne były martwą literą — wyrażone były h i e r o g l i f a m i — tak nazwali Grecy stare pismo, którego od najdawniejszych czasów używali Egipcyanie. Wyraz hieroglif znaczy „święte rzeźby", lecz dla Greków, jak i dla nas do niedawna był synonimem „nieodczytalności". Rzecz dziwna, iż żadnemu Grekowi ani Rzymianinowi nie przyszło na myśl wtajemniczyć się w te święte rzeźby, jakkolwiek za ich jeszcze panowania kapłani egipscy niemi się posługiwali. Późniejsi uczeni mało się oddawali temu przedmiotowi: dane jakie posiadano nie przedstawiały dostatecznych materyałów, kraj zalany Islamem nie dopuszczał poszukiwań, szczęśliwe dopiero odkrycia na schyłku ostatniego stulecia dały nowy pochop działalności uczonych i prace ich uwieńczyły pomyślnym skutkiem.

W r. 1799 znaleźli Francuzi w Rozecie (Raszyd) tablicę kamienną z potrójnem pismem, jedno z nich było wyrażone w greckim języku i greckiemi literami, dwa drugie hieroglifami. Jeżeli te trzy pisma jedno i to samo wyrażały, co było prawdopodobne, wówczas

wnosić było można, iż ta nić Aryadny przewodniczyć będzie w rozwikłaniu sfinksowej zagadki. Przypuszczenie okazało się prawdziwe, nie zawiodły nadzieje, lecz ileż było potrzeba pracy i wysileń genialnych, aby przezwyciężyć tysiączne trudności, które na każdym piętrzyły się kroku!

Rzut oka na istotę pisma daje już miarę tych trudności. Znaki piśmienne mogą być obrazowe, albo głosowe czyli dźwiękowe. Pierwsze z nich mogą być bezwzględne, to jest wyrażać ten sam przedmiot, który przedstawiają, albo też mogą być względne, a w takim razie lubo przedstawiają przedmiot wzięty z przyrody, wyrażają właściwie rzecz lub pojęcie oderwane. Znaki dźwiękowe mogą być również dwojakiego rodzaju: zgłoskowe lub głoskowe. Znak zgłoskowy wyraża cały dźwięk lub pierwszą zgłoskę z nazwy przedstawionego przedmiotu; dźwięk ten, w połączeniu z dźwiękami następnych znaków oddaje dopiero całkowite brzmienie. Drugi rodzaj znaków dźwiękowych jest głoskowy, czyli alfabetyczny, dziś powszechnie przyjęty i używany. Hieroglify mogły być oparte na jednym z tych czterech systemów, lub na ich różnych kombinacyach. To dopiero jedna strona trudności, druga, ściśle z nią związana, odnosiła się do języka. Język hieroglifów był niezawodnie staro-egipski, lecz język starych Egipcyan oddawna był zamarłym i nieznanym; zresztą czy wszystkie pisma i napisy, jakie po nich zostały, były wyrażone jednym i tymże samym językiem, czy zmiany kilkudziesięciu dynastyj panujących, z których niektóre pochodziły z Azyi, i etnograficznie różne były od miejscowej ludności nie wprowadziły innego języka?

O te trudności rozbijały się usiłowania badaczy, którzy różnemi czasy zabierali się do odcyfrowywania hieroglifów; nie dopięli oni swego celu, lecz przygotowali cenne materyały. Najstarszym autorem, który pisał o hieroglifach był Horus Apollo Niliacus, nazywany często Horapollonem, lecz błędnie brany za jedno z Gramatykiem Aleksandryjskim tegoż nazwiska. Horus Apollo Niliacus pisał po egipsku, przetłómaczony został na greckie przez Filipa, pod tytułem: ΩΡΟΥ ΑΠΟΛΛΩΝΟΣ ΝΕΙΛΩΟΥ ΙΕΡΟΓΛΥΦΙΚΑ. Dzieło to wydał w łacińskiem tłumaczeniu X. M. Caussin T. J., dołączając to wszystko co Klemens Aleksandryjski, św. Epifaniusz i inni o piśmie

egipskiem pozostawili [1]. W tymże XVII. wieku najznakomitszy i najpracowitszy uczony swego czasu X. Atanazy Kircher zajmował się hieroglifami. Opierając się na dawnych pisarzach przypuszczał że hieroglify są znakami obrazowemi tylko, i na tej podstawie budował swą metodę do ich odczytania. Pomimo ogromnej erudycyi i głębokiej przenikliwości nie sprostał swemu zadaniu, pozostawił jednakże znakomite dzieło o języku koptyckim, które posłużyło późniejszym lingwistom do odtworzenia tego zamarłego języka [2].

W wieku XVIII. Duńczyk Zoëga położył również wielkie zasługi w tym kierunku, uprawiał język koptycki [3] a nadto zauważył pierwszy iż w tekstach hieroglificznych znajdują się wyrażenia obwiedzione obwódką, i wpadł na domysł iż mogą one oznaczać nazwiska osób panujących. Drobny ten na pozór domysł ogromną miał w przyszłości doniosłość; nie mniej ważnem było odkrycie Sylwestra de Sacy, który w piśmie egipskiem zwanem Demotycznem, stwierdził istnienie, znaków dźwiękowych. Bystry i głęboki umysł Franciszka Champolliona potrafił uchwycić te nikłe iskierki prawdy, i dzięki jego wytrwałej pracy, wiedza ludzka przyswoiła sobie zdobycze prastarej kultury egipskiej.

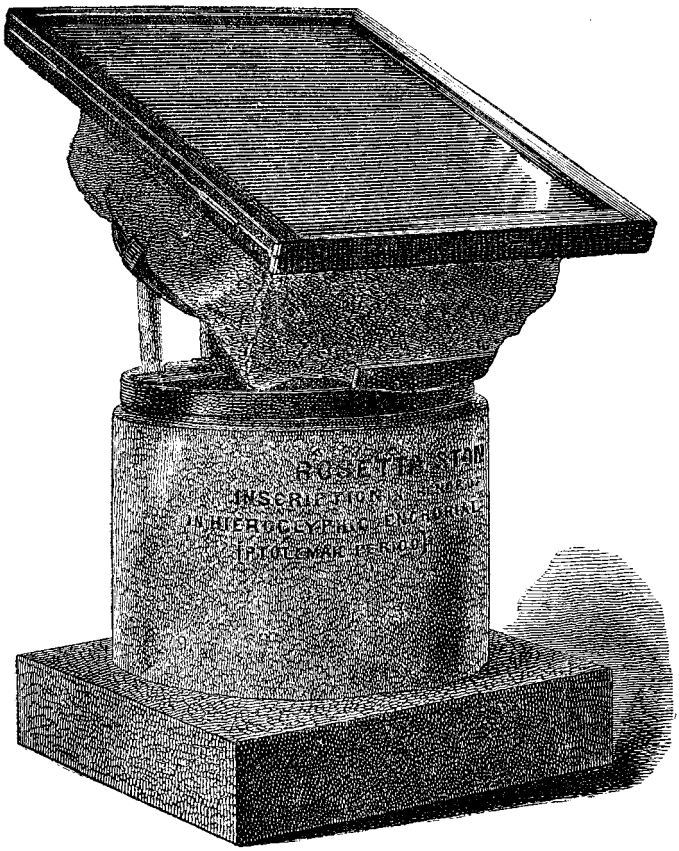
Na kamieniu Rozetańskim znajdowało się w greckim tekscie imię Ptolemeusza (ΠΤΟΛΕΜΑΙΟΣ), inny napis dwu-językowy, znaleziony na wyspie File, w takimże tekscie nosił wyryte imię Kleopatry (ΚΛΕΟΠΑΤΡΑ); tablice te w rzeźbach hieroglifowych posiadały dwa wyrażenia otoczone obwódką   . Jeżeli te hieroglify wyrażają odnośne nazwiska, wówczas powinnyby mieć pięć znaków jednakowych, pięć bowiem liter wspólnych te imiona posiadają; ten wniosek prawie całkowicie zgadzał się z rze-

[1] Symbolica Aegyptiorum Sapientia, auct. S. M. Caussin S. J., Colon. Agrip. 1623. Dzieło to miało kilka wydań, korzystał z niego Champollion.

[2] Główniejsze dzieła O. Kirchera odnoszące się do znajomości hieroglifów są następujące: Oedipus Aegyptiacus, Romae 1652; Prodromus Coptus sive Aegyptiacus, Romae 1636; Lingua aegyptiaca restituta, Romae 1643.

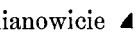
[3] Zoëga, nawrócony protestant, zachęcony przez Papieża i jego nakładem wydał w Rzymie: *Catalogus codicum copticorum musaei Borgiani.* 1808. Paweł Jabłoński, pastor protestancki, pracował również w tym kierunku. Dzieła jego wyszły między 1804—1813.

czywistością. Trzy z tych znaków były zupełnie identyczne: znak ▮ stojący na pierwszem miejscu w nazwisku Ptolemeusza, według przypuszczenia wyraża głoskę *p*, otóż taki sam znak znajduje się w imieniu Kleopatry na piątem miejscu, to jest na tem, które winno wy-



Kamień Rozetański z British Muzeum.

rażać tęż samą głoskę; tak samo rzecz się ma ze znakami 𓃀 i 𓇋, które w obydwu wyrazach stoją na miejscu głosek *l* i *o*. Co się tyczy dwóch innych znaków zachodziły pewne trudności. Znak trzeci w imieniu Kleopatry był 𓏏, wedle miejsca i brzmienia winien był odpowiadać głosce *e*, lecz w imieniu Ptolemeusza istnieje ten sam znak lecz podwojony 𓏏𓏏. Champolion domyślał się iż odpowiada

on podwójnemu *e*, wyrażonemu po grecku przez *αι*. Znak  stojący na drugiem miejscu w nazwisku Ptolemeusza winienby oznaczać głoskę *t*, otóż tę samę głoskę w imieniu Kleopatry przedstawiał inny znak  ; Champollion przypuszczał że dźwięk głosowy *t* może być przedstawiony przez dwa różne znaki, nadto że to półkole wyraża również przedimek żeński i służy do oznaczenia nazwiska niewiasty: późniejsze badania potwierdziły w zupełności te przypuszczenia. Znaki inne, mianowicie  według swego położenia winny oznaczać głoski: *k*, *a*, *r*, *m*, *s*, jednakże ponieważ one raz tylko w wyrażeniach porównywanych przychodziły, należało je sprawdzić gdzieindziej. W dziele *Description de l'Egypte* znalazł Champollion hieroglif mający wyrażać imię Aleksandra, porównał jego znaki z dotąd oznaczonemi i przekonał się iż je całkowicie potwierdzają. Tym sposobem postępując dalej badacz francuski, przez przybieranie coraz nowych wyrażeń, coraz więcej znaków oznaczał. W tej mrówczej pracy przenikliwy umysł Champolliona wpadł na domysł ogromnego znaczenia, zauważył mianowicie iż „orzeł" i „lew" wyrażające głoski *a* i *l* zaczynają się w koptyckim języku od tychże samych liter, nazwy ich bowiem są *ahom* i *labo*. Odkrycie to nietylko ułatwiło mozolne poszukiwania, lecz nadto rozwiązywało zadanie językowe: znajomość języka koptyckiego dozwoliła odbudować dawno zamarły język staro-egipski. Pierwsza iskra została wykrzesaną, pierwszy krok zrobiony, ale potrzeba było całego życia Champollion'a, żelaznej wytrwałości i rzadkiego talentu do pokonania trudności, jakie pismo hieroglificzne przedstawiało. Champolion dokonał sam jeden, rzec można, znakomitego zadania; kilka lat przed swą śmiercią (1832) wydał *Précis du système hierogliphique*, w którym ustanowił zasady do odczytywania hieroglifów, zasady te od tego czasu nie uległy zmianom, lecz zostały rozszerzone tylko i ulepszone. Nie jest naszem zadaniem podawać nauki o hieroglifach egipskich, nie byłoby również rzeczą ani pociągającą, ani pożyteczną iść krok w krok za egiptologami w ich badaniach i zdobyczach, jednakże sądzimy, potrzebnem będzie dać ogólne przynajmniej wyobrażenie o prastarem piśmie ludu znad Nilu.

Pod nazwą hieroglifów rozumie się trojaki rodzaj pisma egipskiego: hieroglify właściwe, napisy ozdobne, pomnikowe; pismo hieratyczne składające się z uproszczonych znaków

hieroglificznych; i wreszcie pismo demotyczne, jeszcze więcej uproszczone: dwa ostatnie rodzaje pisma używane były w dokumentach papyrusowych.

Znaki hieroglificzne są częścią obrazowe, częścią dźwiękowe. Znaki obrazowe bezwzględne łatwo się odczytują: Kształt przedstawiający dwie ręce, z których jedna dzierży miecz a druga puklerz znaczy „walkę"; dwie nogi w ruchu wyrażają „iść, biegać". Daleko trudniej odczytują się znaki obrazowe względne. Symbole zapożyczane były z życia, obyczajów, zabobonów ludowych, stąd do ich odcyfrowania należało dobrze być wtajemniczonym w ich wiarę i wiedzę. I tak aby dojść, że jastrząb wyraża „bóstwo", gęś „synowstwo", sęp zaś „macierzyństwo", należało wiedzieć, iż utrzymywano wówczas, że między sępami są tylko samice, gęś uchodziła za wzór przywiązania do rodziców, jastrząb zaś był symbolem słońca, które uznawanem było za najwyższe bóstwo.

Pismo obrazowe nie było zależne od żadnego języka, każdy obcokrajowiec mógł odgadywać myśli, jakie wyrażało. Lecz, jak dobrze zauważył Lenormant, człowiek na to pisze, aby był czytanym, stąd też z samej konieczności znaki obrazowe wymawiane bywały i czytelnik mimowolnie przywiązywał dźwiękowe brzmienia obrazowym kształtom, to dało początek znakom dźwiękowym. W hieroglifach znajduje się bardzo wiele kształtów, które wyrażają całkowite brzmienie obrazu przedstawionego, inne wyrażają pierwszą jego zgłoskę. Dzisiejsze rebusy dają nam próbkę tego rodzaju pisma. Egipcyanie rozłożyli wyrazy na zgłoski, a istota ich języka pozwoliła im uczynić krok jeden naprzód. Wymawianie zgłoski w języku egipskim było zmienne, samogłoska ulegała przeobrażeniu, spółgłoska jedynie była stałą, i ona właściwie stanowiła istotny dźwięk, stąd znak hieroglificzny, mający przedstawiać brzmienie całej zgłoski, przedstawiał często dźwięk jednej tylko głoski. Mieszkańcy znad Nilu doszli do rozłożenia niektórych wyrazów na głoski, lecz nie posunęli tego rozłożenia do wszystkich wyrazów, pismo ich zostało przeważnie zgłoskowem, innym ludom zawdzięczamy pismo alfabetyczne.

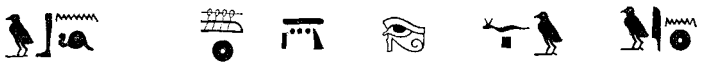
Hieroglify przedstawiały jeszcze trudności innego rodzaju. Jeden i ten sam znak hieroglificzny bywa znakiem obrazowym bezwzględnym lub względnym, a stąd inaczej się wymawia w pier-

wszym, inaczej w drugim razie, czyli jest różnodźwięcznym (polyphone). I tak „tarcza słoneczna“, skoro ma wyrażać sam przedmiot wymawia się *ra*, skoro zaś użytą jest jako symbol i wyraża „dzień“ wymawia się *hru*. Dla stanowczego oznaczenia pojęcia i dźwięku używano tak zwanych „dopełnień dźwiękowych“. Następujący przykład objaśnia rzecz. Znak zwiniętej listwy metalowej odpowiada trzem pojęciom: *zwój, otoczyć, waga funtowa,* i według tych trzech znaczeń czyta się, *keb, rer, ten;* znaczenia zaś te i dźwięki poszczególne oznaczone są znakami dźwięków dodatkowych *b, r, n.*

Dla dania nieco jaśniejszego pojęcia o hieroglifach umieszczamy tu wyjątek z tablicy Neapolitańskiej, według Faulmann'a.



O Chnum, królu wyższego i niższego Egiptu, książe obydwu krajów.



Jego promień słoneczny oświeca ziemię, prawe oko jego jest tarczą słoneczną.



Lewe oko jego jest pełnią, dusza jego jest świetlnym błyskiem.



Powstałym z pierwocin ziemi, tchnienie jego nosa ożywia wszystkie rzeczy.

Pierwszy znak  wyraża wykrzyknik i odpowiada głosce *o*. Osoba z głową baranią jest nazwą bożka *χnum*. Roślina *su* albo *suten* przedstawia „króla“. Kwiat lotusa wyobraża „Wyższy Egipt“, łodyga papyrusu zaś „Niższy Egipt“. Laska zakrzywiona, rodzaj pastorału oznacza „księcia“; kształt kąta przedstawia „kraj“, dwie kreski pod nim umieszczone wyrażają podwojenie, czyli „obu“. Znak  nie wymawia się, lecz oznacza, iż tarczę słoneczną, która pod nim stoi, należy brać w znaczeniu „oświecać“. Kształty  są głoskowe, brzmią *pu*, co znaczy „być, jest“, znak  jest dźwiękiem *f* w znaczeniu zaimka „swój“. Baran jest symbolem duszy. Gniazdo z 3 główkami oznacza ziemię, żagiel zaś „wiatr, tchnienie“. wyraża *m* (wyjście z czego), oznacza „objawić się, powstać“. Wreszcie znaki: znaczą „życie“, „wszystko“, „rzeczy“.

Hieroglify egipskie używane na pomnikach, służyły nietylko do przekazania myśli, lecz zarazem, jako ozdoby artystyczne. W ży-

ciu zwyczajnem używali Egipcyanie pisma mniej ozdobnego: znaki obrazowe traciły układ i znaczenie pierwotne, znacznie się upraszczały. Najstarsze pismo tego rodzaju jest *hieratyczne*, — późniejsze, powstałe w wieku VIII. przed Chr., bardziej jeszcze uproszczone, zowią *demotycznem*. Hieroglify pomnikowe zostawiły swe ślady tak w jednem jak i w drugiem, o czem przekonać się można z następującego wzoru.

Znaki			znaczenie	Znaki			znaczenie
hieroglificzne	hieratyczne	demotyczne		hieroglificzne	hieratyczne	demotyczne	
			*u*				Pani
			*r l*				Dziecko
			*r*				Mówić
			k				Wołać
			*am*				Śmierć
			*ar*				Krogulec
			*ua/*				*mr*
			*ur*				Łabędź
			*mn*				Chrząszcz
			*ra la*				Słońce
			*sa*				Miasto
			*ði*				Roślina męska
			*χa*				Papyrus
			*pu*				Kapłan
			Bóg				Złoto
			Bogini				Uroczystość
			Mąż				

Egipcyanie pisywali pionowo lub poziomo, w pierwszym razie szło się z góry na dół, w drugim od ręki prawej ku lewej, czasami tylko, jak my, w kierunku przeciwnym; w piśmie hieratycznem i demotycznem przestrzegano drugiego sposobu, w hieroglifach pierwszego lub trzeciego. Kierunek znaków obrazowych pokazuje w jaką stronę czytać należy.

Egipcyanie pisywali na *papyrusie*. Papyrus jest nazwą rośliny należącej do Ciborowatych (Cyperaceae); w dawnych czasach rosła ona dziko na bagnach Delty, dziś spotkać ją jeszcze można w górnym Egipcie. Roślina ma 8 do 10 stóp wysokości a u podnóża jest grubości ręki. Dla przyrządzenia materyału do pisania, zdejmowano cienkie błony włókniste, z których się pręt sitowia składał, i sklejano je brzegami; na tej pierwszej warstwie układano wpoprzek, pod kątem prostym, drugą takąż warstwę, klejem spajano z pierwszą i prasowano. Kilka takich warstw wystarczało do nadania potrzebnej grubości: następnie suszono je i gładzono. W ten sposób przygotowany materyał nosił nazwę papyrusu.

Papyrus miał szerokość rozmaitą, od 6 do 14 cali; długość zaś jego zależała od wielkości tekstu, jaki miał zawierać. Jeden z najdłuższych papyrusów, jakie posiadamy „papyrus Harris'a" mierzy $40^{m},5$ (157 stóp.)

Do pisania używano farby czarnej lub czerwonej, sporządzonej z węgla lub minium roztworzonych wodą klejową.

Oprócz papieru wyrabianego z papyrusu spotkać się można z rękopisami, pochodzącymi tak ze starej jako i z nowej epoki Faraonów, pisanymi na stosownie przyrządzonych skórach; wreszcie z tychże czasów pochodzą również rękopisy zwane z grecka *ostraca*, ryte na odłamkach naczyń garncarskich.

Język egipski należy do gromady języków fleksyjnych, do rodziny chamickiej. Pokrewieństwo jego z językami semickimi uwydatnia się w tożsamości systemu gramatycznego, rdzeni zaimkowych, w urabianiu rodzaju żeńskiego i liczby mnogiej; połowa przynajmniej rdzennych pierwiastków jest wspólna obydwom językom — mniej jednak wyrobionym jest od języków semickich. Według F. Müllera, rozłączenie się tych dwu rodzin językowych musiało nastąpić wtedy jeszcze, kiedy ich wspólny język stał na niskim stopniu rozwoju.

Język ludu z nad Nilu w ciągu kilkudziesięciu wiekowego rozwoju kultury egipskiej uległ wielkiej zmianie. Język staro-egipski jakim mówiono i jakiego używano na pomnikach dynastyi XII-tej i pierwszych królów, „Nowego Państwa“ był już niezrozumiałym za Faraonów XXV-tej dynastyi; znali go jeszcze kapłani i używali w napisach pomnikowych, lecz w życiu codziennem posługiwano się językiem, który nam przekazały papyrusy pisma demotycznego. Ten nowo-egipski język urobił się ze staro-egipskiego i stanowi ogniwo łączące ten ostatni z językiem koptyckim. Języki staro-egipski, nowo-egipski i koptycki są jednym i tym samym językiem w trzech różnie skrystalizowanych kształtach.

Odkrycia dokonane przez Champolliona zwróciły uwagę i wywołały zapał w całej Europie, uczeni różnych narodowości rzucili się w ślady egiptologa francuskiego. Champollion założył podstawy pod budowę nowej nauki, następcy jego mieli ją uzupełniać i rozwijać. Lepsius pracował nad gramatyką staro-egipską i wykazał, (r. 1837) iż różni się bardzo od koptyckiej; dochodzenia Birch'a i de Rougé doprowadziły do zredukowania liczby znaków hieroglificznych. W miarę jak rósł poczet badaczy, wytworzyły się specyalności: hieratycznem pismem zajmowali się, Goodwin, Chabes, de Horrack; demotycznemu oddawali się Revillout, Brugsch, Dümichen, Ebers; liczni egiptolodzy wzięli się do odkopywania pomników, gruntownego ich badania i opisywania a wreszcie do wywożenia co dało się wywieść do różnych zbiorów europejskich. Niebawem okazały się pomnikowe dzieła. Rosellini wydał w Rzymie dziesięcio-tomowe: *I monumenti dell' Egitto e della Nubia, interpretati ed illustrati, 1832—40;* Lepsius nakładem rządu pruskiego ogłosił w Berlinie; *Denkmäler aus Aegypten und Aethiopien 1850—1858.* W Anglii zawiązały się stowarzyszenia łożące wielkie sumy na badanie Egiptu. Napoleon III. podtrzymywał swym wpływem i groszem Mariette'a, jednego z najczynniejszych i najszczęśliwszych badaczy. Wreszcie sam Chedyw egipski wziął w swe ręce całą sprawę, założył muzeum w Bulaku pod Kairem i dostarczył znacznych funduszów do poszukiwań archeologicznych[1]. Ogromne sale w Londynie, Paryżu, Berlinie i indziej

[1] Chedyw egipski wzywał różnemi czasy uczonych europejskich do zajmowania się poszukiwaniami i oprócz dobrej pensyi obdarzał ich tytułami Be-

napełnione są wykopaliskami egipskiemi; tam również znajduje się wielka liczba papyrusów, nadto nieznana ilość rozprószona jest po różnych zbiorach prywatnych. Mała część tych papyrusów została dotąd odczytaną, inne czekają na pracowników. Dzieła o egiptologii stanowią dziś osobne działy w bibliotekach [1], wychodzą specyalne czasopisma poświęcone tej umiejętności, Brugsch rozpoczął cenne wydawnictwo *Thesaurus inscriptionum aegyptiacarum*, które ułatwi badaczom poszukiwania. (Dok. nast.)

X. W. Zaborski.

---

jów, stąd między Egyptologami napotyka się, Mariette-Bey, Linant-Bey, Brugsch-Bey. Aby mieć wyobrażenie nakładów, jakie Chedywi łożyli na wykopaliska, dość wspomnieć, że Mariette miewał często po 2000 robotników dziennie, a Ismaël Pasza ofiarowywał za papyrus Haris'a dwa tysiące funtów szterlingów, lecz właściciel jego uznał tę sumę za zbyt niską.

[1] Lenormant w Hist. anc. de l'Or. t. II. p. 18 i nast. wyd. 9, podaje dość dokładny spis dzieł traktujących o tym przedmiocie. Dr. Lauth w Literar. Kund. Freiburg, 1883, str. 385 i następ. zamieszcza bibliograficzne zapiski o pracach główniejszych egiptologów.

KILKA UWAG O WPŁYWIE KOŚCIOŁA

NA USTAWODAWSTWO ŚWIECKIE.

(Dokończenie.)

Wzniosła zasada chrześcijańskiej miłości bliźniego przeobraziła i uszlachetniła nietylko wewnętrzne stosunki prawne poszczególnych ludów, wśród których rozkrzewioną została, lecz zarówno uwydatnił się jej wpływ i w stosunkach międzynarodowych; prawo narodów, śmiało rzec można, jedynie nauce chrześcijańskiej zawdzięcza swe powstanie i pierwotny zwłaszcza swój rozwój [1]. Kościół nietylko umożliwił trwalsze stosunki pokojowe między państwami, on utworzył wielką rodzinę narodów chrześcijańskich, które przezeń uzyskiwały do takowej przyjęcie. Stolica Apostolska wyniosła do rzędu królestw państwa: Węgry, Polskę, Kroacyę, Portugalię i inne, a monarchów za ich zasługi dla Kościoła zaszczytnemi odznaczała tytułami, uznanemi przez wszystkie dwory. W sporach międzynarodowych nader często bywała pośredniczką; a gdy środki pokojowe nie obiecywały pomyślnego rezultatu, ona stanowczo powagą swoją orzekała — wojnę czy pokój wypada stronom wybierać [2].

Zasady, któremi się kierował Kościół w kwestyi dopuszczalności wojny, tudzież sposobu jej prowadzenia stanowią i stanowić zawsze będą w dziejach cywilizacyi ludzkości niezawodny probierz

[1] Ob. *Bulmerincq.* Völkerrecht w Marquardsen's: Handb. d. öffentl. Rechts I. B. II. Hbbb. 2. Liefg. Freibg. i. B. u. Tübingen 1884. §. 9. S. 185. Ob. *Laurent.* Hist. d. dr. d. gens. I. IV. *Kennedy.* The influence of Christianity upon international law 1856.

[2] c. 13. X. de judic. (II. 1).

jej prawomocności. Z ich tylko pomocą w dzisiejszej procedurze międzynarodowej orzec jesteśmy w stanie, czy i o ile daną wojnę za napad rozbójniczy na wielką skalę przedsięwzięty, za czyn barbarzyński, choćby pod najpiękniejszemi pozorami dokonany, czy też za ostateczny środek obrony lub egzekucyi uważać należy?[1]. Jakież tedy są te zasady? Wojna, ta, według św. Tomasza[2], *discordia principum vel rerum publicarum vim et arma sibi mutuo inferentium*, rozważana ze stanowiska czysto ludzkiego, jest złem straszliwem, jednem z największych, jakie ludzi spotkać może. Wojna, jeśli ją zważymy jako pogrom, zniszczenie kraju, pozbawienie całych mas życia, a nadto jako obowiązująca żołnierza do walki z narażeniem własnego zdrowia i życia — staje na pozór w sprzeczności z prawem Bożem, które zabrania zabijać bliźniego, w czemkolwiek nawet mu szkodzić, które owszem nakazuje miłować go, jak siebie samego. A jednak wojna, z wyższego pojęta stanowiska, przedstawia nam się nieraz jako potężny dowód sprawiedliwości Bożej, karzącej przestępstwa państw i narodów; okazuje się jako przedziwny środek w ręku Opatrzności i miłosierdzia Bożego, dźwigających ludy z głębokiego upadku, w jaki pogrążyły je niepohamowane namiętności[3]. To też nauka chrześcijańska nie potępia jej w ogóle, owszem uważa wojnę sprawiedliwą, tj. podjętą przez państwo jako ostateczny sposób obrony prawnej — bądź celem uzyskania naprawy szkód albo krzywd wyrządzonych, bądź też dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa[4], — jako rzecz dozwoloną. Przeciwnie, uznaje za niesprawiedliwą i niedozwoloną wojnę, podjętą tylko w chęci łupu, z żądzy sławy, w celach zdobywczych[5].

Ale i sposób, w jaki wojna ma być prowadzoną, winien odpowiadać sprawiedliwemu jej celowi: *Fides enim*, mówi św. Au-

---

[1] *Walter.* Lehrb. d. K. R. l. c. §. 342. — *Schmalzgrueber.* Jus. eccles. univ. ad. Titul. 34. Lib. I. De treuga et pace §. 1. de bello. — *Stoeckl.* l. c. B. III. S. 417 i nast. (der Krieg im Lichte des Christenthums). — *Kober.* l. c. S. 470—473. — *Phillips.* Kirchenr. l. c. B. III. S. 83. — *Grandclaude.* Jus canon juxta ordinem Decretalium, Paris 1882. Tomus I. lib. I. titul. 34. p. 367 et seqq.

[2] 2-da2-ae qu. 42. a. 1.

[3] c. 6. C. XXIII. qu. 1.

[4] c. l. 2. C. XXIII. qu. 2.

[5] c. 4. C. XXIII. qu. 1.

gustyn [1], *quando promittitur, etiam hosti servanda est, contra quem bellum geritur... Pacem habere debet voluntas, bellum necessitas — non enim pax quaeritur, ut bellum excitetur, sed bellum geritur, ut pax acquiratur. Esto ergo etiam bellando pacificus, ut eos, quos expugnas, ad pacis utilitatem vincendo perducas... Itaque hostem pugnantem necessitas perimat, non voluntas. Sicut rebellanti, et resistenti violentia redditur, ita victo vel capto misericordia jam debetur, maxime in quo pacis perturbatio non timetur.* A zatem umów zawartych z nieprzyjacielem należy mu dotrzymywać; natomiast używanie fortelów wojennych nie uwłacza sprawiedliwości [2]. *Quum autem justum bellum susceperit utrum aperta pugna, utrum insidiis vincat, nihil ad justitiam interest* [3]. Concilium Lateraneńskie II. c. 29. r. 1139 zabrania *sub anathemate* wojowania bronią zbyt zabójczą [4]. Concilium Lateraneńskie III. z r. 1179 wznawia dawniejszy przepis, aby w czasie wojny *presbyteri, clerici, monachi, conversi, peregrini, mercatores, rustici euntes et redeuntes, et in agricultura existentes, et animalia quibus arant, et quae semina portant ad agrum, congrua securitate laetentur* [5].

Toż samo Concilium Lateraneńskie III. [6] zarówno jak i dawniejsze concilia, a między innemi Concil. IV. Rzymskie za Grzegorza VII. z r. 1078 [7]. Concil. Lateraneńskie z r. 1110 za pap. Paschalisa II. [8] występują z całą surowością przeciw zakorzenionemu powszechnie wśród ludów pogańskich srogiemu zwyczajowi t. zw. prawu brzegowemu, pobrzeżnemu *(laganum Strandrecht)* [9]. W moc tego zwyczaju rościli sobie mieszkańcy brzegów morskich prawo do rozbitków i wszelkich przedmiotów na ląd wyrzuconych, uważając

---

[1] C. 3. C. XXIII. qu. 1. (Augustinus ad Bonifacium Epist. 189).
[2] C. 2. C. XXIII. qu. 2.
[3] Porów. św. Tom. 2-a, 2-ae qu. 40. a. 3.
[4] C. 1. X de sagittar. (V. 15).
[5] C. 2. l. c. 2. X. de treuga et pace I. 34.
[6] C. 24. c. 3. X. de raptoribus (V. 17).
[7] Hard. VI. p. 1578.
[8] Hard. VI. II. p. 1698.
[9] *Kober.* l. c. S. 466—469; Schulte Deutsche Reichs u. Rechtsgesch. l. c. S. 434. *Walter.* Deutsche Rechtsgesch. l. c. I. B. S 332. *Schmalzgrueber* l. c. ad. Lib. V. titul. de raptor. (V. 17.) §. 2. nr. 72—78. de rapina rerum.

rozbitków za swych niewolników, a rzeczy ich za swą nieograniczoną własność, jako dar, w pogańskiem pojęciu bezpośrednio od bogów zesłany. Długi czas bezskutecznemi były przepisy rzymskich cesarzy chrześcijańskich przeciw prawu pobrzeżnemu. Dopiero pod wpływem ustawodawstwa kościelnego ustaliła się zasada, przyjęta w późniejszych prawach świeckich, na mocy której rzeczy wyrzucone na ląd winny być zwrócone ich właścicielowi, a prawo pobrzeżne ustawami państwa w Niemczech zniesione zostało; zrzeczono się go we Francyi, zakazano w Anglii i t. d. [1].

Bezpośredni wpływ Kościoła i jego nauki, ugruntowanej na zakonie miłości, na ustawodawstwo świeckie, objawia się wybitnie w zasadniczych pojęciach zwłaszcza w zakresie prawa karnego. — Kościół, gruntując porządek prawny w społeczeństwie na porządku moralnym przez prawo Boże określonym, uważa w zasadzie naruszenie pierwszego porządku, tj. przestępstwo w zakresie prawa, zarazem na nadwerężenie drugiego, a więc za obrazę Boga, którego wola, jak wyżej wspomniałem, jest źródłem wszelkiego prawa, — za grzech, mający swój początek w wolnej woli człowieka, świadomie ku złemu skierowanej. Kościół przeto, wyrokując o przestępstwie, zwrócił przedewszystkiem uwagę na usposobienie wewnętrzne przestępcy, na jego zamiar zbrodniczy, który też w świeckich ustawach karnych na gruncie chrześcijańskim wytworzonych, stał się koniecznem kryteryum w orzeczeniu o winie [2]. Wprawdzie już u Rzymian w teoryi i w praktyce uwzględniano przy przestępstwach wewnętrzne usposobienie, stan umysłu sprawcy, czyniąc różnicę pomiędzy *dolus a culpa lata* [3]; nie pomijano również i u pogańskich Germanów uwagi na zły zamiar przestępcy, — lecz tu ograniczano się wyłącznie na zewnętrznej stronie przestępstwa, na szkodzie przez nie wy-

---

[1] C. 1. *Cod.* de naufragiis (XI. 5.); *Instit.* Lib. II. titul. I. §. 48. l. 44. D. de acquirendo rerum dominio (XLI 1.); *Konstytucya Fryderyka II.* Auth. ad. c. 18. Cod. de furtis (VI. 2). *Sachsens* p. II. 29. Wilh. reg. sent. de bonis naufragant. a. 1255. (Leg. II. p. 371.); Peiul Ger. Ord. a. 218.

[2] Porów. np. §. 1. ust. kar. austr. z 27. Maja 1852. L. 117. d. u. p. — Ob. *Rosshirt.* Lehrb. d. Crim. R. Heidelb. 1821. S. 36 u. folg. ob. c. 5. 6. 10. C. XV. qu. 1.

[3] L. 7. *D. ad leg. Corn.* de sicar. XLVIII. 8. — *Cicero* pro Milone 7: Non exitus rerum, sed hominum consilia vindicantur; §. 3. l. 14. D. ad leg. Corn. de sicar. XLVIII. 8.

rządzonej [1]. Kościół dopiero, jak na to godzi się Wilda l. c. postawił niezbite zasady prawdziwej sprawiedliwości, ważącej winę przestępcy głównie na podstawie złego jego zamiaru; on dopiero nadał prawu karnemu silną moralną podstawę, a ten wpływ jego już w prawie Wizygotów wyraźnie dostrzedz się daje [2].

Przestępstwo w ogóle, jako obraza Boga twórcy porządku moralnego, zawierającego zarazem niezawodne główne normy porządku prawnego, przybiera w ustawodawstwie nauki Kościoła charakter publiczny; każde bowiem przestępstwo z istoty swej nietylko narusza prawa jednostki pokrzywdzonej, ale zagraża zarazem mniej lub więcej, pośrednio lub bezpośrednio interesom i pomyślnemu rozwojowi ogółu społeczeństwa. U Rzymian napotykamy podział na *delicta privata* i *crimina publica* [3]. Pierwsze, do których zaliczano takie zbrodnie, jak kradzież *(furtum)* i rabunek *(rapina)* [4] uzasadniały tylko roszczenie prywatno-prawne pokrzywdzonego do przestępcy o zapłacenie mu pewnej kary *(poena dupli, quadrupli)*, której dochodzono przed zwykłemi sądami cywilnemi; ugoda też pomiędzy jedną a drugą stroną była dopuszczalną. Co się tyczy *crimina publica*, tj. wykroczeń przeciw państwu, dochodzono ich w skutek uprzednio wniesionego zaskarżenia w osobnych, często nawet dla poszczególnych rodzajów zbrodni ustanowionych sądach [5].

U Germanów zwłaszcza w ich prawach ludowych z powodu rozwiniętego w nich systemu kar pieniężnych, któremi w zasadzie

---

[1] Ob. obszerne dowody *Wilda*. l. c. S. 146—156., S. 544; porów: *Phillips. G.* Deutsche Gesch. Berlin 1832. B. I. S. 268.

[2] Reg. 23. de regul. jur. in VI-to. Sine culpa non est aliquis puniendus *Walter*. Deutsche R. Gesch. l. c. II. S. 376. — *Kober*. l. c. S. 480, 481. *Concil. Wormat.* a. 868. c. 25: Poenitentibus secundum differentiam peccatorum sacerdotis arbitrio poenitentiae decernuntur. Debet itaque sacerdos in poenitentia danda singulorum causas singulatim considerare, originem quoque modumque culparum et affectus gemitusque delinquentium diligenter examinare manifesteque cognoscere, temporum etiam et personarum, locorum quoque et aetatum qualitates inspicere ut etiam pro consideratione locorum aetatum vel temporum seu pro qualitate delictorum atque gemituum uniuscujusque delinquentis a sacris regulis oculos non reflectat. (Hard. VI. S. 741. Porów. Concil. Rotomag. a. 1049. c. 18. Hard. VI. p. 1014).

[3] L. 17. §. 18. D. d. aedil. edict. XXI. 1.

[4] I. de obl. quae ex del. IV. 1.

[5] D. de publ. judic. XLVIII. 1. — I. de publ. judic. (IV, 18). — *Walter*. Gesch. d. röm. Rechts l. c. S. 436 u. folg.

można było okupić każde przestępstwo, — prawo karne nosi prawie cechę prywatno-prawną [1].

Podobny system kar sprzeciwiał się wprost zasadom chrześcijańskiej sprawiedliwości, skazywał bowiem wyłącznie prawie ubogiego, — który nałożonej nań kary pieniężnej *(Busse)*, nie był w możności uiścić, — na srogie kary cielesne, często nawet utratę życia, chroniąc od tego wszystkiego bogacza. Kościół wpłynął zbawiennie na zmodyfikowanie rzeczonego systemu przez zaprowadzenie kar kościelnych. Kary te (w ściślejszem znaczeniu) a mianowicie według dawnego prawa kościelnego: więzienie, banicya, kary cielesne, z wykluczeniem jednakże okaleczenia i kary śmierci *(judicium sanguinis)* — dotykały przy nader rozległej w wiekach średnich juryzdykcyi Kościoła wszystkich przestępców zarówno — tak ubogich, jak i bogatych. Kary pieniężne miały przeważnie cechę kar zastępczych. Zważmy przytem, że według późniejszej zasady [2] odcierpienie kary kościelnej uwalniało od kary przed sądem świeckim za toż samo przestępstwo [3].

Jeżeli w teoryi niemieckiego prawa karnego napotykamy jeszcze podział zbrodni na publiczne i prywatne *(Öffentliche u. Privatverbrechen)*, to podział ten odmienne już ma znaczenie od tego jakie miał w prawie rzymskiem [4].

Na szczególną wzmiankę zasługuje tu atoli samo pojęcie kary, które pod wpływem chrześcijańskiej miłości bliźniego rozwinęło się w prawie kanonicznem, przyczyniając się niemało do udoskonalenia i uszlachetnienia teoryj kryminalnych, tudzież do złagodzenia samychże środków karnych w późniejszem ustawodawstwie świeckiem przepisanych. Zamiast pogańskiej, srogiej, nieubłaganej tylko odpłaty za występek, i odstraszenia od popełnienia go, Kościół, jako cel kary wskazuje przedewszystkiem chrześcijańską ekspiacyę, tj.

---

[1] Ob. *Wilda*: Strafrecht S. Germ. l. c. 484. — *Walter*: Deutsche Rechtsgesch. l. c. S. 368, u. folg. I. B. — *Kober* l. c. S. 478, 479.

[2] C. 2. X. de except. in VI-to (II. 12.)

[3] Ob. *Rittner*, Pr. kościelne l. c. II. S. 115. *Walter* Lehrb S. K. R l. c. S. 434 u. folg. — *Encykloped. kościel.* wyd. X. Nowodworski, tom X. art. kary kościelne S. 138, 139. — *Schmalzgrueber*, Jus eccles. univ. l. c. Lib. V. tit. 37. de poenis §. 4. nr. 178—180.

[4] Ob. *Rsshirt* Lehrb. d. Crim. R. l c. S. 32. §. 14.

konieczne, lecz i dla samego zbrodniarza zbawienne odpokutowanie winy, pojednanie się z obrażoną sprawiedliwością Bożą. Bezpośrednio z tego celu wypływa drugi cel kary tj. poprawa winowajcy. Albowiem, według nauki Kościoła, przez cały przeciąg życia człowieka na ziemi, sprawiedliwość Boża, — którą sprawiedliwość ludzka, będąc niejako jej zastępczynią, wiernie ma odzwierciedlać — nieustannem bywa miarkowana miłosierdziem. Miłosierdzie Boże właśnie ma na celu pobudzać winowajcę za pomocą łaski, iżby tenże nie rozmijał się z największem swem dobrem, iżby zwrócił się znowu na drogę jedynie wiodącą go do spełnienia jego przeznaczenia. Stosownie do tych widoków sprawiedliwości Bożej, pobudką kary wymierzanej przez zwierzchność chrześcijańską jest pozyskanie zbrodniarza na nowo dla prawidłowego życia społecznego tj. jego poprawa [1], przyczem oczywiście nie spuszcza ona z oczu pierwszego celu kary tj. odpokutowania przestępstwa. Z powyższego zapatrywania Kościoła sama przez się tłumaczy się jego dążność do łagodzenia nazbyt surowych kar świeckich odpowiednio celowi poprawy.

Kościół wstawiał się za zbrodniarzami zasądzonymi na karę śmierci lub okaleczenia [2]. Jakkolwiek w zasadzie nie odmawiał on władzy świeckiej, jako pochodzącej od Boga sprawcy życia i śmierci, prawa karania przestępców śmiercią [3], wyłączył ją przecież bezwarunkowo, zarówno jak karę okaleczenia z własnego prawa kryminalnego, zabraniając duchownym wszelkiego udziału przy podobnych karach [4]. Los więźniów był już za czasów rzymskich szczególniejszym przedmiotem jego pieczy. Kościółto wyjednywał im w wielkie święta, jako w dnie radości dla chrześcijanina, złagodze-

[1] Porów. c. 1, 3, 6, 29, 37, 38. C XXIII. qu. 5. c. 63, 64, 66. D. I. de poenit: *Kober* l. c. S. 480. *Concil. Cloveshov* II. a. 747 c. 26: Postremo non sit eleemosyna porrecta ad minuendam vel ad mutandam satisfactionem per jejunium et reliqua expiationis opera a sacerdote Dei pro suis criminibus jure canonico indictam, sed magis ad augmentandam emendationem suam ut eo citius placetur divinae indignationis ira, quam suis provocavit sibi propriis meritis etc. Hard. III. p. 1959.

[2] C. 1. 2. 3. 7. C. XXIII. qu. 5.

[3] C. 8. 13. C. XXIII. qu. 5.

[4] C. 4. X. de captoribus (V. 17); c. 5, 9, X. necler. vel. monachi (III. 50); c. 3. X. de crim. falsi (V. 20).

nie niekiedy nawet zwolnienie od kary [1], jemu też służył pewien udział w nadzorze nad więzieniami [2]. Powodowany chrześcijańską miłością, której najczystszym wyrazem, jak to podnosi prof. Heyzmann [3], było jego ustawodawstwo o azylach, Kościół uszlachetniając dawny pogański zwyczaj i podsuwając mu myśl chrześcijańską — przychodzi trwale z opieką materyalną tym nieszczęśliwym zbiegom chroniącym się do świątyń Pańskich. Odwraca od nich zwłaszcza w wiekach barbarzyńskich zbyt surowe i hańbiące ich kary, wskazuje im zarazem odpowiednie środki zbawienia [4], w skutek czego przy ścisłym związku, jaki zachodził pomiędzy świeckiem ustawodawstwem azylowem a kościelnem, i przy rozległem tego ostatniego zakresie, przyczynił się znakomicie do ugruntowania i ustalenia się w prawie karnem głoszonej przez siebie teoryi poprawy przestępcy.

Uwagi godnym jest również wpływ Kościoła na prawo prywatne. Już wyżej skreśliłem najwybitniejsze tegoż wpływu objawy w prawie osobowem, w prawie familijnem, zwłaszcza zaś w prawie małżeńskiem, które miłość chrześcijańska, rzec można, w ich podstawach przeobraziła; tu nadmienię, że również opieki i kuratele w ustawach chrześcijańskich przybrały cechę obowiązków podyktowanych przez miłość bliźniego. U Rzymian była opieka raczej rodzajem urzędu publicznego *(munus publicum, vis ac potestas)* [5].

W obrębie praw rzeczowych i osobisto-rzeczowych uwydatnia się w ustawodawstwie kanonicznem dążność do unormowania ich wedle ścisłych wymagań sumienia, nie zaś samej tylko formalnej konsekwencyi prawniczej [6]. A mianowicie prawo kanoniczne rozszerzając znacznie zakres rzymskiego Interdyktu *de vi* [7], w przepisach

---

[1] L. 3. 4. 6. 7. 8. *Cod. Theod.* de indulg. crim. (IX. 38); l. 3. *Cod. Justin.* de episc. audient (I. 4.); Capit. Regg. Franc. l. VI. c. 107.

[2] L. 22, 23. Cod. de episc. aud (I. 4); Concil Aurelian V. a. 549, c. 20 (Hard II. p. 1447). — *Encykloped. kościelna* l. c. tom XI. art. Kryminalne prawo p. 443. *Kober* l. c. S. 481—484.

[3] Ob. *Heyzmann* Ustawodawstwo kościoła o azylach l. c. str. 17, 18.

[4] *Heyzmann* l. c.

[5] Ob. *Rosshirt.* Gesch. des Rechts im Mittelalter I. Th. Canon. Recht. Mainz. 1846. S. 510. c. 26. D. LXXXVI.; c. 1, 7, 14, D. LXXXVIII.; §. 1. J. de tutelis (I. 13); §. 1. D. de tutel. (XXVI. 1).

[6] *Walter.* Lehrb. d. K. R. l. c. S. 770.

[7] L. 1. §. 12, 15, 48. D. de vi et vi armat. (XLIII, 16); l. 3. §. 10. D. uti possidetis (XLIII. 17).

swych odnoszących się do t. zw. *actio* i *exceptio spolii*[1] stanowi, że każdy nieprawnie, (nietylko gwałtownie) pozbawiony posiadania, a nawet dzierżenia *(detentio)* rzeczy, jakoteż posiadania rozlicznych praw jak np. posiadania urzędów i godności kościelnych, praw juryzdykcyjnych lub honorowych, prawa prezenty lub wyboru, prawa pobierania dziesięcin lub innych danin, a nawet opuszczony samowolnie przez drugiego małżonek — zasłonić się może przeciw wszelkim roszczeniom spoliatora t. zw. ekscepcyą spolii; ekscypujący winien był jednak w ciągu dni 15-stu udowodnić samowolne naruszenie swych praw przez spoliatora[2]. Wyzuty z posiadania mógł nietylko przeciw spoliatorowi, ale nawet przeciw trzeciemu posiadaczowi rzeczy, skoro tylko tenże o tem bezprawiu wiedział, wnieść skargę posesoryjną t. zw. *actio spolii* o zwrot utraconego posiadania[3]. Rzeczone postanowienia prawa kanonicznego posuwające obronę utraconego posiadania do ostatecznych granic, jak również przepisy tegoż prawa przeobrażające rzymski Interdykt *Uti possidetis* przez wprowadzenie osobnego postępowania sądowego t. zw. *possesorium summarissimum* w celu prowizorycznej obrony jedynie ostatniego spokojnego faktu posiadania, wpłynęły stanowczo na rozwój nowszych prawodawstw.

Wzgląd na dobrą wiarę tj. na wewnętrzne przeświadczenie zachowania się zgodnego z prawem, choć w istocie zachodzi z tem prawem niezgodność, dopiero w ustawodawstwie kanonicznem doszedł do właściwego znaczenia[4]. Z ducha nauki Kościoła wypływa, że zła wiara w stosunkach prawnych bezwzględnie musiała być potępioną, że zatem, w jakiejkolwiek chwili czasu wymaganego do przedawnienia a względnie do zasiedzenia, musiała stanąć na przeszkodzie nabyciu rzeczonym sposobem jakichkolwiek praw. Reguła II. Ins. in VI-to (V. 12.) wypowiada w ślad za Dekretałami Grzegorza IX.[5] zasadę: *Possessor malae fidei ullo tempore*

[1] C. II. qu. 2.; C. III. qu. 1.; tit. X. de restitutione spoliatorum (II. 13); in VI-to, II. 5.; c. 3. X. de causa possessionis et proprietatis (II. 12). — *Walter.* l. c. p. 771. (Lehrb. d. K. R.) — *Rittner.* l. c. II. str. 90—94. — *Rosshirt.* Gesch. d. R. im M. l. c. S. 517—523.

[2] C. l. 2. de restitut spoliat. in VI-to (II. 5).

[3] C. 18. X. de restit. spoliat. II 13.

[4] *Encykloped. kościelna* l. c. T. IV. str. 240.

[5] C. 5. 20. X. de praescriptionibus (II. 26).

non praescribit. Wprawdzie Gracyan jeszcze [1] trzyma się stanowczo rzymskiej zasady: *Sufficit enim in initio cuique bona fide possidere coepisse, etiamsi maedio tempore scientiam rei alienae habuerit,* — jakkolwiek już przebija się w jego Dekrecie [2] wzwyż wyłuszczona zasada prawa kanonicznego: *sicut in jure praedonum tamdiu quisque bonae fidei possessor rectissime dicitur, quamdiu se possidere ignorat alienum; quam vero scivrit, nec ab aliena possessione recesserit, tunc malae fidei possessor perhibebitur, tunc juste injustus vocabitur* [3].

W prawie spadkowem [4], zwłaszcza zaś w sukcesyi testamentowej niejednokrotnie napotykamy ślady wpływu Kościoła. Kościół, przedewszystkiem szanując godność człowieka, ceniąc wysoko jego wolność indywidualną, dokładał też starania, aby objawy takowej i po śmierci przez bliźnich zmarłego w sferze pozostałego po nim majątku uszanowane zostały. Za sprawą Kościoła dopiero, którego duchowieństwo żyło według prawa rzymskiego, powołaną została do bytu pośród ludów Germańskich zbawienna instytucya testamentów na rzymskich wprawdzie oparta zasadach, lecz już za cesarzy rzymskich chrześcijańskich w niejednym punkcie przekształcona odpowiednio chrześcijańskim pojęciom. A mianowicie przepisy cesarzy Konstantyna W., Walentyniana, Marcyana, Leona, Justyniana [5] zmierzają do nadania skuteczności prawnej zapisom na kościoły i w ogóle na cele pobożne, choćby takowe nawet nie odpowiadały ścisłym postanowieniom prawa, wymagającym dokładnego oznaczenia osoby dziedzica lub zapisobiercy. Nadto przyznany został biskupom pewien nadzór nad wykonaniem rozporządzeń ostatniej woli na cele pobożne.

Kościół bowiem, który w ogóle dla wszelkich zobowiązań szuka podstawy i gwarancyi w sumieniu człowieka, uważa zwłaszcza dopełnienie ostatniej woli za obowiązek sumienia, co więcej, on na-

---

[1] Ad c. 15. C. XVI. qu. 3.

[2] W. c. 5. C. XXXIV. qu. 1. św Augustyn.

[3] *Walter.* Lehrb. d K. R. l. c. S. 771. *Rosshirt.* Gesch. d. R. im M. l. c. S. 534—548.

[4] *Rosshirt.* l. c. S. 550—568. §. 44. Canon. Recht.

[5] Ob. *Walter.* Lehrb. d. K. R. l. c. S. 571. §. 252. — C. 1. 26. C. de S. S. eccles. (I. 2.) — C. 14. 28. 46. 49. C. de episc. (I. 3.) — Nov. LXXXI. c. 11.

daje rzeczonemu obowiązkowi charakter religijny już dla tego, że otacza tkliwą miłością i czcią pamięć wiernych zmarłych, jako dziedziców wiekuistej chwały, już też z powodu, że spodziewa się, iż prawy chrześcijanin rozporządzając swym majątkiem na przypadek śmierci, nie będzie obojętnym dla tej Boskiej instytucyi, która w ciągu całego życia jego wskazywała mu drogę i podawała środki do szczęśliwego przebycia ziemskiej pielgrzymki, — że nie zapomni o uczynkach miłosiernych, o dziełach pobożnych, które szczególniej są zdolne ułatwić mu spełnienie zakreślonego przez Stwórcę zadania. Z powyższych przyczyn instytucya testamentowa w ogóle potężnej doznawała od Kościoła opieki, stała się ona przedmiotem juryzdykcyi sądów duchownych [1], w których uważano głównie na to, aby mieć pewność co do istnienia ostatniej woli, mniej zaś przywiązywano wagi do formy testamentów [2].

Świadkowie obecni przy nich byli raczej *testes probatorii*, niż *testes solemnitatis*. Prawo kanoniczne, różne w tem od prawa rzymskiego przepisuje w szczególności, że akt ostatniej woli sporządzony przed proboszczem i dwoma, lub trzema świadkami ma być uznanym za ważny [3]. Co się zaś tyczy treści rozporządzeń ostatniej woli stanowi papież Innocenty III. [4], że dziedzice konieczni powiernictwem obciążeni, mogą najpierw odciągnąć przypadającą im część obowiązkową, a nadto z reszty pozostałej mogą jeszcze zatrzymać dla siebie t. zw. „kwartę Trebeliańską“ [5]. Zasada chrześcijańskiej miłości bliźniego i płynące z niej poczucie wzajemnej pomocy, które Kościół uważa za najsilniejszy łącznik w życiu społecznem, charakteryzują bardzo wybitnie ustawodawstwo kościelne w zakresie stosunków osobisto-rzeczowych, w sferze umów, zwłaszcza zaś jednego z najważniejszych w gospodarstwie społecznem kontraktów, — tj. pożyczki [6].

---

[1] C. 3. 6. 11. 17. X. de testam. (III. 26). — Clem. un. de testam. (III. 6). — Conc. Trid. sess. XXII. c. 6. de ref.

[2] Ob. *Walter*. Lehrb. d. K. R. l. c. §. 252. S. 571. — Concil. Lugdun. II. a. 567. c. 2. C. 4. X. de testam. (III. 26). — C. II. X. de testam. (III. 26).

[3] C. 10. X. de testam. (III. 26).

[4] C. 16. 18. X. de testam. (III. 26).

[5] Porów. l. 6. Cod. ad Sclt. Trebell. (VI. 49).

[6] Ob. *Encykloped. kościel.* l. c. T. XII. str. 221 i nast. — *Walter*.

Pax servetur, pacta custodiantur, — mówią Dekretały — *studiose agentium est, ut ea, quae promittuntur opere compleantur* [1]. Istotę umów stanowi wzajemna zgoda stron *(consensus)*, mniej istotną jest forma kontraktu. Według ducha prawa kanonicznego zatem *pacta quantumcunque nuda servanda sunt* [2]. W szczególności Kościół zgodnie z cywilnem prawem rzymskiem poczytuje kontrakt pożyczkowy *(mutuum)* za bezpłatny. W odróżnieniu atoli od tego prawa, które dozwalało osobnych dodatkowych umów o procenta [3], stosownie do wyrzeczeń Starego Testamentu [4] i słów Zbawiciela [5], pobieranie dodatkowo od pożyczek procentu, wychodząc przedewszystkiem z chrześcijańskiej powinności wspierania braci w ich potrzebach [6]. Aby ocenić właściwe znaczenie i całą doniosłość rzeczonego zakazu, zważyć należy, że w rozkładającem się społeczeństwie rzymskiem, wśród którego Kościół rozpoczął dzieło zbawienia, jedną z głównych, najbardziej zakorzenionych wad była lichwa, przeciw której też energicznego należało użyć środka. Lichwa bowiem zachęcała zniewieściałych bogaczów rzymskich do życia próżniaczego do potwornego wyzyskiwania ubogich dłużników, wobec których z nieubłaganą postępowano srogością. Już za czasów rzeczypospolitej rzymskiej starano się położyć tamę coraz to częstszym w tym względzie nadużyciom [7] t. zw. *plebiscytem Genucius'a* [8], miano nawet zakazać pobierania wszelkich procentów, co jednak nie utrzymało się [9]; później także za cesarzy normowano wielokrotnie stopę procentową, najczęściej atoli bezskutecznie [10].

Lehrb. d. K. R. l. c. §. 350, 351. S. 770 i nast. — *München Nic.* Das kanon. Gerichtsverfahren u. Strafrecht II. B. S. 505–530. — *Schulte.* Reichs- und Rechtsgesch. §. 164. S. 479. l. c.

[1] 1. 3. X. de pactis (I. 35).

[2] *Schmalzgrueber*, l. c. Lib. I. titul. 35. §. I. de pactis. nr. 7.

[3] L. 121 D. de U. S.

[4] *Exod.* XXII. 25. *Levit.* XXV. 36. *Deut.* XXIII. 19. II. *Esdr.* V. 7. *Ps.* XIV. 5; LIV. 12. *Ezech.* XVIII. 8, 13.

[5] *Luc.* VI. 34.

[6] Ob. św. Tomasza-Summa 2.2-ae qu. 78, n. 1. art. 1. ad 2.

[7] Lex Marcia. Gajus IV. 23, Livius VII. 21.

[8] Livius VII. 42. (414). Tacit. ann. VI. 16.

[9] Livius XXXV. 8. Plutarch Cato maj. 21. Appian de bell. viv. I. 54. *Walter.* F. Gesch. d. röm. Rechts. l. c. II. §. 609. S. 239—241.

[10] *Paul. sent. rec.* II. 14. §. 2. 4.; c. 8. C. si cert. petat. (IV. 2); c. 1. 2. C. Th. de usur. [II. 33]. c. 26. 28. C. de usur. (IV. 32.): Nov. CVI. CX.

Odrodzenie upadłego społeczeństwa rzymskiego nie tylko pod względem moralnym lecz i ekonomicznym wymagało energicznego wystąpienia przeciw zyskom, opartym na hazardzie bez trudu, a często osiąganym przez kapitalistów w sposób niegodziwy. Wymagało ono zwrotu do mozolnej wprawdzie, lecz uczciwej produkcyjnej pracy około roli, dla której pożyczka nie miała na celu spotęgowania zysku, lecz była najczęściej tylko bratnią, prawdziwie chrześcijańską przysługą w potrzebie. Zasadę pożyczki bezprocentowej tem bardziej jeszcze popierać należało wśród ludów barbarzyńskich, oddanych wyłącznie prawie zajęciom pierwotnym około ziemi, u których to ludów posiadanie kapitału, samo przez się, co się rzadko zresztą przytrafiało, dla braku wszelkiej jego organizacyi, nie było wcale zajęciem zyskownem. W takich okolicznościach zatem pobieranie od kapitału choćby najmniejszego procentu odbierało pożyczce jej charakter miłosierny, nadawało jej natomiast piętno niegodziwej lichwy. Przeciw niej też występował Kościół zgodnie z władzą świecką [1] z całą surowością, już to przez usta Ojców ŚŚ. jak Ambrożego, Hieronima, Augustyna [2], już też na licznych soborach powszechnych, na I-szym soborze Nicejskim [3], III-cim i IV-tym Lateraneńskim [4], II-gim Lionńskim [5], na soborze Wienneńskim [6]. Na znanych lichwiarzy nakładał infamię, odmawiał im pogrzebu chrześcijańskiego, prawa swobodnego sporządzenia testamentu [7]. Przytem jednak, jakkolwiek wierny zasadzie pożyczki bezprocentowej *quod* ***suapte natura*** *tantumdem..... dumtaxat reddi postulat, quantum receptum est*, jak tego dowodzi między innemi konstytucya Benedykta XIV.: *Vix pervenit* z d. 26 czerwca 1746, baczny zawsze na potrzeby wieków i ludów wśród których szerzył Boską naukę, uwzględniał szczególne tytuły *tituli*

---

[1] c. 20. C. ex quibus causis infam. (II. 12); Capit. presbyt. 806, c. 14; Capit. ad Niumag. 806 II. c. 1. Capit. Lang. 813 c. 10, Olonn. 825 c. 5. Wormat. 829. De his quae populo aduunt. c. 20.

[2] C. 1. et seqq. C. XIV. qu. 3.

[3] C. 17.

[4] C. 25.; c. 3. X. de usur. V. 19; c. 67; c. 18. X. eod.

[5] C. 26, 27; c. 1. 2. de usuris V. 5. in VI-to.

[6] Clem. cap. an. de usur. V. 5. — Porów. także Kanony Apostolskie c. 45. Dekretał Urbana III. c. 10. X. de usuris. (V. 19)

[7] C. 3. X. de usur. (V. 19).

extrinseci dodatkowe, (jak je zowią kanoniści), mogące uprawniać (co dziś przy zmienionych stosunkach handlowych i przemysłowych, gdy pożyczka stała się produkcyjną zwykle ma miejsce) — do pobierania od takowej miernego procentu. Takiemi tytułami były: 1) *lucrum cessans* tj. strata zysku, 2) *damnum emergens* tj. szkoda wynikająca z pożyczki dla wypożyczającego, 3) *periculum sortis* tj. niebezpieczeństwo utraty wypożyczonego kapitału z powodu niewypłacalności dłużnika. W szczególności zaś ustanowił Kościół t. zw. kupno renty, zabezpieczanej później na gruntach i nieruchomościach. Lecz i tu dozwalał jej Kościół [1], z zastrzeżeniem jednak, że sprzedający rentę czyli dłużnik mógł każdej chwili wypowiedzieć ją wierzycielowi nabywającemu od niego rentę, i wyswobodzić się w ten sposób od wszelkiego z jego strony ucisku [2]. To ustanowienie przyczyniło się później do zmodyfikowania nie zasady, lecz tylko sposobu postępowania Kościoła w kwestyach procentowych.

Nie bez znaczenia dla stosunków prawnych w ogóle jest również reforma kalendarza, dokonana za sprawą Kościoła za pontyfikatu Grzegorza XIII. w r. 1580, w kierunku sprostowania takowego odpowiednio ścisłym prawidłom astronomicznym. Tak poprawiony kalendarz, pod nazwą Gregoryańskiego, znalazł wkrótce powszechne z małymi wyjątkami w katolickich a nawet w protestanckich krajach przyjęcie; w Polsce zaprowadzony został już w r. 1584, z rozkazu Stefana Batorego. Kalendarz kościelny przez cały swój układ świąt i uroczystości ma nieustannie przypominać chrześcijaninowi największe dzieło Boskiego Założyciela Kościoła, Jezusa Chrystusa, dokonane z miłości dla człowieka, tj. dzieło jego odkupienia we wszystkich jego momentach. Każdego dnia w roku chrześcijanin pod egidą, że się tak wyrażę osobnych świętych Patronów, których mu Kościół przedstawia do naśladowania, ma zdobywać sobie chwałę i szczęśliwość wiekuistą. Cały zatem rozkład czynności w życiu społecznem chrześcijanina, w jego stosunkach prawnych, winien oczywiście stosować się doskonale do porządku na-

[1] C. l. 2. Extr. comm. de cust. vend. (III. 5).

[2] Ob. *Walter*. Deutsche Rechtsgesch. l. c. B. II. §. 561. S. 216, 217. Porów. Reichspolizeiordn. z r. 1548. Tit. 17. §. 8. z r. 1577. Tit. 17. §. 9.

znaczonego mu przez Kościół w najszczytniejszej, w najważniejszej jego sprawie tj. w działaniu jego dotyczącem bezpośrednio chwały Bożej w sprawie jego zbawienia.

Rozpatrzywszy w rozlicznych kierunkach kwestyę wpływu Kościoła na ustawodawstwo świeckie, wznieśmy się zamykając rzecz na jeden z punktów kulminacyjnych rzeczonego wpływu; zwróćmy mianowicie uwagę na procedurę sądową[1]. Wszystko co w tym dziale ustawodawstwa największą ma doniosłość, *la partie noble*, jak się wyraża Huc[2], wypływa bezpośreduio z Dekretaliów. Procedura obecna, mówi tenże (mając na myśli szczególnie ustawodawstwo francuskie), jest ciągłem zastosowaniem prawa kanonicznego, zmodyfikowanego wedle potrzeb czasu i okoliczności. — Bez historyi procesu kanonicznego, który w sądach duchownych dziś jeszcze obowiązuje a dla świeckich sądów stanowi podstawę, nie miałaby zdaniem Rosshirta[3] umiejętność procesualna fundamentu. W procedurze kanonicznej napotykamy wiele pierwiastków rzymskich, przekształconych jednakże i uszlachetnionych, pod wpływem zasad chrześcijańskich. Zasadom tym torowała szeroką drogę do procedury, rozległa w wiekach średnich jurysdykcya sądowa Kościoła. Nie ograniczała się bowiem li tylko do spraw duchownych z natury swej, do których zaliczano wszystkie, choćby w odleglejszym związku będące z obowiązkami religijnemi, ale obejmowała także na podstawie bardzo obszernego *privilegium fori* sprawy osób duchownych, a nadto z powodu niedostateczności sądów świeckich, wiele spraw czysto świeckich, np. sprawy wdów, sierót, i w ogóle sprawy *personarum miserabilium*, z tegoż samego powodu sprawy pielgrzymów i krzyżowców[4]. Przytem zwłaszcza w pierwszych wiekach w myśl przepisów apostolskich załatwiali biskupi wiele spraw po-

---

[1] Ob. *Mittermajer:* Die Bedeutung des canonischen u. des damit zusammenhängenden romanischen Prozesses als Hauptquelle des gemeinen bürgerlichen Prozesses. Im Archiv für civilist. Praxis 40 Bel. Heidelberg P. 1857. S. 124—144. — Porów. także *Montesquieu:* Esprit des lois. Liv. 28., ch. 40.

[2] *Theof. Huc:* Etudes historiques sur la procedure civile w Revue critique de Législation et de Jurisprudence, Tome IX, Lirais. VII. a. 1856. p. 19—57.

[3] *Rosshirt.* Canon. Recht. Schaffhausen 1857. S. 573.

[4] *Walter. F.* Lehrb. d. K. R. l. c. S. 414—421.

śród chrześcijan w charakterze sędziów polubowych [1]. Już sam ustrój hierarchiczny Kościoła, łączący wszystkich jego członków w organiczną całość pod widomą głową Namiestnikiem Chrystusowym, zapewniał procedurze sądów duchownych racyonalny porządek instancyi, tudzież pożądaną bardzo w wymiarze sprawiedliwości jednostajność, której brak dotkliwie czuć się dawał w sądach świeckich, zwłaszcza za czasów feudalnych, gdy sądownictwo ulegało częstokroć wręcz przeciwnym prądom. Zasada piśmienności zaś, stanowiąca jedną z głównych cech procesu kanonicznego [2], zwłaszcza w późniejszem jego stadyum w przeciwstawieniu do rzymskiego procesu przeważnie ustnego, zabezpieczała znowu porządny tok spraw sądowych, uposażając w zupełną moc dowodową każdy akt sądowy, który protokólarnie spisywał osobny ku temu urzędnik.

Obok tego jednak uwydatnia się w procesie kanonicznym dążność płynąca z ducha Ewangelii, aby o ile możności zapobiegać sporom. Pap. Honoriusz III. [3], przepisuje sędziemu, aby nakłaniał strony do ugody we wszystkich sprawach, w których dałaby się przypuścić [4]. Gdyby do ugody nie przyszło, lub z natury sprawy przyjść nie mogło, a sprawa rychłego wymagała załatwienia, dekretały przestrzegając zresztą największej dokładności w postępowaniu sądowem *(solemnis ordo judiciarius)* nakazują sędziemu pomijać wszelkie ścisłe a mniej istotne formy procesowe, zalecają mu natomiast zbadanie i rozstrzygnięcie sprawy sumaryczne, tj. w sposób najprędzej do celu wiodący *de plano et sine strepitu judicii* [5]. Nie może być oczywiście zadaniem naszem zatrzymywać się w tych wstępnych uwagach nad poszczególnemi stadyami procesu kanonicznego ani też wykazywać wybitne często różnice, zachodzące nawet w ważniejszych punktach pomiędzy nim a procesem rzymskim. Stąd też pominiemy kwestye takie, jak n. p. co się tyczy t. zw. wdania się

[1] I. Cor. VI. 1—6., c. 7. D. XC.

[2] *Rittner.* Pr. kościel. l. c. II. str. 53, 54.

[3] C. 11. X. de transact. (I. 36).

[4] Podobny przepis napotykamy w ust. austr. o postęp. sumar. (§. 23 dekr. nadw. z 24/10 1845. Nr. 906, Zb. u. s.) w ust. z 27/4 1873. Nr. 66. d. u. p. o postęp. w spr. drobiazg. §. 23. — Ob. *Mittermajer* l. c.

[5] C. 2. in Clem. de judic II. 1; c. 2. Clem. de V. S. (V. 11). c. b. 20. X. de judic. (II. 1.) Concil. Trid. Sess. 24. c. 20, de reform: proces sumaryczny przed sądem biskupim ma być ukończony w dwóch latach.

w spór *(litis contestatio)* [1], rodzaje formy i egzekucyi wyroków [2], zwłaszcza zaś środki prawne przeciw tymże [3]. Wypada atoli zwrócić uwagę na najważniejszy dla umiejętności procesowej wogóle, dział procesu kanonicznego, tj. na postępowanie dowodowe.

Jakież są jego właściwości w procesie kanonicznym pod względem głównych zasad? [4]. Przedewszystkiem charakteryzuje to postępowanie zwłaszcza w okresie pełnego rozwoju procesu kanonicznego przeważnie w sprawach karnych, a poniekąd i w sprawach cywilnych dążność do wykrycia prawdy rzeczywistej, materyalnej, do roztrząśnienia z urzędu kwestyi bezprawia, choćby tylko cywilnego i usunięcia takowego. Sama już natura spraw przychodzących przed *forum* sędziów duchownych, podyktowała rzeczoną tendencyę. Nie wynika stąd jednak, iżby kanoniczna procedura, tak karna, jak cywilna spoczywała na tych samych [5], z niektóremi odmianami zasadach. Owszem w sprawach czysto cywilnych, w przeciwstawieniu do spraw karnych i spraw duchownych (*causae spirituales et spiritualibus annexae*) panowała zasada swobodnej rozprawy *(Verhandlungprincip)* warująca stronom interesowanym swobodę rozpoczęcia sporu [6], dostarczenie środków dowodowych [7] wiążąca sędziego wnioskami stron *ne procedat ultra petitum*. Jednakże z drugiej strony sędzia duchowny, rozstrzygając nawet sprawę cywilną zostającą zwykle w mniej lub więcej ścisłym związku ze sprawą duchowną, nie pozostawał zawsze w roli biernego kierownika sporu; on musiał sam starać się o usunięcie w ciągu rozprawy niejednej sprzeczności,

[1] C. un. X. de litis contest (II. 5).

[2] Ob. *München* l. c. S. 214. Note 3. c. 11 X. de probat (II. 19), c. 5. X. de sent. et re judicata in VI-to (II. 14); c. 2. de V. S. in Clem (V. 11); c. 3. X. de solutionibus (III. 23.); c. g. X. de poenis (V. 37.); c. 26. X. de offic. jud. deleg. (I. 29.); złagodzoną została egzekucya względem niewypłacalnych dłużników; *addictio* (Übergabe zu Hand u. Haft.) przez pr. kanon. zakazana. c. 2. X. de pignor (III. 21).

[3] Tit. X. de appellat. (II. 28); in VI-to (II. 15); in Clement (II. 12); Trid. sess. 24, c. 20 de ref.

[4] Ob. *Rittner*: Pr. kościelne l. c. II. S. 52 i nast. *Rosshirt* Canon. Recht. l. c. S. 612 Carl. Gross: Beweistheorie im canon. Proces. I. Allgem. Th. Wien 1887. S. 9. 10.

[5] Jak twierdzi Rosshirt l. c. Canon. R. S. 612.

[6] L. un. C. Just. ut. nemo invitus (III. 7).

[7] C. 75. C. XI. qu. 3. c. 4. §. 1. C. III. qu. 7.

o wyjaśnienie z urzędu niejednej okoliczności, w skutek czego z biegiem czasu zostały niektóre konsekwencye zasady swobodnej rozprawy złagodzone i przekształcone pod wpływem zasady śledczej, która, że się tak wyrażę, nadawała ton kanonicznej procedurze dowodowej. Zasada ta, według której sędzia sam z urzędu w interesie publicznym zbadać winien zapomocą wszelkich prawnych środków istotę czynu w kwestyi przestępstwa, otwiera uznaniu jego szerokie pole pod względem ocenienia materyału dowodowego, krępując go chyba jedyną regułą dowodową, że do dowodu przez świadków, (a analogicznie przez znawców) wymaga zeznania dwóch wiarygodnych osób [1]. Zasada rzeczona, odpowiadając ze wszechmiar całemu systemowi materyalnego prawa karnego, wytworzonemu pod wpływem Kościoła, który jak wyżej nadmieniłem, nadawał przestępstwu w ogóle charakter publiczny, zapanowała zwolna nad wszystkiemi innemi sposobami postępowania w procesie karnym. — mianowicie zaś nad postępowaniem skargowem *per accusationem*. Znalazła ona również analogiczne zastosowanie i dla spraw duchownych *(causae spirituales)*, a następnie stała się główną podstawą procedury karnej we wszystkich sądach świeckich, aż do naszych czasów. Piękny to zaiste i ważny ślad dobroczynnego wpływu Kościoła, oddziaływania zwłaszcza dekretałów Innocentego III., który stanowczo przyczynił się do ugruntowania i do prawnego rozwoju systemu inkwizycyjnego, na ustawodawstwo świeckie. Procedura karna uzyskała racyonalną teoryę dowodową, co też nie pozostało bez wpływu i na proces cywilny, w którym również znalazła zastosowanie zasada: *judici fit probatio*. Ściganie przestępstwa nie miało już pozostawać na łasce pokrzywdzonego oskarżyciela, którego, gdy nie dostarczył dowodu winy, spotykała *poena talionis*, lecz stało się obowiązkiem publicznego organu obrażonej sprawiedliwości, tj. sędziego karnego, który uwzględnić miał wszystko, co przemawiało tak za, jak i przeciw winie oskarżonego i z reguły powodując się zasadą *in dubiis in mitius*, nie stosował całej surowości prawa, lecz łagodniejszą, niż przy postępowaniu skargowem naznaczał karę [2].

[1] C. 23. X. de testibus (II. 20) — Porów. *Gross* l. c. S. 126. — c. 21, 24. X. de accusat. (V. I.); c. 31. X. de simonia. (V. 3.)

[2] Cum promptiora sint jura ad absolvendum, quam ad condemnandum, mówi c. 3. X. de prob. (II. 19). — Porów. c. 3. X. de spons. (IV. 1.) c. 10.

Rozwój zasady śledczej znajdował poparcie w samymże ustroju kanonicznego postępowania dowodowego, w którem jakkolwiek nie stanowiło jeszcze jednego ściśle odgraniczonego stadyum procesowego, jak n. p. w pospolitym procesie cywilnym niemieckim, to jednak przez zaprowadzenie t. zw. postępowania *per positiones et responsiones*, oddzielone już zostały okresy twierdzeń, od okresów dowodzenia takowych, które to okresy kilka razy mogły się przeplatać nawzajem w jednym procesie *usque ad conclusionem causae* [1]. — Pod wpływem zasady przezorności *(Eventualprincip)*, która również służy za podstawę procedurze kanonicznej, łatwo już dały się połączyć te poszczególne okresy dowodowe w jedno samoistne stadyum procesowe. Rzeczone *positiones et responsiones* przyczyniały się niepospolicie do wyjaśnienia, do ustalenia podstawy faktycznej sporu, do wyłuszczenia z takowej, właściwego materyału dowodowego, do uproszczenia go i uregulowania wagi dowodu. Wprowadzone bowiem zostały, jak się wyrażają Klementyny [2], *per usum longaevum ad faciliorem expeditionem litium propter partium confessiones, ut fiat definitio clarior, (et articuli) ob clariorem probationem.* — One stanowią jedną z głównych zalet procesu kanonicznego, znakomity też wywarły wpływ na proces niemiecki [3].

Jeżeli proces kanoniczny pod względem ogólnego ustroju, postępowania dowodowego wykazuje w porównaniu z procesem rzymskim pewien postęp już dlatego, że przyczynił się do wytworzenia odrębnego stadyum dowodowego i do udoskonalenia takowego, to rozwój historyczny poszczególnych środków dowodowych, zwłaszcza w procedurze dawnych Germanów, uwydatnia o wiele wyraźniej jeszcze stopniowe oddziaływanie Kościoła na procedurę świecką, która pod wpływem chrześcijańskich zasad uszlachetnioną została [4]

X. de praes. (II. 23.) — Porów. *Gross* l. c. I. S. 126, i *Rittner* l. c. II. Str. 130. *München* l c. I. S. 502. c. 30, X. de simonia. (V. 3).

[1] Porów. *Gross* l. c S 113 u. folg.

[2] C. 2. de V. S. (V. 11).

[3] Ob. *Gross.* l. c. I. S. 38. 39. *Molitor.* l. c. *Durantis.* Spec. juris lib. II. part. 2. de positionibus.

[4] Ustęp o rozwoju historycznym poszczególnych środków dowodowych w procedurze dawnych Germanów zamieszczony w niniejszej rozprawce, jest wyjątkiem z obszerniejszej pracy autora, o głównych zasadach prawnych Ko-

Co większa — Kościół dopiero zaszczepił wśród barbarzyńskich Germanów racyonalne pojęcie dowodu, u których po największej części przemoc brutalna strony spór wiodącej, lub interwencya przypadkowa sił przyrody, rzekomo na jej korzyść, a zatem okoliczności zewnętrzne, nie zaś powody na rozumowaniu oparte, któreby zdolne były trafić do przekonania sędziego, służyć mogły na poparcie jej twierdzeń a właściwie jej roszczeń [1].

Minęły atoli wieki, zanim rzeczone przez Kościół zaszczepione pojęcie dowodu, rzec można dopiero w procedurze czasów nowszych, pełnym zajaśniało blaskiem. Kościół tymczasem ciężką i długą musiał staczać walkę, z głęboko zakorzenionym w barbarzyńskiem społeczeństwie elementem pogańskim. Nieludzkie ordalia, niezliczone przysięgi tłumnych częstokroć pomocników jednej i drugiej strony spór wiodącej, a raczej srogie przysięgi nadużycia, krzywoprzysięstwa, stały w dawnych sądach germańskich na porządku dziennym. W takim stanie rzeczy skuteczną zaprowadzić zmianę mogła jedynie Boska instytucya, jak się pięknie wyraża Kober [2], „której potężny wpływ mógł wniknąć do wnętrza, do sumień ludzkich". Kościół jedynie mógł podźwignąć z upadku przysięgę, która całą swoją siłę czerpie w sumieniu, w należytem pojęciu stosunku człowieka do Boga, tj. we fundamentalnych prawdach religii katolickiej.

Kościół cały swój misterny systemat dowodowy, który stał się wzorem dla procedur świeckich, oparł na przysiędze, postawiwszy takową na piedestale świętości, o jakiej świat pogański nie miał wyobrażenia. On sam z całym, że się tak wyrażę, aparatem swej nieomylnej nauki i środków poruczonych mu przez Boskiego jego Założyciela w sprawie zbawienia, stanął na straży nietykalności przysięgi, przez co przysporzył władzy świeckiej jednę z najsilniejszych dźwigni całego państwowego organizmu, dźwignię ku temu, co nadziemskie, co wieczne, a zarazem sprzęgnął ten organizm jednem z najtrwalszych ogniw.

Dr. Józef Brzeziński.

ścioła, dotyczących przysięgi itd. Kraków, 1886, do której też w kwestyi wpływu Kościoła na przysięgę czytelnika odsyłam.

[1] Ob. *K. Hildebrand*: „Purgatio canonica et vulgaris" München 1841. S. 1—34. — *Siegel H.*: „Geschichte des deutschen Gerichtsverfahrens. I. B. Giessen 1857. S. 161 u. folg. S. 272 u. folg. — *M. Bobrzyński*: „Historya prawa niemieckiego" Kraków 1876. str. 40. 122.

[2] L. c. S. 456.

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH[1].

Nędza i moralny upadek rękodzielników, wieśniacze długi olbrzymich dochodzące rozmiarów, nieustanne zdzierstwo żydowskich lichwiarzy, kryjących się pod maską chrześcijańskiego imienia, pijaństwo w coraz szerszych wielmożniące się kołach, nieraz powszechne gwałcenie dni świętych a wreszcie rozwiązłość coraz jaskrawszym rażąca bezwstydem i tyle innych grzechów toczących jak rak wnętrzności dzisiejszego społeczeństwa — to Baltazarowe głoski, których omnipotencya racyonalistycznego państwa, jednym pociągiem pióra *par ordre du moufti* wymazać nie zdoła.

Rany te wciąż się jątrzą, jakkolwiek zasłonięte płaszczykiem pozornego zdrowia. Wybuch namiętności wrzących pod naciskiem nędzy i zepsucia może wprawdzie przezorność państwowa powstrzymać na niejakiś czas środkami interesu i przymusu, lecz by go stłumić i zniweczyć zupełnie — tego środki te dokazać nie mogą. Trafnie nazwał ktoś niedawno tę dążność „mesyańskiemi roszczeniami“ — i rzeczywiście są to istne roszczenia i urojenia w górnolotnych wyrażone frazesach a osłaniające się togą nieomylności — choć w praktyce najmniejszego nawet zaczątku trwalszych rezultatów wykazać nie są w stanie.

---

[1] Przeszłoroczne kongresy katolickie w Niemczech wyjawiły światu taki rozwój i tak pomyślne rezultaty stowarzyszeń katolickich w tym kraju, iż sądziliśmy, że dokładniejsze zapoznanie z tym objawem katolickiego życia, nie tylko zainteresuje nasze społeczeństwo, ale też posłuży mu jako przykład zbożnego czynu. W tym celu uprosiliśmy jednego z najczynniejszych inicyatorów tego ruchu, aby nam opisał w szeregu kilku artykułów historyczny rozwój i dzisiejszy stan tych stowarzyszeń — a obecnie pierwszy z tych artykułów w przekładzie podajemy. (*Przypisek Redakcyi*).

Obok państwa podjął się leczenia tych ran społeczeństwa nierównie więcej do tego zadania powołany i bogatszy w odpowiednie zasoby Kościół katolicki. Nie mamy tu zamiaru mówić o wszystkich jego pracach w tym kierunku, o encyklikach papieskich, o nieustannej pracy biskupów i kleru dla oświecenia i umoralnienia klas pracujących, a uśmierzenia antysocyalnych namiętności; pomijamy trudności i przeszkody, nawet ze strony państwa, z jakiemi Kościół spotykać się musi w tem przedsięwzięciu humanitarnem; zwrócić tylko chcemy uwagę na jeden czynnik, który powstał przeciw zarazie socyalizmu pod tchnieniem Kościoła, a w Niemczech świetnie się rozwinął. Mówię o stowarzyszeniach socyalnych katolickich.

Zbyteczną byłoby rzeczą dowodzić, do jak wielkich rezultatów dojść można tym systematycznym sposobem postępowania, rezultatów, o które próżno się kusić tam, gdzie niemasz zespolenia sił, ani jedności zakreślonego planu. Im bardziej zawikłany jest ustrój społeczeństwa, im gwałtowniej pewne okoliczności przyśpieszają rozkład jego, im większą jest oświata i wymagania jednostek, im nierówniejszy podział dóbr ziemskich, znoszący wszelkie inne stany prócz plutokracyi i proletaryatu, tem łatwiej i silniej wspólność sprawy łączy cierpiących, aby zjednoczonemi siłami wywalczyć to, czego jednostki zdobyćby nie mogły. Wobec naszych stosunków niemieckich, twierdzenie to równej jest doniosłości dla dobrych chrześcijan, jak dla chrześcijan zepsutych łącznie z Żydami. W obydwóch obozach wcześniej niż gdzieindziej wyrobiło się to przekonanie, że w obec warunków bytu, pojawiających się w drugiej połowie XIX. wieku, hasło: *viribus unitis* jest jedynie możliwem i jedynie zbawczem godłem życia ludzkiego. Katolickie Niemcy musiały się we właściwym czasie zorganizować i dostatecznie przysposobić, aby burza niespodzianie uderzająca nie zastała ich nieprzygotowanych do odparcia niebezpieczeństwa. Ostatnie 40 lat historyi katolickich Niemiec przedstawiają nam bardzo zajmujący obraz zbrojenia się, wprawdzie zwolna i stopniowo, lecz bez przerwy i wytrwale wciąż rosnącego — tak że w r. 1872 posiadali już katolicy wcale obfity zapas doborowej broni, a w r. 1875 stanęli już w pełnym rynsztunku, zbrojni od stóp do głów i każdą napaść odeprzeć gotowi. W warownym grodzie rzymskiego powszechnego Kościoła, niemasz silniejszej twierdzy nad pruskie i niemieckie koła centralne, które

dotychczas każdy atak świetnie odpierały, każdą zasadzkę niweczyły, każde odcięcie posiłków umiały zastąpić świeżemi siłami.

Podobnie też wszystkie drobniejsze grona społeczeństwa, powstające z podziału na prowincye i obwody lub wynikające z różnych stopni oświaty i zatrudnienia, zostały objęte olbrzymią siecią tej organizacyi. Jeśli zaś dotąd niepowiodło się czasem wprowadzić w życie jakąś ideę powszechnem przyjętą uznaniem, to przynajmniej źródłem tego niepowodzenia nie był nigdy brak dobrej woli — lecz zewnętrzne, niepokonalne przeszkody.

Przegląd historycznego rozwoju tej organizacyi dozwoli nam w dwóch kierunkach wysnuć wnioski bardzo pouczające. Z jednej strony nauczy nas, co czynić wypada i jak wziąść się do dzieła, aby szybko i pewnie osiągnąć rezultat jak najpomyślniejszy. Z drugiej zaś strony znajdziemy w tym rozwoju szczytny przykład i dowód zarazem, czego dokazać może odwaga, ostrożność i wytrwałość środkami stosunkowo bardzo ograniczonemi.

W następnej zaś części naszego sprawozdania wskazać nam wypadnie poszczególne stowarzyszenia i związki, oraz ich zasady, ich cechy charakterystyczne i owoce ich działalności. O ile zaś odpowie pióro nasze temu założeniu, to już pozostawiamy łaskawej ocenie naszych czytelników.

I.

Rozwój katolickich stowarzyszeń w Niemczech.

W roku 1878, tak pełnym niezwykłych wydarzeń, objawiła się w gronie niemieckich katolików żywa potrzeba lepszej i gruntowniejszej wymiany pojęć, aby stłumiony płomień katolickiego życia rozdmuchać nanowo i wciąż świeżem podsycać paliwem. Poczucie konieczności takiego łącznika, wywołało walne zebranie, na którem omawiano kwestyę błędów i potrzeb współczesnej epoki, a zarazem przedłożono odpowiedne środki, aby budzącego się ducha katolicyzmu trwale zająć ważnością spraw dla dobra ludu podjętych. Poważny szereg kongresów dotychczas odbytych najlepszym jest dowodem, że zamiar ten nie skończył się tylko na dobrych chęciach, a błogie skutki prądów, które wśród tego zrodziły się

grona, jasno pokazują, jak wielka stąd korzyść na całe Niemcy spłynęła.

Co do rodzaju czynności walnych zgromadzeń katolickich w Niemczech, to jedno zaznaczyć winniśmy, że stowarzyszenia katolickie są bezpośredniem następstwem obrad kongresowych i że historya walnych zgromadzeń jest zarazem historyą rozwoju tych związków, z małemi może wyjątkami. Na tych to wiecach wśród długich debatów, narad i przemów roztrząsają się przedłożone wnioski i stanowią rezolucye, dotyczące zawiązywania, a względnie popierania stowarzyszeń i związków. Tu też przedstawiane bywają coroczne sprawozdania z czynności i postępu tych korporacyi.

Pierwszy walny zjazd katolicki odbył się w Moguncyi 1848 r. i już na tym zjeździe dano początek socyalno-politycznej czynności. W sumie jej rezultatow uwydatniają się same przez się cztery główne okresy.

Przedwstępne obrady odbyły się na czterech pierwszych zjazdach, a głównym przedmiotem ich były Towarzystwa św. Wincentego i Towarzystwa wstrzemięźliwości. Przy tej sposobności poruszono też kwestyę emigracyi i szkolnego wychowania dzieci robotników fabrycznych.

Drugi z kolei szereg zjazdów (V—X) między r. 1851 a 1858 odznacza się szczególnie wybitnem uznaniem i poparciem świeżo zawiązanych stowarzyszeń czeladników, jak również bardzo energicznem wystąpieniem przeciw gwałceniu dni świątecznych. Zaznaczyć winniśmy, że żywe zajęcie się Towarzystwem św. Wincentego i związkiem czeladników przeplatało jakby nić czerwona przedmioty wszystkich obrad następnych. Kwestye ubóstwa, więzień i emigracyi przychodzą ponownie pod rozwagę obradujących. Tu dojrzewa myśl fundacyi Towarzystwa św. Rafała. Tu organizuje się czynna opieka nad robotnikami, tu zapada uchwała wystawienia w tym celu odpowiednich domów przytułku.

Trzeci okres socyalnej działalności walnych zjazdów (od XI—XXIV), przypada na czas między r. 1859—1876. Treścią ich są kwestye społeczne i odnośne wnioski, omawiane i zastosowane w praktyce pod wpływem pomysłów i osobistego współudziału biskupa Kettelera. Ustanowiono osobny komitet w celu głębszego zastanowienia się nad kwestyą robotniczą. Ze względu na ważność

przedmiotu, zgromadzenie złożyło członkom hołd najwyższego uznania za usilną a skuteczną pracę, podjętą dla dobra sług pozbawionych opieki i przytułku. W tym też okresie zjazdów, stowarzyszenia katolickich kupców łączą się w jedno związkowe ognisko. Tu rodzi się myśl założenia pism socyalnych w duchu chrześcijańskim redagowanych, tu zapada decyzya o praktyczniejszej organizacyi wojskowego duszpasterstwa, i o utworzeniu towarzystw rolniczych, których bezpośredniej pieczy powierzone być miały kraje nadreńskie. Tu wreszcie założono ponowny protest przeciw omnipotencyi państwowej.

Nakoniec czwarty okres rozpoczynający się od XXV. walnego zebrania, obejmuje sejmy, które na wstępie roztrząsały kwestye pierwszorzędne a niecierpiące zwłoki. Obok tego zastanawiano się też nad rozstrzygnięciem wszystkich spraw bieżących, które już w poprzedzającym okresie były przedłożone.

Na pierwszym walnym zjeździe w grudniu r. 1848 w Moguncyi, poseł Reichensperger podniósł nadzwyczajną doniosłość Towarzystw św. Wincentego, które, w połączeniu z istniejącemi już Towarzystwami wstrzemięźliwości, błogie mogły wydać owoce, podźwignieniem dobrobytu nędzarzy i wiejskiego ludu. W ognistej przemowie zachęcał poseł do rozpowszechnienia tych towarzystw w jak najszerszych kołach samego społeczeństwa.

Już następny zjazd wrocławski, w maju r. 1849 uznaje konieczną potrzebę gruntowniejszego zastanowienia się nad kwestyą socyalną, i zarządza osobną komisyę w celu głębszej dyskusyi i zupełnego porozumienia się na tym punkcie. Po długiem roztrząsaniu sprawy publicznego i prywatnego pielęgnowania chorych, zapadły na wniosek komitetu socyalnego, następujące uchwały:

„Działalność Towarzystwa św. Wincentego okazała się w ostatnich czasach środkiem najskuteczniej popierającym rozwój i wzrost opiekuńczej instytucyi pielęgnowania chorych. Stąd też gorąco się poleca stowarzyszeniom katolickim, by liczbę tych fundacyi starały się ile możności pomnażać. Według zasad i wskazówek statystów wyżej wspomnianego Towarzystwa, przedewszystkiem dążyć potrzeba do złagodzenia materyalnej i duchowej nędzy ubogich. Prócz tego stosownie do potrzeb miejscowych i wielkości funduszów założone być mają: 1) Zakłady wychowawcze dla małych dzieci. 2) Odpo-

wiedne zakłady rzemieślnicze dla uczniów i czeladników. 3) Czytelnie i rozmownice dla uczniów, czeladników i majstrów, jako miejsca rozrywki w godzinach wolnych od pracy oraz w niedziele i święta. 4) Biblioteki ludowe. 5) Postawiono wniosek, aby pielęgnowanie biednych złożonych chorobą, powierzyć odpowiednim stowarzyszeniom żeńskim, które w tym celu mają się połączyć z Towarzystwem św. Wincentego".

Trzeci zjazd walny w Regensburgu w grudniu 1849 r. podjął powtórnie wniosek we Wrocławiu postawiony — o założeniu kas oszczędności św. Wincentego i towarzystw dobroczynności dla robotników. Po naradzie przyjął sejm następującą uchwałę; „Idąc za przykładem towarzystw św. Wincentego we Francyi i w Belgii wskrzesić potrzeba fundacye kas oszczędności i kas pomocniczych św. Wincentego, gdzie tylko to będzie możliwem". Drugi wniosek w sprawie robotników postawił p. Brentano właściciel fabryki z Augsburga. Wniosek ten przyjęty został w formie następującej: „Walne zebranie uważa za rzecz równie dla robotników jak i dla majstrów pożyteczną, aby tymże robotnikom i rzemieślniczej czeladzi, należącej do katolickiego stowarzyszenia, dać pomieszczenie u zacnych, szczerze katolickich pracodawców, lub majstrów a, w razie przenoszenia się, zaopatrzyć ich w listy polecające do zarządów Towarzystw św. Wincentego i Piusa. Do przewodniczącego zaś należało starać się o jednostajność formy takich certyfikatów, wydać odpowiednie rozporządzenia, i zawiadomić o tem zarządy poszczególnych stowarzyszeń, aby zapobiedz fałszerstwu i wszelkim nadużyciom".

We wrześniu r. 1856 odbyło się w Lincu czwarte walne zebranie. Ruch emigracyjny do Ameryki, pojawiający się nadzwyczaj silnie w latach: 1847, 1849 i 1850, wywołał narady, czy nie roztropniej byłoby, ów prąd ludności dążący ku nowemu światu, skierować ku Węgrom, aby tamże wzrost osad rozszerzyć i ułatwić germanizacyę. W późniejszych dopiero latach zaczęto głębiej zastanawiać się nad tym projektem, który wreszcie został bezwarunkowo odrzucony. Na sessyach następnych polecono katolickim stowarzyszeniom baczną zwracać uwagę na robotników fabrycznych i wszelkich dokładać starań o dobre wychowanie ich dzieci.

Dążności katolickich związków w pierwszym pojawiające się okresie, nie mało się przyczyniają do zbadania i wyświecenia ówcze-

snych stosunków i potrzeb społecznych. W drugim okresie widać już w każdym kierunku głębsze wnikanie w sprawy stojące w związku z dobrobytem socyalnym i znać, już nawet w praktyce, troskliwość o dobro klas ręczną trudniących się pracą.

Socyalno-polityczna działalność drugiego okresu świetnie się rozpoczyna w Moguncyi w grudniu 1851 r., przemową Kolpinga, prawdziwego opiekuna i ojca rzemieślniczej czeladzi, który na piątem walnem zebraniu, umiał wszystkich jego członków pozyskać dla swych fundacyi i zapalić chęcią czynnego współudziału. Piąte walne zebranie z tego głównie względu szczególniejszą miało doniosłość, że tu właśnie przysposobiony był cenny materyał, nad którego wyrobieniem trzy następne zebrania (6, 7 i 8) korzystnie pracowały. Tu wszechstronnie roztrząśnięto kwestyę ubóstwa i zarazem obmyślano plan urządzenia zakładów, w którychby biedni odpowiednie zatrudnienie znaleźć mogli. Centralny związek katolicki w Lincu szczególniejszą zwrócił uwagę na konieczność reformy więzień głównie pod względem religijnym; wskutek czego walne zgromadzenie sprawdziwszy rażące w tym kierunku niedostatki, zleciło związkom katolickim opiekę w zakresie religijnym nietylko nad potrzebami więźniów odsiadujących karę, ale i nad przestępcami na wolność już wypuszczonemi. Następnie uchwalono popierać wedle możności wzrost stowarzyszeń czeladników, oraz wszelkiego dokładać starania o umieszczanie uczniów w warstatach majstrów szczerze katolickich. Poseł Fryderyk Bandri zrobił wniosek o wystosowaniu prośby do niemieckiego zarządu związkowego, aby dla całych Niemiec wydane zostało prawo o ścisłem święceniu niedzieli. Jak poprzednie tak też i ten walny zjazd zakończył obrady gorącą zachętą do gorliwego popierania Towarzystwa św. Wincentego. Trzy te walne zebrania (tj. 6-e, 7-e, i 8-e) w Monasterze r. 1853, w Wiedniu 1855 i w Lincu 1856, jęły się z całym zapałem praktycznego rozwiązania poruszonych kwestyi.

Dziewiąte walne zebranie otworzyło swe posiedzenia w Salzburgu we wrześniu r. 1857. Głównym celem jego czynności było rozkrzewianie „Zakładów maryańskich“ i domów przytułku, które garnąc pod swą opiekę sługi i robotnice, szczególnie po większych miastach, przynosiły nieoszacowany pożytek. Omawiano tu ponownie kwestyę urządzenia więzień i poprawy uwolnionych przestępców, domagając

się oddania tego rodzaju zakładów pod zarząd zgromadzeń zakonnych. Stosownie do tych żądań uchwalono zarządzić ankietę o takie zakłady w rozmaitych krajach, gdzie opieka nad więźniami powierzona jest zgromadzeniom zakonnym. Zjazd dziesiąty we wrześniu r. 1859 odbył się w Kolonii. Było to raczej uroczyste a wspaniałe święto związkowej czeladzi i Towarzystwa św. Wincentego. Kolonia bowiem jest dla Niemiec głównem ogniskiem i jakby macierzą obydwóch tych stowarzyszeń.

Z otwarciem 11-go zebrania rozpoczyna się trzeci okres działalności walnych zgromadzeń na polu socyalnem. Odtąd jak to widać z ich obrad i czynności coraz kwestya socyalna z roku na rok coraz bardziej napręża się i zaostrza. Ze wzrostem nędzy, grasującej jak zaraza wśród czwartego stanu, rośnie też i coraz groźniej potrząsa śmiertelną swą płachtą widmo zniszczenia, wzywając do użycia wszelkich środków i całego zasobu moralnej i materyalnej broni, by zażegnać nadchodzącą burzę i powstrzymać bliski upadek społeczeństwa. Pod naciskiem tej konieczności cztery następne zebrania (11, 12, 13 i 14) we Fryburgu, Pradze, Monachium i Akwisgranie, gorąco wzięły się do dzieła. Z niestrudzonym zapałem zajęli się związkowi katolicy losem robotnic pracujących we fabrykach, jako też organizacyą schronisk, w których służba żeńska zawsze znaleźćby mogła bezpieczny przytułek.

Działalność chrześcijańskiego miłosierdzia we fabrykach a bardziej jeszcze w domach przytułku i dobroczynnych gospodach zostających pod kierunkiem sióstr zakonnych, doznała ze strony walnych zgromadzeń nie tylko najżywszych pochwał, ale i czynnego poparcia, przez założenie takichże domów przytułku w bardzo wielu miejscowościach fabrycznych. Że zaś w Szwajcaryi i w południowych Niemczech istniały już od pewnego czasu instytucye opiekujące się robotnicami fabrycznemi tak w moralnym jak i w materyalnym kierunku, te więc zakłady polecono jako wzór do naśladowania. Nadto zjazd praski naradzał się nad urządzeniem domów przytułku, któreby wszystkim ubogim, czy to ulicznym chłopcom, czy starcom bezsilnym, bezpieczny dawały przytułek. Zresztą, jak już wspomnieliśmy wyżej, rozwój towarzystw czeladniczych i św. Wincentego był zawsze na pierwszym planie.

Ogromną doniosłość dla sprawy robotników miało piętnaste walne zebranie odbyte we Frankfurcie n. M. w r. 1863. Obrady trwały od 21 do 24 września; a pierwszorzędne miejsce w programie ich treści zajmowała kwestya socyalna. Samo nawet wezwanie do walnego zjazdu wskazywało ją jako cel główny. Oto ustęp wyjęty z tej odezwy: „Stan majątkowy robotników, w obradach naszych pominiętym być nie może. Właśnie bowiem ta a nie inna kwestya staje dziś z gorączkowym pośpiechem na pierwszem miejscu wśród wszystkich innych kwestyj i zagadnień, dając nieraz pochop do agitacyi, dalekich swym celem od prawdziwego dobra tych biednych współbraci zasługujących na całe nasze współczucie“. Podobnie proboszcz miasta i kanonik katedralny Thissen, jako prezydujący w miejscowym komitecie frankfurckim, podniósł i uwydatnił w mowie powitalnej w dniu 21 września przy otwarciu zgromadzenia wygłoszonej, konieczność rozwiązania kwestyi socyalnej i obowiązek niesienia ulgi robotnikom ciążący na członkach walnego zgromadzenia. Prócz obrad nad stowarzyszeniami uczniów i czeladników, oraz nad Towarzystwem św. Wincentego, które to sprawy na osobnych roztrząsane były zebraniach, poświęcono cały wieczór dnia 23 września czyli całą trzecią sesyę publiczną rozprawom i przemowom na temat kwestyi socyalnej. Żywotną tę kwestyę wymownie i wszechstronnie przedstawili: Dr. Vosen profesor religii z Kolonii, sekretarz Schüren z Akwizgranu i słynny ze swych zasług na polu socyalnem szwajcarski kapucyn O. Teodozy z Chur. Ze strony zaś frankfurckiego komitetu miejscowego przedłożony został walnemu zgromadzeniu wniosek następujący:

„Walne zgromadzenie raczy roztrząsnąć i uchwalić, coby stronnictwo katolickie mogło i powinno uczynić, aby podźwignąć dobro byt klasy rękodzielników, i uchronić tychże od współudziału w dążeniach, które w istocie bynajmniej nie zmierzają do podniesienia ich materyalnego lub moralnego poziomu“.

Wskutek wniosku tego, odpowiedni wydział po trzykroć kilkagodzinne odbywał narady, po których przyjęto wreszcie wniosek Dr. Heinricha, kanonika katedralnego. Wniosek ten gruntownie roztrząśnięty i w końcu na prywatnem posiedzeniu w dniu 24 września, prawomocną uchwałą w tej formie zatwierdzonym został:

„Walne zgromadzenie oznajmia, że obecnie nie jest wcale

jego zamiarem rozstrzygać o najważniejszej kwestyi naszego wieku tj. o kwestyi socyalnej w stosunku do chrześcijaństwa. Jednak usilnie poleca katolikom zająć się zbadaniem tej kwestyi, która niewątpliwie tylko w świetle i duchu chrześcijaństwa znaleźć może rozwiązanie połączone z moralną i materyalną korzyścią tak jednostek jak i całego społeczeństwa". Na tem samem walnem zgromadzeniu związki górników i hutników czyli towarzystwa św. Barbary, niemniej jak i kongregacye kupieckie, znalazły także swoich rzeczników i przedstawicieli.

Dziwnem zdawać się może, że w rezultatach obrad i czynności walnych zgromadzeń, tak często polecane są zakłady i instytucye, które już nieraz wyczerpująco były uwzględnione na wielu zgromadzeniach uprzednich. Przyczyna tego powtarzania jest bardzo prosta. Ponieważ punkt zborny walnych zgromadzeń corocznie z miasta do miasta się przenosił, więc oczywiście przy napływie coraz nowej publiczności, zawsze łatwą była skuteczna propaganda instytucyi, które powstały i wzrosły pracą tychże zgromadzeń.

Ciąg dalszy obrad frankfurckich podjęto na zjazdach w Wirceburgu (1864) i Trewirze (1865); przyczem wznowiono dawniej już poruszaną kwestyę emigracyi i położono węgielny kamień towarzystwa św. Rafała, które troskliwie czuwać miało nad dobrem emigrujących biedaków.

Na ośmnastem walnem zebraniu w r. 1867, Trewir oznajmił o przedwstępnych krokach poczynionych już w ubiegłym roku do rozmaitych rządów, w celu zabezpieczenia emigrantom tymczasowej opieki. Towarzystwu św. Wincentego we Wiedniu i w Kolonii zlecono zająć się zbiorem materyału dla najbliższego zgromadzenia odnośnie do wzniesienia ochron dla robotników w miejscach fabrycznych, oraz przedłożeniem środków, jakiemiby wzniesienia takich zakładów najłatwiej dokonać można. Łatwo pojąć doniosłość tego zlecenia, zważywszy, że jego wykonanie rzuciło fundamenty owych dobroczynnych zakładów, przez żeńskie zakony kierowanych, gdzie zbawczy promień opieki i dobroczynności uszlachetniał dusze i rozjaśniał czoła garnącego się tłumu biednych robotników. Równocześnie postanowiony został komitet do zbadania kwestyi robotników, która głównem miała być zadaniem najbliższych walnych zgromadzeń. Wojskowe też duszpasterstwo i katolickie

związki żołnierzy również były polecone jako przedmiot sumiennego zbadania. Hrabia Fries przedłożył obszerne sprawozdanie o istniejących w Wiedniu związkach katolickich i o ich działaniu w zakresie socyalnym. Towarzystwo czeladników i św. Wincentego odbyły osobno walne zebranie w Insbruku, gdzie też występowali przedstawiciele związków kupieckich.

Kwestya socyalna, przechodząc stopniowo jakby spadek dziedziczny przez ręce wszystkich zgromadzeń, zajmuje nareszcie w programie obrad tak wybitne stanowisko, że niemałe trzeba przełamać trudności, chcąc rozsnuć wątek ich działania i ująć je w szkicu krótkim a przejrzystym. W Bambergu, w miesiącu sierpniu r. 1886, taki był przebieg obrad związkowych. Jak wiadomo, już na 18-tem walnem zebraniu w Insbruku, zapadła uchwała, aby dyrektoryat zebrał materyał potrzebny do roztrząśnięcia kwestyi socyalnej i gruntowną w tym przedmiocie przygotował rozprawę. Odnośnie do rozwiązania trudnej tej kwestyi, dyrektoryat z Insbruku wydał sąd bardzo trafny na zgromadzeniu Bamberskiem. „Żadnej już nie podlega wątpliwości, są to jego słowa, że kwestya socyalna staje się obecnie kwestyą coraz bardziej piekącą. Pojawiają się na tem polu doskonałe dzieła i znakomite broszury, a jednak mimo to zdrowa rada cenną być nie przestaje. Jeden z najcelniejszych polityków socyalnych powiedział: kwestya socyalna jest najprzód religijno-obyczajową, a dopiero potem kwestyą ekonomiczną. O. Kolping i O. Teodozy z swemi zakładami, Towarzystwo św. Wincentego i inne związki katolickie we Francyi, Belgii i w Niemczech wykazują nam to rezultatami praktycznemi. Dyrektoryat insbrucki w Tyrolu, gdzie kwestya socyalna raczej agraryjne tylko i rzemieślnicze, niż ściśle socyalne porusza zagadnienia, — zadaniu temu sprostać nie może. Aby jednak, o ile to być może, gruntowną przygotować rozprawę, zwrócił się on do najbieglejszych w tej kwestyi a doświadczonych mężów w Bawaryi, Prusach i Austryi z prośbą o przesłanie do Bamberga odpowiednich spostrzeżeń i wniosków... Towarzystwa św. Wincentego pełnią gorliwie uczynki miłosierdzia względem duszy i ciała, i właśnie przez to leczą nędzę społeczną i goją rany cierpiącej ludzkości. Że zaś kwestya ta ani dziś, ani jutro rozwiązać się nie da, dyrekcya raczy zwrócić uwagę członków 19-go walnego zebrania,

na tę myśl praktyczną, że Towarzystwa św. Wincentego bacznie się przypatrują pojawom miejscowej kwestyi socyalnej i odpowiednią do tych pojawów rozwijają działalność. Ze sprawozdań i doświadczenia tych dobroczynnych Towarzystw możnaby może wysnuć ogólne zasady postępowania i praktyczne środki zaradcze przeciw materyalnej i duchowej nędzy".

Obok tej odezwy stanął w Bambergu cały szereg wniosków odnośnie do kwestyi socyalnej. A najprzód wniosek tajnego radcy dworu Volka z Erfurtu, więcej znanego w piśmiennictwie pod pseudonimem Ludwika Clarns'a. Wnioskodawca wzywa walne zebranie, aby, przy roztrząsaniu kwestyi socyalnej, wyraźnie i z przyciskiem zwrócić uwagę na czasopismo, redagowane w Akwizgranie przez kapelana Schings'a, p. n. *Christlich-sociale Blätter* i najusilniej zalecić studyum tego czasopisma. Na drugiem miejscu przedłożył nowy swój wniosek łącznie z dawnemi prof. Benedykt Kluge z Wiener-Neustadt, domagając się, aby nowożytnym postępowym stowarzyszeniom robotników przeciwstawione były towarzystwa katolickie tego samego rodzaju. Podobny wniosek nadesłano z Lincu, podając już szczegółowe wzkazówki według których towarzystwa te spełniać powinny w praktyce swoje posłannictwo, a mianowicie: 1) zaprowadzić wspólne pożywanie pokarmów w czasie zdrowia, z troskliwą opieką w dniach słabości i o ile to być może pomieszkania także wspólne być mają; 2) zakłady takie powierzyć zgromadzeniom zakonnym męskim i żeńskim; 3) udzielać robotnikom wykształcenia fachowego i nauki w duchu chrześcijańskim; 4) zakładać kasy oszczędności i fundusze rezerwowe; 5) pozyskać pomoc rządową i poparcie ze strony naczelników gmin w celu naznaczenia stałej zapłaty, zaspokajającej choćby tylko najskromniejsze potrzeby robotników, tak iżby każdy z nich mógł żyć obyczajem przyjętym w miejscu swego pobytu, a zarazem i na przyszłość grosz jakiś sobie zaoszczędzić. Nadto starać się należy o zaprowadzenie obowiązujących praw związkowych i powinności, według wniosku postawionego na północno-niemieckim zjeździe rękodzielników. Dla uzasadnienia i poparcia swego wniosku dodał wnioskodawca, że zamiarem jego było podać sposób zawiązywania stowarzyszeń robotników i niesienia tymże najskuteczniejszej pomocy pod opieką prawa, naznaczającego stałą dla nich zapłatę. Z tych więc przyczyn

wezwać potrzeba pomocy państwa dla uciśnionej klasy robotników. Ustalenie zapłaty jest konieczne, aby właścicielom fabryk uniemożebnić wyzyskiwanie robotników. W ten sposób zabezpieczyć by im można przyrodzone prawo do życia, i postawić robotnika w rzędzie innych stanów ludzkiego społeczeństwa. Po szczegółowem zbadaniu tych wniosków, stanowczą przewagę uzyskało zdanie, że kwestyę tak ważną rozstrzygnąć potrzeba nie jakąkolwiek uchwałą lub poleceniem, lecz praktycznem a stanowczem działaniem w duchu chrześcijańskiej miłości. Walne zebranie pominąwszy tymczasowo ostatnie wnioski, które w części przekraczały zakres jego kompetencyi, przystąpiło do spraw dziennym porządkiem przepisanych, z tem jednak zastrzeżeniem, że nie spuści z oka wszelkich potrzeb robotników i gorąco zajmie się ich sprawą. Referent zgromadzenia, adwokat dr. Lingens z Akwizgramu, wyraźnie przytem oświadczył, że bynajmniej nie jest to zadaniem walnego zgromadzenia dawać stowarzyszeniom wogóle przepisy postępowania, a tem mniej nakłaniać do szukania pomocy u rządu. Podobnie pominięto też drugi wniosek, domagający się aby w miejscowościach fabrycznych Towarzystwa św. Wincentego przyjęły charakter stowarzyszeń robotników. Wniosek następny wzywał w imię religii i moralności i w sprawie ludzi z pracy rąk żyjących, do zachowania wszelkiemi dozwolonemi środkami nietykalności niedziel i dni świątecznych. Wezwanie to przyjęto jednogłośnie. Przeciwnie inny wniosek o zakładaniu jak najliczniejszych stowarzyszeń, kas pożyczkowych i kas oszczędności, wykluczono zupełnie z programu obrad, z powodu nieobecności wnioskodawcy i braku bliższych wyjaśnień.

Przykre położenie żeńskich służących wogóle, a w szczególności po wielkich miastach krajowych i zagranicznych, uznali wszyscy członkowie i, po wszechstronnem zbadaniu tej sprawy, ponownie polecili stawiać domy przytułku na ten cel przeznaczone. Kwestyę tę poruszył jeszcze mowca na ostatniem publicznem zebraniu, zachęcając przytem do zakładania Gospód Maryańskich. Przedłożony też został wniosek o duszpasterstwie wojskowem i wogóle o kwestyi żołnierskiej. Sprawozdanie o katolickich stowarzyszeniach w Wiedniu i o ich działalności w kierunku socyalnym przedłożył baron v. Stillfried. Rozumie się samo przez się, że nie zapomniano też o Towarzystwach czeladników i św. Wincentego. Za pierwszem

przemawiał następca Kolpinga, naczelny prezes Schäfer z Kolonii. Pilnie też zajęło się walne zebranie losem niemieckich emigrantów, tak iż tu już formalnie położony został węgielny kamień Towarzystwa św. Rafała [1].

Obrady 20-go walnego zebrania w Düsseldorfie (we wrześniu r. 1869), wiążą się ściśle z bezpośrednio poprzedzającemi. Podniesienie dobrobytu klasy rzemieślniczej, zakładanie stowarzyszeń majstrów, czeladników i uczniów, zawiązywanie towarzystw robotniczych dla młodzieńców, mężczyzn i niewiast, nabywanie domów i popieranie budowy zdrowych dla robotników pomieszkań, poparcie pisma *Christlich-Sociale Blätter* i wydawnictwo jakiegoś czasopisma dla rozrywki i nauki robotników, założenie towarzystw dobrowolnego pielęgnowania chorych, kwestya służących płci żeńskiej i fundacya towarzystwa opiekującego się niemi, polecenie duchowieństwu i wykształceńszej klasie ludzi świeckich głębszego studyum kwestyi robotników, rozwój Towarzystwa św. Bonifacego — oto główne przedmioty obrad na 20-tem walnem zebraniu.

Baron von Schorlemer-Alst, referent nowo-zaciężnego komitetu dla zbadania i rozwiązania kwestyi socyalnej, przedstawił wnioski, którym członkowie zgromadzenia, moc prawnych uchwał przyznali:

I. „Walne zgromadzenie katolickich towarzystw niemieckich, wzywa wszystkich chrześcijańskich mężów, aby gorliwie zajęli się klasą robotników, czynnie przykładając ręki dla ich dobra w moralnym i ekonomicznym kierunku".

II. „Walne zgromadzenie, zgodnie z zasadami wypowiedzianemi przez Najprzew. Biskupa mogunckiego w jego mowie o rozruchach robotników, zasady te poleca, jako sformułowane dążności chrześcijańsko-socyalnych towarzystw".

Zasady te brzmią jak następuje:

1) „Nie walka pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, powinna być celem społecznych dążeń, lecz obustronny pokój, na zasadach słuszności oparty.

2) Skrócenie czasu codziennej pracy.

3) Dozwolenie dni wypoczynku.

---

[1] Sprawozdania urzędowe str. 70—72, 78, 81, 126, 128, 216, 228, 231, 235, i nast., 260, 280, 316 i nast. 318, 341.

4) Niedopuszczanie do robót fabrycznych, dzieci przed ukończeniem lat szkolnych prawem przepisanych.

5) Zakaz wzbraniający zamężnym kobietom i matkom zajmowania się pracą fabryczną".

III. „Walne zgromadzenie poczytuje za rzecz najpożądańszą, a niezbędną, idąc za przykładem wielu stowarzyszeń katolickich, zakładać wszędzie — na podstawie prawa wspólnictwa (z d. 4 lipca 1868 r.) — towarzystwa kredytowe w połączeniu z istniejącemi już katolickiemi stowarzyszeniami, w celu polepszenia materyalnego bytu przemysłowców i rzemieślników".

W obradach pięciu dalszych walnych zgromadzeń (21, 22, 23, 24, 25) zwołanych do Moguncyi, Wrocławia, Fryburga, Monachium i Wircburga między r. 1871 a 1877, następujące wnioski i uchwały na szczególniejszą zasługują wzmiankę. Ponieważ samem zawiązywaniem towarzystw i wogóle prywatnemi tylko środkami niepodobna było zapobiedz zdzierstwu, jakiego nad wieśniaczym i robotniczym stanem dopuszczali się chciwi fabrykanci i lichwiarze, walne więc zebrania powtórnie wskazały pomoc rządową, jako jedyny środek zaradczy. Myśl ta przejawia się w kilku wnioskach na zgromadzeniu przyjętych, które tu przytaczamy:

„Walne zgromadzenie uznaje za rzecz konieczną za pośrednictwem publicznej komisyi a z pomocą pewnej liczby pracodawców i robotników zbadać ekonomiczny i socyalny stan tych ostatnich, aby z zebranego materyału utworzyć dla nich zasady i warunki przyszłego prawodawstwa". Co do tego wniosku referent baron Schorlemer-Alst, zrobił uwagę, że lubo trzy są czynniki, które dla dobra klasy robotniczej współdziałać powinny tj. Kościół, państwo i społeczeństwo, jednak rzecz to niezaprzeczona, iż na polu prawodawczem, do państwa należy działać w sprawie robotników. Nie należy też na tem polu ściśle sformułowanych stawiać postulatów, dopóki niema podstawy, która zawsze powinna być normą prawodawstwa. Z tego powodu wydział kwestyi socyalnej ograniczył się na przedłożeniu tego wniosku tylko we formie ogólnej, nie orzekając nawet, ktoby miał spełnić ową misyę. Inny znów wniosek tak opiewa:

„Ponieważ do usunięcia nędzy obecnie panującej, niezbędną jest pomoc rządu i jego prawodawstwa, usilnie zatem poleca walne

zgromadzenie, aby przy wyborach do zgromadzeń prawodawczych baczną zwracać uwagę, żeby tacy tylko mężowie byli wybierani, których szczerze obchodzi dobro klas robotniczych". Że jednak pomoc ze strony państwa nie wystarcza do rozwiązania kwestyi socyalnej, zgromadzenie więc zaleca dalej, rozbudzenie działalności takich zakładów i instytucyi, któreby umiały już to uchronić robotników i ich rodziny od zubożenia, już to w razie nieszczęścia wesprzeć ich i podźwignąć a to według miejscowych potrzeb". Dalej uchwalono „wystosować do sejmu niemieckiego petycyę o surowsze przestrzeganie praw państwowych, wydanych przeciw gwałceniu niedzieli".

Zgromadzenie uznało nadto za rzecz konieczną, „aby państwo silnie popierało dążenia do naprawy stosunków robotniczych, aby zniosło nowe prawa, które na polu socyalnem okazały się zgubnemi, aby chętnie przykładało ręki do wskrzeszenia zdrowej konstytucyi socyalnej a wreszcie aby zapewnieniem obrony prawa, gdzieby tego była potrzeba, i pomocą ze skarbu państwa, przyczyniło się do rozkwitu stosunków, któreby nawet pomimo niezupełnie usuniętej nędzy, słusznie nazwać można moralnie dobrym i szczęśliwym stanem społeczeństwa". „Najpilniejszą i jedną z najważniejszych czynności jest obecnie walka przeciw lichwiarstwu: *a*) przez zakładanie kas oszczędności i towarzystw pożyczkowych, opartych na zasadach religii chrześcijańskiej; *b*) przez jednomyślną dążność wszystkich uczciwych mieszkańców Niemiec, do uzyskania sądowych wyroków i praw, mocą których obronić by można biedny lud przed zdzierstwem wszelkich lichwiarzy mniejszego lub większego zakroju".

Do najchlubniejszych czynności ostatnich zgromadzeń należy założenie towarzystwa św. Rafała dla duchowej i materyalnej opieki emigrantów. O praktycznych owocach zarówno tego jak i wszystkich wyżej wspomnianych towarzystw, pomówimy w następnym dziale. Tu zaznaczamy tylko to jeszcze, że przedmiotem dalszych czynności pięciu ostatnich zgromadzeń, były rozprawy i narady o poprawie istniejących już instytucyi, aby uciśnionym robotnikom tem szybszą i skuteczniejszą nieść pomoc.

W trzecim więc, co dopiero skreślonym okresie widzimy już bardzo rozległą a usilną pracę nad rozwiązaniem problematów i kwestyi socyalnych. Widoczne też fakta dowodzą, że walne zgromadzenia z jednej strony zawsze umiały jasno wyrozumieć potrzeby społe-

czeństwa, z drugiej zaś wytrwale dążyły do ich zaspokojenia, zakładaniem i propagandą odpowiednich towarzystw i związków. Rzeczywiście też prawie cały system korporacyi katolickich zawdzięcza pierwsze swe początki twórczej działalności walnych zgromadzeń.

Nowy okres walnych zgromadzeń rozpoczyna się z r. 1869. Tu już zbytecznemi byłyby sprawozdania tak szczegółowe, jakich trzy poprzednie okresy koniecznie wymagały. Jeśli bowiem walka kulturna zwróciła uwagę akatolików na obóz katolicki w Niemczech i walne jego kongresy, jeśli obrady tychże kongresów nawet u nieprzyjaciół zupełne pozyskały uznanie, toć przynajmniej tego samego spodziewać się można od obcokrajowych współwierców. Jeśliby zaś okazała się potrzeba jakich bliższych co do tego okresu wyjaśnień, to bezwątpienia nie zaniechamy załączyć je w części drugiej na właściwem miejscu.

Sam już historyczny obraz dążności i zapasów katolickich Niemiec, zadziwia swą wspaniałością i ogromem. Lecz o ileż większem będzie zdumienie czytelnika, gdy przed oczyma jego roztoczą się w całej pełni owoce pracy walnych zgromadzeń, gdy wykazy statystyczne udowodnią, że działalność związków katolickich w ekonomicznem życiu Niemiec tak potężnym stała się czynnikiem, jakiego większość społeczeństwa nigdyby przypuszczać nie śmiała. Iście mistrzowski ustrój towarzystw, otaczających swą opieką starców i dzieci, nędzarzy i bogaczów, prostaczków i uczonych słusznie zwać się może zaszczytem i chlubą katolickich Niemiec. Przypatrzmy się temu zbliska a naocznie się o tem przekonamy.

Dr. Baumgarten.

INDYJSKA TEOZOFIA W EUROPIE.

W chwili, — w której dawny świat klasyczny doszedł do najwyższego szczytu kultury, a jego filozofowie wszystkie zjawiska na niebie i na ziemi chcieli swym rozumem pojąć, wyczerpnąć i wytłumaczyć, — rozeszła się ze Wschodu, jakby na ukaranie tej racyonalistycznej pychy, przesądna wiara w jakieś dziwne tajemnice — w czary, misterya, zakryte przed okiem zwykłych śmiertelników, a dostępne tylko szczupłej garstce wybranych. Dziwnym szałem pędzeni śpieszyli uczeni, filozofowie, lud i cesarze do Memfis i Heliopolis, do egipskich i perskich świątyń zaczerpnąć z wrzekomego źródła wszechwiedzy, zapisać się do grona „wtajemniczonych“. Coś podobnego pokazuje historya na wszystkich swych stronicach — za niedowiarstwem krok w krok postępuje: zabobon, waryacki mistycyzm, czary i gusła; obok Voltaire'a i Rousseau'a alchemiści, z którymi wchodzą w stosunki sceptyczni parowie francuscy ubiegłego wieku Mesmer i Cagliostro, Illuminaci i Swedenborgjanie; obok Darwina, Home; obok gęstych zastępów materyalistów, coraz liczniejsze hufce wywoływaczy duchów, ludzi spełniających rzeczy, o których śniło się chyba czarownicom wieków średnich, Faustom i Twardowskim.

Niedawno temu ogłosił pozytywizm, że jest jedynym kluczem do rozwiązania wszystkich zagadek świata, i że do niego przyszłość należy, a otóż niemal równocześnie, w tych samych stolicach, w których najbardziej zakwitnął pozytywizm, pojawili się prorocy nauki przyniesionej z Indyi i Tybetu i głośno bez ogródek, w książkach, pismach i odczytach szerzyć zaczęli „dobrą nowinę“ — Budaizm, jako jedyną „religię przyszłości“, znającą dokładnie wszystkie siły na-

tury i mającą nam kiedyś odsłonić wszystkie jej zagadki. Wygląda to na żarty, na sztuczkę obrachowaną na kieszeń łatwowiernych; ale podobnie wygląda i cześć dla bogini rozumu i spirytystyczne przedstawienia i mistyczne towarzystwa rozsiane po Ameryce, a przecież trudno je nazwać „żartami“, choćby ze względu na niewymownie złe skutki, jakich dotychczas stały się przyczyną. Azyatycki budaizm wkraczający ze wszystkiemi swemi dziwami i czarami do cywilizowanej, oświeconej Europy dziewiętnastego wieku, — to bądź co bądź ciekawy fenomen. Nieraz zdarza się czytać, że ten lub ów filozoficzny systemat wzięty konsekwentnie, zaprowadziłby musiał do uznania „Nirwany“, do pokłonienia się azyatyckim bożyszczom; co dotychczas uchodziło za retoryczną figurę, spełnia się teraz w najściślejszem słowa znaczeniu, odnośnie do nauki bez Boga, która nie mogąc żyć bez jakiegoś wyższego ideału, a niechcąc uznać Chrystusa, rzuca się z rozpaczy w ramiona indyjskiego Budy. „Choćby do Budy, byle nie do Ciebie!“ — jak mówił nieodżałowany Szujski.

Chwalić szczytność nauki budaistycznej, wynosić jej zamierzchłą starożytność, uważać ją nawet za źródło chrześcijanizmu, nie jest wynalazkiem najnowszych niedowiarków. Zawrotnemi temi teoryami karmili się oddawna panteistyczni filozofowie, przerabiając indyjskie wyrażenia na niemieckie łamigłówki, wynosili je pod niebo encyklopedyści, radzi że mogą figielka wypłatać chrześcijanizmowi. Schopenhauer ogłosił całemu światu, ze zwykłą sobie emfazą i pewnością, że, cokolwiek znajduje się wzniosłego i dobrego w religii chrześcijańskiej, to wszystko zawdzięcza budaizmowi [1]. Dla wykazania i spopularyzowania tego twierdzenia należało skrzętnie pozbierać ziarnka prawdy, rozsypane tu i owdzie w budaistycznej nauce a, przemilczawszy starannie o wszystkich jej niedorzecznościach, upiększyć tę drobną cząstkę prawdy i w jak najidealniejszym świetle ją wystawić. Zadania tego bez narażenia się na zarzut prostego kłamstwa podjąć się mógł chyba poeta i istotnie podjął się go poeta, Edwin Arnold, w ogłoszonym r. 1879 angielskim eposie: *Światło Azyi, czyli wielka asceza. Życie i nauka Gautamy, księcia indyjskiego i założyciela Budaizmu.* Poemat, napisany wierszem pięknym i harmonijnym, miał nadzwyczajne powodzenie: w prze-

[1] *Parerga* 3 Aufl. II. Band S. 407.

ciągu lat sześciu doczekał się 31 wydań, a jeśli wierzyć dziennikom wywołał w Anglii i jej posiadłościach bardzo znaczny ruch na korzyść budaizmu, — mającego wedle Arnolda odrodzić ludzkość. Liberalna *Révue des Deux Mondes*[1] nie znalazła dość słów na pochwałę nowego poematu, malującego wreszcie Budaizm w prawdziwych kolorach i wystawiającego Budę, jako godnego brata Chrystusa. Sprawozdawca nie domyślał się może nawet, ile fałszu w tych jego twierdzeniach się mieściło.

Istotnie bohater Arnolda nie jest azyatyckim Budą, ale jakimś zupełnie innym mędrcem, przybranym w chrześcijańską szatę, z chrześcijańskiemi słowami na ustach; Budaizm Arnolda jest nieraz poprostu na indyjską normę przerobionym chrześcijanizmem. Ktoby o budaizmie z tego eposu chciał powziąść wyobrażenie, musiałby przyjść do przekonania, że chrześcijanizm w głównych zasadach moralności i wiary jest tylko w nieco innych warunkach odrysowaną kopią budaizmu, a kto wie, czy kopia dorównała oryginałowi? Taką jest wyraźnie przewodnia myśl Arnolda, a myśl ta ujęta w błyszczące strofki, dość złego musiała zrobić, kiedy skłoniła wierzącego protestanta, a znakomitego oryentalistę Dr. *Kellogga*, do ogłoszenia w imię nauki i wiary energicznego protestu p. t. *Światło Azyi i światło świata*[2], w którym, powołując się na wszystkich badaczy Wschodu od Burnoufa do M. Müllera i Oldenberga, wykazuje niezbicie, że między Chrystusem a Budą leży przepaść, jak między światłem a ciemnością, prawdą a fałszem.

Gdyby poemat Arnolda był faktem odosobnionym, to nawet mimo znacznego rozgłosu, jakiego nabrał, nie wartoby było zwracać nań uwagi, jak się nie zwraca uwagi na pisma szaleńca; ale poemat ten to tylko przegrywka do rozwiniętej akcyi wojennej za indyjskim panteizmem, nie osłoniętym już tą razą zawrotną frazeologią niemieckich filozofów, lecz natomiast ustrojonym w działające na wyobraźnię czary i dziwa. Przed kilku laty powstały w Indyach, w Ameryce północnej, a następnie w Londynie i Paryżu *Towarzystwa teozoficzne*, złożone z Europejczyków, mężczyzn i kobiet, a których jawnym celem był prozelityzm budaistyczny, czyli jak wyraził

[1] W sprawozdaniu umieszczonem w zeszycie z 1 sierpnia 1885.

[2] The Light of Asia and the Light of the World. By S. H. Kellog. London 1885.

się jeden z głównych przewódców tego ruchu „podkopanie dogmatyzmu i głupstwa ludzkiego“. Główną siedzibą *Towarzystwa* był i jest dotychczas Adyar w Madras, w Indyach angielskich, gdzie też wychodzi miesięcznik: *The Theosophist*, zajmujący się, jak czytamy na tytule „filozofią, sztuką, literaturą i wiedzą tajną“. Jeden z adeptów tej nauki, Dr. Hübbe Schleiden, wydaje w Berlinie również oddany w służbę „Towarzystwa teozoficznego“ miesięcznik *Sfinks*, a nadto istnieje już dziś osobna *Biblioteka filozoficznych umiejętności tajnych*[1]. Nie brakuje więc materyału do zbadania, skąd powstały, czem są i do czego dążą *Towarzystwa teozoficzne;* naturalnie, nie podobna nam kontrolować prawdziwości tych opowiadań; nie podobna ściśle rozróżnić, co jest jeszcze prawdą, co złudzeniem, a co może dobrowolnem kłamstwem; bądź co bądź, samo zawiązanie się tego rodzaju Towarzystw, rzucenie się na oślep, już nie dwóch lub trzech, lecz znacznej liczby ludzi wykształconych, w przepaść wschodniego mistycyzmu, jest symptomatem znaczącym. Łatwo można przypuścić, że kilku teozofistów jest prostymi kuglarzami; ale trudno pojąć i istotnie nie można zrozumieć przyczyny, dla której niektórzy z nich mieliby poświęcać cały swój majątek i wystawiać się na głośne szyderstwa, gdyby chcieli tylko mistyfikować współczesnych. Jak kiedyś w czarach dokonywanych przez wieszczków egipskich, jak w dawnych wyroczniach, jak dziś w spirytystycznych zjawiskach, tak i tutaj obok ludzkiego kuglarstwa, gra podobną

---

[1] Wszystkie niemal książki, wchodzące w skład tej biblioteki, pisane są po angielsku, a następnie skwapliwie tłumaczone na język francuski. Do połowy 1886 r. biblioteka składała się z dzieł następujących: *La science occulte,* étude sur la doctrine par Louis Dramard; *Essais de sciences maudites* par Stanislas de Quaita; *Man:* some fragments of forgotten history, by *two Chelas* in the T. S. *Five years of Theosophy; Esoteric Buddhisme* by A. P. Sinnet; *Light on the Path* by M. C.; *Magie* or practical instructions for students of occultism; *Le Bouddhisme* selon la canon de l'église de Sud sous la forme de catéchisme par Henry S. Olcott; *Isis Unveiled* by H. P. Blavatsky (kosztuje 52 fr.); *Theosophy Religion and occult science* by S. Olcott; *The Yoga Philosophy*; *Paradoxes of the Highest science.* W przedstawieniu początków, dziejów i celów Towarzystw teozoficznych opieramy się na wymienionej książce *Dramarda* i *Sinneta:* Le Monde occulte hypnotisme transcendant en Orient, traduit de l'anglais. Paris 1887. — *Sinnet* zapewnia, że wszystkie te książki są dopiero pierwszemi tomami dzieł, mających się niebawem ukazać.

rolę inna wroga ludziom, demoniczna siła, której na tem zależy, aby mnożąc pozorne cudy, a potem tłumacząc, że one właściwie nie są cudami, osłabić wiarę w cuda prawdziwe i w naukę temi cudami stwierdzoną.

Z pokolenia do pokolenia opowiadano sobie i silnie wierzono w Indyach, że w dalekim, tajemniczym Tybecie, mieszkają wśród gór, zdala od ludzi, tajemniczy „bracia“, jedynie nauce oddani, a posiadający w ręku dziwną siłę, dzięki nadzwyczajnej, tysiącletnią tradycyą przekazanej im znajomości natury. Aż do lat ostatnich „bracia“ ukrywali się ze swą wiedzą; niedawno dopiero, jak zaręcza prezydent teozoficznego towarzystwa eklektycznego w Simli, A. P. Sinnett, niektórzy z nich przyszli do przekonania, iż dzięki wolności słowa i myśli, jaka panuje na obu półkulach, można bez niebezpieczeństwa odsłonić przed szerszemi kołami teoretyczną część swej nauki. Ale sami „bracia“ zbyt zajęci są badaniami tajemnic natury i zbyt sobie lekceważą resztę świata, aby zdecydowali się z nim wejść w bezpośredni stosunek. Długie może jeszcze lata upłynęłyby, a nie wiedzielibyśmy nic o „himalajskich braciach“, gdyby nie dostała się w tamte strony zapalona mistyczka, Rosyanka rodem, pani Bławacka i nie podjęła się misyi pośredniczenia między wschodnią wiedzą a zachodnią cywilizacyą. Pani Bławacka, pochodząca z znanej i bogatej rodziny rosyjskiej, oddawała się przez przeciąg około trzydziestu lat mistycznym naukom, poczem udała się na wykończenie swego wykształcenia w góry himalajskie, gdzie „bracia“ wtajemniczali ją przez lat siedm w niektóre tajniki swej wiedzy. W tym czasie wyuczyła się dziwnej sztuki, która brzmi jak bajeczka z tysiąca i jednej nocy: gdziekolwiek się znajduje, może „psychologicznym telegrafem“, znosić się ze swymi tybetańskimi mistrzami, pytać o wskazówki, otrzymywać rozkazy i używać ich pomocy do spełniania przeróżnych czarodziejstw. Na czem polega „psychologiczny telegraf“? Sinett zaręcza, że choć żadne fizyczne narzędzie w skład tego „telegrafu“ nie wchodzi, to przecież polega on poprostu na umiejętnem wyzyskaniu nieznanych zwykłym śmiertelnikom sił natury.

Rzecz prosta, że p. Bławacka wróciwszy do tak zwanego cywilizowanego społeczeństwa, zdumiała się i zabolała nad głębokim stopniem nieświadomości, w jakiej jęczy tak wiele o sobie

trzymająca Europa i Ameryka i że postanowiła na prędce udzielić i innym z owocu tybetańskiej mądrości. Niewidzialni himalajscy przyjaciele, zwłaszcza jeden z nich: Kout-Houmi, wspierali ją w tem przedsięwzięciu, poświęcając dla dobra ludzkości głębokie zamiłowanie w spokoju, z jakim dotąd bez żadnej przeszkody jedynie wiedzy się oddawali. Z ich pomocą, dziwiąc Amerykanów spełnianemi sztukami, skupiła Bławacka około siebie pewną liczbę adeptów i założyła w Ameryce pierwsze „Towarzystwo teozoficzne“, mające na celu, posiłkując się w tem wiadomościami przechowanemi w dawnych księgach Wschodu, zbadać ukryte w człowieku psychologiczne władze. Prezesem pierwszego tego „Towarzystwa“ wybranym został pułkownik Olcott, który odtąd stał się wespół z Bławacką głównym filarem nowo budującego się gmachu. Fundatorka Towarzystw, widząc, jak szybko idee jej się szerzą w Ameryce i Anglii, zapragnęła oświecić tych, którzy pierwsi korzystaćby powinni z źródła wytryskującego w własnym ich kraju i dlatego wyjechała do Indyi, mniemając, że najłatwiej będzie jeszcze n a w r ó c i ć rodowitych Indyan, już z samej natury i odwiecznych tradycyj do mistycyzmu skłonnych. Tymczasem Anglicy spoglądali niespokojnem okiem na zbyt częste stosunki oryginalnej Rosyanki z krajowcami i wnet gruchnęła pogłoska, że tybetańska uczennica jest najprawdopodobniej poprostu rosyjskim szpiegiem. Bławacka ogłosiła bardzo energiczne protestacye, ale zbytnim gniewem bardziej jeszcze popsuła sprawę. Indyanie nie brali Towarzystwa na seryo, zapisywali się dość licznie, ale w czynnościach jego nie myśleli brać udziału; Europejczycy schodzili się tłumnie na posiedzenia, aby się z nich później do woli w gazetach naśmiać. Pomimo tego Towarzystwo teozoficzne nie przestało pracować z wytrwałością godną lepszej sprawy. W Ceylonie utworzyło rodzaj filozoficznych kursów dla budystycznych kapłanów i założyło szkołę dla trzystu uczniów, a w tej chwili stanęły już pewnie trzy nowe szkoły budystyczne, również z jego inicyatywy powstałe. Olcott wygłosił w Ceylonie szereg konferencyj wykazujących ważność i użyteczność „Towarzystw teozoficznych“, a r. 1884 wybrał się do Europy wespół z dwoma młodymi Indyanami dla zbierania nowych adeptów. Ciekawość pchała licznych widzów na nieznane dotąd przedstawienia; niektórzy zaklinali się i głosili w pismach publicznych, że widzieli tutaj tybe-

tańskich mędrców, przybyłych umyślnie cudownym sposobem na te uroczystości. Bądź co bądź Olcott założył w swej wycieczce kilka klubów teozoficznych w Szkocyi, a zachęcony tem powodzeniem teozof Mohini, postanowił odbyć apostolską pielgrzymkę do Irlandyi, „aby w biednym tym kraju, ogłupionym przez podły katolicyzm i tyrańską protestancką arystokracyę, założyć teozoficzną oazę“ [1].

Bławacka, Mohini, Olcott i podróżujący z nim Indyanie, są bezwątpienia ludźmi z krwi i kości; „Towarzystwa teozoficzne“, przeglądy ich i książki należą do dziedziny faktów konkretnych, dotykalnych. Ale co sądzić o „Himalajskich Braciach“, czyli *Mahatmach* jak ich nazywa literatura indyjska, co sądzić o ich nauce i wpływie, jaki mają wywierać? Przewódcy teozofów głośno twierdzą, iż sami są właściwie tylko narzędziem w ręku Mahatmów, a przedewszystkiem Kout-Houmi Lal Singa, który łaskawie objąć raczył z swej himalajskiej kryjówki główny ster i kierunek ruchu sięgającego do Paryża, Londynu i Berlina. Tybetański filozof, ukrywający się pod przybranem nazwiskiem Kout-Houmi Lal Sing, czyli krócej Kout-Houmi, studyował zachodnią wiedzę w Europie i przyszedł do przekonania, że w porównaniu do tajnej wiedzy Wschodu, jest ona w stanie zupełnego niemowlęctwa; dopiero gdyby zachodnia umiejętność zakosztowała z puharu pierwotnej filozofii aryjskiej, przechowanej w Tybecie, uniknęłaby raz na zawsze Scylli ateizmu i Charybdy bałwochwalstwa. Chcąc przyczynić się do tego wzniosłego celu, bierze Kout-Houmi, mimo wyraźnej niechęci wielu innych „braci“, „Towarzystwo teozoficzne“ pod wysoką swą protekcyę; wyjaśnia jego członkom prawdziwą naukę Budy, a dla stwierdzenia swych słów, urządza wespół z Olcottem i Bławacką magiczno-czarodziejskie przedstawienia.

Niektórzy niedowiarkowie postawili pytanie, czy Kout-Houmi jest postacią rzeczywistą, czy też utworem bujnej imaginacyi Bławackiej, Olcotta i całej teozoficznej spółki? Pytanie to tem naturalniej się nasuwa, że tak ten, jak inni łaskawi na Europejczyków „Mahatmowie“, nie mają się im ukazywać, pouczać ich i rozmawiać w naturalnem swem ciele, ale w tak zwanej „formie gwiaździstej“. Dusza wtajemniczonego tj. właściwy niejako, niezmiernie sub-

[1] *Le monde occulte.* Postface du traducteur p. 328.

telny, choć materyalny człowiek odrzucić może ciało, jak suknię, i przenieść się tam, gdzie mu się podoba, stając np. przed londyńskimi lub paryskimi przyjaciółmi w owej „postaci gwiaździstej“, ale której od rzeczywistego ciała zostawionego w Tybecie, oko zwykłego śmiertelnika nie potrafi rozróżnić. Rzecz prosta, że nie każdemu wierzyć się chciało w istnienie „gwiaździstej“ a tem samem i niegwiaździstej postaci Kout-Houmiego; spirytyści znów zatarli ręce z radością, oświadczając, że „gwiaździsta postać“ jest tylko zmienionem nazwiskiem oddawna przez nich wywoływanych duchów, i że ostatecznie teozofia indyjska, wrzekoma religia przyszłości, jest tylko nową gałęzią, tłumaczącego wszystkie zagadki teraźniejszego i przyszłego życia, spirytyzmu. Teozofowie zaprotestowali energicznie tak przeciw sceptykom, jak i przeciw spirytystom. Jakże przypuścić że Mahatma Kout-Houmi nie istniał i nie istnieje, kiedy Bławacka, która widuje go obecnie raz po raz w postaci gwiaździstej, obcowała z nim przez lat siedem w Tybecie; kiedy sam Kout-Houmi przybył do Bombaju w naturalnem swem ciele odwiedzić Olcotta, który przedtem oglądał go nieraz w Ameryce, rozumie się w postaci gwiaździstej; i kiedy do świadectw tych dwóch mistrzów teozofii, łączą się świadectwa innych Europejczyków, a zwłaszcza Indyan, wybornie znających niejednego Mahatmę i w naturalnem i w gwiaździstem ciele. Ale i spirytyzm, zastrzegają się teozofowie, w grę tu nie wchodzi, dla prostej przyczyny, że spirytyści, zwłaszcza ci, co uznają istnienie niemateryalnych duchów, zaledwie odbili od brzegu, gdy teozofowie płyną oddawna na pełnem morzu mądrości. Jak ziarnko złożone na złym gruncie do bujnie rozrosłego drzewa, tak się ma spirytyzm do ginącej w zamierzchłej starożytności, wielkiej religii wieków przyszłych, do teozofii indyjskiej.

Na poparcie dziwnych swych mrzonek odbudowują teozofiści z fantazyą, jakiej niejeden uczony europejski mógłby im pozazdrościć, historyę świata i nieznane dotąd, a im chyba z indyjskich bajeczek znajome, przedhistoryczne dzieje[1]. Wszystkie wielkie wynalazki wyszły ze Wschodu; wszystkie dążą do Wschodu, jako do naturalnego swego centrum. Starożytne ludy wschodnie znały wy-

[1] Por. *La science Occulte* étude sur la doctrine ésoterique par Louis Dramard. Paris 1886. p. 7. up.

bornie proch i druk, fotografię i bussolę, telegrafy i koleje; posiadały ogólną wiedzę, której tylko drobnemi odłamami są wszystkie późniejsze umiejętności, wynalazki i wszystkie religie. Mniej więcej przed 10.000 laty zatonęła Posseidonis, ostatni przytułek genialnego rodu Atlantydów, a z tą katastrofą zakończyła się owa złota epoka świata. Z rąk rasy żółto-czerwonej panowanie przeszło do biało-brunatnej rasy aryjskiej. Dawniej wszyscy ludzie byli w posiadaniu wiedzy; później starano się ją ograniczyć do szczupłej garstki wtajemniczonych — nieszczęsny pomysł, który sprowadził upadek społeczeństwa. Po niewczasie otwarły się oczy wtajemniczonym ale, gdy ujrzeli swój błąd, postanowili go naprawić. Odtąd walczą bez przerwy przeciw głupstwu i despotyzmowi; a ponieważ jawnie walczyć nie mogli, zawiązali się w tajemne stowarzyszenia, które pod różnemi nazwami, służyły wytrwale wiedzy i wolności. Ojcowie zachodniej filozofii: Orfeusz, Solon, Demokryt i Pitagoras w egipskich pieczarach czerpali swą naukę. Żydowscy prorocy, później kabaliści i filozofowie aleksandryjscy, byli również uczniami wielkiej tej tajemnej szkoły, znienawidzonej i prześladowanej przez wszystkich despotów począwszy od Ninusa, chińskiego cesarza Tsin-Che-Hoanga i rzymskiego Cezara, który spalił bibliotekę Ptolemajską, a skończywszy na Teofilu, podpalaczu Aleksandryjskiej biblioteki. W wiekach średnich przechowywały szczątki ukrytej wiedzy tajne towarzystwa, które starały się utrzymać łączność między barbarzyńską Europą a szczęśliwszymi mędrcami Azyi. Dziś wreszcie, dzięki energicznemu, rewolucyjnemu działaniu wolnomularzy, zbliża się stanowcza chwila, w której i dla Europy spaść powinny zasłony, okrywające przed nią światło, które kiedyś oświecało rozumy Atlantydów.

Otóż historya świata, nie znana na uniwersytetach, jak z wzgardliwem ubolewaniem wyraża się Dramard, ale którą pomimo tego na jego słowo uznać należy za jedynie i wyłącznie prawdziwą i rozumną, filozoficzną historyę rodu ludzkiego. Dziś, zaręcza on, mając już przygotowane drogi przez odrodzenie i rewolucyę, dążymy do cywilizacyi jeszcze wyższej, niż była cywilizacya Atlantydów; ale dopóki chrześcijaństwo zupełnie nie zostanie zgniecione, dopóty nie nastąpi owa złota era, która wszystkie rasy połączy i wszystkie rozumy mądrością napełni. Towarzystwa teozoficzne przygotowują ową

złotą erę, rozszerzając zasady i naukę przekazaną nam przez dawnych Aryów — naukę budystyczną.

Jakaż to nauka, co nieszczęśliwi ci ludzie, widocznie za straszną karę szaleństwu swemu w niewolę oddani, przedstawiają jako ideał, mający zadowolnić i rozum i serce? Dość zwrócić uwagę na to, jak sami teozofowie przedstawiają nam Budę i jego naukę, aby zadziwić się, jak człowiek rozumny, mógł te oryentalne baśnie postawić obok Chrystusa i wiary przezeń nam przekazanej tak prostej a tak wzniosłej i rozumnej zarazem. Postać, historyę i naukę Budy przedstawia nam niepodejrzana pewnie książka, bo urzędowy katechizm południowych budaistów [1], potwierdzony i zalecony w gorących słowach dla szkół budaistycznych przez wielkiego kapłana kościoła południowego H. T. Sumangala, a ułożony, jak zapewnia autor, pod kierunkiem „wielkiego kapłana, dyrektora teologii budystycznej i jednego z profesorów tejże szkoły“ [2]. Rzecz prosta, że Europejczyk budaista starał się o ile mógł złagodzić niektóre zbyt krzyczące niedorzeczności: zidealizować i zastosować przedmiot swej czci do bardziej ucywilizowanej normy; obraz więc Budy i jego nauki przedstawia się tu w zbyt korzystnem a z pewnością nie w ujemnem świetle. Zresztą nie idzie nam tak o samego Budę i jego naukę, jak o to, co „Towarzystwa teozoficzne“ rozumieją pod temi nazwiskami.

[1] Budaizm dzieli się na „kościół północny“, z główną siedzibą w Tybecie, i na „kościół południowy“, z główną siedzibą w Cejlonie. W głównych punktach obie szkoły zgadzają sie z sobą; sprzeczają się przedewszystkiem co do określenia „Nirwany“; nadto szkoła tybetańska ma odcień bardziej spirytualistyczny, szkoła cejlońska bardziej materyalistyczny.

[2] Cały tytuł tego „katechizmu“, w tłumaczeniu francuskiem, które mamy pod ręką, brzmi: Le Bouddhisme, selon le canon de l' église du Sud sous forme de catéchisme par Henry S. Olcot, président de la société theosophique approuvé et recommandé pour l' usage dans les écoles bouddhistes, par H. Sumangala, Grand Prêtre de Sripada (pic d' Adam) et de Galles et Principal de Widyodaya Parivena (École de Théologie bouddhiste). Traduction française sur le texte de la 14-ème édition. par D. A. C. Paris. Librairie des sciences psychologiques 1883. Katechizm ten, ułożony w formie pytań i krótkich odpowiedzi przełożony jest nadto na język: angielski, niemiecki, tamilski, syjamski i japoński. Autor pragnął zamieścić w nim również naukę szkoły tybetańskiej o Nirwanie, ale, jak sam opowiada w przedmowie, Sumangala zagroził mu, iż w takim razie cofnie daną już aprobatę. Olcott cofnął się przed tą groźbą, choć zaręcza, że sami nawet cejlońscy teolodzy bardzo mają różne wyobrażenia o znaczeniu Nirwany.

Buda, uczy katechizm, nie był Bogiem, ale był człowiekiem wyższym i rozumniejszym od wszystkich ludzi dawnych i przyszłych wieków. Buda, czyli „oświecony“, zwał się właściwie Siddartha Gautama; urodził się około 623 roku przed erą chrześcijańską, z książęcej rodziny indyjskiej; w szesnastym roku życia poślubił księżniczkę Yasodhara, a dzieckiem jeszcze posiadł, bez żadnej niemal nauki, wszystkie umiejętności. Młodą parę książęcą otaczał szalony zbytek; ojciec wybudował im trzy wspaniałe pałace, jeden o trzech piętrach, drugi o pięciu, trzeci o dziewięciu, „a roje dziewcząt wyćwiczonych w muzyce i tańcu ustawicznie ich rozweselały“. Ojciec widząc, że ukochany syn ma serce pełne litości i dobroci a bojąc się, aby stosownie do przepowiedni astrologów nie zechciał kiedyś poświęcić się dla świata i zostać „Budą“, oddalał starannie od jego oczu widok wszelkiej nędzy, ale nie mógł przeszkodzić, aby tajemniczy *Dewa* — istota nadziemska — nie ukazał mu się pod czterema różnemi postaciami: zgrzybiałego starca, człowieka chorego, trupa i szanowanego powszechnie pustelnika. Buda, wzruszony tym widokiem, opuścił pałac i z pomocą Dewów dostał się na białym koniu do pustelników, którzy pouczyli go, że człowiek zapomocą surowych pokut i torturowania ciała dojść może do zupełnej mądrości. Lecz Buda napróżno pościł i męczył ciało, napróżno z pięciu towarzyszami „siadał i rozmyślał, zamykając oczy i uszy na wszystko, co mogło zamącić wewnętrzne jego idee“; dopiero gdy raz omdlał z głodu, przejrzał, że samo głodzenie się nie otworzy mu tajników wiedzy, a przeto najadłszy się i wykąpawszy udał się do drzewa zwanego Boddhi, czyli Asvaltha i tam, zwróciwszy twarz ku zachodowi, postanowił czekać póki nie zostanie „oświeconym“, czyli prawdziwym Budą. „O wschodzie słońca rozum „jego otwarł się zupełnie, jako rozkwitający biały kwiat lotusu. „Światło najwyższej wiedzy, czyli cztery prawdy spłynęły nań; stał „się Budą, oświeconym, wszystkowiedzącym“, poznał tajemnicę nędzy ludzkiej, a przesiedziawszy 49 dni koło drzewa Bô, ułożył cały swój system religijny, poczem poszedł pod drzewo Ajapala i tam zdecydował się opowiedzieć poznane prawo całemu światu. W przeciągu pięciu miesięcy zebrał już koło siebie sześćdziesięciu uczniów, których następnie rozesłał na wszystkie strony głosić swą naukę; sam uczył jeszcze przez lat 45, podróżując przez osiem miesięcy,

a w czasie czterech miesięcy deszczu pozostając na jednem miejscu, w czem po dziś dzień naśladuje go wielu budystycznych kapłanów.

Taką ma być historya Budy; jakąż jest jego nauka, czyli raczej, jakąż naukę propagują w jego imieniu dzisiejsi budyści i ich europejscy adepci. Przedewszystkiem niczemu i nikomu nie powinniśmy wierzyć na słowo, nawet samym *Dewom*, ale wtedy możemy im zawierzyć, jeźli własny nasz rozum i zmysł wewnętrzny potwierdza ich świadectwa. Dusza, w znaczeniu zwykłem tego wyrazu nie istnieje, ale istnieje *Tanha*, tj. nigdy nienasycone pragnienie życia, które daje człowiekowi wrażenie, jakoby był wciąż jedną i tą samą osobistością, podczas gdy właściwie życie każdego człowieka jest zbiorem najróżniejszych istot. Wciąż i wciąż człowiek się odradza, dopiero gdy dojdzie do Nirwany, tj. „do stanu, w którym „ustaje wszelka zmiana, gdzie spoczynek jest doskonałym, gdzie „nie ma pragnień, illuzyj i cierpień, ale wszystkie uczynki czło„wieka fizycznego utonęły w zupełnem zapomnieniu", dopiero wtedy człowiek osiąga ostateczny swój kres, swe zbawienie i przestaje się odradzać. Dobre lub złe nasze uczynki wpływają na szczęśliwe lub nieszczęśliwe następne odrodzenie: dobre uczynki przyśpieszają, złe opóźniają dojście do Nirwany. Streszczając krótko słowami wymienionego katechizmu [1] istotę budaizmu, dowiadujemy się, iż poucza on nas „o najwyższej dobroci bez Boga; o ciągłości istnienia bez „tego, co nosi nazwę duszy; o szczęściu bez przedmiotowego nieba; „o dziele zbawienia bez wysłanego w tym celu zbawiciela; o od„kupieniu siebie samego, przez siebie samego, bez obrzędów, mo„dlitw, pokut, kapłanów lub świętych pośredników; jednem słowem „poucza o dostąpieniu najwyższego dobra w tem życiu i w tym „świecie".

Wymienione dogmaty są wspólne esoterycznej i popularnej eksoterycznej nauce, „która, obok nauki prawdziwej, zawiera również wiele fałszu, obok złota wiele nieczystego metalu" [2]. Ale i ponad temi istnieją jeszcze inne dogmaty przystępne dotąd tylko niewielu wtajemniczonym dziś, dzięki publikacyom Towarzystw teozoficznych oddane na publiczny użytek. Cała ta nauka to dziwna synteza

[1] Le Bouddhisme selon le canon de l'église du Sud. p. 56.
[2] Tamże p. 57.

wschodniej metempsychozy z spirytystyczną wędrówką dusz, przesiąknięta skrajnym materyalizmem, włącznie aż do darwinistycznych teoryj, a okraszona zaklętemi formułkami Heglów, Szellingów i Hartmannów[1]. Wszystkie filozoficzne niedorzeczności, będące jeszcze w pączku na Zachodzie, bujnie się tutaj rozrastają. Nie podobna nam przypatrywać się z kolei siedmiu elementom składającym człowieka; siedmiu epokom siedmiu różnych ras składających się na jedną *Mavantarę*, planetarnym duchom i różnym przemianom zwierzęcia, które kiedyś miało zostać jednym z wcielających się od czasu do czasu Budów. Dla dania jakiegokolwiek pojęcia o całej tej tajnej nauce i sposobie jej traktowania, przytoczymy krótki, a stosunkowo zrozumiały ustęp, rodzaj chronologii dziejów całego świata[2].

„Bezwątpienia, nie można dokładnie oznaczyć liczby lat każ„dego peryodu. Nie mamy też danych o czasie istnienia rozmaitych „kół. Czas ten, dla każdego z nich, w nieskończoność się różni. „Pomimo tego, jedna z najwyższych powag tajemnych zakomunikowała nam fakt niezaprzeczony. Obecna rasa ludzkości, piąta rasa „czwartego koła, rozpoczęła swą ewolucyę przed milionem lat. Koło „nie dobiegło jeszcze do kresu, ale przyjąwszy że życie rasy koń„czy się po milionie lat, w jakiż sposób indywidualne monady po„dzielą między siebie te lata? W jednej rasie odbyć się powinno „mniej więcej 100 wcieleń, a w każdym razie żadna indywidualna „monada nie może ich mieć nad 120. Ale przyjmijmy, że w rasie „obecnej odbyło się już 120 wcieleń dla każdej monady, i przyjmijmy, „że średnie życie każdego wcielenia trwało przez wiek. W tej hi„potezie przebyliśmy tylko 12.000 lat z owego miliona, w fizycznem „przedmiotowem życiu, a 988.000 lat w sferach podmiotowych. „Zatem między jednem a drugiem wcieleniem upływałoby mniej „więcej 8.000 lat".

Przyznać trzeba, że owa „wysoka tajemna powaga", szafuje tak dokładnemi datami, jakby była jednym z owych materyalistycznych mędrców, którzy tak wybornie umieją obliczyć, wiele milio-

---

[1] W *Esoteric Buddhism*, *Isis Unveiled*, *Fragments glanés dans la philosophie occulte d'Orient* i t. d.

[2] Lady *Caithness Fragments* etc. p. 51. Ustęp ten, a raczej całe to dziełko, jest wyjątkiem z Sinetta: *Esoteric Buddhism*.

nów lat upłynęło, zanim orangutan został dzikim człowiekiem, a dziki człowiek cywilizowanym filozofem. Lecz czemże posypały się naturalne pytania, stwierdzacie waszą naukę; w jaki sposób dowodzicie że owe „tajemne powagi", jeżeli istnieją, nie są same równymi wam szaleńcami, lub nie naigrawają się z waszej łatwowierności? Odpowiadając na te pytania, wskazują teozofiści na szereg magicznych sztuczek dokonanych z pomocą „himalajskich braci", a które mają być stwierdzeniem podawanej przez nich nauki. Tu, na znak dany przez Bławacką, kilka kwiatów spada z sufitu; tam pod drzewem odkopują zebrani adepci, brakującą właśnie do urządzenia podwieczorku filiżankę i tackę; w salonie i w ogrodzie, wśród gór i lasów odzywa się niespodzianie harmonijny głos dzwonka, wzywający Bławacką do rozmowy „psychologicznym telegrafem" z którym z „Mahatmów" zagłębionych nad badaniem przyrody w himalajskich górach; lub znowu spada nagle z sufitu, czy z obłoków list nakreślony ręką Kut-Humiego, a zawierający odpowiedź na pytania, zadane mu piśmiennie przed paru kwadransami [1]. Rzecz prosta, że dzienniki tak indyjskie, jak i europejskie, a zwłaszcza londyńskie, które najbardziej temi historyjkami się zajmowały, nazwały je, bądź zmyśleniem, bądź kuglarstwem. Teozofiści, broniąc się przeciw zarzutowi oszustwa, wystawili świadectwa stwierdzające prawdziwość opisanych zjawisk, a podpisane przez mnóstwo świadków, tak należących, jak i nie należących do teozoficznych towarzystw. Kłamcami więc, mówią, nie jesteśmy, bo jeśli wszyscy zebrani przez nas świadkowie, kłamią, wtedy zrozpaczyćby trzeba o prawdziwości wszystkich faktów, przekazanych nam przez historyę. A jakiż byśmy mieli cel, wydając nasze pieniądze i imie nasze wystawiając na śmieszność, gdybyśmy tylko mistyfikować chcieli świat kuglarskiemi sztuczkami, któremi zresztą wielu zjawisk wprost wytłumaczyć nie podobna. Zatem, ponieważ ani proste kłamstwo, ani kuglarstwo w grę tu nie wchodzą, przyjąć z nami musicie, że zjawiska te, objawy głębokiej wiedzy „himalajskich braci", dają świadectwo ich istnieniu i nauce przez nich opowiadanej.

Być bardzo może, że fakty opisane przez Sinetta, Bławacką,

[1] Długi aż do znużenia opis wszystkich tych i tym podobnych sztuczek u *Sinett'a: Le monde occulte.*

Olcotta, nie są wytworami wyobraźni, i że ich nawet w pewnej części nie można kuglarstwem wytłumaczyć; spirytyzm przyzwyczaił już nas do mniej jeszcze zrozumiałych zjawisk, a przecież choć wiele z nich może być z niezwykłą zręcznością ułożonem teatralnem przedstawieniem, trudno przecież powiedzieć to o wszystkich. Zrozumieć tylko niepodobna w jaki sposób, wszystkie te prawdziwe czy udane sztuki, służyćby mogły na stwierdzenie jakiegobądź filozoficzno-religijnego systemu, a raczej na stwierdzenie kompletnego ateizmu, okrytego budaistyczną szatą; kiedy teozofiści protestują raz po raz, że sztuki te nie wypływają bynajmniej z jakiejś nadprzyrodzonej władzy, lecz są tylko umiejętnem wyzyskiwaniem sił złożonych w naturze. Pustelnicy wschodni, dzięki tajnej swej wiedzy „znają lepiej elektryczność niż Faraday, więcej wiedzą o fizyce, niż Tyndall"; nie łatwo słowom tym wierzyć, ale choćby były prawdziwe, czyż wynikałoby z tego, że poznali istotę duszy, znają przyszłe jej losy i minione dzieje, zbadali dokładnie Nirwanę i wynaleźli wszystkie ścieżki do niej prowadzące? Dziwne zjawiska wywoływane przez himalajskich braci, mają być świadectwami ich nauki; zmieniwszy tylko wyrazy, mamy tu identycznie tę samą komedyę, którą codzień przedstawiają nam europejscy materyaliści, występując w imię nowych odkryć z dziedziny chemii, lub fizyki do walki przeciw Bogu i objawionej religii, i wołając w niebogłosy, że wszystkie cudy są tylko umiejętnem zużytkowaniem nieznanych pospólstwu sił natury. Ta sama taktyka w Europie, co w Azyi; w ateuszowskich akademiach, co w Towarzystwach teozoficznych, a charakterystyczną cechą tej identyczności zamiarów i środków są znaki wolnomularskie figurujące z pewnemi nieznacznemi odmianami na okładce wszystkich wydawnictw teozoficznych. Kogo napełniają odrazą oderwane suche formułki pozytywistycznych profesorów, temu może uśmiechną się, ubrane wschodnią wyobraźnią definicye himalajskich braci; kto nie może zrozumieć, w jaki sposób europejska wiedza ma się sprzeciwiać objawionej religii chrześcijańskiej, tego oszołomią może azyatyckie czary i baśnie. Na pozór wręcz sobie przeciwne pozytywizm i teozofizm podały sobie ręce w wolnomularskiej loży.

Można rozmaicie zapatrywać się na Towarzystwa teozoficzne i opowiadane przez ich członków historye; można uważać Sinetta,

Olcotta, Bławacką i ich adeptów, za kuglarzy, oszustów lub uwiedzionych, za ludz działających w złej lub dobrej wierze; ale jakkolwiekby się kto na tę całą sprawę zapatrywał, zaprzeczyć niepodobna, że samo powstanie i szerzenie się Towarzystw teozoficznych i ruch, jaki wywołały w pewnych kołach i w pewnej części prasy jest symptomatem znaczącym i smutnym. Zepsuci do szpiku Rzymianie, zamykając oczy przed światłem chrześcijańskiem, a czując konieczną potrzebę sięgnięcia wzrokiem gdzieś wyżej, zwracali się do wschodnich misteryów, gdzie ostatecznie odnajdowali ten sam gruby materyalizm, tylko w czarodziejski strój przybrany; dziś ludzie, którzy się od Chrystusa odwrócili, idą znowu w tym samym celu na Wschód, i znów gusłami usiłują zastąpić religię; a nieopatrznym wmawiają, jak średniowieczni alchemicy, że odkryli w tybetańskich pieczarach eliksyr życia i kamień mądrości. Oto kres, do którego dochodzą rozumy ludzkie, gdy w szalonym buncie przeciw odwiecznemu Stwórcy, powiedzą sobie: „Będziemy jako bogowie".

X. Jan Badeni.

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Oceania.

Mnodzy Australscy znajomi, których sobie baron Hübner uprzejmością charakteru na prawdziwych przyjaciół zamienił, odradzali mu usilnie zwiedzanie wysp australskich, przez najśmielszych nawet żeglarzy starannie najczęściej unikanych. Grozili mu, to rozbiciem statku, to śmiercią głodową, to stokroć gorszym zgonem wśród dzikich wyspiarzy, dla których każdy Europejczyk to pieczyste, zesłane przez samych Bogów, przysmak dla ich ludożerczego podniebienia. Nic wszakże sędziwego podróżnika od raz powziętego zamiaru odwieść nie może: wsiada więc na wojskowy parowiec angielski, będący pod komendą Komandora Bright i puszcza się w sześcio-tygodniową podróż morską, wrzekomo tylu niebezpieczeństwami grożącą. W ciągu tych sześciu tygodni, dnia 28 czerwca, parowiec Komandora Bright ma się spotkać na falach Oceanu z drugim parowcem, należącym do „Pacific-Mail-Steamer Company“; kapitan jego otrzymał od dyrekcyi Kompanii, upoważnienie zabrania po drodze na swój pokład, podróżującego po Oceanii barona Hübnera. Takie złowienie po drodze, czyli przeskakiwanie z jednego statku na drugi, gdy oba bujają po niezmierzonych głębiach, nie każdemu by się uśmiechało, a cóż dopiero starcowi ośmdziesięcioletniemu. Wreszcie nadchodzi chwila ostatecznego pożegnania z licznym orszakiem znajomych i przyjaciół, odprowadzających

podróżnika w Sydney na statek, który go dalej powiezie. Życzliwością ich rozczulony, sędziwy turysta tem serdeczniej, tem swobodniej z niemi się żegna, za ręce ich ściskając; że mu Komandor Bright przed chwilą do ucha szepnął, iż do tych właśnie wysp, gdzie są ludożercy, wstępować tym razem nie będą. Mógł zatem dziękować za okazaną o los jego troskliwość i niepokój, nienaruszając w niczem aureoli bohatera pochlebiającej bądź co bądź jego miłości własnej. Swoją drogą, ciekawemu i wytrwałemu badaczowi tajemnic ras ludzkich żal było trochę wyrzec się sposobności zawinięcia choć raz w życiu na ląd, gdzie nogę na grunt stawiając, przychodzi człowiekowi, nie to co zwykle, zadać sobie pytanie: „Co tu jeść będę?“ ale „kto mnie tu zje?“ Nie miało zatem przyjść do tej dramatycznej ostateczności.

W ciągu wyprawy strefa łagodnieje, po nieznośnych skwarach indyjskich, chłodny, nieraz silny nawet wiatr orzeźwia naszego barona, a towarzystwo bardzo wykształconego Komandora i wyborowa biblioteka, urozmaicają nieco jednostajną podróż. Gdy morze spokojne, schodzi się cała załoga na pomost, by słuchać ciekawych opowiadań słynnego turysty; poczem wdzięczni majtkowie chórem przeróżne śpiewając pieśni, istną sprawiają mu serenadę. Statek tymczasem raczo szybuje na falach, zdążając do wyspy Norfolk; będzie to pierwszy dla wielu zwykle niebezpieczny przystanek. Na siedemiu w tej okolicy podróży dwa razy tylko Komandor Bright, zdołał tutaj zawinąć. Duża czerwona chorągiew wywieszona z portu, uwiadamia żeglarzy, że tego dnia można do lądu przybić; chorągiew niebieska znaczy, że grozi niebezpieczeństwo. Pierwsza karta z historyi wyspy Norfolk przedstawia prawdziwy dramat morski. Wysłany w misyi, krążył po mało znanych wówczas wodach Oceanu Spokojnego (1789 r.) statek wojenny wielkobrytański; wtem niespodziewanie wybucha na nim bunt, podnosi go cała załoga i trzech oficerów. Zdradziecko schwyciwszy kapitana okrętu, Wiliama Bligh i kilku pozostałych wiernych mu oficerów, buntownicy wrzucają ich do przyczepionej u statku łódki, dają im kilka bochenków chleba, oraz beczułkę słodkiej wody i puszczają na wzburzone fale Oceanu. Kapitan, niezwykłej energii człowiek, tak dzielnie komenderuje na tej nędznej łódce, że po jakich dziesięciu dniach, przybija do jednej z Holenderskich kolonij, skąd do-

staje się napowrót do Anglii. Niebywały dotąd, w annalach Wielko-Brytyjskiej marynarki, wypadek takiej niesubordynacyi wywołuje jeden okrzyk oburzenia w całym kraju. Rząd postanawia wszystkich winnych śmiercią ukarać. Lecz łatwiej było dekret podpisać, niż schwytać winowajców. Buntownicy tymczasem, popłynąwszy na wyspę Taïti, zaopatrzyli się tam nietylko w przeróżne zasoby potrzebne do życia, ale i w kontyngens małżonek, porywając gwałtem co się nawinęło kobiet i dziewczyn. Istny plagiat porwania Sabinek. Tak, zapewniwszy sobie przyszłość, przepadli jak w otchłań i nikt już o nich nie słyszał. Minęło lat trzydzieści i sześć, gdy dnia jednego roku 1825, korweta angielska, w poszukiwaniu słodkiej wody ku zaopatrzeniu potrzeb załogi, zawinęła do przystani nieznanej wówczas jeszcze żeglarzom wyspy Pictairn. Wylądowawszy na brzeg, ze zdziwieniem ujrzał kapitan zbliżającego się ku niemu starca z długą siwą brodą; ale o ileż powiększyło się zdziwienie jego, gdy starzec ów odezwał się... po angielsku! Był to ostatni z pozostałych buntowników z roku 1789. Wszyscy towarzysze jego już poginęli, po większej części śmiercią gwałtowną, jak się można było spodziewać po takich przestępcach; każdy z nich pozostawił choć jedną żonę z kilkorgiem jeśli nie kilkunastoma, mniej więcej prawych potomków. Przedzierzgnąwszy się ze zbuntowanego ongi marynarza, na rodzaj sędziwego patryarchy, starzec o siwej brodzie, otoczony tą familijną gromadą, otaczał ją opieką swą i nad losem jej czuwał. Żywot tych biednych ludzi był nędzny — bez jakichbądź narzędzi do uprawy ziemi, bez bydła, bez broni, bez najmniejszej przytem nadziei, aby się kiedykolwiek smutny los ich mógł zmienić, — żywili się lichemi owocami i lichszemi jeszcze korzonkami. Oburzenie, wywołane ongi w Londynie wieścią o buncie na statku Korony angielskiej, po trzydziestu latach zamienia się na żywe współczucie dla nieszczęśliwych potomków dawnych winowajców; nuż na nich zbierać składki, urządzać loterye, koncerty, bale — *tout comme chez nous*. Wkrótce po tem zdarzeniu mała ta kolonia, za rozkazem rządu angielskiego, przewiezioną została na wyspę Norfolk, gdzie przeznaczono jej dość znaczny obszar ziemi, zaopatrzywszy w potrzebne do uprawy narzędzia. Na tym to obszarze, stoi dziś miasto Norfolk, porządnie zabudowane, otoczone folwarkami i pastwiskami, na których roi się bydło. Epi-

zod ten wygląda jakby żywcem wyjęty z romansu Coopera. W obawie wszakże, aby się czasem buntownicza krew protoplastów nie odezwała w młodszem pokoleniu tej kolonii, wyspa Norfolk podległa prawom wyjątkowym, nigdzie w zamorskich posiadłościach Anglii niepraktykowanym: nie wolno obcym kolonistom na wyspie osiadać, krajowcom zaś z Norfolk nie wolno się wydalać. Jedyny wyjątek zrobiono dla biskupa anglikańskiego przybyłego na odludną tę wyspę, by się zająć zbawieniem tak oryginalnego pochodzenia owieczek. Takie zupełne od reszty świata odosobnienie, pociąga naturalnie za sobą zmniejszanie się i degenerowanie ludności, w najbliższem pokrewieństwie związki małżeńskie zawierającej. Sami oni o tem są przekonani, że zubożałą krew kolonistów, inną krwią odświeżyćby należało, ale z drugiej strony niczego się tak nie obawiają, w razie otwarcia granic wyspy, jak napływu najgorszej ludności Australskiej; wolą zatem żyć w odosobnieniu, stosując się do teoryi O'Connella: *What cannot be cured, must be endured*[1].

Ponieważ w tych stronach Ocean, pomimo swej nazwy Spokojnego, najczęściej reputacyi swej kłam zadaje, szalejąc zbyt częstemi burzami, mieszkańcy wyspy pozostają czasem i pół roku bez żadnych o Bożym świecie wiadomości, i co prawdopodobnie nieskończenie więcej im dokucza, bez sposobu zaopatrzenia się w różne zapasy, do których dziś już przywykli; wówczas, żyć im przychodzi chlebem i kartoflami; energii bowiem nie starczy im już do zaprowadzenia innej kultury, pociągającej za sobą więcej pracy.

Zwiastująca się zdaleka burza, zawsze zdaniem Komandora groźniejsza nie daleko brzegów niż na pełnem morzu, zmusza br. Hübnera do udania się czemprędzej, na małej łódce rybackiej, z wyspy ku statkowi. Tu dopiero wielce krytyczna nastąpić miała chwila: trzeba było bowiem, korzystając z chwili, w której bałwan łamiąc się w pędzie, wzbijał łódkę w górę, a statek w otchłań spuszczał, schwyciwszy za powróz, rzucony przez majtków z okrętu ku łódce, wskoczyć na pokład parowca. Na takie łamane sztuki, to sama gimnastyka nie starczy — trzeba być po trochu akrobatą — albo, mieć ogromną wrodzoną odwagę, zimną krew i.... szczęście. Wszystkie te zalety i dary są udziałem barona, i karko-

[1] „Czego zmienić nie można, przecierpieć należy".

łomna przeprawa na Oceanie *Anti*-Spokojnym udaje się wyśmienicie, przy hucznych oklaskach całej okrętowej załogi z uniesieniem podziwiającej zwinność i odwagę ośmdziesięcioletniego starca.

Po kilku dniach mniej więcej burzliwej żeglugi, ukazują się na horyzoncie wyspy Fidżi, najmłodsza ze wszystkich angielskich kolonii, w której zaledwo parę lat temu, tubylcy oddawali się jeszcze ludożerstwu. Anglikańscy misyonarze wykorzenienie dzikiego tego obyczaju przypisują swemu duchownemu wpływowi, inni utrzymują, że jeśli mieszkańcy wysp Fidżi dziś już jeńców nie biorą na rożen, to nie dla braku dobrej woli i apetytu, ale po prostu dlatego, że zabrakło jeńców. Prawda musi być po trochu i po jednej i po drugiej stronie: zajęcie wysp przez rząd angielski, ciągłym wojnom koniec położyło, dość że *pax britannica*, nie jest tam czczym wyrazem. Mały jeszcze przykład podać wszakże wypada na poparcie nie zbyt jeszcze świetnej reputacyi mieszkańców tej Wielko-Brytyjskiej Benjaminki: Takumbau, król wysepki Conga, do Archipelagu Fidżi należącej, jeszcze roku 1852 lubił się chwalić, że w ciągu lat dwudziestu zjadł piętnaście tysięcy ludzkich języków. Wprawdzie już Rzymianie, kwiat cywilizacyi i wszelkiej starożytnej mądrości, kazali sobie przyrządzać paszteciki z języczków słowiczych, co zapewne nie mniej okrutnem było, skoro to biedactwo nie mogło się bronić, ale spożyć piętnaście tysięcy języków bliźniego, na to osłupieć można! Dopiero doszedłszy do sędziwego wieku, zatwardziały ten ludożerca przyjął chrzest św. i odtąd brata w Chrystusie nie śmiał już zjadać, co mu prawdopodobnie za wielką zasługę w godzinę śmierci poczytanem będzie. Pokazuje się wszakże, że dzikie tych wysp plemiona tylko rodzimą srogością w ryzie jako tako utrzymać można; miał się o tem przekonać niebawem Takumbau, gdy bowiem spróbował zastosować do swych poddanych zasady miłosierdzia chrześcijańskiego i ewangelicznej łagodności, tak mu się ostro owi poddani stawili że, chcąc nie chcąc, musiał się udać o pomoc do najmiłościwszej królowej Wiktoryi, która, ze zwykłą wspaniałomyślnością, cały archipelag wysp Fidżi do korony angielskiej łaskawie przyłączyć raczyła.

W ciągu kilku wycieczek przedsięwziętych w głąb kraju, tak dla zaopatrzenia się w żywność, jak i dla nabycia nieco wyobrażenia o sposobie życia tubylców, baron Hübner wraz z Komandorem

Bright przekonują się naocznie, że kraj bardzo jeszcze dziki, przytem ubogi, wszelkiej niemal kultury dotąd pozbawiony. O czarnej, lub ciemno-bronzowej cerze, mężczyzni noszą za całe ubranie bardzo króciutki fartuszek z kory; kobietom misyonarze nałożyli obowiązek noszenia spodnicy i chusteczki; najbardziej uderzająca jest fryzura krajowców, włosy bowiem już z natury niezbyt delikatne, zaprawiają oni jeszcze rodzajem wapna, istne z nich budując na głowie wieżyczki, na wszelkie zmiany temperatury wytrzymałe. Bawiący tam od lat kilku anglikański misyonarz, zapytany o charakter mieszkańców Fidżi, następującą dopiero co zaszłą opowiada baronowi Hübner anegdotę: po długiem tłumaczeniu młodym neofitom, dlaczego nie wolno używać bliźniego za rodzaj zwierzyny na pieczyste, jeden odezwał się ze słuchaczy: „Kiedy człowiek najdoskonalszą jest pod słońcem istotą, toć i mięso z niego doskonałe być musi?“ na co drugi murzynek dodał: „Większe ryby po„żerają mniejsze, owady niszczą się wzajemnie, dlaczegóżby więc „ludziom nie wolno było zjadać się nawzajem?“. Takie to instynkty na logice praw przyrody oparte, w duszach Fidżanów do dziś dnia górują. Mr. Thurston, rezydent angielski tej nawpół jeszcze dzikiej kolonii, zadziwia barona Hübnera nie tyle głęboką znajomością rozmaitych ras ludów Polinezyi, co się kilkoletnim między niemi pobytem da wytłumaczyć, ile dziwnie trafnemi poglądami na polityczne i socyalne stosunki krajów europejskich. Wielkiej zaiste trzeba żywotności umysłowej i niezwykłego hartu duszy, żeby się na tej wysokości intelektualnej utrzymać, będąc pozbawionym wszelkich stosunków z cywilizowanym światem. W towarzystwie interesującego tego reprezentanta królowej Wiktoryi, na maleńkim jego rządowym parowcu, płyną razem na mikroskopiczną wysepkę Mbao, gdzie właśnie dnia tego ludność ma witać młodego swego monarchę, z jakiejś długiej powracającego wycieczki. P a n i e miejscowe, na dowód wielkiej radości poddanych, wyprawiają królikowi balet. Widok niezmiernie ciekawy i oryginalny. Starszyzną otoczony siedzi na murawie młody monarcha; wszyscy uczestnicy uroczystości obwieszeni wieńcami z kwiatów i liści. Mężczyzni co do ubrania, jeśli nie wszystko, to prawie wszystko pozostawiają do życzenia; pogrążeni w milczeniu przypatrują się choregraficznym ewolucyom żon, sióstr, narzeczonych i córek. Od czasu do czasu, idąc za przykładem kró-

lika, grzmiącemi oklaskami okazują zadowolenie. Tancerki, kwiat arystokracyi miejscowej, w lekkich, jaskrawych draperyach, nie tyle tańcem, bo właściwie tańcem tego nazwać nie można, ile pantominą i plastycznemi ruchami ciała, przypominały obecnym Europejczykom, klasyczne wzory starych greckich rzeźb. Po ukończonym balecie, owe wysokiego urodzenia tancerki, niemal wszystkie zdjąwszy z siebie szaty, rzucają je pod stopy monarchy — służy to za dowód poszanowania i wierności dla tronu. Po płci pięknej przychodzi kolej na młodzież męską: kilkudziesięciu młodych tubylców, przez godzinę całą, najkarkołomniejsze wyprawiają harce, godne zazdrości nie jednego clowna z cyrku. Teraz dopiero następuje bankiet, siadają wszyscy niewyjmując dam na murawie; gości europejskich usadowiwszy tuż obok monarchy, każdemu z obecnych, zamiast talerza, dają duży, lśniący liść, wcale apetycznie wyglądający, czego o samych potrawach nie można powiedzieć. Te składają się z ryb smażonych na kokosowym olejku (w Europie olejek ten do włosów używany bywa) i z bardzo słodkich mdłych kartofli.

Na znanych dotąd wyspach tego Archipelagu (wielu z nich podobno nie znamy jeszcze dotąd) te same mniej więcej panują obyczaje. Wspomina już więc tylko p. Hübner o wyspie Lewuko, odznaczającej się ogromnemi rafami koralów i jak stodoła kolosalnym piecem, w którym raz w tydzień pieką chleb na całą ludność wyspy, niezbyt jeszcze dawno temu, zamiast bochenków chleba, wsuwano tam żywych jeńców. Obecnie mieszka w Lewuko rezydent angielski i prefekt apostolski, Monseigneur Bréhiret, Wandejczyk z urodzenia. Świątobliwy ten pasterz, od czterdziestu lat roznosi światło Boże po wyspach Oceanii; z niczem niezrównane ubóstwo jego mieszkania rzewnie odbija od wygodnym obszernym, domu misyonarza anglikańskiego, (zacnego z resztą człowieka), liczną zapełnionym rodziną. „Tu dopiero widzi się, pisze baron Hübner, „odległość ogromną dzielącą misyonarza katolickiego od protestanckiego pastora!“. Dla ludności tej, wszelkich pierwiastków cywilizacyi pozbawionej, musiał rząd angielski jakieś osobne *ad usum Delphini* wynaleść prawo, oparte na podstawie władzy głowy rodziny, jedynej władzy przez mieszkańców wysp Fidżi uznanej i z uwzględnieniem niektórych miejscowych tradycyi. Niepospolitych w tej

mierze zdolności, dał dowód Sir Arthur Gordon, ułożywszy rodzaj konstytucyi dla całego świeżo przez Anglią zajętego Archipelagu, stosując się o ile prawo na to pozwala do obyczajów, zalet i przywar niemal całkiem jeszcze dzikiej ludności. Do jakiego zaś stopnia konstytucya się nadała, najlepiej o tem świadczą fakta: zaledwo czterdzieści lat temu Europejczyk, przybijający do jakiegobądź brzegu którejś z wysp Fidżi, mógł być pewnym, że jeśli go mieszkańcy na rożen nie wsadzą i przy wolnym ogniu nie upieką, to już co najmniej od razu śmierć połknie, dziś rezydent angielski wraz z liczną rodziną, otacza się wyłącznie tubylcami; kilka pułków wojska z samych jest krajowców złożone, pod komendą jedynie angielskiego pułkownika. Zbawczy wpływ misyi chrześcijańskich, oraz powaga i wyrozumiałość urzędników Korony, tem snadniej na wyspach Fidżi cywilizacyą zaprowadzą, że ją mieszkańcom łagodnemi środkami wpajają. Jeśli od czasu do czasu jakie krnąbrniejsze od innych plemię dobrodziejstwa wiary św. i oświaty odrzuca, polega to nie tyle na srogości charakteru mieszkańców, ile na bałwochwalczem, nieco dziecinnnem przywiązaniu do pewnych miejscowych tradycyi.

Nie nowa rzecz wprawdzie, ale słusznie budząca zadumę, fakt smutny zapewne, lecz na statystycznych oparty dowodach, do jakiego stopnia, z postępami cywilizacyi ludność krajowa się umniejsza, a napływowe rodziny kolonistów ciągle zwiększają się. Przypisać to po części należy chorobom, przez obcych emigrantów importowanym, a tym niebezpieczniejszym dla miejscowej ludności, że żaden tubylec, za żadne pieniądze od b i a ł e g o leków nie przyjmie. Najniewinniejsze u nas dziecinne choroby, jak wietrzna ospa, odra, koklusz, tam wśród małych tubylców istne szerzy spustoszenie. Wielu badaczów dalekich tych krajów mniema, że za jakie lat sto, rasa ludów Polinezyi całkiem wyginie, ustępując miejsca bezustannie przybywającym i szybko mnożącym się kolonistom. Dla zapobieżenia emigracyi ludności miejscowej do Australii lub Nowej Zelandyi, zaprowadzono spłacanie podatków robocizną lub w naturze. Tym sposobem rząd przywiązuje ludność do kraju; każda bowiem rodzina będąc obowiązana dostarczać czy rąk do pracy, czy produktów surowych, również rąk tych do uprawy potrzebujących, opuścić kraju samowolnie nie może.

Wyspy Fidżi nie należą do najbogatszych kolonii Anglii: nie przedstawiają one ani tysiącznej części złotodajnych źródeł w Afryce południowej, Australii, Indyj — tak hojnie bogacących rząd angielski. Dziwić się temu nie można: zajęte w r. 1874, są jeszcze młodą kolonią, z liczby 200 ledwie sto jest zamieszkałych, nie podległy jeszcze wpływowi tej kultury, tak biegle umiejącej zdobywać bogactwa gdzie tylko się nastręczają. Z czasem i te wyspy, zbadane należycie, przyniosą z pewnością mistrzyni w gospodarstwie na morzu nie jedną niespodziankę. Już dzisiaj stanowią one walne ułatwienie komunikacyi między Ameryką a Australią. Znawca takich interesów bar. Hübner krótko lecz jędrnie charakteryzuje te nowe zdobycze pani mórz: „Biorąc archipelag ten w posiadanie zrobiła Anglia i dobry uczynek i dobry interes".

Po kilkunastu dniach dość burzliwej żeglugi, utrudnionej ciągłem napotykaniem na koralowe rafy, przybił parowiec do wyspy Samoa, tym razem wszakże nie Wielko-Brytyjskiej posiadłości. Nawpół europejskie, nawpół jeszcze dzikie, miasteczko Appia oryginalnie się przedstawia, zwłaszcza dziwnym stylem odznaczająca się rezydencya Jego Królewskiej Mości Melitoja. W ręku tego monarchy spoczywa władza *de jure*, lecz *de facto* rządzą krajem trzej konsulowie: angielski, amerykański i niemiecki, dość znaczną wypłacający królowi sumę. On im też za to wszelką pozostawia wolność w zajmowaniu się losem ciągle przybywających emigrantów, z czego korzystając, owi triumwirowie na własną korzyść wyspę zwolna cywilizują, wdrażając ludność miejscową do pracy, przemysłu i handlu. Wobecnej chwili, bogactwem i liczbą góruje kolonista Niemiec, pod opieką dwóch domów handlowych z Hamburga, rozporządzających znacznemi kapitałami. Kawa, bawełna i orzech kokosowy stanowią najważniejsze produkta, jakie stąd otrzymuje Europa. Niemcy, Anglia i Ameryka, zajęły się więc troskliwie materyalną stroną mieszkańców wyspy Samoa; Francya, wierna jeszcze dawnej tradycyi monarchów swych (prawdopodobnie nie na długo już, sądząc po obecnem gospodarstwie republikańskiego rządu, czy raczej nie-rządu) wzięła pod opiekę zbawienie dusz ludności. Wikaryusz apostolski, czterech księży, piętnaście Szarytek (z których już kilka miejscowego pochodzenia), wszystko to rodem z tej Francyi, która pomimo wszelkich usiłowań bezbożnych dzi-

siejszych jej władców, nie tak prędko straci święte znamie „najstarszej córy Kościoła“. Zadziwiającemi i wysoce budującemi są widome skutki pracy i wytrwałości tej Bożej gromadki, nie dającej się nigdy, niczem od zamierzonego celu odstraszyć. Klimat w Samoa, jakkolwiek gorący — 27 do 28 stopni wyżej zera — z powodu jednostajności swej, niezdrowy nie jest, nawet dla europejczyków. Nie wszystkie tego archipelagu wyspy do jednego należą monarchy; jest tam mnogo wysepek i małych władców, którzy wiecznie walki między sobą toczą. Nieraz się już w ciągu ostatnich kilku lat zdarzało, że, dla załatwienia krwawego a zbyt długo ciągnącego się sporu, udawały się obie strony wojujące do którego z angielskich rezydentów, by orzekł po której stronie jest słuszność.

Ocean Spokojny, ten z oceanów najmniej dotąd znany, przedstawia jeszcze olbrzymie pole niemal nietknięte, dla ludzkiej pracy i żądzy zbawienia wielu tysiąców dusz; uprawiają go już w duchowym kierunku misyonarze, siejąc bezustannie, gdzie się tylko przyjmie, ziarno ewangieliczne wiekuistej prawdy. Pierwszymi na tem polu byli przeważnie Metodyści, zwani Weslyanami. Sekta ta, mająca główne siedlisko w Australii, pod mianem *Australian Weslyan Methodist Society* ma swój system, którego się wytrwale trzyma. Najprzód zaprowadza zwykle jaką taką cywilizacyę i oświatę między dzikiemi plemionami, do których się udaje, a potem dopiero stara się ich nawrócić na łono chrześcijaństwa. Przeciwnie działają nasi katoliccy misyonarze: ci bowiem, w obawie by cywilizacya, na innej jak na religijnej szczepiona podstawie, nie narażała dzikich ludów na przyswojenie sobie przedewszystkiem stron ujemnych tej cywilizacyi, najprzód duszę ich zwracają ku wiecznemu zbawieniu, materyalne korzyści zostawiając na później, jakby w nagrodę za ich duchową uległość. To jest powód dla którego, we wszystkich katolickich misyach Oceanii, nauczyciele ich starannie odłączają neofitów tak od pogan jak i od europejskich, nieskończenie jeszcze niebezpieczniejszych kolonistów; póki ziarno młode, należy je od kąkolu i zarazy bronić, a wśród dzikich plemion, trzeba nieraz i kilku pokoleń, by ziarno to doszło do rzetelnej dojrzałości.

Opuściwszy Samoa i dążąc szybko ku wyspom Sandwich, w oznaczony dzień, niemal o oznaczonej godzinie, spotkał się pa-

rowiec Komandora Bright, z kolosalnym parowcem *City of Sydney*, który miał zabrać barona Hübnera do Kalifornii. Stokroć gorsza niż wyżej opisana miała być tu translokacya z jednego statku na drugi; lecz mimo burzy na morzu i złych środków przeprawy dostał się dzielny starzec na drugi statek — i tylko z kamerdynerem tchórzliwym Włochem było trochę biedy.

(Dok. nast.)

A. M. L.

W SPRAWIE AUTENTYCZNOŚCI RĘKOPISU KRÓLODWORSKIEGO.

W roku 1817, dnia 16 września, *Wacław Hanka* bawiąc w gościnie u przyjaciela swego z lat młodości, mieszczanina w Królowej dworze *(Aula reginae)*, zapoznał się z tamtejszym księdzem *Pankracym Borczem*, z którym udał się do kościoła celem jego obejrzenia. Gdy już byli w kościele, wchodzą do sklepu wieży, w którym znajdowały się skarbiec i przeróżne przybory kościelne. Hanka uderzony widokiem strzał, leżących w wielkiej ilości w rogu wieży, począł je pilnie oglądać. Tak przerzucając strzały, natrafił w kącie pod skrzynią na jakiś papier, który wydobył, lecz mało na niego zwracał uwagi, ponieważ sądził, że to łacińskie modlitwy, co także i ksiądz utrzymywał. Dopiero kiedy wyszli na schody, przekonał się, że to rękopis pergaminowy a pismo czeskie. Rękopis ten podarował ów ksiądz Hance, a on złożył go później w darze do muzeum czeskiego w Pradze, gdzie dotychczas figuruje pod nazwą rękopisu królodworskiego.

O zdarzeniu tem doniósł nazajutrz Hanka listownie *Józefowi Dobrowskiemu*, który to list z datą Królowejdwór 17. września 1817 wydrukowano w *Časopiśmie Česk. Musea* 1870, str. 220. W liście tym przytacza Hanka okoliczności, w jakich znalazł rękopis, opisuje jego format, pismo, treść, a jako próbę podaje mały ustęp. Rękopis zawierał według tegoż listu 12 całych kart i cztery rozerznięte, reszta daleko większa zaginęła, — prawdopodobnie, przypuszcza nasz znalazca, żołnierze Żiżki porozrzynali go na pióra do strzał, co sam zresztą na strzałach tych widział. Według drugiego źródła, którem jest własnoręczny list Hanki do *Dominika Kin-*

skiego, pisany z Pragi dnia 11 Listopada 1817 r. [1], rękopis zawierał 12 kart całych i dwa wązkie paski; podobnie w przedmowie napisanej dnia 16 września 1818 roku do pierwszego wydania rękopisu królodworskiego, które wyszło r. 1819, mówi Hanka tylko o 12 całych kartach i 2 paskach, co zgadza się z dzisiejszym stanem rękopisu.

Ta niezgodność u samego odkrywcy w podaniu objętości rękopisu, który Hanka w liście do Dobrowskiego uważał za najstarszy zabytek literatury czeskiej, musi każdego uderzyć, kto wie, jakie znaczenie mają najmniejsze pamiątki piśmienne z tak starej doby, zwłaszcza dla narodu, który jak czeski w owym czasie nie mógł się poszczycić wielką liczbą starodawnych zabytków. Ale i sposób, w jaki rękopis znaleziony został, nie jest wolen od zagadkowych momentów, które każdego nieuprzedzonego pobudzają jeżeli już nie do podejrzeń, to w każdym razie nakazują pewną ostrożność w przyjmowaniu podawanych wiadomości. W obydwóch listach nie wspomina Hanka o nikim oprócz księdza, który był obecnym przy znalezieniu rękopisu. Tymczasem, kiedy spór o autentyczność rękopisu oparł się nawet o kratki sądowe i poczęto z całem staraniem gromadzić dowody na okazanie prawdziwości jego, pokazało się, że przy znalezieniu rękopisu oprócz Hanki i ks. Borcza były inne osoby, mianowicie należące do służby kościelnej, których świadectwa pod przysięgą na sądzie złożone inaczej to zdarzenie przedstawiają. Tak według zeznania kościelnego *Šafra* [2], strzały były w skrzyni w osobnej przegrodzie, na skrzyni zaś książki; z nich gdy jednę ks. Borcz wziął do rąk, spadł rękopis na ziemię, który Šafr podniósł i podał Borczowi a tenże Hance. Šafr mógł liczyć wtedy około lat 13—14. Drugi zaś świadek *Franciszek Trnka* nie tylko że podał jako obecnych inne osoby aniżeli Šafr, ale i w samej opowieści sprawy różni się jego zeznanie z Šafrowem. I tak np. Trnka, zeznaje że dziekan *Pusz* miał mieć jeszcze inną część rękopisu, który Borcz dał Hance, za co mu tenże robił wyrzuty. Nie mamy powodu podejrzywać zeznania świadków, ale służy nam prawo a nawet mamy obowiązek, występując poniekąd jako sędziowie

[1] Wydr. w *Časop. Česk. Mus.* 1881, str. 221.
[2] Wydr. w czasopismie *Osvěta* 1886, I., 340.

w tej sprawie, domagać się innych dowodów, tamte stwierdzających lub wyjaśniających. Albowiem dowody, pochodzące od osób, świadczących po kilkudziesięciu latach w sprawie, której znaczenia dostatecznie wyrozumieć nie mogły dla wieku i niedostatecznego wykształcenia, dla nas mogą mieć względne tylko znaczenie, — a to tembardziej, skoro zeznania te nie godzą się ze sobą.

Takie samo, nie inne, możemy przyznać znaczenie wszystkim dowodom, które podano o dawniejszych kolejach rzeczonego rękopisu. Według nich rękopis ten zanim jeszcze dostał się do rąk Hanki, znany był pojedyńczym osobom. Tu przedewszystkiem powstają trudności w zeznaniu tożsamości manuskryptu. Każdy bowiem się zgodzi, że trudno przypuścić, aby czternastoletni chłopiec w osobie archiwarza *Fr. Szt'owiczka* miał posiadać taką znajomość nie tylko zewnętrznej strony a więc pisma i objętości rękopisu, ale także i treści jego, iżby po 55-ciu latach mógł z całą pewnością twierdzić, że ten a nie inny rękopis miał w ręku. Podobnież, jeżeli brat dziekana królodworskiego widział r. 1775 podobną książkę u kościelnego, nie wynika stąd jeszcze, aby książka ta była rzeczywiście rękopisem królodworskim, lub jeżeli tego samego roku chłopczyk ów widząc trzy książki podobne co do formatu do rękopisu królodworskiego, po kilkudziesięciu latach mógł wiedzieć, że to ta sama była książka. Orzeczenia te opierają się niezawodnie na rzeczywistym fakcie: wszystkie osoby, występujące jako świadkowie w tej sprawie, widziały w kościele w Królowejdworze jako dzieci stare książki lub resztki rękopisów starych, co do formatu podobnych do rękopisu królodworskiego, lecz stąd nie wynika jeszcze, aby tu miała zachodzić konieczność tożsamości tych rękopisów z rękopisem królodworskim. Fantazya wiele może, zwłaszcza jeżeli podsyca ją z jednej strony nieznajomość rzeczy, z drugiej patryotyczne uczucie. Dziwić się temu nie można tem mniej, jeżeli zważymy i to, że i Hanka wplątał się w sidła tej samej zwodniczej iluzyi. Znalazłszy rękopis niecały, z pomiętemi dwiema czy czterema kartami pomiędzy strzałami, miał łatwe zadanie, chcąc wytłumaczyć przyczynę zniszczenia rękopisu, w żołnierzach Żyżki widzieć sprawców tegoż. Ta sama asocyacya myśli działała u wszystkich świadków, którzy, w dobrej wierze nie przypuszczając nawet możności fałszerstwa, widzieli w znajdujących się w kościele królodworskim rękopisach

części, należące do rękopisu królodworskiego, a w luźnych kartach pergaminowych, lub strzyżkach do obwijania świec i zalepiania miechów i organów, dopatrywali brakujący zeszyt z tegoż rękopisu. Wszystkie orzeczenia zmierzają do tego przypuszczenia, które Hanka w obu listach wypowiedział a które stało się potem w literaturze czeskiej panującem, że rękopis królodw. w tej postaci, w jakiej przez Hankę znaleziony został, jest tylko małą częścią wielkiego zbioru, zawierającego większe i mniejsze utwory poetyczne z najstarszej doby literatury czeskiej.

Naturalnem więc było przypuszczenie, że znajdujące się tamże rękopisy i pojedyńcze luźne karty, podobne z formatu do rękopisu królodw., stanowiły jego nierozdzielną całość. Innego znaczenia świadectwa te nie mają i przyznać im go nie można, jeżeli się nie chce z pozorów sądzić o istocie rzeczy, lub posądzać świadków o złą intencyę. Czy zaś Hanka również w dobrej wierze pióra u strzał, z pergaminu porznięte, wziął za strzyżki z rękopisu przez siebie znalezionego i na jakiej to podstawie uczynił, sądzić o tem mogą tylko ci, którzy osobiście dobrze znali Hankę. Dziwić tylko każdego musi, dla czego strzyżek tych nie poodlepiał od strzał, które mogłyby posłużyć za dowód, że rękopis obejmował rzeczywiście więcej pieśni, lecz je darował, jak sam powiedział, ks. Rudolfowi Kińskiemu, w którego zbiorach jednakowoż żadnego po nich nie znaleziono śladu. Za tę nieoględność można mieć tylko żal do Hanki, lecz zarzutu czynić mu z tego jeszcze nie można. Ale czy możnaby tak samo sądzić o nim, gdyby to było prawdą, co już poprzednio dowodzono, a w ostatnim jeszcze czasie jako fakt rzeczywisty stara się dowieść, *Dr. Jul. Grégr* w broszurze: *Na obranu rukopisů královédvorského a zelenohorského,* że rękopis ten znajdował się już dawno przed znalezieniem go w wieży w Królowejdworze w posiadaniu Hanki, który go z jakiejś biblioteki zabrał i dla nadania tej sprawie pozoru tajemniczości umyślnie krótko przedtem zaniósł na miejsce, gdzie go jakoby odkrył, czy sam osobiście czy też kto inny? Obrońcy prawdziwości rękopisu królodworskiego takiem dowodzeniem nie przysłużą się sprawie, o której wyjaśnienie każdemu chodzić powinno. Jakiżby powód miał Hanka rękopis, który za najstarszy zabytek czeski uważał, trzymać w ukryciu, podczas gdy inne, mniej ważne i młodsze z taką skwapliwością pu-

blikował? Dla czegóż rozpoczął wydawnictwo staroczeskich zabytków w *Starobylá skládánie*, których pierwszy tom wyszedł r. 1817, od 13 i 14 wieku a nie od rękopisu królodworskiego? Jeżeli zaś posiadał już przedtem rękopis, to dla czego nie doniósł o tem Dobrowskiemu, lecz dopiero po urządzeniu całej mistyfikacyi w Królowejdworze? Gdyby sprawa ta rzeczywiście tak się miała, Hanka grałby tu komedyę, dla wprowadzenia w błąd pewnych osób, na których zdaniu wiele mu zależało. Postępek taki byłby nieuczciwy, a posądzając oń Hankę, śmiało można posądzić go także o to, że zdolnym był czegoś więcej tj. sfałszowania rękopisu.

Od czasu znalezienia rękopisu aż do jego wydania r. 1819, upłynęło blisko dwa lata. Z przedmowy jednakowoż, napisanej d. 16 września 1818 r. tj. w rocznicę znalezienia rękopisu, można przypuszczać, że druk skończony został także r. 1818. Tego samego roku umieścił Hanka w 2-gim tomie Starobylá Skládánie na str. X. n. wyciąg z niego jako próbę ortografii staroczeskiej, a *Dobrowský* [1] podał urywki z niego i wypowiedział zdanie o wielkiej wartości zawartych w nim pieśni. Inne doniesienia w czasopismach odnosiły się tylko do samego faktu znalezienia rękopisu, lub podawały treść jego, tekst zaś znany był tylko z tych dwóch urywków przez Hankę i Dobrowskiego ogłoszonych. Zagadkowem jest dla czego Hanka z wydaniem rękopisu tak długo się ociągał, wydając natomiast inne mniej ważne zabytki, które składają się na tomy 2-gi i 3-ci Starob. Sklád. Okoliczność ta posłużyła tylko na korzyść samemu rękopisowi. Świat naukowy, nie mogąc sam sądzić o wartości pieśni, zawartych w rękopisie, musiał poprzestać na zdaniu, które o nich wypowiedział Dobrowský. Powaga zaś jego i ogromny wpływ, jaki wywierał na cały naukowy świat słowiański i sięgał nawet poza jego granicę, były powodem, że sąd Dobrowskiego o piękności pieśni rękopisu królodw., które nazwał narodowemi pieśniami, stał się powszechnie panującym po ukazaniu się w druku rękopisu. Do podniesienia i ustalenia wartości jego przyczynił się także nie mało *Kopitar* [2], który w nader gorących słowach odzywa

[1] W Geschichte der boehm. Sprache und älteren Literatur, 2 wyd. 1818, na str. 385—390.

[2] W Erneuerte vaterlaendische Blätter für den oesterr. Kaiserstaat, Wien 1819, str. 34.

się o tych poetycznych utworach, które pod względem estetycznym odznaczają się naturalnością, siłą i wielkością charakterów, a obok tego słodyczą i delikatnością uczucia. Oprócz poetycznych zalet przyznaje także Kopitar utworom tym znaczną historyczną i archeologiczną wartość i nazywa je zabytkami narodu, obdarzonego uczuciami silnemi, gorącemi i szlachetnemi.

Nie dziw więc, jeżeli dwaj najznakomitsi wówczas uczeni słowiańscy przypisywali takie znaczenie poezyom rękopisu królodw., że zdanie ich stało się popularnem nie tylko w Czechach ale i w całej Słowiańszczyznie. Wszyscy ówcześni uczeni słowiańscy zajmowali się skwapliwie rozbiorem tego zabytku i starali się przyswoić go dla literatury swego narodu. Nie ma dziś literatury jakiegokolwiek narodu słow., w którejby nie było mowy o utworach tego rękopisu. Płody te poetyczne stały się ogólną własnością słowiańską i każdy naród w braku własnych utworów poetycznych z pierwotnych czasów swego bytu historycznego, tłumaczy na podstawie pieśni rękopisu królodw. stan swój duchowy z owych czasów.

Jednakowoż wszystkie prace, które po ukazaniu się w druku rękopisu królodw. nim się zajmowały, uwzględniały więcej jego treść i podnosiły znaczenie jego pieśni pod względem estetycznym: w ocenę głębszą języka i kompozycyi pieśni nie zapuszczano się jeszcze wówczas. Dopiero *Fr. Palacký* w krytyce drugiego wydania rękopisu królodw. przez Hankę i Swobodę r. 1829 sporządzonego, która wyszła w *Jahrbücher der Literatur Bd.* 48 Wien 1829, str. 138—169, poddał szczegółowemu rozbiorowi pieśni te odnośnie do ich układu i czasu ich powstania; języka zaś ich i on nie dotykał się wcale. Ponieważ w wydaniu tem pokazał się także jako dodatek Sąd Libuszy, zwany obecnie powszechnie rękopisem zielonogórskim, który tego samego roku co rkp. królodw. przez nieznajomego (później znany w osobie *Kowarza*) do czeskiego muzeum przysłany został, dlatego poświęcił i temu zabytkowi Palacký kilka uwag, które szczególnie przeciwko Dobrowskiemu, powstającemu przeciw autentyczności jego, wymierzone zostały. Kopitar, jako redaktor rzeczonego czasopisma, umieścił na str. 116 cierpki dopisek, do krytyki Palackiego, w którym stanął po stronie Dobrowskiego, uważając nietylko Sąd Libuszy ale także i urywek ewangelii św. Jana za sfałszowane. Przeciwko autentyczności rękopisu królodw. nigdzie publicznie podówczas Kopi-

tar głosu nie podniósł. Czy o prawdziwości jego był przekonany? Tak możnaby przypuszczać sądząc z zdania jego, jakie wypowiedział o pieśniach tych w *Erneuerte vaterl. Blätter* 1819. Jednakowoż z korespondencyi pomiędzy Dobrowskym i Kopitarem[1] pokazuje się, że zdanie swoje wkrótce zmienił. W jednym z listów pisanych r. 1824, pyta się Dobrowskiego: *also de codicis Reginohrad. authentia nullum dubium? Quid si suppostor hinc incoepisset? Tu vidisti codicem et nec dubium subortum?* W cztery lata później podejrzenie swoje wypowiada z większą stanowczością w liście z dnia 30 maja 1828: *Fateor me nec kralodworskas nunc credere extra dubium positas.* Publicznie zarzut ten wypowiedział dopiero r. 1837 w Gersdorfa *Repertorium der gesammten deutschen Literatur*[2], który w *Hesychii discipulus,* (Wiedeń 1840, str. 58) powtórzył: *at quid si eadem suspicione laborent minus diligenter examinatae Glossae bohemicae in Salomonis glossario M. S. et ipsae* ***cantilenae*** *Reginohradecenses, simillimae, judice Grimmio, Serborum cantilenis* ***prius*** *editis, quarumque non injuria eas credas recentis Bohemici poetae imitationes.* Zdanie Kopitara o pochodzeniu nowoczesnem rękopisu król. nie poparte żadnemi dowodami, wydawać się musiało tem samem jako podejrzenie; mogło ono być niemiłem Czechom, przecież w obec powszechnie panującego przekonania o jego prawdziwości, uważane było tylko jako *auffallende Anklage* i jako *Ausspruch der Kritik,* albo raczej jako *Machtspruch der Unkritik,* jak się o niem wyraża Šafařik[3]. Zdanie takie nie miało zrazu dobrych skutków.

Podczas gdy starsza rodzona siostra rękopisu król., za jaką uważać można rękopis zielonogórski, przechodziła od samego początku swego pojawienia się przez zacięty bój o autentyczność, losy rękopisu król. zdawały się być pomyślniejsze. Jednakowoż głos Kopitara nie był głosem wołającego na puszczy, owszem pokazało się później, że był on zapowiedzią przyszłej burzy, która też zebrała się nad nim w r. 1857 i zawisła aż do obecnej chwili. Pomiędzy

---

[1] Ogłoszonej przeszłego roku staraniem Akademii Petersburskiej przez Jagića.

[2] Roczn. 1837, tom XIV, str. 183.

[3] W przedmowie do niemieckiego tłumaczenia rękopisu król. przez hr. Thuna, str. 38.

pieśniami bowiem, które się pojawiły w wydaniu rękopisu król. z r. 1829, znajduje się także pieśń miłosna, której autorem miał być król czeski Wacław I.[1]. Otóż r. 1857, przedłożył *Juliusz Feifalik* Akademii nauk w Wiedniu rozprawę[2], w której wykazał, że pieśń owa jest falsyfikatem. Jakby na dane hasło przez Feifalika zerwała się burza pocisków przeciw rękopisowi król., którym początek dał *Anonymus* w gazecie politycznej *Tagesbote* aus Böhmen w Pradze 1858 artykułem: *Handschriftliche Lügen und palaeographische Wahrheiten.* W numerach 276, 285, 289 napadł autor bezimienny tego artykułu w ostry sposób na rękopis zielonogórski, i w nr. 299 na rękopis królodw., dowodząc ich fałszerstwa, przyczem także osoba Hanki w uwłaczający sposób zaczepioną została. Z powodu tej napaści osobistej wytoczył Hanka redaktorowi *Kuhowi* proces sądowy, który zakończył się wprawdzie zasądzeniem redaktora, a uniewinnieniem Hanki od zarzutów „literackiego oszustwa", ale sama sprawa rękopisu na tem się nie skończyła. Na zarzuty, uczynione rękopisowi odpowiedział Palacký w *Bohemia* w nr. 292, a za nim posypały się liczne artykuły pierwszorzędnych powag naukowych czeskich jak *Hattali*[3], *Jireczka*[4], *Erbena* i innych, którzy wchodzili w szczegółowy rozbiór pieśni rękopisu pod względem estetycznym, językowym i historycznym i starali się dowieść prawdziwości jego. Oprócz dowodów, jakie nastręczały się już z samego rękopisu — a więc filologicznych i wypływających z treści — znalazły się także inne, które żyjące podówczas osoby, obznajmione z losami dawniejszemi rękopisu, pod przysięgą składały. Zeznania te ustne lub piśmienne rozmaitych świadków zebrał i wydał *Nebeský* p. t. Nová akta ve při o Rukopis král. *Časop.* č. *M.* 1859, str, 397 n.

Walka ta stała się zaciętszą, gdy po stronie przeciwników stanął *M. Büdinger*, który w rozprawie: *Die Königinhofer Handschrift und ihre Schwester*[5], starał się dowieść, że pieśni rękopisu

---

[1] Wydana po raz pierwszy w Starob. sklád., tom 5, 1823, str. 220 n.

[2] Wydr. w *Sitzungsberichte der kais. Akad. d. Wiss. phil. hist. Cl.* tom 25, str. 326 n.

[3] W *Prager Morgenpost* i potem w *Sitzungsberichte der k. böhm. Gesellsch. d. Wiss.* 1860, str. 14 n, str. 28 n, w *Časopisie česk. Musea*, 1860, str. 313 n.

[4] W *Světozorze* wydawanym w Wiedniu z r. 1858 i 1859, str. 43—357.

[5] Wydruk. w *Sybla* Hist. Zeitsch. 1859, I. str. 127 n.

opierają się na słabej przeróbce *Hajka* i to za pośrednictwem niemieckiego przekładu, z którego powstał tekst czeski. Przeciwko Büdingerowi wystąpił *Palacký* z rozprawą: *die altböhmischen Handschriften und ihre Kritik* [1], a równocześnie *Nebeský* w Časopisie česk. Mus. 1859, str. 198 n. Büdinger odpowiedział Palackiemu w Sybla czasopiśmie, tamże na str. 112—117 a potem w osobnej rozprawie p. t. „Rękopis królodworski i najświeższy jego obrońca“ [2]. W roku następnym tj. 1860 przyłączył się do Büdingera jako przeciwnik autentyczności rękopisu *Schwammel*. W rozprawie p. t. „O mniemanej klęsce Mongołów pod Ołomuńcem w nocy z 24 na 25 lipca 1241 r.“ [3], rozbiera krytycznie opowiadanie o tem zdarzeniu w pieśni p. n. Jaroslav, wchodzącej w skład rękopisu królodw. Spór ten zaognił się jeszcze, gdy *Jul. Feifalik* wystąpił z pracą: „O rękopisie królodworskim“ [4]. Badania jego wzmocniły szyki przeciwników rękopisu a tem samem stały się powodem dalszej walki. Feifalik był gruntownym znawcą nie tylko staroniemieckiej, ale także i staroczeskiej literatury; zatem zarzuty jego przeciw rękopisowi król. noszą na sobie znamię pewnej gruntowności, których nie można było lekceważyć. Dla tego pożądaną była również gruntowna odpowiedź. Temu stało się zadość w pracy braci Józefa i Hermenygilda *Jireczków*, którzy wspólnie cały dotychczasowy spór poddali szczegółowemu rozbiorowi w dziele p. t. „O autentyczności rękopismu królodworskiego“ [5]. Poddali oni wszystkie zarzuty podnoszone przeciw autentyczności rękopismu gruntownej i dokładnej ocenie, biorąc pod rozbiór szczegółowo każdy z nich, rozpatrując się w stronie estetycznej pieśni, rozbierając treść i zawartość ich jako materyału historycznego, archeologicznego i mitologicznego. Dzieło to w całym sporze zajmuje niezaprzeczenie miejsce bardzo wybitne, a wartość jego naukowa odniosła ten skutek, że w r. 1867 mogli Czesi ze spokojem, jaki dawała im wygrana w naukowej walce, obchodzić 50-letnią ro-

---

[1] W *Sybel's* Zeitsch. 1859, III. str. 89—111.

[2] Die Königinhofer Handschrift und ihr neuster Vertheidiger. Wien 1859.

[3] Über die angebliche Mongolen Niederlage bei Olmütz in der Nacht vom 24 auf den 25 Juli 1241 w *Sitzber, der k. Akad. d. Wiss. hist phil. Cl.* tom 33, str. 179 n.

[4] *Ueber die Königinhofer Handschrift* Wien 1860.

[5] *Die Echtheit der Königinhofer Handschrift.* Prag 1862.

cznicę znalezienia rękopisu król. Na uroczystość tę napisał dr. *J. J. Hanuš* dzieło „O sztuce pisania u plemion czesko-słowiańskich w epoce przejścia z pogaństwa do chrystyanizmu“ [1]. Podana w niem jest dokładna literatura, odnosząca się do historyi rękopisu król. od odkrycia, aż do roku 1867. I miasto, w którem rękopis znaleziony i od którego nazwany został, nie zostało w uroczystości pominięte, lecz otrzymało swego historyografa w osobie *Vitáka*, który monografią Królowej dworu spór ten niejako zakończył [2].

Taki był przebieg pierwszego stadyum sporu o autentyczność rękopisu król., w którym z jednej strony jako napastnicy występowali przeważnie cudzoziemcy, z drugiej zaś obronę jego prawdziwości prowadzili sami Czesi. Takie ugrupowanie się obozów przeciwnych miało tę ujemną stronę, że dyskusya naukowa nie zawsze prowadzona była w granicach zimnej refleksyi i ścisłej przedmiotowości, lecz przechodziła zbyt często na pole politycznych uprzedzeń i narodowej nienawiści. Skutek tego był dla samej sprawy niekorzystny, gdyż mniej uważano na argumenty tak oskarżenia jako też i obrony a więcej na względy, jakie patryotyzm i narodowe antypatye wywoływać zwykły. Przytem i to stanowi ujemną charakterystykę tej epoki, że wskutek braku znajomości dokładnej staroczeskiego języka, która po stronie zaczepnej widoczną była, cały spór schodził często na niewłaściwe tory i posługiwał się środkami, które nie wystarczały do rozstrzygnięcia kwestyi. Wobec tego łatwo zrozumiemy, że chociaż nastąpił na polu naukowej walki spokój, przecież nie mógł być on długotrwałym.

Roku 1879 wystąpił *Wojciech Šembera* z rozprawą przeciw prawdziwości zielono-górskiego rękopisu, a równocześnie ks. kanonik *Pietruszewicz* w *Słowie* lwowskiem, dalej zabiera głos także *Łamanskij* z szeregiem artykułów, umieszczonych w Żurnalu ministerstwa narodnago prosvêščenija [3]. Tym sposobem dane było hasło do nowych napadów na staroczeskie zabytki, którym uległ także rękopis

[1] Das Schriftwesen und Schriftthum der bömisch-slovenischen Völkerstämme in der Zeit des Ueberganges aus dem Heidenthume in das Christenthum, Prag 1867.

[2] Dějiny královského věnného města Dvora králové nad Labem. K oslavě padesátileté památky nalezeni rukopisu kralodvorského sepsal a wydal Antonin Konst. Viták.

[3] Z r. 1879, na styczeń str. 101 n., luty str. 313 n., marzec str. 118 n.

krolodw. Roku bowiem 1879 napisał *Vašek* rozprawę p. t. „Filologický důkaz že rukopis kralodvorský a zelenohorský též zlomek evangelia sv. Jana jsou podvržena díla Václava Hanky, w Brně“, w której pierwszy z dotychczasowych przeciwników autentyczności rękopisu krol. język jego dokładnemu poddał rozbiorowi. Praca Vaška dotknęła więc po raz pierwszy tej strony rękopisu, od której przeważnie jeżeli nie wyłącznie spodziewać się było można rozwiązania tej zawiłej kwestyi. I rzeczywiście zrobiła ona wielki wyłom wśród warowni, z której obrońcy odpierali wszystkie napady, czynione na całość rękopisu przez napastników. Jeżeli mimo to nie wywarła takiego wpływu, jaki wywrzeć była powinna, powodem tego było to, co słusznie zarzucił mu Jagić[1], że niepotrzebnie wciągnął w zakres swych badań rzeczy, których dowieść nie mógł, a które pracy tylko zaszkodziły. W następnym roku, tj. 1880, ponowił zarzuty przeciwko rękopisowi król. *Šembera* w rozprawie: „Kdo sepsal kralodvorský rukopis roku 1817?“ do czego w r. 1881 przydał jeszcze dodatek, który po śmierci jego w niemieckim języku wydał powtórnie syn jego[2]: „Dowód, jako rękopis królodworski jest podrobiony“. Zarzuty naukowe Szembery nierównego były rodzaju, pomiędzy uzasadnionemi znajdowało się dużo takich, które wobec nauki ostać się nie mogły. Przytem i Szembera popadł w ten błąd, że chciał odkryć właściwego autora rękopisu, za którego uważał V. A. Svobodę. Dla tego łatwem było zadanie dla Jirečka odeprzeć jego zarzuty, co też rzeczywiście się stało, jak sam Jagić przyznaje[3]. Trudniej natomiast było z filologicznemi wywodami Vaška uporać się *Brandlowi*, który w Časopisie Matice Morawské 1879, s. 124, napisał krytykę jego pracy. Na tem zakończyła się druga faza sporu o autentyczność rękopisu król., która chociaż nie tak długo trwała, jak pierwsza, i nie tak zacięcie spór się toczył, jak po raz pierwszy, przecież uczyniono krok ważny naprzód odnośnie do rozjaśnienia prawdy w sprawie rękopisu. Chwycono się bowiem właściwego środka, który podaje język rękopisu, jedyne w tym razie kryteryum.

---

[1] W Archiv f. slav. Phil. IV., str. 539.

[2] Die Königinhofer Handschrift als eine Fälschung nachgewiesen. Wien 1882.

[3] Archiv V., str. 179, Jireček w czasopiśmie Světozoře 1880, nr. 29 i 30.

Oprócz tego i pod innym względem dostało się rękopisowi gruntowniejsze opracowanie, które przedstawiło charakter jego w innem świetle. Roku 1862 sporządził bibliotekarz Vrťátko fotograficzne wydanie rękopisu, przez co dał możność szerszemu światu uczonych wniknąć głębiej w naturę rękopisu, nietylko co się tyczy języka, ale także i pisma jego. Pokazało się bowiem, że na podstawie dokładnej fotografii nietylko nieczytelne litery wystąpiły wyraźnie na wierzch, ale uwidoczniło się całe mnóstwo rasur, poprawek i innych dodatków, pochodzących z nierównego czasu, których autor starał się albo gotowe formy poprawić według starszych wzorów, albo przekreślał błędy językowe, które podczas pisania tekstu popełnił. Znaczenie rasur i poprawek tych ocenił *Gebauer*[1] a Mašek wyliczywszy wszystkie rasury w liczbie 74, zbadał je pod względem atramentu, czy jest starszy, lub młodszy. Okoliczność ta była dla rękopisu doniosłego znaczenia, pokazało się bowiem, że przechodził przez różne koleje i że jakaś ręka, jedna lub więcej, pracowała w nierównym czasie nad jego poprawkami, przekształcając młodsze formy na starsze.

Ale jeszcze z innej strony zabłysło światło, które rozjaśniło ważną kwestyę dotyczącą pochodzenia pieśni rękopisu. Za przykładem Dobrowskiego sądzono powszechnie, że pieśni rękopisu są narodowemi utworami, które długie wieki żyły w ustach narodu, aż je ktoś w XIII., czy w XIV. wieku spisał i w jednę ułożył całość. Wszelkie więc uchylenia czy to pod względem językowym, czy też treści od właściwości językowych panujących w owym czasie, uważano jako własność narodu, której nie godziło się tykać. Błędy gramatyczne, niezwykłe wyrażenia, nieznane w innych zabytkach z owego czasu, tłumaczono jako narzeczowe różnice, a reminiscencye, czy to pod względem formy czy też treści, jakie dzielił rękopis z utworami literackiemi innych narodów słow., stanowiły właśnie dowód jego narodowego pochodzenia, czerpiącego wspólność tę z zapasu duchowego, który początkowo wśród jedności słowiańskiej stanowił wszystkich równą własność. W ten sposób zamkniętą

---

[1] Slovo o rasurách v Rukopisě Kralodvorském w Sborniku vědečkým musea královstwi Českého, II. str. 113 n.; *Mašek*: Popis korektur a razur w kralodworským rukopisě w Listy filologické, 1876, str. 176—202.

była brama, prowadząca do wnętrza utworów rękopisu, do którego badacze wnijść nie mogli, ponieważ nie dostawało im nici Aryadny, któraby nie pozwoliła im zabłądzić w labiryncie najdziwaczniejszych nieprawidłowości wszelkiego rodzaju. Wprawdzie wykazywał *Jagić*[1], że epiczne pieśni rękopisu żadną miarą nie mogą być utworem narodowym, ponieważ nie dostaje im tych wszystkich znamion, które charakteryzują narodową poezyę, a natomiast okazują w całym układzie formy i treści pochodzenie artystyczne, będące dziełem indywidualnem. Jednakowoż namacalny, że tak powiem, dowód podał *Gebauer*[2], który wykazał, że autor pieśni „Jarosław“ w rękopisie czerpał z czeskiego przekładu opowiadania podróży *Marka Pola*, zwanego *Million*, który opiera się na łacińskim tekście według redakcyi *Fra Pipina*, pochodzącej z r. 1315—1320. Dowód ten, podany przez Gebauera, jest tak oczywisty, że nie może żadnemu podlegać powątpiewaniu. Z niego pokazało się równocześnie, że autor „Jarosława“, wypisując dosłownie niektóre miejsca z Milliona, popełnił przytem gruby błąd, który powstał wskutek niezrozumienia oryginału. Okoliczność ta musiała rozwiać wszelkie mniemania o narodowym początku pieśni rękopisu i podała tem samem pewną datę ich powstania, którą nie może być inny czas jak wiek XIV. Sposób zaś, w jaki autor Jarosława korzystał z źródła swego, świadczy nie bardzo korzystnie o jego uzdolnieniu umysłowem i pokazuje, że mechanicznie tylko przepisywał oryginał. Żeby czytelnicy *Przeglądu* sami się o tem przekonali, przytoczę odnośne oba miejsca:

Podług rękopisu król.:	*Podług Milliona:*
Kublaj káže vsěm svým čarodějém, hadačém, hvězdářém, kúzelníkóm, aby zvěstvovali uhodnúce, kteraký by konec boj jměl vzieti. Sebrachu sě nalit' čaroději, hadači, hvězdáři, kúzelníci,	Tehdy Chinchiš, taterskej král, přikáže čarodějníkóm a hvězdářóm svým, aby pověděli uhodnúce, kterakey by konec jejich boj měl vzieti. Tehdy ti odpověděli

[1] Gradja za slovinsku narodnu poeziju, w *Rad jugoslov. Akad.* 1876, str. 71 n.

[2] Filologické listy, 1875, str. 101—114, porówn. Archiv f. slav. Phil. II. str. 143 n.

na dvě straně kolo rozstúpichu
i *na dlí* trest' črnú położichu
i ju na dvě pólě rozščepichu;
prvéj pólě Kublaj imě vzděchu,
vetréj pólě králi imě vzděchu itd.

a na dvé rozdělili trst' *na dlí* i położie před sebú na zemí, a jednej straně prěvzděli Chinchiš, a druhej Uncham itd.

Odnośne miejsce, o które tutaj idzie, brzmi w Millionie: na dwoje, tj. na dwie połowy rozdzielili trzcinę w podłuż i położyli (obie połowy) przed sobą na ziemi, które w rękopisie w ten sposób zmienione zostało: i wpodłuż trzcinę czarną położyli i ją na dwie połowy rozczepili. Autor więc Jarosława każe czarownikom kłaść trzcinę w podłuż na ziemi, (której przecie w inny sposób położyć nie można), zamiast w podłuż rozdzielić, jak stoi w Millionie, a co daje sens zrozumiały.

W ten sposób ścieśniała się coraz bardziej podstawa, na której opierało się znaczenie rękopisu, przez co i studya nad nim mogły pewniejszą postępować drogą. W tym czasie postąpiono także znacznie w studyach nad językiem staroczeskim, co wskutek krytycznych edycyj licznych tekstów staroczeskich i ich naukowego opracowania stało się dopiero możebnem. Główna w tej mierze zasługa przypada *Gebauerowi*, profesorowi języka czeskiego na uniwersytecie pragskim, który, z żelazną pilnością i podziwu godną dokładnością równającą się niemal matematycznej ścisłości, policzył, że tak powiem, wszystkie formy staroczeskich zabytków. Na podstawie takich studyów opierają się wszystkie jego prace o staroczeskim języku, którego gramatykę on dopiero „unormował". Badania Gebauera i innych nad językiem staroczeskim miały i dla rękopisu wielkie znaczenie. W miarę bowiem, jak rosła znajomość staroczesk. języka w różnych epokach jego rozwoju, uwydatniała się tembardziej odmienność, jaką wykazywał rękopis pod względem języka w porównaniu z innemi zabytkami, pochodzącemi z tego samego wieku. Odmienność ta rękopisu sięga jeszcze dalej. Obok form bowiem, właściwych czasowi, z którego takowy pochodził zabytek, zachodzą w nim także formy, które wiekiem starsze są, aniżeli tamte, nawet i takie, które od poprzednich znacznie są młodsze. Nierówność taka form językowych, zachodząca w jednym i tym samym zabytku, należącym podług charakteru pisma do jednego i tego sa-

mego wieku, stanowi *unicum* wśród całej literatury nietylko czeskiej, ale może wogóle wszystkich narodów. Zjawisko to tłumaczono sobie rozmaicie, po większej części w ten sposób, że to są narzeczowe właściwości staroczeskiego języka, przyczem i na karb przepisywacza wielka część winy spadała, który przepisując starszy tekst mieszał formy nowsze, jakie za jego czasu były w użyciu, z starszemi oryginału. Tłumaczenie takie naturalnie nie mogło każdego zaspokoić tem mniej, że w rękopisie zachodzi całe mnóstwo prostych błędów gramatycznych!

Żeby postąpić dalej na tej drodze, nie potrzeba było nic więcej, jak zastosować konsekwentnie prawo, które logika podaje, i — ogłosić rękopis królodw. jako falsyfikat. Krok ten uczynił, nie kto inny, jak właśnie *Gebauer*, który w artykule o rękopisie królodw., umieszczonym w Encyklopedyi Erscha i Grubera [1], radzi ze względu na to, że rękopis królodw. był w posiadaniu Hanki, a mamy o nim pewność, że fałszował staroczeskie teksty, ażeby obejrzano się za innemi dowodami, któreby poświadczyły jego prawdziwość. Uwaga ta *Gebauera* możeby uległa zapomnieniu, gdyby nie prof. *Masaryk*, redaktor czasopisma *Athenaeum*, który w liście do Gebauera tamże wydrukowanym [2], podnosi wątpliwości o rękopisie królodw. i prosi go o artykuł do swego pisma, któryby traktował o języku rękopisu królodworskiego i zielonogórskiego i jego różnicy od tego, jaki w innych zabytkach występuje. Prośbie tej uczynił Gebauer zadosyć i napisał rozprawę p. t.: „Potřeba dalších skoušek rukopisn královédvorského a zelenohorského“ [3]. W ten sposób powstał na nowo spór o autentyczność rękopisu królodw., który w trzeciem stadyum toczy się najzacięciej aż do obecnej chwili.

Przebieg całego sporu o prawdziwość rękopisu w rozmaitych jego fazach, miał to dobrego w sobie, że zamykał się coraz bardziej w ciaśniejsze ramy, wśród których dyskusya naukowa się toczyła. Obecna jego faza, dzięki poprzednim nieudałym zboczeniom na rozmaite a nie prowadzące do celu bezdroża, porusza się na terenie pewnym, który systematycznie na wszelkie możliwe sposoby z całą gotowością się uprawia. Przez to kwestya ta otrzymała stałą pod-

[1] 38 T. II. sect., str. 231—235.

[2] Rocznik III. 1886, nr. 5, str. 13 n. osobnej odbitki.

[3] Wydrukowana w temże czasopismie rocznik III., 1886, nr. 5.

stawę i ponieważ chwycono się wszystkich środków, które prowadzić mogą do jej rozjaśnienia, nie ulega wątpliwości, że stanowczo rozstrzygniętą zostanie. Pierwsze miejsce zajmuje naturalnie język, który stanowi główne kryteryum prawdziwości każdego starodawnego zabytku a więc i rękopisu o którym mowa. Ten zaś jak wyżej powiedziałem, przedstawia się w nierównej szacie, obok starszych form zachodzą młodsze, obok prawych fałszywe. Form takich, które wyłącznie są używane w rękopisie król. i zielonogórskim, podczas gdy w innych zabytkach staroczeskich albo całkiem nie są znane albo też w innej używane postaci i w inny sposób, naliczył Gebauer przeszło 700[1]. Zachodzi więc pytanie, czy możebnem jest, ażeby język rękopisu, z tak różnorodnych złożony warstw i żywiołów, był rzeczywiście językiem jednolitym, żywym, którym mówił autor pieśni zawartych w tym zabytku? Czy nie nasuwa się tu raczej podejrzenie, że takim językiem może tylko pisać ten, kto się go nauczył z starodawnych zabytków, pochodzących z rozmaitych wieków? Język taki sztuczny, wyuczony musi posiadać wszystkie znamiona indywidualnej natury, jakiemi są nierówność form gramatycznych, błędna ich formacya i nieprawidłowe użycie. Wszystkie te właściwości widzimy w przytoczonych przez Gebauera przykładach, z których żaden dotychczas przez obrońców prawdziwości rękopisu nie został naukowo wytłumaczony a tem samem dowody jego stoją w pełnej mocy. Co więcej, wiele form uchylających się z pod prawidłowego użycia i tłumaczenia są po prostu błędami, które zrodziły się z innych form wziętych z prawdziwych zabytków, ale źle zrozumianych i wskutek tego fałszywie zastosowanych. Ponieważ błędy tego rodzaju są zwykłemi błędami gramatycznemi, dla tego słusznie można o nich przypuszczać, że mają źródło w pracy indywidualnej, pochodzącej od pisarza, który z powodu niedokładnej znajomości staroczeskiego języka nie był w stanie rozróżnić prawdziwych form od fałszywych.

Już dawno rzucono na Hankę podejrzenie sfałszowania rękopisu król.; w ostatnim czasie zaś uczynił to *Łamanskij*. Przedtem brano fakt ten, że rękopis przez Hankę znaleziony został, za wystarczający dowód, by posądzić Hankę o tego rodzaju postępek.

[1] Athenaeum 1886, str. 293.

Jednakowoż słusznie odstąpiono później od tego, ponieważ dowody takie niczem nie uzasadnione, nie mogły wobec nieuprzedzonego świata naukowego liczyć na przyjęcie. Co się tyczy Łamańskiego, to przyznać trzeba, że kwestyę autorstwa rękopisu wprowadził na właściwą drogę. Wykazał on bowiem na podstawie szczegółowego porównania, że pomiędzy językiem rękopisu król. a językiem w poezyach Hanki zachodzi jak największe podobieństwo. Podobieństwo to rozciąga się nie tylko na pojedyńcze wyrazy, obydwom tylko wspólne, ale także na całe zwroty mówienia. Jednakowoż dowodzeniu Łamańskiego można zrobić ten sam zarzut, który Jagić zrobił Šemberze [1], że tylko wtenczas możnaby Hankę uznać za autora rękopisu, gdyby język jego zawierał wszystkie te własności, które zachodzą w rękopisie, ale z czasu przed znalezieniem jego; wszystkie konkordancye, które później tj. po r. 1817 w dziełach Hanki się znachodzą, mogły powstać pod wpływem i wskutek studyów języka rękopisu.

Ostrożność tę zachował Gebauer i wykazał w sposób oczywisty, że te same błędy, które zachodzą w rękopisie, powtarzają się w pismach Hanki *przed* jego objawieniem. Mianowicie w wstępie do pierwszego tomu Starobylá Skládanie, noszącym datę 10. czerwca 1817 r., podaje Hanka krótki przegląd form staroczeskiego języka. Pomiędzy prawdziwemi uwagami znajdują się w tej gramatyczce także fałszywe, obok prawidłowych form podaje Hanka nieprawidłowe, które uważał za własność staroczeskiego języka. Te same fałszywe formy powtarzają się w rękopismie, choć w innych zabytkach staroczeskich nie zachodzą, lub używają się w odmienny sposób a natomiast w ustępie Hanki uznane są jako prawidłowe staroczeskie formy. Również i w falsyfikatach, pochodzących bezsprzecznie od Hanki przed znalezieniem rękopisu, powtarzają się te same błędy, co i w rękopisie a które Hanka podaje w swym wstępie za prawdziwe. Nawet co do niektórych błędów wykrył Gebauer źródło, skąd powstały. Hanka zajmując się wydawaniem staroczeskich tekstów, które wyszły w 1 i 2 tomie Starob. Skládanie, a które pochodzą z doby *przed* ogłoszeniem rękopisu, mógł tylko z tych rękopisów czerpać swoją znajomość staroczeskiego języka. Niektóre formy je-

[1] Archiv. f. slav. Phil. V. 174.

dnakowoż w tych tekstach źle przeczytał, lub fałszywie zrozumiał, stąd też poszło, że te same formy fałszywe powtarzają się i w rękopisie. Żeby czytelnik i niefachowy sam się o prawdziwości tego przekonał, dość jest przytoczyć jeden przykład, gdyż inne może tylko zrozumieć fachowy i dobrze znający staroczeski język. Hanka wydając rymowaną powieść o Aleksandrze W. podług rękopisu, znajdującego się w bibliotece kościoła św. Wita w Pradze w Starobylá Skládánie, tom II., str. 151—264, wydrukował na str. 223: tehdy sě zástup zaměši, běchu w wojště lítí češi, gdzie słowo *zaměši sě* wziął w znaczeniu „zasmucił się", posępnieć jak w objaśnieniach na str. XXXIII. przez *„zaškarediti se"* je tłumaczy, a odpowiednio rym jego w transkrypcyi oddał przez *češi*. Tak samo używa się słowo to w rękopismie król. 3 razy w znaczeniu „zasmucić, zasępić". Tymczasem w odnośnym rękopisie św. Witskim słowo to pisze się *zamyesy* i oznacza: zamieszać się, popaść w nieład, lub w popłoch: tedy się zastęp zamiesza, a odnośny rym do niego brzmi *čěsi* tj. czasy, jak tego żąda gramatyka staroczeska, a nie *češi*, jak pisze Hanka. Jeżeli więc tego rodzaju błędy, polegające na źle zrozumianem miejscu odnośnego tekstu staroczeskiego przez Hankę, powtarzają się także w rękopisie, czy może zachodzić jeszcze wątpliwość, kto jest autorem jego? Niektóre z błędów zostały w rękopisie wyskrobane i poprawione według wzorów prawdziwych, co dowodzi, że autor poznał się na nich i starał się zawczasu je usunąć. Lecz fotografia utrudziła jego robotę, a tem samem przyczyniła się w wysokim stopniu do wyrobienia sobie należytego zdania o rasurach rękopisu i ich ogromnej liczbie, a w następstwie także o pochodzeniu jego.

Ale nietylko gramatyka w części deklinacyjnej, konjugacyjnej i syntaktycznej wydaje potępiający sąd na rękopis bo i pod względem leksykalnym i stylistycznym ten sam zachodzi stosunek. Z porównania języka i treści rękopisu ze znanemi podówczas płodami literatury czeskiej, pokazuje się, że c a ł y rękopis można rekonstruować na podstawie znanego zasobu języka czeskiego z początku XIX. wieku. Te same zwroty językowe, wyrażenia niezwykłe i cały sposób stylizacyi, które zachodzą w rękopisie, znajdują się także w pisarzach czeskich z owego czasu. Nawet podobne myśli i sposób wyrażenia ich w mowie, te same obrazy, porównania w tych samych

okolicznościach w rękopisie, w odpowiednich reminiscencyach u innych pisarzy. Jeżeli dodamy do tego całe ustępy jak np. opisy bitew, które lub to żywcem przyjęte są z innych płodów poetycznych ówczesnych poetów, lub też podług nich skopiowane zostały, nie możemy wahać się w zdaniu, że mamy przed sobą utwór nowoczesny, którego myśli, obrazy i cały sposób przedstawienia noszą w sobie wyraz dzisiejszej doby. Jeżeli tak jest rzeczywiście, a że tak jest, może się każdy przekonać, kto zechce porównać zestawienia podobnych miejsc rękopisu z odnośnemi innych utworów literackich, które podali w Athenaeum *Masaryk*, *Truchlář*, *Vaňčura* i *Vlček*, wówczas nabiera innego znaczenia podobieństwo, pomiędzy niektóremi lirycznemi pieśniami rękopisu a innemi, znanemi podówczas w literaturze czeskiej, lub innych Słowian. Podobieństwo takie, jak np. pieśni rękopisu p. t.: „Róża“ a ruskiej pieśni ludowej, pod tymże tytułem, nie opiera się więc na wspólnej tradycyi, pochodzącej z doby jeszcze prasłowiańskiej, ale jest po prostu nowoczeską przeróbką. Tak więc do języka przychodzi także i treść rękopisu, która przedstawia się jako nowy fabrykat, sporządzony według wzorów znanych podówczas w literaturze czeskiej.

Do tych samych rezultatów prowadzi także rozbiór estetyczny i socyologiczny, który podał *Masaryk*[1]. Pod wpływem ogólnego wrażenia, jakie pieśni rękopisu po ukazaniu się zaraz zrobiły, powtarzano zdanie o ich piękności, jakie Dobrowský wypowiedział, ale mniej zdawano sobie sprawę na czem ta piękność polega i o ile odpowiada przyjętym już prawidłom estetyki. Z biegiem czasu, kiedy z większą refleksyą poczęto rozbierać z estetycznej strony utwory te, dopatrzono w nich całkiem innych przymiotów, które nie mało ważą na szali sądu o pochodzeniu rękopisu. Mianowicie nie ma w nich tej jasności i plastyczności, która stanowi główne znamię poezyi epicznej, ale ubóstwo myśli i słowa obok teatralnego sposobu przedstawienia faktów są charakterystyczną ich cechą. Inwencya porusza się w niepewnej sferze, brak jej konkretnej podstawy, podobnie obrazy i porównania są zanadto ogólnikowe i do siebie zbliżone. W dykcyi występuje zanadto indywidualizm poety,

[1] Athenaeum. str. 275 n., 406 n.

który nieznajomością stosunków staroczeskich, oraz sposobu prowadzenia wojen i staczania walk zdradza nowoczesne pochodzenie. Niemniej romantyczność i sentymentalizm, które się uwydatniają czy to w zapatrywaniu się na przyrodę i odczuwaniu jej piękna, czy też w przedstawieniu charakterów głównych bohaterów, pokazują dostatecznie, że taki utwór nie mógł powstać w starożytnej dobie literatury czeskiej.

Jeżeli się weźmie pod rozwagę wszystkie zarzuty, które ciężą na rękopisie, nie podobna jest przyjść do innego sądu, jak, że to jest falsyfikat. Okoliczność ta, że na początku bieżącego wieku nie było w Czechach człowieka, coby był w stanie skomponować podobny utwór, gdyż takich wiadomości językowych, jakoteż historycznych i socyologicznych, które zawarte są w rękopisie, nikt a najmniej Hanka podówczas nie posiadał i posiadać nie mógł, okoliczność ta jest podrzędnego znaczenia dla prawdziwości lub nieprawdziwości rękopisu. Tutaj chodzi i chodzić powinno przedewszystkiem o to, czy wszystkie właściwości rękopisu tak językowej jakoteż i wewnętrznej natury, które wyróżniają go zpomiędzy innych zabytków literatury czeskiej, pochodzących z tego samego co rękopis czasu, są tego rodzaju, żeby je można uznać za własność języka i ducha narodu czeskiego w tym wieku, do którego należą podług pisma i przedstawionych w nim faktów historycznych? Jeżeli dowody, które przeciwko autentyczności rękopisu postawiono, mają być pozbawione tego znaczenia, które im przyznać trzeba, jeżeli nie mają dowodzić tego, czego właśnie dowodzą, wówczas zadaniem naukowej krytyki a obowiązkiem patryotycznym byćby powinno postarać się o obalenie tych dowodów, lub o postawienie przeciwko nim innych, któreby do odmiennych prowadziły rezultatów. Sprowadzanie bowiem całego sporu na pole dziennikarskiej dyskusyi, nadanie tej sprawie jakiegoś znaczenia narodowego, o którem rozstrzygać ma głos opinii, nietylko że nie przyczyni się do rozjaśnienia prawdy, ale przeciwnie rzuca niekorzystne światło na obrońców rękopisu. W rzeczach, w których tylko nauka przemawiać może, powinnością jest narodową iść za głosem jej, jako jedynej w tym razie obronicielki prawdy.

Antoni Kalina.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Podstawy teoryi poznania w Systemie Logiki J. S. Milla, przez *Dra Aleksandra Raciborskiego*. 2 tomy Lwów 1886.

Rari nantes in gurgite vasto, powiedział któryś z rzymskich poetów, a słowa te w całej pełni sprawdzają się w dziejach filozofii nowszej. W odmęcie najróżnorodniejszych poglądów, przy zupełnem rozbiciu pojęć zdrowych rzadki to człowiek, coby silnem ramieniem zdołał roztrącić moc nurtujących dziś w społeczeństwie prądów nauki kłamliwej i zachował się cało śród powodzi błędu.

Do podobnych rzadkości śmiało zaliczyć można p. Raciborskiego, który od lat kilku nie szczędzi ni trudu, ni pracy, byleby tylko nas uchronić przed niebezpiecznym towarem zagranicy, pozytywizmem Comt'a i Milla. Jak przed niewielu laty w dziele o Spinozie wystąpił w szranki przeciw materyalizmowi, tak w ostatnim rozbiorze teoryi poznania w logice Milla zbija jego zasadnicze, kamień węgielny niejako tworzące, błędy empiryzmu.

Rzecz jasna, dzieło podobne było zupełnie nie po myśli warszawskim pozytywistom. Samo motto niemało ich przeraziło, bo są to słowa Stanley'a Jerons, który po 20-letniem wczytywaniu się w pisma Milla doszedł w końcu do przekonania, że „jak filozofia empiryczna jest zmorą, przynoszącą ogromną szkodę nauce, tak i umysł Milla jest nawskróś nielogicznym“ [1].

[1] W. Stanley Jerons „Mill's philosophy tested“. Contemporary Review 1877. str. 169.

Zrozumiano to dobrze w Warszawie: Ateneum uderzyło na alarm, a p. Kozłowski zaciął pióro do ostrej zoilowskiej krytyki. Główny oczywiście zarzut musi być o stronniczość. Kto tylko nie trzyma strony pozytywistów, kto zwłaszcza dosadnie wykazuje ich błędy, ten już w ich oczach osądzon jest jako winien stronniczości. Wada ta, mówi p. Kozł., jawna już w dziele p. Raciborskiego o Spinozie, dochodzi w rozbiorze logiki Milla, do takiej jaskrawości... że nadaje temu rozbiorowi charakter raczej aktu oskarżenia niż krytyki filozoficznej, której pierwszym obowiązkiem bezstronność [1]. Nic piękniejszego nad bezstronność! Każdy człowiek rozsądny pisze się na zdanie Arystotelesa: *Amicus Plato sed magis amica veritas.*

Ale niechby p. Kozł., tak żarliwie do niej nawołujący, sam dał jej przykład. Tymczasem krytyka p. Kozł. napisana namiętnie, z pewną nawet żółcią, nosi na sobie znamię tak zwanej argumentacyi *ad invidiam:* Nazywa najlepsze ustępy z dzieła p. Raciborskiego, „egzegetyką nużącą i naciąganą", zarzuca mu, że argumentuje po chłopsku: „jak ludzie powiadają" — posądza go niesprawiedliwie o przekręcanie zdań Milla, i t. p. Ale, czy stronniczo napisał p. Raciborski, o tem nas najlepiej przekona rozbiór samego dzieła.

Podstawy teoryi poznania w Systemie Logiki Milla mają wprawdzie barwę dzieła polemicznego ale dalekiemi są od wszelkiej stronniczości. Zamiarem autora było okazać podwalinę empiryzmu, zbadać grunt, na którym spoczywa nauka Milla; a że te podwaliny okazać się musiały chwiejnemi i grunt bardzo grząskim, nie jest jego winą. Jestto właściwością każdego systemu błędnego w filozofii, że dotąd wywiera jaki taki urok na umysł człowieka, póki nie zbadamy dostatecznie jego podstaw i punktu wyjścia. Szata zewnętrzna, pozory prawdy, rzucony tu i owdzie dowód uczoności robi w dziełach empirystów ten sam skutek jak bielidło na niemłodej twarzy: usuń ten blichtr, ujmij w kilku słowach rdzeń ich nauki, a ujrzysz wnet na dnie tych wszystkich wywodów nicość lub — prostą sprzeczność. Że to zrozumiał p. Raciborski, i że się tą myślą przewodnią kierował wśród labiryntu wywodów i uczo-

[1] Ateneum. Wrzesień 1886. str. 542.

ności Milla, wskazuje to sam tytuł jego książki: „Podstawy poznania i wiedzy ludzkiej w systemie empirystycznym Milla“, charakter logiki, uczący nas myśleć zgodnie z światem przedmiotowym, zawisł przeważnie od zapatrywań na sprawę, źródło i genezę naszych pojęć. Jakimże tedy Mill jest psychologiem i jaki jego sąd o naturze ludzkiego poznawania? W książce p. Raciborskiego stanowczą znajdujemy odpowiedź. „System Logiki, wedle „słów samego Milla, ma służyć za podręcznik teoryi, wyprowa„dzającej wszelką wiedzę z doświadczenia, wszystkie zaś przymioty „moralne jakoteż umysłowe z kierunku nadanego kojarzeniu się „stanów świadomości“. Zaprzeczenie wszelkiej różnicy między zmysłowem wyobrażeniem a pojmowaniem duchowem, czyli po prostu negacya zupełna pojęć intellektualnych — negacya umysłu, co z wrażenia osobniczego zdziera łuskę znamion jednostkowych, wytwarzając tym sposobem ogólne pojęcie treści, istoty, oto jest co przeważnie p. Raciborski w pierwszym tomie swej pracy Millowi zarzuca.

Rozdział pierwszy „Znaczenie kategoryi u Milla“ rzuca doskonałe światło, jak zdradliwie angielski empiryk wszystko, cokolwiek się dzieje w głębi naszej duszy, sprowadza do kojarzenia wrażeń zmysłowych. U Milla wszystko, czego jesteśmy wewnętrznie świadomi, od świadomości jaką mamy, kiedy myślimy o czerwonej barwie, nie mając jej przed oczyma, aż do oderwanych myśli filozofa lub poety, nazwane jest uczuciem, wrażeniem. Co więcej, nietylko wyobrażanie, pamiętanie, pojmowanie ale i poruszenia woli nazywa Mill uczuciem swej świadomości.

Z Lockem przeczy on istnieniu w porządku rzeczowym samoistności (substancyi) będącej substratem przypadłości czyli spółistności jak barwy, kształtu, wielkości i t. p. „Wszystko co spostrzegamy w świecie zewnętrznym jest szeregiem wrażeń następujących po sobie wedle pewnego ładu“.

Na pytanie, czy istnieje rzecz w sobie czyli też wszystko się kończy na samych wrażeniach, daje Mill wymijającą odpowiedź, że zagadnienie to wkracza w obręb metafizyki. Z ustępów jednak, które p. Raciborski wybrał z „Systemu Logiki“, jawnem jest że Mill w teoryi poznania idzie za skeptycznym idealizmem Berheleya [1].

[1] T. I. str. 59.

„Niema najmniejszego powodu wierzyć, żeby to, co zwiemy zmysłowo dostrzegalnemi przymiotami jakiegoś przedmiotu, było obrazem czegoś w nim samym tkwiącego albo miało jakiekolwiek podobieństwo z jego naturą. Cała więc wiedza nasza jest zjawiskową". „Z zewnętrznego świata nic nie poznajemy i bezwzględnie nic poznawać nie możemy prócz wrażeń, które z niego odbieramy". Przedmiot więc jakikolwiek np. stół nie istnieje przedsobnie wedle Milla, ale jest tylko zbiorem wrażeń wzrokowych, dotykowych i mięśniowych, które wyliczamy, mówiąc, że jest czarny, twardy, gładki, czworograniasty.

W następnych dwóch rozdziałach „Atrybuty ciał. Atrybuty duchów." przedstawia nam autor, jak Mill na idealizmie Berheleya i subjektywnym empiryzmie Jamesa Milla buduje dalej swoją Logikę. Wszystko u niego jest nicią świadomości, szeregiem wrażeń, więc też wszystkie przymioty rzeczy, wszystkie stosunki następstwa i równoczesności, podobieństwa i niepodobieństwa nazywa uczuciem. Kiedy mówimy, że stosunek Priama do Hektora jest podobnym do stosunku Filipa i Aleksandra albo kiedy mówimy, iż stosunek między Cromwellem i Anglią podobnym jest, lubo w mniejszym stopniu, do stosunku między Napoleonem a Francyą, to znaczyć ma wedle Milla, że uczucie, stan świadomości, jaki w nas budzi Priam wraz z Hektorem, Cromwell wraz z Anglią, zbliża się do uczucia i wrażeń wywołanych przez Filipa i Aleksandra, Napoleona I. i Francyą. Do takich niedorzeczności doprowadza Milla uciekanie od poznawania czysto rozumowego, a sprowadzanie wszystkiego do wrażeń zmysłowych.

P. Raciborski wyliczywszy wszystkie, niesłychanie zagmatwane i ciemne poglądy Milla na substancye i przymioty ciał, z żelazną logiką ściga jego sprzeczności, tropi zręcznie błędne koła i niedorzeczności, w jakie się wikła stary empiryk, tak że już po przeczytaniu pierwszych rozdziałów musimy mu przyznać, iż założenia wypowiedzianego na kartce tytułowej dokonał: że już okazał, jako w istocie umysł Milla jest nawskróś nielogicznym.

I tak słusznie zarzuca p. R. Millowi, jakiem prawem przyjmuje istnienie świata, jako zewnętrzną przyczynę wrażeń podmiotowych, skoro wszystko, co o nim wiemy jest tylko szeregiem naszych uczuć własnych? Jakiem prawem określa ciało, jako coś tajemni-

czego, co pobudza ducha do odczuwania, jakiem prawem nazywa ducha znowu jakimś tajemniczym odbiorcą wrażeń i spostrzegaczem, jeśli według niego nie masz żadnych istot, żadnych substancyi i atrybutów prócz pewnego zbioru odczutych wyobrażeń. Niekonsekwencyą tylko ratuje się Mill od zupełnego akosmizmu, i to mu p. R. dowodnie wykazuje.

Dwa końcowe rozdziały t. I. noszą tytuł „Tworzenie pojęć“ i „Zapatrywania Milla na prawdy matematyczne“. Osią, około której toczy się tu cała polemika p. Racib. przeciw Millowi, są pojęcia ogólne i stanowcza ich różnica od osobniczych wyobrażeń zmysłowych.

Człowiek ma dwojaką władzę poznawania: poznanie zmysłowe wspólne nam z zwierzętami ogranicza się na wyobrażeniu jednostkowem, osobniczem; poznanie duchowe, pojęcie istoty wspólnej wielu jednostkom jest czystym samodzielnym wytworem duszy i stanowi właściwość człowieka. Mill idąc za przewodnią idei swego życia, chcąc z systemu logiki utworzyć podręcznik empiryzmu, przeczy pojęciom ogólnym i wyobrażenia zmysłowe stawia za podstawę myślenia. Na miejsce idei pojęcia prawdziwie ogólnego podstawia on wyobrażenia złożone, powstające skutkiem stania się wielu poszczególnych wrażeń, podobnie jak z siedmiu barw słonecznych wytwarza się barwa biała. Pojęcie pomarańczy np. składa się z wyobrażeń pewnej barwy, woni, pewnego smaku i kształtu. Pojęcie rozciągłości składa się z pierwiastkowych wyobrażeń oporu, pochodzących od naszego układu mięśniowego. Nawet pojęcia sprawiedliwości i obyczajowego potępienia i wszelkie wyższego rzędu *abstractum* opierają się także wedle niego na kojarzeniu wyobrażeń.

Błąd ten nie jest zgoła nowością u Milla. W starożytności karcił już Arystoteles Empedoklesa o nieuznawanie różnicy między umysłem co pojmuje a zmysłem co i wrażenia odbiera i wyobrażenia wytwarza; w wiekach średnich św. Anzelm to samo wyrzucał Nominalistom, a Bako, Hobbes, Locke, Hume, Condillac, Cabanis dawno już przed Millem starali się pojęcie zastąpić jakimś surogatem sensyzmu. Najlichszy atoli surogat podaje Mill, gdy tak określa pojęcie: „Wyobrażenie wywołane ogólną nazwą składa się z tych rozmaitych cech, w których się wszystkie osobniki zgadzają“.

Pan Raciborski, biorąc to określenie pod dłuższą rozwagę,

dowodzi nam słusznie, że taka definicya pojęcia równa się zupełnie owemu określeniu człowieka: *animal bipes, implume.* Z tej definicyi cynik Ateński wnosił, że i kogut z pierza obskubany jest człowiekiem; ale z definicyi Milla, że ten tylko jest człowiekiem, co ma cechy wspólne wszystkim osobnikom działu oznaczonego nazwą ogólną człowieka — wnieśćby chyba należało, że nikt zgoła człowiekiem nie jest: bo gdzież jest człowiek mający nos, oczy, ręce, długość czaszki, kąt twarzowy, barwę zgodną z całym rodzajem ludzkim? Brak rozróżnienia między cechami wchodzącemi z konieczności w skład pojęcia a znamionami przypadkowemi sprawia, że wszystkie cztery rodzaje określeń pojęć ogólnych, jakie Mill podaje, żadnej dla krytycznego umysłu nie mają wartości.

Doskonale p. R. powiada, że w millowskiem uważaniu pojęć za wyobrażenie ogólne, tkwi w dodanem słówku „ogólne", „ogólna sprzeczność, nie godząca się z wyobrażeniem".

Wyobrażenie jest wnętrznem odbiciem zmysłowego poczucia. Pojęcie jest logicznem oznaczeniem istoty wspólnej pewnym działom bytu. Wyobrażenie zatem, będąc zawsze czemś określonem, nie przedzierzgnie się nigdy samo przez się w pojęcie ogólne. Pojęcie zatem nie może być wyobrażeniem ogólnem, bo istota, treść, to przez co rzecz jest tem czem jest, wyobrazić się zgoła nie da, ale tylko pojąć. Pojęcie „człowiek" obejmuje i wyraża wszystkich i każdego z osobników rodzaju ludzkiego. Dziecko i starzec, Paryżanin i Australczyk, mąż i kobieta jest zarówno objęta zakresem tego pojęcia. Wyobrazić sobie jednak, posługując się tu słowy p. R., a następnie wyrysować lub wyrzeźbić postać człowieka, któryby nie był ani dzieckiem, ani starcem, ani mężczyzną ani kobietą a mógł być tem wszystkiem, jest rzeczą niemożliwą. Upada więc jako sprzeczność określenie idei ogólnej, które Mill zapożycza u Berkeley'a, Bailey'a, Locka i Browna. Ten ścisły logiczny rozbiór pana R. tak jest nie do smaku pozytywistom warszawskim, że go „mistrzem w gołosłownych rozróżnieniach" w Ateneum nazwali. Każdy widzi, że to gołosłowna odpowiedź na wywód, wcale nie gołosłowny.

Koniec tomu pierwszego zajmuje przedstawienie ciekawej wyprawy Milla przeciw pewnikom matematycznym. Jak wiadomo, twórca „Systemu logiki indukcyjnej" posunął swój skeptyczny empiryzm tak dalece, iż nie zawahał się orzec, jakoby pewnik $2 \times 2 = 4$ gdzieś

na innym planecie lub w dalekiej przyszłości mógł utracić swoją konieczność[1]. „Dokładność — jest to urywek z logiki Milla — uważana za cechę pierwotnych zasad geometryi, okazuje się urojona. Konieczność prawd matematycznych wynika tylko z dowolnych przypuszczeń“. Ani słowa! sąd o matematyce Milla jest chlubą dla całej jego szkoły. Cudowne obliczenia Newtona i Keplera, a odkrycie Neptuna z czystej rachuby przez Leverrier mają tylko urojoną pewność! A czemże Mill popiera swe hazardowne zdanie, zapyta czytelnik? Tem, iż przy zastosowaniu geometryi do rzeczywistych pomiarów jawią się trudności, nie dające przeprowadzić wyników rachunku z matematyczną ścisłością — jak gdyby ten brak ścisłości po stronie matematyki leżał.

Powiedziawszy, że nawet ten prosty pewnik: 1=1 w zastosowaniu nie jest prawdziwym, tak znowu Mill udowadnia swój paradoks: Jeden funt i jeden funt nie mogą czynić dwóch funtów, bo jeden z nich może być *troy* drugi *avoir-du-poids*. Są to dwa rodzaje funtów angielskich, nie jednakową wartość mających i do ważenia osobnych rzeczy używanych. Argumentacya więc takiej samej jest rzetelności jak, gdyby kto powiedział, że 1+1 nie czyni dwa, bo jedno jabłko i jedna gruszka nie daje dwóch jabłek ani dwóch gruszek!

Takie są zdobycze z wyprawy Milla na matematykę. Ale dla czegóż podjął te wyprawę? Według własnych zeznań Mill głównie dlatego przeciw matematyce skierował taran swej logiki, bo naukę tę uważał za główną twierdzę, za podstawę filozofii uznającej w człowieku jakieś inne władze poznawcze, oprócz zmysłów[2]. Odjąwszy człowiekowi rozum, pozbawiwszy go duszy myślącej, zostawiwszy nam tylko wyobraźnię, nie dziw, że odrzuca pewniki matematyczne jako fałszywą teoryę, której w y o b r a ż e n i a p o j ą ć nie może.

Błąd ten wytyka p. R. Millowi wraz z innemi filozofami, jak Jenons, Courtuzy, Whewill, Ulrici, Lange; a choć zarzuty autora nie są nowe, to jednak szczere należą mu się dzięki za powtórzenie ich w swojem dziele. Przedstawienie ciemnych zagmatwanych a wskróś sofistycznych rozumowań Milla odsłania całą nędzę empi-

[1] Stimmen aus M. Laach. 1884, 1. Heft Juli 43.
[2] T. 1. str. 331.

ryzmu. Po przeczytaniu tomu pierwszego dzieła p. R. Mill, „ów olbrzym niezachwiany na stanowiskn przeznaczonem mu przez wiedzę“ [1], maleje w oczach naszych, robiąc wrażenie jednego z owych płytkich sofistów, którzy jak opowiada Cicero krążyli po ulicach Rzymu, obiecując za pieniądze udowodnić, że jedna i ta sama rzecz w tym samym czasie i warunkach, jest prawdą i fałszem zarazem.

W drugim tomie pierwszy spory rozdział omawia znaczenie pojęcia przestrzeni w stosunku do praw matematyki.

Autor zastanawia się tu nad źródłem i pochodzeniem naszych pojęć o czasie i przestrzeni, przytacza wiele zdań zwolenników przeciwnych teoryi co do genezy tych pojęć, utrzymując słusznie, że od odpowiedzi na pytanie, czem jest przestrzeń, wyobrażeniem czyli też przedmiotowem pojęciem, zawisł los pewników matematyki.

W rozdziale tym nagromadził p. R. krezusowe bogactwo cytat. Ale właśnie w tem bogactwie, jak nam się zdaje, wikła się nieco i niedosyć jasno wytyka sobie cel i drogę. Również nieodpowiedniem sądzę nazwanie pojęcia przestrzeni i przyczynowości a p r i o r y s t y c z n e m. Właściwie *a priori* i *a posteriori* odnosi się tylko do naszych sądów wedle tego, czy sam rozbiór pojęć, czyli też doświadczenie zniewala nas do łączenia orzeczenia z podmiotem. Mówiąc np. „całość jest większą od części“, wypowiadam sąd *a priori*, bo pojęcie tej większości wypływa z analizy całości; mówiąc zaś „śnieg jest białym“, orzekam *a posteriori:* bo tylko empiryczne spostrzeżenie naprowadza mię na przypisanie śniegowi białości. O pojęciach zaś w ogóle powiedzieć można, że wszystkie są pochodzenia aposteriorycznego, bo wszystkie poczynają od wrażeń zmysłowych, z których umysł, drogą abstrakcyi i innych sobie właściwych działań, wytwarza idee ogólne istoty rzeczy, τὸ τι ἦν εἶναι. Skąd pięknie mówi św. Tomasz, że umysł zwie się w łacińskim języku *intellectus*, jakby odczytywał *(intus legere)* pojęcie treści, istoty rzeczy, z obrazu zarysowanego w poczuciu zmysłowem. Pojęć więc *a priori* nie ma, a nazwa ta bardzo przypomina owe idee wrodzone Kartezyusza, Leibnitza i Kanta, które przed wszelkiem doświadczeniem mają już drzemać

[1] *Ateneum* Krytyka p. K. 1886, Wrzesień 554 str.

na dnie duszy, a jawią się dopiero w świadomości zetknięcia zmysłów z światem zewnętrznym. Takowe zaś odrzuca sam autor, jak widać z jego polemiki przeciw „czystym pojęciom“ Kanta [1].

Lecz przejdźmy do ostatniego rozdziału tej książki, która nosi tytuł „Zapatrywania Milla na pojęcie przyczynowości“, a jest śmiało rzec można koroną całego dzieła. Nigdzie bowiem autor nie wytknął Millowi tyle sprzeczności, jak w przedstawieniu indukcyi, w empirystycznem znaczeniu tego słowa.

Ale spytajmy najpierw, co to jest indukcya, według prawdziwej filozofii pojęta?

Indukcya, jako osobny rodzaj rozumowania, znaną już była Arystotelesowi [2], jest argumentacyą przez którą, z jednostkowych spostrzeżeń za pośrednictwem zmysłów, wznosimy się do prawd i pewników ogólnych.

W duchu logiki Milla rzecz się ma inaczej. Twórca nowoczesnej indukcyi, odjąwszy człowiekowi zdolność uogólniania, siłą rzeczy zmuszonym był do zaprzeczenia, jakoby podobny sąd ogólny godziło się uważać za wynik indukcyi. U niego wszelkie wnioskowanie odbywa się z szczegółu na szczegół, a poszczególne wypadki są całym dowodem, jaki możemy posiadać. Podobny np. sąd jak „Wszyscy ludzie są śmiertelni“ uważa Mill tylko o tyle za prawdziwy, o ile doświadczeniem stwierdzono na Janie, Bartłomieju, Tomaszu, iż umarli. A więc kto jeszcze nie pożegnał się z doczesnością, o tem Mill wiedzieć nie może, czy jest śmiertelnym. Fałsz najwidoczniejszy; ale za nim idzie cały szereg sprzeczności. Nazywając indukcyą pochód myśli od tego co znane do tego, co nieznane, utożsamia ją z syllogizmem; odrzucając zaś syllogistyczne rozumowanie jako błędne kółko myśli, burzy zarazem i swoją indukcyę. Podstawę i całą siłę indukcyjnego rozumowania zakłada na prawie przyczynowości, a zarazem utrzymuje, że do tego prawa dochodzimy przez indukcyę, a więc *idem per idem* — błędne koło. Stateczność prawa przyczynowości, że każde zjawisko ma racyę bytu z poprzedzającej odpowiedniej mu przyczyny, opiera na jednostajności biegu przyrody w wszechświecie a za chwilę, zapomnia-

[1] Str. 97 t. II.

[2] Arist. Prior. C. 29.

wszy co powiedział, nazywa szaleństwem przypuszczenie, jakoby w odległych obszarach gwiaździstych rządziło to samo prawo, co i na naszej ziemi.

Co krok to sprzeczność, zaiste p. R. miał słuszność, pisząc na początku dzieła, że wyśledzenie pochodu mylników Milla wymaga wielkiego natężenia umysłu. Szczególne atoli uznanie należy się autorowi za obronę przeciw Millowi prawdy, od której cały porządek społeczny i obyczajowy zawisł: to jest wolności woli ludzkiej. „Wola jest przyczyną czynności ciała, mówi Mill, w tem samem znaczeniu, w jakiem zimno jest przyczyną lodu, albo iskra jest przyczyną prochu".

A jakże popiera swe zdanie? pyta słusznie p. R. Oto dowody Milla: „Znając pobudki działające w czyimś umyśle, i znając również jego charakter i skłonność, możemy nieomylnie wywnioskować sposób, w jaki będzie działać; znając nawskróś osobę jakąś i wszystkie wpływy, jakie na nią działają, możemy przepowiedzieć jej zachowanie się z równą pewnością, jak zdarzenie fizyczne". Millowi, który wszystko bierze powierzchownie i nie zna różnicy między konjekturą a pewnością, takie pomieszanie przystoi. Ale swoją drogą, między konjekturą jaką z charakteru człowieka wnioskuje się o jego czynach przyszłych, a tą ścisłą pewnością z jaką zdarzenie fizyczne przepowiadamy, różnica jest zasadnicza i jawna. Wszak sam Drobisch, autor „Pierwszych podstaw matematycznej psychologii" czuł się zniewolonym do wyznania: „Jednolite peryodyczne powtarzanie się zjawisk, charakteryzujące mechanizm, machiny i obieg planet, w życiu duchowem zostaje bez żadnego wyrazu" [1]. To samo mówi Wundt [2], którego nikt przecie nie będzie podejrzywał o sojusz ze spirytualizmem.

Zresztą nie tu miejsce zapuszczać się w udowodnienie wolnej woli. Zwracamy tylko uwagę, że Mill — pozytywista protestujący co chwila, że kwestyi metafizycznych nie tyka, że ich ani twierdząco ani przecząco nie rozstrzyga — zapuszcza się w zaprzeczanie wolnej woli dalej niż jaki metafizyk. Według niego człowiek znający wszystkie czynniki przyrody, ich właściwości i prawa działa-

[1] Cyt. aut. 211. t. II.

[2] *Wundt:* Gründzüge der Physiologischen Psychologie str. 5. 6.

nia mógłby w formułce matematycznej jakby w jakiemś czarnoksięskiem źwierciadle ujrzeć całe następne dzieje świata. Gdyby zaś poszczególny stan całego świata mógł się kiedykolwiek powtórzyć, wszystkie następne stany powtórzyłyby się okresami jak ułamek dziesiętny o wielocyfrowym okresie:

Jam redit et virgo-redeunt Saturnia regna,
Alter erit tum Typhys et altera quas vehat Argo
Delectos heroas; erunt quoque altera bella
Atque iterum ad Troiam magnus mittetur Achilles.

I to wszystko przeprowadza wódz pozytywistów w „Systemie Logiki“, który wedle jego zdania nie ma nic zgoła do czynienia z badaniami metafizycznemi.

Jak widzimy p. R. dokonał swego: po przeczytaniu jego dzieła widzi się jasno, że empiryzm Milla a w szczególności jego „System Logiki“ jest nie do uwierzenia błędnym, bałamutnym i płytkim. Zasługą autora jest, że to ściśle i dowodnie wykazał. Ale jeszcze większą zasługą, że odważył się, wbrew utartej dziś rutynie, nazwać rzeczy po imieniu.

P. Kozłowski w *Ateneum* nazywa to stronniczością. Ale taką stronniczość dla prawdy cenimy, a bezstronność i obojętność między prawdą a fałszem zostawiamy pozytywistom.

K. R.

Catalogus Codicum manu scriptorum Musei principum Czartoryski Cracoviensis, edidit *Dr. Josephus Korzeniowski.* Cracoviae 1887 fasciculus I. str. 96.

Kiedy w roku 1872 otrzymałem pozwolenie porobienia niektórych wypisów z archiwum książąt Czartoryskich, chwilowo złożonem w kórnickiej bibliotece, z okoliczności tej korzystając, napisałem jeden czy dwa listy drukowane w odcinku *Dziennika Poznańskiego* ogólnikowo objaśniając, co to za skarby źródeł historycznych mieszczą się w tym pierwszorzędnym zbiorze rękopisów. Odezwanie się to moje, wywołało stron pewnych i sfer niektórych jakieś niezadowolenie; odtąd aczkolwiek po wielekroć razy miałem to szczęście rozkoszować się wielu nieocenionej wartości kodeksami rękopiśmiennemi Muzeum książąt Czartoryskich — radości mojej nie dzieliłem publicznie z tymi, których skarby takie naukowe obchodzą zawsze. Dziś gdy zeszytami ukazywać się poczyna w druku katalog rękopisów Muzeum rzeczonego — o pierwszym, który obejmuje opis 438 kodeksów rękopiśmiennych, słów kilka skreślić za miły poczytuję obowiązek.

Zeszyt pierwszy podanego wyżej katalogu, aczkolwiek obejmuje i na okładce i w numerze bieżącym 438 opisanych kodeksów rękopiśmiennych, tyle

ich jednak niema właściwie, albowiem przy czterdziestu ośmiu kodeksach, smutną napisano wzmiankę *deest* to jest, nie znajduje się w archiwum, lecz wzmianka ta naprowadza na domysł, że kodeks, mający tak smutną klauzulę był kiedyś w tem bogatem archiwum tylko dziś, nie ma go niestety. — Brak taki 48 kodeksów na 438 woluminów to bardzo znaczny procent ubytków. Przyczynę tych strat o ile wiem, wyjaśnię najprzód. Do roku 1831, jak inne muzealne przedmioty zbiorów książąt Czartoryskich, tak i rękopisy znajdowały się w Puławach — w tym roku razem z właścicielami skarbów, poszły na życie tułacze, część z tych zabrał nieprzyjaciel, część rozebrali przyjaciele do przechowania, część uwieziono szczęśliwie do Sieniawy i Paryża. Po latach czterdziestu kilku, kiedy poczęto porządkować rękopisy, sprawdzając je z inwentarzem dawnym puławskim, pokazał się brak kilkuset woluminów; nie zmieniając więc sygnatury puławskiej, zinwentaryzowano je nanowo, brakujące zaś kodeksy smutnem oznaczono słowem *deest*. Tym sposobem tłumaczą się te 48 kodeksów brakujące w tym zeszycie, z których o kilku tylko wiadomo że znajdują się w kórnickiej bibliotece — gdzie inne znachodzą się, dotąd nie odszukano. Między brakującemi kodeksami nie ma Inwentarza *Tek Naruszewicza* (230), *Lites ac res gestae cruciferorum* woluminu pergaminowego (231), nie ma 12-tu woluminów dokumentów odnoszących się do panowania Zygmunta Augusta a 20 do panowania Zygmunta III., w tych zaś ciekawego dyaryusza wojny Szwedzkiej i dyaryuszów sejmowych. — Notuję to na samym początku dlatego, aby zwrócić uwagę wszystkich co posiadają rękopisy, czy nie znachodzi się czasem w ich archiwach taki, którego brak właśnie w archiwum książąt Czartoryskich; notuję dlatego, by pracujący po zagranicznych bibliotekach rodacy nie pomijali kwerendy za temi właśnie zaginionemi kodeksami. Do sprawozdania teraz i recenzyi tego pierwszego zeszytu przystępując to zaznaczam najprzód.

Aż do nru 217b obejmuje katalog opis tyluż woluminów rękopisów, zwanych powszechnie i znanych pod imieniem *Teki Naruszewicza*. We wstępie do opisu tek rzeczonych, pracowity wydawca daje treściwą historyę tychże i genezę onych, od nich rozpoczyna katalog, i słusznie, gdyż one tak w inwentarzach jak i w porządku rękopisów naczelne zajmują miejsce. Teki te obejmują w kopiach około 40.000 dyplomatów, dokumentów, listów, aktów i źródeł historycznych i t. d. od piastowskich czasów zacząwszy aż do roku 1762, a to w chronologicznym porządku do panowania każdego z królów polskich. Wielki ten materyał historyczny odpisany jest z przelicznych dawnych archiwów polskich — im z późniejszych czasów tym obfitsze, a tu na dowód dosyć jest wspomnieć, że do samego Zygmunta III. jest woluminów 34.

Podać z każdego woluminu choćby najpobieżniejszy spis dokumentów mieszczących się w oddzielnym woluminie, aczkolwiek przyznaję, że publikacya taka byłaby arcypożądana, arcypożyteczna, zwiększyłoby to jednak wydawnictwo tak bardzo, że na rejestr dokumentów z tek samych jużby poświęcić potrzeba tom duży — z tem tedy licząc się autor katalogu, z każdego woluminu zaznaczył tylko najważniejsze dokumenty. Czy wybór szczęśliwy był zawsze, to trudno orzec na razie; na każdy raz zadowolnić się musimy wskazówką, że w takim a takim woluminie znajdują się dokumenty historyczne, odnoszące się do takiego a takiego panowania — lub do takiej a takiej epoki, w których szukać dopiero potrzeba, co kto znaleść tu pragnie.

Po woluminach *Tek Naruszewicza*, mamy w katalogu podanych 10 wo-

luminów dokumentów familijnych od 218—226 i 392, głównie do rodziny Sieniawskich; dalej 3 woluminy regestrów metryki Litewskiej (227—229); 4 woluminy do spraw krzyżackich (232—235); 5 voluminów dokumentów historycznych do czasów Jagiellońskich (237—239, 306 i 307); 10 woluminów z archiwum Warmińskiego, zawierających parę tysięcy autografów, to jest listów do Kromera, Hozyusza, Dantyszka i t. d. lub od tychże wzajemnych. *Acta Tomiciana* przytoczone są w katalogu w liczbie 40 voluminów. Akty do spraw Inflanckich i Kurlandzkich mieszczą się w pięciu kodeksach (392, 302, 303, 312, 391). Akty do panowania królów elekcyjnych znajdują się w voluminach (300, 301, 309, 310, 313). Dokumenty do rokoszu Zebrzydowskiego obejmują 7 voluminów (335—341). Dokumenty odnoszące się do panowania Zygmunta III. łącznie z aktami podkanclerskiemi Zadzika 31. Wspomniałem był wyżej, że w tekach Naruszewicza dokumentów do panowania Zygmunta III. jest 34, do tych doliczywszy 20 woluminów zapisanych w inwentarzu a zaginionych, 7 woluminów odnoszących się do rokoszu Zebrzydowskiego, mamy imponujący materyał zawarty w 92 poważnych woluminach. Gdy zaś dodamy i to jeszcze, że w dalszym ciągu skarbów archiwalnych niejeden napewno znajdzie się volumen, obejmujący źródła do dziejów Zygmunta III., jasne możemy mieć wyobrażenie o bogactwie rękopiśmiennego materyału, przeważnie nieznanego dotąd, z którym zabierający się do napisania historyi liczyć się musi koniecznie i czasu wiele poświęcić na samo czytanie, a cóż dopiero na studya sumienne. Jakże więc wielka przed nami droga do pracy długiej, jakże wiele nie zrobiono jeszcze, a co jednakże zrobione być powinno i miejmy nadzieję zrobione będzie. — Pod numerem 375 i następnymi aż do 438 skatalogowane są woluminy zawierające obfity historyczny materyał do panowania Władysława IV., Jana Kaźmierza, Michała Wiśniowieckiego, i Jana Sobieskiego. — Materyał to pierwszorzędnej wartości, oczekujący na razie choćby na regesta same.

To opowiedziawszy o treści książki, pilno mi rzec słowo o niej jako o wydawnictwie. Nie pierwsza to już tego rodzaju publikacya polska. Dr. Wisłocki przed kilku laty poważne ogłosił dzieło: *Katalog rękopisów biblioteki Jagiellońskiej* gruntownie opracowany, a takim dokładnym zaopatrzony regestrem, że jest najzupełniejszą wskazówką ku wiadomości, co w rękopisach posiada ta prastara książnica polska. Drugi z porządku katalog rękopisów polskich biblioteki Ossolińskich począł ogłaszać Dr. Kętrzyński. Trzeci kodeksów rękopiśmiennych kapituły katedralnej krakowskiej, jam opracował, czwarty ogłosiła biblioteka Raczyńskich w Poznaniu; jest więc już piękny początek, który daj Boże by innych właścicieli cennych rękopiśmiennych zbiorów — że wspomnę tu: Kórnickie, Dzikowskie, Wilanowskie, Warszawskie: Zamojskich, Krasińskich i t. d. — pobudził szczęśliwie ku naśladowaniu. Katalogi takie dla nauki byłyby nieocenionym skarbem, świat naukowy poznałby dopiero, jakie to bogactwo ma Polska w kodeksach rękopiśmiennych, a badacze rzeczy ojczystych dnie i noce dzięki by składali za ułatwienie im poszukiwań odnośnych zabytków piśmiennych.

Która z metod już ogłoszonych katalogów najlepsza jest i najprzydatniejsza nie umiem powiedzieć, żeby nie mówić *pro domo sua*, wolę więc ogólnie zaznaczyć, byle jak najwięcej miała naśladowców i jak najtreściwiej całość podawała rękopiśmiennych zbiorów. Autor katalogu tej metody, w której podanyby był regestr całkowity rzeczy mieszczących się w każdym woluminie, jak już zaznaczyłem przyjąć jej nie mógł, gdyż taki katalog wzrósłby do wielkich

rozmiarów — ograniczył się więc na wzmiance rzeczy najważniejszych, w każdym voluminie znajdujących się. Czy wybór ten szczęśliwy i istotny, orzec o tem niepodobna, bardzo być bowiem może, że to co autorowi katalogu zdawało się mniej ważne i czego nie zaznaczył, dla drugiego pracownika jest wiadomością bardzo pożądaną. I tak sześć tylko kodeksów w całym katalogu 307, 318, 320, 366, 384 i 408 nazwał autor *maximi* lub *summi momenti;* ja przydałbym do nich trzy jeszcze woluminy aktów podkanclerskich Zadzika 357, 359 i 365, trzy woluminy regestrów metryki litewskiej 227, 228, 229, wszystkie voluminy tranzakcyi z Krzyżakami, dla tych głównie rzeczy, które nie są wydane *w Lites ac res gestae Cruciferorum*, kodeks Warmiński 403 i może wiele innych jeszcze woluminów, tych zwłaszcza, które odnoszą się do epoki piastowskiej i Jagiellońskiej. Co do języka, w którym ogłoszony jest katalog, powinszować należy tak muzeum jak i autorowi, że wybrano język łaciński, że jednakże wszystko nie mogło być redagowane w tym języku a mianowicie te dokumenty polskie, które miały polską intytulacyą, na to my zgadzamy się najzupełniej, ale że za granicą i cudzoziemcy odpowiedniego nie znajdując objaśnienia różnie to tłumaczyć będą, to zdaje się rzeczą więcej niż pewną. O języku mówiąc nie podobna nie wypowiedzieć zdziwienia, dla czego autor wszędzie używa bardzo przestarzałego wyrazu *epistulae, epistularum*, którego być może, że używał w starożytności klasyk jaki mniej znany, lecz zato żaden z pierwszorzędnych autorów, że wymienię tu Cycerona i Horacego, nigdy nie użył epistulae lecz jedynie epistolae, litterae. Dziwnie też brzmi nam wyrażenia sz. autora *controversiae interlinae religionis* (380), ale tyle też tylko zaznaczeń pod względem lingwistycznym. Drobnostki te maleją zupełnie w porównaniu z tą nieocenioną korzyścią naukową, jaką dla pracujących na polu naukowem przynosi ten ciekawy ze wszech miar katalog. Oby dalsze onego zeszyty ukazały się jak najrychlej dla dobra nauki.

X. J. Polkowski.

Karol Appel i A. A. Kryński. Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim. Odbitka z I. tomu „Prac filologicznych". Warszawa 1886, 8⁰ 184.

Nader ciekawą i pożyteczną pracę mamy przed sobą, napisaną przez dwóch profesorów warszawskich znanych już z wielu rozpraw o języku polskim. Kto zechce wiedzieć co u nas zdziałano w kilku ostatnich dziesiątkach lat około poznania języka polskiego, ten znajdzie w pracy niniejszej wszystko. Mamy tu nietylko spis dzieł, ale zarazem krótką ich treść wraz z oceną i wskazówki, gdzie recenzyj tych dzieł szukać należy.

Układ książki nie pozostawia nic do życzenia. Podano najsamprzód czasopisma, wydawnictwa zbiorowe i źródła bibliograficzne, następuje potem językoznawstwo wogóle, dalej słowiańskie, a wreszcie polskie. W tym ostatnim dziale niepominięto prawie żadnej pracy, która ma jakiekolwiek znaczenie naukowe. Znajdujemy tu wyliczone gramatyki polskie i specyalne prace z tego zakresu, potem pomniki języka polskiego i ich opracowania, a wreszcie prace dyalektologiczne, zbiory pieśni i podań ludowych, rzeczy leksykograficzne, praktyczne gramatyki , rozprawy o pisowni i poprawności języka polskiego. Na

końcu dziełka mamy wykaz nazwisk autorów z przytoczeniem stron, gdzie mowa o nich lub o ich dziełach.

Pochwały tu zbyteczne, praca sama się zaleca. O ile nam wiadomo, tego rodzaju pracy nie posiada żadna z literatur słowiańskich.

Szymon Matusiak.

Pruska ustawa kościelno-polityczna z dnia 21 maja 1886 r., napisał *Dr. Władysław Abraham.*

Rozegranie kulturnej walki w Niemczech obchodzi nas wszystkich jako katolików i oraz jako Polaków, bo ten sam demon, który pokutował w kulturkampfie, przedzierzgnął się na koniec w dzisiejszą *Polenschlacht.* A jego przegrana w walce z duchem katolickim daje nam otuchę, że i narodowa nasza sprawa nie stracona, skoro jest tak ściśle z katolicką spojona.

Na tę interesującą chwilę przełomu rzucił prawdziwe światło młody docent prawa kanonicznego na Uniwersytecie Jagiellońskiem w rozprawie, drukowanej najprzód w *Przeglądzie Polskim* a obecnie osobno wydanej.

Znajdujemy w tej broszurze nietylko dokładność prawnikowi właściwą, ale też przejrzystość w wyłuszczeniu tej zawiłej ewolucyi anty-kościelnego prawodawstwa, świadczącą o talencie pisarza i prawdziwe rozumienie ducha praw i dążności kościoła w tej walce; jedno świadczy o talencie, drugie o przekonaniach autora.

X. M. M.

Nauki na Niedziele i Święta całego roku miane w kolegiacie Łowickiej przez *ks. Antoniego Chmielowskiego.* Tom I. Warszawa 1887.

Pierwszy ten tom obejmuje czas Adwentu i Bożego Narodzenia. Obok własnych kazań przytacza autor na każdą niemal niedzielę i święto po jednej lub kilka homilij z ojców kościoła w pięknym przekładzie polskim. Kazania zaś jego są przeważnie treści homiletycznej lub moralnej. Przystępny w nich wykład przeplata wiele przykładów z życia świętych i dziejów Kościoła. Obok biegłości w piśmie św., o której świadczą liczne cytaty, znać w autorze znajomość nowszych i starożytnych pisarzy.

X.

Kwartalnik historyczny organ Towarzystwa historycznego pod redakcyą *Ksawerego Liskego,* rocznik I. Zeszyt 1 we Lwowie 1887.

Żadna umiejętność nie cieszy się obecnie u nas takim postępem jak historya ojczysta. Przy rozbudzonej od ćwierćwiecza żądzy poznania naszej przeszłości, obok nowej a bardziej naukowej metody, a przytem pracy wytrwałej przedstawiają nam się dzieje Rzeczypospolitej w zupełnie innem świetle jak dawniej: skarbnicę dziejową wzbogaciło wiele szczegółów dotąd nie znanych, niejedną kwestyę zawiłą rozjaśniono, wiele fałszów i mylnych poglądów sprostowano. Zastęp historyków, wśród których ludzie takiej miary jak Szajnocha, Szujski, Kalinka rośnie z dniem każdym. We wszystkich niemal czasopismach drukują się liczne rozprawy i artykuły poważnej treści historycznej, do których materyału dostarczają wciąż świeżo publikujące się dokumenty, biblioteki publiczne i zbiory prywatne.

Ażeby tę pracę uczynić bardziej pożyteczną, rozleglejszą i większej doniosłości postanowiło grono młodych pracowników *unitis viribus* ją prowadzić, zawiązując się w Towarzystwo do którego zaproszono sobie ludzi znanych z nauki i prac historycznych. Prezesem wedle statutów został Ksawery Liske zasłużony profesor Wszechnicy lwowskiej, a obok niego wstąpili tacy mężowie, jak Dr. Kętrzyński, Dr. Wojciechowski, Dr. Roman Pilat. Celem tego Towarzystwa, jak stanowią jego statuty jest „wzbudzać i popierać rozwój nauk historycznych z szczególnem uwzględnieniem dziejów Rusi Czerwonej".

Dnia 14 paźdz. 1886 r. odbyło się pierwsze walne zebranie, w którem uczestniczyło do 50 historyków, na niem dokonano wyborów i składu redakcyi czasopisma, które ma być organem nowego Towarzystwa. Pierwszy jego zeszyt ukazał się z nowym rokiem. Rozpoczyna go krytyczne studyum F. Bostla, kto jest autorem dziełka z XVI wieku: *Conciones in maximo totius regni Poloniae conventu apud Leopolim de republica habitae.* Dotychczas przypisywano je Orzechowskiemu, w r. 1871 zachwiał wiarę w jego autorstwo Dr. Kętrzyński, przysądzając je Górskiemu. P. Bostel w rozprawie swej, opierając się głównie na samem dziele i sposobie pisania, konkluduje że Górski nie może być jego autorem, czy jest nim Orzechowski, kiedyś może dalsze badania okażą. Największą atoli część kwartalnika stanowią krytyki i sprawozdania z dzieł i rozpraw tyczących się historyi polskiej, zarówno w kraju jak i poza granicami jego wydanych. Za tem idzie wykaz obszerniejszych recenzyi i sprawozdań, umieszczonych w innych czasopismach a wreszcie bibliografia dzieł zagranicznych.

Jakiej doniosłości może być tak redagowane czasopismo nietrudno odgadnąć. Przez swe sprawozdania zapoznawać będzie czytelników z całym ruchem historycznym a rozumną krytyką utrzyma w należytej ryzie autorów, nie da się błędom i mylnym poglądom zakorzenić. Największa część krytyk umieszczonych w pierwszym zeszycie utwierdza nas w mniemaniu, że redakcya „Kwartalnika historycznego" pojmuje doniosłość swego zadania.

B.

Kazania Niedzielne, Świętalne, Passyjne i Majowe przez *X. Zygmunta Goliana.* Wydanie drugie powiększone, w Krakowie 1887.

Niedawno ukazał się bardzo piękny przedruk kazań ś. p. X. Zygmunta Goliana. Zewsząd jednak podnoszą się skargi i bardzo słuszne, że to wydanie jako pośmiertne nie odpowiada swemu celowi. Prócz kazań z najmłodszych lat jego kapłaństwa, które nie są zupełną miarą wielkiego talentu i wymowy ś. p. X. Zygmunta, znajdujemy tu tylko trzy nauki a raczej szkice dodane. Pominięte zaś kazania tak w bibliotece kaznodziejskiej krakowskiej w r. 1876, jak i oddzielnie drukowane. Niefortunne to wydanie tem sobie tylko tłumaczymy, że osoba niekompetentna podjęła się tego, nie zasięgając rady ani żądając pomocy u tych, którzyby jej chętnie i należycie udzielili.

Z. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

The forgotten Nation. By *Maude Ashurst Bigss.* London. Published by the Literary Association of the Friends of Poland. 1886.

„Zapomniany naród! jakiż to zapomniany naród?“ pyta się Angielka, pani Bigss, dobrze znana w Polsce tłumaczka Pana Tadeusza i Konrada Wallenroda. Czy we wnętrzu Nowej Gwinei odkryto nieznane dotąd pokolenie; czy jaki podróżnik natrafił na wyspę nie dość dotąd zbadaną? Nie — naród ten, leży w środku Europy; kiedyś zajmowano się i pisano o nim wiele; ale od pewnego czasu zdawałoby się, że znikł z powierzchni ziemi, tak o nim głucho i cicho; a choć kto się czasem o Polsce półsłówkiem odezwie, to zazwyczaj niechętnie, a zawsze prawie niedokładnie. Czemu przypisać to zobojętnienie, tę nieznajomość polskich stosunków, które przecież powinnyby choć tyle Anglię obchodzić, co np. stosunki ludów Afryki centralnej? Przedewszystkiem złym i fałszywym wyobrażeniom, które zagnieździły się w Anglii, a dzięki którym Polska przedstawia się w umysłach Anglików, to w fantastycznych barwach do gruntu socyalistycznego kraju; to znów jako raj niezdrowej bigoteryi, śmiesznego ultrakonserwatyzmu, broniącego się przed napadem europejskiej cywilizacyi, w zamkach swych i szlacheckich dworach. Nieraz przyrównywano Polskę do Irlandyi, a w porównaniu tem jest coś prawdy ale jest i dużo fałszu; Irlandczycy spiskują a dzisiejsi Polacy są wrogami spisków, nie tworzą tajemnych stowarzyszeń, a jawnej agitacyi tworzyć nie mogą. Carlyle i inni odmalowali Anglikom złe dawne polskie czasy, swawolę i wygórowane przywileje szlachty; ale pisarze ci nie powiedzieli im, że sama szlachta na pamiętnym sejmie czteroletnim pracowała najusilniej nad usunięciem zarodków swawoli i ścieśnieniem zbytnich przywilejów. Polacy przywiązani są do wiary katolickiej, ale z tego zarzutu niepodobna im czynić; przypomniećby raczej można Anglikom, że kiedy w XVI. w. cała niemal Europa, a wespół z nią i Anglia była teatrem religijnych prześladowań, to w jednej Polsce w całej pełni kwitła tolerancya. Stosunek szlachty do ludu był w Polsce ten sam, jaki przez długie wieki panował i w innych krajach; sama szlachta polska parła do wyzwolenia chłopów z poddaństwa; a jak dziś Anglicy nie chcą i nie myślą wrócić do feudalizmu, tak i Polacy nie myślą wskrzeszać poddaństwa i pańszczyzny.

Czemże więc są dzisiaj Polacy? W odpowiedzi na to pytanie kreśli autorka w kilku śmiałych rysach obraz dzisiejszej Polski pod trzema zaborami. Rzeczy to nam znane, powtarzać więc ich nie potrzebujemy; na każdej stronicy znać, że szczere współczucie i miłość nie tylko dla literatury, ale dla całego naszego kraju natchnęła te słowa nieokraszone retorycznemi wykrzyknikami, ale samą prawdą dość wymowne. Opisując smutny los przybyłych do Londynu w ostatnich miesiącach wygnańców polskich z Prus, zwraca się autorka z gorącą prośbą do swych rodaków, aby bez różnicy przekonań politycznych śpieszyli nieszczęśliwym z pomocą. Pokażcie w ten sposób, woła, że dla Anglików Polska przestała już być zapomnianym narodem! Jak wiemy z odezwy, niedawno przez „Towarzystwo Przyjaciół Polski“ ogłoszonej po dzien-

nikach, pomocy tej potrzebują wygnańcy koniecznie, aby nie umrzeć śmiercią głodową; stąd książeczka p. Bigss, zachęcająca do ofiar w tym celu, jest nie tylko bardzo nam miłym i sympatycznym objawem, ale zarazem prawdziwym uczynkiem miłosierdzia.

J. B.

Ungarn von der Schlacht bei Mohács. (1524—1526). Auf Grund der päpstlichen Nuntiaturberichte von *Dr. Wilhelm Fraknói,* Generalsecretär und ordentliches Mitglied der ungarischen Akademie der Wissenschaften in Budapest. Autorisirte Uebersetzung aus dem Ungarischen von *Dr. J. H. Schwicker.* VIII. 314 S. 8⁰ Budapest. W. Lauffer. 1886.

Jednym z pierwszych owoców otwarcia archiwum Watykańskiego były wydane r. 1884 „Monumenta Vaticana Hungarica: Relationes oratorum pontificiorum 1524—1526", zawierające oryginalne włoskie depesze kardynała legata Campeggio i nuncyusza Burgio. Nadzwyczaj bogaty ten i pouczający materyał historyczny przystępny był z samej natury rzeczy tylko dla szczupłego grona fachowych historyków; osnute na ich tle dzieło Fraknóia roztacza po raz pierwszy we wszystkich szczegółach przed oczami szerokich kół czytelników smutną kartę ówczesnych węgierskich dziejów, tak podobną do historyi naszych przedrozbiorowych czasów. Zewnątrz groził Turek, wewnątrz egoizm możnowładców, dziwne zaślepienie całego narodu w własną potęgę, lekkomyślność króla odejmowały nadzieję ratunku. Piętnastoletniego Ludwika II. i chciwą zabaw młodocianą jego małżonkę, siostrę cesarską Maryę, zajmowały tańce, polowania, biesiady; dworzanie otwarcie sobie żartowali z królewskiej pary, poza której plecami robił co mu się podobało wpływowy Jerzy, margrabia brandenburski. „Dobry to człowiek, pisze Campeggio o królu, ale do niczego niezdatny. Biada narodowi, który ma dziecko za króla!"

Tymczasem, kiedy Węgrzy, nie czując wędzidła, trawili czas na wzajemnych waśniach i oddawali się w swych zamkach wesołemu życiu, Turcy weszli w mury Belgradu. Papież Hadryan posyła królowi 100.000 dukatów na wojnę przeciw niewiernym, ale przysłane pieniądze gdzieś utonęły, a wojsko nie stanęło. Pomimo tego Klemens VII. ofiarowuje ponownie 50.000 dukatów; z Rzymu rozbiegają się posłowie do wielkich mocarstw europejskich, błagając o pomoc dla ocalenia chrześcijańskiego królestwa. W zagrożonych Węgrzech jeden tylko biskup z Koloczy, Franciszkanin Paweł Tomori, rozumie całą grozę położenia; chciałby wstrzymać ojczyznę nad brzegiem przepaści; ale zawiść i z każdym dniem rosnąca lekkomyślność nie dają mu dokonać tego dzieła. Prześliczna postać, tego rycerza ascety, prawdziwie ze spiżu ukuta; długi czas przyjąć nie chce naczelnego dowództwa nad węgierskiemi wojskami, wreszcie uchylić musi głowę wobec wyraźnego rozkazu papieża, wypraszając się natomiast stanowczo od przywdziania kardynalskiego kapelusza. Jest dowódca, ale niema wojska, niema fortec, niema zwłaszcza jedności i pieniędzy; sam król musi prosić swych dworzan o pożyczenie kilku złotych, aby miał ich czem przyjąć; a magnaci spoglądając z zadowoleniem na rozpaczliwe zabiegi Tomoriego, powtarzają na hucznych polowaniach, na które ich król zaprosił: „Zobaczymy, jak sobie mnich poradzi". — Wreszcie 29 sierpnia 1526

stanęło 28.000 Węgrów przeciw 300.000 Muzułmanów. Wynik walki znajomy; mnich sobie nie poradził; Węgrzy bili się jak lwy, ale męstwem nie odkupili dawnych grzechów, które na długie wieki pogrążyły ich w haniebną niewolę półksiężyca.

Bolesne to dzieje, ale tem bardziej pouczające, że opowiedziane przez naocznych świadków, znakomitych dyplomatów, a bezstronnych sędziów. Wielka i piękna rola, jaką odgrywało papiestwo w dziejach świata, występuje tu w całem świetle; nie wina papieży, że nawoływania ich pozostawały bezskuteczne, a materyalna pomoc udzielana z nadzwyczajnemi wysileniami szła na rozrywki butnych a egoistycznych szaleńców.

X.

Les Maitres italiens en Italie, par *Jules Levallois*, lauréat de l' Académie. in 4° XLI. 455. Avec gravures dans le texte. 1887. Tours Mame et fils. 15 francs.

Młody Julian Maynard, zarażony pessymistycznym sceptycyzmem, marnuje dany sobie od Boga talent i dobrowolnie niszczy w swem sercu wszystkie wyższe podniośiejsze uczucia; szczęściem, nieszczęśliwy ten młodzieniec, chorobliwy typ coraz częściej dziś się powtarzający, znajduje rozumnego przyjaciela Dr. Auberta, który leczy go zwolna wtajemniczając w krainę piękna i sztuki. Obaj przyjaciele wybierają się do Włoch; przypatrują się z kolei najznakomitszym dziełom pendzla i dłuta, a Maynard ani się nie spostrzega, jak te obrazy, posągi i katedry coraz wyraźniej doń przemawiają i w inny zupełnie nieznany świat ciągną jego myśli. Po drodze zawiązują się znajomości i wywiązują żywe estetyczne dysputy; Maurycy Meyer jedynie ceni i wielbi sztukę pogańską; hr. de Vallegres, nie artysta z powołania ale wykształcony i rozumny amator, broni zdrowego smaku, niespaczonego żadną z góry nakazaną akademicką formułką; wreszcie Dr. Aubert, przemawiając w imieniu autora, godzi i sprowadza do harmonii różnorodne żywioły. Giotto i Fra Angelico, Rafael i Michał Anioł, dawniejsi i nowsi mistrzowie przesuwają mu się przed okiem i dają powód to do interesujących rozmów, to do długich listów, w których pytania estetyczne krzyżują się z filozoficznemi, to znowu do ważnych uwag zapisywanych skrzętnie w podróżnym dzienniczku. Dobrze pojęta sztuka odradza Maynarda: wyjechał z Francyi szydercą i sceptykiem, wraca do niej miłującym bliźnich młodzieńcem, wierzącym chrześcijaninem.

Taką jest treść tego dzieła, które pod przyjemną formą zawiera wiele erudycyi, a daje nauki pod każdym względem pożyteczne. Liczne dobrze wykonane ryciny znaleść się mogą bezpiecznie w ręku każdego; cały szereg portretów głównych mistrzów włoskich pomaga do ugrupowania ich sobie w pamięci. Szczególnie nadaje się ta książka, jako podarek dla dorastających dziewcząt i chłopców, których *Sztuka chrześcijańska* p. Rio nie dośćby może jeszcze interesowała; ale i w każdym salonie będzie na swojem miejscu, a niejednemu pożytecznie skróci nudny czas oczekiwania i nieraz przyczyni się do ożywienia obumierającej rozmowy.

J. B.

Der Lautwerth der Nasalvocale im Altpolnischen. Eine grammatische Studie von *Dr. Phil. Joannes Leciejewski* privatdocent für slavische Philologie in Wien. Wien 1886, 8⁰ 165.

Zanim doszliśmy do jakiego takiego ustalenia pisowni w XVI. w. zeszło prawie dwa wieki (XIV. i XV.) na łamaniu się z trudnościami przy zastosowaniu grafiki łacińskiej do naszego języka. Trudności były nie małe, gdyż brakło w alfabecie łacińskim wielu znaków na oddanie dźwięków mowie naszej właściwych Brakowało między innemi znaków na wyrażenie naszych dźwięków nosowych i radzono tu sobie w różny sposób. Jedni oznaczali nasze *ę* i *ą* przez znak (), drudzy przez *a* z kreską, inni przez *an, am*. Ponieważ w zabytkach staropolskich tak dźwięk *ę* jak i *ą* wyrażano jednym znakiem, stąd zaczęli niektórzy wnioskować, że w staropolszczyznie posiadaliśmy nie dwa dźwięki nosowe, ale jeden. Wzięto się też zaraz do wyszukania, jak ten dźwięk brzmiał i dowodzono, że brzmiał on jak *an, am*: mówiliśmy zatem *damb, damba*, a nie tak jak dziś *dąb, dęba*. Twórcą tej idei jest prof. L. Malinowski, a jego spadkobiercą jak się pokazuje, jest p. Leciejewski. Między nimi zachodzi tylko ta różnica, że p. Malinowski przypuszczał istnienie dźwięku *ę* po spółgłoskach miękkich, a p. Leciejewski i tę myśl zarzucił.

Przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy już od pierwszej chwili występowali uczeni i twierdzili, że jak dziś posiada tak i oddawien dawna język nasz posiadał dwa dźwięki nosowe tj. *ę* i *ą*. Dowód na to jest między innemi ten, że dźwięki nosowe oddawano w staropolszczyznie także przez *en, on, em, om*, coby nie było możliwe, gdybyśmy dźwięku *ę* i *ą* nie posiadali. Wszechstronnie staraliśmy się przedmiot ten przedstawić w pracy: „O niektórych zjawiskach języka polskiego“ i tam też ciekawych odsyłamy. Tu tylko nadmienimy że, mimo wielkich wysiłeń i ogromnego nakładu pracy, nie udało się autorowi dowieść, jakobyśmy w staropolszczyznie jeden tylko dźwięk nosowy posiadali, który, jak autor sądzi, mógł być krótki lub długi.

Szymon Matusiak.

Missiones catholicae ritus latini, cura S Congregationis de propaganda fide descriptae in annum 1886. Romae. Ex typographia polyglotta S. C. de propaganda fide 1886. In 16⁰ p. 414.

Ktoby wątpił jeszcze o żywotności, o wiecznej młodzieńczości katolickiego kościoła, temu urzędowe to sprawozdanie o liczbie i stanie misyi, zależnych od kongregacyi rozszerzenia wiary, otworzyć powinno oczy. Sprawozdanie to po raz pierwszy w takich rozmiarach i w ten sposób ogłoszone pewnie przyczyni się nie mało do dalszego wzrostu, do energicznego poparcia katolickich misyi. Wierni, wspierający je swym groszem i modlitwą, przekonać się mogą, że ich żarliwość i ofiarność błogie przynosi owoce. Nieco później, jak dowiadujemy się z przedmowy, Kongregacya Rozszerzenia Wiary ma zamiar wydać drugi tom tego dzieła, obejmujący misye katolickie obrządków wschodnich.

J.

Z pism peryodycznych.

Przegląd katolicki, rok 1886.

„Od lat dwóch zmniejszyła się liczba naszych prenumeratorów: w r. 1885 było ich o stu mniej niż w r. 1884, a w roku znów bieżącym liczba ich zmniejszyła się jeszcze blisko o sto“ — pisze *Przegląd katolicki* w Nr. 46 b. r. Zaczynamy od tych słów ważnych, skoro redakcya nie wahała się ich ogłosić. Rzadka to szczerość. Pisma obliczone na zysk nie przyznają się do czegoś podobnego. *Przegląd katolicki*, a raczej jego redakcya nie poczuwa się do winy, dokłada wszelkich starań, aby pismo uczynić dobrem, odpowiedniem swemu założeniu, potrzebom i celowi. Należy mu przyznać, iż spełnia swe zadanie sumiennie. A jednak fakt ubywania prenumeratorów zastanowić musi każdego. Duchowieństwo nie zmniejsza się i niepodobna przypuścić, aby porzucało pismo, które niezbędnie jest nam potrzebne i znakomitą oddaje usługę. Więc chyba świeccy prenumeratorowie zaprowadzają oszczędność — pięć rubli rocznie!

To drobne niepowodzenie, które materyalną stratę wydawnictwu przynosi, powinno prawdziwych katolików skłonić do tem żarliwszej propagandy na korzyść *Przeglądu katolickiego*, który prawdziwie dobrze zasługuje się społeczeństwu i kościołowi.

Cel swój widzi redakcya jasno i nie spuszcza go z oka. „Gdy myśl antichrześcijańska z kryjówek swoich wyszła na światło dzienne i w peryodycznych publikacyach potworzyła dla siebie katedry niewiary i szkoły zepsucia, nieodzowna jest potrzeba odpowiednich z drugiej strony dziennikarskich katedr, z którychby nieustannie głoszono prawdę, wykazywano jej wszechstronne działanie i obnażano nierozum, przewrotność i szkodliwość wrogich wierze doktryn. Jak dzienniki umysłowej i moralnej rozpusty roznoszą po domach chrześcijańskich zarody stokroć straszliwszej niż cholera zarazy, tak pisma, służące prawdzie Chrystusowej, jako przeciwtrucizna wszędzie ręką chrześcijańską niesione być winny. Wierni Bogu i Kościołowi świętemu nie powinni ustępować w gorliwości propagandzistom niewiary“.

Jak *Przegląd katolicki* spełnia program wyłożony w słowach powyższych, o tem nas najlepiej pouczy bliższe rozpatrzenie się w ostatnim jego roczniku. Da ono nam zarazem poznać wszechstronną czujność pisma tego i rozliczną broń, której przeciwnicy się chwytają a przekonamy się też, że zwłaszcza dla duchowieństwa, które obciążone pracą, specyalnemi studyami zajmować się nie może, jest *Przegląd* wydawnictwem nieocenionem, nieraz dopełnia braki w nauce a kierując sądem o ważniejszych sprawach, autorach i pismach, chronić może i chroni od wielu niebezpieczeństw.

Tytuł obszernej pracy *Młodość św. Franciszka z Assyżu i początki jego zakonu* dostatecznie oznacza piękną jej i pouczającą treść; niemniej jak i tytuł przetłumaczonego na polskie artykułu ks. Corluy: *Wykład Pisma św. wobec wniosków nauki ludzkiej.* Autor znanym jest w całym uczonym świecie katolickim z jasnego, przekonywającego sposobu pisania, i dlatego prawdziwa wdzięczność należy się Redakcyi, że zapoznała z nim polskich czytelników. Obok tych poważnych, dłuższych rozpraw, grupują się inne treści polemicznej i krytycznej. Czytelnik dowiaduje się, jakiem jest i na czem się zasadza francuskie prawo rozwodowe; jakie panują stosunki kościelne we Francyi i Włoszech; jak ruch katolicki rozwija się świetnie po całym świecie. Liczne budowle i odnawiania kościołów wywołały artykuł o kościele i sztukach plastycznych, napisany z fachową znajomością sztuki. Jeden z starszych kapłanów udziela prostych a praktycznych rad księżom młodym, rozpoczynającym zawód i często niepewnym jeszcze, jak w danym wypadku postąpić należy. Sprawozdania ze zjazdów katolickich i niekatolickich pouczają szczegółowo o tem, co się dzieje w życiu poza granicami naszego kraju.

Pomiędzy polemicznemi i krytycznemi rozprawami wybitne miejsce zajmuje ciągnąca się przez cztery numery rozprawa o nocy św. Bartłomieja i stanowisku Rzymu wobec tego faktu dziejowego. Rzecz napozór oddalona od nas, naszego życia, pragnień i dążeń, ale napozór tylko. W podręcznikach historycznych znajdujemy fałsze o tym fakcie, fałsze potępiające papieża a do pewnego stopnia i Kościół. Tacy autorowie, jak Leopold Ranke, nieomieszkali zamieścić w swych dziełach złośliwych aluzyj do stolicy apostolskiej — z racyi nabożeństwa „dziękczynnego“, bicia z dział i palenia sztu-

cznych ogni w dniu, w którym nadeszła do Rzymu wiadomość o paryskiej rzezi. Notujemy to z powodu, że dzieło Rankego *Historya papieży i papiestwa* zostało wydane w Warszawie jeszcze w r. 1874—5 przez redakcyę *Przeglądu tygodniowego*. Również fałszywie ocenił stanowisko Rzymu do nocy św. Bartłomieja K. F. Becker i jego dopełniacze, a właśnie obecnie żyd Olawski wydaje historyę Beckera w polskim (niesłychanie nieudolnym) przekładzie niejakiego Michała Wołowskiego.

Wobec uwielbiań, napotykanych co chwila w pismach pozytywistycznych na cześć zagranicznych „mistrzów“, wobec tłumaczeń materyalistowskich dzieł, rozpraw i broszur, musiał *Przegl. katol.* poświęcić wiele miejsca na ocenę materyalistycznej literatury i poddać krytyce w sposób poważny, naukowy, najnowsze dzieła, szerzące zarazę moralną i ateizm. Do takich wybornych ocen należy artykuł o filozofii religii Maksa Müllera. Poznajemy tu dokładnie zarówno treść dzieła, jak i metodę naukową autora, a liczne cytaty nie pozostawiają wątpliwości o jego dążeniach. Równej wartości, lecz jeszcze szerszego znaczenia jest artykuł p. t. „Najświeższy płód literacki ateizmu“. Mowa tu o „konwencyonalnych kłamstwach“ Maksa Nordaua, które tyle liczą wydań i tyle wywołały hałasu. Pessymizm doprowadził Nordaua do nihilizmu: w każdem jego słowie mieści się nienawiść obecnego porządku, czy to państwowego czy też społecznego i moralnego. To też nadzwyczaj smutnym jest znakiem czasu, iż szermierze katoliccy zmuszeni są przeciw tego rodzaju potwornościom za broń porywać i w walce z niemi zużywać siły i czas.

W rzędzie rozpraw krytycznych odbija od innych rozmiarami, przetłumaczona z niemieckiego a rozpoczęta w *Przeglądzie* jeszcze r. 1885, ocena *Etyki* Spencera przez ks. Wiktora Cathreina. Ważne powody skłoniły redakcyę do ogłoszenia tego przekładu. Biblioteka przekładów dzieł filozoficznych co dnia u nas się powiększa, a rzadko odezwie się głos krytyczny, coby powstrzymał przedwczesne zapały bałwochwalczych pozytywistów. Spencer jest dla nich wielkością, przed którą tłumy biją czołem. Dzienniki pozytywistów głoszą jego sławę bez ustanku, a „Etyka“ szczególnie żywe obudziła zajęcie. Aż do ukazania się krytyki O. Cathreina w *Przeglądzie katolickim* nikt się u nas nie znalazł, coby spró-

bował zedrzeć zasłonę z tej wielkości, nikt nie przypomniał, że kiedyś naukę moralności Spencera nazywano *filozofią wieprzy*, nikt nie pośpieszył z tem prostem a dostatecznie wymownem zdaniem, iż nawet Epikur powstydziłby się takiej etyki, którą u nas wielbić kazano, jako jednę z najdoskonalszych zdobyczy nauki w wieku XIX.

Obok w stal okutych rycerzy uderzających na wrogów ciężką bronią rozumu i nauki, snują się lekkie podjazdowe hufce, które pod skromnym tytułem: *Notatki z prasy peryodycznej*, wpadają w środek nieprzyjacielskiego obozu i niesłychane sprawiają w nim szkody. Podobno niektórzy dziennikarze warszawscy chętnie popieraliby, a przynajmniej nigdyby nie zaczepiali *Przeglądu katolickiego*, gdyby, poprzestając na poważnych artykułach, raz wreszcie dał pokój tym kompromitującym *Notatkom*, które z żadnym nonsensem nie chcą wejść w kompromis, każde głupstwo i każde z głupoty czy ze złej woli wyrzeczone bluźnierstwo, stawiają pod pręgierz. Niektórzy utrzymują, że *Notatki* te mogłyby być pisane w bardziej salonowym tonie. Być może, ale wielkie pytanie, a na pytanie to jeden *Przegląd* może podobno najlepiej odpowiedzieć, czy jego przeciwnicy zrozumieliby ów ton bardziej salonowy i czy pomogłaby im gorzka pigułka prawdy, podana w opłatku. Tak jak są, *Notatki* spełniają wybornie swe zadanie; gdyby nie co innego, to ciche i głośne gniewy nieprzyjaciół już nie *Przeglądu*, ale wiary i dobrych obyczajów, najlepiejby nas o tem mogły przekonać.

I to jest właśnie największą pochwałą i zaszczytem *Przeglądu*, iż wszyscy walczący za dobrą sprawę, za wiarę i obyczaj, grupują się koło niego; a przeciwnie, kto tylko zerwał z wiarą katolicką i płynącym z niej starym polskim obyczajem, temu *Przegląd katolicki* jest solą w oku. Źle, że na całe Królestwo Polskie i gubernie Cesarstwa jest tylko jedno poważne pismo, stawiające tak wysoko sztandar katolicyzmu, a którego jedynem zadaniem jest uczyć wiary, wskazywać jej piękność i stawać w obronie jej interesów; ale dzięki Bogu, że choć jedno takie pismo się znalazło. Jesteśmy przekonani, że redakcya nie ustąpi ze stanowiska, choćby jeszcze gorsze miały dla niej przyjść czasy; pismo mające takie zadanie i taką istotną wartość liczyć może i powinno, mimo chwilowych prób, na powszechniejsze uznanie i świetniejszą przyszłość.

E. Z.

Slovanský Sbornik. Rocznik V. 1886.

Mówi się wiele o Słowiańszczyznie, o wspólnych słowiańskich interesach i energicznem bronieniu ich przez wszystkie słowiańskie ludy, a tymczasem mało się znamy między sobą. Jeśli, stojąc na wskazanem nam przez Boga stanowisku, chcemy wzajemnie przyczynić się do prawdziwego rozwoju pokrewnych nam ludów, to przedewszystkiem musimy się poznać. Do tego celu, z wypisanem na czele motto: „Poznejme se!“ służyć ma założony przed pięciu laty w Pradze pod redakcyą Edwarda Jelinka miesięcznik — *Slovanský Sbornik*. Z samego tytułu widać, że ma to być zbiór, odźwierciedlenie społecznej, historycznej i literackiej działalności całego słowiańskiego świata; zadanie niemałe, które jednak, jak łatwo się przekonać, przeglądając pojedyńcze roczniki, zostało dotychczas w znacznej części wypełnionem. Krótkie sprawozdanie z ostatniego rocznika najlepiej nam to zresztą wykaże.

Choć mały rąbek zasłony, okrywającej tyle zagadek, tyle tajemniczych prądów, nurtujących w głębi Rosyi, odkrywa ciągnąca się przez kilka numerów, bardzo charakterystyczna: *Rozmowa z hr. L. N. Tołstojem*. W poufnej pogadance, którą następnie pozwolił podać do publicznej wiadomości, opowiada Tołstoj swe życie, wyjaśnia swe opinje, maluje żywemi barwami dręczące go wątpliwości: „Poco żyję i naco pracuję?“ Obok biednego mistyka, „ojca nihilizmu“, jak go nazywają, rysują się postacie to typowego „izwoszczyka“, to przeciętnego mużyka rosyjskiego, skreślone piórem *Hornova*. Wszystkie te obrazy dobrze wzajemnie się dopełniają; Tołstoj przebrał się za mużyka i mówi jak on z niecierpliwiącym niemal spokojem: „Bieda będzie, będzie z pewnością. Cóż „robić? Była jest i będzie aż do skończenia świata. My na to nie „poradzimy“. Innym typem jest bajkopisarz z pierwszej połowy bieżącego wieku: *Iwan Andrejewicz Kryłow*, którego życie i literacką działalność opisał w dłuższej rozprawie H. Mejsnar. Warto zapoznać się z Kryłowem, pisze autor, polecając swego bohatera, „boć nawet dowcipni Polacy nie wahali się, mimo wszelkich poli„tycznych niesnasek, wydrukować w Wilnie r. 1851 polski przekład „bajek Iwana Andrejewicza“. Obszerne sprawozdanie z współczesnej rosyjskiej literatury historycznej obznajamia nas z wielu dziełami historycznemi, wydanemi ostatniemi czasy w Rosyi, z których

wiele i dla naszych dziejów niemałej jest wagi. W pięknym opisie podróży z Jałty do Symferopolu, zacytowany po polsku cały sonet Mickiewicza „Ałuszta w dzień“; zresztą z cytatami polskich poetów bardzo często i w innych artykułach spotkać się można. Jak widzimy, *Sbornik* zapoznaje dosyć swych czytelników z Rosyą, z dziejami dawnej i nowszej jej literatury i historyi, z literatami i uczonymi, a wreszcie, aby i o nowszej powieści rosyjskiej dać wyobrażenie, przekłada krótką nowellę *Dostojewskiego*: „Romans w dziewięciu listach“.

Pomimo tego, Rosya nie zajmuje wcale w *Sborniku* jakiegoś wyłącznego, uprzywilejowanego stanowiska. *Tonka, matka bułgarskich powstańców*, przez *Z. Stojanowa*, ciekawy obrazek z języka bułgarskiego przetłumaczony, przenosi nas w sam wir długoletniej walki słowiańskich plemion o niepodległość. Walka ta uprzytomnia się nam przy czytaniu kilku energicznych pieśni wojennych, wyjętych z bułgarskiego zbiorku: *Sliwnica*. Bardzo ważny artykuł *Koło illyryjskie* wyrywa z zapomnienia pierwszych przewódców chorwackiego ruchu na polu nauki i literatury: Ludwika Gaja, Stankę Vraza, hr. Jana Draskowicza Trakoszciańskiego i wielu innych mniej głośnych. Dwaj pierwsi, przy innych zajęciach, uprzyjemniali sobie życie pisaniem wierszy, a liczne wyjątki z ich piosnek dają nam nieco poznać ducha pobratymczej tej poezyi. Ale, zapoznając się z słowiańskimi autorami, grzeczność nakazuje nie mijać milczeniem autorek; z obowiązku tego wywiązuje się Józef Kouble — mówiąc nawiasem wielki wróg Jezuitów i „jezuityzmu“ — w artykule *Słowiańskie autorki*, w którym, pokłoniwszy się najprzód w krótkich wyrazach wszystkim piszącym Polkom, oddaje hołd z kolei dawniejszym i nowym, mniej i bardziej błyszczącym gwiazdom słowiańskiego świata. Jan Lego przypomina znów zasługi położone przez duchowieństwo około literatury słowackiej. Wszystko niemal, co zdziałano dotąd na tem polu, wszystkie dobre książki zawdzięczyć trzeba przedewszystkiem ofiarności i pracy biskupa Marcina Slomčeka i dwóch biskupów lublańskich: Wolfa i Pogačara. Pierwszy przyczynił się do założenia nieocenionego Towarzystwa św. Mohora (Hermagorasa), które liczy dziś 30.000 członków, a każdemu członkowi rozdaje corocznie za wkładkę jednego reńskiego, sześć książeczek: dwie pobożne, a cztery nau-

kowe; biskup Wolf na samo wydanie słownika niemiecko-słowackiego ofiarował 10.000 złr., a biskup Pogačar na wydanie jeszcze potrzebniejszego słowacko-niemieckiego 15.000 złr. Matyca słowacka w Lublanie na 1456 członków liczy 544 księży, a więc czterdziesty procent. Inny artykuł daje nie mniej pocieszające sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia św. Hieronima w Zagrzebiu. Stowarzyszenie to, założone roku 1868 pod protekcyą arcybiskupa Zagrzebskiego, wydało dotąd 56 rozmaitej treści książeczek i z dnia na dzień coraz świetniej się rozwija. „Serbskie uczone Stowarzyszenie Belgradzkie", założone r. 1841, puściło w obieg od r. 1883—1885 dziewiętnaście książek, kiedy od r. 1874 do 1882 wydało ich tylko dwadzieścia jeden. Materyalny to szczegół, ale wskazuje w jak nagłej proporcyi wzrasta w ostatnich latach literatura słowiańska.

Z południowej Słowiańszczyzny, z Lublany, Zagrzebia i Belgradu, przejdźmy do bliżej nas obchodzącej Rusi. W bardzo ciekawym artykule *Początek i rozwój teatru ruskiego* śledzi autor, Franciszek Řehoř, jak teatr ruski, z seminaryjskich dyalogów i przedstawień, przemieniał się zwolna w drugiej połowie bieżącego wieku w regularną scenę, która dziś zapożyczyła już sobie wszystkie lepsze utwory polskie i wiele zagranicznych, a poszczycić się może niejedną oryginalną sztuką. Tenże sam autor podał z ruskiego życia zaczerpnięte literackie studyum: *W dobie rusałek.* Lucyna Stadnicka w krótkim obrazku *Wieczernice na Rusi* pochwyciła, choć nie zupełnie szczęśliwie, jedną chwilę z monotonnego życia ruskich wieśniaków: chwilę wspólnej zabawy, wesołości, na dnie której smutek przeziera. Rusini starają się sprostać pobratymczym narodom w rozszerzaniu ludowych tanich książeczek; usiłowania te, występujące na jaw zwłaszcza we Lwowie i w Czerniowcach streszcza K. Kadlec na tle ruskiego dziełka Barwińskiego. *Halicka Matica*, wydała przez 37 lat swego dotychczasowego istnienia 81 książek w 150.000 egzemplarzy; lwowska *Proswita*, założona w r. 1868 przez akademicką młodzież, wydała do końca r. 1884 również 81 książeczek w 330.000 egzemplarzy; *Towarzystwo imienia Kaczkowskiego*, powstałe r. 1875 w Kołomyi z inicyatywy Naumowicza, a roku następnego przeniesione do Lwowa, puściło między lud do marca 1885 r., sto dwie jedno do dwócharkuszowych broszurek —

niestety! wcale nie w najlepszym duchu; *Ruskie Towarzystwo Pedagogiczne* liczyło już w r. 1884 przeszło 400 członków i wydało siedem illustrowanych książeczek dla dzieci. Wyliczyliśmy za Kadlecem tylko ważniejsze i bardziej wpływowe Stowarzyszenia; prócz tych istnieją inne, np. *Towarzystwo imienia Szewczenki* publikujące czasopismo *Zorza* i t. d.

Lwią część zajmują w *Slovanským Sborniku* artykuły i sprawozdania odnoszące się do społecznego, naukowego i literackiego życia w Polsce. *F. A. Hora*, który w poprzednich rocznikach zapoznawał świat słowiański z naszymi *Szubrawcami*, teraz odmalował im historyę i losy Rzeczypospolitej Babińskiej. *Menčik* zebrał kilka charakterystycznych rysów i kilka piosneczek wiślańskich flisów. *Józef Dunin Karwicki* umieścił rozprawę *O szkołach krzemienieckich* a zmarły przed paru miesiącami *Kirkor* treściwy rzut oka *Z dziejów oświaty na Litwie*; *Jan Bystroń* ważny artykuł: *O wpływie języka czeskiego na język polski w księstwie cieszyńskiem*. Niepodpisany autor obszernej monografii *Księżna Łowicka*, obznajomiony doskonale tak z dawniejszemi jak z najnowszemi źródłami polskiemi, z wyraźną sympatyą udzielającą się czytelnikom skreśla dzieje „delikatnego tego kwiatku, który pełen powabu wzrastał na łonie „Warszawy pod skromnem imieniem Joasi, a pochylił się do grobu „jako księżna Łowicka w cesarskich pałacach, patrząc na brzegi „mroźnej Newy". Obok księżny Łowickiej staje *Polka między Czeszkami*: Honorata z Wiśniowskich Zapowa, monograficzny ustęp wyjęty z pamiętników Zofii Podlipskiej. Zapowa, przybywszy z mężem ze Lwowa do Pragi, pokochała wnet nową ojczyznę, wyuczyła się i pisała po czesku, ale nie zapomniała o Polsce. Czescy literaci najmilej w jej domu gościli, czeskie panie wybrały ją sekretarką „Towarzystwa Słowianek". Pragnąc się jak najwięcej przysłużyć obu ojczyznom energiczna ta kobieta marzyła o założeniu żeńskiego czesko-polskiego pensyonatu, wyuczyła się w tym celu po niemiecku, zdała przepisane egzamina, gdy wtem, w ostatniej chwili choroba a później śmierć przerwała te piękne plany. *Józef Stolba* opowiada znów swą wycieczkę do Częstochowy, a znać, że jak on pokochał Polaków, tak i jego pokochano, bo nachwalić się nie może gościnności polskiej, a nawet w dowód wdzięczności dedykował zajmujący swój opis Maryi i Bronisławowi Grabowskim z Częstochowy.

Wyłącznym niemal studyom nad polskiemi sprawami i literaturą oddaje się w *Sborniku* sam naczelny jego redaktor *Edward Jelinek* i tłumacz wielu poezyi polskich *Fran. Kvapil.* W pismach Jelinka czuć prawdziwą miłość dla polskiej literatury i jej przedstawicieli, z którymi rodaków swych zapoznaje; znać to np. wybitnie w bardzo ciepło skreślonym opisie wizyty u Bohdana Zaleskiego. Prawda, że Zaleski znał również poezyę czeską, zajmował się bardzo losami pobratymczej tej literatury, a w Paryżu starał się poznać kilku znakomitszych Czechów i wszedł z nimi w przyjacielskie związki; ale Jelinek nie tylko dla jednego tego siwowłosego barda, dawnego druha „nieśmiertelnej trójcy polskiej: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego", znajduje pełne czci i serdeczności wyrazy. Nie brak ich i dla Gasztowta i dla pani Nabielakowej, nie brak uznania dla Rapperswylskich zbiorów, którym osobny artykuł poświęcił, nie brak nawet dla dziejów polskiego salonu. *Kvapil* wtajemnicza specyalnie Słowian w piękności naszej poezyi. Krasiński jest szczególnym jego ulubieńcem; dawniej tłumaczył jego utwory, w niniejszym roczniku wskrzesza do życia nieznaną Angielkę Miss Harry, do której młodociany poeta zapłonął w Genewie r. 1830 przelotną miłością. Nadto bardzo wiele tegorocznych zeszytów ozdabiał Kvapil przekładem jakiegoś wiersza polskiego, to Wład. Tarnowskiego, to znów Asnyka, lub Zaleskiego. Kvapil i Jelinek, a wespół z nimi kilku innych Czechów i Polaków, pomiędzy którymi częściej spotykamy nazwiska Hanusza, Karłowicza, Bystronia, Ekerta, Štěpa i t. d. zapoznają też Słowian w krótkich recenzyach, jak w ogóle ze słowiańskiemi, tak szczególnie ze wszystkiemi ważniejszemi publikacyami polskiemi. Jeden z recenzentów, wychwalając wydawnictwa Akademii Umiejętności krakowskiej, przedstawia Polaków w Galicyi jako wzór dla swych rodaków, jak wynajdywać pieniądze na szerzenie oświaty i jak tych pieniędzy używać. Zacytowaliśmy te słowa, bo do podobnych pochwał nie jesteśmy przyzwyczajeni, a, choć może wygórowane, są wszelako zachętą i pokazują, że poczciwa a twarda praca nie idzie na marne, ale zyskuje sobie zasłużone uznanie.

Z pobieżnego tego sprawozdania widać, że redakcya *Slovanskiego Sborniku* nie szczędziła w ubiegłym roku starania aby, wypełniając swój program, zbliżyć do siebie narody słowiańskie, i o ile

być może, światła i cienie ale raczej światła każdego z nich innym okazać. W paru szczegółach zrobić byśmy mogli pewne zastrzeżenia: wolelibyśmy może inną jaką nowellę, inny wiersz miasto paru z umieszczonych, ale rozumiemy doskonale, że tego rodzaju życzenia są często, mimo najlepszej woli, nie do urzeczywistnienia, tem bardziej że redakcya, rekrutując pisarzy po całym słowiańskim świecie, ma z wyjątkowemi trudnościami do walczenia. Poznawszy tak zajmującą i różnolitą treść tego pisma, które nadomiar od czasu do czasu ozdabiają wizerunki znakomitszych mężów lub słynniejszych miejscowości słowiańskich, każdyby pomyślał, że musi mieć ono bardzo liczne koło czytelników; tymczasem, jak z prawdziwą przykrością czytamy w ostatnim grudniowym numerze, *Sbornik* wydawcom swym się nie opłaca a nadto, aby nadal mógł mieć zapewnione istnienie, liczba prenumeratorów powinna by się podwoić. W przeciwnym razie nakładcy grożą zawieszeniem wydawnictwa; spodziewamy się, że honor świata słowiańskiego nie dopuści spełnienia się tej groźby.

X. J. B.

Rozmaitości.

Towarzystwo św. Wincentego a Paulo w Galicyi.

Z okazyi niedawno temu zaszłej zmiany prezesa rady wyższej Towarzystwa św. Wincentego w Galicyi nie od rzeczy będzie podać krótki przegląd działalności tego tak użytecznego towarzystwa w czasie dziesięcioletnich rządów ustępującego prezesa, J. E. Pawła Popiela. Dla lepszego jednak zrozumienia rzeczy należy wprzód zapoznać się w paru słowach z powstaniem i ogólnym rozwojem tego Towarzystwa. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo założonem zostało pierwotnie tylko dla młodych ludzi w Paryżu r. 1833, przez pp. Emanuela Bailly pierwszego prezesa, Affre późniejszego arcybiskupa paryskiego i Fryderyka Ozanam. Jestto po prostu bractwo kościelne, odpowiadające najzupełniej duchowi XIX. wieku a mające za cel wykonywanie uczynków miłosierdzia tak co do ciała jak co do duszy, aby przez to siebie samych uświątobliwić, a względem bliźniego cnotę miłości jak najlepiej i najskuteczniej wykonywać. Ustawy tego Towarzystwa w wielu punktach są identyczne z ordynacyą Bractwa Miłosierdzia założonego w Krakowie przed trzema wiekami przez Piotra Skargę; ta tylko różnica, iż tamto Arcybractwo posiada dziś przeszło $2^1/_2$ miliona złotych polskich, Towarzystwu zaś św. Wincentego kapitalizować nie wolno. Nie wypływa przecież stąd, iżby ono mniej dobrego czyniło. Organizacya wzo-

rowa i szczęśliwie obmyślana sprawia, iż 4269 konferencyj po najdalszych krańcach ziemi rozsianych corocznie wydaje przeszło 9 milionów franków na ubogich. W Galicyi istnieje ono od r. 1858. W tym czasie mąż pełen chrześcijańskiego miłosierdzia założył we Lwowie konferencyę Matki Boskiej, do której niebawem przybyła druga konferencya św. Anny; w Krakowie przez długi czas urzędownie, że tak powiem, Towarzystwo zaprowadzonem nie zostało, jednak już od r. 1861 za inicyatywą zacnego kanonika Alfonsa Skórkowskiego, zgromadzało się kilku ludzi, radząc nad potrzebami ubogich i starając się im zapobiedz. Dopiero dnia 8 grudnia 1869 r. konferencya ta, za przewodnictwa gorliwego i zasłużonego prezesa swego radcy sądowego Schätzla, przyłączoną została urzędownie do Towarzystwa św. Wincentego. Równocześnie powstała konferencya w Tarnowie za sprawą ks. Władysława Sanguszki i infułata Wawrzyńca Gwiazdonia r. 1872. Waleryan Kalinka, b. prezes konferencyi polskiej św. Kazimierza w Paryżu, założył w Krakowie konferencyę dla młodzieży uniwersyteckiej pod wezwaniem św. Jana Kantego. Ustawy tow. przepisują, iż gdy w jakiem miejscu jest więcej konferencyj winna tamże być rada miejscowa, dla utrzymania zgodnego kierunku w sprawach odrębnych oraz załatwienia spraw wspólnych. Uskuteczniono to z początkiem r. 1873, a pierwszym prezesem został wspomniany radca Schätzel. Pod koniec r. 1874 założył p. Stanisław Górski konferencyę na Kaźmierzu, przeważnie dla ludności rzemieślniczej.

W połowie r. 1876, p. Schätzel złożył swą godność z powodu słabego zdrowia, a na jego miejsce obrano p. Pawła Popiela W tej chwili w samym tylko Krakowie było członków 102, dochodu przeszło 2.000 fl., rodzin wspieranych 114. Dziesięcioletni przeszło czas prezesostwa p. Popiela błogim był dla towarzystwa. Nie licząc konferencyi w Nowym Sączu, która już była w zawiązku, przybyło nowych 8. — Tak r. 1877 powstała nowa konferencya w Krościenku, r. 1879 w Korczynie, przeważnie złożona z wieśniaków, podobnie jak i konferencya założona r. 1882 w pobliskiej Iskrzyni. W tymże roku ks. Kalinka, podobnie jak przed laty 10 w Krakowie, założył we Lwowie konferencyę św. Jana Kantego dla młodzieży uniwersyteckiej roku 1884. Przybyły konferencye: w Krasiczynie za staraniem p. Leszka Wiśniowskiego, w Przemyślu za staraniem ks. Puzyny, dzisiejszego sufragana lwowskiego, w Rawie Ruskiej, nakoniec na Kleparzu w Krakowie.

Działalność Towarzystwa nie ograniczała się wyłącznie na pracy konferencyi i dziełach tychże jak np. kasy. szatnie dla dzieci, fundacya imienia Józefa dla dzieci, zostająca pod opieką konf. Matki Boskiej we Lwowie; powstały nadto dzieła specyalne, całemu towarzystwu wspólne, jakoto: Internat dla uczniów Seminaryum nauczycielskiego w Krakowie i Lwowie, dzieło rozdawnictwa zupy rumfordzkiej i uświęcania nieprawych związków Sakramentem małżeństwa we Lwowie. Internat krakowski powstał pod koniec r. 1878, z inicyatywy Ludwika Dębickiego, prof. Jana Ew. Rembacza i ś. p Feliksa Rostworowskiego. Dzieło to było tem bardziej na czasie, iż wtedy właśnie zakradać się poczęły socyalistyczne nowinki między uczniów seminaryum nauczycielskiego, a pewnie żadnym innym sposobem nie można było tym nowinkom lepiej drogi przeciąć, jak zapewniając uczniom wespół z materyalnem duchowe wsparcie i opiekę. Sejm uznał ważność tego dzieła, dowodem czego jego coroczny zasiłek w kwocie 3.000 złr. Nie mając własnych kapitałów, bo na to statut nie dozwala, internat liczyć może tylko na ofiarność publiczną; wobec czego liczba elewów

dotąd w latach poszczególnych nie przeszła 30. Na utworzenie podobnego zakładu we Lwowie zapadła na wniosek Pawła Popiela już dawno uchwała; dotychczas wszelako z jakich przyczyn nie wiemy, niewykonana. Z inicyatywy ks. Zygmunta Gorazdowskiego powstał dnia 5 września r. 1886 internat pod wezwaniem św. Jozafata, w którym znajduje utrzymanie i opiekę 12 uczniów. Istniejące we Lwowie dzieło uświęcenia dzikich małżeństw Sakramentem Małżeństwa, czynne od 14 czerwca 1878, skojarzyło 478 par. W Krakowie choć specyalne takie dzieło nie powstało, skojarzono 56 związków, w N. Sączu 33, w Przemyślu 3. Dodajmy nakoniec, iż d. 26 lutego 1878 r. Rada paryzka utworzyła w Krakowie radę wyższą dla Galicyi, której zadanie jest takie same, jak rady miejscowej, lecz obszar działania rozciąga się na cały kraj. Ciągły postęp towarzystwa okaże się najlepiej z następujących dat.

Z końcem r. bilans okazuje dochodu 8308.52 cent. członków 229, rodzin wspieranych około 200, z końcem r. 1885 członków 352, rodzin wspieranych około 694, osób pojedyńczych 74. Pomimo to zaprzeczyć się nie da, iż wiele osób żywi jakąś nieuzasadnioną obojętność a czasem niechęć dla towarzystwa, i że bardzoby sobie życzyć można powiększenia liczby członków, zwłaszcza ze stanu średniego.

Maryan Bartynowski.

Przegląd katolicki o dziele Pastora.

O znakomitem dziele Pastora: *Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters*, na które przed paru miesiącami zwróciliśmy uwagę czytelników naszych, w krótkiej bibliograficznej notatce [1], podał warszawski *Przegląd katolicki* w grudniowych numerach artykuł p. t. *Pierwsi Papieże z czasów odrodzenia*, którego autor analizując wszechstronnie pomnikową tę pracę, w właściwem dopiero wystawia ją świetle. Pół wieku temu dwaj jeśli nie najwięksi, to najbardziej znani współcześni historycy: Macaulay i Ranke, uznając dziejową potęgę papiestwa, zadawali sobie pytanie, czemu przypisać niespożytą moc i mądrość tej najstarożytniejszej ze wszystkich, rządzącej od wieków tylu milionami ludzi instytucyi? Ani historyk angielski, ani niemiecki na pytanie to nie odpowiedzieli; tem bardziej nie odpowiedzieli na nie późniejsi protestanccy pisarze, którzy nie wiedząc jak pogodzić stare przesądy o papieżach z ich zasługami na polu cywilizacyi, nauki i sztuki, zwłaszcza w epoce odrodzenia, do najoryginalniejszych i wręcz sobie przeciwnych przychodzili wniosków. Dopiero pierwszy Pastor, trzymając się naukowej metody nauczyciela swego Janssena, przedstawił historyę ówczesnych Papieży, a poprzednio i historyę odrodzenia w właściwej swej szacie, wykazując, „że nie był to ani szczyt ukształcenia „chrześcijańskiego, ani rozbicie chrześcijańskiej obyczajowości, ani niebo kul„tury idealnej, ani przepaść najstraszliwszego ześwietczenia i spoganizowania; „że raczej, tak jak inne epoki historyi kościelnej, ma ona swoje światła i cie„nie, że jej strony światłe najściślej łączą się z działalnością papiestwa, zaś „ciemne najczęściej są z niem w wybitnej opozycyi".

Skreśliwszy w ten sposób główny plan i cel całego dzieła, przechodzi autor wymienionego artykułu *w Przeglądzie katolickim* do szczegółowej ana-

[1] Zeszyt listopadowy str. 308.

lizy pierwszego tomu, który dotąd się ukazał. Z sumiennego tego streszczenia nic ująć nie można; trzeba je odczytać od deski do deski, a odczytawszy, trudno nie nabrać chęci do zapoznania się z samemże dziełem Pastora. Z żalem dowiadujemy się, że *Przegląd katolicki* miał w roku minionym mniej prenumeratorów, niż w poprzednich; pismo tak starannie redagowane, a umieszczające artykuły równie ważne i dobrze napisane jak np. *Pierwsi Papieże z czasów odrodzenia*, nie powinnoby się nigdy skarżyć na zmniejszenie liczby czytelników!

Artykuł o Ewolucyonizmie.

W grudniowym zeszycie lwowskiego *Muzeum* (organu towarzystwa nauczycieli szkół wyższych) przeczytać warto niepospolity artykuł „O Ewolucyonizmie jako teoryi filozoficznej", przez prof. St. Siedleckiego.

Autor nietylko umiejętnie ten ważny projekt traktuje, wytyka naukową ewolucyonizmu słabość, a pod względem filozoficznym jego identyczność z materyalizmem doskonale przeprowadza, ale też umie zająć wykładem żywym i przejrzystym (co w polskich pracach naukowych zaczyna być rzadkością) i w końcu rzuca okiem na łączność tych teoretycznych zagadnień z życiem i żywotnemi interesami narodu: „Jaka jest korzyść, pyta się, z filozofii ewolucyjnej dla naszego specyalnie społeczeństwa? czy na wyścigi urządzane tłumaczenia Spencera, Ribota, Büchnera i innych są dla nas pożądane?". Na co rozsądnie odpowiada, że ta propaganda „dla większości społeczeństwa może być tylko zgubną". A to dla dwóch przyczyn: Najprzód, że brak u nas antydotu krytyki, brak „krytyków, którzyby natychmiast takie prace bezstronnie oceniali, a poważnych prac filozoficznych jest jeszcze bardzo mało". Po drugie, że zasady religijno-moralne dla nas powinne być o tyle droższe i nietykalniejsze, że są jedynym punktem oparcia, który nam zostaje. „Z natury rzeczy już rozbici, narażamy się na rozbicie tem większe i zatracenie nawet tej wspólnej podstawy kardynalnych przekonań religijnych i etycznych, które stanowią jedyną jeszcze naszą obronę. Jeżeli mieliśmy dotąd podostatkiem owej biernej siły opornej, której potędze egzystencyę naszą zawdzięczamy, to czerpaliśmy ją ze źródła naszego duchowego, które najgroźniejszem wydało się nieprzyjaciołom naszym. Oni duchowości negują, ale obawiają się jej instynktowo — i ona tylko jest dla nich niezdobytą twierdzą, z której wyrzucić nas dotąd nie zdołali"...

X. M. M.

Nowa Biblioteka Uniwersalna najcelniejszych utworów literatury powszechnej.

Niedawno założona w Krakowie księgarnia J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna, idąc w ślad dawnych tradycyj dobrze zasłużonej księgarni Żupańskiego w Poznaniu, odznacza się niezwykłą, jak na nasze stosunki ruchliwością. Dość spojrzeć na długi spis wydawnictw tej księgarni, pomiędzy któremi znajdują się niektóre ważne i cenne, że wymienimy tu tylko: *Stan. hr. Tarnowskiego:* „Pisarze polityczni XVI wieku" *Falkowskiego:* „Obrazy kilku ostatnich pokoleń w Polsce i Litwie", Literackie Studya *Chmielowskiego:* „Listy do Panny... w Metz" *Bossueta*, nie mówiąc już o innych dziełach jak *Stra-*

szewskiego: „Historya filozofii w zarysie“, które jeszcze zpod prasy nie wyszły. Zapowiedzianem jest również ozdobne, illustrowane wydanie dzieł Mickiewicza, a sądząc po „Pieśni o ziemi naszej“, która niedawno temu w wytwornej szacie, przyozdobiona ośmiu ilustracyami Juliusza Kossaka, okazała się na półkach księgarskich; to spodziewać się można, że wydanie poezyj wielkiego naszego wieszcza, nie ustąpi w niczem najlepszym w tym rodzaju publikacyom zagranicznym. Naturalnem niebezpieczeństwem tak rozwiniętej działalności jest brak dostatecznego wyboru, mieszanie pereł prawdziwych z fałszywemi; a nie powiemy, aby księgarnia Żupańskiego i Heumanna w zupełności potrafiła się uchronić tego niebezpieczeństwa. *Bartoszewskiego:* „Pojedynek, jego zasady, reguły i przykłady“; *Łosia:* „Opowiadania Pana Rudolfa“ i t. d. Niepodpisanego autora: „Szkice naukowo-literackie z zakresu sztuki i archeologii“, mogłyby bądź dla nieświetnej tendencyi, bądź dla bardzo słabej literackiej wartości, bez szkody, a nieraz z pożytkiem nie figurować w spisie książek wydrukowanych. Być może, że jedna lub druga z tych książek dobrze się popłaca, ale firma Żupańskiego zbyt ważne miejsce zajęła od dawnych lat w dziejach naszej literatury, abyśmy sądzić mogli, że wyłącznie tylko pieniężnym interesem chce się powodować.

Zapatrując się z tego punktu widzenia na rozpoczęte z dniem 15 stycznia b. r. przez księgarnię Żupańskiego i Heumanna wydawnictwo „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“ najcelniejszych utworów literatury powszechnej, w zasadzie i w ogólnych jego rysach całemu temu projektowi tylko przyklasnąć możemy. Wydawnictwo to bardzo tanie, bo daje 120 arkuszy druku za 4 złr. rocznie, a więc szerokiemu ogółowi przystępne, a mające mu podawać nie tylko lekką belletrystyczną, ale w znaczniejszej części naukową, poważną strawę. Lecz właśnie dla tego, że wydawnictwo to bardzo jest na czasie, i że jak myślimy, liczyć może na znaczną liczbę czytelników nie powinno podawać pokarmu zatrutego, choć może powleczonego barwą talentu i umiejętności. W programie „Nowej Biblioteki Uniwersalnej“ napotykamy na imiona autorów, których dzieła, a przynajmniej pewna część dzieł, jest wprost złą i niemoralną; jesteśmy wprawdzie przekonani, że wydawcy tego rodzaju trucizny szerzyć nie myślą, ale szkoda, że nie wymienili, jakie np. utwory Getego, lub Byrona; które z rozpraw Ribota, Spenzera lub Taine'a wejść mają w skład Biblioteki. Rozumiemy doskonale, że spisanie takiego szczegółowego programu jest rzeczą niełatwą i że wydawcy, zdecydowawszy się w ostatnim czasie na przystąpienie do tego dzieła, nie mieli czasu na wystudyowanie dokładniejszego programu. Ale szczęściem teoretyczny ten błąd, łatwo w praktyce sprostować, tem bardziej, że pierwszy styczniowy zeszyt zawierający: „Boską komedyę“ Dantego w cennem tłumaczeniu Stanisławskiego, „Obrazki historyczne“ Bodzantowicza, i nie zawarte w edycyi zbiorowej „Pisma Szajnochy“, wypadł bardzo szczęśliwie, a całemu temu wydawnictwu piękną zdaje się rokować przyszłość.

Światło. Zasłużony dobrze około oświaty ludowej na Górnym Szląsku *Katolik* rozpoczął z początkiem b. r. wydawać nowe pismo ludowe illustrowane. Szlązacy, więcej od naszego ludu wykształceni, chętnie się biorą do czytania, zadaniem zatem ma być nowego czasopisma uczynić tę lekturę pożyteczną

i przytem zachować im język ojczysty, który od trzech wieków germanizm wypiera. Zawierać ma oprócz powieści, opowiadań historycznych, wiadomości geograficzne, etnograficzne i z dziedziny nauk przyrodzonych w przystępnym dla ludu sposobie. Pierwszy zeszyt się ukazał i odpowiada swemu celowi. Przytem ilustracye udatne, język tylko gdzieniegdzie nie dość poprawny. Poczciwym zamiarom szczęść Boże!

Księgarnia katolicka Dra Miłkowskiego wydała świeżo kilka pięknych książek do nabożeństwa:

Modlitewnik katolicki, p. A. Czaplickiego, w maleńkim formacie, odznaczający się wybornem typograficznem wykonaniem.

Nowenna najskuteczniejsza do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy p. W. O. Saint-Omer redemptorystę przekładu O. Bernarda Łubieńskiego tegoż Zgromadzenia, — zbiór prawdziwie pobożnych rozmyślań i przykładów.

Brewiarzyk Trzeciego Zakonu św. Franciszka na podstawie najnowszych rozporządzeń O. św. Leona XIII. — z aprobatą kilku biskupów.

Wreszcie księgarnia katol. powzięła szczęśliwą myśl wydawania w **Echu III. Zakonu,** przekładu dzieł Asyzkiego Patryarchy.

Sto zdań dwuwierszowych ks. A. S. Krasińskiego, byłego biskupa Wileńskiego (Kraków. Druk. Czasu 1887). — Wspaniałe wydanie, a co do treści, z podzięką powiemy dostojnemu Autorowi:

Kto złotem wyszedł z ognia życia i wygnania,
Tenci złote o życiu pisać może „zdania".

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przemowa Papieża do kolegium kardynalskiego. — Wrażenie odniesione z tej mowy w świecie katolickim i niekatolickim. — Dalsze zamachy przeciw Kościołowi we Włoszech. — Okólnik „wielkiego Wschodu włoskiego“ do lóż niemieckich. — Protest episkopatu hiszpańskiego. — Mowa Tajaniego o misyonarzach włoskich. — Kanonizacya męczenników angielskich.

Walka przeciw Kościołowi we Włoszech, toczona od pewnego czasu z niebywałą dotąd zaciekłością, nietylko w masońskiej prasie i masońskich lożach, ale i na ulicy wykazała dopiero całą grozę położenia, w jakiem Stolica św. znajduje się od chwili zbójeckiego wyłomu w *Porta Pia*. Przed paru miesiącami zwrócił sekretarz stanu w dyplomatycznej nocie uwagę państw europejskich, na te coraz bardziej barbarzyńskie, już nietylko chrześcijańskim, ale wprost cywilizacyjnym pojęciom przykre i wstrętne orgie, których rząd włoski jeśli nie proteguje, to przypatruje im się ze źle tajoną radością, niby miłemu i ciekawemu widowisku. W przeddzień wilii Bożego Narodzenia sam Papież, odpowiadając na życzenia kardynalskiego kolegium, skreślił już nietylko przed dyplomacyą, ale przed całym światem, ponury obraz walk i prześladowań, jakie dziś ponosi szczególnie we Włoszech katolicki Kościół, i raz jeszcze ufając w Boga, w Jego miłosierdzie a zarazem i sprawiedliwość, zaniósł uroczysty protest przeciw wszystkim tym bezprawiom, których końca po ludzku rzeczy biorąc nie widać.

„I my także, mówił Papież, czujemy bardzo potrzebę pociech „płynących z Bożego żłóbka. Dzień w dzień słyszymy miotane prze„ciw nam zniewagi i krwawe obelgi; ale te krzywdy osobiście nam wy„rządzone, najmniej jeszcze, jak to mieliśmy nieraz sposobność po„wiedzieć, przynoszą nam goryczy i cierpienia. Kto je znosi dla „Kościoła i dla sprawiedliwości, ten odnajduje w nich potężne po„budki nadprzyrodzonej pociechy. Daleko żywiej nas zasmuca z dnia „na dzień gwałtowniejsza walka przeciw Kościołowi i postanowio„nemu przez Boga Papiestwu. Gorzko opłakujemy, jako przynależy, „wszystkie krzywdy, wyrządzone im w łonie innych narodów ka„tolickich, i nie zaniedbujemy żadnego środka, apostolskim urzędem „nakazanego, do obrony i strzeżenia po całym świecie świętych „praw Bożych i kościelnych. Lecz bardziej nas jeszcze dotyka „i głębiej boli wszystko to, co się dzieje we Włoszech i w Rzymie, „owem centrum katolicyzmu, uprzywilejowanej stolicy namiestnika „Jezusa Chrystusa, w której wszystkie wrogie zapędy tem są cięższe, „iż uderzają bezpośrednio na najwyższą władzę, z którą tak ściśle „się łączą: dobro, życie i społeczna działalność Kościoła na całym „świecie.

„Zamachy te, na które zawsze gorzkośmy się skarżyli, wzro„sły od pewnego czasu ponad wszelką granicę i okazały lepiej niż „kiedykolwiekbądź, jakie to plany przeciw Kościołowi ukrywają się „pod zasłoną wymyślonych pretekstów i zwodniczych rozróżnień. „Wrogowie nasi niczego nie oszczędzają, ani wsławionych dobro„czynnością instytucyj, ani dogmatów Kościoła, ani jego praw i ka„płanów; grożą nadto nowemi prawami, które, jak niesie wieść pu„bliczna, sięgną po ostatnie dochody, zostawione jeszcze Kościołowi, „a zarazem zmierzać będą do wmieszania osób świeckich w zarząd „spraw kościelnych, z czego zawsze najsmutniejsze skutki wypły„wają. Obecnie ostrzą wszelką broń przeciw chrześcijańskiemu „wychowaniu i wykształceniu młodzieży, a idąc za pragieniami sekt, „przemyśliwają bardziej jeszcze niż dawniej, jak usunąć ze szkół „wszelkie podstawy katolickich zasad; owszem niektórzy jawnie do„magają się antykatolickiego wychowania. Skutkiem rosnącej zapal„czywości są również wstrętne te środki, użyte niedawno temu prze„ciw biednym, bronić się nie mogącym, godnym wszelkiego współ„czucia zakonnicom, którym zabierają towarzystwo i pomoc osób

„drogich, pragnących dobrowolnie żyć z niemi w skromnem ich „zaciszu.

„Ale najwścieklejsze zamachy, najstraszniejsze gniewy sekt „i ich pomocników, skierowane są przeciw Papiestwu, owemu ka „mieniowi węgielnemu, na którym stoi wspaniały gmach Kościoła. „Dość powiedzieć, że odważono się publicznie ogłosić Papieża, jako „odwiecznego wroga Włoch i obrzucać go tak krzywdzącemi i wzgar„dliwemi nazwiskami, iż język wzdryga się je powtórzyć. I cóż po„tem dziwnego, że na zgromadzeniach ludowych, na publicznych „sejmikach i w prasie, oplwano Papieża najobrzydliwszemi obel„gami, słowami za twardemi dla napiętnowania zbrodniarzy? Cóż „dziwnego, iż rozdmuchawszy raz ogień nienawiści, dopuszczano się „potem w rozmaitych miastach włoskich, haniebnych obelg przeciw „papieskiej godności? I cóż wreszcie dziwnego, iż knując coraz to „dziksze plany, zagrożono barbarzyńskim gwałtem przeciw nam „i spokojnemu naszemu mieszkaniu. Co najgorsza, to że wszystkie „te, zionące szaloną nienawiścią manifestacye przeciw instytucyi, „z którą żadna inna równać się nie może pod względem dobro„dziejstw, spływających z niej dla pożytku całego świata, a w szcze„gólności dla Włoch, mogły się odbyć swobodnie, bez przeszkody, „nawet bez usiłowań, aby im skutecznie tamę położyć!

„Nie trudno zrozumieć, jaką może być, w podobnym stanie „rzeczy, cześć dla naszej godności i szacunek dla naszej osoby; „łatwo pojąć, jakiego używamy bezpieczeństwa i wolności w wyko„nywaniu apostolskiego naszego urzędu. Prawda, słychać raz po raz, „że w obecnych stosunkach, możemy bez żadnej przeszkody rządzić „Kościołem. Cóż znaczą te słowa? Papieże pierwszych wieków rzą„dzili Kościołem wpośród prześladowań. Rządzili nim, jak mogli „najlepiej, nawet z więziennych ciemnic i z wygnania; ale to do„wodzi tylko Boskiej mocy Kościoła, a nie wolności zostawionej „Papieżom owych czasów. Zresztą, choćby dziś rządzenie Kościołem „było możliwem, czyż z dnia na dzień nie staje się trudniejszem? „Czyż nie zależy od widzimisię mających władzę w ręku wciąż „zwiększać i mnożyć przeszkody? To też widocznem jest dla nas „niepodobieństwem zastosować się i zgodzić na obecny stan rzeczy. „A ponieważ wrogowie nasi, silni podtrzymującą ich ludzką potęgą, „używają wszystkich środków, aby uwiecznić obecne położenie,

„my z naszej strony poczuwamy się do obowiązku ponowienia jak „najformalniejszego protestu przeciw dawniejszym i nowszym zama„chom i wezwania na pomoc, dla obrony naszej niepodległości, „świętych praw Kościoła i Stolicy apostolskiej. Ufność naszą po„kładamy w Bogu, od którego zależą wszystkie sprawy ludzkie. „Oby Najwyższy ten Pan raczył przyjąć dobrotliwie pokorne nasze „prośby i prośby całego Kościoła, zanoszone doń w tych dniach „łaski i miłosierdzia, i oby urzeczywistnił gorące nasze pragnienia"!

Słowa te bolesnej skargi, piętnujące tak żywo coraz nieznośniejszy stan rzeczy, a wychodzące z ust „łagodnego, usposobionego pokojowo" Leona XIII., znalazły żywy odgłos w całym katolickim i niekatolickim świecie. Zewsząd odezwały się głosy: Kiedy Leon XIII. tak się wyraża, to istotnie pozycya Papieża w Rzymie musi być nie do wytrzymania. Natychmiast po ogłoszeniu mowy papieskiej, przytoczyły ją dosłownie republikańskie dzienniki paryskie, wyznając, że jest bardzo ważnym i znaczącym dokumentem. Protestancki *Journal de Genéve* rozebrawszy w dwóch obszernych artykułach słowa „spokojnego, rozumnego i politycznego" Papieża przyznaje, iż trudno mu z temi słowami nie sympatyzować, bo chociaż nie jest i nie chce być uczniem Papieża, nie jest też i nie chce być jego wrogiem. Urzędowe i półurzędowe dzienniki różnych krajów zacytowały całą mowę bez komentarzy z swej strony; najdalej poszła jeszcze wiedeńska *Polityczna korespondencya*, która stwierdziwszy faktami istnienie antykościelnego ruchu we Włoszech i stanowczo nieprzyjazne dla Kościoła zachowanie się rządu włoskiego, dodaje: „Fakty te wywołują żywy niepokój. Nasuwa się pytanie, „jak się zachowa dwór rzymski odnośnie do tego coraz bardziej „rosnącego ruchu, i w jaki sposób możnaby zabezpieczyć Papieża, „którego położenie stało się dziś prawie nie do wytrzymania *(unhalt„bar)* przeciw nowym niebezpieczeństwom". Zresztą wszystkie gazety dobrze myślące, a zwłaszcza dzienniki katolickie całego świata nie potrzebowały szukać mozolnie nowych argumentów: cytowały słowa Papieża, wskazywały na istniejący we Włoszech oburzający stan rzeczy i pytały, czy rząd, już nie tylko katolicki ale cywilizowany tolerowaćby powinien i podniecać, jak toleruje i podnieca rząd włoski, walkę przeciw Papieżowi, kapłanom, zakonnicom, kościołom, najświętszym uczuciom serca i przeciw samemu Bogu!

Z natury rzeczy energiczny protest Papieża wywołał najwięcej wrzawy i najwięcej komentarzy we Włoszech. Sfery rządowe widocznie czegoś podobnego się nie spodziewały i w pierwszej chwili nie wiedziały co robić. Rozeszła się pogłoska, że ministeryum włoskie rozesłało w odpowiedzi na ten protest dyplomatyczną notę do europejskich dworów, uniewinniając się z uczynionych sobie zarzutów, a choć *Opinione* bardzo kategorycznie tej pogłosce zaprzeczyła to zdaje się jednak, że istotnie niektóre przynajmniej państwa otrzymały poufne wyjaśnienia. Dzienniki urzędowe i liberalne były również w niemałym kłopocie. *Popolo Romano i Stamba* zacytowały kilka ustępów, bez żadnych uwag ze swej strony; *Tribuna i Riforma* zadowolniły się paru ogólnikami; jedynie *Diritto i Fanfulla* poświęciły zaraz w pierwszej chwili osobne artykuły papieskiej przemowie. Dopiero po paru dniach jakby na dany sygnał i widząc może, że kilka okólników nie zdoła przytłumić odniesionego wrażenia, wszczął się straszny hałas na całej linii dziennikarskiej w stolicy i na prowincyi. Liberalne i radykalne gazety jednym chórem nacechowały ton przemowy, jako *violento violentissimo oltre modo violento* i oskarżyły Papieża z jednej strony o przesadę, z drugiej o wrogie usposobienie dla Włoch.

O drugim zarzucie i wspominać nie warto; na pierwszy dały dostateczną odpowiedź nowe antyklerykalne meetingi i coraz bardziej srożące się urzędowe prześladowanie Kościoła. Na odbytem przed kilkunastu dniami wiecu w Terni, drugiej edycyi brutalnego wiecu w Mentonie, przemawiali a raczej łżyli bezkarnie Papieża urzędnicy i deputowani, lecz skoro tylko jaki mowca dotknął choćby słówkiem monarchii, skoro wyrwał mu się jaki niechętny wyraz przeciw Austryi, delegat rządowy natychmiast nakazywał mu milczenie. Bo i dlaczegóż urzędnicy i deputowani mieli się hamować w swych wrogich zapędach, kiedy wiadomem jest powszechnie, że sam rząd przygotowuje nowe łańcuchy dla Kościoła i nowe obmyśla grabieże? Niebawem ma być przedłożony Izbom nowy złodziejski projekt do prawa o własności kościelnej, a jeśli wierzyć informacyom *Diritta'a* — poseł Zanardelli domagać się będzie w osobnej interpellacyi, zburzenia siedmiu kościołów i domów zakonnych, które wrzekomo sprzeciwiać się mają regularności ulic, względom zdrowia publicznego, czy może pięknemu widokowi; o przyczyny mniejsza, byle jak za-

znacza Zanardelli powstrzymać „ataki klerykalizmu przeciw jedności i niezależności państwa“. Ministeryum znowu, rozpędziwszy już siłą garstkę zakonnic, mieszkających pod wspólnym dachem, zwróciło się teraz do śledzenia zakonników, którzy wbrew prawu odważają się jeszcze spełniać swe czynności, a nawet gromadzić się w dawnych klasztorach przeznaczonych obecnie wyłącznie na mieszkanie dla księży świeckich, obsługujących przyległe kościoły. Nie chce się wierzyć oczom, czytając rządowy okólnik do wszystkich prefektów i generalnych prokuratorów: dotąd myślano, że podobne nakazy polowania na nikomu nieszkodliwych zakonników i szczegółowe przepisy, jak należy „materyalnie zamknąć wszystkie wewnętrzne komu„nikacye między kościołem a zabudowaniami klasztornemi“, należą do dawno minionych czasów cesarzów-zakrystyanów jak Józef II., i ministrów-prześladowców, jak Pombal i Aranda.

Kto wciąż podnieca we Włoszech, między szumowinami ludu i wśród udekorowanych dygnitarzy tę agitacyę przeciw Kościołowi i papiestwu, bezwątpienia sztuczną, ale niemniej zgubną, a samą długością swego trwania przerażającą? Odpowiedź na to pytanie daje nam, w pewnej przynajmniej mierze, organ lóż wolnomularskich w cesarstwie niemieckiem *Bauhütte*, ogłaszając w styczniowym swym zeszycie, okólnik „Wielkiego Wschodu włoskiego“, do wszystkich lóż niemieckich, a bardzo prawdopodobnie i do lóż innych krajów rozesłany. Okólnik ten datowany 25 października 1886 r., zdziera do reszty niepotrzebną już maskę z celów i pragnień wolnomularstwa, a gdyby Encyklika *Humanum genus* potrzebowała jeszcze jakiego zatwierdzenia, to ten jeden, zredagowany z bezwstydną brutalnością, manifest wojenny mógłby za setki dowodów wystarczyć. Całego okólnika nie przytaczamy dla zbytniej rozciągłości, ale już z pierwszych kilkunastu zdań dostatecznie poznać można, jaki duch ożywia owe stowarzyszenia, które tylekrotnie najuroczyściej zapewniały, że nie będąc wrogami żadnej religii, są tylko miłośnikami całej ludzkości i że wszystkie religie w wielkiem ich braterstwie mogą znaleść odpowiedne miejsce.

„Drodzy i wielebni Bracia! Wiecie bezwątpienia o rozbudze„niu się wojny, którą Włochy, ojczyzna nasza, wszczynają chwale„bnie od czasu do czasu przeciw klerykalizmowi papieskiego Rzymu. „Wolnomularstwo włoskie, choć wiernem zawsze pozostało zasadzie

„nieinterwencyi w kwestyach religijnych i politycznych, nie prze-„stało jednak nigdy walczyć środkami moralnemi i naukowemi „przeciw katolickiemu zabobonowi i kierować tą świętą wojną, nie-„zbędną dla pomyślnego rozwoju najwyższych interesów wolności „sumienia i ludzkości; dla tego też i obecnie pierwsze przyczyniło „się do podjęcia tej walki".

„Ale ponieważ mamy do czynienia z wrogiem potężnym, wojna „ta łatwo mogłaby się wyrodzić w prostą narodową agitacyę, bez „żadnej gwarancyi powodzenia, gdyby jej nie poparła wspólna dzia-„łalność wolnomularzy całego świata".

„Udając się do was z prośbą o wasze przemożne współdzia-„łanie, o poparcie nas niezaprzeczalnem waszem doświadczeniem „i olbrzymią potęgą waszej pracy, jesteśmy przekonani, że w ten „sposób, z waszą pomocą łatwiej i pewniej odniesiemy zwycięstwo".

Reichszeitung, rozebrawszy okólnik wolnomularzy włoskich, kończy swój artykuł słowami pełnemi nadziei: „Tem lepiej! Im „bardziej nieprzyjaciele rzucają się na Watykan; tembardziej kato-„licy kupią się koło Papieża". Istotnie wszyscy dobrzy katolicy odczuwają i odczuwać muszą nieznośne położenie Ojca chrześcijaństwa i przy każdej nadarzonej sposobności starają mu się okazać swe współczucie, cześć i miłość. Nie mówiąc już o wielkich przygotowaniach do kapłańskiego jubileuszu Papieża, o których kiedyindziej obszerniej pomówić pragniemy, świadczy o ścisłej łączności między światem katolickim a Watykanem zbiorowy protest episkopatu hiszpańskiego — „przeciw zbyt, niestety! publicznym i zbyt znanym „zniewagom i obelgom rzuconym zwłaszcza w ostatnich czasach na „Namiestnika Chrystusa... Biskupi hiszpańscy żywią niebezpod-„stawną nadzieję, że narody i rządy otworzywszy oczy na światło, „pracować będą jednomyślnie w imieniu najświętszych, a wszystkim „wspólnych interesów, w imieniu samej podstawy wszelkiego prawa, „w imieniu instytucyj dotykających istoty samegoż społeczeństwa, „nad przywróceniem naczelnikowi Kościoła choć bez zakłócenia po-„koju z Włochami przynależnego mu stanowiska, które jedynie za-„pewnić mu może w trwały i skuteczny sposób niezależność i wol-„ność, niezbędnie potrzebną dla doskonałego wypełnienia powie-„rzonego mu szczytnego posłannictwa. Wtedy położonoby dopiero

„kres obecnemu stanowi rzeczy, opierającemu się wyłącznie na bru„talnej i barbarzyńskiej przemocy".

Jak Francuzi wypędzają zakonników i prześladują u siebie, a protegują w Chinach i Tonkinie; podobnież rząd włoski, obawiający się we Włoszech habitu zakonnego, jakby morowej zarazy, powtarza z naciskiem za Gambettą: antyklerykalizm nie jest towarem do eksportu. Włoscy mężowie stanu rozumieją doskonale, że jeśli Włochy posiadają jaki wpływ na Wschodzie, a imię ich otoczone jest tam pewnym blaskiem, to w pierwszej linii zawdzięczają to misyonarzom, ich poświęceniu i gorliwości mimowoli jednającej serca. To też ten sam minister Tajani, który we Włoszech z wytrwałością godną lepszej sprawy wypędza coraz z innego klasztoru bezbronne zakonnice i zakonników, przemawiał bardzo energicznie w senacie za udzielaniem i nadal subwencyi włoskim misyonarzom, którzy „jednają cześć i poważanie dla imienia narodowego i utrzymują blask jego znaczenia w dalekich tych krajach". Owszem, ciągnął mowca, „spodziewam się, że w swoim czasie będzie można użyć znaczniejszych środków na korzyść naszych misyonarzów". Czy Tajani zastanowił się wymawiając te słowa, iż, jeśli wszystkie okólniki jego i raz poraz ponawiające się coraz sroższe dekrety zostałyby wypełnione, wtedy za lat kilkanaście chyba z tradycyi wiedzianoby jeszcze o włoskich misyonarzach? Tak daleko ani Bert, ani Gambetta, ani Tajani, nie patrzali i nie patrzą: jako ludzie rozumni i mężowie stanu widzą, jaką korzyść przynoszą państwu zakonnicy i misyonarze, i starają się ją wyzyskać; jako sekciarze — pracują nad zgładzeniem zakonów, owych obronnych twierdz katolicyzmu i wytępieniem zakonników, jego żołnierzy. Zbyt często, niestety! sekciarz zwycięża w tej walce.

Wśród ciągłych walk i prześladowań, gdy w Rzymie rozlegają się okrzyki: „Spalić Watykan! Precz z Papieżem!", we Włoszech polują na zakonników, we Francyi wypędzają siostry miłosierdzia, w Tunisie urządzono dopiero co straszną rzeź chrześcian, a gdy nawet podobno zniedołężniała Turcya zamyśla szukać popularności w walce z katolicyzmem i gotuje się do walnej wyprawy przeciw Jezuitom, — wśród takiej mniej lub bardziej jawnej prześladowczej walki na wszystkich niemal punktach, umysł zwraca się do minionych czasów i w dziejach wojującego Kościoła czerpie naukę dla

chwili obecnej, a otuchę na przyszłość. Nie trzeba cofać się myślą aż do pierwszych wieków chrześcijaństwa, do prześladowań Dyoklecyana i świeczników Nerona: dość przenieść się w czasy Henryka VIII. i królowej Elżbiety, a potem spojrzeć, jak dziś znowu katolicyzm zaczyna się świetnie w Anglii rozwijać, aby się przekonać, że krew i ogień — nie zdołają zalać i spalić tego, co z natury swej jest nieśmiertelnem. Nie bez głębszej też opatrznościowej myśli dziś właśnie nasuwa się przed oko ten obraz angielskich męczenników, wywołany papieskim dekretem beatyfikacyi z 29 grudnia 1886, 54 męczenników, którzy w Anglii między r. 1535 a 1583 przelali krew za wiarę. Na czele chwalebnego tego zastępu stoi kardynał Jan Fisher i kanclerz angielski Tomasz More; za nimi postępują: Małgorzata Pole, matka słynnego kardynała, dwudziestu dwóch księży świeckich, jeden członek zakonu św. Brygity, ośmnastu Kartuzów, jeden Franciszkanin, jeden Augustynianin, trzech Jezuitów i pięć osób świeckich. Każdy niemal stan nowego otrzymał patrona i pouczający przykład, jak walczyć i cierpieć za wiarę; a tak powiedzieć można, że dekret ten stał się niejako uzupełnieniem i pieczęcią papieskiej mowy, na cztery dni wprzódy wygłoszonej.

Ks. Jan Badeni.

Sprawy szkolne w Sejmie.

I.

Na zeszłorocznej sesyi sejmowej zajęły niewątpliwie jedno z najbardziej wybitnych miejsc sprawy szkolne, które wywołały nader wyczerpujące rozprawy, wruszające niekiedy z gruntowną znajomością rzeczy stosunki, interesy i wady naszych szkół krajowych. Dość tylko wymienić długą dyskusyę rozwiniętą na szerokiem tle politycznem w sprawie wniosków posła Romańczuka, dość zaznaczyć pełną trafnych spostrzeżeń i myśli mowę St. hr. Badeniego podczas rozpraw nad budżetem szkolnym, rzucającą jasne światło na cały stan obecny naszego szkolnictwa ludowego, dość wspomnieć o wysoce zajmującej i pouczającej dyskusyi, wywołanej rezolucyami komisyi

budżetowej, odnoszącemi się do zmiany wewnętrznego urządzenia krajowej rady szkolnej, dość wreszcie zastosować pojawienie się wniosku posła Małeckiego w sprawie utrakwistycznego urządzenia niektórych gimnazyów wschodnio-galicyjskich. Lecz to gorliwe, niemal wyjątkowe zajęcie się sprawami szkolnemi, nie przyniosło zgoła żadnych praktycznych rezultatów. Wskutek długich rozpraw nad wnioskami posła Romańczuka, uchwalona przez sejm zmiana artykułu 26 krajowej ustawy szkolnej z d. 22 czerwca 1867, o języku wykładowym w szkołach ludowych, nie uzyskała sankcyi monarszej. Dziwnym zbiegiem okoliczności wkrótce po swej wielkiej mowie, wnikającej głęboko w potrzeby a poniekąd i wady całego ustroju szkół ludowych, złożył hr. Badeni mandat, jako członek rady szkolnej, w której tak nieznużoną i pożyteczną rozwinął działalność. O projektach reorganizacyi rady szkolnej, poruszonych przez sejmową komisyę budżetową dotąd milczenie zupełne, a pomysłowi posła Małeckiego, co do utrakwistycznego urządzenia gimnazyów, sprzeciwił się i rząd i wszystkie instytucye i korporacye, które wydział krajowy o opinię zapytywał.

Pisząc niniejszy artykuł podczas przerwy tegorocznej sesyi sejmowej, nie możemy naturalnie przewidzieć, czy nie przyniesie nam ona jeszcze jakichś ważnych dla szkolnictwa krajowego uchwał lub zarządzeń. Nadzieja ta jednak jest słabą, gdyż sesya sejmowa potrwa zbyt krótko, a główną jej część wypełnią niewątpliwie rozprawy budżetowe. Zdaje się przeto, iż tylko nad wnioskiem posła ks. Adama Sapiehy w sprawie odpowiedniejszej nauki języka niemieckiego w szkołach średnich, zawiąże się może nawet zasadnicza dyskusya szkolna, lecz merytorycznego rezultatu na razie ona przynieść nie może, skoro sam wnioskodawca żąda obecnie wszechstronnego zbadania poruszonej przez siebie sprawy, przez Wydział krajowy w porozumieniu z Radą szkolną. Odkładając tedy do następnego artykułu obszerniejsze omówienie wniosku ks. Sapiehy, tudzież innych spraw szkolnych, jakie po dniu 10 stycznia wejdą na porządek dzienny obrad sejmowych, możemy jednak już dziś zastanowić się bliżej nad przedłożeniami Wydziału krajowego i nad wnioskami, wyszłemi z inicyatywy posłów, a dotyczącemi spraw i stosunków szkolnych.

Wśród przedłożeń Wydziału krajowego zajmuje pierwsze miej-

sce projekt preliminarza funduszu szkolnego krajowego za r. 1887. W przedłożeniu tem preliminuje Wydział krajowy wydatki w sumie 667.320 złr., a dochody w sumie 287.496 złr., a przeto niedobór do pokrycia z funduszu krajowego wynosi 379.824 złr. Niedobór na r. 1887 jest większy o 19.816 złr. od niedoboru zeszłorocznego. Główną przyczyną tego wyższego niedoboru są zwiększone wydatki z powodu zakładania nowych szkół, których w r. 1887 przybywa 154, dalej wydatek 4.000 złr. za konferencyę krajową nauczycieli, która w myśl ustawy państwowej z 2 maja 1883 odbywać się winna raz na lat sześć i przypada właśnie na r. 1887. Te dwie przyczyny w połączeniu z naturalnym wzrostem wydatków za płace nauczycieli z powodu przybywających posad, dodatków pięcioletnich i podwyższaniem płac w uwzględnieniu wyjątkowych okoliczności, tłumaczą dla czego wydatki za r. 1887 preliminowane są w kwocie około 30.000 złr. wyższej, niż intertoza za r. 1886. Rada szkolna zapreliminowała wydatki w kwocie 708.594 złr. a przeto Wydział krajowy przez skreślenie niektórych pozycyj zmniejszył sumę wydatków o 41.274 złr.

Lecz preliminarzem funduszu szkolnego krajowego nie są objęte wszystkie wydatki krajowe za szkoły. W ogólnym budżecie krajowym na r. 1887 znajdujemy jeszcze w rozmaitych pozycyach znaczne wydatki na szkołę gospodarstwa lasowego we Lwowie, na wyższą szkołę rolniczą w Dublanach, na średnią szkołę rolniczą w Czernichowie, a w końcu na różne szkoły rolnicze i na szkoły przemysłowe i zakłady fachowe. Dwie ostatnie kategorye szkół są kreacyami nowszemi i dlatego też uważamy za rzecz właściwą zatrzymać się przy nich dłużej i zastanowić się nad ich zadaniem, frekwencyą, nad ich rozwojem i pożytkiem.

Obecnie istnieją trzy krajowe niższe szkoły rolnicze: w Kobiernicach, w Horodence i w Jagielnicy. Zadaniem ich jest wychowywać i kształcić przedewszystkiem synów włościańskich na zdolnych gospodarzy praktycznych. Szkołę kobiernicką otwarto d. 15 lipca z. r., szkołę jagielnicką d. 16 kwietnia z. r., a szkołę horodeńską d. 1 października z. r. W Kobiernicach trwa kurs nauki 2 lata, a przeto, tak ze względu na krótki czas nauki, jak też na środki naukowe, musi zakład osiągnąć swój cel drogą jak najwięcej praktyczną, zużytkowując każdą nadarzającą się sposobność

w gospodarstwie, o które szkoła jest oparta, w celu rozszerzania wiedzy uczniów przez odpowiednie zastosowanie wyjaśnień ze strony nauczycieli i na odwrót w celu umożebnienia poglądu i przeprowadzenia w praktyce wszystkiego, co uczniowie słyszą w szkole. Kurs nauki w szkole Horodeńskiej trwa lat trzy, a praktyczny jej kierunek popiera systematyczne udzielanie nauki z całości gospodarstwa wiejskiego, (rolnictwa, hodowli zwierząt i zarządu) w stosownym zakresie, udzielanie elementów nauk przyrodniczych i dopełnienie wykształcenia ogólnego za pomocą nauki religii i nauk ogólnie kształcących. W szkole Jagielnickiej odbywała się nauka teoretyczna obok wykonywania ćwiczeń praktycznych przez całe lato. Frekwencya tych szkół jest dotąd dość skromną. W szkole Kobiernickiej pobierało naukę 18 uczniów, w szkole Horodeńskiej również 18, a w szkole Jagielnickiej 26 uczniów. Wobec krótkiego istnienia tych szkół, byłoby przedwczesnem wydawać sąd o ich działalności. Sprawozdania dyrekcyj stwierdzają jednak, że kierunek i metoda nauk jest w nich racyonalną, zastosowaną do potrzeb miejscowych i charakteru ludności, a skoro wyszli z nich uczniowie zaczną w życiu praktycznem pożyteczną pracę, natenczas niewątpliwie zwrócą na nie większą uwagę włościanie i synów swych do nich chętniej posyłać zaczną.

Wydział krajowy nosił się także z myślą założenia niższej szkoły rolniczej w Krośnie. Gmina krośnieńska chciała przyjąć na siebie obowiązek dostarczenia dla szkoły rolniczej budynku i 6 morgów gruntu, lecz później ofertę swą zredukowała, a gdy ministerstwo rolnictwa nie przyrzekło na ten cel w najbliższych latach żadnej subwencyi państwowej, przeto musiano zaniechać na razie projektu założenia drugiej szkoły rolniczej w zachodniej części naszego kraju. W pełnym jednak toku zostają obecnie rokowania z rządem w sprawie reaktywowania szkoły, uprawy i wyprawy roślin włóknistych w Gródku.

Zakładanie i czuwanie nad rozwojem szkół przemysłowych, fachowych i warsztatów naukowych, wchodzi w zakres czynności komisyi krajowej dla spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego, której jednem z głównych zadań jest rozwijać, wzmacniać i doskonalić w wielu okolicach kraju od dawnych czasów zakrzewione rękodzieła, z zachowaniem o ile możności ich oryginalnych cech miej-

scowych, przy równoczesnem roztropnem zaszczepieniu ulepszonej techniki nowszej. W tym też kierunku osiągnęła już komisya dotychczas cenne rezultaty, albo przynajmniej założyła fundamenta do systematycznej budowy dalszej. W dwunastu miastach mamy już uzupełniające szkoły przemysłowe, pozakładane przeważnie staraniem oddziałów Towarzystwa pedagogicznego, a z funduszu krajowego subwencyonowane, a to: w Brzeżanach, Drohobyczu, Jarosławiu, Kołomyi, Krakowie, Lwowie, Nowym Sączu, Przemyślu, Rzeszowie, Sokalu, Stanisławowie i Tarnowie. Te kursa wieczorne mają na celu dawać uzupełniające wykształcenie elementarne zatrudnionym już w warsztatach terminatorom, a prócz tego udzielaną w nich bywa nauka rysunków, rachunkowości i korespondencyi kupieckiej, w niektórych wprowadzono kursy fachowe budownictwa, mechaniki, wyrobów z drzewa i t. p. Szkoły te mają frekwencyę liczną, i na młodzież rzemieślniczą wywierają wpływ bardzo korzystny. Jako subwencyę na te szkoły preliminował Wydział krajowy na r. 1887 8.000 złr., a więc o 1.700 złr. więcej, niż w roku ubiegłym.

Warsztatów naukowych i rękodzielniczych szkół fachowych jest dotychczas czynnych 13, zaś w toku organizacyi znajduje się 7 zakładów — tak, że jeżeli nie zajdą nieprzewidziane przeszkody w roku bieżącym, kraj nasz będzie posiadał 20 zakładów dla fachowej nauki rozmaitych rękodzieł. Czynne są mianowicie szkoły fachowe i warstaty naukowe:

a) Szkoły przemysłu drzewnego: w Stanisławowie (stolarstwa i tokarstwa), w Sokalu (stolarstwa i tokarstwa w połączeniu z nauką szwedzką), w Kamionce Strumiłowej (kołodziejstwa i bednarstwa), w Toustem (kołodziejstwa), w Jarosławiu (koszykarstwa) i w Jaśle (koszykarstwa). Świetnie rozwija się szkoła koszykarska w Jarosławiu, gdzie wyrobiono w roku ubiegłym 2687 koszów, w ogólnej wartości 2302 złr. Wyroby swoje sprzedawała szkoła nietylko w kraju, ale i zagranicą, a nawet wpłynęły zamówienia z Paryża. Nader pomyślnie rozwija się także szkoła przemysłowa kołodziejstwa i bednarstwa w Kamionce Strumiłowej; jest ona ze wszystkich istniejących w naszym kraju zakładów podobnych najlepiej zaopatrzoną w pomocnicze zbiory naukowe tj. zbiory narzędzi, modeli, dzieł naukowych i wzorów rysunkowych.

b) Szkoły garncarskie. W kraju naszym istnieje obecnie warstat naukowy garncarski w Toustem, który wpływa skutecznie na uszlachetnienie wyrobów garncarskich w tej okolicy. Nadto przyjętą została z d. 1 maja z. r. na rzecz kraju, założona pierwotnie przez rząd lecz później zaniedbana szkoła garncarska w Kołomyi. Szkoła ta otrzymała nowy statut organizacyjny, plan nauk i regulamin, ustanowioną dla niej została kuratorya stała i zamianowano personal nauczycielski, a wreszcie zaopatrzono ją w potrzebne sprzęty i przybory, wybudowano piece i w ogóle — całe jej wewnętrzne urządzenie zastosowane jest do wzoru najlepszych podobnych zakładów naukowych w innych krajach. Obecnie liczy szkoła 13 uczniów, prawie wyłącznie synów miejscowych garncarzy, lecz zgłaszają się już podobno do niej kandydaci na uczniów z najdalszych okolic Galicyi wschodniej. Szkoła ta, pozostająca pod kierunkiem prof. Krycińskiego, prowadzoną jest przeważnie w kierunku artystycznym, przyczem w dekorowaniu naczyń użyto oryginalnych swojskich motywów ludowych.

c) Warsztaty naukowe tkackie istnieją i rozwijają się pomyślnie w Błażowej i w Kosowie.

d) Naukowy warsztat powroźniczy znajduje się w Radymnie.

e) Szczególnie korzystnie i wzorowo rozwijają się szkoły koronkarskie w Zakopanem i Kańczudze. Szkoła zakopańska otwartą została w r. 1883 i liczyła w roku ubiegłym 90 uczenic. Stosownie do przepisów statutu nauka tak jest prowadzoną, aby uczenice jak najprędzej mogły wyrabiać koronki na sprzedaż. Po strąceniu tylko wartości materyału zużytego, szkoła sprzedaje wyroby uczenic na ich korzyść. W roku ubiegłym (do listopada) sprzedano koronek gotowych za sumę brutto 1460 złr., z czego wypłacono uczenicom 1166 złr. W szkole tej uczono wyrobu koronek od najprostszych, aż do najozdobniejszych gatunków. Wyroby tej szkoły znajdują nader łatwy odbyt, kobietom z tamtejszej okolicy nastręcza ona ścisły i korzystny zarobek, a nawet wpływa silnie na podniesienie ogólnego poziomu ich inteligencyi i wykształcenie smaku estetycznego, gdyż połączoną jest ze szkołą z naukami uzupełniającemi i nauką rysunków. Szkoła w Kańczudze posiada już fachowo uzdolnioną nauczycielkę i liczy około 40 uczenic.

Dodać jeszcze należy, iż komisya krajowa spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego przeprowadziła czynności przygotowawcze do otwarcia następujących szkół fachowych rękodzielniczych w ciągu r. 1887 i szkoły garncarskiej w Porębie (pow. Chrzanowskim), szkoły fachowej dla wyrobów z drzewa i fabrykacyi drewnianych zabawek dla dzieci w Żywcu, warstatów naukowych tkackich w Korczynie, Krośnie, Horodenie i Łańcucie, tudzież szkoły koronkarskiej w Muszynie.

Na szkoły przemysłowe połączone z warstatami prelimuje Wydział krajowy na r. 1887 35.480 złr.

Dla uzupełnienia całego obrazu usiłowań krajowych około rozwinięcia szkół rękodzielniczych i przemysłowych, wspomnieć jeszcze należy o projekcie rozszerzenia c. k. szkoły przemysłowo-artystycznej we Lwowie i założenia szkoły ślusarskiej w Świątnikach. Początek pierwszej z nich sięga r. 1877, w którym przy miejskiem muzeum przemysłowem założył rząd przemysłową szkołę rysunków i modelowania; została ona następnie w roku szkolnym 1881/2 uzupełniona kursem snycerstwa w połączeniu z nauką rękodzieła tokarskiego i stolarskiego, zastosowanego do potrzeb snycerstwa. Ponieważ rząd zamierzał utworzyć przy tej szkole więcej kursów specyalnych, przeto otrzymała ona w r. 1882 nazwę c. k. szkoły przemysłu artystycznego. Obecnie też gotów jest rząd przystąpić do pomnożenia tych kursów, a mianowicie do założenia przy powyższym zakładzie fachowym nie tylko szkoły garncarskiej, ale także do utworzenia całego szeregu oddziałów dla innych gałęzi przemysłu, a przeto zakład ten musiałby być uzupełniony i przeistoczony według wzoru szkół tego rodzaju, istniejących w Insbruku, Salzburgu i Gracu. Utworzyć się mająca szkoła przemysłowa we Lwowie obejmowałaby dwie zupełne szkoły fachowe, jednę rozmaitych przemysłowości z przemysłowością budowniczą w związku będących, drugą obejmującą główne gałęzie przemysłu artystycznego. Program nauk państwowej szkoły przemysłowej obejmuje także przedmioty ogólnego wykształcenia młodzieży rzemieślniczej. Tak urządzona szkoła werkmistrzowska we Lwowie byłaby uzupełnieniem wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie, obejmującej fachowe wykłady wyższych przemysłów budownictwa, mechaniki i chemii. Zawód budowniczy posiadałby tedy dwie

szkoły: wyższą w Krakowie a niższą we Lwowie; każdy zaś inny dział przemysłu posiadałby jednę szkołę fachową, mianowicie dział mechaniki i chemii wyższą szkołę w Krakowie, a przemysł artystyczny niższą szkołę werkmistrzów we Lwowie.

Takie mając zamiary co do urządzenia państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie, oznajmiło ministerstwo, że gotowe postarać się o Najwyższe postanowienie w celu urzeczywistnienia projektu na koszt skarbu państwa, jeśli gmina miasta Lwowa zobowiąże się bądź własnym kosztem, bądź ze współudziałem funduszu krajowego dostarczyć na umieszczenie nowej szkoły odpowiednich lokalności, wybudować w tym celu nowy budynek i przyczynić się do kosztów utrzymania szkoły. Według odezwy ministerstwa nie mogłoby nastąpić nawet częściowe rozszerzenie istniejącej szkoły dla przemysłu artystycznego, dopóki nie będą dopełnione powyżej wskazane wzmianki. Nadeszła przeto chwila stanowcza dla przyszłości lwowskiego muzeum przemysłowego i całego szeregu zakładów fachowych, mających się opierać o muzeum. Wobec tej okoliczności nie mogła pozostać obojętną ani gmina miasta Lwowa, ani reprezentacya kraju. Nawiązane więc zostały rokowania między rządem z jednej, a gminą miasta Lwowa i delegatami wydziału krajowego z drugiej strony. Gmina miasta Lwowa ofiaruje pod gmach przyszłej państwowej szkoły przemysłowej plac i 8.000 złr. rocznie na jej utrzymanie. Urzeczywistnienie jednak projektu rządowego zależy głównie od budowy gmachu szkolnego, a za gmach o bardzo skromnych rozmiarach potrzeba zdaniem znawców przynajmniej 300.000 złr., a więc wszelkie dalsze usiłowania w tej mierze rozbijają się na razie o brak funduszów. Wydział krajowy nie traci jednak otuchy, a otuchą napawa go nadzieja i przekonanie, że galicyjska kasa oszczędności we Lwowie weźmie inicyatywę w powyższej sprawie i, posiadając fundacyę pamiątkową wynoszącą obecnie około 300.000 złr., użyje jej na budowę gmachu. Jeśli przeto zarząd gal. kasy oszczędności ujmie tę sprawę w swe ręce dostarczając potrzebnego funduszu, natenczas nie można wątpić iż w niedalekiej przyszłości zostanie uwieńczoną pomyślnym skutkiem.

Jeżeli urzeczywistnienie ważnego projektu, jakim jest rozszerzenie szkoły przemysłu artystycznego we Lwowie, pozostaje jeszcze w tej chwili w zawieszeniu, to z drugiej strony z miłem za-

dowolnieniem możemy stwierdzić, iż sprawa organizacyi fachowej szkoły ślusarskiej w Świątnikach górnych, powiecie Wielickim, jako zakładu państwowego, zrobiła bardzo ważny krok naprzód ku pomyślniejszemu rozwiązaniu. W odpowiedzi na odnośne propozycye ministerstwa, przyjął Wydział krajowy połowę kosztów założenia tej szkoły, a także przynajmniej na początek połowę kosztów utrzymania z tem zastrzeżeniem, że to ostatnie ustępstwo ma na celu przyśpieszenie sprawy, ale nie powinno stanowić wyłomu w przyjętej dotąd przez ministerstwo oświecenia zasadzie, że do państwowych szkół fachowych kraje przyczyniać się mają tylko połową kosztów założenia. Dalej postanowił Wydział krajowy pomóc gminie Świątnickiej w budowie osobnego budynku dla szkoły ślusarskiej przez udzielenie pożyczki w obligacyach komunalnych. Na uiszczenie tej pożyczki gmina spłacać ma przez 20 lat po 500 złr., a jeśliby ta kwota nie wystarczała na umorzenie, fundusz krajowy pokryje różnicę. Aby nie opóźniać otwarcia szkoły, Wydział krajowy proponuje jej tymczasowe umieszczenie w najętym lokalu. Wobec tej ofiarności ze strony kraju, uważać należy założenie tej szkoły fachowej za rzecz niewątpliwą a ewentualne jej otwarcie ma nastąpić, jak zapewniają, około świąt Wielkanocnych tj. z początkiem przyszłego półrocza szkolnego. Na kierownika tego zakładu przedstawia Wydział krajowy wskutek polecenia rektoratu szkoły politechnicznej p. Kazimierza Bruchnalskiego, który ma podobno jeszcze w muzeum technologicznem we Wiedniu uzupełnić swoje specyalne wykształcenie w ślusarstwie.

Co do organizacyi nowa szkoła ślusarska, którą się gorliwie zajmuje prof. Harffe w Wiedniu, będzie bardzo podobną do rozwijającej się świetnie państwowej szkoły fachowej przemysłu drzewnego w Zakopanem. Szkoła ta składa się obecnie z ośmiu oddziałów, na które uczęszczało w ciągu roku szkolnego 1885/6 84 uczniów, a pomiędzy nimi 25 stypendystów (14 kosztem Wydziału krajowego). Nauk udziela 15 nauczycieli. Za praktyczne wyroby warsztatowe wypłacono uczniom 1940 złr. Nauka warsztatowa przybrała tam znacznie wyższy kierunek przez to, że szczególnie dla oddziałów pierwszego roku zestawiono podręczniki z modeli, wskazujące systematyczny postęp w nauce. Do pomyślnych wyników przyczyniło się znacznie utworzenie

towarzystwa gospodarczego dla przemysłu drzewnego, którego członkowie zajmują się zbytem wyrobów szkoły. Towarzystwo to składa się głównie z byłych uczniów tejże szkoły, którzy częścią na własną rękę pracują, częścią zaś we wspólnym warsztacie towarzystwa. Szkołę zakopańską wspiera fundusz krajowy zasiłkiem, który w ubiegłym roku wynosił 1000 złr.

Dodać jeszcze należy, iż komisya krajowa do spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego, wydała w świeżo ubiegłym roku polską książkę do czytania, tudzież książkę do nauki języka niemieckiego dla użytku szkół przemysłowych. Wydawnictwem tem zajął się zarząd główny towarzystwa pedagogicznego. Przygotowuje się obecnie wydanie wzorów rysunkowych dla przemysłowych szkół fachowych.

Nie można wreszcie pominąć milczeniem, iż dbały o rozwój szkół przemysłowych Wydział krajowy wystosował jeszcze w r. 1884 memoryał do ministerstwa oświecenia, w którym przedstawiono potrzeby kraju na polu przemysłowego szkolnictwa i wykazano całą krzyczącą nierówność, z jaką pod tym względem Galicya w budżecie państwa jest traktowaną. Sejm poparł ten memoryał. Odpowiedź na memoryał nadeszła dopiero w ostatnich miesiącach ubiegłego roku, a przeto wyszła już ona od nowego ministerstwa oświecenia Dr. Gautscha, który, jak wnosić można z dotychczasowych jego oświadczeń w parlamencie, nie będąc zwolennikiem mnożenia się przepełnionych szkół humanistycznych, tem energiczniejsze i pochwały godne działanie rozwija na polu tworzenia, subwencyonowania i należytego organizowania praktycznych zakładów fachowych. Statecznie i konsekwentnie przeprowadza też nowy minister swą dążność do zapobieżenia wygórowanej frekwencyi w szkołach średnich, a wszelki niemal projekt urządzania zakładów naukowych, mających przysposabiać młode pokolenia do zawodów politycznych, znajduje z jego strony chętne poparcie. Wobec tego też nie mógł minister Dr. Gautsch, tak jak jego poprzednik, pozostawić bez odpowiedzi memoryału Wydziału krajowego, poruszającego tak dlań żywotną kwestyę przemysłowego szkolnictwa. Sprawy poruszone przez Wydział krajowy, traktuje p. minister w odpowiedzi swej z widoczną życzliwością, a jakkolwiek oświadcza, iż popieranie ze skarbu państwa wielorakich w memoryale przedstawionych zadań jest na

razie niemożliwe, przyrzeka jednak subwencyę dla uzupełniających szkół przemysłowych, począwszy od r. 1877 i robi nadzieję uzyskania subwencyi na urządzenie w kraju wędrownych kursów dla podniesienia tkactwa i garncarstwa.

W związku z tą troskliwą pieczą około tworzenia i rozwijania szkół praktycznych i fachowych, mających tak doniosłe znaczenie dla podźwignięcia naszych rękodzieł i przemysłu, zostaje także sprawa reorganizacyi szkół wydziałowych, poruszona już na zeszłorocznej sesyi sejmowej. Zadaniem szkół wydziałowych jest udzielać obszernych wiadomości ogólnych, a obok tego niekiedy i pewnych wiadomości fachowych w zawodach praktycznych tym uczniom szkół ludowych, którzy nie chcą poprzestać na pospolitem elementarnem wykształceniu, a nie myślą wstępować do szkół gimnazyalnych lub realnych. W myśl artykułu VI. ustawy z d. 2 lutego 1885 r. ma nauka w szkołach wydziałowych przysposabiać zarazem do rolniczego albo przemysłowego zawodu. Nauka ta ma być tak urządzona, aby uczniowie byli także przysposabiani do korzystania z nauki w seminaryach nauczycielskich, jakoteż w szkołach specyalnych, o ile wstęp do nich nie jest zawisłym od poprzedniego ukończenia pewnej klasy szkół średnich.

W zeszłym roku wniósł Wydział krajowy do sejmu przedłożenie, kończące się wnioskiem, aby szkoły wydziałowe męskie w Przemyślu, Samborze, Bochni, Wieliczce, Sokalu i Gródku z końcem roku szkolnego 1885/6 zostały zniesione. Komisya szkolna, której referentem był poseł Wierzbicki, przyznała, iż doświadczenia zebrane w okresie dziesięcioletnim aż nadto dostatecznie wykazały, że szkoły wydziałowe męskie nie odpowiadały zupełnie potrzebom naszego kraju i w teraźniejszej ich organizacyi nie przynosiły żadnych korzyści, ale główną przyczynę tego upatrywała komisya nie bez słuszności w tem, iż szkoły te urządzone zostały na wzór istniejących tego rodzaju zakładów w środkowej i zachodniej Europie, zajmujących pośrednie miejsce między klasą ludności o wyższej inteligencyi a ludnością niżej stojącą pod względem oświaty. Warstwa ta pośrednia złożona jest z kupców, przemysłowców i rękodzielników, którzy w podobnych szkołach wydziałowych uzupełniają naukę elementarną, a po ich ukończeniu nie mają żadnych wyższych aspiracyj, lecz powracają do swego zawodowego zajęcia.

U nas dzieje się inaczej. Rzadko który młodzieniec po ukończeniu szkoły wydziałowej oddaje się rzemiosłu: lekceważy on ten stan, zdaje mu się, że za wiele umie, aby zostać tylko rzemieślnikiem. Stąd też okazało się, iż w ostatnich latach do rzemiosła garnęła się młodzież nieposiadająca albo żadnej nauki, albo też zmuszona naukę wcześnie przerwać bądź dla braku zdolności, bądź dla braku funduszów. Młodzież zaś kończąca szkoły wydziałowe, nie przysposobiona do pracy produktywnej, za dumna na swe wyższe wykształcenie, by się oddać zawodowi przemysłowemu lub rękodzielniczemu, a niedouczona tak, aby mogła zająć stanowiska publiczne wyższych studyów wymagające, tworzy szkodliwy proletaryat, będący rzeczywistą plagą, a poniekąd i niebezpieczeństwem dla społeczeństwa.

Że taki zastęp katylinarnych egzystencyj, na szczęście nie zbyt liczny w naszym kraju, mógł się wytworzyć z ukończonych uczniów szkół wydziałowych, tego powodem wadliwa ich organizacya, nie odpowiadająca potrzebom stanu średniego i rękodzielniczego. Szkoły tedy wydziałowe, jak widzimy, są potrzebne, mogą działać korzystnie i wyrabiać pożyteczny dla kraju zastęp pracowników, ale trzeba je zreorganizować w tym duchu, aby im nadano kierunek przemysłowy i gospodarczy. Z tego też wychodząc zapatrywania, zeszłoroczna komisya szkolna nie zgodziła się z wnioskiem Wydziału krajowego, domagającym się zniesienia tych szkół, lecz żądała tylko ich praktycznej organizacyi. Sejm poszedł za zdaniem komisyi i uchwalił najprzód zreorganizowanie szkoły wydziałowej męskiej w Sokalu, które też dokonanem zostało przez radę szkolną i z nowym rokiem szkolnym 1886/7 weszła już w Sokalu w życie męzka szkoła wydziałowa z charakterem przemysłowym, a mianowicie z uwzględnieniem przemysłu stolarskiego i tkackiego. Ze szkołą tą połączone zostały warsztaty stolarskie i tokarskie, tudzież nauka modelowania i fachowych rysunków zastosowanych do stolarstwa i tokarstwa. Co do reszty szkół wydziałowych, powziął sejm z. r. rezolucyę, polecającą Wydziałowi krajowemu, aby wspólnie z komisyą krajową dla spraw przemysłu rękodzielniczego i drobnego, oraz w porozumieniu z Radą szkolną krajową, a ewentualnie z Towarzystwami gospodarczemi we Lwowie i w Krakowie, wypracował plan stopniowej reorganizacyi szkół wydziałowych w myśl ustawy z d. 2 lutego 1885 r. w tym kierunku,

aby szkoły te odpowiadały przemysłowym, rękodzielniczym i rolniczym potrzebom naszego kraju, uwzględniając przy każdej szkole stosunki miejscowe i aby teuże Wydział przedłożył swe wnioski do uchwały sejmowi na najbliższej sesyi.

O ile nam wiadomo, sprawa poruszona przez tę rezolucyę, nie jest jeszcze załatwioną. Dla obmyślenia należytej dla szkół wydziałowych organizacyi, sprosił Wydział krajowy ankietę, w skład której weszli pp. Ludwik Wierzbicki, Dr. Józef Wereszczyński, Oktaw Pietruski, Dr. Władysław Zajączkowski, Dr. Piotr Gross, Stanisław Homolacz i Teofil Merunowicz. Ankieta ta odbyła d. 8 września z. r. posiedzenie pod przewodnictwem wice-marszałka p. Pietruskiego, a na posiedzeniu tem wybrano podkomisyę, złożoną z pp. Grossa, Merunowicza, Wierzbickiego i Zajączkowskiego, której polecono przedłożyć Wydziałowi przedwstępny projekt co do zmiany szkół wydziałowych w kierunku rękodzielniczym, przemysłowym i rolniczym. Podkomisya nie wypracowała podobno jeszcze tego projektu, a przeto trudno, aby sprawa ta mogła wejść pod obrady sejmu w obecnej sesyi.

Natomiast jednak w innem przedłożeniu porusza, a poniekąd pomyślnie rozwiązuje Wydział krajowy sprawę, która może mieć ważne, a nawet zasadnicze znaczenie dla prawidłowego toku nauki w szkołach wyższej kategoryi tj. w szkołach średnich. Jest to tylokrotnie w pismach i na zebraniach nauczycielskich żywo omawiana sprawa uporządkowania podręczników dla szkół średnich. Nie postąpiła ona dotąd ani na krok naprzód. Dopuszczana jest jeszcze zawsze mnogość książek szkolnych, byle tylko przez ciało nauczycielskie proponowanych, a przez władzę potwierdzonych. Książki zmieniają się w ten sposób z materyalną stratą dla rodziców, a intelektualną dla uczniów. W różnych gimnazyach obowiązują różne książki, a zauważono słusznie, iż spekulacya księgarska wywołała całą powódź książek nowych, usuwających z obiegu stare, a nie lepszych od starych. Do dzisiejszego dnia, mimo liczebnie znaczącej ilości książek szkolnych, oryginalna nowa literatura szkolna świeci jeszcze w niektórych działach pustkami, a to z powodu, iż nie starano się, czy nie umiano zachęcić nauczycieli wytrawnych i fachowo wykształconych do rozwinięcia szerokiej pracy w zakresie literatury szkolnej. Zachętą taką

mogą być niewątpliwie nagrody za najlepsze podręczniki: zrozumiał to Sejm, który już od r. 1882 wstawiał w budżecie krajowym 1000 złr., przeznaczone „na nagrody za najlepsze podręczniki, napisane według planów wypracowanych dla podręczników do szkół średnich“. Kwota ta jednak nie mogła być nigdy zużytkowaną, gdyż planów takich dotąd nie opracowano, a przeto i podręczników zastosować się mających do tych planów nie było. To spowodowało Wydział krajowy, że już w r. 1886 pozycyi tej nie wstawił. Sprawę tę poruszyło jednak w petycyi swej Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, domagając się przywrócenia dawnej dotacyi na nagrody za najlepsze podręczniki, a Sejm na ubiegłej sesyi przekazał tę petycyę Wydziałowi krajowemu do rozpatrzenia i przedłożenia ewentualnych wniosków.

W wykonaniu tego polecenia przedłożył Wydział krajowy na początku bieżącej sesyi sejmowej w tym przedmiocie osobne sprawozdanie. Wydział krajowy wysłuchał w tej mierze przedewszystkiem zdania Rady szkolnej. W odpowiedzi na stosowne zapytanie, poparła ona w zupełności petycyę Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, a wstawienie odpowiedniej kwoty na nagrody za najlepsze podręczniki dla szkół średnich uznała jako nader pożądaną zachętę dla autorów pracujących na polu piśmiennictwa pedagogicznego. W przywróceniu tej dotacyi dostrzega Rada szkolna bardzo pożądany bodziec, mogący się przyczynić do godziwego współubiegania się, a tym sposobem do podniesienia naukowej i metodycznej wartości nagradzanych wydawnictw. W razie przywrócenia tej dotacyi wypadałoby — zdaniem Rady szkolnej — spowodować uchwałę Sejmu, kto i w jaki sposób miałby się zajmować rozdawnictwem tych nagród.

Wydział krajowy ze swej strony podziela powyższe zdanie Rady szkolnej i mniema, że wobec niedostatków, jakie widać w dotychczasowych podręcznikach szkolnych, a zwłaszcza wobec zmian, jakie ministeryum wyznań i oświaty rozporządzeniem z d. 26 maja 1884 r., tak w planie naukowym, jakoteż w sposobie udzielania poszczególnych przedmiotów poczyniło, dotychczasowe podręczniki muszą być zmienione. Więc potrzeba nowych podręczników, obejmujących kursa wykładane w szkołach średnich. Wydawnictwo takowe winno być, zdaniem Wydziału krajowego, ujęte

w pewien określony porządek i system. Wydział krajowy nie może doradzać, iżby tę sprawę pozostawiono jedynie gorliwej nieraz i skrzętnej, lecz nie mniej przypadkowej pracy jednostek. Owszem, sądzi, że sprawę wydawnictw podręczników naukowych należy podjąć władzy publicznej i za pomocą pewnego systematycznego na przyszłość programu, nadać jej kierunek trwały i jasno wypowiedziany. Do podjęcia tej pracy, nikt bardziej powołanym nie jest od Rady szkolnej krajowej. Nie tylko bowiem z potrzebami szkolnictwa średniego jest ona najzupełniej obznajomioną, lecz nadto liczy w swym składzie mężów wysokiej nauki, którzy z prawdziwem znawstwem mogą orzekać o wartości dzieł, o nagrodę się ubiegających. Wobec tego Wydział krajowy jest zdania, że nie ma potrzeby tworzyć osobnej komisyi, któraby spełniała urząd sędziów konkursowych, lecz że to zadanie powierzyć należy Radzie szkolnej. Z tych motywów wnosi Wydział krajowy: 1) wstawić do budżetu krajowego kwotę 1000 złr. na nagrody za najlepsze podręczniki szkolne dla szkół średnich; 2) wezwać Radę szkolną, ażeby rozpisywała publiczne konkursy na szczegółowo określone podręczniki, takowe oceniała i w miarę wyniku nagrody rozdała. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Sejm przyjmie oba wnioski Wydziału krajowego.

Poruszono również na ostatniej sesyi sejmowej sprawę burs dla synów nauczycieli szkół ludowych wiejskich i małomiejskich w tych miastach, gdzie są szkoły średnie. W petycyi wniesionej w tej sprawie z. r. do sejmu przedstawił zarząd główny towarzystwa pedag. smutne finansowe położenie nauczycieli szkół ludowych wiejskich i małomiejskich, które im nie dozwala wysyłania swoich synów do szkół średnich, a przytaczając, iż towarzystwo pedagogiczne mimo wszelkich wysileń nie jest w możności zaradzić potrzebie wnosi, aby Sejm wyznaczył z funduszów krajowych stałą roczną subwencyę na zakładanie i utrzymanie wymienionych burs w tych miastach, gdzie są szkoły średnie. Komisya szkolna, której ten wniosek przekazano, uznając w zasadzie potrzebę takiej pomocy, sądziła, iż odpowiedniejszem od zakładania osobnych burs dla dzieci nauczycieli byłoby zakupywanie dla nich miejsc w bursach już istniejących. Wszakże uważała komisya, iż gdy akcya zarządu tow. pedag. nie jest jeszcze rozwiniętą w kie-

runku, o którym mowa, gdy dopiero z wyników tej akcyi będzie można wnioskować o jej skuteczności, gdy wiadoma dopiero będzie organizacya i kierunek zakładów przez Sejm subwencyonować się mających, wówczas dopiero będzie można oprzeć wnioski na pozytywnej podstawie. Dlatego też komisya szkolna wniosła, a Sejm na zeszłorocznej sesyi uchwalił polecić Wydziałowi krajowemu, ażeby na następnej sesyi przedłożył Sejmowi sprawozdanie o stanie i rozwoju sprawy burs dla dzieci nauczycieli wiejskich i małomiejskich z wnioskami co do wysokości i warunków subwencyi z funduszu krajowego na ten cel udzielić się mającej.

Wskutek polecenia tego zapytał Wydział krajowy o zdanie przedewszystkiem inicyatora tej sprawy tj. zarząd główny Tow. pedag. a następnie radę szkolną. Zarząd główny Tow. pedag. gorąco ujął się za swoim projektem i w przedstawieniu swem podniósł, że ponieważ liczba dzieci nauczycieli wiejskich i małomiejskich, pragnących uczęszczać do szkół średnich, wynosi co najmniej 3000, Wydział krajowy powinienby ufundować w istniejących bursach przynajmniej 100 miejsc, czyli ofiarować na ten cel licząc po 120 złr. na jednego ucznia, corocznie 12.000 złr. Zarząd Tow. pedag. wskazał przytem, w jaki sposób i pod jakiemi warunkami rozdzielałby subwencyę krajową pomiędzy istniejące już wskutek jego inicyatywy bursy, których ogólna liczba w kraju wynosi 12. Rada szkolna w swojej odezwie zajęła wobec tej sprawy również przychylne stanowisko, zalecając tworzenie miejsc w istniejących bursach, a nie zakładanie nowych burs z wyłącznem przeznaczeniem dla synów nauczycielskich. Zakładanie nowych burs uważała Rada szkolna najpierw za nieuzasadniony akt pewnego separatyzmu, a powtóre za zbyt kosztowny środek osiągnięcia celu, do którego z takim samym skutkiem wiedzie mniej kosztowne subwencyonowanie burs istniejących, czyli tworzenie nowych miejsc w tych bursach.

Obie tedy opinie wypadły korzystnie dla sprawy burs, a ponieważ uchwała sejmowa zawierała nietylko polecenie zbadania całej kwestyi, lecz także wezwanie do przedłożenia wniosków co do wysokości subwencyi krajowej i sposobu jej rozdzielenia, przeto prawdopodobnem wydawało się korzystne załatwienie tej sprawy. Pomimo to jednak Wydział krajowy, jak sam mówi, po głębokiem zastanowieniu się nad sprawą przyszedł do przekonania, że nie

może jej forytować wobec Sejmu. Na uzasadnienie swej decyzyi przytacza Wydział krajowy iż: 1) tworzenie przywileju dla jednej klasy funkcyonaryuszów publicznych nie da się niczem usprawiedliwić. Mamy inne warstwy funkcyonaryuszów publicznych, którzy również znajdują się w przykrem położeniu finansowem. Wzięcie w opiekę wyjątkową nauczycieli ludowych pociągnęłoby za sobą słuszne żądania innych warstw o osobne opiekowanie się ich synami. 2) Jeżeli umieszczanie synów w bursach kosztem kraju ma być nagrodą dla odznaczających się nauczycieli, to snadniej ten cel osiągniętym zostanie przez promocyę tych nauczycieli i przeniesienie ich do miast, gdzie się znajdują szkoły średnie. 3) Kraj posiada znaczną ilość fundacyj stypendyjnych, z których i synowie nauczycieli ludowych korzystają. 4) Przeciw wszelkiej akcyi w tym kierunku przemawia i wzgląd na krytyczne położenie funduszów kraju. Zasadniczym jest jednak powód 5-ty, w którym Wydział krajowy podnosi rzecz powszechnie znaną, iż szkoły średnie, a w następstwie uniwersytety wydają tak wielką ilość młodzieży ukończonej, iż kraj w żaden sposób pomieścić jej nie może. Urzędy publiczne są przepełnione, a mnóstwo nieumieszczonych lub umieszczonych bez utrzymania czeka latami na kawałek chleba. Natomiast przemysł nie może się podźwignąć z niskiego stanu, na jakiem pozostaje właśnie dla braku fachowo wykształconej młodzieży. Nie zaprzeczając wcale słuszności innych argumentów, uważamy ostatni za zasadniczy, gdyż wypowiadając go bez ogródek stanął Wydział krajowy na stanowisku popierającem i pochwalającem dążność obecnego ministra oświecenia Dra Gautscha, skierowaną do ujęcia frekwencyi w szkołach średnich w ramy wskazane rzeczywistą potrzebą. Wychodząc z założenia, iż wygórowana frekwencya w szkołach średnich jest niedobrym symptomatem społecznym, pragnie minister Gautsch jedną część młodzieży odciągnąć od gimnazyów, a przeto przystęp i pobyt w nich utrudnia przedewszystkiem dla uczniów niezdolnych, niepilnych i niekarnych. Ta tendencya tkwiła w rozporządzeniu ministra Gautscha w sprawie podwyższenia opłaty szkolnej, a ona też przyświeca mu w całej akcyi rozwiniętej na polu szkolnictwa przemysłowego i przejawi się niewątpliwie w dalszym toku zamierzonej reformy stosunków w szkołach średnich. W tendencyi tej nie widzi Wydział krajowy najmniejszej szkody ani dla szkoły, ani dla

kraju, owszem stwierdza on fakt, iż szkoły średnie są dziś dosłownie nie zapchane uczącą się młodzieżą, a znaczna jej część pozbawiona środków materyalnych i zdolności, tudzież zamiłowania do nauk humanitarnych, przebija się z największym wysiłkiem z klasy do klasy, a po ukończeniu mozolnych i kosztownych studyów nie znajduje odpowiednich dla siebie stanowisk w kraju. Ubytek takiej młodzieży w szkołach średnich może wyjść krajowi na pożytek, bo młodzież ta wcześnie nada swojemu wykształceniu praktyczny kierunek, a wskutek rozbudzonego zdrowego prądu do wykształcenia fachowego, wzmoże się też rychło frekwencya w szkołach rolniczych, przemysłowych i zakładach fachowych, które, jak to powyżej szczegółowo wskazywaliśmy, coraz gęstszą siecią zaczynają pokrywać nasz kraj.

Ze spraw szkolnych dotyczących specyalnie instytucyj krakowskich, wspomnieć należy o sprawie utworzenia szkoły muzycznej w Krakowie i utworzeniu oddziału rzeźby w granicach wyższej monumentalnej nauki rzeźbiarstwa przy szkole sztuk pięknych w Krakowie. Już na sesyi zeszłorocznej polecił sejm Wydziałowi krajowemu staranie się usilne u odnośnych władz rządowych o rychłe stworzenie oddziału rzeźby w powyżej wskazanych granicach. Wydział krajowy w odezwie swojej do Namiestnictwa poruszał tę sprawę, lecz mimo następnych urgensów nie otrzymał dotąd żadnej odpowiedzi na swe przedstawienie. Lepszy obrót przybierać zaczyna sprawa utworzenia szkoły muzycznej w Krakowie przy pomocy funduszu państwowego, krajowego i gminy. Jeszcze w r. 1882 zapewnił sejm wskutek przedłożenia Wydziału krajowego tej powstać mającej szkole stałą roczną dotacyę w odpowiedniej kwocie. Odtąd aż do r. 1885 figuruje w wydatkach budżetu krajowego powyższa kwota i — dopiero przy rozprawie budżetowej nad preliminarzem wydatków na r. 1886 — uchwala sejm nie wstawiać na ten cel żadnej kwoty, gdyż nie ma pewności, że ta szkoła wejdzie w życie. Z powyższych kwot wypłacił Wydział krajowy dotacyę za r. 1883 i za r. 1884 Namiestnictwu na podstawie deklaracyi, zapewniającej zwrot tych kwot, gdyby szkoła w ogóle w życie nie weszła, lub na odmiennych zasadach powstała, aniżeli to było intencyą sejmu. Obecnie jednak, gdy już zapewnioną jest dotacya z funduszu państwowego, gdy i gmina Krakowa również na ten cel

odpowiednią kwotę ofiarowała, odniosło się Namiestnictwo do Wydziału krajowego z zapytaniem, czyby nie był skłonnym wyjednać w Sejmie zezwolenie na użycie deponowanej w Namiestnictwie kwoty 4000 złr. na cele założenia tej szkoły. Wydział krajowy oświadczył gotowość przedstawienia tej sprawy sejmowi, skoro tylko będą znane bliższe szczegóły co do wysokości kosztów jej założenia i co do ich pokrycia. Z tych danych wnosić można, iż sprawa utworzenia szkoły muzycznej w Krakowie, prawdopodobnie już w niedalekiej przyszłości pomyślnie załatwioną zostanie.

Listy z Australii.

Sydney 14 marca 1886.

In gratiam twoich urodzin, które dla mnie wypadają *anticipando* już dzisiaj, muszę ci powiedzieć, że inauguruję tę datę złożeniem do banku pierwszego zaoszczędzonego funta! Na początek nawet skromna to suma: ale wziąwszy na uwagę, że odtąd prawdopodobnie co tygodnia będę mógł minimalnie tę, a może wkrótce podwójną i potrójną zrobić oszczędność z moich przychodów, tak przyświeca nadzieja dojścia w krótce do cetnara złota, z którem w takim razie bądź pewny najkrótszą drogą wrócę natychmiast do Europy, aby tam ugrząść gdzie w kochanym naszem błocie naddniestrzańskim lub nadbużańskiem i nie uwijać się już więcej po różnych hemisferach naszej planety, a zwłaszcza po południowej, bo mi to życie do góry nogami coraz mniej podobać się zaczyna.

Ale o tem potem, a teraz o moich interesach. Otóż zapisawszy się do cechu rzemieślniczego malarstwa, pracuję wciąż na tym samym jeszcze warstacie. A właściwie teraz dopiero zaczęła się fuszerka na dobre: dotąd wciąż były jeszcze tylko próby prób rozmaitych systemów, zmian i sposobów projektowanych co chwila przez mojego majstra, p. Strojnowskiego. Nareszcie rzecz stanęła na tem, że zgodziłem się do roboty na sztuki: za dwie pary tablic, kompozycyj niemal oryginalnych w konturach, biorę funta; za jeden wykończony rysunek litogr. kredką na litogr. papierze dwa funty. W przeciągu dwóch lat ma być wydane dzieło całe o 300 tablicach, a zatem pa-

trzyłoby mi się w tym czasie 900 funtów, jeślibym wykonał sam dzieło całe. Teraz pracuję jednak tylko nad konturami i dawszy sobie radę w tym tygodniu z 16 tablicami zarobiłem 4 funty czyli akuratnie 100 franków przez tydzień i jestem dość zadowolony. Dotąd, jak ci to donosiłem już, płacono mi za czas tj. relatywnie bardzo nędznie: najpierw dwa, później trzy funty tygodniowo, z czego ostatecznie wypłaciłem długi tutejsze za życie w pierwszym miesiącu i podreparowałem z grubsza nadwątloną nieco garderobę moją: no i funta pierwszego odkładam.

W rysunku i w malowaniu dochodzę do coraz to większej wprawy. Nie wiem jednak czy przy tem zajęciu zostanę, bo niczem związany nie jestem i gdyby się co lepszego trafiło to naturalnie pójdę na lepsze tj. na rentowniejsze, bo o przyjemniejsze zatrudnienie trudno, jak obecne. Zajęty jestem jednak bardzo. Od godz. $8^1/_2$—$9^3/_4$ mniej więcej uczę darmo cudze dzieci, z przyjaźni dla państwa Czarlińskich. Od godz. 10 do 1 i od 2 z południa do 6 pracuję w muzeum nad rysunkami. Śniadam w mieście, w biurze p. Czarlińskiego z nim i z moim towarzyszem Zwirglisem pijemy herbatę z przekąską przyniesioną z domu. Po obiedzie o 7 mam trzy razy na tydzień lekcyę angielsko-francuską tj. uczeń mój anglik za lekcyę francuską, udziela mi angielskiego, w którym to ostatnim stoję teraz na tym punkcie, z którego ruszyć się najtrudniej: tj. na końcu początków. Gadam więc nibyto choć z błędami, czytam jeszcze z większemi naturalnie! i czytając dość dobrze rozumiem, a mimo to, jak ci wytnie Anglik prawdziwy a zwłaszcza Szkot albo Irlandczyk rodowity swój „speech“, w którym wszystkie samogłoski połknął a spółgłosek połowę nie domówił, tak stoisz jak na tureckiem kazaniu i na jednoby wyszło czybyś miał barana przed sobą, czy takiego „niemca“. To też słusznem jest, co mówią, że nie dość jest nauczyć się mówić po angielsku, trzeba jeszcze—umieć zgadywać.

Do moich zatrudnień obecnych przybędzie prawdopodobnie jeszcze lekcya rysunków w niedzielę $^1/_2$ funta za dwie godziny, którą mam udzielać pewnemu reporterowi jednego z tutejszych dzienników; rzecz ta ma się jednak rozstrzygnąć dopiero w przyszłym tygodniu: biedny reporter — co ja go nauczę! Widzisz jednakże z tego wszystkiego, że w kraju tym u m i ą c robić monetę, zrobić się ją musi... i gdyby nie niańka moja znachorka... kto wie!

O ile dotąd kraj i ludzi tutejszych poznałem, zdania mego zmienić jeszcze o nich nie mogę. Człowiek każdy jest inkarnacyą „biznesu“, a kraj inkarnacyą monotonii. Australia, jak ją widzisz na karcie — bezkształtny blok lądu, tabula rasa: bez tego wszystkiego, co gdzieindziej nazywa się górą, rzeką, jeziorem, co urozmaica i ożywia okolicę, co z geograficznego pojęcia miejsca pewnego robi organiczną i uorganizowaną niejako indywidualność i całość: krainę. Charakterowi tego kraju odpowiada postać i charakter mieszkańców. Rasa tutejszych krajowców jest istotnie najniższą z ludzi. Miałem sposobność widzieć ich i przypatrzeć się im w ich własnej, choć nibyto ucywilizowanej już, wiosce, stąd o kilka mil naszych odległej. Piętno bydlęcości i niższości intellektualnej tak w nich dominuje, iż uwierzyćby można, iż ród ten przeznaczony na wytępienie, choćby w walce o byt w formach jak najbardziej łagodnych. Bo istotnie to przyznać trzeba, że rząd i wogóle społeczeństwo opiekuje się niemi dość szczerze. Ale tylko złe strony cywilizacyi krzewią się tam i prowadzą ich do tem prędszej zguby: przedewszystkiem pijaństwo i rozpusta. Do pracy i porządku, tych dwóch fundamentalnych czynników cywilizacyi, mają wstręt nieprzezwyciężony. Umrą z głodu, jeśli im przypadek nie rzuci jadła pod nogi w postaci padliny, płazu lub jakiego owadu. Owoców jadalnych ni ziaru ziemia tutejsza nie płodziła; rolnictwo więc, ten pierwiastkowy zaród wszelkiej kultury — nieznanem tu było wcale. Z drugiej zaś strony — klimat ciągle łagodny i suchy nie zmuszał ich do pomysłowości w wyszukaniu schronisk i budowaniu sadyb dla siebie, tak, jak brak zwierząt niebezpiecznych dla człowieka nie dał im sposobności do wytężania dowcipu, nawet w kierunku obrony własnej.

Fauna i Flora — dziwny przedstawia tu widok. Rozrost poszczególnych rodzin hypertroficzny; natomiast ubóstwo liczebne rodzajów na równie olbrzymich przestrzeniach, jak tutaj, nigdzie się zresztą na świecie nie napotyka. I tak: z ssących zwierząt: aplacentarye, rodzaj najniżej z istniejących uorganizowany, rodzący młode bardzo niewykształcone, w formie embryonalnej jeszcze, niby płód niedonoszony, z mózgiem ważącym tylko $\frac{1}{500}$ wagi ciała: są to najgłupsze z ssaków kengury w setkach odmian, do siebie podobnych. Z płazów, jaszczurki, których najbliżsi powinowaci w kredowej znajdują się formacyi, jak inguanony, których tutaj pełno, i t. p. Z ptaków

przeważa papuga. Nie masz pojęcia, jak może się człowiekowi naprzykrzyć się to banalne i idyotyczne stworzenie, jeśli się je na każdym napotyka kroku. Bo w mieście — dom każdy ma swoją werandę, a każda weranda swoją nieuniknioną papugę. W lesie znów — na każdym drzewie drze się ich po kilka, która lepiej zawrzeszczy! Ja zaś na dobitek muszę je jeszcze konturować, rysować, malować i na wypchane patrzyć się w muzeum! Ale gorszą jeszcze plagą dla nerwów ludzkich niż papuga w państwie zwierzęcem, jest w królestwie roślin: eukalipt. Wyobraź sobie jakie bądź drzewo, byle p a r s z y w e, a będziesz miał obraz eukaliptu. Na karłowatym pniu, badylaste konary bez charakterystycznego rozrostu; na nich gałęzie z rzadka, długie i cienkie jak ostrugane patyki, a na gałęziach tu i owdzie garstka suchych jak papier, sztywnych, lancetowatych liści szarozgniłego koloru. Obie strony liścia są jednakie, nie jak u roślin naszych, gdzie rozróżniamy wierzchnią i spodnią, na oko i w anatomicznej budowie różniącą się tkanką. Wskutek ułożenia się liści do pionowej nie horyzontalnej płaszczyzny, drzewa tutejsze, które są zawsze eukaliptami, nie dają żadnego prawie cienia. To też coś nędzniejszego jak las tutejszy, trudno sobie wyobrazić: tysiące tych stereotypowych nędzarzy, stojąc w należytem oddaleniu jeden od drugiego niby zagapione w niemej nudzie, pieką się cierpliwie na pełnem słońcu — „bez szmeru, bez jęku"...

Boże drogi!... gdzie na świecie jest druga Polska?... Widziałem ów słynny Pampelnius na wyspie Mauricius, zwiedzałem Bourbon i Seystele; palmy — banany - liany — wszystko to — ładne... ale przecież — mierzyć się nie może z naszemi lasami północnemi, pod względem jakiegoś nieporównanego wdzięku i krasy.

Eukaliptów ma tu być około 700 gatunków, na zawsze jednakowych, a wszędzie ich pełno, tak że wprost już obrzydzenie jakieś zbiera do nie, i chcąc wyjść z pyłu miejskiego na świeże powietrze, medytuje się tylko nad tem — dokądby pójść, gdzieby eukaliptów nie było? Niestety, nie odkryłem dotąd miejscowości w okolicy Sydney, gdzieby chociaż na trzecim planie nie dominował przebrzydły eukaliptus. Jednem słowem — jest tu w krajobrazie monotonia czyśćcowa, zabijająca! I — gdyby nie mój kochany przyjaciel, Ocean stary, jedyna ucieczka w chwilach melancholii i tęsknoty — nie ruszałbym się z mej chałupki. Morze

jedno nie znudzi się człowiekowi nigdy, bo wciąż jest inne, choć wciąż to samo i zawsze majestatyczne, w ciszy czy w burzy, w świetle południowego słońca czy w ciemnościach nocy.

Woda deszczowa spłukała tu góry, niegdyś prawdopodobnie bardzo wysokie, jak można wnosić z granitowych i bazaltowych trzonów. Woda morska zlizała wyskoki lądu, stąd ni gór, ni półwyspów znaczniejszych w Australii nie ma, i charakter ogólny tego kontynentu wyraża: starość i zgrzybiałość. A jednak ziemia ta się odmładza, sztucznie przez interwencyą geniuszu ludzkiego. Trudno wprawdzie usypać góry i wymurować półwyspy, ale rośliny i zwierzęta przesadzać na odległość pół obwodu globu ziemskiego jest w mocy człowieka. To też gdzie osiadł tylko Europejczyk, Chińczyk czy Amerykanin zaraz stwarza około swej zagrody kawałeczek Europy, Chin lub Ameryki. A wszystko się tu udaje w tym klimacie cudownym, bo klimat nadbrzeżny w południowej Australii jest istotnie cudowny, począwszy od owoców, — tak pysznych jakich dotąd nie widziałem nigdy, funt ananasów za szelinga, winogrona muszkatelowe funt za tripens; jabłka, gruszki, brzoskwinie, banany, kokosy itd. — wszystko w tym stosunku kosztuje tanio niesłychanie, — aż do zwierząt domowych, które hodują tutaj w wyborowych rasach. Reszta na przyszły raz. Tymczasem bądź zdrów. Twój

Karol.

Druk ukończony dnia 26 stycznia 1867.

Tom XIII. Nr. 39.

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK CZWARTY. — ZESZYT 3.

MARZEC 1887.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

TREŚĆ ZESZYTU 3.

Str.

1. Dzisiejszy ustrój Kościoła w Ameryce. Przez *Ks. Z. Bartkiewicza T. J.* 321
2. Zamorskie posiadłości Wielkiej Brytanii, V. Ameryka północna. Przez *A. M. L* (Dok.) 341
3. Źródła historyczne Wschodu odnośnie do Pisma świętego. Przez *Ks. W. Zaborskiego T. J.* 352
4. O Wolności Nauczania. Przez *Jana Popiela* 380
5. Stosunek celowości natury do Boga. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 392
6. Stosunki handlowe z Bułgarya. Przez *Jana Grzegorzewskiego* 415

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego: Puławy (1762—1830) Opracował *Ludwik hr. Dębicki (Dr. Ignacy Skrochowski).* — Wiara i Niewiara w stosunku do szczęścia osobistego. Napisał *Ks. Z. Szczęsny.* — Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygiena socyalna, przez *Adolfa Coste'a*, przełożył *Ignacy Świętochowski.* — Historici Diarii domus professae S. J. ad S. Barbaram Cracoviae *(Ks. St. Załęski T. J.).* — Sprawy włościańskie w Sejmie. Uwagi i wnioski *Teofila Merunowicza* . . . 431

Z piśmiennictwa zagranicznego: Dr. P. Schegg. Biblische Archeologie, von *Dr. Wirthmüller (Ks. A. Arndt).* — Codices Graeci Palatini. Edidit *C. B. de Rossi.* — From School to Cathedral. By profes. *Baldwin Brown.* — Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen des Alterthums von *Christian Tesch S. J.* — Der katholische Dichter Aurelius Prudentius Clemens, von *P. Augustin Rössler* 441

Z pism peryodycznych: Kronika Rodzinna. Rok 1886. — Zeitschrift für katholische Theologie. Jahrgang 1886. Insbruck. *(Ks. A. Langer)* 448

Rozmaitości: „Mir“ o Szkole 455

SPRAWOZDANIE
z ruchu religijnego, społecznego i naukowego:

1. Sprawy Kościoła: Kwestya zniesienia konkordatu i budżetu wyznań we Francyi. — Zamysły o „narodowym kościele“ we Włoszech. — Poselstwo Sułtana tureckiego i Mikady japońskiego do Papieża. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 457

2. Kronika warszawska: Ciężkie czasy i przygnębienie ogólne. — Nowe pisma wobec upadku materyalnego dawnych. — Życie. — Tygodnik powszechny. — Głos. — Jego religia i dążenia społeczne. — Postępowe absurdy. — Gdzie konsekwencya? — Nowy zwrot, czy wybryk „Głosu“ — Skutki naszej filozofii i jej propagatorów. — „Prawda“ propagująca budaizm — Nieoględność „Wieku“. — Katolicyzm i „Przegląd tygodniowy“. — Wystawy obrazów. — Grunt Warszawiaków. — Jak u nas godzą się zasady i tendencye. — Pochopność warszawska. — „Albert, wójt krakowski“. — Wystawa potrzeb mieszkalnych. — S. p. Wacław Szymanowski. — Słówko do „Roli“ 463

3. Listy z Australii 470

4. Sprawy szkolne w Sejmie. Przez *Chylińskiego* 473

5. Z Berlina: Polacy w Berlinie. — Żołnierze Polacy. — Socyaliści 477

6. „Rozkoszne marzenia“ Suchorowskiego 483

DZISIEJSZY USTRÓJ KOŚCIOŁA W AMERYCE.

Z okazyi ostatniego plenarnego Synodu Baltimorskiego.

(Acta et Decreta Concilii Plenarii Baltimorensis A. D. MDCCCLXXXIV).

„Jeśli drzewo sądzić trzeba z owoców, to porównajmy tę tak „dumną z dawnej swej cywilizacyi Europę, z młodą Ameryką. „Tamto kwitnące kościoły, których nikt nie uciska, ogólna wolność, „spokój we wszystkich sumieniach, a tutaj w Niemczech, Szwajca- „ryi, Francyi obłęd w umysłach, powszechny niepokój, złowrogie „wzburzenie. W Stanach Zjednoczonych panuje w całym blasku „chrześcijaństwo, oparte na powadze Boskiego słowa“ [1]. W tychto kilku krótkich rysach odmalował p. Laboulaye obecny stan katolicyzmu w Ameryce północnej. A jednak nie tak to dawne czasy, kiedy rozwielmożniony tam protestantyzm dzierżył w swem ręku monopol wyznania, kiedy katolików w Ameryce uważano za „synów Antychrysta i dzieci zatracenia“ — wiek zaledwo minął, jak skończyło się panowanie angielskiego Kościoła państwowego, pod którem jęczała przez dwa wieki największa część północnych amerykańskich kolonij. Oręż Washingtona z pomocą Francuzów oswobodził Stany Zjednoczone zpod panowania Anglików, a *Volontary principle* skruszyło potęgę ich Kościoła, który rozpadł się na tysiączne odłamy.

Historya Kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych tworzy dziś bijące przeciwieństwo z dziejami protestanckich sekt. W nich to obok liczebnej przewagi, fizycznej potęgi, nadmiaru bogactw tylko

[1] L'Église et l'État en Amérique. Revue de Deux Mondes 1873 str. 742.

rozdwojenie, ospałość, waśni ciągłe i wewnętrzny rozkład, podczas kiedy w Kościele katolickim obok materyalnej niemocy, ubóstwa i tysiąca innych trudności wzrost, życie, cicha ale energiczna i organizacyjna praca. Gnębiony Kościół katolicki w krótkim czasie stał się tam potęgą z którą się liczyć musi protestantyzm. Oto co pisał przed laty jeden z protestanckich pastorów H. W. Platt: „Powiadają że trzy potęgi ubiegają się o ster cywilizacyi w półno„cnej Ameryce: katolicyzm, protestantyzm i bezwyznaniowość. Co „się tyczy protestantyzmu, to tylko kwestya czasu, kiedy mu obe„cny system szkół naszych zada cios śmiertelny. Walka wtedy „ograniczy się tylko na katolicyzm i niewiarę. Laicyzm zagarnął „obecnie wszystkie szpitale, schroniska ubogich i szkoły, które kie„dyś Kościół protestancki ufundował. A rzeczą widoczną i dowie„dzioną, że w rządach laicyzmu najwyższe się mieści zepsucie“ [1].

Zabójczy zaś system szkół bezwyznaniowy tak przedstawił. „Nie potrzeba szkół bezwyznaniowych, aby protestantów zniechęcić „dla katolicyzmu i z pewnością nie zbliżają one katolików do pro„testantyzmu. Przeciwnie się dzieje, ponieważ szkoły bezwyznaniowe „wychowują dziecko bez żadnej religii i poza wszelkim kościołem bu„rzą one przez to nie rzymski, ale protestancki Kościół. Kościół „rzymski umie dopilnować swoich korzyści i nigdy nie rezygnuje „ze swego posłannictwa. Ktokolwiek badając 18 wiekową historyę „chrześcijaństwa sądzi, że Kościół rzymski może popaść w głupstwo „protestanckiego Kościoła i dopuścić bezwyznaniowej nauki, ten ją „czytając nierozumiał jej. Protestantyzm może, jeśli chce duchowe „i moralne kształcenie młodzieży poruczyć bezwyznaniowemu pań„stwu, ale katolicyzm działa o wiele roztropniej, gromadzi swą dzia„twę do owczarni swej Kościoła, który ich sam do życia prowa„dzi. On płaci swe podatki, ale strzeże swojej dziatwy. Tak więc „wydaje protestantyzm całą religijną część naszej cywilizacyi w ręce „rzymskiego Kościoła, albo kieruje ją na drogę racyonalistycznej „apostazyi. Kościół rzymski widzi, że jakakolwiek religia zapanuje „w przyszłości, wszystko w końcu do niego wrócić musi, podczas „kiedy dzisiejszy protestantyzm wymyka się z rąk jego własnych „wyznawców“ [2].

[1] Univers 15 Jan 1878 wedle New-York Tablet.
[2] Tamże.

Ten pomyślny rozwój katolicyzmu w północnej Ameryce napełniał radością ojcowskie serce Piusa VI. i Piusa VII. wśród ciężkich prześladowań jakie przechodził Kościół w Europie. Kiedy tutaj rewolucya wywracała rządy Kościoła, papieży z ich odwiecznej siedziby wygnała, tam ich władza kwitła w całej pełni, wznosili biskupstwa mianowali nowych książąt Kościoła. To też Grzegorz XVI. zwykł był mawiać „że nigdzie nie czuje się więcej papieżem jak w Ameryce". I wiekopomny Pius IX. najszersze pole działalności miał w Ameryce, gdzie wzniósł w przeciągu swego pontyfikatu przeszło 35 stolic biskupich.

W chwili kiedy swoboda nastała dla kościoła, położenie jego materyalne nie było lepsze niż w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Kilka zaledwo kościołów i kaplic posiadali katolicy a po większej części pokoje w prywatnych domach były miejscem ich zgromadzenia. Członków nie liczył Kościół więcej nad 25.000 tj. 50 część całej ludności. Tęto garstkę składało kilka gmin w Marylandyi i Pensylwanii, reszta żyła w rozprószeniu w zachodniej stronie po farmach otoczona przez protestantów. Kapłanów było zaledwie dwudziestu kilku, wszyscy prawie eksjezuici, ale złamani wiekiem i trudami swego misyjnego zawodu. Nie było szkół, seminaryów, szpitali, ani klasztorów, gdzieby się mogli kształcić nowi zapaśnicy, skądby błysnąć mogła nadzieja lepszej przyszłości. A jednak Opatrzność Boża czuwała tu jak wszędzie nad swojem dziełem. Za pośrednictwem Franklina stanął na czele kościoła amerykańskiego John Caroll mąż iście apostolskiego ducha, pełen wykształcenia obdarzony zmysłem organizacyjnym i niezwykłą energią. Jako apostolski prefekt rozpoczął on 1785 r. pierwszą swą wizytę, w 1789 jednogłośnie został on przez kler przedstawiony na biskupa, a 14 listopada na mocy nominacyi Ojca świętego zasiadł pierwszy na stolicy Baltimoru.

Wybór padł na Baltimore głównie dlatego, że tam w samem miejscu, podobnie jak i w okolicy najwięcej było chrześcijan. Tu odbył się pierwszy synod dyecezalny 7 listopada 1791. Obecnych na nim było trzech wikariuszów generalnych i 17 kapłanów. W krótkich dekretach rzucono pierwsze podwaliny młodzieńczego kościoła. Głównem atoli staraniem dzielnego biskupa, było zapewnić przyszłość swej dyecezyi przez wzniesienie seminaryum, szkół i t. d. Dzięki

zapobiegliwości jego i hojności wiernych rozpoczęto już w 1788 budowę akademii w Georgetown, która w trzy lata już otwartą została. Szczupłe szeregi duchowieństwa zwiększyły się przez przybycie 5 kapłanów zakonu św. Sulpiciusza i tyluż seminarzystów. Coraz liczniej zaczęli przybywać kapłani z Europy zwłaszcza zakonnicy, jak Sulpicyanie, Karmelici, Augustyanie, Dominikanie, tak iż w roku 1808 miał biskup pod swoim zarządem 70 kapłanów, 80 kościołów i 50.000 wiernych. Po miastach jedne po drugich wznosiły się szpitale, ochronki, domy ubogich, szkółki, na które państwo nie dawało ani grosza.

Ale nazbyt obszerną była nowa dyecezya, ażeby jeden punkt centralny dla niej wystarczył, trzeba było kilka podobnych ognisk założyć, skądby się mógł katolicyzm krzewić. Na nowe stacye misyjne wybrał on Boston, Filadelfię, Nowy York i daleko na zachodzie położony Bardstown. Te miały być stolicami nowych biskupstw. W r. 1808 Pius VII. zatwierdził je, wynosząc przytem biskupstwo Baltimoru do godności arcybiskupstwa. Wyświęceni przez swego metropolitę nowi biskupi odbyli z nim drugi synod Baltimorski, na którym omówiono kwestye administracyi nowych dyecezyj. Wzięli się rączo do dzieła. Każdy z nich założył w krótkim czasie seminaryum, szkoły i klasztory i sprowadził z Europy misyonarzy. Największe powodzenie miał biskup Flaget w Kentucky, który w krótkim czasie urządził 30 gmin składających się z 6.000 dusz.

Niezadługo potrzeba było nowe dyecezye tworzyć. Pierwotnie urządzano stacye misyjne, które z czasem zamieniano w biskupstwa. Tak powstały w New-Orlean, St. Louis, Missouri, Florydzie i t. d. tak, że w 40 lat po swojem założeniu liczyła metropola Baltimorska 10 sufraganij, a liczba katolików wzrosła do 500.000 rozsianych na ogromnej przestrzeni od Atlantyku aż do Missisipi, od jeziora Michigan aż po zatokę Meksykańską. Z rokiem 1829 rozpoczął Kościół amerykański, jakby nową epokę swego istnienia, zaczął objawiać swą żywotność, zwołując koncilia i urządzając się na wewnątrz i zewnątrz. Pierwsze takie koncilium prowincyonalne zwołał Jakób Whitefield do Baltimoru, na którem obecnych było sześciu tylko biskupów, dwóch bowiem bawiło w Europie. Na następnem, które się odbyło w 1833 r., dziewięciu zebranych biskupów postanowiło starać u Ojca św. o pomnożenie biskupstw,

o zmianę granic dyecezyi, zrobiło ważne przedłożenia o sposobie obsadzania stolic biskupich, o duszpasterstwie u Indyan i Murzynów. Za rządów arcybiskupa Samuela Ecclestona odbyły się cztery prowincyonalne synody w latach 1837, 1840, 1843, 1846., na ostatnim było przytomnych 22 biskupów a obok tego i nominaci nowych dyecezyj. Na siódmym synodzie w 1849 r. prosił arcybiskup Samuel Ojca św. o pozwolenie zwołania plenarnego synodu, który się odbył w Baltimore w 1852 r. Obecnych na nim było prócz arcybiskupa Franciszka Patryka Kenrick'a z Baltimoru, który jako delegat apostolski prezydował, pięciu innych metropolitów i 26 biskupów. Większy i co do znaczenia i co do liczby obradujących był wtóry plenarny synod w r. 1866 pod prezydencyą Jana Spaldinga. Najświetniejszy atoli ze wszystkich był trzeci w r. 1884. Zasiadało na nim oprócz 12 arcybiskupów, 60 biskupów, 7 opatów, i 35 przełożonych zakonnych. Brakowało jeszcze kilku biskupów, którzy chorobą złożeni przybyć nie mogli.

Oto w krótkim zarysie dzieje Kościoła amerykańskiego. Zaiste świetne to dzieje, jeśli w jednem stuleciu doszedł kościół do tak poważnej liczbą hierachii i do tak wielkich pod każdym innym względem rezultatów[1]. Mamy właśnie dekrety ostatniego plenarnego koncilium, są one ostatnim jakby wyrazem ukonstytuowania się Kościoła w Ameryce, miarą jego żywotności, ducha i działalności niespełna wiekowej. Rozwój ten dla nas tem ciekawszy, że odbył się on w zupełnie odmiennych warunkach niż u nas w Europie. Tu Kościół zrośnięty był z państwem, choć w bycie i rządach niezależny od niego, wspieranym był jednak od państwa, tu miał kościół za sobą całą przeszłość dziejową, aureolą cywilizatora otoczony, pełen zasług i chwały obudzał należną cześć i poszanowanie, tam był świeżo przesadzoną plantą bez żadnej tradycyi, zostawiony swoim siłom, odłączony od państwa i przezeń ignorowany, musiał sam sobie zdobywać stanowisko, poświęceniem wywalczać uznanie. Prawda, że Kościół to dzieło Boże, a nie rąk ludzkich nosi w łonie swojem ży-

[1] Stan obecny Kościoła jest mniej więcej następujący. Arcybiskupów 14, biskupów 63, kapłanów 7043, kościołów 6626, kaplic 907, stacyj misyjnych 1895, kollegiów 83, akademij 581, szkół parafialnych 2464, uczniów 490.531 ochronek 272, szpitali 154 wszystkich wiernych przeszło ośm milionów. Katolischer Missions-Atlas von O. Werner S. J. Freiburg im Breisgau 1885.

wotność i ma nad sobą opiekę wyższą i potężniejszą, jakiej mu ludzie dać nie mogą, ale mimoto jego rozszerzanie i kwitnienie zależnem jest od warunków społecznych, bo i interwencya Boża, która mu upaść nie da i która czuwa nad jego posłannictwem, nie rozciąga się aż do usunięcia wszelkich przeszkód. Historya Kościoła a zwłaszcza ostatnich czasów w Niemczech, Francyi, Włoszech, aż nadto pokazuje, że państwo choć go zniszczyć nie zdoła, mając jednak siłę materyalną w rękach, może mu zadać bolesne ciosy, może na czas jakiś jego żywotność pohamować, a z drugiej strony otaczając go swą opieką, może się przyczynić do jego wzrostu i blasku.

Nie jesteśmy bynajmniej wielbicielami owej wolności amerykańskiej co do religii, wiemy co o niej sądzić, bo już i Kościół swe zdanie w tej mierze wypowiedział[1]. Ustawodawstwo amerykańskie wyklucza z życia politycznego i społecznego zarówno religię katolicką jak i każdą inną. Prawo uważa religię za rzecz czysto indywidualną, którą pozostawia upodobaniu każdego i każdy może tę lub ową formę Chrystyanizmu przyjąć, może ją każdej chwili porzucić i przejść na Islam lub Budaizm. Wobec państwa wszystkie religie są zarówno dobre, żadna nie posiada większych prerogatyw, szerszych praw, więcej znaczenia. Starodawny kościół katolicki, sekty Kwakrów, Anabaptystów, Mormonów i każda świeżo wylęgła sekta z rozdwojenia w protestantyzmie jednako są tam uprawnione, mogą swobodnie swą religię wyznawać, rządzić się wedle swoich statutów rozszerzać swój wpływ i znaczenie, państwo się do tego nie miesza, nie dba o to zupełnie.

Wolność ta wyznania w istocie ubliżająca jest dla Boskiej religii. Faktycznie bowiem prawo stawia ją na równi ze wszystkiemi wymysłami fantazyi ludzkiej, z najdowolniejszemi systemami religijnemi, które są po większej części płodem zboczenia umysłu lub wypływem zepsutej woli. Ale miałoby państwo jedno jakieś wyznanie uprzywilejować, katolicyzm wypierając ze swych granic, jak to miało miejsce swego czasu w Anglii i Szwecyi, albo gdyby opieka państwowa miała się posunąć aż do wtrącania się w wewnętrzny zarząd Kościoła, jak się to dzieje we Francyi a kiedyś w Austryi działo — to stokroć znośniejszą, lepszą dla Kościoła ta wolność

[1] Syllab. Prop. damn 55. Prop. 15—18. Prop. 77—80.

amerykańska. Jakkolwiek fałszywa i występna w zasadzie umożliwiła ona szybki rozrost katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Zasada wolności religijnej *Volontary principle*, jakkolwiek odmawia Kościołowi pomocy, do której ma on niezaprzeczalne prawo, tyle przynajmniej ma dobrego, że nie stawia żadnej zapory w jego rozwoju, nie krępuje jego działalności ani w wewnętrznej organizacyi, ani w zewnętrznych stosunkach i wpływach. Stąd połączenie tamtejszych katolików z centrem Kościoła nie napotyka na żadną przeszkodę. Biskupi znoszą się otwarcie z papieżem. Jeśli się opróżni, która ze stolic biskupich, papież naznacza jednego z kandydatów przedstawionych przez resztę biskupów na następcę, nie pytając się czyto *persona grata* dla rządu, temu to bowiem rzecz zupełnie obojętna, kto stoi na czele dyecezyi, on się nie wtrąca ani w zmianę granic dyecezyi, ani do zakładania nowych biskupstw. Metropole odbywają niemal corocznie swe synody, po trzykroć zwoływano plenarne koncilium, ale ani obrady biskupów, ani ich dekrety nie ulegają kontroli rządu. Bulle papieskie, listy pasterskie nie potrzebują żadnego *placetum*. Władza państwowa nie miesza się do wychowania, nominacyi, ani do zarządu klerem. Biskupi tworzą swobodnie nowe parafie i stacye misyjne, budują kościoły, klasztory, szkoły, szpitale i t. d. bez uprzedniego zezwolenia lub uwiadomienia władzy świeckiej. Kościół może prawa małżeńskie dyktować i nad ich wykonaniem czuwać, strzedz swej karności wśród duchowieństwa i wiernych. Odwołujący się od wyroków kościoła do trybunału ziemskiego, nieodmienną otrzyma odpowiedź, że rząd nie jest w stanie rozsądzić, czyto słuszny wyrok lub nie, gdyż to przechodzi jego kompetencyę. Kapłan katolicki nie ulega prawom wojskowym, wolny od piastowania urzędów świeckich może z kazalnicy, na prywatnych zgromadzeniach i w pismach krzewić naukę Chrystusową, policya nie pociągnie go za to do odpowiedzialności. Słowem żadnych uciążliwych i Kościół krępujących następstw, które za sobą pociąga państwowa opieka nad Kościołem w niejednem kraju Europy, nie doświadcza kościół amerykański. Ta wolność przyznana przez ustawodawstwo wszech stanów związkowych wśród biegu stulecia nie zmniejszyła się bynajmniej, ale wyjąwszy nieliczne wypadki ciągle wzrastała, tak że zrazu katolicy odsunięci od wszelkich urzędów, mogą dziś

do każdej godności dojść, a Kościół jest zarówno wolny i uprawniony jak wszystkie inne sekty i wyznania.

Ale ta wolność wyznania, która Kościołowi drogę otwarła do Ameryki i tyle się przyczyniła do świetnego tryumfu religii katolickiej, była przyczyną wielu walk dla Kościoła. Kościół bowiem ignorowany przez państwo, chcąc istnieć i mieć opiekę prawną musiał się o nią starać na innej drodze, jako korporacya posiadająca jakiś majątek i nim rozporządzająca. W tym celu musiał on być reprezentowany przez wybrane w tym celu grono, tak zwanych *Trustees*, napoły z duchownych napoły ze świeckich złożone, które przedstawiało ciało rządzące i zawiadujące funduszami korporacyi. Ale to wprowadzenie żywiołu świeckiego do zarządu w kościele, najbardziej sprzeciwia się jego duchowi i całej naturze katolicyzmu. W Kościele jest rząd czysto monarchiczny i władza z góry zstępuje wszelki więc podział władzy z podwładnymi jest wykluczony. Kościół nie może się nań zgodzić, nie może go uprawnić, inaczejby zaparł się swej nauki, odstąpił od swoich zasad, gotując sobie niechybny upadek.

To też zmuszony okolicznościami kościół amerykański niedługo poczuł, jak zabójczym dlań był ten rząd demokratyczny. Ci „Trustees“ z czasem zaczęli się mieszać czynnie do rządów, mając władzę, mogli i paraliżowali wszelki wpływ proboszczów w parafii, albo co gorzej łączyli się niekiedy z nimi, opór stawiając rozporządzeniom biskupim. Smutną kartę dziejów każdego biskupstwa tworzą szkandale *Trusteeismu*. Przez nie rozwój katolicyzmu został na wielu miejscach cofnięty o całe dziesiątki lat, albo też i zupełnie zatamowany. *Trustees* czując się powołanymi, do sprawowania rządów w kościele, uważali za rzecz zależną od większości swych głosów przyjęcie lub odrzucenie przeznaczonego im od biskupa kapłana na proboszcza, zmniejszali lub odmawiali mu pensyi, jeśli jego rządy nie przypadały im do smaku. Dochodziło do tego, że biskupowi naznaczano liczbę dolarów jako cenę, za którą żądano księdza. Boston, New-York, Filadelfia, New-Orlean, Detroit i inne biskupstwa były długie lata widownią gorszących zatargów z Kościołem. I tak w Filadelfii, zanim to miasto zostało stolicą biskupią, przez lat pięć (1797—1802) trwała szyzma, na której czele stało dwóch niecnych kapłanów. Po objęciu zarządu dyecezyi przez

biskupa Egana, kiedy przyszło do obsadzenia kościoła katedralnego, komitetowi narzucali swego kandydata, którego biskup uznać nie chciał. Umarł biskup niedoczekawszy się zgody, a następca jego Dr. Convell zaraz po wstąpieniu na swą stolicę, zasuspendował proboszcza katedralnego Hogana dla gorszących obyczajów i odsunął od urzędu. Nieprzychylna rada zawiadowcza związała się teraz z Hoganem, wyparła biskupa z klerem z katedry, której zarząd oddała Hoganowi. Ten atoli po kilku latach sprzykrzywszy sobie stan kapłański apostazyował, ale znalazł w innych wyrodnych kapłanach, zastępców. Stan ten szkandaliczny dotwarł aż do 1830 r. Po 20 dopiero latach udało się biskupowi Kenrickowi rzuceniem interdyktu na kościół i cmentarz złamać butę upornych i ład w kościele zaprowadzić. Tenże sam biskup podczas swej wizyty natrafił na podobne położenie w Pittsburgu. *Trustees* oparci na tem, że swym kosztem wnieśli kościół, przywłaszczali sobie prawo do obsadzenia. Biskup wstąpiwszy na ambonę, wytłumaczył im jasno stan rzeczy, niegodziwość ich postępowania niezgodnego z duchem katolicyzmu, a w końcu dodał: „Kościół należy do was istotnie, możecie z nim „zrobić, co się wam podoba. Nie roszczę sobie prawa, by się mie„szać do waszych rozporządzeń w jakikolwiek sposób. Obróćcie go „na fabrykę jeśli chcecie, nie mam nic przeciwko temu. Ale to „wam powiadam, że jeśli to ma być kościół katolicki, to musicie „się poddać prawu, które wam wyłożyłem. A teraz róbcie, co się „wam podoba!“ Stanowczość biskupa odniosła pożądany skutek[1].

Synody dyecezyalne jak i również oba plenarne koncilia zajmowały się tą sprawą. I tak pierwsze Baltimorskie koncilium ogłasza wszem wiernym: „Co się tylko Bogu ofiaruje i na jego cześć „poświęca, czy to świątynia, do której się wierni zbierają, czy zie„mia na pogrzebanie tych przeznaczona, co w Panu spoczywają, „przyobiecanego zmartwychwstania czekając, czy jakakolwiek rzecz „inna na chwałę Bożą, albo do wychowania, utrzymania i wyży„wienia kleru przeznaczona, wszystko to rzeczy są święte i tak „własne kościoła, że bez zbrodni świętokradztwa Bożej służbie nie „mogą być odjęte. Tych ani nawet sami dający je, nie mogą ode-

[1] Stimmen aus Maria-Laach. Band XV. S. 366.

„brać za swoje“ [1]. *Trusteeizm* wzięty żywcem od sekt protestanckich, jako sprzeciwiający się naturze kościoła katolickiego, nie mógł być uznany przez Kościół. Nie może go narzucić państwo, nie mając władzy po temu. „Jak świecki urząd wypowiada drugie koncy„lium Baltimorskie, nie może przepisywać Kościołowi, czego ma „uczyć i w jaki sposób czcić Boga, tak też i nie może mu przepisy„wać sposobu rządzenia doczesnemi dobrami, który sprzeciwia się „jego zasadom i od tych bierze początek, którzy jego powagą „wzgardzili“ [2]. Rządzenie niemi musi być w ręku Kościoła i zależnie od niego sprawowane. „We wszystkich tych rzeczach ziem„skich, co z pod użytku świeckiego wyjęte, a na chwałę Bożą od„dane zostały, nie może Kościół przypuścić pełnomocnictwa tego, „co od jego powagi nie jest zależnym. Tejto powagi zastępcą i tłu„maczem jest biskup w swojej dyecezyi“ [3]. Nie odstępując od tej zasady, ale ją powtarzając za swymi poprzednikami, trzecie koncilium dodaje: „Jako fałszywe ogłaszamy zdanie tych, co nauczają, „że komitety kościelne lub zebrania, którym władza świecka przy„znała prawo nabywania rządzenia i zadłużania dóbr kościelnych, „mogą je wykonywać niezależnie od władzy kościelnej, owszem „wbrew jej kanonom i wyrokom“ [4].

Oddawna podejmowali biskupi wiele starań, żeby wywalczyć sobie u władzy świeckiej inne stanowisko zgodne z duchem Kościoła. I w istocie, w niektórych krajach udało się im zmienić ten nieznośny stan rzeczy. Pierwsza Kalifornia dała w tej mierze początek, uznając biskupów za właścicieli całego majątku kościelnego, pozwalając zarówno kościołowi katolickiemu, jak i sektom protestanckim urządzać radę zawiadowczą wedle przepisów swego wyznania. Niektóre z państw poszły za jej przykładem, ale nie wszystkie, co konstatując trzeci synod Baltimorski odzywa się: „Wielce „nam ubolewać potrzeba, że w wielu krajach Stanów Zjednoczonych „prawa tyczące się posiadania i administracyi dóbr ziemskich, na „tych się wspierają zasadach, na które się Kościół zgodzić nie

---

[1] Litterae Pastorales I. Conc. Plen. Baltimorensis.
[2] Litt. past. II. Conc. plen. Balt.
[3] Litt. past. I. Conc. plen. Balt.
[4] Tit. IX. Cap. I. n. 265.

„może, chybaby zboczył z tej drogi, której się zawsze trzymał, od„kąd dlań swoboda wyznania nastała“ [1]. Siły materyalnej Kościół nie posiada, a z drugiej strony wbrew swym zasadom działać nie może. Cóż więc mu czynić wypada? „Ponieważ tego uznania praw „i zwierzchnictwa kościelnego niemasz jeszcze w niektórych pań„stwach Stanów Zjednoczonych, naszym tedy obowiązkiem jest tak „tę sprawę ułożyć, aby przeszkody, które powstają z praw cywil„nych wbrew wolności Kościoła i bezpieczeństwa dóbr, zostały albo „zupełnie usunięte, albo ile możności zmniejszone“ [2]. Trzy zatem sposoby poleca koncilium biskupom, aby zarząd dóbr ziemskich wyzwolili zpod mocy świeckich, a skupili w swojem ręku, stosownie do przepisów i praw państwa. I tak najprzód, może się biskup postarać, aby jego biskupi urząd był przez prawo uznany, jako osoba moralna *(Corporation sole)* dzierżąca i rządząca temi dobrami; albo na prawnej drodze mają one być oddane w pełnomocnictwo *(in trust)*, aby je w imieniu dyecezyi całej posiadał i niemi zawiadywał; albo dobra te mają biskupowi tak być powierzone, aby je w imieniu swojem posiadał i niemi rozporządzał tym tytułem, który po angielsku zwą *in fee simple*, ale w takim wypadku „niech pamięta biskup, że jakkolwiek władza świecka na„daje mu dobra kościelne w posiadanie, to jednak w myśl kanonów „świętych, nie jest on ich panem, ale tylko zawiadowcą“ [3].

Koncilium, aby zabezpieczyć ile możności mienie Kościoła, odzywa się dalej „postanawiamy i wszystkim biskupom tych prowincyj nakazujemy w Panu“ aby mieli podwójny inwentarz *rite confectum*. Jeden ma obejmować wszystkie dobra kościelne, jego prowincyi, w jakikolwiek sposób jego pieczy powierzone, drugi majątek osobisty. Ostrożność ta konieczną jest w razie śmierci biskupa, inaczej mogłyby wyniknąć gorszące spory, albo świętokradzki zabór własności kościelnej. Aby temu lepiej jeszcze zapobiedz, upomina koncilium biskupów *iterum iterumque monemus*, aby testamentem stosownie do przepisów kraju ubezpieczyli dobra kościelne, żeby bez trudności do następców przejść mogły. Ten testament ma

---

[1] Tit. IX. Cap. II. n. 266.
[2] Ibidem.
[3] Ibid. n. 267.

być w trzy miesiące po wstąpieniu na stolicę biskupią wygotowany we dwu egzemplarzach, z których jeden ma być złożony w archiwum biskupim, drugi metropolicie do przechowania oddany. Metropólita zaś ma takowy złożyć u najstarszego ze swych sufraganów [1]. A wszystkie te dokumenty mają być tak sporządzone, żeby nie tylko ważne były wobec Kościoła i sumienia, ale także wobec władzy świeckiej. I dlatego biskupi z wszelką ostrożnością postępować mają, zachowując wszystkie przepisy rządowe, i radzić się powinni ludzi biegłych w prawie i w prowadzeniu takich spraw *versatissimos*. Nadto, wedle bulli Benedykta XIII. *Maxima vigilantia*, rozporządza synod, by każdy z biskupów urządził archiwum dyecezyalne, w któremby wszystkie papiery i dokumenty tyczące się rzeczy zarówno duchownych jak doczesnych, w porządku rozłożone i dobrze zamknięte były. Wreszcie czuwać biskupi mają, aby we wszystkich miejscach ich juryzdykcyi podległych, dobra kościelne ostrożnie i roztropnie zawiadowane były. Nietylko czasu wizyty kanonicznej mają oni w to wglądać, ale co roku winni żądać od wszystkich administrujących jakiekolwiek dobra kościelne ścisłego z nich rachunku. W tym celu ma biskup ustanowić osobną komisyę złożoną z ludzi sumiennych i biegłych w tych sprawach, których zadaniem będzie przejrzeć i sprawdzić wszystkie rachunki od proboszczów i innych zarządców corocznie do archiwum dyecezyalnego nadsyłane [2].

Od biskupów przechodzi do zarządców parafij, stacyj misyjnych i kościołów i podobnie jak tamtym tak i tym kładzie na sumienie „aby z jak największem staraniem strzegli własności Ko„ścioła, pamiętając na to, że Bogu zdadzą rachunek nietylko z dusz „swej pieczy poleconych, ale i z dóbr na służbę Boga i Kościoła „oddanych“ [3]. I oni mają wygotować inwentarz podwójny dóbr kościelnych i własnych, obejmujący dobra ruchome i nieruchome. Jeden egzemplarz z podpisem proboszcza i nadzoru kościelnego ma być odesłany do archiwum biskupiego, drugi w archiwum miejscowem misyi lub Kościoła zachowany. Co roku ma go zarządca parafii przepatrzyć z nadzorem kościelnym i dodać nabytek roczny,

[1] Tit. IX. C. II. n. 269.
[2] Ibid. n. 272.
[3] Tit. IX. Cap. III. n. 275.

którego wykaz odeszle do kancelaryi biskupiej. Pod grozą kar kanonicznych zabraniają proboszczom zaciągać jakąkolwiek pożyczkę na kościoły i dobra duchowne, w razie zaś konieczności potrzebne pozwolenie wziąść mają na piśmie od biskupa. Dla uniknienia waśni, zgorszeń i podejrzeń nie wolno tak księżom świeckim, jak i zakonnym domom pożyczać pieniądze dla spekulacyi, lub je przyjmować w depozyt. Ponieważ biskup ma być reprezentantem własności kościelnej i wszystko na jego imię ma być zapisane, proboszczowie powinni w przeciągu trzech miesięcy wszelki zapis, darowiznę czy to kościoła, cmentarza, szkoły lub probostwa przenieść na jego imię, inaczej podpadają pod kary kanoniczne [1].

Nadzoru kościelnego nie usuwa koncilium zupełnie. Wspierając się na wyroku pisma św.: „zdrowie gdzie wiele rady“ [2] i na tradycyjnej Kościoła praktyce uważa za rzecz godziwą i pożyteczną używać pomocy świeckich w administracyi dóbr doczesnych, aby kapłani wolni od trosk ziemskich, szczerzej mogli się poświęcać swemu zadaniu. Ale z drugiej strony zastrzega. „Zawsze Kościół „uczył, że ludzie świeccy nie mają żadnej władzy w rządach Ko„ścioła“ [3], uczestnictwo ich przyrównując do wpuszczenia w przedsionek Kościoła powiada: „nie na mocy prawa, ale na mocy przy„wileju tam wchodzą“ [4]. Powołując się na brewe Grzegorza XVI. z 12 sierpnia 1841 r. w tym celu wydane i na wyroki poprzedników na urzędzie swoim konkluduje: „Wszyscy ludzie świeccy co „z pozwoleniem biskupiem, czy od zarządcy misyi czy od zgroma„dzenia wiernych wybrani zostaną, aby w zarządzie dóbr ziemskich, „sługi Kościoła wspomagali słowem i czynem, zwłaszcza zawia„dowcy kościelni, którym prawo świeckie przyznaje moc w rządze„niu dobrami kościelnemi, niech z uwagą i seryo to rozważą, że „podlegają we wszystkiem przepisom Kościoła i że za nieważne „w obliczu Boga i Kościoła poczytuje się to, coby uczynili wbrew „postanowieniom kanonu i przepisom biskupim i że ulegają karom „kościelnym, jeśliby sobie jego dobra lub prawa przywłaszczyli“ [5].

---

[1] Tit. IX. C. III. n. 280.
[2] Przyp. XI. 14.
[3] Tit. IX. Cap. IV. n. 285.
[4] Ibid.
[5] Ibid.

Ażeby więc raz na zawsze przeciąć okazyę do wszelkich nadużyć i uniemożliwić wszelkie zbytnie mieszanie się nadzoru kościelnego w zarząd Kościoła i parafii, rozporządza synod, by najprzód biskup każdy osądził o potrzebie, liczbie i sposobie wybierania tego nadzoru. Może on, jeśli to za lepsze uważa pozwolić, aby wierni wolnemi głosami tego dokonali, ale w zatwierdzeniu osób ma się biskup kierować zdaniem miejscowego proboszcza. W jakikolwiek zresztą sposób wybór się odbędzie, konieczne jest piśmienne potwierdzenie biskupa, który je atoli każdej chwili cofnąć może. Wybrani zaś mogą być tylko ci, co przekroczyli dwudziesty pierwszy rok życia. Nadto musi być rzeczą wiadomą, że w tym roku zadosyć uczynili przykazaniu kościelnemu co do komunii wielkanocnej; każdy z nich musi mieć przynajmniej jedno miejsce płatne w kościele, albo w inny sposób przyczynić się do jego utrzymania; dzieci swoje mają posyłać do szkół katolickich; wreszcie nie mogą należyć do żadnego Towarzystwa tajnego. Prezesem tego *Councilmen* ma być proboszcz miejscowy, bez którego zatwierdzenia żadna uchwała nie może być w czyn przeprowadzoną. Wszystkie rozterki, jakieby tylko powstać mogły między proboszczem a nadzorem kościelnym, mają być rozsądzone przed trybunałem biskupim, którego wyrokowi wszyscy się poddać muszą. W takito sposób zachowuje kościół amerykański i zasadę Kościoła katolickiego i zarząd dobrami doczesnemi sobie zatrzymując, czyni zarazem zadość prawu, które żąda reprezentacyi wspólnej własności. We wszystkich tych dekretach widnieje zmysł praktyczny, tak własny Amerykanom i dążenie do zastosowania się do praw istniejących, ale zawsze *salvis juribus Ecclesiae.*

Biskupi amerykańscy, jak widzimy w kwestyi dóbr kościelnych zajęli stanowisko nader zdecydowane. Za wielki obowiązek poczytują sobie strzedz ich *summa cum sollicitudine,* i wszystkim udział w tem biorącym, nakładają go jako rzecz wielkiej doniosłości. Zdaje się, że wyczerpnęli wszystkie pomysły i użyli wszystkich sposobów, byle tylko z własności kościelnej nie uronić ani grosza. Zasada, którą się w tej mierze powodują jest całemu katolicyzmowi wspólną. Kościół jest społecznością duchową co do instytucyi celu i środków, któremi do końca swego zmierza, ale jest społecznością na tej ziemi przebywającą i z ludzi złożoną, temi się więc

także środkami posługiwać musi, które nietylko czystym duchom, ale i ludziom są własne i potrzebne. Stwierdziwszy więc synod potrzebę dla kościoła posiadania dóbr doczesnych, za fałszywe uznaje wszelkie przeciwne zdania i piętnując je słowy Piusa IX. w Syllabusie konkluduje. „Świętą więc i niewzruszoną jest zasada, że Ko„ściół ma zupełne prawo własności i dominium nad dobrami kościel„nemi“ [1]. Strzegąc więc ich, strzegą biskupi własności Bożej, stosują się do rozkazania Zbawiciela, którego instytucyą jest Kościół. A stąd i zawiadywanie niemi nie ulega wolnej woli, ale ma się odbywać wedle „świętych kanonów i rozporządzeń czasowych namiestników Chrystusa na ziemi“. „Te dobra bowiem w celu, w ja„kim zostały nabyte, albo z intencyi, w jakiej od dawców zostały „ofiarowane są jedynie przeznaczone na użytek kościoła, czy nim „jest podniesienie i świetność służby Bożej i utrzymanie sług ołta„rza, czy wychowanie chrześcijańskie młodzieży, poratowanie sierót, „nędzarzy, chorych, czy wreszcie rozkrzewienie ewangelii wśród „pogan“ [2].

Z drugiej strony widać, że kościół amerykański mimo, że otoczony jest zewsząd duchem materyalizmu nie uległ mu, ale potrafił się wznieść ponad ogólny kult złota i wysoko wzniesiony dzierży sztandar ubóstwa i abnegacyi Chrystusowej. I nie jestto proste ich zalecenie, piękna tylko teorya, ale kościół amerykański propaguje ją w praktyce, żądając tego zaparcia przedewszystkiem od tych, którzy są opowiadaczami nauki Chrystusowej. Przyznaje im wprawdzie, że godzien jest robotnik zapłaty swojej [3], że sprawiedliwość i należna cześć kapłaństwu domaga się, by księża mieli uczciwe i odpowiednie swemu stanowi utrzymanie. Ale w miejscach, gdzie są dochody szczupłe, ludność uboga nie mogąca wiele na kościół łożyć i raczej sama potrzebująca wsparcia, tam każe poprzestać na ubóstwie ewangelicznem, byle mieli się czem odziać i czem posilić, *dum modo necessaria alimenta et tegumenta non desint*, nie powinni dbać o resztę, ani ustawać w pracy apostolskiej [4]. I aby się w czasie próby nie zachwiali, każe ich zawczasu do tego

[1] Tit. IX. Cap. I. n. 265.
[2] Ibid. Cap. II. n. 273.
[3] Łuk. X. 7.
[4] Tit. IX. Cap. II. n. 273.

gotować. Przełożeni w seminaryum mają przez zbawienne napomnienia wykorzeniać w klerykach pragnienie życia wygodnego, pożądanie bogactw i zamożnych parafij, a wpajać ducha zaparcia się z miłości dla Boga[1]. Od kapłanów zajętych w dusz pasterstwie żąda, ażeby oni jak we wszystkiem innem mają być wzorem dla wiernych, tak w hojności względem Boga i ofiarności dla ubogich przodowali dobrym przykładem bo „chociaż żaden tytuł sprawiedli„wości do tego ich nie zmusza, ale duch ewangelii i chrześcijańska „miłość tego od nich się domaga“[2]. Mówiąc o testamencie kapłana żali się synod, że wielu z kapłanów schodzi z tego świata a w ostatniej woli swojej zapominają o tem, o czem najwięcej za życia pamiętać byli winni. „Częstokroć umierający kapłani z zapomnienia, „albo z niedbalstwa pomijają kościół i ubogich, i zostawiają cały „swój majątek krewnym; dlatego błaga ich, aby przynajmniej „część swojej własności przeznaczyli na ten cel“. Spowiednik przywołany do umierającego kapłana ma mu roztropnie jeszcze przed spowiedzią zwrócić na to uwagę[3].

Ten sam duch ubóstwa ewangelicznego najlepiej ujawnia się w kościele amerykańskim w stosunku do ubogich. *Pauperes evangelisantur*, oto znak przyjścia Zbawiciela świata, który On sam podał Janowi. To też, jest znamie po wszystkie czasy kościoła katolickiego, dowód, że Kościół nie zaprzał się swego posłannictwa, i że w nim mieszka prawdziwy duch Chrystusowy. Maluczcy, ubodzy to skarb Kościoła, nad którym on zawsze czuwa z macierzyńską troskliwością. Pamiętni na to Ojcowie kościoła amerykańskiego, polecają jak najusilniej tę troskę o ubogich duchowieństwu swemu. W Ameryce istnieje zwyczaj, że każdy bogatszy ma swoją ławeczkę lub krzesło w kościele, za które rokrocznie płaci pewną daninę, która stanowi uposażenie kościoła i proboszcza. Jestto zwyczaj w tych krajach przyjęty, który kościół tolerował, by nie zniechęcać bogatszych od uczęszczania na nabożeństwo a zarazem wspomódz ubóstwo kościoła. W każdym jednak kościele ma być miejsce wolne, gdzieby mogli wierni, nie mający swego oznaczonego miejsca słuchać mszy św. Przypominając to koncilium tak dalej mówi:

[1] Tit. V. C. II. n. 161.
[2] Tit. IX. C. II. n 277.
[3] Ibid.

„W wyborze tego miejsca i w przeznaczeniu go na ich (ubogich) „użytek, niech nigdy nie zapomnina rządca kościoła, że ci ludzie „są ubogimi Chrystusowymi i wedle przykładu dobrego pasterza „niech z nimi miłosiernie się obchodzi, i niech się pilnie strzeże „wszystkiego, coby tylko miało pozór jakiejś pogardy lub zawsty- „dzenia. Inaczej w poniewierkę poszliby ubodzy i lękać by się po- „trzeba, że się odstręczą od służby Bożej i życia chrześcijańskiego „przez pasterza kościoła ci, za których dusze ma on podobnie jak „i za dusze bogaczów zdać rachunek“ [1]. Do ubogich zarówno się spieszyć mają z posługą duchowną jak i do zamożnych nie żądając jednak od nich żadnej zapłaty za chrzty, śluby, pogrzeby i podobne usługi duchowne. Szczególną zaś pieczę każe mieć o przybyszach, co zewsząd tłumnie przybywają do Ameryki, by się z nędzy podźwignąć. Tych biedaków opuszczonych pozbawionych środków do życia wedle możności wspomagać mają kapłani. „Wielu z nich jest „domownikami wiary i tejże samej matki Kościoła dziećmi. „Owszem obowiązkiem naszym jest wedle Boskiego nakazu i przy- „kładu otoczyć ich nie tylko przychylnością, ale miłością“. I przypominając dalej, że wedle nowego zakonu niejako zrównani z nimi jesteśmy, bośmy wszyscy na tej ziemi wędrowce i pielgrzymi, z drugiej strony zważając, że prócz nędzy doczesnej zostają ci przybysze w niedostatku duchowym, tem bardziej wypada starać we wszelki sposób o ich dusze. W ubogich każe upatrywać Chrystusa Pana i często rozważać jego słowa: „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili“.

W miastach portowych ma być osobny kapłan przeznaczony roztropny a biegły w różnych językach, którego głównym obowiązkiem będzie mieć staranie o przybyszach katolickich, żeby się nie stali pastwą oszukaństwa i złych ludzi. Na młodsze zwłaszcza niewiasty i dziewczęta szczególną powinien zwrócić uwagę, te bowiem w większem nad innych znajdują się niebezpieczeństwie. Czemprędzej ma je odesłać do zakonnic które już po wielu miastach domy przytułku dla takich osób otwarły i „oby tylko wszystkie inne miasta śladem ich poszły“ [2].

---

[1] Tit. IX. C. V. n. 289.
[2] Tit. VIII. C. I. n. 232, 234.

W Ameryce wśród tej mozajki ludzi, różnych narodowości ras i barw niemało zwłaszcza w południowych Stanach znachodzi się murzynów. Kiedyś sprowadzani do uprawy plantacyj, do których się nie nadawało słabe plemie tubylców, jęczeli długo pod biczem plantatora i marli uważani nie za ludzi, ale za inwentarz i jak bydło traktowani. Dzięki chrześcijańskim pojęciom zakończyła się w r. 1865 długa ich niewola, dziś zostają oni na wolnej stopie, ale choć zdjęte z nich okowy, nie starte z ich czoła piętno minionej niewoli. Yankies choć go prawo na równi stawia z murzynem, nigdy w stosunkach prywatnych, nie uważa go za brata, zawsze ma dla niego w sercu i w całem postępowaniu jaskrawo objawia pogardę, i długie lata miną nim ten przedział wyrówna prawdziwa miłość chrześcijańska i humanitaryzm w duchu Bożym. Ale Kościół, który zawsze zastawiał się za murzynami i godność człowieczą im wywalczał, i dziś gdy ich odpycha społeczeństwo cywilizowane, on się miłośnie zniża do nich uważając je za „członki familii Chrystusowej“ pragnie ich równie czułą otoczyć opieką i miłością. Składając hołd pracom misyonarzy, co od Ameryki odkrycia i zaprowadzenia niewolnictwa nieśmiertelną chwałą okryli Kościół poleca, by dzisiejsze duchowieństwo ich śladem krocząc opowiadało bez przerwy słowo Boże „tym biednym braciom naszym odkupionym krwią Chrystusową i godnym politowania matki Kościoła“. *Nullo* więc *habito discrimine* mają być gotowi na ich wezwanie, z równą miłością im usługi duchowne oddawać. Tam zwłaszcza, gdzie ich większa liczba się znajduje mają opatrzyć biskupi kapłanów pełnych gorliwości i ducha Bożego, aby „tym łaknącym łamali chleb słowa Bożego“. To samo tyczy się biednych Indyan, którzy równej pogardy doświadczają od przybyszów, co ich ziemią zawładnęli. Osobną komisyę każe utworzyć z czterech biskupów, która ma wybrać komisarza, a ten ma być patronem i rzecznikiem Indyan u rządu i wszystkich starań dokładać, ażeby im pomyślność zapewnić. Co roku w pierwszą niedzielę postu ma być zapowiedziana i odprawiona kwesta, a sumę z niej zebraną mają odesłać kapłani do rzeczonej komisyi [1].

Kościół w Ameryce nie posiadając zgoła żadnych dóbr, utrzy-

[1] Tit. VIII. C. II. n. 237—243.

mywał się tylko z hojności wiernych. Świetnem świadectwem ich ofiarności są te liczne kościoły, szkoły parafialne, akademie, szpitale, wszystko to z dobrowolnych datków urosło, groszem nieraz wdowim, bo Kościół w Ameryce w początkach jedynie, a dziś przeważnie ma swoich wyznawców wśród klasy uboższej, tak że utarła się nawet jego nazwa wśród protestantów, że to kościół ubogich, a rzecz to i u nas stwierdzona, że biedniejsi są częstokroć więcej hojni dla Boga od bogaczów. Nieraz atoli trzeba było tę ofiarność przypominać, obudzać, chwytać się sposobów różnych, by jakąś ofiarę otrzymać. Gdzieniegdzie więc wkradły się praktyki ubliżające duchowi Kościoła. Przeciw nimto występuje koncilium. I tak przypomina, że „haniebny zwyczaj“ domagania się opłaty za wstęp do kościoła, jeśliby gdzie istniał, już dawno powinien być wykorzeniony. Podobnie zabrania wszelkich widowisk zabaw tak zwanych *Picnics Excursions*, urządzanych w celach dobroczynnych, gdyż one jak się wyraża, zwłaszcza obok miast większych, stają się nieraz „gniazdem grzechów i zgorszeń“. Biskup tylko może dać na nie pozwolenie, ale *omni adhibita cautela*, po pilnem zbadaniu gdy będzie moralnie pewnym, że żadnego nie masz niebezpieczeństwa i okazyi do grzechu. Nigdy jednak nie mogą się one odbywać nocną porą, w niedzielę lub święta, lub w dnie postne; nadto wzbronione na nich szynkowanie trunków palonych, oraz wina i piwa. Rzecz jednak uwagi godna, że balów na cele dobroczynne, zwąc je nadużyciem, zabrania synod absolutnie: *abusum hunc omnino tollendum curent.* W końcu wszystkim sługom ołtarza wszelkich stopni i święceń, tę daje przestrogę, „że pieniądze na nieprawej drodze zebrane „żadnego im samym, ani Kościołowi nie przyniosą pożytku, ale „raczej gniew i pomstę Bożą“ [1].

Przy napływie ludności do Ameryki, jak szły szumowiny społeczeństwa z Europy, żądne zażyć tej pełnej wolności, której im tutaj nie dawały prawa, tak i spieszyły tam obok dobrych wyrzutki z duchowieństwa, którym nieznośną była karność, i radzi byli ujść oka czujnej zwierzchności. W braku kapłanów zmuszeni koniecznością przyjmowali ich biskupi, ale nie jedno złe zaszczepili oni w kościele tamtejszym, o jakim u nas nie słychać. O jednym z ta-

[1] Tit. IX. C. V. n. 290, 291.

kich nadużyć, z serdecznym bolem i smutkiem wspomina synod, że niekiedy kapłani odmawiają rozgrzeszenia tym, co nie chcą składać danin kościołowi, choć jak mówią, nie masz pewności, czy istnieje tu obligacya pod grzechem ciężkim, a co „haniebniejsza", że wezwani do nich złożonych chorobą i bliskich śmierci wzdrygają się przybyć. Mówiąc o tem zaczynają od słów: „Oby bezpodstawną „i fałszywą była wieść, co nas dochodzi", a opowiedziawszy jej osnowę dodają: „Nie możemy pogodzić się z myślą, żeby ktoś „z naszych kapłanów czegoś tak okropnego i tak niegodnego mógł „się dopuścić" [1].

Z niemniejszą stanowczością występują przeciwko „przewrotnej" praktyce, gdzieniegdzie istniejącej, że kapłan odszedłszy od ołtarza odprawiał po kościele kwestę. Z świętem oburzeniem piętnuje to obecny synod „jako najbrzydsze nadużycie, krzywdzące „Kościół i jego święte ceremonie, które wywołuje u katolików ru„mieniec wstydu i oburzenia, a u innowierców szyderstwo i po„gardę". Podobnie zabrania ogłaszania po gazetach i dziennikach, że się ofiaruje pewną ilość mszy świętych za tych, co się przyczynią do budowania kościołów, parafialnych budynków, spłacenia długów kościelnych lub podobnych celów pobożnych. Zwyczaj taki zwą „nadużyciem, którego tolerować niepodobna i profanacyą świętości" [2].

Ażeby wreszcie uwolnić Kościół od zarzutu chciwości i natręctwa, do czegoby mogły dać powód częste i naprzykrzone kwesty, po domach, fabrykach i innych zakładach publicznych, odprawiane przez różne osoby stanu duchownego, tak zakonnego jak i świeckiego, którzy zewsząd się garną, zbierając jałmużny z krzywdą miejscowego kościoła, nakazuje synod, aby każdy kwestujący oprócz piśmiennego pozwolenia od swego biskupa, lub władzy zakonnej, postarał się o pozwolenie biskupa, w którego dyecezyi chce kwestę rozpocząć.

Czytając te rozporządzenia, cześć się czuje dla tych dzielnych biskupów Ameryki, co stojąc na gruncie czysto katolickim, tyle energii rozwijają, ażeby w kościele swoim utrzymać ducha zaparcia się ewangelicznego i zdobyć dla niego poszanowanie czynami godnemi wyznawców Chrystusa. (Dok. nast.)

X. Zdzisław Bartkiewicz.

[1] Tit. IX. C. V. n. 292.
[2] Ibid. n. 293, 296.

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII.

(Dokończenie).

V.

Ameryka północna.

Czyste, wygodne, nieraz eleganckie bywają parowce angielskie — amerykański zaś parowiec, to dom, a raczej kolosalny, o stu kilkudziesięciu pokojach hotel, z olbrzymią salą jadalną w której dwieście przeszło pasażerów pierwszej klasy do stołu razem zasiada. Ale bo w Ameryce wszystko jest olbrzymie, wszystko kolosalne: energia i wytrwałość ludzi uczciwych, — śmiałość zbrodniarzy — niemal cudowna gorliwość wierzących chrześcijan — bezdenna próżnia bezwyznaniowców — jednem słowem złe i dobre, wszystko zawsze i wszędzie, jakby brane na miarę Goliatów. Otóż więc, i na takim o Goliatowych rozmiarach statku przypłynął nasz wędrowiec, po dziesięciu dniach spokojnej stosunkowo żeglugi, do Archipelagu wielce ciekawych wysp Sandwich czyli Hawai, ze stołecznem miastem Honolulu. Czem była dzikość obyczajów Hawajczyków przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa — a zaprowadzenie to bardzo niedalekiej, zaledwo pół wiekowej sięga przeszłości — wymownie dowodzi język tubylców: nie masz w nim zgoła wyrazów: ojciec, matka, syn, córka, brat, siostra; do niedawnych więc jeszcze czasów, nie było rodziny między Hawajczykami, tak jak u zwierząt, gdzie matka zna młode swe tylko póki je karmi, a ojciec nie zna ich nigdy. Do dziś dnia twierdzą misyonarze, że im bardzo ciężko idzie tam praca około zbawienia dusz, może tem cięższej, że zanim zdołali zbudzić i jako tako utrwalić zasady wiary i moralności u Hawajczyków, przybyli koloniści amerykańscy, któ-

rzy z pominięciem właśnie wszelkich zasad, utrudniają im pracę zaszczepianiem żądzy bogactw w ludności tej, w której dziwnie szybko zdołali rozwinąć zmysł do rzeczy praktycznych. Raz osiedliwszy się na wyspach Sandwich, starali się Amerykanie o to, żeby jak najspieszniej zaprowadzić tam rząd na modłę krajów cywilizowanych i wszystkie owe administracyjne kółka i kółeczka w ruch wprowadzić, zanim się krajowcy opatrzą, na czyją się to wszystko korzyść właściwie zaprowadza. Jest zatem w Honolulu król, i to król konstytucyjny — proszę wierzyć — są dwie izby: *House of Nobles* i *House of Commons*, ministrów aż czterech, z których zaledwie jeden krajowiec. Ciało dyplomatyczne, bardzo liczne, a na koronacyę Cara Alexandra II. król Hawajczyków Kalakaua I. wysłał do Moskwy osobną ambasadę, z kilkunastu osób złożoną. Takto umieją się Amerykanie uwijać koło swego interesu! Niema jak sto lat temu, każdego cudzoziemca Hawajczycy z prawdziwą rozkoszą piekli i zjadali, pół wieku temu jeszcze się plemiona pożerały nawzajem — dziś, za pomocą praktycznego zmysłu cywilizatorów swych, cieszą się na wyspach Sandwich królem, któremu płacą ogromną listę cywilną; szambelanami o złotem szamerowanych mundurach i wojskiem, mającem zaszczyt nosić pikelhauby na wzór pruski. Przesilenia ministeryalne liczą się rok rocznie na dziesiątki — zaledwe jeden gabinet upadnie, już jest nowy niemal wyłącznie z amerykańskich żywiołów złożony. Cóż więc Hawajczykom do szczęścia brakować może, kiedy mają wszystko czego najbardziej ucywilizowana dusza zapragnąć zdoła? A jednakowoż, coś im widocznie brakuje, albo może właśnie tego dobrego za dużo im już i strawić tylu silnych potraw nie są wstanie — dość że ilość tubylców zmniejsza się z dnia na dzień z taką szybkością, że jeśli temu nie zaradzą, to za jakie lat trzydzieści, a najdalej pięćdziesiąt, nie dostanie Hawajczyka na lekarstwo. Tymczasem, miasto Honolulu, dziwny, a oburzający dla oka przedstawia widok: obok dużych, wygodnych, bez najmniejszego gustu stawianych domów, należących do Amerykanów i Niemców, — melancholicznie wyglądają nędzne chaty krajowców, jakby z nich wiała ostateczna zagłada. Osobna dzielnica miasta, wyłącznie Chińczykom poświęcona, odznacza się czystością, porządkiem i pewnym dobrobytem. Z powodu niedzieli, bardzo surowo obserwowanej, nie zdołał się baron Hübner

dostać do dworu, czego wielce żałował. Nie widział zatem ani króla Kalakaua II-go, ani królowej, ani młodocianej następczyni tronu, księżniczki Wiktoryi Kawekin-Kajulani-Lunahilu-Kalanimnahilapalapa (przysięgam, że ani jednej sylaby niema z własnego natchnienia).

Różne tkwią w ludzkiej naturze sprzeczności: póki człowiek na morzu w niemożliwości odbierania listów i gazet, obywa się bez nich choćby i pół roku podróż trwać miała; ale niech się tylko dotknie noga jego stałego lądu i to jeszcze miejsca gdzie są pocztowe i telegraficzne z Europą komunikacye, chwyta go od razu, jak w kleszcze, żądza odebrania co tchu czekających na niego wiadomości, aczkolwiek przekonanym być może *à priori* każdy nieco doświadczony, że z wiadomości tych, tak niecierpliwie wyglądanych, choć połowa będzie przykrych, może i bolesnych. Z takąto więc niecierpliwością, wylądowawszy w San-Francesco, chwycił baron Hübner za kilko-funtową paczkę czekających nań listów i gazet. Pierwsza to była poczta (14 lipca) od 17 maja. Obszernie opisawszy stołeczne miasto Kalifornii w dziele swem *Promenade autour du Monde*, tym razem robi o niem tylko wzmiankę, podziwiając kolosalny ze wszechmiar postęp i rozrost miasta. Pierwotnie ludność Kalifornii złożona z czystej krwi Yankesów, wskutek ciągłego napływu za połowem złota przybywających z wszystkich stron świata emigrantów, szybko traci amerykańskie swe piętno. Wszystkie rasy ludzkości spotyka się dziś na obszernych ulicach San-Francesco i nigdzie tak się nie rozwielmożnił kosmopolityzm, jak w tem mieście, zwłaszcza w ostatnim lat dziesiątku. „Znalazłem tu nowy naród, który roku 1871 całkiem nie istniał“, pisze baron Hübner. Stolica Kalifornii za prawdziwy typ m i a s t p r z y s z ł o ś c i służyć może: wspomnienia dawnych czasów, obyczaje przeszłości miejscowej ludności, poszanowanie tradycyi — są to czcze wyrazy, nie mające żadnego znaczenia dla mieszkańców, żyjących jedynie w myśli wzbogacenia się i używania. W San-Francesco, niemal wszystko robi się za pomocą jakichś maszyneryi i zawsze robi się prędko, a o to też tylko mieszkańcom chodzi. Aby jak najmniej rąk, dla usługi pojedyńczych osób, od ogólnej pracy odrywać, konie i służba zastąpione są tam wielce wydoskonalonemi przyrządami, które wszędzie wyśmienicie funkcyonują, nie wyjmując nawet kościołów:

gdy ksiądz ze stopni ołtarza zszedłszy ma rozpocząć kazanie, nie on udaje się na ambonę by czasem kilka minut nie stracić, ale ambona do niego przyjeżdża na małych szynach. Tak samo się ma w prywatnych, najbogatszych nawet domach. Milionerów w San-Francesco liczą na setki — a jednak nie widuje się prawie służących: wszystko, co na całym cywilizowanym świecie robi służba domowa obojej płci, tu załatwiają przeróżne maszyny. Trzeba się wszakże dobrze z temi maszynami zapoznać, zanim się do użytku weźmie, bo jeźli krnąbrnego sługę, tradycyjnym zwyczajem zawsze ze schodów zrzucić można, to natomiast najmniejszą niecierpliwość okazywaną takiemu przyrządowi, ciężkiem okaleczeniem, nieraz i życiem opłacić można. Z powodu zbyt często grasujących trzęsień ziemi, a częściej jeszcze pożarów, wszystkie nowe domy budowane są ze sztab żelaznych i cegły, bez najmniejszego udziału drzewa. Hotel, w którym baron Hübner na tę parę dni zamieszkał, iście amerykański falanster, zawiera ni mniej ni więcej tylko siedmset mieszkalnych pokojów, niemal wszystkie osobną zaopatrzone łazienką. Sześć liftów dla wygody lokatorów bezustannie funkcyonuje ośmnaście godzin na dobę — kto do hotelu wraca między dwunastą w nocy a szóstą z rana, ten się już do pokoju swego po schodach pofatygować musi, choćby i na szóstem piętrze mieszkał. Nawet i lifty snać kilka godzin wypoczynku potrzebują. Autor, po dłuższej rozmowie z Europejskimi mieszkańcami Kalifornii, dowiedział się, że w miarę jak się tam obce żywioły coraz bardziej rozwielmożniają, coraz bardziej ku nim wzrasta niechęć Amerykanów. Uważają przybyszów — wyznać trzeba, nie bez pewnej słuszności — za wyrzutków społeczeństwa. Irlandczykom zarzucają, że są z natury swej niespokojni; Anglikom, że zbyt dumnie na tubylców spoglądają; Niemcom, że na dziewiczym gruncie Nowego Świata szczepią przewrotne zasady europejskiego socyalizmu. Już więc i w Ameryce potrafili Niemcy stanąć kością w gardle jej mieszkańcom, *tout comme chez nous.*

Żeby z San-Francesco udać się do Portland, przejeżdża się koleją wszerz całą północną Amerykę, od Oceanu spokojnego do Atlantyku — nadto trzeba przebyć morzem sześćset ośmdziesiąt mil angielskich i to w bardzo przykrych warunkach, z powodu niemal

zawsze panującej mgły i przeróżnych skał zdradziecko ukrywających się w falach morza. Płynie się zatem stosunkowo do zwykłego pośpiechu amerykańskich komunikacyi, bardzo wolno, ponieważ się tych sześćset ośmdziesiąt mil przebywa we trzy dni, nigdy zbytnio nie oddalając się od brzegów lądu. Może więc pasażer oglądać i podziwiać bezgraniczne lasy Oregonu. Muszą one chyba rzeczywiście być bezgraniczne, skoro każdy obowiązujący się kontraktem las karczować przez lat pięć i zamieniać go na orny grunt, dostaje za darmo na drugie pięć lat sto sześćdziesiąt morgów lasu; jeśli zaś w ciągu tych lat dziesięciu, na owym obszarze folwark wybuduje i ziemię uprawi, zostaje mu to wszystko na własność, z dodatkiem drugich stu sześćdziesięciu morgów lasu. W takich warunkach człowiek pracowity, odważny i wytrwały, zwłaszcza jeśli mu zdrowie dopisuje, nie może się niedorobić i to w krótkim czasie, znacznego majątku. Dziwić się też nie można, że z tej naszej Europy, gdzie za najmniejszym interesem, jeśli się nie jest Żydem, miesiącami, nieraz latami ślęczyć trzeba, dla osiągnięcia nareszcie bardzo mizernego rezultatu, gromadnie ludzie ciągną do takiej jak Oregon np. ziemi obiecanej, nie zważając nawet na to, że na tejże obiecanej ziemi i odwrotna jest strona, że się tylko wspomni o dzikich zwierzętach i dzikszych jeszcze Indyanach, w owych lasach mieszkających a na karczowników wielce łapczywych. Na pytanie barona Hübnera, czy nie zachodzi czasem obawa, aby wskutek takiego szafowania lasami, po kilku-dziesięciu latach nie zabrakło lasu, odpowiedział zapytany: „że gdy wycięte zostaną lasy Oregonu, to ich „się jeszcze drugie tyle zostanie w Kolumbii i Nowej-Szkocyi, „a zanim te części Ameryki z lasów ogołocą, to tymczasem pra„wnuki dzisiejszych karczowników nowych w Oregonie doczekają „się lasów“. Takto każdy Amerykanin, na najdalszą nawet metę, zawsze życie bierze z praktycznej strony, ołówek w jednej ręce a w drugiej cyrkiel trzymając. Zawadziwszy tylko o Portland, stołeczne miasto Oregonu (35.000 mieszkańców) pełne ruchu i życia, ale jeszcze pełniejsze Chińczyków, siada wreszcie nasz sędziwy nieco już podróżnik, dobrze zmęczony do salonowego wagonu, *State Toom*, w którymby wygodnie dziesięć par mazura tańczyć mogło. W wagonach niemniej jak w hotelach, dworcach, parowcach, wszystko starannie obrachowane, z jak największą wygodą dla po-

dróżnych. Gdy nadchodzi godzina śniadania *(lunchu)* lub obiadu, na stacyi przyczepiają przygotowane *ad hoc* wagony jadalne, z ogromnemi już nakrytemi stołami. Gdy podróżni jeść skończą, a jedzą dużo i długo, bo potraw tu dużo i smacznych, wówczas na następującej stacyi odczepiają sale jadalne. Wszystko to odbywa się wygodnie, prędko, bez żadnego nawoływania, bez żadnych krzyków. W szalonym zawsze pędzie przerzyna pociąg lasy, pastwiska, puste stepy, zielone łąki, zatrzymując się jak najmniej bo czasu szkoda; zresztą mało co prawda nadarza się większych stacyi w tej stronie, mniej zaludnionej od innych w Ameryce. Na dalekim horyzoncie błyszczą śnieżne szczyty gór skalistych *Rocky Mountains*, powietrze coraz zimniejsze przypomina naszą strefę. Mosty zawieszone w powietrzu w tak szalonej wysokości, że gdy pociąg przelatuje wszystko się ugina, jęczy i ma się uczucie, że się zawali i w otchłani zaprzepaści, co się też często wydarza.

Minąwszy bez zatrzymania ślicznie położone miasto Helena Town i kilka wspaniałych jezior, dojeżdża baron Hübner do Chicago z miłą nadzieją, że mu tam choć dzień jeden wypocząć dadzą. Gdzie tam! pociąg zatrzymuje się tylko dwie godziny i podróżnikowi naszemu zaledwo tyle pozostaje czasu, żeby posiliwszy się pójść obiegnąć miasto i przekonać się, że ów iście amerykański tj. olbrzymi pożar przyniósł mieszkańcom największą korzyść. Chicago jest dziś bowiem stokroć większe i bogatsze niż było przed ową katastrofą, która w swoim czasie tyle wywołała współczucia na obydwóch półkulach. Z Chicago dążąc ku Kanadzie, widzi się coraz gęściej rozsiane folwarki, coraz piękniej uprawiane grunty; znać wszędzie rękę Anglika pracującego pod opieką mądrego wyrozumiałego rządu. Wielko-Brytyjskie posiadłości w północnej Ameryce, składające się z Kanady, Nowej-Szkocyi, Nowej-Funlandyi, półwyspu Brunświckiego, Ziemi Hudsońskich i Kolumbii czyli zachodniej Kaledonii, jakkolwiek liczą tylko pięć milionów sto tysięcy mieszkańców, równają się co do wielkości całej Europie. Wbrew zmiany właściciela, rządu i praw krajowych, ta świetna ongi francuska kolonia do dziś dnia zachowała dawny swój charakter, specyalnie towarzysko arystokratyczny z czasów Ludwika XIV. Montreal, duże piękne miasto, nie pozbyło piętna *d' ancien regime:* główne domy o czysto francuskim stylu z XVII. i XVIII. wieku, z ogromnym nad bramą

herbem należą do najdawniejszych rodów, których potomkowie mieliby wszelkie prawo figurować na królewskich pokojach w Wersalu, gdyby nam nieba te pokoje kiedyś jeszcze otworzyć raczyły. Quebec mnóstwo zawiera pamiątek z czasów rycerskiej monarchicznej Francyi. W ogóle miasta kanadyjskie wcale nie przypominają innych miast amerykańskich, nie żeby w nich przemysł i handel mniej były świetne, lub praca mniej ogólna, ale nie widać w nich owego gorączkowego ruchu, owej furyi gonienia za złotem, by nałapawszy co się tylko da, czemprędzej do Europy uciekać. Wzbogacają się i pracują ludzie tak dobrze w Kanadzie, jak w całej Ameryce, ale pracują spokojnie, a zbogaciwszy się na miejscu pozostają, urządzając sobie życie wygodne, sute, nieraz i wykwintne, a zawsze wesołe. Towarzystwo w Montreal umie się bawić, jak się bawiono w Paryżu za dawnych dobrych czasów: francuska wesołość, we Francyi dzisiejszej na ordynarną trywialność przeistoczona, w Kanadzie zachowała dawny swój charakter grzeczności i dystynkcyi. Przywiązanie do dawnych obyczajów i tradycyi francuskich, częste niemal rzewne wspomnienia, że był czas w którym żyli pod wszechwładnem berłem *du Roi-Soleil*, nie naruszają wszakże bynajmniej lojalnych uczuć kanadyjskiej ludności wszystkich warstw społeczeństwa dla królowej Wiktoryi, której wiernymi są poddanymi z wyjątkiem jednych *metisów*. Ci, mając pomięszaną w żyłach gorącą krew francuską z krnąbrną krwią Indyan, dotąd nie jeden sprawiają Anglii kłopot. Zaledwo parę lat temu inteligentny, o żelaznej woli metis, nazwiskiem Riel, stanąwszy na czele współbraci oraz licznych jeszcze plemion indyjskich, wszczął bunt, który o mało, że nie wywołał rozdwojenia w całej Kanadzie. Rząd królowej Wiktoryi zmiarkowawszy, że tym razem chodzi o dalszy byt tej świetnej Wielko-Brytyjskiej kolonii, widział się zmuszonym z największą postąpić surowością. Riela zdołano pochwycić — po długim procesie został jednogłośnie na śmierć skazany i stracony. Do dziś dnia stronnictwo jego uważa go za męczennika, za świętego. Nie był to co prawda zwykłej miary buntownik, a jeszcze mniej dzisiejszego autoramentu rewolucyonista; on najmiejszego nie miał do królowej Wiktoryi żalu, rządów jej niepokoić nie myślał; bronił tylko odwiecznych praw tej części kanadyjskiej ludności, która nigdy nie przestała władzę angielską za nieprawną uważać i dziś jeszcze

tęskni za powrotem pod rządy francuskie. Biedny Riel! zapomniał, że dzisiejsza rzeczpospolita francuska, ani na wewnątrz, ani na zewnątrz, nie przypomina w niczem świetnych czasów Ludwika XIV. i że niema zaczem tęsknić, nie będąc pod jej władzą. Bądź co bądź, pozostała Kanadyjczykom tradycyjna francuska, dziś gdzieś zapodziana prawdziwa wesołość i dar korzystania ze wszystkich sposobności, żeby urządzać towarzyskie zabawy. Gdy nadchodzi zima, a bywa zwykle i długa i ostra, rozpoczynają się najrozmaitsze rozrywki na lodzie: szlichtady, festyny, nawet b a l e przy świetle tysiąca gorejących pochodni. Czarujący zaprawdę musi to być widok, taki bal na wspaniałej zatoce rzeki świętego Wawrzyńca! W tamtych trzech porach roku, mężczyzni nieraz i kobiety, zwłaszcza angielskiego pochodzenia, zabawiają się najrozmaitszemi łowami, które się tu urządzają na dawny, królewski niemal sposób. Łatwo im to przychodzi, bo Kanadyjczycy są w ogóle zawołani myśliwi, a kraj dostarcza mnóstwa wszelkiego rodzaju wielkiej i drobnej zwierzyny Na tejto błogosławionej ziemi, nie idąc za złym przykładem z Europy danym, Anglik i Francuz w zupełnej żyją zgodzie; świadczą o tem i recepcye u wice-króla, gdzie żadnej między niemi nie robią różnicy, i parlament w którym Francuz przy Angliku siedzi razem głosując, i wszelkie urzędy polityczne i cywilne. Jest tam więc i publiczne i towarzyskie życie daleko swobodniejsze i weselsze, niż w tej naszej Europie znudzonej, troskami przygnębionej. Położenie przedstawiciela korony angielskiej, przez samą królowę Wiktoryę wyznaczonego, jest prawdziwie monarsze i taki wice-król, po pierwszych chwilach nieuniknionej za krajem tęsknoty, zmuszony jest sam wyznać, że jeśli trudno mu przyszło Anglię opuścić, to po kilku latach urzędowania w Kanadzie w tak wspaniałych i przyjemnych warunkach, jeszcze mu trudniej przychodzi, do kraju wróciwszy, żyć na zwykłą stopę choćby najbogatszego angielskiego lorda. Uczucie takie — to coś podobnego do wrażenia detronizacyi.

Ale oto już i zbliża się dla barona Hübnera wyznaczony termin do zakończenia ogromnej tej podróży. Nie będzie się więc już nigdzie dłuższy czas zatrzymywał; zresztą, zwiedziwszy Kanadę, zwiedził wszystkie znaczniejsze zamorskie posiadłości cesarstwa Wielkiej Brytanii. Jak ptak przelatywać już tylko będzie przez wspaniałe miasta wspaniałych Stanów Zjednoczonych: przez Boston,

owe Ateny Ameryki, miejsce urodzenia Benjamina Franklina, miasto dziwnie piękne, o niebielonych domach, przepychem dzikiego wina obrośniętych; przez Washington, siedzibę prezydenta rzeczypospolitej i kongresu; Filadelfię, dumną ze swej wszechnicy i kolosalnych filantropijnych instytucyi, wreszcie New-York, króla miast amerykańskich — jeśli w ogóle można robić to porównanie w republikańskiej Ameryce. Sam wjazd do New-Yorku już człowiekowi dech w piersi zapiera: most łączący nad rzeką Hudson dwie główne dzielnice tej drugiej, po Londynie stolicy na świecie, przewyższa wysokością, najwyższe na obydwóch półkulach kościelne i ratuszowe wieże. Maszty olbrzymich statków, przybywających tu ze wszystkich stron świata, ścielą się pod tym niemal bajecznym mostem dziwiąc przejeżdżających, co jeszcze nie doznali zawrotu, patrząc z tej wyżyny na dół. Dla tych zaś, co z dołu w górę spojrzą, olbrzymi ten most wygląda jak duża pajęczyna; po której co chwila czarna przeleci ni to mucha, pociąg kolejowy.

Jakkolwiek wszędzie z największą przyjęty był uprzejmością, ostateczne wrażenie barona Hübnera przy opuszczaniu Ameryki było, że od ostatnich lat dziesięciu, tj. od poprzedniej jego podróży po Nowym Świecie, Amerykanie nie są już jak niegdyś życzliwi dla Europejczyków, widocznie pragną bez ogródki pozbyć się tego napływu emigrantów, rzadko przynoszącego dobre żywioły. Póki Ameryka zbyt skąpo zaludnioną była, by zadosyć uczynić licznym wymaganiom przemysłu, handlu, uprawy dziewiczej ziemi, póki jej nie stało rąk do mnóstwa pracy, — póty z uniesieniem przyjmowała bądź co bądź, więcej od jej mieszkańców ucywilizowanych zamorskich przybyszów. Lecz stosunki się zmieniły — dziś, Nowy Świat sam sobie wystarcza, zmiarkował zaś, że ludzki import Europy coraz gorszego jest gatunku, że coraz szkodliwsze przywozi z sobą elementy. Gotowo się nasze pokolenie tej jeszcze doczekać sromoty, że Europejczykom, którzy Amerykę odkryli, obdarzyli chrześcijaństwem i ucywilizowali, Amerykanie wstępu do siebie zabronią, uważając ich za religijnie, moralnie i socyalnie niżej od siebie stojących!

Opuściwszy New-York 26-go sierpnia, baron Hübner wylądował w Queenstown, na brzegach Szmaragdowej wyspy, 29-go tegoż miesiąca. Epilog opisu tej długiej, niezmiernie ciekawej i pouczającej podróży, w następujących da się streścić słowach. Oświatą,

przemysłem, kapitałem i pracą, Anglia wzbudzić umie u podbitych, równie jak i u dobrowolnie pod opiekę oddających się jej narodów poszanowanie dla władzy, która sobie dobrodziejstwami cywilizacyi drogę do nich toruje. Zmysł praktyczny, każdemu Anglikowi wrodzony, daje im rodzaj intuicyi by od razu poznać, gdy noga ich na nieznanym stanie gruncie, co się na gruncie tym najlepiej przyjmie. Z wielką znajomością przedmiotu, spotęgowaną ciągłem doświadczeniem, starają się, o ile być może do potrzeb kraju i do charakteru mieszkającego w nim szczepu stosować kolonizacyą. Nie mniej od barona Hübnera niepospolity, a niemal zawsze z nim w zapatrywaniach swych zgodny, inny świata i ludzi znawca, pisząc o koloniach angielskich, tak się wyraża. „*Quand un peuple avancé en „civilisation et en richesse apporte chez un autre qui est à un „degré inférieur, ses capitaux et ses connaissances, il peut parfai- „tement mettre en exploitation les richesses naturelles du pays, „sans manquer en rien aux égards et à la justice qu'il doit au „peuple indigène*“ [1]. („Gdy naród w cywilizacyi i bogactwie posu- „nięty, przynosi kapitały swe i wiadomości do kraju niżej od niego „stojącego, śmiało może eksploatować tego kraju skarby, bez uszczerb- „ku zasadom sprawiedliwości i uczciwości względem tybulców“). Ma jeszcze Anglia i inne przymioty kolonizacyjne — jeżeli nawet nie cnoty, tyle w nich silnych i dobroczynnych tkwi dla ludzkości pierwiastków. Z natury rzeczy i położenia, każdy kolonista jest istotą niecierpliwą: przybywając do krajów nieznanych, częstokroć nieprzyjaznych, nieraz dzikich nawet, w jedynym zwykle celu rychłego wzbogacenia się; ten cel mając ciągle na myśli, gdy go osiągnie, czemprędzej do Europy ucieka. U francuskiego kolonisty niecierpliwość ta wrodzona jest charakterowi jego; u Niemca wypływa z niepomiernej żądzy zysku. Rozmaitego rodzaju niecierpliwości te, są dla kolonialnego rządu angielskiego czynnikiem, z którym liczyć się musi, w pewnej trzymając go ryzie, by nie zrazić czasem z różnych stron przybywających emigrantów, coby krzywdę i krajowi i koronie przynieść mogło. Kolonista zatem czekać nie lubi, czekać nie chce; rząd zaś przeciwnie — musi, bo pracuje nie dla obecnej

[1] La colonisation française in Tunisie, par. *Mr. Leroi-Bealieau* Revue des Deux Mondes, 15 novembre 1886.

chwili, nie dla marnego tylko grosza, ale dla zaprowadzenia i ustalenia panowania korony angielskiej; liczyć mu się więc wypada i z kolonistami wszelkiej narodowości, i z miejscowemi plemionami, wreszcie i z samą przyrodą — by czasem dla przemijającego zysku, przyszłości nie skompromitować. Zrozumiał to dobrze i stosuje się do tych zasad nie sam tylko rząd Wielko-Brytyjski, ale i naród angielski: z koloniami obchodzą się oni jak mądry dzierżawca — żądają plonu ale też uprawiają ziemię, gdy innych narodowości kolonista najczęściej po macoszemu z nabytym obchodzi się gruntem, wysysając prędko zyski, niszczy tylko ziemię. Są zatem Anglicy najpierwszymi w świecie kolonistami.

A. M. L.

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU

ODNOŚNIE DO PISMA Św.

I. Egiptologia.

(Dokończenie).

Wraz z odczytaniem hieroglifów przybyły znakomite materyały do badań dziejów egipskich: napisy pomnikowe i zwoje papyrusowe wyjaśniają i uzupełniają to, co same pomniki, posągi obrazy i rzeźby miały wyobrażać. Historya Egiptu uczyniła wielki krok naprzód, mamy o niej daleko dokładniejsze wiadomości, aniżeli te jakie nam przekazali starzy pisarze greccy. Maneton służy zawsze za głównego przewodnika, lecz został w części poprawiony i uzupełniony kronikami papyrusowemi. Najważniejszem źródłem mającem związek z ogólną historyą Egiptu jest *papyrus Turyński*, zawierający spis władców Egiptu od najdawniejszych czasów i liczbę lat panowania każdego króla: pochodzi on z epoki Ramsesa II-go, lecz posiadamy z niego tylko kawałki (164). Inne źródła odnoszące się do tego przedmiotu są: *Izba przodków* (Salle des Ancêtres) przedstawiająca szereg poprzedników Tutmesa III-go, *Tablica z Abydos, Nowa tablica z Abydos i Tablica z Sakkarah;* uzupełniają się one wzajemnie i dopomagają do przywrócenia królom egipskim rzeczywistych nazwisk, przeinaczonych przez greckich przepisywaczy Manetona, a zarazem dają świadectwo wierzytelności temu ostatniemu. Jednakże historya Egiptu nie jest jeszcze rozwikłaną; między innemi brakami najdotkliwiej czuć się daje brak chronologii. Liczby Manetona podawane przez Greków nie zgadzają się z sobą, nie dostaje

wiele liczb na papyrusach [1]. Lenormant uważa, iż w wieku XIV. przed Chr. da się ustalić stanowcza era chronologiczna. „Panowanie Ramsesa III., pisze on [2], służy chronologii egipskiej za podstawę stałą i pewną, a opiera się na danych astronomicznych wynalezionych w Medinet-Abu. Na murach tej świątyni rozkazał Ramses wyryć kalendarz uroczystości religijnych. Otóż dzień wzejścia Syriusza czyli Sothis'a w 12-ym roku panowania Ramsesa był zarazem dniem, w którym rok zwykły, świąteczny, Egipcyan, składający się z 365 dni, schodził się z rokiem astronomicznym, mającym dni $365^1/_4$. Według obliczeń Biot'a to zejście mogło przypadać w r. 1300 przed Chr., stąd rok 1311 możemy naznaczyć ze ścisłością matematyczną, jako rok wstąpienia na tron Ramsesa III.“ [3].

Pomimo swych niedostatków spis Manetona bardzo ważnym jest dokumentem, służy bowiem do oryentowania się w historyi Egiptu; umieszczamy tu ten spis według Lenormant'a.

---

[1] Aby mieć wyobrażenie o niezgodności liczb podawanych przez pisarzy greckich, przytaczamy tu lata pierwszej dynastyi:

Nazwisko króla		Lata panowania	
Egipskie	Greckie	Według Euzeb.	Według Afryk.
Mena.	Mene.	60	62
Teta.	Athothis.	27	57
Atot.	Athothis II.	39	31
Ata.	Uenephes.	42	23
Hesep-ti.	Usaphaidos.	20	20
Meri-ba-pen.	Miebidos.	26	26
?	Semempses.	18	18
Kabuhu.	Bieneches.	26	26
		258	263

[2] Hist. anc. de l'Or., t. II., p. 321—322.

[3] Między Egiptologami niema zgody co do chronologii: Boeckh odnosi panowanie I-ej dynastyi do r. 5702 przed Chr. P., Unger do 5613, Brugsch do 4455, Lauth do 4157, Lepsius do 3892, Bunsen do 3623, wreszcie Dr. Birch obniża do 3000. Pewniejsze liczby mamy dopiero w XVIII-tej dynastyi, którą ogólnie odnoszą do XVI-go w. przed Chr. P.; jeszcze pewniejsze poczynają się z XXV-tą dynastyą etiopską od 724 do 660 przed Chr. P. Chronologia następnych dynastyj ma już pewność historyczną.

Spis dynastyj egipskich.

Dynastye	Stolice lub pochodzenie			Trwanie dynastyi	Lata (przed Chr.)
	Nazwy greckie	Nazwy egipskie	Nazwy nowoczesne		
I	Tinis.	Teni.	Dżirdżeh.	253 lat	5004
II	Id.	Id.	Id.	302 lat	4751
III	Memfis.	Man-nofer.	Myt-Rahyneh.	214 lat	4449
IV	Id.	Id.	Id.	284 lat	4235
V	Id.	Id.	Id.	248 lat	3951
VI	Elefantina (?).	Abu.	Dżezyret-Assuan	203 lat	3703
VII	Memfis.	Man-nofer.	Myt-Rahyneh.	70 dni	3500
VIII	Id.	Id.	Id.	142 lat	3500
IX	Herakleopolis.	Ha-khnen-su.	Ahnas-el-Medineh.	109 lat	3358
X	Id.	Id.	Id.	185 lat	3249
XI	Teby.	T.-Ape.	Medinet-Abu.	213 lat	3064
XII	Id.	Id.	Id.		
XIII	Id.	Id.	Id.	453 lat	2851
XIV	Xois.	Khsou.	Sakha.	184 lat	2398
XV	Hyksosi. (dyn.)	Ha-uar.	Tel-el-Her.	511 lat	2214
XVI	Id.	Id.	Id.		
XVII	Id.	Id.	Id.		
XVIII	Teby.	T.-Ape.	Medinet-Abu.	241 lat	1703
XIX	Id.	Id.	Id.	174 lat	1462
XX	Id.	Id.	Id.	178 lat	1288
XXI	Tanis.	Can.	San.	130 lat	1110
XXII	Bubastis.	Pa-Bast.	Tell-Bastah.	170 lat	980
XXIII	Tanis.	Can.	San.	89 lat	810
XXIV	Sais.	Saj.	Sa-el-Hagar.	6 lat	721
XXV	Etiopii (dyn. z.)	. . . . .	. . . . .	50 lat	715
XXVI	Sais.	Saj.	Sa-el-Hagar.	138 lat	665
XXVII	Perses.	. . . . .	. . . . .	121 lat	527
XXVIII	Sais.	Saj.	Sa-el-Hagar.	7 lat	406
XXIX	Mendes.	Pa-Ba-neb-Dad.	Tell-el-Dabeleh.	21 lat	399
XXX	Sebennytus.	Teb-nutri.	Samanhud.	38 lat	378
XXXI	Perses.	. . . . .	. . . . .	8 lat	340

Tenże spis Menetona dozwala również rozglądnąć się w tym chaosie pomników zalegających doliny nilowe, pozwala je uporządkować i odnieść każdy do właściwej epoki. Rzucimy choć pobieżnie wzrokiem na te niespożyte dzieła, jakie ręka ludzka w ciągu kilkudziesięciu wieków wznosiła na ziemi egipskiej.

W całem życiu Egipcyan ujawnia się wielka religijność, wszystkie pomniki egipskie, począwszy od najdawniejszych, noszą na sobie to znamię. Ku najwyższej Istocie kierowali swe myśli w ciągu życia i wznosili na jej cześć świątynie, ku tejże Istocie zwracali swe myśli pozagrobowe, na jej łonie obiecywali sobie po śmierci życie i szczęście, i w tym celu budowali sobie grobowce. Mieli domy i pałace, dbali o szczęście doczesne, ale zdaje się przedewszystkiem starali się o szczęście trwalsze, wieczne — i wyraz swej myśli pozostawili w budowlach. Budowali mieszkania dla bogów i mieszkania dla zmarłych. Dla wznoszenia grobowców i świątyń poświęcali swe bogactwa, mnogie lata, tysiące rąk; wszystkie sztuki brały tam udział, wszystkie talenty składały się na ich wspaniałość, świetność i wdzięk. Co się tyczy mieszkań dla żywych, oprócz Labiryntu, którego dotąd niezdołano odszukać, ani zbadać jego przeznaczenia, nic nam nie pozostało.

Trojakiego rodzaju grobowce napotykają się w Egipcie: grobowce zwyczajne, mastaby i syryngi. Pierwsze znajdują się na Delcie i były budowane za dynastyi Saisów (XXVI-a). Grunty stolicy Saj czyli Sais były namułowe, nie sprzyjały budowlom podziemnym, stąd grobowce były wznoszone nad ziemią; dziś pozostały z nich tylko gruzy, które o ich układzie i kształcie żadnego nie dają pojęcia.

Mastabami[1] nazywają się najdawniejsze grobowce egipskie budowane w Memfis. O dwadzieścia kilometrów na południe Kairu poczynają się zgliszcza *Man nofri*, *Men nefer*[2], słynnego Memfisu zbudowanego przez Mena, z grecka Menesa, założyciela I-szej dy-

[1] Mastaba znaczy po arabsku ława, ławka; nazwa ta nadaną została przez robotników Mariette'a tym grobowcom i utrzymała się w egiptologii.

[2] Jedna ze stolic dawnego Egiptu, którą Grecy nazywali Memfis nosiła różne nazwy: *Ha-Patah*, świątynia Patah, *Ha-Ka-Patah*, świątynia kultu Patah, *Ha-Patah-Sokar*, świątynia Patah-Sokar, *Ta-anχ*, ziemia życia, *Men-nofer* dobra siedziba. Arabi nazywają dziś te zgliszcza *Tel-Monf*. W XIII-ym wieku pisarz arabski Abd-ul-Latif widział jeszcze i podziwiał wspaniałe szczątki starego grodu; dziś nic już z tego nie zostało.

nastyi. Płaszczyzna leżąca po lewej stronie Nilu, przytykająca do piaskowych wzgórz libijskich na przestrzeni kilkuset kilometrów kwadratowych jest ogromnem cmentarzyskiem egipskiem, tam właśnie ukrywa się niezliczona liczba mastab.

Mastaba budowana zawsze według jednego i tegoż samego planu, składa się z dwóch części: część zewnętrzna murowana znajdowała się nad powierzchnią gruntu, druga wewnętrzna, wyżłobiona była pod powierzchnią w skale. Część zewnętrzną stanowi izba, w której zbierała się rodzina zmarłego przynosząca dary i ofiarnicy składający je przed stelą.

Stela, czyli płyta kamienna, ustawiona pionowo pokrytą była płaskorzeźbą i napisami. U góry zwyczajnie wyobrażony jest zmarły przynoszący dary Ozyrysowi, czasem innemu bożkowi, poczem idzie napis, który wszędzie bywa jednakowy: „Dary Ozyrysowi, aby zechciał dostarczyć chleba, napoju, wołów, gęsi, mleka, wina, piwa, odzieży, kadzideł i wszystkich rzeczy dobrych i czystych, których sam używa, *duchowi* zmarłego N. syna N.“ [1]. Płaskorzeźba u dołu wyobraża składanie darów zmarłemu przez jego rodzinę. Czasami znajduje się napis zalecający odwiedzającym powtórzenie wyżej zamieszczonej prośby do Ozyrysa. Obok tej izby znajdowała się kryjówka, zwana dziś *serdab*, mieszcząca posągi zmarłego.

Część podziemna składa się z pogłębienia pionowego, rodzaju studni, i właściwego grobu. Wejście do studni było u wierzchu grobowca i zawsze starannie ukryte; cała studnia zawalona kamieniami i rumowiskiem dla utrudniemia przystępu. Grób właściwy był izbą murowaną w rogu której stała trumna kamienna czyli sarkofag, zawierający nabalsamowane zwłoki, mumię. W tej izbie składano rozmaite sprzęty, które zmarłemu służyły za życia: wraz z ciałem zawijano bogate ozdoby, drogocenną broń i modlitwy wypisane na papyrusach [2].

---

[1] Egipski wyraz *Ka* Maspero przetłumaczył przez *le double*; G. Perrot utrzymuje, iż należy go brać w znaczeniu εἴδωλον u Greków lub *Umbra* u Rzymian.

[2] Mariette w grobie nietkniętym królowej Aah-hotep znalazł: Deux barques d'or et d'argent, des haches de bronze, de gros bracelets de jambes ont été trouvés à côté d'elle, sur le bois du cercueil. Entre les linges mal noués étaient déposés, comme au hasard, des poignards, une hache d'or, une châîne

Izba górna bywała ozdobioną płaskorzeźbami i hieroglifami, dolna ich nie posiadała.

Mastaby służyły za groby dla bogatych Egipcyan, królowie Faraoni [1] budowali sobie piramidy. Piramida nie jest czem innem tylko mastabą na wielkie rozmiary, wszystkie składowe części tej ostatniej w pierwszej się odnajdują.

Piramida na zewnątrz przedstawia się jak wielka bryła o podstawie prostokątnej, ze ścianami pochyłemi, kształtu trójkątnego, schodzącemi się we wspólnym wierzchołku. Budowana zwyczajnie z wielkich głazów, pokryta była na zewnątrz ogromnemi płytami wygładzonych kamieni, często granitowemi, szczelnie z sobą spojonemi. Na północnej stronie, w pewnej od ziemi wysokości znajdowało się jedno, czasem dwa wejścia starannie jednak ukryte i zamurowane, prowadzące wąskim korytarzem do sklepów i do izb, odpowiadających izbie górnej w mastabie; jeden z korytarzy schodził poniżej fundamentów, wykuty był w skale pod piramidą i doprowadzał do sarkofagu. Na wewnątrz piramidy różnią się od mastab doborem materyału: korytarze ich i izby wyłożone są marmurami; na zewnątrz różnica polega w kształcie a szczególnie w rozmiarach. Największa mastaba znana dotąd, ma 56 m. dług., 26 szerok., wysokość zaś dochodzi zaledwie do 9 metrów — piramidy są kolosami. Piramida Hufu, (Kufu, χufu) czyli Cheopsa ma wysokości 137 metrów, zajmuje pięć morgów ziemi, powierzchnia czterech jej ścian wynosi osiem i pół morgów, jej zaś bryłowatość równa się 2 560 000 metrów sześciennych [2]. Aby dać pojęcie o jej ogromie obliczono, że z materyałów użytych do jej zbudowania możnaby wystawić mur dwa metry wysoki, półtora metra szeroki, od Lizbony aż do Warszawy. Przy takich rozmiarach nic dziwnego, iż podczas gdy mastaby zostały zasypane piaskiem pustyni, piramidy wznoszą swe dumne czoła i urągają ich wiekowym pró-

garnie de trois mouches d'or, un pectoral. Enfin le cadavre lui-méme était revêtu d'une autre chaine d'or ornée d'un scarabée, de bracelets, d'un diadême etc.

[1] Urzędowy tytuł władcy Egiptu brzmiał zwyczajnie „król górnego i dolnego Egiptu"; najczęściej jednak tytuł ten był omawiany wyrażeniami „wielki dom", „wielki pałac". Z wyrażenia często bardzo używanego *Per-ao* „wielki dom, wielka brama" powstał zapewne wyraz biblijny *Pharao*.

[2] W kilku podręcznikach polskich jest dodane niepotrzebnie jedno zero a to stanowi gruby błąd.

żnym usiłowaniom. „Wierzchołki piramid, jak opisują podróżnicy [1], przedstawiają się zdala, jak szczyty gór niebotycznych; skoro się dojdzie do ich stóp, wrażenie jakiego się doznaje jest nie do opisania. Wielkość ich przygniata samą myśl. Ich ogrom w przeciwieństwie do postaci człowieka nie da się pojąć... a przecież one są dziełem jego ręki... jego ręce rąbały te głazy gdzieś w dalekich kamieniołomach, jego barki je przynosiły, on je dźwigał do tych wysokości, których okiem trudno dojrzeć... Wiele czasu na to potrzebował?.. wieleto rąk było tu użytych?.. te wszystkie myśli tłoczą się naraz i nie znajdują rozwiązania, pozostaje tylko nieokreślona zaduma".

Piramidy w Egipcie są liczne, lecz nie wszystkie mają kolosalne rozmiary. Najstarsze, najwspanialsze piramidy leżą przy Gizech pod Kairem; wysokość ich wynosi 137, 135 i 66 metrów [2]. Od Abu-roach do Mejdumu (69 kilom.) znajduje się około stu piramid, z których 65 badanych było przez Lepsius'a. Dalej na południe napotykają się piramidy w liczbie 25, między czwartym porohem nilowym a Abu-Hamed, mniejsze co do rozmiarów od ich siostrzyc z północy; wreszcie w pobliżu Chartumu, w dolinach zajmowanych niegdyś przez potężne państwo Meroe, znajduje się około osiemdziesięciu piramid; największa ma zaledwo 20 metr. długości, wysokość wielu z nich dochodzi zaledwie czterech metrów. Piramidy były budowane w różnych czasach, dotąd nie można było rozklasyfikować ich dokładnie, jednak według wszelkiego prawdopodobieństwa piramidy z Gizeh pochodzą z czasów IV. dynastyi, w Sakkarah z V. i VI., w Fayum XII. i XIII.

Mastaby a względnie piramidy budowane były przeważnie około Memfis: okolica płaska, grunt kamienisty, przykryty nieco piaskami libijskiemi nadawały się do tego rodzaju budowli, lecz skoro Teby stały się stolicą państwa, uległy one przeobrażeniu.

Słynny gród o stu bramach różne nosił nazwy: No, No-

---

[1] Déscrip. de l' Egypte Antiq., t. V., p. 597.

[2] W pobliżu wielkich piramid w Gizeh, wznosi się słynny wielki Sfinks, w części zasypany piaskami pustyni; do jakiej epoki należy zaliczyć ten pomnik, a również i odgrzebaną, przez Mariette'a, pomiędzy jego przedniemi łapami świątynię — niewiadomo. Lenormant opierając się na napisach z czasów Kufu odnosi te pomniki do przedhistorycznej epoki Egiptu.

Ammon, Pa-Ammon, Pe-Amun, Ape-t, T-ape, z czego powstało greckie nazwisko Teby, klasyczne *Diospolis magna*. Tebańczycy inne znajdowali otoczenie, innego też rodzaju wznosili grobowce. Łańcuch gór libijskich opodal Teb składa się z pagórków i wzniesień, które dochodzą do 100 m. wysokości; wzgórza te służyły za groby Tebańczykom. Około Bab-el-Moluk „Wrota Królewskie“ ciągnie się pas mający cztery kilometry długości a jeden szerokości, zapełniony grobami królów, kapłanów, wojowników, uczonych i bogatszych Tebańczyków; Grecy nadali tym grobowcom nazwę *syryng* [1].

Syrynga wykuta była w skale. Korytarz, mniej lub więcej długi, zagłębiając się coraz niżej, doprowadzał do obszernej izby, czasami do szeregu izb, wyżłobionych po obu stronach; korytarz ciągnął się dalej i wiódł do drugiego szeregu izb, sklepów i kryjówek; w końcu dopiero, w miejscu nader starannie ukrytem znajdował się sarkofag a w nim mumia. Korytarz albo stolnia nie stanowiła nieprzerwanego wydrążenia, była ona tak budowaną aby wprowadziła w błąd poszukiwaczy. Belzoni badając grobowiec Seti I., po przejściu dwu korytarzy różnej wielkości i różnego poziomu, doszedł do izby mającej 3 m. 70 długości a 4 m. 32 szerokości. Tu znajdowała się studnia. Kazał się do niej spuścić i po starannem jej zbadaniu przekonał się iż niema żadnego ujścia. Był to fortel budowniczego dla zmylenia śladu. Dopiero gdy postawiono most nad studnią, zdołano odszukać na przeciwnej stronie starannie zamurowane wejście do dalszego ciągu stolni i do dalszych izb i kryjówek. Korytarze, sklepy i izby pokryte były płaskorzeźbami, malowaniami i hieroglifami. Jedna z izb podziemnych w grobowcu Seti I., a jest ich kilkanaście, przedstawia kilka tysięcy postaci różnych bożków, bogiń, ludzi i zwierząt. Wszystkie te rzeźby są kolosalne i dziś jeszcze po kilkudziesięciu wiekach swego istnienia przechowały cały wdzięk i świeżość pierwotnych barw. Długość korytarzy w syryngach jest różna: w grobowcu wyżej wspomnianym Belzoni doszedł do 145 metrów i nie odszukał jeszcze sarkofagu; sarkofag Ramsesa III. znalazł się dopiero po przebyciu 125 m., w głębokości 56 m. licząc od poziomu powierzchni ziemi. Ileto pracy i trudu kosztowało wykucie takiego grobowca,

[1] ἡ σῦριγξ znaczy fujarkę a również podziemie; σύριγγες groby około Teb.

iluto artystów pracować musiało nad rzeźbami tych podziemi, jakich potrzeba było wysileń aby te jaskinie ciasne, ciemne, bez powietrza zamienić w jedną galeryę obrazów!

Syrynga miała być niedostępną dla żywych, niema tam tej izby zewnętrznej, będącej częścią nieodłączną w mastabach, w której zbierali się kapłani i rodzina zmarłego, ażeby wspomagać go ofiarami i modłami. Tebańczycy izby zewnętrzne budowali osobno, a ponieważ bogactwo i potęga Egipcyan wzrosła już była wysoko, izby te przybrały wielkie rozmiary i wielką okazałość: za panowania XVIII. dynastyi budowano wspaniałe świątynie, które były kaplicami cmentarnemi. Zgliszcza zalegające dziś Medinet-Abu, Ramesseum, Der-el-Bahari, Kurnah, przytykające do grobów pieczarowych, są pozostałościami po tych budowlach.

Sam podział planu grobowców na izbę zewnętrzną i wewnętrzną w mastabach, na syryngę i kaplicę cmentarną w Tebach, rodzi już myśl iż Egipcyanie rozróżniali podwójny pierwiastek w człowieku, ciało i duszę; bliższe zastanowienie nad szczegółami wykonania grobowców, wczytanie się w papyrusy uzupełnia ją i rozwija. Egipcyanie wierzyli w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciał. Wiedzieli już coś o tem pisarze starzy z opowiadań kapłanów egipskich, lecz spaczyli to pojęcie. Grecy mniemali iż w Egipcie „sąd po śmierci“ odbywa się na ziemi, przy zwłokach zmarłego, przez sędziów na ten cel wysadzonych, a od ich wyroku zależy więcej lub mniej uroczysty pogrzeb zmarłego; dzisiaj wiemy że to mniemanie było błędnem. Papyrus pod nazwą „Księgi zmarłych“ odkrył nam tajemnicę. Sąd odbywa się na tamtym świecie, liczne płaskorzeźby go przedstawiają. Na trybunale zasiadł Ozyrys-Kent-Ament otoczony „mężami prawdy i sprawiedliwości“. Duch zmarłego usprawiedliwia się, czyni spowiedź, lecz negatywną tylko: wyznaje czego nie przekroczył, jak widać z wyznań spisanych na papyrusie, który składano przy mumii do trumny. Następnie czynności jego są ważone. Bożek *Anuhis*, z głową szakala, stoi przy szalkach. *Tot*, pisarz bogów, o głowie ibisa, trzyma w ręku deseczkę pisarską na której spisuje czynności zmarłego. Na szalach z jednej strony położone jest serce sądzonego, z drugiej zaś „pióro sprawiedliwości“, lub posążek bogini *Ma*. Od wyroku wydanego zależy dalszy los, szczęśliwy lub nieszczęśliwy sądzonego. Wierzyli Egipcyanie że przyczynianie się

żywych za zmarłymi dopomaga tym ostatnim do łatwiejszego i prędszego odpokutowania za winy popełnione, stąd modlitwy i ofiary składane w izbie zewnętrznej lub kaplicy cmentarnej. Jakie mieli pojęcie o zmartwychwstaniu ciał nie wiemy, podania pierwotne spaczone były niezawodnie, lecz główna myśl się przechowała: stąd te usiłowania do zachowania w całości zwłok zmarłego, do zabezpieczenia ich przed łupieskim gwałtem [1], stąd te upiększenia podziemi i syryng, których oko ludzkie nigdy nie miało, a przynajmniej nie powinno było oglądać

Religijność Egipcyan uwydatnia się nadto w budowie świątyń. Najstarszym zabytkiem budowli egipskich są świątynie pod Gizeh, należą one do pierwszych dynastyj. Północny Egipt nie jest jeszcze dobrze zbadany, wprawdzie wiele z dawnych pomników zostało rozebranych, i pobudowano z nich dzisiejsze większe miasta, jednakże jest rzeczą prawdopodobną, iż wnętrze ziemi ukrywa jeszcze mnogie zabytki. Lepiej znaną jest Tebajda. Zmuszeni do treściwego opisu, pomijamy słynne pomniki w Denderah i Abydos, które jednak tak ważne dla astronomii i geografii przyniosły zdobycze, ograniczymy się do wzmianki o Tebach.

Przez przeciąg kilkudziesięciu wieków Faraonowie, począwszy od XI-tej dynastyi, wznosili tu świątynie. Pomimo kilkukrotnego zniszczenia przez Asyryjczyków, Persów, Rzymian, Arabi dopiero ostateczny cios im zadali. Zgliszcza dzisiejsze dają miarę przeszłej wspaniałości. Żołnierze Bonapartego nie mogli stłumić okrzyku uwielbienia na widok tylu i takich świetności. Rozwaliny dawnych gmachów, świątynie, kolumnady, obeliski, pylony [2], posągi, długie rzędy sfinksów zajmują jeszcze dziś dwanaście kilometrów powierz-

[1] Pomimo wszelkich ostrożności, usiłowań i przepisów wszystkie niemal groby w piramidach, syryngach i mastabach były przetrząsane i pogwałcone i to od najdawniejszych czasów, jeszcze za starych Egipcyan. Rozbijano sarkofagi, łupiono co się unieść dało; bogate ozdoby złote i srebrne, posągi i mumie. W nowych czasach sprzedawali Arabi w Kairze za drogie pieniądze mumie, papyrusy, statuetki, i inne stare pamiątki, które wydobywali z grobów w okolicach Teb; dzięki donosowi jednego z tych Arabów, który z zawiści zdradził tajemnicę, badacze naukowi dostali się dopiero do tych bogactw archeologicznych.

[2] Pylonem, Πυλών, zowie się w architekturze egipskiej ozdobna brama prowadząca do świątyni.

chni. W południowej stronie, na prawym brzegu Nilu zbudowana jest ludna wioska Luksor (El-Aksorein) na szczątkach potężnej stolicy Górnego Egiptu. Piękna świątynia nie jest jeszcze całkowicie odgrzebaną; zabudowania jej mają 255 m. dług., jeden z obelisków umieszczonych niegdyś przy wejściu, ozdabia obecnie rynek paryski „Place de la Concorde", drugi stoi na swojem miejscu otoczony zwaliskami. Stąd prowadzi dwukilometrowy gościniec, którego strzegą po obu stronach wzniesione na podstawach kamiennych statuy sfinksów, mające kształt lwów a głowy niewieście, gościniec prowadzi do miejscowości słynnej pod wielu względami. Karnak, tak co do obszaru swych zwalisk, jak i ogromu i wspaniałości swych budowli zajmuje pierwsze miejsce na świecie. Długość obwiedziona murem wynosi 1400 m., szerokość 560 m.; na tej przestrzeni mieści się jedynaście świątyń różnej wielkości. Największa z nich mierzy 365 m. na długość a 113 m. na szerokość. Poza wejściem pylonowem kolumnada prowadzi w zamkniętym ogromnym dziedzińcu do Sali kolumnowej, jednego z najwspanialszych pomników Egiptu. Pokrycie sali, mającej 102 m. dług. a 51 m. szer., wsparte było na 134 kolumnach; kolumny środkowe mają 10 m. obwodu a 23 m. wysokości, to jest, każda z nich ma rozmiary kolumny Trajana: katedra paryska z łatwością pomieściłby się mogła w tej sali. Wszystkie kolumny pokryte były płaskorzeźbami i hieroglifami. Champollion opisuje wrażenie jakie na nim wywarł ten widok: „Tu przedstawiła się mi cała wspaniałość faraońska, ujrzałem tu dzieła rąk ludzkich, o jakie tylko najbujniejsza wyobraźnia kusićby się mogła... Nie będę usiłował opisywać tych zdumiewających budowli, nie danoby mi wiary. Powiedzieć jednak muszę, że żaden naród, ani dawniej ani dziś, nie pojmował budownictwa tak ogromnego, wspaniałego, szczytnego, jak starzy Egipcyanie". Świątynie Teb leżące na lewym brzegu Nilu, czyli kaplice cmentarne, o których już wyżej wspomnieliśmy, świetnością, choć nie ogromem współubiegały się ze swemi siostrzycami z prawego brzegu.

Egipt rozciągał swe panowanie dalej ku południowi i pozostawił wszędzie ślady swej kultury. Przy Edfu znajdują się rozwaliny dawnego Teb albo Dep, *Apollonipolis magna*. Mariette odgrzebał tu świątynię doskonale zachowaną. Mury pokryte są płaskorzeźbami i napisami przedstawiającemi obrzędy religijne, tablice astronomi-

czne, opisy i obrazy bitew, oblężeń, a co najważniejsze, znaleziono tam dwadzieścia siedem wykazów odnoszących się do różnych miejscowości geograficznych Egiptu i Nubii. Te właśnie wykazy geograficzne, uzupełnione innemi, gdzieindziej wynalezionemi, posłużyły Brugschowi do odtworzenia geografii dawnego Egiptu. W pobliżu pierwszego porohu leży wyspa File, z egipska Ilak, słynna grobem Ozyrysa, szczególnie zaś obeliskiem, na którym Champollion wynalazł imię Kleopatry. Pomiędzy 1-szym a 2-gim porohem w Ibsambul znajdują się dwie świątynie wykute w skale. Przed wejściem stoją cztery ogromne posągi, mające po 20 m. wysokości, przedstawiające Ramsesa II. Wnętrze świątyni ozdobione jest rzeźbami i napisami, jedna z nich wyobraża bitwę pod Kadesz, tysiąc sto różnych figur przedstawionych jest na tym jednym tylko obrazie [1]. Całe wybrzeże między 1-szym a 2-gim porohem pokryte jest staremi pamiątkami; nieprzerwanym prawie szeregiem ciągną się olbrzymie słupy, jaskinie skaliste, podziemia i świątynie, tych ostatnich o większych rozmiarach liczą czternaście. W Nubii pamiątki są rzadsze, jednakże jeszcze na wyspie Argo, na północ od Nowej Dongoli znajdują się pomniki należące do XIII-tej dynastyi. Wreszcie w pobliżu Chartum napotykają się rozwaliny starożytnego miasta Meroe, dawnej stolicy Etiopii; widać jeszcze zwaliska świątyń, kolumnad i posągów. Pamiątki te jednak odnoszą się tylko pośrednio do Egiptu. Napisy i pomniki, jakkolwiek noszą ślady egipskiej kultury, kształtem swym i językiem wyróżniają się od egipskich. Pismo zowie się demotycznem abisyńskiem, język zaś, nie dość jeszcze dobrze poznany, był prawdopodobnie językiem starożytnych Bedżów (Blemmyes), którzy mieszkali niegdyś między Nilem Niebieskim a Suakimem, a których Herodot nazywał Etiopami. Meroe w VIII. w. przed Chr. P. było stolicą potężnego państwa. Tharaka albo Tahraka owładnął Wyższym Egiptem i dynastya jego panowała tam lat pięćdziesiąt. W średnich wiekach istniało tu (Stara Dongola) państwo chrześcijańskie.

---

[1] Bitwa pod Kadesz opisaną była przez Pen-ta-ura, jest to najstarszy poemat epiczny. Opis ten wyryty jest hieroglifami na ścianach świątyń w Karnaku, Luksor'ze i Ibsambul'u; British Muzeum posiada papyrus hieratyczny tegoż opisu.

Kilka słów należy jeszcze powiedzieć o innych rodzajach pamiątek odnoszących się do starej kultury egipskiej. W Dolnym Egipcie, na południe od Kairu, wśród pustyni libijskiej zieleni się żyzna oaza Medinet-el-Fayum, gęsto obsiadła przeważnie przez Koptów. W pobliżu ku zachodowi istnieje zagłębienie naturalne, które dziś w części wypełnione jest przez jezioro zwane Moeris. Za panowania Amenemha III., (według hieroglifów Amon-em-ha-t — dynastya XII.), urządzony tu był wielki zbiornik wód nilowych, który po egipsku zwał się „meri", „mi-ur", jezioro. W czasie nadzwykłego przybierania Nilu otwierano upusty i za pomocą kanałów sprowadzano nadwyżkę wód do jeziora, skąd w miarę potrzeby, w latach małego przypływu, wypuszczano ją i zalewano grunta niedostatecznie nawodnione. Według opisu pisarzy greckich zbiornik ten zajmował przestrzeń 10 milionów metrów kwadratowych. Jezioro to od bardzo dawnych czasów zostało zaniedbanem, kanały i śluzy zamulone, skutkiem czego znaczne obszary gruntów leżą odłogiem: w przeszłym dopiero roku rząd egipski znaczną przeznaczył sumę na odbudowanie tego zbiornika.

Jezioro Moeris nazywano również *se* albo *hunt*, „wylew". Amenemha III. wystawił obok jeziora wspaniałą ogromem i sztuką budowlę, która nosiła nazwę Lope-ro-hunt, „pałac przy ujściu jeziora" [1], Grecy zrobili z niej Λαβιρινθός. Labirynt przetrwał kilkanaście wieków, Herodot jeszcze widział i podziwiał jego ogrom i przepych. „Widziałem Labirynt, pisze on, rzeczywistością przewyższył on nawet sam rozgłos. Wszystkie budowle greckie nie mogą iść z nim w porównanie, choć świątynie w Efezie i na wyspie Samos godne są uwagi. Piramidy przewyższają również swą sławę, jedna piramida dorównywa wielkiej ilości największych budowli greckich, a jednakże Labirynt o wiele jest znakomitszym od piramid". Z tego Labiryntu nic dziś nie zostało; wprawdzie obok Fayum znajdują się zgliszcza, które Lepsius uznał za resztki Labiryntu, lecz Mariette opierając się na opisie Strabona podał w wątpliwość to przypuszczenie. Mariette sądził iż Labiryntu należy szukać pod bujną roślinnością doliny Fayum.

---

[1] Brugsch czyta: Rape-ro-hunt, „świątynia przy ujściu jeziora"; głoski *l* i *r* hieroglificznie wyrażane były jednym znakiem.

Kultura starego Egiptu stała wysoko. P. G. Perrot wydał o sztuce egipskiej monumentalne dzieło, w którem przechodzi wszystkie jej gałęzie. Architektura egipska jest niezrównaną pod względem piękności materyału, rozmiarów, bogactwa i rozmaitości; czystość konturów, ścisłość i swoboda w rzeźbie są godne podziwu; w ornamentyce uwydatnia się płodność i szczęśliwy dobór motywów: najdrobniejsze wyroby egipskie wyróżniają się wdziękiem noszącym na sobie cechy sztuki i piękna. Należy tu zauważyć, iż jakkolwiek nie można odmówić postępu w sztuce przez czas kilkudziesięcio-wiekowego trwania państwa egipskiego, ten postęp jednak ogranicza się na dokładniejszem wykończeniu, na większem bogactwie materyałów: świątynie Ramsesów w Tebajdzie stoją na najwyższym szczeblu sztuki, dzięki wielkiej potędze państwa, które do swych dzielnic afrykańskich przyłączyło bogate i wysoko posunięte w kulturze azyatyckie ludy znad Eufratu i Tygru. Co się tyczy twórczości, pomysłów, tego wszystkiego co nadaje cechę stylowi i sztuce, — pod tym względem postępu nie było. Egipcyanie nie przechodzili żadnych okresów kamiennych, bronzowych, żelaznych, niema tam żadnego śladu pierwotnej dzikości, w pierwszem zaraniu swego istnienia okazują się ludem ucywilizowanym, w pierwszych zaraz dynastyach kultura stała na wysokim stopniu. „W czasach bardzo odległych, pisze G. Perrot [1], o których inne narody nie mają nawet podań, Egipt przedstawia nam swe pomniki, noszące na sobie ślady wysokiej doskonałości. W tych czasach Egipt buduje piramidy w Mejdumie, Sakkarah i Gizeh. Płaskorzeźby pokrywające grobowce, posągi które się w nich znajdują są może najcelniejszemi arcydziełami sztuki egipskiej. Ampère uważa piramidę Kufu za najstarszy, najprostszy i najwspanialszy pomnik sztuki ludzkiej".

Napisy pomnikowe i papyrusy wyświecają nam i uzupełniają wiadomości dziejowe o Egipcyanach, wtajemniczają w ich religię, obyczaje i codzienne stosunki. Pismo, wynalezione w nader odległych czasach, było w powszechnem użyciu w Egipcie, liczne szkoły kształciły młodzież i przysposabiały przyszłych urzędników państwowych,

[1] Hist. de l'art dans l'antiquité. L'Egypte. t. I., p. 854.

nikt bez egzaminu nie mógł otrzymać urzędu. Spisywano wszystko co należało do utrzymania w porządku stosunków społecznych, spisywano nauki dojrzałych mistrzów dla przekazania ich następnym pokoleniom. Naukę wysoko ceniono: zdolność i pilność otwierała każdemu Egipcyanowi wejście do najwyższych warstw społeczeństwa, sami Faraonowie wydawali nieraz swe córki za pierwszorzędnych inżynierów i pisarzy; dzięki temu zamiłowaniu Egipcyan do nauk i ksiąg, posiadamy dziś grecki przekład pisma „siedmdziesięciu“ z czasów Ptolemeusza Filadelfy. Egipcyanie posiadali osobne budynki, a przynajmniej osobne izby na skład ksiąg przeznaczone. Diodor Sycylijski znalazł w Tebach bibliotekę, która miała napis „Lekarstwo dla duszy“, nowsi badacze stwierdzili ślady tych bibliotek w różnych miejscowościach; w jednym z grobowców w Gizeh, z czasów IV-ej dynastyi, spoczywa wysokiej godności urzędnik, noszący nazwę „zarządcy domu ksiąg“. Z tych bibliotek nic nie zostało; papyrusy, które doszły naszych czasów, ocalały jedynie przed zniszczeniem ręki ludzkiej i zgubnym wpływem wilgoci atmosferycznej w niedostępnych i suchych grobowcach. Ten spadek naukowy po starych Egipcyanach rozdzielić się da na trzy działy: pisma historyczne i literackie, rozprawy scientyficzne i wreszcie księgi religijne.

Pisma historyczne zawierają kronikarskie wiadomości o królach, ich czynach wojennych, latach panowania i sprawozdania urzędowe o ich pobożnych fundacyach; opisy są nader pochlebne, czasami nawet przybierają układ i styl epiczny, takim jest słynny rapsod bitwy pod Kadesz, napisany przez Pentaura, na cześć Ramsesa II-go. Pisma literackie składają się ze zbioru listów, maksym moralnych i filozoficznych, z powieści i romansów.

Z historycznych dokumentów Egiptu wyprowadza się dosyć już kompletna osnowa dziejów, którą dziś powszechnie dzielą na trzy części: panowanie dziesięciu pierwszych dynastyj zaliczają do starego państwa, państwo średnie obejmuje panowanie siedmiu następnych dynastyj Tebańskich, wreszcie od XVIII-ej dynastyi po zabór perski zowie się nowem państwem.

Pierwsi mieszkańcy Egiptu przybyli z Azyi, osiedlili się, rozmnożyli i utworzyli państwo na Delcie. Dzisiaj ta rzecz jest zupełnie pewną, pomimo przeciwnych świadectw pisarzy greckich, którzy

tak początek ludu egipskiego, jak i jego kulturę wyprowadzali z Etiopii. „Dziś, mówi Maspero, nie ma wątpliwości że nie Etiopia kolonizowała Egipt, lecz przeciwnie począwszy od XII-ej dynastyi była przez Egipcyan kolonizowaną". Inny Egiptolog pisze:[1] „Podanie zamieszczone w Biblii wyprowadza Egipcyan z Azyi, w spisie etnograficznym rozdziału X-go, księgi Rodzaju, czytamy, że Misraim, który uosabia te ludy, jest synem Chama, bratem Kusza i Kanaana, przodków ludu etiopskiego w Azyi i Afryce, oraz Fenicyan. Poszukiwania nowoczesnej nauki stwierdziły stanowczo opowiadania świętego tekstu". Stare państwo przez długie lata miało główną siedzibę w Memfis; w tym to czasie przemysł i sztuka doszły do wysokiego stopnia doskonałości, z tego czasu pochodzą piramidy, podania i księgi święte.

Zawładnienie krajem przez książąt tebańskich stanowi nową epokę w historyi egipskiej. Granice państwa rozszerzono ku południowi, przedsięwzięto na ogromne rozmiary roboty około nawodnienia, a stąd powstało jezioro Moeris i Labirynt, wreszcie w tym czasie wtargnął z Azyi lud pasterski i osiadł na tronie egipskim. Hyksosi panowali przez kilka wieków, stolicę państwa przenieśli do założonego przez siebie miasta Can na Delcie, i pomimo swego cudzoziemskiego, semickiego, zdaje się, pochodzenia, roztropnie i sprawiedliwie rządzili. Wszystko co Maneton mówi o ich barbarzyństwie jest wymyśloną bajką, nie tylko bowiem zachowali w całości pomniki wystawione przez dawne dynastye, lecz nadto za ich panowania przemysł i sztuki kwitnęły w całym Egipcie. W tych czasach osiedlił się Jakób z synami w ziemi Gessen. „Prawdopodobnie mówi Lenormant [2] za panowania Apapi II., Józef syn Jakóba został ministrem Faraona. Obraz jaki nam kreśli księga Rodzaju o dworze księcia, który przebywał w jednym z miast Dolnego Egiptu, zapewne w Tanis czyli Can, jest nadzwyczaj pouczającym i odpowiada zupełnie temu ogólnemu poglądowi jaki przedstawiają nam współczesne kroniki pasterzy. Dwór jest całkiem egipski tak w swym składzie jak i w swych ogólnych cechach, jednakże zpod tej osłony zewnętrznej przebija coś cudzoziemskiego. Całe to zajście biblijne

[1] Lenormant, Hist. anc. de l'Or. p. 45.
[2] Ob. Hist. anc. de l'Or. p. 153.

wchodzi doskonale w ramy historyczne epoki". Po wielu nieudałych pokuszeniach książęta tebańscy zwyciężają Hyksosów i obejmują tron egipski.

Następuje trzecia epoka. Nowe państwo nadzwyczaj świetne w początkach, zaczyna niebawem kłonić się ku upadkowi. Dynastya XVIII. rozpoczyna podboje w Azyi. Tahut-mes albo Tutmes III., wiek XVII. przed Chr., był jednym z najpotężniejszych władców Egiptu, przyłączył on do swego państwa Abisynią, Sudan, Syryą i Mezopotamią. Następcy jego nie zdołali utrzymać w posłuszeństwie tak obszernych posiadłości, Seti I. podtrzymuje jeszcze świetnie potęgę Egiptu; lecz za panowania syna jego Ramsesa II. rozluźnione węzły wewnętrzne i bunty krajów podbitych stawiają państwo nad brzegiem przepaści. Grecy nazwali Ramsesa II. Sesostrysem [1], a tego Sesostrysa uczynili wielkim zdobywcą i mężem bohaterskiego ducha. Otóż dziś wiemy, iż to nie zgadza się z rzeczywistością. Wszystko co Grecy przypisywali Sesostrysowi, należy odnieść do Tutmesa III., Seti I. i właściwego Ramsesa II. Ten ostatni nie był zdobywcą, wojował wprawdzie, lecz nietylko nic nie przyczynił do korony, ale nadto nieraz był zmuszony do zawarcia pokoju na warunkach dla siebie upokarzajacych, lecz zato był budowniczym. Za jego czasów powstało wiele znakomitych pomników, choć należy dodać i to, iż zdarzało się często, że z pomników wystawionych przez swych poprzedników kazał ścierać ich nazwiska a swoje umieszczać.

Zamiłowanie Ramsesa II. w budowlach, pociągało za sobą ucisk ludu: setki tysięcy ludu musiało pracować przy wyrobie cegieł, w kamieniołomach, przy przenoszeniu i stawianiu budowli pod kijem dozorców. Ile kosztowało wzniesienie piramidy lub pomnika w Egipcie — niewiadomo, koszta te jednak mogłyby się obliczyć nie na franki lub funty szterlingi, lecz na ilość żyć ludzkich. Wiele ludzi zginęło przy tych olbrzymich pracach wnosić możemy z tego, co niedawno jeszcze działo się w Egipcie. Do przekopania kanału

[1] Herodot pierwszy wymienił to nazwisko, Diodor Sycylijski zowie go Sesoosis, Tacyt jedynie nazywa go Ramsesem. Taki dokładny i sumienny spostrzegacz jak Herodot nie wymyślił tego nazwiska, lecz je z grecka napisał; dziś wiadomo, że Ramses II. miał przydomek Sestesu-Ra albo Sesu-Ra.

Suezkiego, na rozkaz Chedywa spędzono z całego kraju dwieście pięćdziesiąt tysięcy Felahów; ponieważ rząd nie dostarczył potrzebnej ilości narzędzi, wielka część tych ludzi rękami tylko bezpośrednio musiała gromadzić ziemię — otóż dwadzieścia tysięcy z tych nieszczęśliwych zostawiło swe kości nad brzegami kanału. Rzeźby i papyrusy przedstawiają ucisk ludu egipskiego i pośrednio stwierdzają opowiadanie Mojżesza o ucisku ludu wybranego.

Prawdopodobnie za panowania Min-Phtah'a czyli Menephtah'a nastąpiło wyjście Izraelitów z Egiptu. „Księga wyjścia, mówi egiptolog francuski[1], umieszczając siedzibę Faraonów w pobliżu ziemi Gessen, gdzie przebywał Bene-Izrael, podaje najdokładniejszą wiadomość historyczną, albowiem ten książe zamieszkiwał Memfis i Tanis. Księga biblijna jest również dokładna w opisie Min-Phtah'a otoczonego czarownikami“... Największa część egiptologów: Chabas, de Rougé, Sayce, Lepsius, Brugsch, Ebers, Lauth[2] uznaje

[1] Lenormant. t. III. p. 281.

[2] Jakkolwiek z zasady nie jesteśmy pochopni do wyprowadzania wniosków niedostatecznie dowiedzionych, z obowiązku jednak podajemy tu zdanie uczonego Dra Fischer'a, który z powodu wyjścia Izraelitów z Egiptu mówi: „Der in Rede stehende Papyrus Anastasy I. stammt nach eigener Angabe aus der Zeit des Königs Ramses II. Miamun (Sesostris), der nach zuverlässigen Berechnungen von Chabas (Melanges II, 108) und Lauth (Moses der Ebräer S. 64) im Jahre 1510 v. Chr. gestorben ist, und enthält auf der einen Seite das Tagbuch eines priesterlichen Oberbeamten über die Vorkommnisse seiner Amtsführung. Lauth sucht nun mit grossem Scharfsinne nachzuweisen, dass der darin vorkommende Mesu, welcher in einem andern im britischen Museum sich befindlichen Papyrus (Anastasi I.) Mohar genannt wird, nichtägyptischer Abkunft und nach allen Zügen, die das Schriftstück von ihm giebt, kein Anderer gewesen sei als der israelitische Moses.

Auch der Aufenthalt der Hebräer in Aegypten zur Zeit des Ramses II. und ihre dortige gedrückte Lage ist durch ägyptische Denkmäler bezeugt. So fand Chabas in den Leydener Papyrus I. 348 und I. 349 den Namen „Apriu“, von denen daselbst gesagt wird dass sie Steine schleppten zu den Bauten des Ramses II, und in einem Siegeshymnus auf den König Meneptah heisst es nach dem Papyrus Anastasi III. 7, 2: „Du bist das Heer des Sieges, die Waffe, welche tödtet die „Aperu“ (Lauth, a. a. O. S. 2. Diese Bemerkung stimmt zu dem Bericht des ägyptischen Geschichtsschreibers Manetho, nach welchem der „Auszug der Aussätzigen“ (der Hebräer) aus Aegypten unter dem Pharao Ἀμένωφις (Ἀμενωφάθ d. i. Μενοφθά) vor sich gegangen sei, als dessen unmittelbarer Vorgänger Ραμεσσῆς Μιαμούν(ν) genannt wird. Steht nun fest, dass letzterer bis 1510 v. Chr. regierte und rechnet man dazu die von Manetho angegebenen $19^1/_2$ Regierungsjahre seines Sohnes und

w Min-Phtah'u Faraona Mojżeszowego, pierwszy z nich [1] pisze: „Menephtah miał pod swojemi rozkazami wielką armię, z nią też podążył dla zawrócenia Izraelitów. Tekst św. liczy w tej armii sześćset wozów wojennych, konnicę i wojowników. Wszystkie te szczegóły, jak również bogactwa Egipcyan w szatach, w naczyniach złotych i srebrnych stosują się doskonale do ostatnich lat panowania Ramsesa II. i Menephtah'a I. Jeżeli Faraonem, który pogonił za Izraelitami jest Menephtah I., o czem jestem głęboko przekonany, to w tym razie postąpił tak samo jak dawniej, skoro gonił za Libijczykami, stoi bowiem na papyrusie: [2] wówczas jezdni, którzy byli na koniach Jego królewskiej Mości poszli za nimi w pogoń. Ten szczegół jest jednym z dowodów, który należy dodać do tylu innych, świadczących o doskonałej dokładności Biblii w opowiadaniu zdarzeń". Kroniki egipskie nie wspominają o tym wypadku, lecz milczenie to nie może służyć przeczeniu za dowód, albowiem stwierdzoną jest rzeczą, iż kronikarze tamtejsi nigdy nie przekazywali potomnym klęsk doznanych.

Za następców Menephtah'a Egipt wielkiemi krokami dążył do upadku. Różne ludy Europy, Azyi i Afryki owładały częściowo lub całkowicie krajem; królowie Etiopii i Asyryi wydzierały go sobie nawzajem. Jakiś czas dynastya Saisów utrzymała narodowe życie w Egipcie, lecz Kambyzes kres mu położył, Egipt został satrapią perską, wreszcie dostał się pod Macedończyków.

Dzieła o moralności traktujące posiadali Egipcyanie od bardzo dawnych czasów. Papyrus zwany „Prisse" pochodzi z czasów XII. dynastyi, jest on kopią dzieła księcia Phtah-hotpu, który żył pod panowaniem V. dynastyi. Autor daje przepisy życia moralnego i przyzwoitego zachowania się w świecie; traktat ten ma nieco podobieństwa z dziełem Konfucyusza. Tenże papyrus przechował jeszcze starszy urywek z czasów III. dynastyi napisany przez Kakima i zawierający również maksymy moralne. Z czasów późniejszych znane są dotąd dwa inne dzieła moralne: Chabas przetłuma-

---

Nachfolgers Menephtah, so erhält man das Jahr 1491/90 v. Chr. als Datum des Exodus. (Lauth, ibid.)

[1] Chabas, Recherches sur la XIX. dynastie p. 156—158.

[2] Dümichen. Hist. Inschr. IV, 38.

czył traktat niejakiego Ani, Pierret zaś przełożył papyrus znajdujący się w Luwrze formą i treścią podobny do przypowieści Pisma św. Przepisy moralne staro-egipskie dalekiemi są od tej niezawisłej moralności, jaką pewna szkoła liberalna chciałaby dziś udarować społeczeństwo. Autorowie egipscy obok przepisów dają również pobudki, które choć chrześcijańskiemi nie są, do nich jednak się zbliżają. W pojęciach psychologii Egipcyan tyle jest głębokich myśli i prawd, iż zdają się kartkami wyjętemi z filozofii chrześcijańskiej. Według starych Egipcyan człowiek składa się z ciała *khat*, i z inteligencyi *khu*. Lecz inteligencya *khu*, przez połączenie się z ciałem traci swój pierwiastek płomienny i staje się duszą *ba*. Dusza działa na ciało za pośrednictwem subtelnej materyi *nifu*, tchnienie, aby zaś wpływ wywierać mogła, przybiera kształt subtelny *ka*. Tym sposobem dusza *ba*, jest osłoną inteligencyi, tchnienie jest osłoną duszy; ciało zaś jest osłoną tchnienia. Maspero[1] w ten sposób streszcza, według mniemań filozofów egipskich, działalność tych czynników: „Ciało, tchnienie, dusza są wspólne człowiekowi i zwierzętom. To wszystko należy do materyi. Lecz człowiek posiada nadto inteligencyą, której kierownictwo utrzymuje go na prawej drodze i uczy go rozróżniać dobre od złego. Inteligencya usiłuje wyrwać duszę ludzką zpod tyranii ciała i wznieść ją ku sobie; lecz ponieważ straciła swój pierwiastek płomienny, nie ma dosyć siły do wyniszczenia namiętności które ciało wznieca. Ciało rozgoryczone przeciwnościami, stawianemi jego skłonnościom, podnosi bunt, budzą się złe żądze, walka wrze i toczy się z różnym skutkiem. Czasami inteligencya zdradzona przez duszę, która nie może, czy nie chce zerwać węzłów wiążących ją ze światem, porzuca walkę — wówczas człowiek pozbawiony iskry Boskiej, żyje jak maszyna i schodzi do rzędu bydląt. Czasami znowu, dzięki odwadze i cierpliwości, inteligencya zwycięża: namiętności przemieniają się w cnoty, cnoty wzmacniają się i doskonalą; dusza pozbawiona więzów dąży ku dobru i poi się pociechami nadziemskiemi, pomimo osłony materyalnej, która wzrok jej przymracza".

Rozprawy scientyficzne poświęcone są geometryi, astronomii

[1] Hist. anc. des peuples de l' Orient.

i medycynie, z nieodłącznemi od nich astrologią i magią. Z ksiąg odnoszących się do umiejętności mało co pozostało, niewiele też wiemy o ich wiedzy pod tym względem z pisarzy greckich. Egipcyanie oddawali się astronomii i posiadali dość dokładny kalendarz. Rok u nich składał się z dwunastu miesięcy, po dni trzydzieści; między rokiem upłynionym a rokiem następnym dodawali dni pięć. Rok złożony z 365 dni był rokiem religijnym, według niego ustanowione były wszystkie uroczystości. Wiedzieli jednak, że ten rok jest za krótkim i nie odpowiada peryodycznym przypływom Nilu i potrzebom rolnictwa; za pomocą spostrzeżeń nad Syriuszem doszli, iż jest za krótkim o $^1/_4$ dnia. Rok astronomiczny składający się z dni $365^1/_4$ nazywali *rokiem Thota*, albo *Sothisa* (Syriusza). Rok religijny spaźniał się każdorocznie o $^1/_4$ dnia, po latach zatem $365^1/_4 \times 4 = 1461$ spóźnił się o cały rok; lecz wtedy także nowy rok religijny i nowy rok Sothisa przypadały jednego i tego samego dnia. Nie znali, zdaje się, Egipcyanie posuwania się punktów równonocnych, znali jednak planety, usiłowali wymierzyć średnicę słońca i jego odległość od planet. Między papyrusami napotykają się ślady ich wiedzy matematycznej, kilka twierdzeń odnoszących się do trygonometryi płaskiej i wymiaru objętości brył; ich system liczbowy był dziesiątkowym.

Najobszerniejszy jednak w literaturze egipskiej jest dział religijny. Jeżeli budowle Egipcyan naprowadzały już na myśl, że oni wielką wagę kładli na życie pozagrobowe, to wczytanie się w papyrusy myśl tę potwierdza i uwydatnia. Że Egipcyanie byli ludem głęboko religijnym, zauważył to już Herodot i zaliczał ich do najreligijniejszych na świecie. „Wszystko w Egipcie, mówi Fr. Lenormant[1], nosiło na sobie cechę religijną. Pismo tak przepełnione było świętemi symbolami, tak ściśle związane było z ich mitami, iż można powiedzieć, że poza religią egipską nie mogło być używane. Literatura i umiejętności były tylko gałęziami teologii. Sztuka miała jedynie na celu kult bożków lub królów ubóstwionych. Przepisy religijne były tak mnogie i wszechstronne, iż w każdej

[1] Hist. anc. de l'Or., t. III., p. 172.

i najdrobniejszej nawet czynności, należało stosować reguły od kapłanów przepisane".

Dzieło, któremu dano nazwę „Księgi zmarłych" poucza nas o teologii Egipcyan. Według podania, bożek Thoth, „pisarz bogów", „pan słowa boskiego", a zarazem wynalazca pisma przekazał te księgi pierwszym mieszkańcom Egiptu; Grecy identyfikując Thoth'a ze swym Hermesem, nazywali je „księgami Hermesa". Księgi teologiczne doszły nas tylko w urywkach; jak zaś one były rozpowszechnione wnosić można z tego, że trzy czwarte papyrusów, które dziś posiadamy, do tych ksiąg się odnoszą.

Religia Egipcyan w swych objawach zewnętrznych przedstawiała się panteistycznie, zbliżała się do fetyszyzmu; sami pogańscy nawet Grekowie szydzili z Egipcyan, iż oddają cześć boską zwierzętom — na gruncie jednak tej skażonej religii był istotny monoteizm; mamy dziś na to świadectwa niepodejrzanych całkiem o stronniczość w tym kierunku egiptologów. Maspero, do niedawna jeszcze dyrektor muzeum w Bulaku, pisze:[1] „Ten Bóg Egipcyan był jeden, doskonały, obdarzony nieomylną nauką i rozumem, jest on niepojęty do tego stopnia iż nie można powiedzieć w czem jest niepojętym. Zawsze jednakowy, zawsze niezmienny w swej niezmiennej doskonałości, zawsze obecny w przeszłości i przyszłości, wypełnia wszechświat w taki sposób, iż nic nie może dać pojęcia o jego niezmierności, czuć go wszędzie a nigdzie ująć go niemożna"... W jednym z tekstów sięgających najstarszych dynastyj, spotykamy się z wyrażeniem, które każdy katolicki teolog mógłby podpisać: „Jest on jeden i jedyny, ma byt z istoty swojej... jedyny rodzic w niebie i na ziemi, który nie jest zrodzony, jedyny Bóg mający pełnią życia, sam siebie rodzi, istnieje od początku, wszystko uczynił a sam uczyniony nie był". Seyffarth znalazł w papyrusie Turyńskim ustęp: „Jestem Bóstwem bogów... Jestem który jestem..." Wszyscy prawie egiptologowie: Wilkinson[2], Seyffarth[3],

---

[1] Hist. anc. des peup. de l'Or.

[2] That there was one superessential God, but that the other Deities had an essential subsistence, and were by illumination from the one. *Sec. Series of the manners and customs of ancient Egyptians*, p. 179.

[3] *Theolog. Schrift. d. a. Aeg.* S. 17.

Uhleman[1], v. Thimus[2], przyznają na mocy dokumentów, że Egipcyanie wyznawali pierwotnie monoteizm, który przechował się nawet w późniejszych czasach, przynajmniej jako nauka u kapłanów.

Co więcej Egipcyanie mieli pojęcie Trójcy: Amon, Ptah i Ra albo Kneph. Dzisiejsi badacze, opierając się na papyrusach i napisach pomnikowych, identyfikują te trzy osoby z Osobami Trójcy Przenajświętszej: Amon przedstawia „Boga Ojca", Ptah „Logos", Kneph zaś „Ruach Elohim" [3]. W papyrusie Leydejskim (Nr. 300) czytamy: „Trzech (bogów) było początkiem wszystkich bogów — Amon, Ra i Ptah, ich narzędzie — zakrytem było jego nazwisko jako Amon — on jest wiecznością, a nieskończonością jest Ptah, miasta ich zbudował Ra — Teby i Anu są (jeszcze) na swych pierwotnych miejscach — oko Uzata na niebie jest (obroną) dla Anu — towarzyszem jego jest Ptah budowniczy, boska osoba (osoby) o pięknem wejrzeniu — co się znajduje napisane na zwojach — taką miasto Amona zawiera treść tegoż". Treść tego ustępu nie jest jasną ani zrozumiałą, zapewne nie była dość zrozumiałą dla samych kapłanów. Pierwotne pojęcia, możebnie objawione, traciły z biegiem czasu na swej czystości i przejrzystości; jednakże egiptologowie, zestawiając liczne urywki tych podań, wydobywają z nich treść, która rzuca wiele światła na dogmaty teologiczne Egipcyan. Dr. Fischer[4] przy rozbiorze hymnu, z którego podaliśmy wyżej jeden ustęp, pisze: „Cały hymn skierowany jest do Amona, którego samoistność, jedyność i wspaniałość uwydatnioną jest w przeciwstawieniu do innych, tak zwanych, bogów. On jest, który jest w sobie, „zakryty, pełen tajemnic", wieczny Bóg, i jako taki zowie się Amon. Na początku jednak czasów wyłonił się ze swego ukrycia i objawił się w przyrodzie, szczególniej w słońcu i pod tym względem nazywa się Ra. O ile zaś swym rozumem i wszechmocą świat stworzył i kształty mu nadał, nazywa się Ptah. W Amonie tedy mamy wnętrzną zakrytą istotę, czyli pierwotną treść bóstwa, w Ra jego objawienie się na zewnątrz, w Ptah'u zaś jego twórczą,

---

[1] *Thoth.* S. 18—20; *Aeg. Alterth.* II, 155.
[2] *Harmonikale Symbolik des Alterthums,* II, 316 ff.
[3] Dr. Fischer. *Heiden. u. Offenb.* Mainz, 1878, S. 292.
[4] Loc. cit. str. 291.

świat urabiającą działalność, z pomocą której toż objawienie dokonanem i uosobionem zostało. W Ptah'u przeto czcili Egipcyanie „Demiurga", dlatego przedstawiali go siedzącego na kole garncarskim i tworzącego jajo z napisem: Ojciec początków, poruszający jajo słońca i księżyca... Bóg wyższego świata" [1]. Maspero, doskonały znawca języka i starożytności egipskich, w uderzający sposób streszcza pojęcia religijne o Trójcy starych Egipcyan; powołujemy się tem chętniej na jego świadectwo, iż jest znanym ze swych skrajnych przekonań racyonalistycznych. „Jedyny co do istoty, mówi Maspero [2], trojaki jest w osobach. Jest ojcem tem samem, że jest, a moc jego jestestwa jest taka, iż rodzi od wieków bez wyczerpania. Aby zostać płodnym nie potrzebuje wychodzić poza siebie, w sobie samym znajduje możność rodzenia wiecznego. Jedyny, pełnością swej istoty poczyna swój owoc, a ponieważ poczęcie w nim nie może różnić się od porodzenia, od wieków wydaje w sobie podobnego samemu sobie. Jest więc zarazem ojcem, matką i synem Bożym. Te trzy osoby poczęte z Boga, rodzone w Bogu, nieodłączne od Boga, są Bogiem w Bogu, nie rozłączają jednak jedności, lecz stanowią nieskończoną

[1] Dr. Fischer w ten sposób kończy swe zapatrywania na Trójcę egipską: Die trinitarische Gottesidee erhielt sich wenigstens in der Geheimlehre der ägyptischen Priester bis in die spätere Zeit; denn Jamblichus sich auf dieselbe berufend sagt, dass „der weltbildende Gedanke (ὁ δημιουργικὸς νοῦς), der Vorsteher der Wahrheit und Weisheit, wo er zur Erschaffung der Dinge geschritten ist und die unsichtbare Kraft der verborgenen begrifflichen Maase an's Licht geführt hat, nach ägyptischer Ausdrucksweise mit dem Namen Amon bezeichnet — als kunstgerecht und die Wahrheit jegliches Ding vollbringend Phtha — indem er das Gute thut endlich aber Osiris genannt worden sei, auch um anderer Kräfte und Wirkungen willen noch andere Namen erhalten habe". (De myster. 8, 3). Das stimmt offenbar zu dem oben citirten alten Leydener Papyrus, nur dass später an die Stelle des Ra Osiris getreten ist. v. Thimus bemerkt dazu: „Die drei allegorischen Göttergestalten Osiris, Amon und Phtha bedeuten, wie man sieht, in der Symbolik der — zwar bereits in ein mythologisches Gewand gehüllten — vergleichsweise aber noch reineren, in ihren Grundzügen dem uralt überlieferten Glaubensschatze näher stehenden, älteren Priesterlehre Aegyptens nur drei verschiedene Prosopen eines und desselben ewigen und unvergänglichen, die Welt durchdringenden schöpferischen und belebenden Gottesgedankens". (Harm. Symb. II, 316). Dr. E. L. Fischer (Heiden. u. Offenb. Mainz 1878, S. 293.

[2] Loc. cit. 2 edit p. 27—28

doskonałość. Ten Bóg jedyny w Istocie a trojaki w Osobach, posiada wszystkie przymioty Boga: niezmierzoność, odwieczność niezależność, wszechwładną wolę, nieograniczoną dobroć".

Kult zewnętrzny, w którym politeizm z panteizmem dłoń sobie podali, brany był zapewnie konkretnie przez lud, lecz dla uczonych kapłanów mógł mieć tylko znaczenie symboliczne [1]. Księgi ich teologiczne głosiły jedność Istoty Najwyższej, jedność tę wyznawali w hymnach śpiewanych podczas uroczystości [2], jak zaś postępowali w nauczaniu ludu, czy starali się mu przekazać czystość nauki — niewiadomo; prawdopodobnie utrzymywali go w błędnych mniemaniach, wtajemniczeni tylko posiadali rzeczywiste pojęcie. Takie jest zdanie Lenormant'a „Religia chrześcijańska, jedynie pisze on [3], wszystkim objawioną została; pomimo głębokości swych dogmatów stała

---

[1] Sam kształt bożków, pisze Pierret, dyrektor muzeum egipskiego w Luwrze, dowodził, że nie należy ich uważać za istoty rzeczywiste. Bożek przedstawiony z głową ptaka lub czworonożnego zwierzęcia może mieć tylko znaczenie przenośne, lew z głową ludzką, zwany sfinksem, nie był uważany za rzeczywiste zwierzę. Wszystko to jest hieroglifizmem. Rozmaite osobistości panteonu przedstawiają czynności boskie, Boga jedynego i ukrytego, który pod każdym z tych kształtów zachowuje swą tożsamość i pełność swych przymiotów... Znamieniem odróżniającem religię egipską od innych jest właśnie ta cecha, iż przedstawiając się napozór politeistycznie w istocie swojej jest monoteistyczną. (Essais sur la mythologie égyptienne, Paris 1879, p. 6).

[2] W hymnie na cześć Nilu śpiewano:

Żyje odwiecznie...
W swem imieniu
Jako słońce każdodzienne...
Jest Horus'em dusz
Bogiem żyjącym...
Bogiem Memfisu,
Bogiem żyjącym...
Ammon jest jego obrazem,
Atum jest jego obrazem.
Szepra jest jego obrazem,
Ra jest jego obrazem.
Jest jedynym,
On sam siebie uczynił
Milionami dróg...
Żyje odwiecznie...
Jest pełnią życia.

Ob. H. Brugsch, *Reise nach der grossen Oase El Khargeh*, Leipzig, 1878 p. 49—52.

[3] Hist. anc. de l'Or., t. III. p. 172.

się dostępną dla wielkich i małych, dla prostaczków i uczonych, albowiem ona tylko jest prawdą odwieczną, rozciągającą się na cały rodzaj ludzki. Rzecz się ma inaczej z błędnemi religiami w starożytności. Co było wzniosłego, rzeczywiście filozoficznego, pozostawało zakrytem dla ogółu; kapłani jedynie i małe grono uczonych byli wtajemniczeni w te prawdy".

„Księga zmarłych", zapoznaje nas również z wiarą w życie pozagrobowe. Wspomnieliśmy już porzednio o wierze ich w nieśmiertelność duszy; rodzaj i sposób budowania ich grobowców naprowadzały nas również na myśl, iż wierzyli w zmartwychwstanie ciał, księgi teologiczne nie zostawiają już żadnych wątpliwości pod tym względem. „Księga zmarłych" opisuje sąd pośmiertny, niebo, czyściec, piekło; do tekstu dołączone są często na papyrusach rysunkowe szkice, przedstawiające te przejścia. Dusza wyobrażona jest w kształcie skrzydlatego ptaka z głową ludzką; na jednym z papyrusów przedstawiona jest taka dusza przybywająca do swego ciała, aby się z nim połączyć. Ciało przemawia:[1] „Niechaj połączę ze sobą duszę moją świetlną w przybytku pana tchnień (życia); nie wydawaj rozkazu stróżom niebios, co się mnie tyczy, do zniszczenia aby dusza moja nie odwróciła się od trupa mego i aby oko Horusa, które jest z tobą, nie odstręczyło się od przygotowania mi drogi". „Egipcyanie, mówi Lenormant[2], zajmowali się przedewszystkiem losem, jaki ich oczekiwał w życiu przyszłem... Największa część obrzędów pogrzebowych, różne powijaki mumii, malowidła wewnętrzne i zewnętrzne trumny odnoszą się do różnych stanów przejściowych zmartwychwstania, mianowicie przywrócenia giętkości członkom, odzyskania działalności organów, powrotu duszy".

Wszystkie te pojęcia religijne Egipcyan nie były, jak chcą ewolucyoniści, owocem powolnego rozwoju i doskonalenia się, lecz takiemi były od najdawniejszych czasów. Mariette przyznaje, że pomniki z III. i IV. dynastyi stwierdzają monoteizm. Inny egiptolog, de Rougé, jest również tego samego zdania: „Czy te piękne nauki[3], (mówi tu o tekście papyrusowym, któryśmy wyżej przytoczyli) uro-

---

[1] Księga umarłych roz. LXXXXI.

[2] Ob. t. III. pp. 176, 227.

[3] *Conférence sur la religion des anciens Egyptiens* pp 12, 17, 26.

biły się dopiero z biegiem czasu? Żadnym sposobem, albowiem istniały one dwa tysiące lat i więcej przed epoką chrześcijańską. Przeciwnie politeizm, źródła którego wykazaliśmy, rozwijał się i szerzył bez przerwy aż do czasu Ptolemeuszów. Pięć tysięcy lat temu śpiewano nad brzegami Nilu hymn o jedności Boga, a w ostatnich czasach Egipt popadł w rozkiełznany politeizm". Zdania bardzo poważnych badaczy skłaniają się ku temu twierdzeniu [1], przytoczymy tu jedno niepodejrzanej wartości, mianowicie E. Reclus'a, który, jak wiadomo, jest nieprzejednanym wrogiem chrześcijaństwa: „Ruiny okrywające mury grobowców i świątyń, pisze on [2], z pierwszych czasów historyi egipskiej, wskazują, że filozofia Egipcyan była ludzką i rozumną, nie była zupełnie podobną, według Mariette'a, do mistycznego fetyszyzmu, który okazuje się w Tebach w dwadzieścia wieków potem; najstarsze czasy są zarazem najdoskonalsze pod każdym względem".

Wśród takiego to otoczenia wyrośli synowie Jakóba i rozrośli się na mnogi i potężny lud. Wszystkie opowieści Mojżesza, tyczące się pobytu a szczególnie wyjścia z Egiptu, tak się nadają do dziejów tego kraju, iż zdają się kartą wykrojoną z jego historyi: żadnego niema tam zdarzenia, żadnego szczegółu, któryby nie odpowiadał obyczajom i zwyczajom Egipcyan, któryby nawet nie znachodził analogicznych zajść w kronikach współczesnych tego ludu. Wykopaliska egipskie nie dostarczyły nam dotąd bezpośrednich dowodów pobytu Izraelitów w Egipcie, jakkolwiek Dr. Lauth twier-

---

[1] Ein einziger Gott, der sich selbst erzeugt hat und die Quelle seines eigenen Seins ist, der doppelte Gott, zugleich sein eigener Vater und Sohn, der das heute, das gestern und morgen und „ich bin, der ich bin", ânukpu ânuk genannt wird, tritt uns kentlich aus den theologischen Schriften der alten Aegypten entgegen; freilich so dicht umdrängt und so tief beschattete von den zahllosen und bunten Gestalten der reichen Götterwelt des Nilthals, dass sich seine Wesenheit von dem Exoteriker nur schwer erfassen und erkennen lässt. Das Todtenbuch, Sarkophag und Steleninschriften bieten für die Forschung auf diesem Gebiete ein reiches Material. Ebers *Durch Gosen zum Sinai* p. 528. Ob. również Lepage Renouf *Lectures on the Origin and Growth of religion as illustrated by the Religion of ancient Egypt* London 1880, p. 217—230; G. Rawlinson *History of ancient Egypt*, 2 in 8°, London, 1881, t. I. p. 315, 320; E. Grébaut, *Des deux yeux du disque solaire*, w *Recueil de travaux rélatifs à la philologie égyptienne*, 1870, t. I., p. 120.

[2] Nou. Géogr. Univ., vol. X., p. 465.

dzi [1] iż imiona Mojżesza, Aarona i inne są wymienione na „Serapeum-Stela“, sądzimy iż roztropniej jest czekać jeszcze na potwierdzenie i dokładniejsze wyjaśnienia. Brak ten pozytywnych dowodów tłumaczy się tem, że wszystkie większe grody na Delcie, gdzie właśnie przebywali Izraelici, nie były dotąd badane; w ostatnich dopiero latach (1883) Edward Naville, wysłany kosztem stowarzyszenia *Egypt-Exploration-Fund* w celu poszukiwań biblijnych, wynalazł starą siedzibę Izraelitów *Pithom-Sokkot* w ziemi Ramsesa, czyli w ziemi Gessen.

Dotychczasowe nabytki naukowe w Egipcie stanowią dla egzegezy biblijnej bogaty materyał: dozwalają odeprzeć zarzuty racyonalistów, rozwiązują wiele punktów spornych, i wyświecają znaczenie wydarzeń zwięźle opowiedzianych w Piśmie św.

X. W. Zaborski.

[1] Moses-Hosaryphos-Salichus, 1879.

O WOLNOŚCI NAUCZANIA.

Nigdy ludzkość nie staje się więcej uległą, jak kiedy się potrafi w nią wlać przekonanie, iż nikomu nie ulega, a raczej sama sobie rozkazuje. Wtedy poddaje się ona jarzmu praw i przepisów, którychby najśmielszy despota wydawać i wykonywać nie śmiał. Jak tylko zdaje się, że naród sam czegoś wymaga, wtedy każde prawo wydaje się znośne, każda ustawa dobra. *L' homme se pipe*, powiedział Montaigne, i prawdą to jest w tym razie najzupełniejszą. Jak kilku, kilkuset lub wreszcie i kilka tysięcy ludzi na jedno hasło krzyknie, zdaje się iż to głos narodu. Naród jestto wielka liczba rozrzuconych, nie wiele o sobie wiedzących ludzi; a im większa, tem trudniej przypuścić, by mogła dać rzeczywisty wyraz swej woli, choćby przez głosowanie. I dlatego wyraz: w o l a n a r o d u jest najczęściej kłamstwem, a zwierzchność jego, *la souveraineté du peuple*, jest drugiem. Czy w te wyrazy wierzyli ci co je ukuli, to im chyba ich sumienie powie — ale uwierzyła większość ludzi, a kto wierzyć nie chciał, tego sprzątnięto.

Tak się w wieku zeszłym stało i skutki tego, co się stało do dziś dnia dźwigamy. Uczyniła to mianowicie rewolucya francuska, która, niepodobna w tem do żadnego innego na świecie wypadku, świat ogarnęła, ogarnęła niemal tak, jak ogarnęło go chrześcijaństwo. Wiemy dobrze, że się ona nie skończyła: za dni naszych słyszymy, jak pod jej naporem trzeszczą już w swoich podwalinach anglosaksońskie, niespożyte dotąd społeczeństwa na obu półkulach. Inne kraje Europy już zdobyła rewolucya, jedne zupełniej, drugie mniej zupełnie. Niektóre, jak monarchia austryacka w szczególności, zdają się jej do zdławienia i strawienia trudne. Od przeszło lat stu na-

poczyna ją duch rewolucyi, a jeszcze całość opiera się i dość poważnie stoi. Zasługa to staro-katolickiej dynastyi, tak jak w Prusiech zasługą jest szlachty brandeburskiej i pomorskiej, której obok wielu przywar nie brak dzielności. Niemniej i jeden i drugi z tych krajów ciężkie już od rewolucyi odebrał cięgi, a po równi pochyłej, na której stoi nie prędko może ale niechybnie stoczy się we wspólną przepaść, jeśli się nie zabije potężnych pali do powstrzymania tego ruchu, a czyż jest zapora inna jak Kościół?

Nie od dzisiaj wiadomo, a przecież nie tak bardzo ogólnie wiadomo by wadziło przypomnieć, że ludzkość od spekulacyi idzie do praktyki — innemi słowy, że z systemów naukowych rodzą się czyny tym systemom odpowiednie. Jeśli tego może ogół nie wie, lub nie uważa, to przyznać trzeba Encyklopedystom wieku zeszłego, że to wiedzieli; a z drugiej strony podziwiać trzeba, jak dalece społeczeństwo tegoż wieku zwłaszcza francuskie o tej prawdzie nie wiedziało, jak dalece zdawało mu się, iż te nowe systemy są tylko doskonałą i dowcip kształcącą zabawą dla gabinetów i salonów. *Venit diluvium et tulit omnes.*

Mniejsza jeszcze o to, bo jak Rusin mówi: „raz maty rodyła“ a wiele z ofiar zginęło i mężniejszą i sławniejszą śmiercią, niż ta któraby je była spotkała w zwykłym rzeczy trybie; gorsze to że razem z osobami zginął niemal cały skarb, cały zasób dawnej wiedzy społecznej, niejako morzem piasku rewolucyjnego zasunięty. Zostałci skarb jeden, na wieki niepożyty ani zmniejszony ani skalany, skarbiec wiary. Ale kościół który go strzeże a z nim razem i całą starą społeczną wiedzę przechowuje, odsunięty przemocą od wszelkiego na sprawy ludzkie wpływu — gdy od czasu do czasu widzi potrzebę pouczenia społeczeństwa w tem co się spraw ludzkich tyczy i odezwie się czy Syllabusem r. 1865, czy ostatniemi obecnego Papieża encyklikami, to i lepsi nawet w społeczeństwie zcicha szepczą: *Ne sutor ultra crepidam,* co też o tem mogą księża wiedzieć? — a ogół mniema, że niepodobna z tymi rozprawiać, co potępili nowoczesną cywilizacyę w ostatnim artykule Syllabusa.

Czas prędko idzie; mało kto z młodych nawet wie o Syllabusie, a ileż to nań było wrzawy, ileż zacnych nawet ludzi krzyczało nań, i to tem głośniej im go mniej czytali a z małej liczby tych, którzy go czytali, jak niewielu czytało go gruntownie; a zaprawdę, kto

go nie czytał niech odczyta. I z niego też wezmę assumpt do uczynienia kilku uwag w sprawie nauki i jej swobody, a jeśli to czyni taki, któremu zarzucić można, że jej niedużo posiada, to niech mu będzie za wymówkę, że uczeńsi milczą.

Potępionemi zostały w Syllabusie, między innemi zdania:

„W naszych czasach, już nieodpowiednią jest rzeczą, żeby religia katolicka była jedyną religią państwa, z wykluczeniem wszystkich innych kultów".

„Nie jest prawdą żeby państwowa wolność wszystkich wyznań, oraz nieograniczona dla wszystkich swoboda wypowiadania otwarcie i publicznie wszelkich zdań i opinij, miały wpływać na większe zepsucie obyczajów i umysłów narodu i na szerzenie plagi indyfferentyzmu" [1].

Pamiętam dobrze te zdania — może właśnie dlatego, że to potępienie najwięcej oburzyło. Tymczasem jakże Kościół miał inaczej orzekać? Wszak twierdzimy i wierzymy, że on jeden pełnię prawdy posiada: jeśli wogóle istnieje prawda, a tak przecież wierzymy, toć niepodobna nie przyznać, że ma wszelkie prawa bytu, a to co nie jest prawdą czyli fałsz nie ma żadnego prawa do bytu, a jeśli jest to jest nieprawnie. Innemi słowy: w społeczeństwie nawskróś chrześcijańskiem błędy nie mają prawa być głoszonemi, a ci co nad tem społeczeństwem przełożeni są, czy to jeden czy wielu, winni są potęgą swoją głoszenie błędów tłumić.

Inaczej jednak rzecz się ma, gdy ludzie czy innego szczepu i wiary czy tylko wyznania osiedlili się bez oporu wpośród katolickiego społeczeństwa. Nabywają oni pewnych praw obywatelstwa, z czasem coraz większych, i praw tych raz nabytych ścieśniać nie wolno, a tem mniej już zasiedziałych wyganiać. Prawo np. osobnych domów bożych, prawo posiadania szkół własnych, prawo nabywania ziemi, prawo przypuszczania do urzędów, prawo przebywania wszę-

[1] Aetate hac nostra non amplius expedit religionem catholicam haberi tanquam unicam status religionem, ceteris quibuscumque cultibus exclusis.

Enimvero falsum est, civilem cujuscumque cultus libertatem, itemque plenam potestatem omnibus attributam quaslibet opiniones cogitationesque palam publiceque manifestandi conducere ad populorum mores animosque facilius corrumpendos ac indifferentismi pestem propagandam. *Syllabus.* th. 77 et 79.

dzie i t. d.; wszystkie te prawa mogą z wszelką słusznością nie być udzielane innowiercom, ale raz udzielone bądź wyraźnie bądź przez długoletnie przyzwolenie, cofnięte być słusznie nie mogą. I tak Polacy wczas wiele praw i łatwo Żydom przyznali, i gdyby dziś mogli i chcieli, uczyniliby niesprawiedliwie, odbierając im te prawa.

Nauka i religia tak się ze sobą ściśle z natury swej łączą, iż trzeba było dziwnych sofizmatów, by je od siebie odłączyć. Z natury bowiem działanie obu jest na jeden podmiot a tym jest dusza ludzka. Nie można więc, bez tworzenia strasznego chaosu w tej duszy, wpuszczać do niej to co się zowie po łacinie *incompatibilia* a po polsku może sprzeczności. I w tym sensie rewolucyoniści są przynajmniej konsekwentni, gdy całkiem religię ze szkół wyrzucić usiłują, żeby, jak mówią: nie było rozdarcia w duszy młodzieńczej. Jeśli więc żądam wolności sumienia dla katolików, w imię odwiecznej prawdy, a wolności sumienia dla innowierców, o ile jej prawnie nabyli, nie grzeszę przeciw orzeczeniu Syllabusa; a gdy za wolnością sumienia mówię, tem samem mówię i za wolnością szkoły.

Prawo nauczania większość nowożytnych pisarzy i nauczycieli w materyach prawa publicznego, a stąd i większość mężów stanu uważa za należące do tak zwanych *Hoheits* lub *Majestäts Rechte* i windykuje to prawo całkowicie dla panującego lub panujących (bo o formę rządu w tej chwili nie idzie). Czemże są te *Hoheitsrechte?* Dziwna to rzecz, ale nic łatwiejszego jak za pomocą świeżo ukutego słowa fałszywe szerzyć pojęcia; wystarcza rzucić niem kilkaset razy z katedry, z trybuny, z dziennika, a przyjmie się — może tem łatwiej, im fałszywsze z niego pojęcie wypływa. Niema się o co kłócić kiedy to wyrażenie *Hoheitsrechte* powstało, (zapewne w czasach tak zwanego oświeconego absolutyzmu); dość że istnieje, a zdaje się wskazywać, iż panujący posiadają pewne prawa, których reszta ludzi nie posiada. A przecież to fałsz oczywisty: panujący innych gatunkowo *(qualitative)* praw, jak reszta ludzi mieć nie mogą, inaczej byliby czemś innem niż ludzie; panujący mogą tylko mieć, jak wszyscy ludzie, prawa naturalne i prawa nabyte. Prawa panujących ilościowo zapewne różnią się niezmiernie od praw ludzi pojedyńczych, czyli każdego tych praw używają panujący w daleko większej rozciągłości, ale gatunkowo są one te same, jak te same są jednych i drugich obowiązki. Jednego prawa monarszego, które-

goby na mniejszą skalę nie używał i inny człowiek, przytoczyć nie można. Prawo kary i łaski, prawo własności, wojny, przymierza, prawo obrony własnej lub cudzej, — wszystkie te prawa przysługują na mniejszą skalę ludziom pojedyńczym, na większą panującym. Nawet i karę śmierci wykonuje i sprawiedliwie w obronie własnej i cudzej pojedyńczy człowiek, a panujący także wykonuje ją w obronie własnej, gdy każe wieszać zdrajcę stanu, i w cudzej, gdy zwykłego mordercę każe; nawet pieniądze wydają nietylko panujący, ale i prywatni, bo czemże są weksle, assygnacye, znaczki dla robotników i t. d.; każdy wie, że weksel Rotszylda jest akurat tyle wart, co sztaby złote w piwnicach banku państwa.

I obowiązki panującego nie są gatunkowo inne, niż reszty ludzi, ale tylko ilościowo. Każdy gospodarz winien swej czeladzi opiekę — nie tylko panujący swym poddanym; każdy pan swym sługom winien wymiar sprawiedliwości — nietylko książe; każden swoich i nawet obcych pouczać winien, nie tylko panujący; każdego obowiązują odwieczne prawa miłości, słuszności i sprawiedliwości, i króla także. Czemże są więc te *Hoheitsrechte?* Jeżeli się je pojmuje, jako szerszą miarę praw pospolitych, zgoda; jeżeli się w nich widzi coś *sui generis*, to są tylko fałszem, a fałszem — wielce niebezpiecznym. Raz bowiem stanąwszy na tym punkcie, że mogą być, istnieć prawa wyłącznie przysługujące panującym, a innym ludziom nie, zginęła wszelka możność ustanowienia granicy tych praw. I stało się, bo stać się musiało, iż panujący (jednostkowi czy zbiorowi) przekroczyli granicę praw swoich. Zależność bowiem człowieka od człowieka — a człowiekiem przecież jest panujący, jedno lub wieloosobowy — nie może być według odwiecznego przyrodzonego prawa, inną, jak tylko tyczącą się rzeczy fizycznych, dotykalnych; może być zależnością co do płacenia pewnych danin, pewnych posług nawet wojennych, zależnością co do sposobu posiadania własności nieruchomej, ale nie może być wbrew przyrodzonemu prawu zależnością ludzkiego ciała a tem mniej ludzkiego ducha, bo te do człowieka każdego należą. Żadnym więc sposobem panujący nie może sobie rościć prawa do wyłącznego nauczania, według norm przez siebie ustanowionych lub sankcyonowanych. I żaden tego nie czynił przed rewolucyą francuską (biorę tu peryod w szerszem znaczeniu) a po niej w przedkonstytucyjnych czasach, jedne tylko Prusy za-

prowadziły razem z monopolem szkoły państwowej gminno-szkolny naukowy przymus.

Społeczeństwa europejskie porewolucyjne, zapatrzywszy się z zazdrością na angielską konstytucyę, a niepomne jak drogo Anglia za nią zapłaciła, niepomne, że współczesne instytucye to nie drzewka co przesadzić się dają, zapragnęły podobnych, jedne mniej, drugie więcej gwałtownie. Monarchowie europejscy, z małemi wyjątkami, w chwilach ciężkich przejść, poustępowali części praw swych rzeczywistych i sprawiedliwych, na rzecz zgromadzeń z wyborów powstałych. Czy i o ile dobrych i wiernych mieli doradców co do sposobu formowania tych ciał parlamentarnych, to praktyka pokazuje; dość że istnieją i istnieją prawnie — tak dalece, że trudno przyznać jakiemubądź monarsze prawo kasowania raz danych konstytucyj, boć to są zobowiązania prawne, dobrowolnie uczynione, a więc wiążące panującego jak każdego innego człowieka. Ale czego także nie może uczynić panujący, gdy swojem i swych następców imieniem odstępuje pewnych części swych praw parlamentowi, to tego by odstąpił więcej niż ich sam miał, bo jakże ktoś prawnie może dać więcej niż posiada? Jeśli nie miał panujący prawa wyłącznego nauczania przez ustanowione od siebie organa — a mieć go nie mógł tylko *via facti* — jakim sposobem może parlament takie prawo ustanowić? Po buntowniczemu to niby brzmi, a zwłaszcza z ust posła sejmowego, aleć wiemy dobrze, że artykuły zasadnicze nie są żadnym niewzruszonym kodeksem, zależą poprostu od dwu trzecich większości w izbie i monarszej sankcyi; wiemy zresztą dobrze, iż prawa przez ludzi zrobione, ludzie inni znoszą, i na to buntów niepotrzeba; jedne tylko prawa naturalne mogą być nadwerężone, obrażane, ale znieść się nie dają, bo są wprost Bożego początku; stworzył je Bóg z człowiekiem i w człowieku. Nie jest więc żadnym buntem przeciw konstytucyi starać się o usunięcie tego lub owego artykułu ustawy środkami legalnemi, nie jest też to *resistere principi legitimo*, czego Syllabus w innym artykule zakazuje.

Prawa nawet obowiązku starania się o dobrą i zdrową naukę nikt panującemu albo delegowanym od niego parlamentom przeczyćby nie śmiał, boć ten obowiązek ma nawet każdy żyjący człowiek; każden obowiązany jest w swojej sferze zdrowo i dobrze nauczać, a cóż dopiero panujący. To prawo jest tylko, jak każde monarsze

prawo, w rozciągłości daleko szerszej, niż u reszty ludzi. Mianowicie zdaje się, że jest rzeczą panującego baczyć przez odpowiednie ustawy by do zajęć publicznych przypuszczani byli tylko ludzie do nich zdolni, i to nietylko w sferze czysto urzędniczej czyli w sferze sług monarszych (boć sług nawet prywatny dobiera jak chce), ale i w sferze ludzi czyniących zadość pewnym potrzebom społeczeństwa, jak doradcy prawni, lekarze wyżsi i niżsi i t. d. Zatem służy panującemu pewne prawo zakładać Uniwersytety i stanowić o egzaminach dla tych, którzy pewne zajęcie bliżej społeczność obchodzące obrać zamyślają — stanowić w jaki zakres wiadomości urzędnicy jego mają być zaopatrzeni. Ale w żaden sposób nie może panujący mieć prawa skonfiskowania, że tak powiem, nauczania i dozwalania go tylko pewnym osobom. Jeszcze mniej można rozumieć, jakim sposobem można dekretować jednocześnie niewolność nauczycieli, to jest zależność ich prawa do nauczania od dozwolenia ich władzy i wolność nauki, czyli wolność szerzenia wszelkich błędów byle przez patentowanych. Na to trzebaby albo: by panujący miał przywilej absolutnej prawdy, a tego nie chcą nawet papieżowi przyznać — albo: żeby błędy nie istniały, a więc, żeby i prawda nie istniała. Niemniej w odpowiednim artykule naszych ustaw państwowych stoi wyraźnie: „Nauka jest wolna“, a zaraz potem: „Wykonywanie nauczania jest dozwolone, jeśli się do tego uzyska upoważnienie od rządu“. I to wszystko wobec nieograniczonej prawie wolności prasy, a więc prawa nauczania nie z katedry ale z gazety! Tak trzy fałsze niemal ze sobą wojujące spisano obok siebie, niebacząc nawet, iż się wzajemnie sobie sprzeciwiają. My, którzy uznajemy odwieczną prawdę, a co nią nie jest, fałszem zowiemy, nie możemy się na to zgodzić i sumienie nakazuje nam starać się, rozumie się że legalnemi zawsze środkami, o odpowiedniejsze prawu natury ustawy. I nie będzie to postępem ale powrotem, bo postęp istnieć może tylko w wynalazkach ludzkich czyli w odkrywaniu i przystosowywaniu od wieków istniejących praw przyrody; tak samo, jak prawda sama w sobie, prawo jedno jest i postępu nie zna, jak go nie zna Bóg, bo jest doskonałym. Co wogóle ale niesłusznie nazywają prawami i prawem, to są *codices*, zbiory ludzkich ustaw, rozporządzeń i urządzeń — znikome jak twórcy ich, do czasu tylko obowiązujące.

Spotkamy się tu naturalnie z zarzutem, iż szerzenie oświaty jest tak niezmiernie ważnem, że trzeba mu poświęcić bodaj nawet część przyrodzonej wolności osobistej, by dobro oświaty jak najprędzej wszystkim udzielonem być mogło, że władza posiadając największe środki najprędzej do tego upragnionego doprowadzi celu Powiedzą także a nietylko powiedzą ale już na wszystkie tony i ze znacznym niestety skutkiem mówili — że długoby jeszcze noc panowała, gdyby gwałtem nie rozpraszać ciemności, że opór ciemnych rodziców zagradza dzieciom świat, że więc w imię dobra ogólnego oświatę szerzyć należy nawet przymusem. Ci sami, którzy tak mówią znajdują jednak, iż to było szczytem fanatyzmu krzewić przymusem wiarę, która się ma za jedynie prawdziwą i do wiecznego szczęścia wiodącą (czemu i my nie przeczymy i z Ojcami Kościoła przyznajemy, iż było zdrożną przesadą), — milczą jednak o tem jak do fałszu w wierze nakłaniano również przymusem, i to nierównie bezwzględniej, jak historya uczy.

By odpowiedzieć na te zarzuty najprzód wypada powiedzieć: *non sunt facienda mala ut evenient bona;* nie może być prawo kardynalne wolności osobistej człowieka nadwerężone dla dobra ogólnego, choćby najwyższego. Jeśli nie można powiedzieć: *compelle intrare* do Kościoła, jakżeż ma być wolne *compelle intrare* do szkoły? Starszy to pan ojciec niż książe, czy z towarzystwem parlamentu, czy bez niego; i jakże mógł stanąć między ojcem a dzieckiem? Lepszy to znawca i opiekun swych dzieci ojciec niż urzędnik; i jakiemże prawem ma rozporządzać jego dziećmi? Żadne względy utylitarne nie wytrzymają porównania z temi względami najwyższemi.

I przypatrzmy się, jaką drogą ludzkość doszła do tego bogactwa wiedzy jakiem się szczyci nie bez pewnej słuszności wiek nasz. Czy drogą urzędowego a u dołu przymusowego nauczania? Wiemy, iż wprost przeciwnie, a widzimy, iż jeden z pierwszych narodów na świecie, angielski, urzędowego nauczania do niedawna nie zaznał. Ale prawda, Anglia ma ocean po wszystkich bokach, więc wszystko co w niej dobre, musi być gdzieindziej złe. Cytują niektórzy z tryumfem Prusy: Oto, powiadają, światem niemal zawładnęły za pomocą szkoły urzędowej i przymusowej! — Tam się po większej części chowałem, więc ten kraj nieźle znam i zaręczyć mogę, że się wielce mylą ci,

którzy szkołom przypisują główną powodzeń militarnych pruskich przyczynę. Przyczyną główną tych powodzeń jest szlachta pruska przez mądrych monarchów szanowana a wzajem do nich przywiązana, dumna nieznośnie, twarda do okrócieństwa, rozkazywania chciwa, ale i do poświęceń zdolna — szlachta pomna, że jest od tego by piersi nadstawiać za ojczyznę i króla, szlachta, której każde pokolenie służy i bije się, i dlatego dostarczająca korpusu oficerskiego, z którym żaden inny porównać się nie da. Przyczyną drugą jest lud dziwnie karny, bo w domu rodzicielskim wychowany w karbach posłuszeństwa. Przyczyną trzecią skromność potrzeb u wszystkich, od króla począwszy, żywot twardy a mierny, surowość i skromność obyczajów. Co do tej ostatniej zaśmieją się ze mnie ci, którzy wiedzą coś o rozpuście berlińskiej i wrocławskiej, o zdziczeniu motłochu berlińskiego, o niepohamowanych przez doskonałą policyę kradzieżach i rozbojach. Ale im przypomnę, jeśli im historya z pamięci wyszła, że najwyższy rozkwit narodu w pomyślności zewnętrznej nie przypada nigdy na chwilę jego zasługi, ale nieco później, że tylko przytoczę Francyą, której rozkwit moralno-wewnętrzny przypada na epokę Henryka IV. i Ludwika XIII., a zewnętrzny dopiero na Ludwika XIV. Podobnie w Prusiech: panowanie Fryderyka Wilhelma III. i tak ciężko spotwarzonego a tak szlachetnego Fryderyka Wilhelma IV, przygotowało rozkwit potęgi za obecnego cesarza.

Z doświadczenia lat młodych powiedzieć mogę, iż młodzież po szkołach średnich chowana bez guwernerów i dozorców (a do niej i ja należałem) czystsza była co do obyczajów niż dzisiejsza nasza przy guwernerach, a to z tej prostej przyczyny, że naokoło siebie mało widziała złego przykładu. A jeśli co Prusy zgubi, to może ich zwycięstwa i ich nauka i głównie ta ostatnia, bo fałszywe systemata filozoficzne do fałszywych teoryj państwowych prowadzić muszą — ba — doprowadziły!... Co nas w Prusach dziś oburza, co nam wstrętne, to ta wszechpotęga państwa bezwzględnie się rozpierająca; to owoc posiewu Kanta i Hegla i ich epigonów, — ta teorya nas z Poznańskiego wygania, ta sprawia fakt w dziejach chrześcijaństwa niesłychany, by kto autochtonów śmiał rugować z ich siedzib, nie Maurów lub Żydów przychodniów, ale odwiecznych tubylców. Oto jeden z owoców urzędowej nauki!... Może

się zadługo przy Prusach zatrzymałem, ale też zbyt długo jak nam zwolennicy urzędowego i przymusowego nauczania, Prusami w oczy ciskają.

Z innej strony stawiają nam przed oczy drugi kraj, w którym rozwinęła się w ostatnich czasach wolność nauczania tj. Francyę; po której sądzićby można, że z tego sposobu niema co dobrych wyglądać skutków. Najprzód zauważyć trzeba, że ta wolność niedawno tam wprowadzona, w tak krótkim czasie jeszcze wielkich owoców wydać nie mogła; a potem, czyż można się spodziewać prędko dobrych skutków po najlepszych nawet systemach nauczania, w społeczeństwie tak nawskróś strutem jak francuskie, gdzie dobre nawet zasady muszą się w bezwstydną suknię przebierać (Figaro), by ich kto słuchał, gdzie ogółem mówiąc — nietylko miłości Boga ale nawet ojczyzny, miłości piękna już prawie niema! Ale rewolucyoniści owoców z tej nowej gałęzi nie czekają, boby im mogły być gorzkie; już w naszych oczach pęd główny wolnego nauczania ludowego podcinają. W naszym wieku, w którym konkurencya na każdem polu tak daleko zachodzi, dziwna rzecz, że na tem polu konkurencyi się boją. A przecież wiemy, iż jest ona niezaprzeczonym bodźcem do doskonalenia każdej gałęzi pracy ludzkiej, czyżby tylko na jednem polu nauki niepłodną okazać się miała?

Takich, którzy mówią, jak ja tu mówię, nazywają zwykle nieprzyjaciółmi oświaty, reakcyonistami, i t. d. Nie boimy się takich przydomków, bo są niesłuszne, jak również niesłusznie zwolennicy oświaty wyłącznie przez państwo przymusowo podawanej, za przyjaciół największych oświaty uchodzą. Że się rzecz ma odwrotnie, najlepszy na to dowód mamy w naszym kraju, gdzie od zaprowadzenia przymusu szkolnego ani dziesiątej części tych szkół nie założono, ile przedtem. I śmiało twierdzę, że dziś, gdybyśmy mieli tylko od 15 lat swobodę nauczania, już mielibyśmy najmniej tysiąc szkół ludowych więcej niż mamy, bo ta sama ofiarność prywatna czy jednostek czy zbiorowa, która pierwsze 1500 szkół do 1872 r. stworzyła, byłaby ich do dziś zapewne stworzyła choć pół tego, a rząd resztę, i kraj miałby szkoły. A co do ich jakości, nie miałbym obawy: znaleźliby się i nauczyciele i nauczycielki, i to tańsi niż obecni, bo rodziną ni stosunkami światowemi nieobarczeni, dość znamy pod tym względem płodność Kościoła. Mniemani krzewiciele

oświaty właściwie tylko jej postęp opóźniają. A nie trzeba myśleć, żeby przywódcom obozu liberalnego tak dalece o oświatę chodziło. Jestto jedno z tych haseł *(Schlagwort)* stworzonych dla gawiedzi, jak wolność, równość i braterstwo, które się w praktyce, niestety, tłumaczą na wolność umierania z głodu, równość w niewoli i ucisku podatkowym, a braterstwo we wzajemnem tępieniu się całych narodów, jakie nawet w pogaństwie przykładu nie miało. Tak też oświata w ustach tych ludzi znaczy, przedewszystkiem pozbycie się chrześcijańskich przesądów. Najprzód wykazuje się, iż panujący jedynie ma prawo nauczać, bo tylko rząd posiada dosyć siły by utrzymać w karbach tak wielką machinę, jak cały aparat nauczający. Ten krok uczyniwszy, zabiera się Kościołowi stanowisko nadzorujące w szkole. Później wyrzuca się ze szkoły księdza i krzyż. Wreszcie pisze się, *à la* Paweł Berth, katechizm obywatelski i gwałtem się go w umysły młodzieży wtłacza. A z tego wszystkiego co za skutek? Moralni kretyni, posiadający niemało matematycznych i przyrodniczych wiadomości, o ile im moralne przywary i narowy do ich nabycia nie przeszkodzą.

Taką drogą idzie Francya. Ależ to u nas niemożebne! Tak się zdaje, i pewno jeśli się stanie, to się nie stanie bardzo prędko. Sekta jest zanadto mądra, by rzeczy robić raptownie: jeszcze i zakony nauczają, choć potrochu i z ograniczeniem, i ksiądz ma po czesne stanowisko w społeczności, spowiedź się po szkołach terminowo odbywa, i Sejm się od nabożeństwa rozpoczyna, i mnóstwo niewyprutych jeszcze chrześcijańskich arteryj przebiega nasz krajowy przynajmniej organizm społeczny. Ale Rada państwa nie rozpoczyna się od nabożeństwa; w szpitalu wojskowym nasz biedny chłop żołnierz chory z krzyżem ni obrazem się nie spotka — by nie razić uczuć innowierców których będzie z 10%, (piękna większość w tych czasach panowania większości!); po szkołach wojskowych młodzież mniej ma sposobności do uczęszczania na nabożeństwo w niedzielę i święta niż ma rekrut katolik w wojsku rosyjskiem. Małe to rzeczy, powie niejeden; komu małe to dobrze, dla mnie i dla wielu innych są one niemałe, bo są zapowiedzią rzeczy większych.

Wobec tych smutnych prognostyków, cóż nas uratuje? Chyba to jedno, czego próbują z lepszym skutkiem wierzący Belgowie,

z mniejszym Francuzi: wolność nauczania, przeciwstawiona monopolowi połączonemu z przymusem szkolnym... Gdzie wolno błędowi, niech wolno będzie i prawdzie. Nie można kontentować się ogniskiem domowem, i w jego zaciszu ducha chrześcijańskiego pielęgnować, bo i ono bezpiecznem absolutnie nie jest; we Francyi już prawie tylko zimne głownie z niego sterczą. Ono się samo nie buduje: budują je cnoty, a tych bez religii niema, a jej niema bez nauki!.. A dalej, ognisko domowe, to dla ubogiego prawie niedościgniony ideał; jego ogniskiem domowem, jest właściwie Kościół!.. i to w formie z natury jego pojęć konkretnej więcej zmysłowej; lud musi Kościół w całem życiu zewnętrznem widzieć, czuć, i w szkole, i w wojsku i na drodze rozstajnej, by przy nim zostać.

Czy takie wołanie jednostki na co się zda?.. Zdaje mi się że tak! Co tu mówiłem, myślą w kraju tysiące. Nie innemi sposobami wszelka prawda szerzyła się po świecie. Fałsze idą zrazu krętemi ścieżkami, tajnych lóż i innych konwentykułów, aż siędą w krześle kurulnem; prawda od pierwszych chwil chrześcijaństwa *praedicatur super tecta.*

Jan Popiel.

STOSUNEK CELOWOŚCI NATURY DO BOGA.

(Dokończenie rozpraw o Celowości).

Ἐγώ εἰμι τὸ Α καὶ τὸ Ω, ἡ ἀρχὴ καὶ τὸ τέλος.
Apocal. 21.

1° Bóg jako początek celowości natury: — celowość ta była zawsze faktycznie dla ludzkości głównym dowodem istnienia Boga — i jest istotnie dowodem ścisłym. — Kant o argumencie teleologicznym — jego zarzuty i ich bezpodstawność. — 2° Bóg jako końcowy cel natury: — dowody tego pewnika — kwestya: „Na co Bogu świat"? — powód stworzenia, w dobroci — chwała Boża w jakiem znaczeniu jest celem? — 3° Następstwa z powyższych pewników: — światło i kierownictwo dla nauk przyrodniczych — wyjaśnienie stosunku przyrody i jej determinizmu do rządów Opatrzności — ostatnie słowo nauki.

I.

Celowość świata jest łańcuchem, na którego obu końcach znajdujemy Boga.

Znajdujemy Go na początku: bo natura w swym celowym ustroju objawia się umysłowi ludzkiemu jako rzecz racyonalnie zrobiona, więc jako dzieło istoty samowiednej, mądrej i potężnej. I rzeczywiście, każdy umysł co reflektuje widzi w świecie coś racyonalnego: a to go świadomie czy nieświadomie naprowadza na szukanie poza tem widzialnem tworzywem jakiejś intellektualnej potęgi światem władającej. Im lepiej umysł jedność praw i planu natury poznaje, tem łatwiej do jedności Stwórcy dochodzi; im dokładniej z bezwładności i mechaniczności przyrodzonych czynników zdaje sobie sprawę, tem wyraźniej Boga od świata odróżnia; ale zawsze, i przy niskim stopniu wykształcenia, dosyć widzi tej przed-

miotowej mądrości, ażeby go to utwierdzało w przeświadczeniu o istnieniu mądrej i potężnej istoty, od której on sam i świat zależy — co już jest rzeczywistem i prawdziwem pojęciem Boga.

O takim też zawiązku pojęcia Bóstwa świadczą najstarsze cywilizacyj ludzkich pomniki i najdokładniejsze podróżników między dzikiemi plemionami obserwacye. Znakomity tych źródeł badacz, twórca najnowszej z nauk, historyi religii, Max Müller wynosi z swych długoletnich studyów przekonanie, nietylko że religijność jest faktem powszechnym w rodzaju ludzkim, ale też że pochodzi z dwóch pierwiastków: podmiotowo, z właściwej człowiekowi zdolności poznania Boga, *sensus numinis* — i przedmiotowo, z wspaniałych zjawisk przyrody, które tę zdolność budzą i do czynu powodują.

Z drugiej strony tę samą naukę zawiera Pismo św.: nie tylko mówi ono na wielu miejscach, że „Niebiosa rozpowiadają chwałę Bożą", że „dzień dniowi opowiada Słowo, a noc nocy okazuje znajomość (Boga)" — ale też z naciskiem twierdzi, że ten głos natury opowiadającej Stwórcę, do wszystkich ludzi dochodzi i od wszystkich w pewnej mierze bywa zrozumiany: „Nie masz języków ani mów, któreby nie słyszały głosów ich: na wszystką ziemię wyszedł głos ich i na kończyny okręgu ziemi słowa ich" [1]. A Księga Mądrości zarzucając poganom ich wielobóstwo i kult przyrody, przekłada im w wspaniałym wywodzie, jak mogli z tejże samej przyrody poznać jednego, wszechmocnego i odrębnego od świata Stworzyciela: „Bezrozumni (Μάταιοι) są wszyscy ludzie, w których nie „masz znajomości (prawdziwego) Boga, i którzy z tych rzeczy do„brych co widzą, nie mogli zrozumieć Tego, który jest, ani przypa„trując się dziełom, obaczyli ktoby był sprawcą; ale albo ogień, „albo wiatr, albo prędkie powietrze, albo obrot gwiazd, albo gwał„towną wodę, albo słońce i księżyc, za sprawce okręgu ziemi bo„gi poczytali. W których piękności kochając się, jeśli je bogami „być mniemali: niechże wiedzą, jako nad nie piękniejszy jest pa„nujący nad niemi; gdyż rodzic piękności to wszystko stworzył. „Albo jeśli się mocy i sprawom ich dziwowali, niech rozumieją, iż „mocniejszy jest Ten, który je uczynił. Z wielkości bowiem i oz„doby stworzenia jaśnie Stworzyciel tych rzeczy poznany być może" [2].

[1] Psalm XVIII.
[2] Księga Mądrości XIII.

Ta sama nauka powtarza się w Nowym Testamencie. W znanym tekście listu do Rzymian, św. Paweł twierdzi, że poganie mogli poznać i poznali rzeczywiście prawdziwego Boga z opowiadania przyrody. „Co jest wiadome o Bogu (τὸ γνωστὸν τοῦ θεοῦ), jest im „jawne: albowiem Bóg im objawił: bo rzeczy jego niewidzialne od „stworzenia świata, przez te rzeczy, które są uczynione, zrozumiane, „bywają poznane; wieczna też moc Jego i bóstwo: tak, iż nie „mogą być wymówieni". Tylko pod wpływem swych namiętności to pojęcie Boga zepsuli i „odmienili chwałę nieskazitelnego „Boga w podobieństwo śmiertelnego człowieka i ptaków i czworo„nożnych i płazu" [1].

Prawda, że wiadomość o Bogu otrzymują zwykle ludzie już w latach dziecinnych, przez podanie; ale najprzód to podanie, będąc tak powszechnem jak rodzaj ludzki, musi mieć równie powszechną, w naturze rzeczy leżącą przyczynę; a podrugie to podanie może być tylko podnietą i wskazówką dla umysłu, nigdy przyczyną samowiednej pewności. Gdyby rozum dziecka, w miarę jak dojrzewa i o własnych siłach myśleć zaczyna, nie znajdował wkoło siebie powodów, któreby go rozumowo w tem przekonaniu utwierdzały, porzuciłby je niebawem, jak tyle innych dziecinnych baśni porzuca. Tymczasem przekonanie o istnieniu Boga z dojrzewaniem rozumu powszechnie uświadamia się tylko i umacnia, wypadki ateizmu nie pojawiają się jak tylko wyjątkowo, anormalnie, jak się wyraża M. Müller: erratycznie; a nietylko w jednostkach, ale w całej wogóle ludzkości, wraz z postępem wiedzy i rozwojem umysłowości, to pojęcie Boga uszlachetnia się z błędów, oczyszcza i uduchownia. Widocznie więc rozum znajduje w świecie coś, co go rozumowo o Bogu upewnia. Znajduje to rzeczywiście dokoła siebie, we wszystkich sferach: czasem w absolutnych prawidłach prawdy i piękna, częściej w historyi i biegu wypadków, jeszcze częściej w sumieniu i prawie moralnem — bo w tych wszystkich sferach panuje wyższa celowość i raz po raz umysłowi badawczemu w oczy wpada; — ale najprzód najłatwiej, najnamacalniej, najpowszechniej znajduje to każdy umysł w przyrodzie: bo przyroda jest dlań pierwszym i najprzystępniejszym przedmiotem. „Pierwsze co w tem życiu poznajemy,

[1] Do Rzym. I.

mówi św. Tomasz, jest istota rzeczy materyalnej, która jest własnym naszego rozumu przedmiotem“ [1]. Głos tej przyrody przeprowadza nieznacznie i poniekąd nieświadomie rozwijający się umysł od wiadomości o Bogu na wiarę nianiek i rodziców, do dojrzałej i samowiednej pewności. Mówię: n i e ś w i a d o m i e, bo faktycznie tylko w razie narzuconych wątpliwości, lub polemiki, lub specyalnych o tym przedmiocie studyów, człowiek reflektuje nad powodami swej pewności o istnieniu Boga; w ogólności zaś ani zwraca na to uwagi, jak te powody osiadają w jego umyśle, wsiąkają, że tak powiem, wszystkiemi porami w jego duszę, pomnażają się każdym zdrowem dorobkiem jego wiadomości i wytwarzają w jego rozumie pewność głęboką, rozumną, umotywowaną, choć nie zawsze refleksyjną i nie zawsze zdolną na zawołanie się wytłumaczyć [2].

Jest więc f a k t e m niezaprzeczalnym, że celowość natury, czyli po szkolnemu mówiąc, a r g u m e n t t e l e o l o g i c z n y [3], jest główną podstawą przekonania ludzkości o istnieniu Boga. Zostaje *quaestio juris:* czy ten argument jest absolutnie ścisły i prawdziwy?

Już sam fakt co dopiero stwierdzony bardzo mocno za tem przemawia: bo choć zdarzają się błędy powszechne w ludzkości, spowodowane jakiemś powszechnem złudzeniem zmysłów (jak pozorny obrót słońca), — jednak, kiedy coś r o z u m o w o przekonuje całą ludzkość, nie pojmuję jakim sposobem błędemby być mogło?

---

[1] Primum autem quod intelligitur a nobis, secundum statum praesentis vitae, est quidditas rei materialis, quae est nostri intellectus objectum. P. I. q. 88. a. 3. o.

[2] Stądto zdarza się słyszeć ludzi dobrej wiary, mówiących, że w Boga w i e r z ą, ale o żadnych rozumowych dowodach jego istnienia słyszeć nie chcą i nawet o możliwości takich dowodów powątpiewają. Oczywiście i u tych ludzi, pod ich wiarą istnieje racyonalna w i e d z a o istnieniu Boga, na rozumowych oparta racyach i równocześnie z rozwojem umysłu wyrobiona — bo, żeby módz komuś wierzyć, trzeba wprzódy wiedzieć, że on jest — tylko oni nie zdają sobie sprawy z tego racyonalnego podścieliska swej wiary, i nie chcą nad nim reflektować, lękając się czyto pracy czy mniemanego niebezpieczeństwa takiego rozbioru.

[3] Ten sam argument u nowszych scholastyków nazywa się zwykle „kosmologicznym“. Kant go nazywa „fizyko-teologicznym“; „argumentem zaś kosmologicznym“ nazywa dowód wzięty z niekonieczności świata, w Szkole zwany „metafizycznym“.

chybaby i sam rozum koniecznym podlegał złudzeniom — a wtedy gdzieżby się wiedza i pewność ostała?

Ale nie kładę nacisku na ten wywód uboczny — i pytam wprost: czy argument teleologiczny wytrzymuje krytyczny rozbiór? Istotnie ten rozbiór przeprowadziliśmy już w poprzednich rozprawach. Uzasadniliśmy mianowicie następujący szereg pewników:

Natura jest celowo urządzoną.

To celowe urządzenie nie jest wypadkiem ślepych czynników, ale wynikiem jakiegoś rozumu.

Ten rozum nie jest immanentny w naturze, ale transcendentny: czyli jest istotą od świata odrębną.

Pierwszą z tych tez stwierdziliśmy jako prostą sumę faktów [1]. Drugą udowodniliśmy krytyką faktów, pokazując, że zarzuty i wybiegi materyalistów sprzeciwiają się logice i obserwacyi [2]. Trzecią udowodniliśmy również z faktów, wykazując niemożebność celowości immanentnej, według tłumaczenia panteistów [3].

Wywód jest więc ścisły i doprowadza do pożądanej konkluzyi: bo istota samowiedna, od świata odrębna, a światem władająca jest właśnie tem, co Bogiem nazywamy. Ale posłuchajmy jedynego krytyka, z którym w tej kwestyi rozprawić się warto.

Kant wyraża się o tym dowodzie Boga z celowości, z wielkiem i rzadkiem w jego ustach uszanowaniem. „Dowód ten, mówi on, za„sługuje bezwarunkowo na szacunek. Jest on między dowodami „istnienia Boga najdawniejszym, najjaśniejszym i dla zwykłego ludz„kiego rozumu najbardziej dostępnym. On badanie natury ożywia, „a nawzajem temu badaniu swój byt zawdzięcza i nową z niego „ustawicznie czerpie siłę. On upatruje cele i zamiary, tam nawet „gdzieby ich obserwacya nasza nie odkryła, i rozszerza naszą zna„jomość natury, za pomocą przewodniej nici jakiejś szczególnej je„dności, poza światem swój pierwiastek mającej. Ta znajomość natury „znowu oddziaływa na swą przyczynę, tj. na tę ideę przewodnią „i wiarę w najwyższego Sprawcę zamienia w nieprzeparte prze„konanie.

---

[1] *Przegląd Powszechny*. Lut. 1886. T. IX. str. 241.
[2] „ „ Lip. 1886. T. XI. str. 1. i sierp. tamże str. 167.
[3] „ „ Sierp. 1886. T. XI. str. 173.

„Byłoby zatem nie tylko bardzo smutną, ale i daremną rzeczą, „chcieć powadze tego dowodu ujmować. Rozum, siłą tak potężnych „i wciąż pod jego ręką rosnących, choć zawsze tylko empirycznych „argumentów nieustannie party, żadnemi wątpliwościami ani subtel- „nościami abstrakcyjnej spekulacyi z toru zbić się nie daje; jeden „rzut oka na cuda przyrody i na majestat budowy wszechświata, „starczy żeby go z takiego grzebania w wątpliwościach *(grübleri- „che Unentschlossenheit)* niby ze snu ocucić i wznieść od wielkości „do wielkości aż do najwyższego, i od skutku do przyczyn aż „do pierwszego i bezwzględnego Sprawcy“ [1].

Mimo tych sprawiedliwych pochwał, Kant wynajduje jednak coś do zarzucenia temu dowodowi. „Nie chcemy tu, mówi on najprzód, zaczepki szukać *(chicaniren)* przeciw temu wnioskowi, o to że z analogii między pewnemi utworami natury, a dziełami sztuki ludzkiej, wnosi się, że i w naturze musi być podobny jak w sztuce pierwiastek“. Ten sam zarzut jednak, w Krytyce czystego rozumu w ten sposób uchylony, powraca i rozwija się w Krytyce sądu, i narzuca wątpliwości i subtelne (prawdziwie *grüblerische)* trudnostki, na podstawie których późniejsi panteiści niemieccy wszystkie swoje tarany przeciw przedmiotowej celowości osadzili. Ale jużeśmy te wszystkie zarzuty poprzednio roztrząsnęli i pokazaliśmy: 1⁰ że wniosek nasz o celowości natury nie opiera się wyłącznie na analogii między dziełami natury i człowieka, ale stoi właściwie na bezwzględnym pewniku przyczynowości: każdy skutek musi mieć odpowiednią przyczynę, a do uiszczenia tej myślnej jedności, tego ześrodkowania narzędzi, jaka się w dziełach natury objawia, tylko inteligencya zamierzająca cel, odpowiednią może być przyczyną; pokazaliśmy też 2⁰, że i sama analogia między naturą a sztuką jest także w danym razie dowodem ścisłym, bo nie opiera się na powierzchownem i przypadkowem podobieństwie, między utworami obojga niekiedy zachodzącem, ale na wnętrznej identyczności ich sposobu postępowania, i na powszechnie uznanej dziś zasadzie, że niema przedziału między naturą a sztuką ludzką, lecz że ta ostatnia jest tylko członem i dalszym ciągiem sztuki natury.

---

[1] Kant. Kritik der reinen Vernunft. Elementarlehre: II. Th. 2. Abth. 2. B. 3. Hauptst. 6. Abschnit.

Pominąwszy więc ten zarzut, który sam Kant słusznie szykaną nazywa, zobaczmy co Kant wprost przeciw dowodowi teleologicznemu podnosi. — Podnosi mianowicie dwa zarzuty. Po pierwsze: z tego argumentu wynikałoby jedynie, że istnieje jakiś najwyższy architekt, który świat zbudował, nie zaś, że istnieje Stwórca który stworzenia z nicości wywołał; gdyż dowodzenie na tem tylko polega, że forma świata wymaga przyczyny, a pomija kwestyę, czy jej wymaga materya. Po drugie: że dowód ten, opierając się wyłącznie na empiryi, więc na rzeczach ograniczonych, znikomych, względnie tylko doskonałych, może co najwięcej doprowadzić do przyczyny proporcyonalnie doskonałej i możnej, nie zaś do przyczyny bezwzględnej, bo zasada przyczynowości wymaga tylko odpowiedniej skutkowi przyczyny. Innemi słowy: z celowego porządku świata wnieśćby tylko można, że istnieje jakiś sprawca bardzo wielki, bardzo mądry, bardzo potężny, ale to nam jeszcze pojęcia tego sprawcy wcale nie określa. „Kiedy idzie o wielkość doskonałości jakiejś istoty, niema innego określonego pojęcia, prócz tego co wszelką możliwą doskonałość obejmuje, i jedynie pełnia realności *(omnitudo)* jest rzeczą w pojęciu całkiem oznaczoną". Ażeby więc dojść do tego oznaczonego pojęcia istoty nieskończonej, wszechwiedzącej, wszechmocnej, „rzecznicy tego dowodu, przebywszy sporą drogę na polu doświadczenia, porzucają nagle ten teren, i nie zdając sobie z tego sprawy, przeskakują do dowodu ontologicznego, który na czystych możliwościach polega".

Na to odpowiadają nowożytni spiritualiści: Cousin, Saisset, Janet, że te zarzuty jakkolwiek słuszne, nie nadwerężają ważności samego argumentu teleologicznego, tylko ograniczają jego doniosłość, czyli pokazują, że tym jednym argumentem nie można wszystkiego o Bogu dowieść, ale trzeba się i innemi posługiwać. Odpowiedź słuszna, ale niedostateczna.

Zarzuty Kanta mieszczą istotnie sofizmat, a nadto błąd faktyczny, bo żaden z zawołanych „rzeczników tego dowodu", nie stawiał go w takiem znaczeniu, w jakiem go Kant zwalcza.

Sofizmat leży w tym niejasnym i niesłusznym postulacie, żeby pojęcie Boga było całkowicie określonem. Tylko w sferze czysto abstrakcyjnej, jak w matematyce, pojęcia niezupełnie określające istotę rzeczy są nieoznaczonemi i nieużytemi; pojęcia zaś nasze o rzeczach istniejących są zawsze niezupełne i w pewnej mierze nieokreślone,

a jednak oznaczoną rzecz wyrażają i prawdziwą acz nie wyczerpującą o niej wiadomość stanowią. Znamy przecież elektryczność, ciepło, chemiczne powinowactwa, system nerwowy — a jednak w części tylko własności tych rzeczy znamy, a o samej ich istocie ledwo konjektury mamy. Tak i o Bogu mogą być pojęcia więcej albo mniej doskonałe i zupełne, a jednak prawdziwe i oznaczone, tj. wyłącznie do Boga się odnoszące. Pojęcie nieskończoności, czyli pełni bytu Boga, ma nadto tę właściwość, że będąc pojęciem realnem, jednak na sposób pojęć matematycznych zawiera włącznie (*implicite*) całą treść Boskiej istoty, i jak formuła matematyczna pozwala z siebie wyprowadzać *a priori* pojedyńcze przymioty i doskonałości Boskie. Ogromna atoli większość rodzaju ludzkiego do tego pojęcia wcale się nie wznosi; czy stąd jednak wynika żeby o Bogu wcale nie wiedziała? — Ktokolwiek wie, że istnieje ponad światem istota inteligentna, od której świat i człowiek w jakiejś mierze zależy, ten już zna Boga i wchodzi z nim w stosunek religijny. Kto wie nadto że ta istota jest bardzo mądrą i potężną, kto odgaduje jej godność, ten już ma o Bogu wysokie pojęcie, ten już jest monoteistą. Otóż wniosek z celowości natury tego wszystkiego apodyktycznie dowodzi, a o jedności, mądrości, potędze, dobroci tego Boga tem wyższe daje pojęcie im głębiej się w przyrodę wnika i dokładniej jej prawa poznaje. — Argument więc teleologiczny dowodzi tego, czego ma dowieść: tj. istnienia Boga.

A czy prawdą jest, że filozofia chrześcijańska posługiwała się nim jeszcze dalej, aż do wywodu nieskończoności Boskiej, i czyniła to za pomocą przeskoku do argumentu ontologicznego? — Gdzież Kant taki wywód czytał lub słyszał? — może w kazaniu pobożnego predykanta protestanckiego, ale w każdym razie nie u przedstawicieli filozofii scholastycznej. W pięciu klasycznych dowodach istnienia Boga, które św. Tomasz w Sumie podaje[1], a które cała Szkoła za tło swych dowodzeń bierze, czytam zawsze konkluzyę równobrzmiącą z zawartością przesłanek. Kiedy argument wychodzi z pewnika: że byt warunkowy suponuje byt bezwarunkowy, konkluzya zawiera to jedno: że istnieje byt bezwarunkowy: *aliquid per se necessarium*; kiedy za punkt wyjścia służy fakt istnienia ruchu w świecie, kon-

[1] P. I. q. 2. a. 3.

kluzya mówi tylko: że musi być pierwszy motor: *aliquod primum movens quod a nullo movetur;* kiedy wreszcie św. Tomasz opiera się na celowości natury, w konkluzyi wnosi tylko, że „istnieje jakaś istota rozumna, która naturze ustrój celowy nadała“: *ergo est aliquid intelligens, a quo omnes res naturales ordinantur ad finem.* Za każdym zaś razem dodaje św. Tomasz: *et hoc est quod omnes dicunt Deum,* „i to jest właśnie co się Bogiem nazywa“: — bo ktokolwiek pojmuje czy istotę konieczną, czy najwyższego motora, czy rozumnego architekta przyrody, ten już wie o Bogu i zna go pod właściwem jemu znamieniem.

W innym znów artykule przechodzi św. Tomasz z dowiedzionych już w poprzednim wywodzie atrybutów boskich, do nieskończoności jego istoty, a to na podstawie metafizycznej sprzeczności, jaka zachodzi między bytem koniecznym (co już jest o Bogu dowiedzionem) a ograniczeniem jakimkolwiek. Nie tu miejsce oczywiście tłumaczyć to logiczne przejście, gdyż jedynie o istnieniu Boga mówimy, o ile z celowości się wywodzi; zaznaczam jednak, że w tem przejściu u św. Tomasza nie ma nic wspólnego z argumentem ontologicznym, gdyż tam punktem wyjścia jest nieskończoność w możliwości, skąd wnosi się istnienie, tu punktem wyjścia istnienie konieczne *a posteriori* dowiedzione, skąd wnosi się nieskończoność; — więc pochód myśli odwrotny tamtemu. Zaznaczam po drugie, że nietylko św. Tomasz uniknął argumentu ontologicznego, ale on pierwszy, długo przed Kantem i jaśniej od Kanta, błąd tego argumentu wytknął i zwalczył[1]. Zatrzymałem się nieco dłużej nad św. Tomaszem, bo w nim jest embrion całej scholastyki i kiedy już on tę kwestyę tak jasno postawił, to z pewnością i jego następcy ją dobrze zrozumieli — a zarzut Kanta na fałszywej polega suppozycyi.

Ale to kwestya uboczna, poniekąd osobista. Co gruntem, to że sam dowód istnienia Boga w celowości jest niezachwiany, i że krytyka Kanta, a z nią krytyki wszystkich jego epigonów obijają się oń bezskutecznie. Dowód ten nietylko faktycznie przekonuje rozum ludzkości, jakeśmy poprzednio widzieli i jak sam Kant

[1] P. I. q. 2. a. 1.

uznaje, ale go też przekonuje, jak się obecnie pokazało, merytorycznie, jest dowodem ścisłym i apodyktycznym.

Z tego, zdobytego już stanowiska łatwo bliżej określić stosunek Boga do celowości przyrody. Bóg jest niewątpliwie, jak teologia uczy, wszechobecny w świecie, wszystkie stworzenia nieustannie bytem obdarza, z wszystkiemi ich czynami współdziała, jak dusza w ciele, wszędzie ukryty a wszędzie czynny, niewidzialny i niedotykalny, a w skutkach swej mądrości jawny... Ale jednak duszą świata on nie jest. Istota jego duchowa i w sobie samej doskonała nie jest w żadnej od świata zależności. Względem natury i jej celowości jest on, jak słusznie mówi Kant, „pierwiastkiem zewnętrznym“ [1] — jak malarz względem obrazu, budowniczy względem gmachu — nie przyczyną wnętrzną, jak siła plastyczna rośliny względem jej rozwoju. Dowody, jakieśmy w swoim miejscu przeciwko panteistycznemu poglądowi postawili, żadnej pod tym względem nie zostawiają wątpliwości.

Ale choć pierwiastek celowości jest poza czyli ponad naturą, sama jednak celowość jest w naturze, nietylko odźwierciedloną, lecz rzeczywiście wcieloną — i to w różnych stopniach.

Nieżywotne stworzenia mają w sobie tylko dążność do pewnych celów przyrody: dążność ta jest w ich naturze utkwiona, ale cele są względem nich zewnętrzne: tak widzieliśmy, że celowo urządzony jest system wodny, powietrznia, skład gleby... lecz nie dla siebie, tylko na korzyść istot żyjących.

Żyjące znów mają w sobie nietylko dążność, ale i drugi celowości element, tj. cel: są ustrojone i pracują nietylko dla drugich ale i dla siebie — skąd znamię ich celowości jest tak odrębne i wybitne.

Zwierzęta mają w sobie nietylko dążność i cel, ale też świadomość swych dążeń i żądzę celów, przynajmniej bezpośrednich i zjawiskowych [2] — a to już jest widocznie celowością wyższego rzędu, działalnością celu od wnętrza.

---

[1] L. c. „... deren Princip ausser der Natur ist“.

[2] Zwierzęta nie znają właściwych celów natury, tylko idą za ponętą, którą natura przywiązała do czynności, jakie dla dobra jedności lub gatunku zamierza. To co natura zamierza, jest celem rzeczywistym, w pewnem znacze-

W człowieku nakoniec celowość natury uświadamia się całkowicie, bo człowiek jeden poznaje cele natury absolutne, działa, nietylko dla przyjemności lub wrodzonej skłonności, którą natura wabi zwierzęta (i jego samego wspomaga), ale także dla istotnych celów, które natura zamierza; co więcej, on sam cele dowolnie wytyka i do nich siebie i przyrodę stosuje: jest twórcą własnej sztuki, którą przeciwstawia sztuce natury. I tak w człowieku celowość natury samowiednie się odźwierciedla, własnowolnie się odtwarza i w końcu do swego Twórcy i celu najwyższego świadomie się zwraca.

Ale to już nas przeprowadza do kwestyi o drugim końcu tego łańcucha celowości, którego jeden koniec już mamy w ręku.

II.

Z góry zdaje się widocznem, że ostatni cel świata musi być identyczny z jego pierwszą przyczyną. Najwyższa i absolutna istota jak nie mogła brać poza sobą mocy, ni wzoru, ni materyału do stworzenia, tak też powodu stworzenia poza sobą szukać nie mogła. Tak zwykle wnioskuje teodicea, czyli filozofia o Bogu. Ale do tego samego wniosku prowadzi nas także *a posteriori* ten łańcuch celowych odnośni, któreśmy w poprzednich rozdziałach aż do człowieka doprowadzili. Przypatrując się ustrojom i dążnościom głównych dzieł przyrody, widzieliśmy, jak jedne odnoszą się do drugich, a wszystkie razem odnoszą się do człowieka, jako przyrodzonego celu swego. Otóż przypatrując się tak samo ustrojowi i dążnościom człowieka, znajduje się w nim odnośnię przyrodzoną do Boga. Jak w wielkim świecie królestwo mineralne jest podścieliskiem dla żyjących, roślinne w całości wzięte jest dla zwierzęcego, a wszystkie razem dla królestwa ludzkiego, tak i w tym mikrokosmosie natury człowieczej widoczną jest pewna hierarchia władz i funkcyj celowo

niu absolutnem, przynętę zaś nazwałem „celem zjawiskowym“, bo jest przedmiotem żądzy zmysłowej i ma się do celu rzeczywistego podobnie, jak w sferze poznawczej, zjawisko ma się do rzeczy samej w sobie. Człowiek jak się niżej powie, poznaje i zamierza nie tylko zjawiskowe cele czyli ponęty, ale także cele natury rzeczywiste, co jest jednem ze znamion odróżniających go widocznie od zwierząt.

powiązanych: funkcye organiczne budują i utrzymują organa dla władz poznawczych; a choć te też nawzajem organicznym funkcyom w pewnej mierze służą, jednak i poza tem własne mają zadanie: wiedza, jak słusznie Arystoteles uważa, sama dla siebie jest przedmiotem żądzy. W sferze poznania znowu, władze zmysłowe odnoszą się niezaprzeczenie do umysłu, jako narządy duszy do zaczerpnięcia z zewnętrznego świata tego nasienia wiedzy, które w rozumie kiełkuje i w wspaniałe rozrasta się drzewo. Wszystkie więc funkcye, władze i żądze w człowieku piętrzą się naturalnym porządkiem ku temu, co nazwać można żądzą umysłową człowieka, a co jest ostatecznym wyrazem dążności jego natury. Ale ta znów żądza umysłowa, z natury rozumu i woli, których jest wrodzoną funkcyą, dąży koniecznie do prawdy najwyższej i absolutnej, do dobra nieograniczonego, do piękna doskonałego — dąży do rzeczy, których tylko Bóg jest uiszczeniem. Dokładne przeprowadzenie tej analizy wrodzonych aspiracyj człowieka, należy właściwie do etyki i psychologii, a kiedyindziej miałem już sposobność obszerniej ją wyłożyć[1]; ale już powyższe wytyczne punkta dostrzedz pozwalają, jak droga obserwacyi z dołu idąca prowadzi do tego samego wniosku, do którego się z góry, od idei Stwórcy doszło: mianowicie, że człowiek, który jest celem reszty przyrody, musi mieć cel swój w Bogu — że Bóg, będący pierwszą przyczyną, musi też być ostatnim celem wszystkiego. *Wszystko sam dla siebie zdziałał Pan*[2].

Ale tu właśnie spotykamy się z trudnością, o którą się wiele głębszych umysłów rozbijało: Na cóż Bogu świat? czy on Boga w jakikolwiek sposób uzupełnia? czy daje mu chwałę, której bez tego nie miał? czy przyjemność estetyczną? czy uciechę czynu?... Wszystkich tych tłumaczeń próbowano — ale we wszystkich zdaje się tkwić ta sama trudność, ten sam nierozwiązalny dylemat: że świat albo nic Bogu nie przynosi, a wtedy nie da się pojąć racyonalny powód stworzenia, albo mu coś przynosi, a wtedy nieskończony dopełnia się czemś skończonem, absolut nie jest absolutem. „Teorya ta, mówi Spinoza, znosi doskonałość Boga, bo jeśli Bóg „działa dla jakiegoś celu, to koniecznie pragnie czegoś, co mu bra-

[1] W rozprawie „O prawdziwem pojęciu moralności". *Przegl. powsz.* 1884. Paźdz. t. IV. str. 92.

[2] Przypow. XVI.

„kuje. A jakkolwiek teologowie i metafizycy odróżniają między dą-„żeniem do pewnego celu dla niedostatku *(per indigentiam)*, „a dążeniem dla upodobnienia *(per assimilationem)*, to jednak „uznają, że Bóg wszystko uczynił dla siebie, a nie dla rzeczy, któ-„re miał stworzyć, ponieważ przed stworzeniem niepodobna ozna-„czyć innego celu działalności boskiej, jak Boga samego, a przez to „zgodzić się na to muszą, że cele, które sobie Bóg założył w stwo-„rzeniu i urządzeniu środków, były dlań pożądane, a wprzódy mu „brakowały".

Nie przeczę, że stosunek celowy świata do Stwórcy jest trudny do pojęcia. Zauważyć jednak trzeba, że to nie jest trudność *sui generis*, temu zagadnieniu właściwa, ale jedna z wielu stron tego niedościgłego dla umysłów ludzkich stosunku między skończonem a nieskończonem, między stworzeniem a Stwórcą. Z jakiejkolwiek strony na ten stosunek się zapatrujemy — czy w kwestyi wszechwiedzy, badamy jak Bóg odwiecznie znać może czyny stworzeń wolne, które mogły nie istnieć — czy w kwestyi wszechmocy, jakim sposobem czyn wieczny i nieodmienny począł mieć skutek w czasie i przypadkowości — czy w obecnej kwestyi, jakim sposobem Dobro nieskończone mogło zapragnąć ograniczonych swej dobroci odblasków — zawsze jedną i tę samą trudność w różnych tylko postaciach spotykamy: jakim sposobem absolut, bez ujmy swej nieskończoności, schyla się aż do zetknięcia ze skończonością: Widzimy że ten stosunek istnieje, ale jasno go nie rozumiemy i pojmować go tylko możemy analogicznie, na podobiznę stosunków między stworzeniami, uchylając jednak z tak utworzonych pojęć wszelkie niedoskonałości i ograniczenia stworzeniu właściwe.

To tedy przedewszystkiem pewna, że Bóg nie stworzył z żadnej konieczności, ani z właściwej potrzeby — bo wówczas świat byłby konieczny, współwieczny Bogu, dopełniałby Boga w znaczeniu panteistycznem. Pobudkę zatem Boga w dziele stworzenia pojąć musimy w rodzaju tych pobudek, które nie zmuszają i nie pochodzą z braku. Taką bywa u nas pobudką dobroć. Czyny z dobroci pochodzące mają swój powód w doskonałości podmiotu, a przytem są bezinteresowne i najwidoczniej wolne. Jestto w sferze ludzkiej najwyższy typ działania Boga. Stąd też głębsza filozofia, zgodnie z religią szukała zawsze w dobroci Stwórcy tłumaczenia stworzenia.

„Z jakiej przyczyny twórca, pyta Plato w Tymeuszu, rodzenie i cały „ten świat utworzył?“ — odpowiada: „bo był dobry — ἀγαθὸς ἦν — „a dobroć nie zna zazdrości (skłonna jest do udzielania się). Dale- „kim więc będąc od zazdrości, chciał, aby wszystko było wedle „możności do niego podobne... Kto w tem uznaje, za zdaniem mą- „drych, najwyższy powód utworzenia świata, ten najsłuszniej sądzi“. A autor księgi Mądrości mówi do Boga: „Miłujesz wszystko co jest „i niczego nie masz w nienawiści z tego coś uczynił, bo nie byłbyś „utworzył żadnej rzeczy, którejbyś nie miłował“ [1].

Ale ta dobroć Stwórcy, ta chęć bezinteresowna udzielenia z swego dobra nie może się bezpośrednio odnosić jak tylko do istoty rozumnej, do o s o b y zdolnej szczęścia, mogącej to dobro świadomie posiąść i dobroczyńcę swego znać i miłować: nie iżby Bogu ta dzięka stworzeń była potrzebną, iżby bez niej nie był szczęśliwy; ale iż tego zwrotu wymaga absolutny porządek rzeczy — i wymaga go ten rodzaj miłości, *amor amicitiae*, w którem pobudkę dzieła stworzenia upatrujemy, a który z natury swojej żąda takiego odbicia i odzwierciedlenia się w istocie znającej i miłującej nawzajem.

Ale znów ta znajomość i ta miłość Boga w stworzeniach, to jest właśnie ta chwała Boża zewnętrzna, w której teologowie cel stworzenia upatrują — i w tem się poglądy na pozór przeciwne schodzą. Twierdzenie, że Bóg stworzył świat z czystej dobroci, z miłości bezinteresownej — i twierdzenie, że stworzył dla chwały swojej, nie stoją w sprzeczności, jak się wydaje Spinozie i nawet Janetowi [2], bo oba cele w jedno spływają. Chwała Boża jest końcowo w uszczęśliwieniu człowieka, jak chwała króla w szczęściu poddanych, uciecha ojca w szczęściu dzieci. Miłość Boga dla stworzeń wypływa oczywiście z miłości jaką ma dla siebie: ale nie w ten sposób, jakoby Bóg, chwałę swoją jedynie miłując, w stworzeniach i szczęściu ich upatrywał tylko środek do osiągnięcia dla siebie chwały — bo przecież nic przez nie osiągnąć nie może, czegoby już w pełni nie posiadał — ale w ten sposób, że ta nieskończona miłość, jaką Bóg własną miłuje doskonałość, przelewa się i na zewnętrzne tej doskonałości ślady, powołując je do bytu, obdarzając je szczęściem i mi-

[1] Ἀγαπᾷς γὰρ τὰ ὄντα πάντα καὶ οὐδὲν βδελύσσῃ ὧν ἐποίησας, οὐδὲ γὰρ ἂν μισῶν τι κατεσκεύασας. Mądr. XI. 26.

[2] Les Causes finales L. II. Ch. 5. „La fin suprême de la nature“.

łując w nich właśnie ten refleks swej Bożej doskonałości — który jest chwałą Bożą w stworzeniu. W niższych stworzeniach jest oczywiście tylko materyał tej chwały Stwórcy *(gloria objectiva)* i ledwo brzask użycia, w człowieku dopiero iści się możność oddawania Bogu chwały prawdziwej *(gloria formalis)* i osiągnięcia prawdziwego szczęścia. I w ten sposób stworzenia, wziąwszy początek od Boga, jako źródła bytu, zawracają się ku niemu jako ostatniemu kresowi swych dążeń, ostatnie ogniwo celowości łączy się z pierwszem i łańcuch dzieł bożych się zamyka.

Poprzednio przedstawił nam się człowiek, jako król przyrody, obecnie widzimy, że jest kapłanem tego świata, pośrednikiem między Stwórcą a resztą stworzenia. Wszystkie stworzenia nierozumne dla niego istnieją i jemu służą, ale on im także tę najwyższą winien usługę, żeby z nich Bogu oddawać chwałę — chwałę, która i dla nich jest pośrednim a najwyższym celem. Wszystko co w naturze istnieje, rusza się i żyje, od rytmu fali w morzu i gry promieni w obłokach, aż do misternych funkcyj w żywych ustrojach, od grawitacyi planet ku słońcom aż do wrażeń i żądz i radości życia tych miliardów żyjątek co ziemię, wody i powietrze zaludniają — wszystko to razem śpiewa jedną pieśń niezrównanej harmonii na cześć mądrości i dobroci najwyższej — wszystko, mówię, śpiewa tę pieśń, jeżeli wśród tych wszystkich głosów jest choć jedno serce rozumne, co je wszystkie pojmuje i odczuwa i do Boga ich chwalbę wznosi. Bez tego serca, bez człowieka, natura nie obracałaby się wcale do Stwórcy, nie wydawałaby prawdziwej pieśni, tylko dźwięki bezmyślne, jak huczenia wiatrów w opuszczonym kościele.

III.

Bóg jest początkiem i końcem, alfą i omegą świata — człowiek jest jego osią zwrotnią — dla niego ten świat widzialny z Boga wyszedł i przez niego do Boga wraca.

Z tej wyżyny, na którą nas badanie celowości zaprowadziło, zwracając znów oczy na przyrodę, widzimy już jej celowość w nowem, nierównie jaśniejszem świetle, które nietylko filozofię, ale i naukę opromienia. Doszliśmy do tego punktu indukcyjnie, teraz dedukcyjnie wiele nowych prawd odkryć, wiele prawdziwych i doniosłych

syntez uchwycić możemy. Skoro ściśle dowiedzionem jest, że przyczyną celowości natury jest Bóg najmędrszy, to już nie tylko w tych szczegółach, gdzieśmy celowe natury dążenia odkryli i zbadali, ale i we wszystkich dotąd niezbadanych natury dziełach, możemy z góry z pewnością przypuszczać racyonalność, jedność planu, harmonię praw. Skoro pewnem jest, że dobroć Boska dla człowieka ukształciła ziemską przyrodę, to już jest dla nauki drogoskazem, który ją może od wielu zboczeń uchronić i na wyśledzenie prawdziwych dróg natury naprowadzić. Słusznie mówił Kant w przytoczonym wyżej ustępie, że ten pogląd teleologiczny, „z badania natury wziąwszy początek, nawzajem to badanie ożywia, domyśliwa się celów i zamiarów nawet tam gdzie obserwacya jeszcze nie dotarła, i rozszerza naszą znajomość przyrody, kierując nas nicią przewodnią jakiejś wyższej, poza świat sięgającej jedności". Ale co Kant pobieżnie tylko narzucił, to uczony Naville z naukową przeprowadził ścisłością. Dowodzi on w książce — o której przed dwoma laty obszerną zdawałem sprawę w Przeglądzie[1] — że odkrycia naukowe wymagają racyonalnych poszukiwań, poszukiwania zaś takowe suponują w duchu ludzkim jakąś z góry daną pewność spotkania się w naturze z harmonią, jednością i racyonalnością, czyli zgodnością praw natury z prawami myśli — bez czego żadne odkrycie nie byłoby możebne; a te wreszcie postulata bezwarunkowo suponują, że świat jest jednej myśli dziełem. Rozumowanie to stwierdza autor doświadczeniem, przechodząc kolejno dzieła właściwych twórców i zakonodawców nowożytnej nauki: Kopernika, Keplera, Bakona, Kartezyusza, Galileusza, Newtona, Leibnitza, Ampera, Liebiga i t. p. — i pokazując cytatami, że u tych wszystkich mężów przekonanie o istnieniu Stwórcy nie tylko było na dnie ich duszy, ale wpłynęło na ich wiedzę i spowodowało ich odkrycia. W końcu, jako *contre-épreuve* powyższego dowodu, przechodzi Naville dzisiejszych ateuszowskich uczonych i znów cytatami pokazuje, że w chwilach kiedy nad swoim ateizmem reflektują, zaprzeczają tym wszystkim kierowniczym zasadom, na których nauka przyrody wzrosła i dotąd stoi: harmonii, pojedyń-

[1] *La Physique moderne.* Ob. Przegląd powsz. t. V. str. 346 i t. VI. str. 64 (1885 marzec i kwiecień).

czości, stateczności, nawet przyczynowości. I nie mogło być inaczej; bo kto Stwórcę zaprzeczył, ten nie ma racyi szukania żadnego ładu w świecie ani nadziei znalezienia żadnej jedności — chyba o ile niepomny na swe zasady, zawierza się zdrowemu swego umysłu instynktowi, który go, wbrew jego przeczeniom, do tej jedności prowadzi.

Tak więc ów wielki pewnik o początku i końcu celowości świata całą sferę filozofii i nauki opromienia. Ale nie koniec na tem; on jeszcze rzuca światło na sferę moralną i zagadnienia życiowe.

Skoro Bóg stworzył ten świat widzialny dla człowieka i dla swej chwały, czyli dla chwały którą mu człowiek w moralnym porządku oddaje, to ten moralny porządek jest celem do którego cały porządek materyalny świata był od wieków przeznaczony i odpowiednio dostrojony, w sposób mądrości Boskiej godny. A to jest kluczem kwestyi niezmiernie doniosłej: o stosunku tych sfer. Mamy wciąż przed oczyma te dwa porządki, materyalny i moralny, niby dwa światy nawskróś się przenikające i w ciągłej zostające styczności, a jednak głęboko od siebie różne, — w jednym rządzi konieczność i przyczynowość mechaniczna, w drugim panuje wolność i przyczynowość prawa, winy, zasługi. Stąd potrzeba a zarazem trudność wyjaśnienia ich stosunku. Jedni przeczą wszelkiemu wpływowi moralnego porządku na materyalny — śmieją się z przypuszczenia, żeby potop mógł być spowodowany grzechami synów Adama, lub choroba mogła być karą Bożą — uznanie wpływu modlitwy na pomyślność żniwa lub zdrowie, uważają za wręcz przeciwne naukowym pewnikom o determinizmie wypadków natury i o niezmienności ilości ruchu i siły. Inni znów, wierząc w rządy Opatrzności i skuteczność modlitwy, nie mogą sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak ciągłemi niemal interwencyami Boga na zmianę naturalnego biegu przyrody, czyli ciągłemi cudami [1]. Antinomia ta — która niejednego wiarę zachwiała — tem jest donioślejszą, że samych podstaw religii i nauki dotyka. Z jednej strony niema religii bez

[1] Między innymi, Hettinger w swojej *Apologie des Christenthums* na tem stanowisku wyraźnie stoi.

modlitwy nawet o doczesne dobra, bez wiary w Opatrzność kierującą losami tego świata; zaprzeczyć temu, jestto zaprzeczyć nietylko chrześcijańskim zasadom, ale instynktowi religijnemu całego rodu ludzkiego. Z drugiej strony determinizm, czyli stałość i konieczność biegu przyrody, jest niewątpliwym wynikiem naukowej indukcyi. Atom popycha atom, zjawisko wywołuje zjawisko, podług praw koniecznych i nieprzerwanym szeregiem, od początku świata. Każda nowa zdobycz nauki to stwierdza, a jest to zarazem podstawą wszelkich umiejętności przyrodniczych, warunkiem, bez którego nauka ani kroku naprzód uczynićby nie mogła.

Przypuszczanie też ciągłych cudów nie da się pogodzić ani z wymaganiami i wynikami nauki, ani zwłaszcza z istotą cudu, który mając być znamieniem nadprzyrodzonego objawienia się Stwórcy, musi być koniecznie r z a d k i m, i tylko wtedy może mieć miejsce, kiedy Bóg zamierza zaznaczyć uroczyście swą interwencyę, dać świadectwo prawdzie lub człowiekowi od siebie posłanemu. Gdy Chrystus wskrzeszał Łazarza, nie w tym celu to czynił, żeby Łazarz żył, bo mógł poprostu zapobiedz jego śmierci [1] — ale na to, „aby wierzyli że Ojciec go posłał“ [2]; gdy otwierał oczy ślepo narodzonemu, nie dla tego ten cud robił, żeby ten człowiek widział, bo prościej było sprawić, żeby przyszedł na świat nie ślepym — ale dlatego, „żeby się sprawy Boże w nim okazały“ [3]. Słowem, cuda należą do działań Bożych nadzwyczajnych, z celem wyższego rzędu, wyłącznie religijnym; zwyczajne zaś działanie i opatrzność Boga w świecie jest działaniem przez naturę i podług praw natury. *Natura est ordinaria potentia Dei*, powiedział z głęboką prawdą genialny Newton.

Jakżeż więc się rozwiązuje wytknięta antynomia? Jak wszystkie wogóle antinomie — nie leży ona w naturze ale w niebaczności wspomnianych szermierzy, tak po stronie religii jak i po stronie nauki. Jedni i drudzy są w tem mniemaniu, że porządek materyalny nie może się inaczej do porządku moralnego stosować i jego wpływom podlegać, jak tylko przez zmiany w naturalnym

---

[1] A (Żydowie) mówili: Nie mógł ten, który otworzył oczy ślepo narodzonego, uczynić żeby był ten (Łazarz) nie umarł? Jan XI. 37.

[2] Jan XI. 42.

[3] Jan IX. 3.

biegu rzeczy. Zapominają o tem, co przecież mechanika uczy, że same prawa ruchu nie decydują o żadnym konkretnym wypadku, ale trzeba jeszcze wstawić w zrównanie różniczkowe tak zwany stan początkowy czynników, tj. ich rozmieszczenie w przestrzeni i chyżości inicyalne w chwili, którą się za punkt wyjścia uważa. Ta sama masa materyi, tym samym ulegająca prawom ruchu i siłom przyciągania, może albo planetę utworzyć, w elipsie prawie kolistej krążącą, albo kometę, parabolicznym uciekającą torem, albo pogrążyć się w centralnem słońcu, albo rozprysnąć w tysiące asteroidów — zależnie tylko od tego, jaki był jej stan inicyalny. Żeby zaś stan inicyalny był ten lub ów, tego żadne prawo mechaniczne wymagać nie mogło: stanowić tu mógł jedynie wolny wybór Twórcy, w świetle wszechwiedzy, która mu wyniki wszystkich możliwych stanów inicyalnych przedstawiała.

A cóż tym wyborem Twórcy kierowało? Oczywiście, znany nam już cel stworzenia: moralne dobro człowieka. Bóg, zakładając fundamenty świata, tj. pierwotne sytuacye i chyżości wszystkich atomów, zamierzał, jakeśmy już powiedzieli, żeby się utworzyła ta planeta wszelkie warunki życia tak szczęśliwie łącząca, obliczył jej wielorakie składniki, odmierzył kształty jej lądów i mórz — na to, ażeby rodzaj ludzki znalazł na niej odpowiedne do swego bytu i zadania umieszczenie. Ale jego wszechwiedza nie ograniczała się na tem ogólnem przejrzeniu potrzeb natury ludzkiej i warunków im ogólnie odpowiednich — tylko ograniczona wiedza na ogółach kończy; — wszechwiedza Boska nie znająca granic dosięgała koniecznie każdego w szczególności człowieka, którego miała do bytu powołać, przenikała wszystkie czyny wolne, jakie każdy miał uczynić lub byłby w innych możliwych warunkach uczynił: słowem, przytomny miała cały ten świat moralny z wszystkiemi jego szczegółami. A ponieważ dla niego jako celu stworzyć chciała świat materyalny, wybrać oczywiście musiała wśród możliwych stanów inicyalnych taki, któryby odpowiadał, w szeregu swych mechanicznych następstw, nietylko ogólnym ludzkości potrzebom, ale też wszystkim, nawet indywidualnym szczegółom jej moralnego rozwoju, wedle widoków dobroci i sprawiedliwości Bożej. Jak niepodobna pomyśleć, żeby Bóg nie był tego wszystkiego aż do ostatnich szczegółów przewidział, tak też pojąć nie można, żeby, to wszystko przewidu-

jąc, nie był wybrał takiego właśnie stanu początkowego, jaki miał najlepiej jego zamiarom nad ludzkością, aż do najmniejszych szczegółów odpowiedzieć, ale żeby był wybór jakby od przypadku uczynił, zostawiając sobie na potem przystosowania i poprawki [1].

Bóg więc, zakładając stan początkowy świata, miał przed oczyma nietylko sumę dobrobytu, którą chciał dać ludzkości, i sumę cierpień, którą chciał ją w doczesności ćwiczyć, ale też i grzechy narodów i jednostek, które zamierzał na tym świecie karać — i zasługi, które miał ziemską pomyślnością nagradzać — i modlitwy, które zamierzał wysłuchać: te wszystkie momenta uwzględnił, wciągnął, że tak powiem, w obrachunek tej pierwotnej ekwacyi stworzenia... I gdy następnie ten świat materyalny rozwija szereg swoich odmian i zjawisk, podług swych praw koniecznych, i w odpowiednich chwilach związek z moralnym światem okazuje — nie jest to związek pozorny ani styczność przypadkowa, ale wykonanie zamiarów Bożych i rzeczywista przyczynowość moralna. Przyszedł potop za dni Noego, z przyczyn niezawodnie naturalnych, jak dzisiejsza przypuszcza nauka; tenże potop jednak był karą od Boga zesłaną za występki ówczesnych ludzi: jedno drugiego nie wyklucza: przyczyny fizyczne były wykonawcami — grzechy ludzkie były moralną przyczyną, dla której mechanizm świata był od początku tak nastrojony, żeby w owym czasie ową klęskę sprowadził. Powstała tęcza, zjawisko naturalne, ze znanych praw fizycznych pochodzące — ta sama tęcza jednak mogła być daną od Boga „na znak przymierza“; jedno drugiemu również się nie sprzeciwia. A co się w tych wielkich zdarzeniach spełniło, to i w najmniejszych ma miejsce: bo w oczach opatrzności Boskiej niema nic małego. Gdy się modlimy o zdrowie lub pogodę, niewątpliwie ta modlitwa może być i często bywa wysłuchaną; gdy nas spotykają choroby, klęski elementarne, lub dobrobyt i pomyślność, niewątpliwie Opatrzność tem kieruje z uwzględnieniem zasług, win i wogóle moralnych potrzeb naszych; ale na to wszystko nie potrzeba cudów, nie potrzeba żadnego na-

[1] Nie przeczymy bynajmniej temu, że Pan Bóg może każdego czasu i w interesie pojedynczych osób cuda czynić, ale stoimy przytem, że to się dzieje nie zwykle, tylko w razach nadzwyczajnych i kiedy nie idzie o sam skutek materyalny, lecz o objaw i zaznaczenie nadzwyczajnej interwencyi Boskiej.

ruszania, ani naginania praw fizycznych i naturalnego biegu rzeczy; potrzeba tylko, żeby Bóg w pierwotnym nastroju maszyny świata i te wszystkie momenta był miłościwie uwzględnił.

„Modlitwy skuteczność, mówi Doktor Anielski, pojąć należy „w taki sposób, żeby ani w sprawy ludzkie, Boskiej opatrzności „podległe, konieczności nie wprowadzać, ani w Boskiem urządzeniu „nie przypuszczać zmienności. Dla wyjaśnienia tej prawdy zauwa„żyć trzeba, że Boska opatrzność rozrządza, nie tylko jakie skutki „mają nastąpić, ale też z jakich przyczyn i jakim porządkiem ui„ścić się mają. Między innemi zaś przyczynami, i czyny ludzkie są „odpowiednią do pewnych skutków przyczyną. Trzeba więc, żeby „ludzie działali, nie dlatego, żeby czynami swemi Boskie urządzenie „odmienić mieli, ale ażeby pewne skutki według Boskiego urządze„nia wykonali. Tak samo się rzecz ma z czynnikami przyrody. I to „samo modlitwy dotyczy: modlimy się nie nato, żeby Boskie „postanowienie zmienić, ale żeby wymodlić to, co według Boskiego „postanowienia ma się przez modlitwę spełnić: ażeby ludzie „jak mówi św. Grzegorz w Dialogach, przez prośby zasłużyli „otrzymać, co im Bóg Wszechmocny przed wiekami „udzielić postanowił“ [1].

W ten sposób występuje w całej pełni znaczenie i wpływ ludzkości na świat materyalny, stosowny do wyższości natury rozumnej i do godności celu, jaką posiada. Małemi i słabemi istotami jesteśmy, wśród tego bezmiaru widzialnego świata; z całą naszą

[1] *S. Theol.* IIa, IIae, q. 83, a. 2. — Św. Tomasz zapewnie mówi tu tylko o postanowieniu biegu świata w woli Bożej, nie o jego determinacyi w mechanizmie świata; stawia tu jednak zasadę o wpływie modlitw naszych na uprzednie Boskie urządzenia, która *a pari* i do tej determinacyi się odnosi. Zresztą póki ten matematyczny determinizm natury nie był dokładnie znany, ta strona kwestyi o Opatrzności nie wpadała w oczy; nic więc dziwnego, że u dawnych teologów nie znajduje się wyraźnie omówioną. Ale już genialny Euler, który mechanikę świata tak głęboko poznał, stosunek jej do Opatrzności skreślił tak samo, jakeśmy tu uczynili. *Lettre 90. à une princesse d' Allemagne.*

Przed trzema laty poruszyłem teoryę tu wyłożoną, o zgodności determinizmu natury z Opatrznością — *w Przeglądzie* (r. 1884 lut. str. 172) ale mimochodem tylko, mając ją za wynik z zasad powszechnie znanych, lecz nie znalazłszy jej nigdzie wyraźnie wypowiedzianej. Później spotkałem się ze znakomitem dziełem O. Carbonnell'a: *Les confins de la science et de la philosophie*, gdzie ta sama myśl jest doskonale przeprowadzona (tom I. ch. 5); a przez niego dowiedziałem się o liście Eulera.

nauką i zasobami naszego przemysłu, ani o włos biegu naszej planety zmienić nie możemy, ani jednego prądu morza skierować, ani jednego wiatru wstrzymać nie zdołamy; ogrom i potęga żywiołów nas upokarza. A jednak ten ogromny świat jest istotnie cały pod panowaniem i wpływem naszym — w porządku moralnym. Nie tylko nasze dobro było przed wiekami powodem jego stworzenia, ale i dzisiejsze nasze czyny wolne i moralne (za pośrednictwem odwiecznego przejrzenia Stwórcy) powodują jego biegiem i stanowią o jego losach.

W ten sposób również odkrywa się nam w pełnem świetle Boska opatrzność godząca stałość swych praw z troskliwością o najmniejsze swe twory, „dosięgająca od końca do końca mocnie i zarządzająca wszystko wdzięcznie“ [1]. Niejednemu to pojęcie Opatrzności, zredukowanej niejako (co do sfery naturalnej) na pierwszą chwilę stworzenia, wyda się nieprzystępnem i nieswojskiem; milej mu i łatwiej wystawiać sobie Boga, jak budowniczego, który najprzód zbudował świat dla ludzi w ogóle, a potem go do ich zmiennych potrzeb przystosowuje i w miarę jak go dochodzą ludzkie modlitwy, zasługi i występki, wciąż to jedno to drugie w wielkiej maszynie zmienia i poprawia. Łatwo się jednak przekonać, że to wszystko są antropomorficzne wyobrażenia. U Boga nie ma „przedtem i potem“, przeszłości i przyszłości, jest tylko wiekuista teraźniejszość, jeden akt wiedzy, miłości i mocy, obecny zarówno wszem czasom, udzielający byt wszem stworzeniom i prowadzący je — czy tchnieniem łaski, czy mechanicznemi prawami — stosownie do ich natury, ku celom im odpowiednim. Opatrzność więc Boska, acz zdeterminowana odwiecznie co do swych postanowień, a od początku świata co do materyalnych wypadków, nie jest wcale p r z e s z ł ą względem nas, ale jest nam tak samo obecną, tak samo uwzględnia nasze zmienne potrzeby, tak samo ucho nadstawia naszym modłom i niemi się powoduje, j a k g d y b y d z i ś ś w i a t c a ł y d l a n a s u r z ą d z a ł a.

Kto się trzyma tamtego pojęcia Opatrzności, ten bądź co bądź, albo zbyt częste przypuszcza cuda, albo rządzenia opatrznościowe zbyt rzadkie uznaje — więc w każdym razie Opatrzności ujmuje. Kto zaś rozumie tę harmonię obu światów w bożem zestro-

[1] Mądr. VIII. 1.

jeniu, ten w każdym wypadku dwojakie widzi przyczyny: czynniki materyalne, w których szeregu ten wypadek jest koniecznem ogniwem — i powody moralne, które dobroć Stwórcy zamierzyła. Kto rozumie tę harmonię, ten w każdym ziarnku pszenicy, które go karmi, w każdym promieniu światła, który go rozwesela, i w kwiatku co mu się uśmiecha i w ptaszynie co mu śpiewa, widzi nie tylko mądrość twórczą, odźwierciedlającą się w ustrojach i wdziękach tych stworzeń, ale też miłość Stwórcy, która ku niemu osobiście w tych istotach się przychyla, która jego indywidualnie miała na myśli, gdy o świcie stworzenia zakładała tych rzeczy pierwiastki, i dziś, gdy one bezwiednie i na pozór przypadkowo do jego usługi trafiają, ona w nich świadomie i umyślnie mu służy.. Kto to rozumie, ten naukowe badania z ich matematyczną ścisłością i żelaznym determinizmem, łączy bez żadnej sprzeczności z poglądem na świat prostodusznym — jak modlitwa dziecka.

Przyroda, z której dziś robią pogankę, jest przecież także, jak dusza ludzka, *naturaliter christiana*. Dajcie jej mówić co ona chce, a od zjawisk i praw zaprowadzi was do celowości, od celowości do mądrości twórczej, a od mądrości do miłości Bożej — i ostatnim słowem nauki, nie mniej jak „końcem zakonu — będzie miłość".

X. M. Morawski.

STOSUNKI HANDLOWE Z BUŁGARYĄ.

W jesieni 1885 r. wkrótce po przewrocie filipopolskim śpieszyłem w głąb Bułgaryi w towarzystwie pewnego artysty-malarza, podejmującego się ilustrować badania moje tych objawów życia publicznego, których widownią stawał się półwysep bałkański na miesiąc przed wybuchem wojny serbskiej. Jeden z noclegów wypadł nam w miejscowości Bela, w dolinie zamykającej step naddunajski, a otwierającej wstęp ku falującym wzniesieniom podgórza średniej Płaniny [1]. Bela leży przy wielkim gościńcu prowadzącym od Ruszczuku przez Szybkę do Tracyi, Filipopola i dalej, łączy więc Dunaj z Bosforem. Między Belą a Tyrnawą jedna gałąź tego gościńca oddziela się na Plewnę i prowadzi do Sofii, łącząc w ten sposób drogami drugorzędnemi Dunaj z zachodnią Bułgaryą i Macedonią.

Tak ważna więc arterya komunikacyjna jest w wysokim stopniu ożywiona w każdej porze roku, a w pogodną suchą jesień gościniec belawski przez cały dzień od świtu do nocy roi się od handlowych karawanów z bawołami, ciągnącemi na wozach towary ku Dunajowi, lub stamtąd w głąb kraju z tej i tamtej strony Bałkanów. Każda taka karawana zatrzymuje się w Beli, bo to pierwsza ważniejsza stacya zaludniona na przestrzeni całego dnia jazdy od Dunaju, to ważny punkt administracyjny: Bela bowiem (licząca około 4.000 mieszkańców) jest stolicą powiatu *Okolii*. W dniu mojego przybycia gwarniej tam było niż zwykle, bo zwykły ruch handlowy zwiększył napływ przeciągającego wojska, które z północnych powiatów dążyło ku granicy serbskiej lub tureckiej. Wszystkie domo-

[1] Środkowych Bałkanów — Hömos.

stwa, kramy, szynki i kawiarnie były przepełnione wesołem żołnierstwem.

Kmet (wójt, burmistrz) belowski, czy gwoli otwartego listu rządu bułgarskiego, który nakazywał władzom miejscowym czynić mi ułatwienia w podróży, czy dzięki wrodzonej gościnności człowieka, który jako kupiec przebywał długi czas wśród Serbów i wogóle w południowej Słowiańszczyznie, klasycznej ziemi gościnności — dość, że z serdeczną skwapliwością ofiarował mi dom swój w gościnę.

Sala bawialna, do której nas wprowadzono ubrana była napoły po europejsku, napoły orientalnie. Kilka krzeseł, źwierciadeł i widoczków świadczyły o guście europejskim. Całe jednak zresztą umeblowanie ograniczające się na niskich do około wszystkich czterech ścian, otomanach i kanapach, nosiło wybitną cechę wschodnią. Ogromna obfitość wzorzystych kobierców, zakrywających całą podłogę i wszystkie meble, biła w oczy, które tak samo jak stopy tonęły w ich miękkiej wełnie; kobiercom z dołu odpowiadały ciężkie portiery u drzwi tegoż samego wyrobu i lekkie u okien jedwabne firanki, dopasowane do wzorów kobiercowych. Gospodarz nasz był prostym chłopem bułgarskim, ale wykształconym podróżami, poważnym pozycyą burmistrza, i zamożnym jako właściciel setki morgów roli, plantacyj tytoniowych i handlu korzennego; należał do tej najliczniejszej i najzamożniejszej klasy ludzi w Bułgaryi, która mianując się *trgowcami*, siedzą przy roli i trudnią się handlem. Tacy ludzie zwłaszcza jeśli bywali w zachodniej Europie, lubią przyjmując gości, popisywać się przed nimi objawami kultury europejskiej. Przyjęciu naszemu nadano cechę wystawności: na niczem nie brakło: ale nie widać tu było artykułów handlu europejskiego, które jeśli gdzie, to tu i u takiej osoby powinny zaraz wpaść w oko. Owe wspaniałe różnobarwne kobierce i portiery — to wyrób czysto miejscowy, to zrobione w Kaloferze, Berbowce, i Pironie z wełny posłanej przez gospodarza domu do tamtejszych fabryk. Piękne obrusy i serwety, płócienne lub bawełniane, przykrywające stoły i stoliki — to wyrób ręczny gospodyni domu i jej czeladzi. Cały garnitur gospodarza domu, zeszyty europejskim krojem — to sukno bułgarskie ze Śliwnicy. Popielata suknia pani domu — materya lśniąca z mieszaniny wełny i jedwabiu — to wyrób bułgarskiego miasteczka

Karłowa i Sopotu. Zastawiono przed nami obfitą i smaczną wieczerzę, której *éntrée* stanowiła wonna rakija (wódka) palona i dystylowana w zagrodzie właściciela domu, tudzież mięsne konserwy z koziny i wielbłądziny, nie ustępujące smakiem szynce westfalskiej — a pochodzenia miejscowego. Najprzedniejszą potrawą wieczerzy był oczywiście piław, na tucznej baraninie ze stada belowskiego i z ryżu brunatnego smaczniejszego od arabskiego, a z ryżowisk południowej Bułgaryi. Skropiono potrawy obficie winem białem i czerwonem, tłoczonem pod okiem gospodarza z jego własnych winnic, a przy czarnej kawie wyborny tytoń, — to jego plantacyi.

Słowem wszystkie potrzeby jego życia, począwszy od odzieży, a skończywszy na napojach, od najniezbędniejszych do zbytkownych — zaspokaja miejscowa produkcya, bądź jego własna, bądź wogóle krajowa. Kilka artykułów importowanych z zagranicy, (jak kawa, cukier, nafta, szkło, porcelana i t. p.) niknie w oczach naszych pod przewagą objawów miejscowej produkcyi.

Jeśli tak jest w domu, który miał możność i skłonność nieprzestawania na produkcyi miejscowej, przy wielkim handlowym gościńcu, ułatwiającym odbyt dla zagranicy, — to cóż się dziać musi w owych zakątkach, w głębi kraju, gdzie ludność uboższa, pozbawiona środków komunikacyi wskutek fizycznych przeszkód, i tradycyjnych nawyknień musi przestawać na swoich własnych wyrobach?

Jakoż lud bułgarski, skromny w życiu nie tylko dla tego, że brak mu dotychczas możności obeznania się z bardziej wyrafinowanemi potrzebami ludów Europy, nie tylko wskutek wstrętu do wydatków, jaki w nim wyrobił pięćsetletni proces życia dziejowego pod obcem władztwem, które go nauczyło wobec niepewnego jutra oszczędzać gotówkę na czarną godzinę, ale z głębokiego, wyrozumowanego przeświadczenia o konieczności ograniczenia swych potrzeb, — zadawalnia się jak najmniejszą, najniezbędniejszą ich sumą. I jeśli się zdobywa na nie, to w sferze własnej działalności, w sferze własnej domowej produkcyi.

Nigdzie już na horyzoncie europejskim (nie mówię tu o Albanii i Macedonii) nie spotkasz kraju, gdzieby patryarchalne ograniczenie potrzeb domowych z taką siłą ciążyło nad życiem ekonomicznem jak w Bułgaryi. W wielkich zaludnionych miastach takich

jak np. Filipopol lub Sofia, spotyka się domy inteligencyi, tworzącej tam najwyższą klasę, w których po domowemu wypala się wódka, wyłącznie dla potrzeb gospodarza i jego czeladzi. Ani jeden grosz nie wychodzi na ten artykuł na zewnątrz. W innych domach ma się rzecz tak samo z innemi artykułami potrzeb codziennych. — A na prowincyi dzięki bogactwu kraju we wszelkie surowe produkty, dzięki rozległości obszarów posiadanych przez rolników, pospolitem jest to zjawiskiem, że rodzina własnemi rękoma wytwarza wszelkie niezbędne dla siebie wyroby, począwszy od wozu i rzemieni na konie, a skończywszy na stucznie fabrykowanych włosach, służących do ozdoby niewieściej.

Bułgarzy mają uprzedzenie i pewnego rodzaju nieufność graniczącą ze wstrętem do cudzoziemców — i niechętnie jakoby kupują ich towary. Ze wstrętem tym łączy się dążność popierania własnej produkcyi, własnego przemysłu, dążność pochwalenia się bogactwem i rozmaitością produktów kraju, zdolnością mieszkańców, istniejącym przemysłem rodzimym, i nawet słabo rozwiniętą siecią komunikacyi, gościńców kamiennych i dróg żelaznych, ułatwiających import z zagranicy.

W pracy niniejszej zwracamy uwagę na import europejski do Bułgaryi z uwzględnieniem najbardziej interesowanych mocarstw.

Słówko jeszcze wpierw o drogach handlowych. Dla handlu morskiego otwarte są dwa tylko porty: Warna w północnej Bułgaryi i Burgas w południowej (Rumelii). Ponieważ w tej pracy mowa tylko o t. z. księstwie bułgarskiem, czyli północnej Bułgaryi, przeto pomijając znaczenie Burgasu, zwracamy uwagę tylko na doniosłość Warny. Stanowi ona najgłówniejszą i najżywotniejszą materyę handlową dla tego kraju. Nie tylko towary rosyjskie i tureckie jako dwóch krajów czarnomorskich idą tą drogą, bądź jako bezpośredni import, bądź jako tranzyt, ale też posługują się nią i towary europejskie z północy od strony Dunaju, bądź od południa via Konstantynopol. Kolej żelazna łącząca Warnę z Ruszczukiem odgrywa tu rolę drugiego pośrednika tak dla importu jak tranzytu. Ogromne znaczenie handlowe Warny najbardziej jest widocznem przy eksporcie, ale pojęcie da nawet import, skoro powiemy, że wartość onego o ile przeszedł przez komorę celną warneńską wynosi przeszło 30% wartości całego importu na wszystkich innych punktach prze-

wozowych. Drugie po niej miejsce zajmuje Swisztow, wyrażając się w stosunku 14%. Nic dziwnego: Swisztow dotychczas bezpośrednio łączył Dunaj, a więc całą środkową Europę ze stolicą Bułgaryi. Ruszczuk zajmuje trzecie z rzędu miejsce. Prócz Dunaju niema w Bułgaryi innej rzeki spławnej, któraby na to miano w szerszym handlu zasługiwała.

Z drug lądowych wyłączną uwagę zwraca jedynie tylko droga żelazna z Ruszczuku do Warny, mająca więcej znaczenie tranzytowe.

Pierwszą szosę w Bułgaryi zaczął budować Mithad basza za czasów swego gubernatorstwa w wilajecie naddunajskim. Budowa ta jednak tak się odbywała, jakby miała służyć tylko za popis przed Europą i szosa ciągnęła się zaledwo kilka, a następnie kilkanaście kilometrów za Ruszczkiem tj. tyle, ile potrzeba było dla wycieczek bojaźliwych turystów europejskich. Zmieniła się postać rzeczy z ukonstytuowaniem księstwa bułgarskiego. Od pierwszego roku istnienia jego zaczęto na gwałt budować drogi kamienne, dla połączenia przynajmniej ważniejszych punktów kraju. W ten sposób wybudowano transwersalną szosę od Ruszczuku przez Tyrnowę i Szypkę ku Tracyi, dalej sofijsko dunajską na Swisztow, łączącą Dunaj ze stolicą, a na Radomir z Macedonią i następnie szumlańską, łączącą wschodnią i zachodnią Bułgaryę. Pomijamy uboczne gałęzie.

Taki jest ogólny obraz tej ubogiej sieci komunikacyjnej. Jak się wobec tego ubóstwa przedstawiają potrzeby konsumcyjne Bułgaryi ze względu na import z Europy?

Niebawem po ukonstytuowaniu księstwa bułgarskiego i początkach normalnego funkcyonowania nowego państwa, a więc w 1879 r. import towarów z zagranicy dochodził sumy 32,137.800 lewów[1]. Od tej pory zaczął się zwiększać. W następnym roku wynosił już 48,223.637 lewów[2], a w roku 1871 r. podniósł się do wysokości 58,467.100 lewów. W następnych latach widoczna była oscylacya ku żniżce i ku zwyżce tak, że sam rząd w przedłożonym na

[1] Franków bułgarskich.

[2] Cyfry ilości importowanych towarów, tudzież pobranego od nich cła podane są podług urzędowych publikacyj bułgarskiego bióra statystycznego. Wartość zaś towarów obliczona jest ze sprawozdań nadgranicznych komor celnych na podstawie pobieranego przez nich cła w stosunku 8% od wartości towarów.

1883 rok budżecie preliminował dochód z cel (od importu) w kwocie 3,700.000 co odpowiadałoby wartości importu na 46,750.000. a następnie dwa lata po 5,000.000 co wynosiło wartość importowych towarów na przeszło 62,000.000. Nie mając zamiaru w tym krótkim artykule przedstawiać wyczerpującego obrazu stosunków handlowych — lecz szkic doraźny do kilku poglądów dla szerszej publiczności, możemy tedy dla zwięzłości i krótkości, bez zbytecznego oddalania się w tę lub ową stronę od rzeczywistości, przyjąć za podstawę dla naszych obliczeń rok 1880 i 1881, jako lata normalne i przeciętne, a to tem bardziej, że najdokładniejsze stosunkowo cyfry sprawozdań odnoszą się do nich właśnie, a zwłaszcza do drugiej połowy 1880 (od 1 lipca do 31 grudnia) i do całego następnego roku. Są zresztą jak czytelnik — niżej się przekona — i inne przyczyny, które pozwalają nam ten tylko peryod uwzględniać.

W okresie tym na 72 różnych rodzajów towarów sprowadzo- do Bułgaryi (rozumiemy tu Bułgaryę północną — księstwo bułgarskie) złożyło się 9 różnych państw a mianowicie: Austro-Węgry, Anglia, Rumunia, Turcya, Włochy, Francya, Serbia, Rosya, Niemcy nie licząc innych drobnych partyj, które wszystkie razem wzięte dostarczyły 4%—8% wartości całego importu.

Najpoważniejszą rubrykę przywozu stanowi *sól*, której sprowadzono:

w ciągu całego 1880 roku 23,151.182 ok za 13,862.212·5 lewów
„ „ 1881 „ 17,061.322 „ „ 12,557.687·5 „ [1]

Artykuł ten mimo jego pierwszorzędnej niezbędności oscyluje w imporcie z powodu nieuregulowanych stosunków handlowych. Dostaje się on przeważnie z Rumunii, dokąd kupcy bułgarscy mieli niczem nietamowany przystęp, dopóki bezpośrednio nabywali sól od rządu rumuńskiego. Gdy jednak rząd ten monopol jej oddał w ręce jednego przedsiębiorcy, a ten podwyższył cenę, nastały ciężkie czasy

[1] Podajemy tu obliczenie wartości soli podług ilości cła powziętego na granicy bułgarskiej. Ilość ta figuruje w wykazach statystycznych bułgarskich jako 8% wartości towaru. Tak się rzecz ma co do wszystkich artykułów przywozowych: ale sól i tytoń podług traktatów zawartych z Turcyą, Austryą i Rumunią stanowią wyjątek, i cło od nich pobierało się w stosunku 6%. Jeźli więc kwota cła solnego za rok 1880 podana w ilości 1,108.977 lewów jest 6% wartości, to wartość ta znacznie będzie wyższą niż podałem w tekście i wyniesie 18,482.950 nie zaś 13,862.212·5 lew.

dla konsumentów bułgarskich. Usiłowano wywołać konkurencyę ze strony Austryi na razie jednak usiłowania te spełzły na niczem, z powodu przeszkód komunikacyjnych, zwłaszcza w żegludze dunajskiej. To też w następnych latach na sejmie podnoszono skargi i domagano się, aby sam rząd bułgarski, zmonopolizowawszy handel tym artykułem, wszedł w układy bądź z Rumunią, bądź z Austryą, bądź z Włochami. Po soli poważną rubrykę przywozu przedstawiają następujące artykuły:

	rok	ilość metr.	wartość w lewach
Wyroby bawełniane	1880	1,076.985	3,621.100
	1881	2,093.295	5,557.950
Manufaktury	1880	203.399	2,436.487·5
	1881	652.226	3,708.862·5
		ok	
Przędze bawełniane	1880	898.721	3,576.812·5
	1881	1,569.769	5,779.550
Towary norymberskie	1880		2,906.312·5
	1881		1,937.525
Cukier	1880	1,686.449	1,673.362·5
	1881	1,865.000	1,923.537·5

W dalszym następstwie idą wyroby wełniane, napoje alkoholiczne, materyał budulcowy, wyroby metalowe, suknie gotowe, skóry garbowane, ryż, kawa, owoce i jarzyny. Najniższą pozycyę przedstawiają przygodne rubryki jak jęczmień lub kukurydza, tudzież produkty małym cieszące się dotychczas odbytem: substancye mineralne, węgiel, machiny rolnicze i t. d.

Dochód z ceł (od towarów przywozowych) przynosił rządowi bułgarskiemu w owych latach od 3,700.000 do 5,000.000 lewów, czyli przeszło 12.30% wszystkich dochodów skarbowych księstwa, a wartość towarów wykazana urzędownie 58 do 62 milionów. Wartość ta jednak w rzeczywistości była znacznie wyższą, nie tylko ze względu na przemytnictwo od granicy serbskiej i rumuńskiej (towarów europejskich), lub na obniżeniu ceny na deklaracyach podawanych przez kupców, ale jeszcze bardziej z powodu otworzenia granicy rumelijsko-bułgarskiej. Granica ta od samego początku istnienia księstwa nigdy pilnie nie strzeżona, została prawnie otwartą a więc i cła obustronnie zniesiono w skutek umowy zawartej

w 1884 roku, między rządami bułgarskim i rumelijskim. Zniesienie ceł miało się tyczyć oczywiście tylko produkcyj miejscowych obu krajów, nie zaś zagranicznych i tylko ten produkt miał być wolny od cła, który zaopatrzony był świadectwem władzy gminnej i rządowej jako pochodzenia miejscowego. Że zaś takie świadectwa łatwo się uzyskują, a kontrola wielce jest utrudnioną, przeto nic dziwnego, że mnóstwo towarów obcych wcisnęło się tą drogą z jednego kraju do drugiego.

Co do miejsca pochodzenia towarów w całej masie importu nie jednakowym bywa stosunek mocarstw, stawających do współzawodnictwa na targu bułgarskim, niejednakowy i nierównomierny tak pomiędzy niemi samemi, jak każdego z nich do ogółu. Na XVI. kategoryj, obejmujących całość przywozowej produkcyi zagranicznej w Bułgaryi następujący zachodził stosunek co do ilości rodzajów towarów między różnemi państwami: Austrya dostarczyła 54 rodzajów produktów. — Anglia 33. — Niemcy 8. — Włochy 8. — Rumunia 27. — Rosya 19. — Serbia 25. — Turcya 48. — Francya 35. — Wszystkie inne państwa 35.

Aczkolwiek rozmaitość i różnostronność towarów eksportowych danego kraju świadczy niekiedy o produkcyjności, wydatności i sile eksportowej onego, to jednak nie zawsze chodzi ona w parze z wysokością dochodu, z sumą wartości eksportu lub importu I tak:

48	rodzajów towarów	wprow.	z Turcyi	miały	wartość	6,528.687·5	lew.
27	„	„	„ z Rumunii	„	„	8,506.587·5	„
			albo				
25	„	„	„ z Serbii	„	„	1,973.487·5	„
8	„	„	„ z Włoch	„	„	6,833.875	„

Ale dla Austryi oba te czynniki zgodnemi się okazały, bo widzieliśmy, że wprowadza ona do Bułgaryi największą rozmaitość towarów, i jak niżej zobaczymy — towary te przedstawiają najwyższą wartość, oraz przynoszą najwyższą sumę dochodu z importu do Bułgaryi.

Najwyższą pozycyę importu austryackiego stanowi *przędza* i *tkaniny*, od których cło wyniosło:

w II. półroczu 1880	w 1881 roku
111.037 lew.	239.418 lew.

Ten sam artykuł przyniósł zreszty państw:

325.883 lew.	942.971 lew.

Bezpośrednio w dalszem następstwie idą *manufaktury*, których import przyniósł:

Z Austryi	95.950 lew.	226.893 lew.
Z innych państw	144.429 „	245.830 „
Napoje z Austryi	42.935 „	212.184 „
Z reszty państw	54.861 „	156.755 „

Ciekawą pozycyę stanowią towary kolonialne, których import z Austryi przyniósł cło:

w II. półroczu 1880	w 1881 roku
76.715 lew.	153.137 lew.

Ten sam artykuł w tymże samym czasie przyniósł:

Z Anglii	16.983 lew.	38.311 lew.
Z Niemiec	88 „	743 „
Z Włoch	63 „	1.062 „
Z Rumunii	2.157 „	158 „
Z Rosyi	5.149 „	3.994 „
Z Serbii	567 „	642 „
Z Turcyi	11.980 „	25.394 „
Z Francyi	19.174 „	46.216 „
Z innych państw	4.121 „	5.720 „
Suma	60.282 lew.	122.240 lew.

Stosunek więc tej pozycyi importu austryackiego do takiejże pozycyi wszystkich innych krajów był mniej więcej jak 76:60 tudzież 153:122, a do całości importu tej pozycyi jak 76:136—153:275. Najwyższą pozycyę importu angielskiego stanowią przędze i tkaniny, od których cło wynosiło:

w II. półroczu 1880	w 1881 roku
233.728 lew.	778.394 lew.

Ten sam artykuł w tymże czasie przyniósł:

Z Austryi	111.037 lew.	239.418 lew.
A z reszty państw	92.155 „	164.567 „

Najwyższą pozycyą rosyjską: skóry (surowe i preparowane)	8.249	lew.	43.390	lew.
Tenże artykuł z Austryi przyniósł	21.139	„	50.534	„
A z reszty państw	52.052	„	159.148	„
Najwyższą pozycyą włoską: produkty mineralne	145.353	„	424.302	„
To samo z Austryi	16.510	„	39.029	„
Z reszty państw	495.434	„	694.727	„
Najwyższą pozycyą rumuńską: również produkty mineralne	429.104	„	565.881	„
To samo z Austryi jak wyżej	16.510	„	39.029	„
Z innych państw	211.683	„	553.148	„
Najwyższą pozycyą francuskiego importu: manufaktury	28.223	„	77.554	„
To samo z Austryi	95.950	„	226.893	„
Z innych państw	116.206	„	168.276	„
Najwyższą pozycyą niemiecką: skóry	454	„	6.834	„
To samo z Austryi	21.139	„	50.534	„
Z innych państw	59.847	„	195.705	„
Najwyższą pozycyą turecką także skóry	26.976	„	81.050	„
Tudzież owoce i jarzyny	32.916	„	64.310	„
Ten sam produkt z Austryi	950	„	696	„
Z innych państw	7.697	„	10.265	„
Najwyższą pozycyą serbską: napoje	27.287	„	57.998	„
To samo z Austryi	42.935	„	212.184	„
Z innych państw	28.574	„	98.757	„

Pomijając pozycyę włoską i rumuńską w których najważniejszą rolę odgrywa sól, a znaczenie eksportowe tego produktu względnie do Austryi zaznaczyliśmy powyżej, — stanowisko Austryi wypada w ogromnej większości pozycyj przeważnie najkorzystniejsze. Najwyższe jej pozycye zajmują poważne stanowisko względnie do najwyższych pozycyj innych państw, a stosunek ogólny wszystkich pozycyj europejskich do austryackich stanowczo wypada na korzyść Austryi. Import jej do Bułgaryi wytrzymuje zwycięskie spółzawodnictwo nawet na takim terenie, który oddawna w opinii publi-

cznej uważany był za niedostępny dla niej, a niezdobyty dla innych, np. w rubryce skór, w porównaniu z Rosyą, albo towarów kolonialnych w porównaniu z Anglią, Francyą, Włochami i Turcyą.

Następująca tablica pouczy o pierwszym stosunku:

		z II. półrocza 1880		za rok 1881	
		Austrya	Rosya	Austrya	Rosya
Skóry surowe	Oka	858	15.229	1.370	2.670
	wartość	6.162·5 l.	34.812·5 l.	16.750 l.	511.450 l.
Skóry przygotowane do użycia (wyrobione, preparowane	Oka	26.158	. . . . .	35.077	6.669
	wartość	111.850 l.	1.200 l.	208.250 l.	18.637 l.
Wyroby skórzane	Oka	6.239	1.900	4.831	. . . . .
	wartość	146.225 l.	67.100 l.	406.675 l.	12.287·5 l.
Suma	Oka	33.255	17.129 †	41.278	9.369 †?
	wartość	264.237·5 l.	103.112·5 l.	631.675 l.	542.375 l.

Stosunek w imporcie towarów kolonialnych zaznaczyliśmy powyżej.

Zwycięzka konkurencya Austryi obejmuje nawet takie artykuły, które są specyalnie miejscowym produktem z ustaloną już sławą. Istnieje w Bułgaryi wyrób t. z. *gaetanów* [1]. Jest to rodzaj szmuklerskiej roboty, zastosowanej do potrzeb, gustu i ustroju ludności orientalnej Bałkańskiego półwyspu. Bułgarscy rękodzielnicy od wieków słynęli z tego wyrobu. To też rozchodził się on w znacznej ilości po Wschodzie, począwszy od Bośni z Hercogowiną, a sięgając do Rosyi. W 1881 z samego Księstwa (nie licząc Rumelii i Adrianopolskiej prowincyi, gdzie rozwój tej produkcyi jest wyższy) wywóz tego artykułu do sąsiednich prowincyj dochodził wartości 231.400 lewów. Rząd austryacki po okupacyi Bośni i Hercogowiny sprowadził tam zdolnych robotników gaetanu z Bułgaryi i zaczął wyrób tego artykułu w prowincyach okupowanych, tak że teraz nie tylko wskutek tego zmniejszył się wywóz onego do Bośni z Bułgaryi, ale austryacki jego wyrób dostaje się nawet do Księstwa i już w 1881 eksport jego do Bułgaryi reprezentował cenę 3.500 lewów.

[1] Passementerie.

Każda znaczniejsza rubryka eksportu austryackiego przy bliższem rozpatrzeniu się rzuca światło na zagadkę jego powodzenia wobec innych zagranicznych towarów. Z powyższej tablicy produktów skórzanych widzimy, że gdy wartość 1 oka wyrobów skórzanych austryackich wynosi 23 lewów, takaż ilość tychże wyrobów rosyjskich — 35 lewów. Na skórze surowej jeszcze widoczniejsza różnica: tu już żadnego nie ma porównania między jedną a drugą produkcyą.

Taniość więc — to rozstrzygający czynnik powodzenia produkcyi austryackiej. Codzienna praktyka zupełnie stwierdza ten pewnik. Jeśli w Filipopolu lub Sofii parę butynków wiedeńskich kupić można za 10—12 franków, a za rosyjskie lub miejscowego wyrobu płacić trzeba 20—24 franków, to konkurencya dla wyższych cen jest nader trudną, choćby nawet inne warunki towaru (np. dobroć i trwałość jego) były po stronie tych ostatnich.

Obok taniości niepoślednią rolę odgrywa umiejętność zastosowania się do gustu, zwyczaju i wymagań miejscowych konsumentów. Europejskie fabryki wogóle nadają bardzo często wyrobom przeznaczonym dla Wschodu zupełnie inną postać, niż dla własnych konsumentów. Począwszy od Sawy i Dunaju aż w głąb Persyi spotykają się towary europejskie, których nigdy nie znajdziesz w Europie. Czy to będą tkaniny jedwabne przetykane srebrem, czy bawełniane wyroby na turbany i do użytku kąpielowego, czy paciorki szklanne, ozdoba niewiast wschodnich, czy fezy na pokrycie głów mężczyzn, wszystko to będzie towar wyłącznie przeznaczony dla Orientu, towar, którego zgoła nie ma w handlu europejskim, chyba jako oddzielne egzemplarze na okaz dla ciekawości, lub na nowo importowane ze Wschodu. Austryaccy fabrykanci celują w tej specyalności a z powodu cen niższych zwycięsko wychodzą z współzawodnictwa.

Pomijając bliższe rozpatrzenie się w tym jako też w dalszych warunkach odbytu austryackiego, przystępujemy do streszczenia jego ostatecznych rezultatów.

Tak więc wniesiono do Bułgaryi towarów wartości:

	od 1 lipca do 31 grudnia 1880	1881 rok
Z Austryi	6,237.038 lew.	14,721.238 lew.
„ Anglii	4,336.725 „	13,555.713 „
„ Rumunii	6,317.525 „	8,506.588 „

Z Turcyi	2,819.563 lew.	6.528.687 lew.
„ Włoch	2,107.900 „	5,822.875 „
„ Francyi	1,037.312 „	3,019.800 „
„ Serbii	663.575 „	1,993.487 „
„ Rosyi	482.550 „	1,206.637 „
„ Niemiec	50.150 „	286.875 „
Z innych państw	5,304.987 „	2,834.200 „
Suma	26,357.325 lew.	58,487.100 lew.

Czytelnik ławo wysnuje z tej tablicy daleko sięgające wnioski. I tak, mając na względzie przemytnictwo, deklaracyę towarów zwykle znacznie niżej podawaną przez kupców na granicy, to znów towary nieoclone idące na własny użytek przejezdnych i t. d. może śmiało podnieść powyższą cyfrę importu austryackiego do wysokości 30 milionów franków. A że Rumelia jest bogatszym krajem od księstwa i ma daleko większą liczbę konsumentów na zagraniczne towary nie tylko w żywiole bułgarskim, ale tureckim i greckim, które tam są liczniejsze niż w księstwie, a przeto cyfra importu austryackiego sięgnie tam do 40 milionów, czyli łącznie z księstwem do 70 milionów. Serbia jest lepszym konsumentem towarów europejskich niż kmet belowski a Rumunia dwa razy ludniejsza od Bułgaryi i dwa do trzech razy pochopniejsza na produkcyę europejską — wskażą przeszło czterysta kilkadziesiąt milionów wartości kursującego u nich towaru austryackiego. Gdy nareszcie weźmiemy Macedonię, Czarnogórę, Grecyę, Albanię i w końcu właściwą Turcyę — największą konsumentkę produkcyi europejskiej — to wartość towarów austryackich na Bałkańskim półwyspie sięgnie rocznie około 1 miliarda franków, czyli, że drogą podatków państwowych austryackich ciążących na tej wartości, monarchia Austryacka zaangażowaną jest co najmniej 16 częścią swych dochodów skarbowych w losach półwyspu Bałkańskiego. Takie wysnuć może wnioski czytelnik bujnej fantazyi.

My jednak mając na uwadze tylko powyższą tablicę, ograniczamy się stwierdzeniem tego niezbitego faktu, że Austrya wprowadza do Bułgaryi rocznie towarów wartości przeszło $25{\cdot}_2\%$ całego importu wszystkich państw, czyli przeszło 4-tą część, gdy Anglia $23{\cdot}_2\%$. — Rumunia $14{\cdot}_5\%$. — Turcya $11{\cdot}_2\%$. — Włochy $10{\cdot}_0\%$. — Francya $5{\cdot}_2\%$. — Serbia $3{\cdot}_4\%$. — Rosya $2{\cdot}_0\%$. — Niemcy $0{\cdot}_5\%$. —

Reszta państw 4.8%. Na razie więc możemy zaznaczyć, że najpoważniejszym współzawodnikiem handlowym Austryi w Bułgaryi jest Anglia.

Oczywiście — z chwilą otworzenia linii kolei żelaznej Nisz-Sofia-Wakarel-Belowa, otwierającej dla Austryi wnętrze Bułgaryi i łączącej prostą drogą Wiedeń z Konstantynopolem, stosunki handlowe ulegną zmianie. Ale jakiej?

Bułgarzy nadzwyczaj pochopni są do postępu, który u nich zadziwiająco szybkie robi kroki. Zaledwo minął rok od obrad kongresu berlińskiego, który otworzył przystęp Europie do Bułgaryi, a metamorfoza tego kraju zaczęła się odbywać jakby za uderzeniem różczki czarodziejskiej: miasta zmieniały swoją fizyognomię, a ludzie przekształcali się nie do poznania, zrzucając strój dotychczasowy i zmieniając go na europejski, przyswajając sobie nowe potrzeby, nowe warunki życia, które pociągały za sobą gorączkę w ruchu handlowym. Działo się to nie tylko w jednym momencie, ale się powtarza ciągle przy każdem wstrząśnieniu politycznem lub społecznym. Wojacy wracający z wojny serbskiej, gdzie walczyli jak prawdziwi Scytowie w skórach baranich i *carwulach*[1] na nogach, zaledwo wstąpili w mury miasta rodzinnego, zjawiali się nazajutrz na ulicach onego w żakietach i sztyfletach wiedeńskich, z kapeluszem beaconsfildowskim na głowie. W styczniu 1886 roku znaczna część armii stała pod bronią na granicy, urągając wiatrowi bałkańskiemu, deszczowi i zaspom śnieżnym, a w maju kiedym był na jednym odpuście monasteru leżącego u stóp Rodopów, gdzie się zebrało kilkanaście tysięcy włościańskiego ludu, widziałem jak zwycięscy zpod Śliwnicy tańczyli na zielonej murawie *choro*[2] narodowe pod tysiącem świeżo sprowadzonych z Wiednia parasoli austryackich, chroniąc swe głowy od ciepłych promieni słońca, te same głowy, których nie uczuwali potrzeby chronić przed nawałą i śnieżycą bałkańską.

Po otwarciu kolei Nisz-Sofia-Wakarel, tudzież uzupełnienie linij południowo-bułgarskich (Filipopol-Jamboli-Burgas) i przepro-

[1] Chodaki ze skóry surowej.

[2] Narodowy taniec bułgarski wykonywany w kole liczącem nieraz po kilkaset osób.

wadzeniu projektowanej linii południowej, mającej połączyć Sofię z Dunajem — postęp ten, oczywiście musi być jeszcze ważniejszym. Aczkolwiek bowiem towary austryackie są tanie w porównaniu z innemi towarami europejskiemi, to jednak ceny ich bułgarskie są za wysokie do cen wiedeńskich; również daje się uczuć różnica między cenami, w miejscach przylegających bezpośrednio do punktów, związanych z wielką arteryą komunikacyi wodnych lub kolejowych, a tych, które są od owej arteryi oddalone o kilka dni drogi wozowej. Inna jest cena towaru w Filipopolu lub Ruszczuku, niż np. w Sofii, Śliwnie lub Tyrnowie.

Ale też w owych czasach handel austryacki będzie musiał przejść przez dobę przesilenia i w niejednym kierunku zmienić rodzaj swojej produkcyi, bo w miarę zwiększania się popytu na towary europejskie, zmniejszać się będzie musiał popyt na orientalne, i fabryki austryackie zniewolone zostaną do stopniowego uszczuplania produkcyj tych artykułów, którym nadają cechy gustu oryentalnego i które dotychczas przeznaczone wyłącznie do eksportu na Wschód.

Na tem jednak nie zakończy się przesilenie. Producenci austryaccy muszą być przygotowani na to, że się spotkają z oporem producentów krajowych w Bułgaryi. W miarę postępu i rozwoju potrzeb europejskich na szerszą skalę, wzrasta u Bułgarów dążność do obrony własnego rodzinnego przemysłu. Jeśli więc dotychczas nie została wykończona linia Carybrod, Sofia, Wakarel, mimo że w myśl konwencyi czterech państw zawartej w 1884 r. powinna już była być gotową w r. 1886 w jesieni[1], to przyczyna leży po części w niedostateczności środków rządu i przedsiębiorstwa, a po części w zewnętrznych wpływach, niechętnych ze względów politycznych takowemu połączeniu sieci żelaznych. W Bułgaryi co prawda, nie bardzo smucono się z tego powodu, owszem dość się wzmagało tam pragnienie aby wykończenie i eksploatacya tych linij odwlokła się jak najdłużej, by miejscowe fabryki i produkcya miały czas podnieść się i rozwinąć siły. *Narodne Sobranje* różnemi aktami prawodawczemi niejednokrotnie dawało poparcie produkcyi miejscowej,

[1] *Conference à quatre* tj. między Austryą, Serbią, Bułgaryą i Turcyą art. 10-ty.

a nawet zobowiązało rząd, aby przy liwerunkach państwowych uwzględnił przedewszystkiem producentów krajowych, choćby nawet ceny ich były o 5% wyższe — oczywiście *caeteris paribus* [1].

Niektóre gałęzie tej rodzinnej produkcyi przy największem wysileniu i najbardziej rozwiniętym systemie protekcyjnym nie mają przyszłości nawet bez linii Nisz-Wakarel, inne natomiast mają świetną przyszłość przed sobą pomimo tej linii. A wobec tego nie łatwe czeka zadanie tak agentury handlowe jak konsulaty austryackie na półwyspie bałkańskim. Muszą one śledzić różnostronne objawy, a nawet w danym razie przewidzieć je w tej lub owej fazie.

Jan Grzegorzewski.

[1] Teraz zrozumie czytelnik dlaczegośmy wybrali za podstawę naszych powyższych obliczeń II. połowę roku 1880 i 1881; nietylko bowiem wiadomości z tego okresu są najdokładniejsze, ale przed nim niedość się jeszcze były ustaliły stosunku celne i handlowe z nowem państwem, a po tej epoce zaczął się rozwijać prąd systemu protekcyjnego.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Kronika, nie historya.

Puławy (1762—1830). Monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie, opracował *Ludwik hr. Dębicki* z pięcioma rycinami. Tomów dwa. Lwów 1887.

„...Panowanie Stanisława Augusta jest chwilą zagłady, ale i początkiem dźwigania się Polski; epoka to nieskończona, jej historya jest jakby historyą każdego z nas... wyliczając grzechy pokolenia, z którego dzisiaj w grobach już tylko prochy zostały, nam potomnym nie godzi się zapomnieć, że od niego to zaczynają się dzieje narodowej pokuty, że jeśli grzechy jego były ostatnią przyczyną upadku, to jego cierpienia i trudy stały się zadatkiem odrodzenia; że od tej głównie epoki weszła w rachubę sił narodowych tajemnicza moc ofiary, która sprawiedliwość Bożą wciąż przejednywa, i nawet po klęskach śmiertelnych naród jeszcze cuci; że więc jeśli jest za co obwiniać, jest za co być wdzięcznym, że wreszcie do historyi należy zarówno to wykazywać, co kraj rozstroiło, jak i to co go podnosi, krzepi i uszlachetnia“. Tak przemawia najgłębszy znawca naszych dziejów z czasów rozbiorowych, świeżo zgasły, lecz dziełami swemi nieśmiertelny[1] ...tej samej prawdzie

[1] *Ks. Waleryan Kalinka.* Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, str. 49—50.

powyżej przypomnianej, daje nowy a żywy wyraz książka *Puławy*, z której tu właśnie sprawę zdać chcemy. — „Polska przebyła w chwilach pogromu, podwójny proces: upadku bytu politycznego a odrodzenia duchowego i cywilizacyjnego...“ mówi w przedmowie autor „Puław“. — „Obok historyi upadku możnaby napisać historyę odrodzenia z czasów przedrozbiorowych“, mówi dalej (str. 38), a myśl tę szerzej rozwijając, dodaje: „Narody nie żyją zawsze polityką i polityką wyłącznie, choć brakiem ducha politycznego i rozumu stanu upadać muszą... Są dziedziny poza sferą państwową i polityczną, skąd tryska źródło życia duchowego, cywilizacyjnego i społecznego, a utrzymuje się i odradza nawet wtedy, gdy byt polityczny pogrzebany... I gdy jedna chwila burzy niszczy, co wznieść zamierzali prawodawcy i reformatorowie, lub co okupione potokami krwi — posiew pracy i prąd życia wewnętrznego nie ginie, nowe rodzą się siły i łańcuch pokoleń rozrywany ustawicznie, wiąże się znów ogniwami myśli, ducha, obyczaju, tradycyi, literatury, sztuk, nauk, religii...

Tym to właśnie „ogniwom myśli, ducha, obyczaju, tradycyi etc.“, łączącym wewnętrzne życie pokoleń z czasów rozbiorów i porozbiorowych, tym ogniwom, których główny węzeł autor słusznie widzi w owym czasie zadzierzgnięty w Puławach, poświęcona jest ta jego „monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie“, opracowana. W tem właśnie przypomnieniu i uwidocznieniu lepszej strony tego łańcucha tradycyi, który w pamięci młodszych pokoleń rwać się już poczynał, wielka tej książki zasługa i główna jej wartość.

Pierwszy tom „Puław“ obejmujący czasy Rozbiorów, Sejmu czteroletniego, Targowicy i ostatecznej katastrofy, jest właściwie tylko wstępem, tłem do tego obrazu, który autor szkicuje nam w tomie 2-gim a zamyśla dopełnić jeszcze w tomie 3-cim nazywając te czasy „epoką puławską“, od chwili gdy księżna Izabela Czartoryska w r. 1796 powraca do zburzonych Puław, „gdy Warszawa i Kraków przechodzą z rąk do rąk obcych rządów, gdy Puławy powstają z gruzów“ i gdy dziwnym zbiegiem okoliczności „na uboczu na wsi polskiej, w zamku polskiego pana“ tworzy się główne ognisko narodowego, towarzyskiego, literackiego, naukowego a chwilami

i politycznego życia polskiego, przyświecające społeczeństwu naszemu aż do nowej katastrofy roku 1830. Otóż ten 2-gi tom Puław, pisany jak cała ta książka z wielkim wdziękiem i prostotą, pełen jest nowej treści zaczerpniętej z bogatego archiwum i rozszerza niemało naszą wiedzę historyczną o tych czasach. Ktoby zaś już w pierwszym tomie tego dzieła szukał przedewszystkiem nowych faktów, anekdot i rysów obyczajowych odsłoniętych po raz pierwszy z archiwalnych arkanów, i rzucających nowe światło na czasy naszego upadku, dozna rozczarowania. Gdyż oprócz listu Szczęsnego Potockiego do księcia jen. ziem podolskich z dopiskami tegoż, oprócz tego dokumentu pierwszorzędnej wartości historycznej, jako też kilku nowych świadectw o cywilizacyjnem działaniu gospodarzy Puław, szczególnie w systemie wychowania młodzieży i kierowania dalszemi krokami puławskich elewów i elewek, jako też szkoły kadetów w Warszawie, niema w pierwszym tomie Puław żadnej ważniejszej wiadomości, którejby nie można znaleźć w dawniejszych pamiętnikach i głośnych publikacyach o tych samych czasach. — A już najbardziej książka ś. p. Bronisława Zaleskiego, zmarłego niestety przed ukończeniem dzieła, zużyła tak sumiennie obfity materyał domowego archiwum książąt Czartoryskich pod względem historycznym i pamiętnikowym, iż widocznie trudno było napisać coś nowego o tym samym przedmiocie na tychże samych opierając się źródłach. Możnaby nawet autorowi „Puław“ zrobić ciężki zarzut z tego, iż w 1-szym tomie swego dzieła, obejmującym te same czasy, które obrobił już był ś. p. Zaleski, powtarza bardzo wiele tych samych tekstów i wyjątków z dokumentów bogatych archiwów Puławskich (zamkniętych dziś w bibliotece Czartoryskich w Krakowie), które Zaleski już był dawniej ogłosił; a nie odwołuje się przytem wcale do jego książki wydanej zaledwie przed kilkoma laty (w r. 1881). Jednakże z drugiej strony, skoro autor chciał nam dać monografię Puław, a więc przedstawić pewną całość i ciągłość puławskiego życia i wpływu, nie można brać mu za złe, iż nie ograniczył się, przez wzgląd na książkę Zaleskiego, li tylko do czasów porozbiorowych, inaczej bowiem obraz jego nie miałby tła odpowiedniego. „Niezrozumiałą byłaby, mówi słusznie autor (tom I. str. 326) dalsza kronika tego domu, bez wyjaśnienia, prądów dą-

żeń i całego nastroju, jaki we wielkim sejmie ma swą genezę, w stronnictwie patryotycznem swe źródło...“

Jestto zresztą dzisiaj jednym ze smutnych obowiązków każdego myślącego Polaka, aby zwłaszcza gdy ma po temu sposobność z pomocą współczesnych źródeł, lub przynajmniej najznakomitszych opracowań tej epoki, wglądnął choć raz w życiu w czarną otchłań naszego upadku i po swojemu zdał sprawę sobie, a jeśli może i drugim, z wrażeń jakich doznał wśród tej pracy.

W innych dotąd szczęśliwszych krajach myślące dusze lgną do szerszych, ogólnie ludzkich, naukowych i metafizycznych zagadnień, pytają: czem jest człowiek?... czem jest świat?... zgłębiają naturę wszechrzeczy, dążą do zrozumienia wszechbytu i życia istot żyjących na ziemi, lub do wykrycia sprężyn ruchów ciał niebieskich i ziemskich, poznając coraz jaśniej ich wnętrzny układ i skład a tem samem rozszerzając i wzmacniając ludzkie nad przyrodą panowanie... U nas inaczej się dzieje, bo każdemu co ma w sobie duszę współczującą i chociażby najmniejszą żyłkę myśliciela z natury obecnego położenia naszego inna, ponad wszystkie najbliższa rzuca się w oczy zagadka, spocząć nam nie dająca, pośród ciężkiej walki o byt, cierpień bez miary i najsroższego myśli udręczenia dla tych, co by przynajmniej teoretycznie rozwiązać ją chcieli: dlaczego upadliśmy? jak się to stało? jak przyszło do tego, że świat chce, żeby nas nie było?... „Szukać i dowiadywać się mądrze o tem wszystkiem... oto tę zabawkę najgorszą“ — mówiąc słowami Ekklezyasty „dał nam Bóg, abyśmy się nią bawili“. I rzeczywiście, bawi się dziś u nas wielu dochodzeniem strasznych sądów i wyroków Bożych nad nami tak, iż cała prawie nasza nauka i sztuka, przynajmniej w najwyższych swych objawach czerpie pokarm swój niemal wyłącznie z tragedyi naszych dziejów, by nam ją naocznie wytłumaczyć, czy pędzlem czy piórem. Nic dziwnego więc, że i myślący dziennikarz w takiej żyjąc atmosferze, choć zajęty przedewszystkiem bieżącemi sprawami, skorzystał z pierwszej szczęśliwej dlań sposobności — gdy otwarły się przed nim cenne źródła — i cofnął się w przeszłość, by po swojemu zabrać głos w sprawie, która nikomu z nas obcą być nie powinna i która jest dziś u nas, rzec można, kwestyą otwartą. Tem bardziej, gdy ostatniego słowa o upadku naszym, mimo cennych prac wielu od lat stu dotąd u nas nikt

jeszcze nie wyrzekł. A skoro „historya to nieskończona“ skoro nawet akty procesu nie wszystkie są znane, nie przesądzajmyż zbyt stanowczo ani ludzi ani rzeczy.

L' histoire... c'est une chose très difficile... powiedział mi to Papież ś. p. Pius IX., gdy na pierwszej audyencyi mojej miałem zaszczyt być mu przedstawionym przez ś. p. ks. Kalinkę, jako kandydat na profesora historyi (było to jeszcze w r. 1871). „Historya to rzecz bardzo trudna“ powiedział Ojciec św. z wyrazem ostrzegającym mnie przed trudnością zawodu i, pobłogosławiwszy, poszedł dalej. Pomimo uroczystości chwili, pierwsze wrażenie miałem, jakobym był usłyszał coś bardzo banalnego... a jednak to papiezkie słowo fermentowało we mnie przez długie lata: pierwsze wrażenie przeminęło a głębokość słowa tego była dla mnie coraz widoczniejszą, i w końcu — nie zostałem historykiem. Miło mi też było spotkać się niedawno po raz drugi, niby z dobrym znajomym na drugiej półkuli, z tem samem o historyi zdaniem tam gdzie się najmniej tego spodziewać mogłem. W głośnej historyi „początków Francyi dzisiejszej“, w przedmowie do drugiego tomu rewolucyi p. Taine przyznaje się wreszcie, iż wciągu swej 10-cioletniej pracy historycznej, nie mogąc dojść do żadnych przekonań politycznych, znalazł przecie pierwszą zasadę *un principe* jak powiada: *je n'en ai guère trouvé qu'un, si simple qu'il semblera puéril et que j'ose à peine l'enoncer... Il consiste tout entier dans cette remarque qu' une société humaine, surtout une société moderne est une chose vaste et compliquée. Par suite, il est difficile de la connaître et de la comprendre...*

Dzieląc szczerze powyższe przekonanie i wracając do rzeczy, myślę że należy tylko być wdzięcznym autorowi za jego „kronikę nie historyę“, (jak sam w przedmowie swoje „Puławy“ nazywa); gdyż pominąwszy niektóre błędy i niedokładności, łatwe do poprawienia w drugiem wydaniu, którego się „Puławy“ zepewne wkrótce doczekają, zaznajamia nas ta książka niejako osobiście z wieloma postaciami, które w niej występują, pozwala nam razem z niemi myśleć, marzyć, walczyć, bawić się i płakać, oddychając wonią ich staroświeczczyzny stokroć młodszej, goretszej i żywszej od wszystkiego co dziś w koło nas widzieć można. Bo w tej książce, jak słusznie mówi jeden z pierwszych recenzentów Puław ...„epoka

ta i ci ludzie rozmawiają i działają, czasem nawet myślą głośno, od ostatniej elekcyi do powstania Kościuszki w pierwszym tomie: od pierwszej formacyi legionów do trzeciego pobytu Aleksandra I. w Puławach. Co za czasy! Najświetniejsza fantazya poety i groza tragiczna dramaturga nie mogłyby się złożyć na coś bardziej porywającego i przejmującego zarazem . . ." [1] Szczególnie drugi tom Puław najwięcej poucza i daje do myślenia, gdy się widzi jakto potrzeba nam było naraz aż dwóch mocarzy „wybawców" i „oswobodzicieli" na to, by w końcu zajść tam gdzie dziś jesteśmy . . . Możnaby na ten temat długą napisać rozprawę, mogłaby ta opowieść natchnąć do powieści, która byłaby antytezą wielkiego romansu historycznego „Wojna i Pokój" Tołstoja, osnutego, jak wiadomo, na tle tychże samych czasów . . . lecz na to przyjdzie pora może dopiero aż — w dwudziestym wieku . . . .

Dr. Ignacy Skrochowski.

Wiara i niewiara, w stosunku do szczęścia osobistego. Napisał *Ks. Z. Szczęsny.* Lwów 1886. str. 360.

Pragnienie szczęścia osobistego to jakby treść istoty naszej, z której nawet najokropniejszy pesymista wyzuć się nie zdoła. Najlepsze to więc pole do walki z niedowiarstwem, bo na tem polu nawet ateusz przyjąć musi rzuconą rękawicę. A wspólność zasady, na której się stawia budowę argumentów, nieodzowną jest w każdej kwestyi spornej. To też dostojny autor, — piszący z swej pustelni w Dźwiniaczce pod nazwą ks. Szczęsnego, bardzo trafnie postawił szczęście, jako probierz wiary i niewiary.

W przedmowie znajdujemy obrazek nie zmyślony, lecz wzięty z życia, a pełen wdzięku ciepła i dramatyczności. Treścią jego jest krótkie życie młodzieńca, którego matka dzieckiem jeszcze wyratowała z topieli, ale ofiarą własnego życia. Sierota wchodzi na drogę życia bez żadnej opieki ludzkiej. Wziął tylko z sobą obraz N. Panny, przed którym, według przyrzeczenia danego konającej matce, codzień miał zmówić Pod Twoją obronę. W szkołach złe otoczenie niszczyło powoli dziecięcą pobożność sieroty — aż wreszcie wyziębiło w nim wiarę i skaziło serce zepsuciem. Wreszcie pogarda samego siebie doprowadziła go do rozpaczy a rozpacz do samobójstwa: wystrzałem z rewolweru śmiertelną zadaje sobie ranę. Po dokonanym dopiero czynie budzi się w nim żal i powraca dawna wiara. Wzywa więc kapłana, starego przyjaciela swego, ze łzami rzewnej skruchy spowiada się przed nim i z gorącą ufnością w miłosierdzie Boże, kończy krótki a bolesny swój żywot. Wierność w modlitwie do N. Panny ocaliła duszę młodziana. Obrazek ten tłumaczy nam genezę niniejszego dziełka. Umierający bowiem młodzieniec, opowiedziawszy spowiednikowi

[1] W odcinku *Gazety lwowskiej* z 25-go września 1886 r.

dzieje własnego serca, prosił go gorąco, aby on tę krwawą walkę sieroty i te prawdy Boże, które tak łatwo utracić, a tak trudno odzyskać, zechciał „przedstawić ludziom tak jasno, tak żywo, jak się one w duszy umierającego przedstawiają". Kapłan ów nie mógł sam spełnić tego życzenia, uprosił więc ks. Szczęsnego, by go w tem wyręczył. Ks. Szczęsny też chlubnie ze swego zadania się wywiązał.

Dziełko całe podzielone jest na 18 rozdziałów, w których na podstawie szczęścia osobistego buduje autor pomost między niewiarą a wiarą. Rozdział I. stwierdza fakt powszechnej gorączki szczęścia doskonałego. Wszyscy pragną go całą swą istotą, lecz wielu odrzuca szczęście rzeczywiste a goni za jego cieniem, za mrzonką nigdy nie ziszczoną. „Był czas, kiedy z fanatycznym łatwowierności zapałem szukano filozoficznego kamienia, co wszystkie kruszce w złoto miał przemieniać: dziś szkolne pacholęta wyśmiewają dobroduszną alchemików prostotę, a za to poważni filozofowie i głośni publicyści bawią się w urządzanie banków, co wszystkim potrzebującym złota dostarczać będą, lub marzą o społeczeństwie bez religii, małżeństwa, własności, w którem ideał szczęścia urzeczywistnionym wreszcie zostanie". Tutaj udowadnia autor istnienie Boga i nieskończoną Jego doskonałość. Doskonałość ta sama jedna tylko człowiekowi zupełne szczęście dać może. Czemuż jednak tak wielu wyrzeka się tego szczęścia jedynego? Pytanie to rozwiązuje autor w rozdziale II. Wiemy z Objawienia, że doskonałe szczęście gotuje Bóg człowiekowi w porządku nadprzyrodzonym — więc dar, którego on ani prawem przyrodzonem ani osobistą zasługą nabyć nie może, dar łaski o którą prosić i której poddać się trzeba z pokorą. Przeciwko temu poddaniu się bunt podnosi pycha człowiecza i gardzi drogocennym darem. Może też w tem miejscu należało wykazać najprzód, że i w porządku przyrodzonym sam Bóg tylko mógłby uszczęśliwić człowieka; a dopiero z tego pewnika wysnuć konieczność Objawienia i porządku nadprzyrodzonego, opierając się na ułomności naszej, która nam na wyżynie miłości Bożej utrzymać się nie pozwala. Autor pomijając to przejście staje odrazu na gruncie nadprzyrodzoności i zestawia jej zasady z zasadami racyonalizmu, aby w rozdziale III. rozsądzić, „czy pojęcie szczęścia doskonałego może się pogodzić z poglądami racyonalistów"? Różnobarwny ten obóz niedowiarków dzieli on według stosunku ich do Boga, na ateistów, panteistów i deistów, przypatrując się każdej z tych grup zosobna. Oczywiście żadna z nich nie posiada różczki czarodziejskiej, zdolnej skutecznie zakląć wszystkie nędze społeczne i nasycić jednostki pełnią doczesnego szczęścia. O wiecznem zaś szczęściu nie ma tu mowy nawet w programie deistów. Racyonaliści w ogóle obwiniają religię, że odmawia człowiekowi wszelkich dóbr doczesnych, wszelkich niewinnych nawet uciech, owszem skazuje go na same tylko utrapienia i boleści, podczas gdy racyonalizm otwiera nam drogę do używania w całej pełni wszelkich dóbr ziemskich. Autor w rozd. IV. zbija ten zarzut, wskazując głównie na pokój sumienia i nadzieję wieczności. Owszem w rozdz. V. pięknie dowodzi on, że religia nawet w sferze doczesnej, a nawet w materyalnem szczęściu bez porównania wyższą i doskonalszą jest dźwignią, niż wszelka samowola uczuć i postępowania. Racyonalizm zaś zamiast podnosić materyalny dobrobyt społeczeństwa właśnie pogarsza go w ogóle, a w szczególności wzmaga nędzę proletaryatu. (Roz. VI.) Kościół przeciwnie, idąc za głosem Boskiego Założyciela swego, miłosierdziem swem otacza

świat cały, a w poświęceniu żadnych nie zna granic. (Roz. VII.) Porównanie też działania Kościoła i racyonalizmu około polepszenia losu służących i robotników, wypada na niekorzyść niedowiarstwa. (Roz. VIII.) Złote zapisał autor słowa o stosunkach naszego obywatelstwa do włościan. Warto choć cząstkę ich tu przytoczyć. „Nie masz wątpliwości, pisze on, iż równouprawnienie u nas włościan w takim tylko razie wyda prawdziwie zbawienne owoce dla całego społeczeństwa, jeśli klasa najoświeceńsza dotąd i sama jedna przez tyle wieków na straży interesów narodowych stojąca, dorośnie duchem do wzniosłego posłannictwa swego, jeśli pełna miłości i poświęcenia pobudki osobistych korzyści zdeptać potrafi, a podawszy od serca dłoń bratnią niegdyś poddanym a dziś sąsiadom swoim, do przyśpieszenia politycznej i moralnej dojrzałości dopomódz im zechce. Wówczas nowa era dla nieszczęśliwego narodu naszego zabłyśnie [a wszystkie poniesione straty i przetrwane klęski pomyślniejsza przyszłość wynagrodzi (str. 121)“. Jak na polu dobroczynności tak i w posłannictwie cywilizacyjnem Kościół bez porównania wyżej stoi od obozu racyonalistów. (Roz. IX.) Fakt i z dziejów świata powszechnie znany i z natury rzeczy logicznem wynikający następstwem. Teraz dopiero, rozstrzygnąwszy wszystkie te kwestye, przystępuje autor do „najobfitszego źródła pociech i utrapień“ — źródłem tem jest miłość. Z biegłością wprawnego psychologa przeprowadza analizę istoty i objawów miłości przyrodzonej, dzieląc ją na dwa rodzaje złej i dobrej miłości, zawsze w stosunku do osobistego szczęścia. Następnie przechodzi do miłości nadprzyrodzonej Boga i bliźniego (Rozdz. X. XI. i XII.) Rozdział następny o zjednoczeniu w Bogu jest dopełnieniem tylko trzech poprzedzających. Wreszcie w 5-u ostatnich rozdziałach wskazuje autor źródła zła, jego naprawę w dziele odkupienia i środki, jakiemi, korzystając z tej naprawy, posiąść można szczęście doskonałe. Wykonawcą tego dzieła naprawy rodzaju ludzkiego jest Kościół; tu więc roztacza autor przed nami jego posłannictwo, naturę i cechy, opowiada wzrost jego i cały ustrój wewnętrzny. (Roz. XVI. XVII. XVIII.) Jakkolwiek co do układu dzieła możnaby pewne podnieść zarzuty, co do treści jednak, autor dopiął zamierzonego celu: bo dowiódł, że poza krainą wiary nie masz doskonałego szczęścia, lecz przeciwnie: sceptyzm w jednostkach — rozkład w społeczeństwach.

B. J.

Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygiena socyalna, przez *Adolfa Coste'a*, przełożył *Ignacy Świętochowski*, b. radca wydziału adm. w rządzie gubern. warszawskim. Str. VII. 546. — Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1887.

Sześć lat temu, znany filantrop, w zasadach Saint-Simonista, Izaak Perejre, ogłosił wielki konkurs, przeznaczając 100.000 fr. za kilka najlepszych książek, traktujących o rozwiązaniu coraz groźniejszego problematu pauperyzmu. Już nie dziesiątki lecz setki socyologów, przywabionych znaczną nagrodą, stanęły w szranki a jednym z niewielu nagrodzonych był Adolf Coste, za książkę, przyswojoną obecnie przez p. Świętochowskiego językowi polskiemu. Na wszystkie zapatrywania, na wszystkie nawet środki zaradcze podane w tej książce trudno się zgodzić; niektóre są wręcz fałszywe i zgubne, jak np. gdy Coste usiłuje wyperswadować sobie i czytelnikom, że rozszerzenie wiedzy zdolne

niemal zupełne szczęście na ziemię sprowadzić, owszem, że wiedza może zupełnie zastąpić religię. Nie mniej fałszywem jest pewne lekceważenie i niezrozumienie chrześcijańskiego miłosierdzia, a zwłaszcza prostej jałmużny, która wrzekomo zawsze i wszędzie mnożyć ma nędzę, choć sam zmuszony oczywistością autor wyznaje na innem miejscu, że pomimo użycia wszystkich przez rozum ludzki wskazanych, jak najbardziej wyrachowanych środków, miłosierdzie zawsze pozostanie w wielu okolicznościach ważnym i niezbędnym czynnikiem. Ale kto szuka nie tyle praktycznych środków, ile raczej pragnąłby się zapoznać z treściwą a wyczerpującą historyą wszystkich usiłowań podjętych zwłaszcza w ostatnich czasach w walce przeciw nędzy; kto potrafi rozróżnić, co jest objektywną, faktami stwierdzoną prawdą, a co na niechęci do religii opartem, skrzywionem zdaniem samego autora dla tego — książka ta przedstawia materyał bogaty i do wysokiego stopnia zajmujący.

Na wstępie staje przed nami bolesny obraz pauperyzmu w paryskiej fabryce i londyńskim workhausie, cięższym nieraz niż galery i gorzej niż galery demoralizującym; obok roztacza się wiejski pauperyzm irlandzki, przeraża wybladła postać dzierżawcy, który krwawym potem może swe długi obniżyć, ale nigdy ich nie potrafi spłacić. Jakież środki na zapobieżenie tej nędzy? Nie mówiąc o lekarstwach tymczasowych, jakiemi są, wedle autora, jałmużna, podniesione zarobki, patronat; rozbiera Coste szczegółowo środki, które uważa za właściwe, sięgające do dna rzeczy, jak oszczędność występująca pod najrozmaitszemi kształtami; stowarzyszenia wzajemnej pomocy, spółki spożywcze, kredytowe, spółdzielcze, asekuracyjne i t. d.; dobrze urządzony kredyt ludowy; odpowiednio podjętą organizacyę pracy, a wreszcie oświatę, równającą ludzi między sobą, ułatwiającą im każdą pracę, każdy zysk. Przeszkodą do wyleczenia świata z nędzy są podatki; aby się przekonać ile one soków żywotnych z ludności wysysają, dość powiedzieć, że budżet państwowy na r. 1880 pochłonął piątą, lub szóstą część dochodów całej Francyi, a w następnych latach żarłoczny ten smok więcej jeszcze połknął mienia i pracy ludzkiej.

W jednym z ostatnich swych dzieł maluje Coste ponętny obraz 25-go wieku naszej ery: wszyscy mają dostatek chleba i wina, mieszkają w czystych porządnych pokoikach, katechizmu nie znają, ale za to pochłaniają przerażającą ilość nauki, „zgodnej z wymaganiami tegoczesnemi“. Do spełnienia tego to ideału dąży i niniejsza książka, a wszystko w niej tak dobrze w cyfrach wyrachowane, że czytelnik dziwi się, czemu by dopiero za sześć wieków, czemu dotąd ideał ten w czyn się nie zmienił? Nie jeden już filantrop, nie jeden marzyciel piękniejsze jeszcze sny roztaczał, ale były to zawsze sny i snami zostały. Jak ci, co gonią za urzeczywistnieniem wiecznego pokoju na ziemi, tak i wszyscy ci, którzy z pomocą matematycznego wyrachowania, lub poetycznej fantazyi, zapowiadają rajską erę przyszłości, dobrze zapewne wszystko obliczyli i wymarzyli, tylko zapominają o tem, czego niegdyś prawdopodobnie uczyli się w katechizmie, — o grzechu pierworodnym. Może właśnie to wspomnienie, przyćmione ale dość żywe, aby ostrzedz, że człowiek zupełnego szczęścia na ziemi nigdy nie znajdzie, takim gniewem zapala Coste'a, i przemienia go w tak otwartego wroga katechizmu!

L.

Historici Diarii domus professae S. J. ad S. Barbaram Cracoviae annos novem 1600—1608 tomus II. Kraków 1886, wydanie Akademii Umiejętności.

Z zapisu ś. p. Norberta Bretkrajcza a z polecenia komisyi hist. Akademii Umiejętności wydał ks. dr. Chotkowski tom II. „Dziennika domu Tow. Jez. u św. Barbary w Krakowie od r. 1579—1638. O. Wielewicki był przełożonym domu św. Barbary, pisał swój dziennik koło r. 1637. Jest to mozolne i sumienne zestawienie obcych i krajowych pisarzy, jak niemniej nieznanych i zaginionych dzisiaj materyałów do dziejów Jezuitów krakowskich w szczególności, Jezuitow polskich i zakonu całego w ogóle. Wszystko to rozwija się na tle dziejów polskich i dziejów najbliższego Polski sąsiedztwa. Annały bardzo szczegółowe królów polskich Batorego, Zygmunta i kilku lat Władysława IV., dzieje i roczniki zakonu, zaginiony diariusz Skargi, setki listów współczesnych i archiwum Jezuitów polskich — oto materyał opracowany skrzętnie a krytycznie w chronologicznym porządku lat i miesięcy od spraw wielkiej wagi aż do wynotowania miesięcznej jałmużny i podania jej wartości w ówczesnej monecie. Wiadomości o ludziach i książkach, o obyczajach i zwyczajach nadzwyczajne bogactwo. Rękopis ten w dwóch tomach, obejmujący 1124 i 99 stronic in fol. drobnego pisma do r. 1773 był własnością domu św. Barbary. Po kasacie Jezuitów przechodził różne koleje; uratował go od zniszczenia i nabył na własność profesor Józef Muczkowski. Syn jego Stefan pożyczył go komisyi hist. Akademii Umiejętności w Krakowie. Ta zaś poleciła wydanie tomu I. ś. p. Szujskiemu 1881 r. tomu II. ks. Dr. Chotkowskiemu, całość wyniesie tomów ośm lub dziewięć. W dwóch ogłoszonych dotąd tomach trzymano się skrupulatnie tekstu rękopisu; dla łatwiejszego zorientowania się sprawy polskie drukowano większemi, zakonne i zagraniczne mniejszemi czcionkami. Należała się ta cześć i to poszanowanie ze strony wydawców, skoro współcześni tak wysoko ów rękopis cenili, że prowincyał Gutterer Dobrodziejski na końcu jego własnoręcznie napisał: *nullus quidquam immutet, nec eum destruat*, niechaj nikt niczego nie zmienia, ani go nie niszczy.

W tomie II., który mamy pod ręką, arcyciekawe są szczegóły o rokoszu Zebrzydowskiego, spisane z własnych Wielewickiego notatek, *ex iis quae ipsi illa tempora notavimus et multorum oculati testes eramus;* szczegóły do sprawy Dymitra z zaginionego diariusza O. Sawickiego i O. Skargi; do sprawy toruńskiej 1606 r. do zwyczajów i obyczajów tchnących zarówno swywolą i niekarnością jak surową, ascetyczną niemal pobożnością ówczesnych pokoleń a wreszcie do ekonomicznych stosunków cen zboża i innych wiktuałów. Dla historyka zakonu Jezuitów w Polsce to istotna kopalnia złota, *aurifodina.* Lat temu 12 przy powtórnem wydaniu mej książki Czy Jezuici zgubili Polskę? wertowałem pilnie ów rękopis Wielewickiego i korzystałem wiele, a widząc tak bogaty materyał, powziąłem myśl napisania historyi Jezuitów w Polsce, na tle politycznych i społecznych jej dziejów. Niestety rękopis kończy się na r. 1638, a potem dzięki iście barbarzyńskiemu obchodzeniu się z bibliotekami i archiwami jezuickiemi po kasacie 1773 już tylko urywki annałów i diariuszów napotkałem w Paryżu, Wiedniu i w galicyjskich bibliotekach. — Archiwum jeneralne rzymskie od r. 1860 zabite w paki i niedostępne, równie niedostępnemi są pomimo starań biblioteki Petersburga, Warszawy i Ki-

jowa, w których jak mniemam wieleby się odszukać dało; pożegnałem się więc z tą myślą, zostawiając jej spełnienie szczęśliwszym czasom i ludziom. Natomiast z miłą chęcią prowadziłem korektę rzeczoną tomu I. i II. Kiedy ujrzymy tomy dalsze? Bogu tylko wiadomo, nie przez brak dobrej chęci Akademii ale dla braku funduszów.

St. Załęski.

Sprawy włościańskie w Sejmie. Uwagi i wnioski *Teofila Merunowicza*, posła gmin wiejskich. Lwów 1887.

Dziś, kiedy wobec zewnętrznego nacisku, potrzebujemy się w sobie skupiać i wszystkie warstwy naszej społeczności spajać — dziś, kiedy już czas i „najwyższy czas“, żeby lud galicyjski czuł dobrodziejstwa samorządu, w którym on rządy przewodnich klas polskich upatruje — każda sumienna praca, każdy wysiłek w tym kierunku na szczególną zasługuje uwagę i na szczególne uznanie.

Jeden z ludzi „niezasypiających sprawy“ — jakich daj nam Boże więcej — poseł Merunowicz wydał znowu broszurę, w której streścił najaktualniejsze interesa włościan, jakiemi Sejm krajowy się zajął lub zająć powinien; mianowicie: reformę gminy — sprawę kas pożyczkowych — kwestyę propinacyi — bank włościański — kulturę krajową — komasacyę gruntów — sprawę rozdrobienia gruntów włościańskich — budowę szkół — rozszerzanie takowych w kierunku praktycznym, rolniczym i przemysłowym — projekt nauki musztry w szkołach — sądy pokojowe — walkę z włóczęgostwem — ustawę budowniczą dla wsi — kwestyę cen i produkcyi soli.

Można w niektórych punktach innego być zdania niż autor (jak np. co do sprawy rozdrabniania gruntów włościańskich), ale bezwarunkowo powiedzieć trzeba że kwestye są doskonale dobrane, jasno postawione i najczęściej szczęśliwie rozwiązane. Jestto jakby treściwy podręcznik interesów włościańskich, pożyteczny nietylko dla tych, którzy się sprawami sejmowemi bezpośrednio zajmują, ale dla wszystkich, którym kwestya włościańska leży na sercu.

X. M. M.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Dr. P. Schegg. Biblische Archeologie. Nach dem Todt Verfassers herausgegeben von *Dr. Wirthmüller*. I. Theil. Land und Leute Freiburg im Br. Herder 1887.

Schegy wykładał egzegezę przez lat 42 i od tylu też lat znanem jest jego imię w literaturze teologicznej. Już to samo byłoby dostatecznem świadectwem, że ostatnie jego dzieło mieć musi pewne znaczenie w nauce; a brak dzieła, odpowiadającego dzisiejszym wy-

maganiom, tembardziej zwraca na nie uwagę. Starożytności *Jahnes'a*, nawet w opracowaniu *Ackermanna*, dawno już się przestarzały a i *Haneberg* nie jest wystarczającym. *Vigouroux*, pisząc swoje dzieło *La Bible et les découvertes modernes*, miał na widoku inne cele. *Tillion* wreszcie i *Rich* pobocznie tylko traktują archeologię.

W niniejszym tomie autor omawia przyrodę kraju i życie ludu. Mówiąc o nim ograniczymy się tu na podniesieniu jedynie takich kwestyj, które autor bądź stanowczo rozstrzygnął, bądź przedstawił w szczególnie jasny i piękny sposób; po takiem omówieniu szczegółów przejdziemy do sądu ogólnego.

I. Siedziby. Doba powstania pierwszych miast wiąże się z pierwszem bratobójstwem (Ks. Rodz. IV, 17). Kłótnia, zazdrość i chciwość zmusiły do przechowywania rzeczy droższych w miejscach bezpiecznych, do otoczenia ich murem. Gdy Abraham wyruszył z ojcem z Ur-Chasdim otaczały go dokoła wielkie miasta (Ks. Rodz. X, 11); mimo to jednak przekładał życie w namiotach. Nawet Salomon budował wspaniałe namioty (Pieśń nad Pieśniami I, 5). Starożytny namiot izraelski był to podługowaty czworobok o równym dachu, a dzielił się na dwie części. Oprócz wsi, składających się z pewnej liczby namiotów, były w Palestynie także pojedyńcze chaty (Jos. XIII, 23) i wsie murowane, urządzano nawet mieszkania w pieczarach (Abd 3) w których szukano suchości, chłodu i schronienia przed nieprzyjaciołmi. Idąc za Witzsteinem, podaje autor zajmujący opis takiego mieszkania. Domy po miastach i wsiach były przeważnie kilkopiętrowe, o wielkich szybach; silniej się zamykały niż u Greków i Rzymian, bo miały okienice z otworami nakształt gitary (IV. Ks. Król. 13, 17 i t. d.) Ale do czego służyła w domu Alija (עֲלִיָּה)? Dla dowiedzenia się o tem Schegy zestawia teksta Pisma, w których ten wyraz zachodzi, i w ten sposób dochodzi do określenia nieco różnego od dotychczasowych. W tem, co mówi o dachu, schodach, pościeli, stole, lampie, zamku, nie ma wprawdzie nic nowego, rzecz jego jednak zyskuje wiele przez dokładne cytaty odpowiednich tekstów. W *latrium* obok kuchni (Deut. 23, 13) i w przenośnych *sellae pertusae* (Jud. III, 24) słusznie dopatruje się staranności o czystość. Co do oznaczenia miejsca, na którem stał zamek Syjoński, zgadza się na zdanie Caspariego i Riessa.

II. Z tego co mówi Schegy o zwierzętach, szczególnie interesującym jest ustęp o koniu. Mojżesz zakazał Izraelowi (V, 17), na przypadek gdyby tenże obrał sobie króla, hodować wiele koni. Dawid, mimo wojen jakie prowadził, wiernie się trzymał tego przepisu i to tak dalece, że z obfitego łupu około 10000 koni, sto zaprzęgów tylko zatrzymał sobie; resztę kazał okulawić. Jakkolwiek stosunek jazdy do wielkości państwa skromnym był za Salomona, (16000 koni) tu jednak poczęło się odstępstwo od Boga. W rolnictwie koni niewiele używano. Za konia egipskiego szlachetnej rasy płacił Salomon 250 złr. (I. Król. 10); w Attyce koń taki kosztował około 130 złr. — Wielka ryba, która połknęła proroka Jonasza, należała do rodzaju rekinów z morza śródziemnego *(carcharias verus)*. — Lew palestyński był to tak zwany lew perski mały.

III. Rolnictwo. Powszechnie przyjęto następującą skalę w rozwoju kultury: polowanie, hodowanie bydła, rolnictwo. Dzieje jednak nie stwierdzają takiego następstwa (Porów. *Mauritius* Zur Ethnographie Amerikas). Człowiek przychodzi na świat daleko bezradniejszy od wszelkich innych stworzeń. Uległby on dawno w walce z lepiej rozwiniętym światem zwierzęcym, gdyby nie opatrzna Ręka Boska. Czem jest wychowanie dla każdego człowieka, tem było objawienie dla całego rodzaju ludzkiego. Posagiem dodanym przy tem wychowaniu było zboże (Izai. 28, 27), chociaż uprawa jego przychodziła w pocie czoła (Ks. Rodz. III, 19). Najczęściej uprawiano pszenicę i jęczmień, — żyta nie znano. Chomer (7½ medymny) zboża kosztował za Mojżesza 1 Szekel (1 złr. 20 ct.) W późniejszych czasach cena się podwoiła. Dziesięć chomerów zrównały się z ceną jednego wołu. Schegg oblicza wywóz na 6 milionów hektolitrów, co wynosi około 23 milionów marek. Wnosząc z księgi Rodzaju (VIII, 22) rozróżniano tylko dwie pory roku. Pola nawożono tylko przy sposobności, a nawóz zostawał na powierzchni (Jer. VIII, 2). Nie będziemy wyliczali wszystkich roślin, choć i tu znajdzie czytelnik wiele nowych szczegółów, tak ze względu na znajomość Palestyny jak i Pisma św.

IV. Stosunki międzynarodowe. Wojny, zapomocą których Żydzi zajęli ziemię obiecaną, wcale nie były okrótne. Tu powinien był autor wskazać na przepis boski nakazujący oszczędzać ludy odleglejsze, któreby się dobrowolnie poddały (Deut. 25, 10 —

Jos. XI, 9) i pokazać, że zagłada Kanaanitów moralnie była usprawiedliwioną. Schegg wolał natomiast zwrócić uwagę na to, że Grecy okrótnymi byli jeszcze w tysiąc lat potem, pod Aleksandrem, a nawet za czasów wojny peloponeskiej. To prawda, ale inne różne okoliczności nastręczają o wiele gruntowniejsze argumenta. Dawid wyzwolił Izraelitów zpod wszelkiej zależności. Teraz dopiero mógł Izrael swobodnie się rozwijać. Drogi istniały przed zdobyciem; mostów nie było, tak, że w Starym Testamencie nie znajdziemy nawet wyrazu na oznaczenie mostu. Jednostką miary długości był krok (II. Król. 6, 12) wynoszący około 350 milimetrów, gdy rzymski wynosił 875 milim.). Miary wagi i objętości otrzymali Izraelici z Babilonii — są to szekele zachodzące nieraz w historyi świętej. Pobierania procentów od braci Pismo św. wprawdzie (Deut. 23, 21) nie pozwala, ale i nie nakłada za to żadnej kary, jak to podnoszą rabini. Ponieważ Faryzeusze nie zezwalali mimo zmiany stosunków na żadne procenta, pożyczki rzadko zachodziły, a w danym razie brano nie tylko po 10% — ale 12 36% i to miesięcznie.

V. Czas. Hebrajczycy znali zegar słoneczny (Izr. 38, 1) i wodny. Dnie tygodnia nie miały osobnych nazwisk, lecz oznaczano je liczbami. Rokiem kalendarzowym był pierwotnie rok księżycowy. Teraźniejszy kalendarz żydowski zaprowadzono dopiero za rabina Hillela II. (359 r. po Chr.).

VI W piśmie hebrajskiem znać przejście z oznaczania syllab do oznaczania pojedyńczych liter. Takie pismo ma tę zaletę, że zdanie za pomocą niego da się rozłożyć na swe części składowe. Aż do Ezdrasza używali Żydzi t. zw. alfabetu hieratycznego; Ezdrasz wprowadził pismo aramejskie. Czworograniaste pismo znanych nam manuskryptów jest przekształceniem tego ostatniego. W Babilonii pisano na tabliczkach glinianych równej wielkości; na początku następnej tabliczki, powtarzano wyraz, którym kończyła się poprzednia. Zwykle nie wielką bywa liczba takich tabliczek stanowiących całość, bo pismo klinowe bardzo mało miejsca zabiera. Tabliczki należące do siebie wiązali Żydzi razem; zamiast tytułu kładli pierwsze wyrazy całego traktatu. Papyrus późniejszy jest od pergaminu.

VII. Umiejętności. Babiloński system rachowania polega

na połączeniu systemu dziesiątkowego z sześćdziesiętnym. Miary długości, powierzchni i bryłowatości przedstawiały jeden i ten sam system. Poezya hebrajska wznosi się wysoko ponad wszystkie inne, bo wysławia Boga, jedynego Pana całego świata.

Chociaż Schegg, jakeśmy powiedzieli, nie występuje z nowemi odkryciami, to jednak dzieło jego wyszczególnia się dobrym rodzajem wykładu: wiele rzeczy, które u innych autorów występują luźnie, jakby odrębna właściwość ludu hebrajskiego, nasz autor zestawia z podobnemiż urządzeniami i właściwościami u innych narodów starożytności. Wskutek tego niejedna luka się wypełnia, wykład staje się jaśniejszym, a w całości dzieło wypada jako podręcznik i pouczający i zajmujący.

Ks. A. Arndt.

Codices Graeci Palatini. Ed. G. B. de Rossi, Roma 1886—1887.

Wolny przystęp do księgozbiorów i archiwów Watykańskich otworzył nam pole dla pracowników w dziedzinie historycznej. Francuski uczony p. Prou wydał już bulle Honoryusza IV., p. Blant, jako przewodnik francuskiej archeologicznej szkoły, z całym zastępem młodych sił pracuje nad wydawnictwem mającem objąć archiwa papieskie z wieków średnich, a i my Polacy nie pozostajemy w tyle, będąc reprezentowani przez naukową wyprawę pod przewodnictwem profesora Smolki.

Dla ułatwienia więc tych prac powzięto myśl, iście tytańskiej wymagającą pracy, skatalogowania Archiwum Watykańskiego. Wydawnictwem tem kieruje znany ze swych studyów archeologicznych zasłużony kawaler G. B de Rossi. Pierwszy tom tej olbrzymiej publikacyi opuścił już prasę w ostatnich dniach zeszłego roku, pod wyżej wymienionym tytułem, drugi zaś będzie nosił tytuł: *Codices M. SS. Latini Palatini Bibliothecae Vaticanae* i wyjdzie z początkiem bieżącego roku.

M. S.

From Schola to Cathedral. By profes. *Baldwin Brown.* Edinburgh 1886.

W jakim stylu architektonicznym wznoszone były pierwsze świątynie chrześcijańskie? Tem pytaniem zajmowali się już wielokrotnie badacze starożytnych zabytków, przynosząc każdy jakieś odkrycie lub domysł oparty na poszukiwaniach swoich. Niemieccy uczeni—jak Zestermann w dziele *Die Antiken und die Christlichen Basiliken* i Weingärter w książce *Ursprung und Entwicklung der Christlichen Kirchengebäude*, wydanych w latach 1847 i 1858 w Lipsku, później zaś J. P. Richter w swoim *Ursprung der Abendländischen Kirchengebäude* drukowanem w Wiedniu 1878—jednomyślnie twierdzą, że pierwotne świątynie chrześcijańskie nie nosiły na sobie żadnej cechy publicznych gmachów Grecyi i Rzymu, nie różniąc się w niczem od mieszkalnych prywatnych domów z tej epoki. Francuskie zaś *Comptes Rendus de l' academie des*

Inscriptions z marca 1886 zamieściły pracę p. Salomona Reinacha, w której francuski uczony, przychylając się do zdania swych niemieckich kolegów, nie przypuszcza by pierwotne kościoły chrześcijańskie mogły mieć kształty Bazyliki Rzymskiej lub Greckiej świątyni. Dla stwierdzenia badań swoich dzieli się p. Reinach z czytelnikiem opisem świeżo zpod gruzów wydobytej synagogi w Focyi. Zdobyczą uczonych jest tutaj tablica kamienna z napisem, poświęconym pamięci żydowskiej Tacyi, która kosztem swoim wystawiła główną izbę synagogi i mur przy klasztorze, za co współwyznawcy ofiarowali jej koronę i prawo pierwszego miejsca. Synagogi więc według Reinacha nie różniły się od mieszkalnych domów, a zwyczaj ten prawdopodobnie przeszedł do Chrześcian; na poparcie tego twierdzenia cytuje Reinach opis Euzebiusza świątyni Tyryjskiej.

Czy zawsze i we wszystkich krajach, gdzie głoszone było słowo Chrystusowe, trzymali się pierwsi Chrześcijanie tego zwyczaju, o tem pomimo stanowczego orzeczenia p. Reinacha przekonanym być nie można. Już przed kilkudziesięciu laty badacze starożytnych zabytków p. Freeman i lord Dunraven odkryli na wschodnim brzegu Irlandyi ruiny malutkich chrześcijańskich kościołków, które naprowadziły tych uczonych na myśl, że nietylko w celtyckich krajach, ale w południowej Francyi i we Włoszech przed bazyliką istniała jakaś inna architektura świątyń chrześcijańskich. Profesor Brown, którego ostatnia praca, na nagłówku umieszczona, nasunęła nam powyższe uwagi, badał również te zabytki z IV. i V. wieku i mniema, że pierwsze kościołki znajdowane na Irlandzkich wybrzeżach powstały ze starożytnej *Scholi*.

Schola była miejscem zebrania dla żywych, schroniskiem dla umarłych, cmentarzem kryjącym się przed prawem, wobec którego była przestępstwem. Taka *Schola, Lodge house*, miała kształt podłużny i była sklepioną, tworząc środkową nawę z filarami częstokroć przy bokach. Ponad temi filarami jednak wznosiła się ściana prosta, nie nosząca żadnych śladów galeryi — tej charakterystycznej cechy bazyliki.

Pan Brown twierdzi, że żadną miarą przypuścić nie można aby, przekształcając bazylikę, wyrzec się miano kolumnady i galeryi tyle odpowiedniej dla nabożeństw chrześcijańskich. Przeróbka więc *Scholi* na świątynię, tłumaczy owe proste mury wznoszące się po obu stronach nawy. Czy domysły profesora Brown'a mają podstawę prawdziwą - pokaże to przyszłość i rozbiory archeologów, my zaś zapisujemy ją, jako ciekawy przyczynek do historyi architektury chrześcijańskiej — cenną cegiełkę przydatną do wzniesienia wspaniałego gmachu, jakim jest historya sztuki chrześcijańskiej.

M. S.

Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen des Alterthums. Eine Studie zur vergleichenden Religionswissenschaft von *Christian Pesch S. J.* X. 144 S. Freiburg. Herder 1886.

Jedną z najważniejszych kwestyj, wchodzących w zakres tak historyi jak i teologii, jest bezwątpienia ta: czy i jakie pojęcie o Bogu miały pogańskie narody starożytności? Na pierwsze pytanie łatwiejsza odpowiedź i daje nam je każda stronica dziejów, każdy pomnik, każde nowe odkrycie tak na północnej, jak na południowej półkuli, w piramidach Egiptu, jak w badanych z gorączkową ciekawością sardyńskich pieczarach i gmachach przedhistorycznej

Ameryki. Ale jakie było pojęcie u różnych narodów, z jakiego wypłynęło źródła i w ile później rozpłynęło się różnorodnych strumieni? To głównie pytanie, choć i pierwszego nie pomija, rozbiera popularnie w przytoczonem dziełku znany i wysoce ceniony autor Zagadek świata, jeden z redaktorów znanego czytelnikom *Przeglądu*, czasopisma: *Stimmen aus Maria Laach*. Stosownie do swego celu autor nie zapuszcza się w głębiej idącą krytykę przytoczonych dokumentów, ale, opierając się wszędzie na pierwszorzędnych powagach, rozróżnia starannie, jakie pewne, a jakie tylko prawdopodobne wnioski dadzą się wyciągnąć z przedłożonych pism i zabytków starożytności. Wielka trzeźwość sądu, obok jasnego bezpretensyonalnego wykładu, jest największą zaletą tego dziełka.

Der katholische Dichter Aurelius Prudentius Clemens. Ein Beitrag zur Kirchen und Dogmengeschichte des vierten und fünften Jahrhunderts von *P. Augustin Rössler*, aus der Congregation des allerheiligsten Erlösers. Freiburg im Breisgau Herder'sche Verlagshandlung 1886. S. XII. 486.

Nie pierwsza to monografia o Prudencyuszu, znakomitym chrześcijańskim poecie z IV. wieku, współzawodniku równocześnie z nim żyjącego i również pracującego we Włoszech i Hiszpanii, św. Paulina z Noli. Przed kilkunastu laty poświęcił Prudencyuszowi swe pióro protestant Brockhaus; Buse pisząc o św. Paulinie musiał się niemal z natury rzeczy zajmować i Prudencyuszem; Allard w rozprawach drukowanych przed dwoma laty w *Révue des questions historiques* zwrócił zwłaszcza uwagę na niezmiernie cenne szczegóły, znajdujące się w pismach Prudencyusza, odnośnie do historyi IV. wieku, szczegóły tem cenniejsze, iż niebył on historykiem z zawodu i o tendencyjne nakręcanie faktów posądzać go nie można. Ale nikt dotąd nie pisał o Prudencyuszu, jako o katolickim poecie, nikt nie zwrócił dokładniejszej uwagi na teologiczne skarby, ukryte w jego pieśniach i przez nie rozszerzane między ludem; przeciwnie: dzieło Brockhausa, z fałszywego stanowiska pisane, mogło tylko w tym względzie skrzywić i obałamucić pojęcia. To też dzieło rzeczone było, jak wyznaje autor w przedmowie, jedną z głównych przyczyn, dla których postanowił wszechstronnie zbadać i wystawić w należytem świetle postać Prudencyusza, jego życie, pieśni i naukę — zapatrując się nań nietylko jako na poetę, ale przedewszystkiem jako na katolickiego poetę.

Autor wywiązał się świetnie z tego niełatwego zadania: przedstawił nam swego bohatera jak można było najdokładniej — jego charakter, stosunki życia, rolę jaką odegrał w historyi, wpływ jaki wywarł na współczesnych. W jednych z swych książek odsłania nam się Prudencyusz jako mąż Boży modlitwie oddany, w innych jako waleczny rycerz, zwyciężający pogaństwa i herezye. Naszkicowawszy tak ogólny obraz życia i działalności Prudencyusza, przechodzi autor w drugiej części swego dzieła do szczegółowego rozbioru jego nauki teologicznej. Z kolei dowiadujemy się, co sądził Prudencyusz o kościele i wierze, o źródłach Objawienia, istocie Bożej i tajemnicy Trójcy N, o aniołach i przeznaczeniu człowieka, o Matce Bożej, dziele odkupienia i życiu przyszłem, a dobiegłszy do końca zajmującego tego studyum, przeczytawszy uważnie nader liczne cytaty, bądź

w niemieckim, bądź, gdzie tego potrzeba wymagała, w oryginalnym łacińskim tekście, dziwić się musimy wespół z autorem, jak mogli znaleść się uczeni, którzy chcieliby tak jawnie katolickiemu poecie odjąć piętno katolicyzmu.

J.

Z pism peryodycznych.

Kronika Rodzinna, pismo dwutygodniowe poświęcone literaturze, sprawom społecznym i domowym. Rok 1886, Warszawa.

Zdając przed dwoma laty sprawę z niniejszego czasopisma miło nam było wyrazić uznanie poczciwym jego usiłowaniom i użytecznej działalności. Kronika Rodzinna nie ma zupełnie pretensyi być organem dla ludzi uczonych, nie drukuje źródłowych prac lub głęboko pomyślanych rozpraw, jej zakres ograniczony na kółko rodzinne, dla którego stara się być podporą, skazówką i rozrywką. Dość przeglądnąć ostatni rocznik, aby się przekonać, że nie straciła ona z oczu raz wytkniętego celu, lecz sumiennie pilnuje swego zadania.

Postawiony przez p. Adama Goltza w r. 1885 kwestyonaryusz, mający na celu podnieść i ustalić zachwiany dobrobyt wielu rodzin w naszem społeczeństwie, obudził ogólne zajęcie i wywołał liczne z różnych stron odpowiedzi. Na ichto podstawie snuje autor cały szereg artykułów. Na wstępie bada on przyczyny ogólnego zubożenia, któremi są, z jednej strony ciosy niezależne od pojedyńczych osób i rodzin, jak przesilenie w rolnictwie, przemyśle i handlu, obok zastoju powszechnego w ekonomicznem życiu narodów; z drugiej strony wina po naszej stronie, bo przyczyną biedy jest odstąpienie od dawnej tradycyi szlachty, żyjącej skromnie a „wedle staniku“; życie bez rachunku, żądza wiecznego pankowania nie oglądająca się na jutro, byle huczno i buńczuczno w domu i poza domem, a ta choroba owładnęła dwory i dworki wiejskie, grasuje wśród klasy przeciętnej inteligencyi po miastach i miasteczkach. Ukróceniem tylko tej szlacheckiej fantazyi, prowadzącej całe rodziny do niechybnej ruiny, zreformowaniem nieopatrznych wydatków, oszczędnością posuniętą do możliwych granic możemy się dźwignąć na nowo; pod hasłem więc „praca i oszczędność“ nawołuje autor do

zbiorowej pracy w tej mierze i wchodząc praktycznie w życie rodzin, wykazuje, które wydatki ograniczyć się dadzą i powinny, ile i w jaki sposób każda z osób rodzinę składających ma się przyczynić skrzętnie niesioną cegiełką do odbudowania dobrobytu w naszem społeczeństwie. Sprawą tą zajmują się także inne artykuły, jak „W sprawie oszczędności kółek“, „Listy z Szarogrodu“, „Co robić“ trzy artykuły p. Zofii Bukowieckiej i t. p.

Pedagogicznej treści są dwa artykuliki p. Henryka Wernica. W pierwszym „I dzieci mają swe prawa“ staje on w obronie małych dziatek, wykazując, że ogrody i miejsca większych zebrań nie powinny być dla nich miejscem rozrywki w dnie niedzielne i świąteczne ze względów hygienicznych; obok tego zwraca uwagę rodziców na piastunki, których złe obchodzenie się lub zbytnie pieszczenie dziatek staje się przyczyną częstego ich rozkapryszenia i różnych narowów. Trafne uwagi co do zabaw młodocianego wieku zawiera artykuł „Bale dziecinne“, te bowiem miasto umysł rozerwać i przez folgę konieczną przygotować do pracy, zaszczepiają w młodziutkich sercach zbytek, pretensyę i chęć używania.

Kwestya życia i zajęcia kobiet omówiona w kilku artykułach. I tak w jednym pod tytułem „Niektóre przesądy“, autor a prawdopodobnie autorka występuje przeciw tłoczeniu się zbytniemu do stanu nauczycielskiego niepowołanych do tego kandydatek, radząc im we własnym ich interesie, aby raczej zadowolniły się skromniejszem stanowiskiem panny służącej w domach zamożniejszych; uwolni ich ono od wielu cierni życia, rozgoryczenia i lepszą im przyszłość zapewnić zdoła. Wyimki z „Pogadanek praktycznych“ ks. Karoliny Wittgensteinowej dotykają życia wewnętrznego kobiety, normują jej stosunek do Boga, zalecają zaparcie się i chronienie się przed zgubnym wpływem świata.

W artykułach „Ze świata naukowego“ krótko są omówione wynalazki i zdobycze w różnych gałęziach wiedzy świeżo dokonane jak w naukach przyrodniczych, chemii, medycynie, przemyśle, sztuce wojskowej i t. d. P. Stefanowski w trzech artykułach „Materya i życie“ przechodzi system perypatetyczny, przypomina oddawna wykluczoną z nauki filozofii materyę pierwotną i formę substancyalną. Dział etyczny zastępuje streszczenie dzieła księdza de Broglie: „Moralność bez Boga“ w którym autor wspierając się na

historycznych i rozumowych wywodach wykazuje fałsz tak zwanej moralności sekularyzowanej.

Wielką część kroniki Rodzinnej zapełniają artykuły literackie. Znajdujemy tu korespondencye znaczniejszych osób z niedawnej przeszłości i tak „Listy o Włoszech“ hr. W. Dzieduszyckiego, Listy Montalembert'a do Ewy Ankwiczównej, Kazimierza Puławskiego, braci Konarskich. Długi szereg listów różnych uczonych do Michała Wiszniewskiego daje z jednej strony obraz ich zabiegów i działalności naukowej, z drugiej strony daje poznać jakiej powagi zażywał u współczesnych autor literatury polskiej. Obszerne wyjątki z „Szkolnych lat dziejopisa“ pióra hr. Stanisława Tarnowskiego zaznajamiają czytelników Kroniki z młodością nieodżałowanego Józefa Szujskiego. Obok opisów podróży i krajów znajdujemy tu „Ufren“ poemat bułgarski przekładu Seweryny Duchińskiej, również powiastki tak oryginalne jak i z innych języków w streszczeniu podane. Nie wszystkie z nich o większej wartości literackiej, ale przynajmniej wszystkie moralne i uczciwe. Dobry zwłaszcza wybór uczyniono z powieści francuskiej. Dodajmy jeszcze korespondencye z różnych krajów, recenzye niektórych ważniejszych dzieł, życiorysy i nekrologi świeżo zmarłych znakomitości w naszym kraju a przyznać trzeba, że Kronika Rodzinna stara się wedle możności sprostać swemu zadaniu.

We „Wieściach politycznych“ krótko zebrane ostatnie wypadki, zagranicznej polityki, a *Silva Rerum* kończąca każdy zeszyt podaje wiązankę bardziej ciekawych zdarzeń, ogłoszeń i publikacyj z najnowszych czasów.

Z. B.

Zeitschrift für katholische Theologie. Jahrgang 1886. Innsbruck.

Ostatni rocznik tego czasopisma równie jak poprzednie zaleca się gruntownością teologicznej wiedzy, różnolitością treści i trafnością krytyki na polu nowszej literatury. Ks. M. Limbourg T. J., sięgając w głąb dawniejszej teologii scholastycznej, wysnuł z tych źródeł cenne rozprawy o nawyknieniu czyli o stałej zdolności do pewnego rodzaju bytu lub do pewnych czynności. Stała ta zdolność w słowniku teologicznym zowie się *habitus*. Zdolność taka wzma-

gać się może nie tylko co do zewnętrznego natężenia *(intensive)* ale i co do swej rozciągłości względem odnośnych przedmiotów *(extensive)*. Jak z jednej strony wewnętrzne udoskonalenie naszych zdolności jest faktem niezaprzeczalnym, tak z drugiej, sposób w jaki się ono odbywa, zagadką jest dotąd nierozwiązaną. Dowodem najróżnorodniejsze tłumaczenia scholastyków. Że więc człowiek roztropniejszym i mędrszym się staje, o tem nie wątpimy, lecz któż nam ukaże jaką drogą, jakim sposobem wzrost ten stopniowy dokonuje się w duszy? Taż sama zachodzi trudność, ilekroć zbadać chcemy psychologiczny proces udoskonalania się zdolności nabytkiem wciąż nowych przedmiotów. Fakty są widoczne, codziennem doświadczeniem stwierdzone, lecz psychologiczną ich analizę grube okrywają ciemności. Bóg też wlewa w duszę zdolności nadprzyrodzone *(habitus supernaturales)*, które duszy tej, poświęconej już łaską, dają siłę działania odpowiednią do jej przyrodzonego stanu. Zdolności te mogą także wzrastać i udoskonalać się, lecz przyczyną sprawczą *(causa efficiens)* ich udoskonalenia jest ten sam Bóg, który był też przyczyną sprawczą ich pierwotnego istnienia; dobre uczynki bowiem mogą być tylko przyczyną zasługującą. Trudną tę kwestyę udoskonalenia rozwiązuje autor wedle św. Tomasza. Doktór Anielski uczy, że wszystkie stałe nasze zdolności doskonalą się przez każdy akt cnoty, że grzech śmiertelny odbiera miłość a wraz z nią wszystkie cnoty moralne i pozostawia tylko wiarę i nadzieję. Grzechy zaś powszednie nie niszczą ani nawet nie zmniejszają cnót własnych, lecz tylko gorliwość w ich pełnieniu. W ostatnim artykule wykłada autor stosunek tych zdolności do działania. Celem ich bowiem jest działanie: dlatego też są one albo przyrodzonem, albo nadprzyrodzonem udoskonaleniem sił przyrodzonych. Wielka zaś jest różnica między przyrodzonemi a nadprzyrodzonemi zdolnościami. Tamte dają tylko pewną łatwość doskonalszego działania, te zaś wlewają w duszę siły zupełnie nowe, siły Boże, sprawiające w nas i przez nas czynności nowe, innego wyższego rodzaju. Lecz jeśli dusza nasza takiemi uposażona jest zdolnościami, skądże więc wypływa potrzeba łaski skutecznej do każdego aktu cnoty? Oto, jak każda siła potrzebuje jakiegoś bodźca do ruchu, tak też i siły nadprzyrodzone działają dopiero pod wpływem łaski pobu-

dzającej, gdyż żadna przyczyna przyrodzona nie może być dla nich dostatecznym bodźcem.

Inną kwestyę, niemniej trudną a ważną w dziedzinie dogmatyki, rozbiera X. Chrystyan Pesch T. J. Chodzi tu o akt wiary. Podstawą aktu wiary, jako aktu nadprzyrodzonej cnoty, jest poznanie nieskończonej mądrości i prawdomówności Boga, tak iż On ani sam się mylić, ani też nikogo w błąd wprowadzić nie może. Ta wiedza zatem jest wewnętrzną pobudką aktu wiary. Akt zaś ten, jako cnota nadprzyrodzona, we wszystkich swych czynnikach nadprzyrodzonym być winien. Jedną z żywotnych kwestyi naszych czasów, a mianowicie o rozciągłości inspiracyi Pisma św., omawia prof. Dr. Fr. Schmid. Jestto refutacya nauki ogłoszonej przez kardynała Newmana w *Nineteenth Century Rewiew* luty 1884. Uczony kardynał odróżnia w Piśmie św. rzeczy istotne, należące *ad fidem et mores*, od nieistotnych, sięgających swym przedmiotem w zakres rozmaitych nauk, jak kosmogonii, geogonii, etnografii, geografii, historyi, lingwistyki i t. p. Inspiracya Boża obejmuje niezawodnie wszystko, co tylko wchodzi w skład zasad wiary i moralności, lecz czyliż to samo rzec można także o ściśle naukowych miejscach Pisma św.? Zdaje się, że nie, odpowiada kardynał, bo nauczycielstwo w zakresie czysto ludzkich wiadomości, niegodnem jest Bożego Majestatu. Nauka ta pozyskała od razu liczny zastęp zwolenników w świecie uczonym: bo istotnie zasady jej ułatwiają niezmiernie pogodzenie Pisma św. z nowszemi naukami. Ale, chociaż zasady te z czystego wypłynęły źródła, jednak w żaden sposób ostać się one nie mogą wobec ścisłej krytyki ze stanowiska kościelnego. Oto teza, którą autor trafnemi stwierdza dowodami. Równie zajmującą kwestyę roztrząsa tenże autor na początku, o krytyce tekstu, tj. „Czy ustępy ściśle naukowe, w księgach śś. zawarte, są istotnie tekstem oryginalnym, lub przynajmniej co do znaczenia swego nie różnią się od tekstu pierwotnego?“

Ks. Tomasz Grauderath T. J. mówi w dwóch artykułach o istnieniu tajemnic wiary i o możliwości ich objawienia. Dowodząc II. części, staje autor na stanowisku odrębnem od nowożytnych apologetów, którzy utrzymują, że możliwość takiego objawienia jest już tem samem udowodniona, skoro się wykaże, że niepojętość tajemnic wiary żadnej tu nie stawia przeszkody. Ks. Grauderath in-

nego jest zdania. Przyznaje on wprawdzie, że niepojętość tajemnic nie sprzeciwia się bynajmniej ich objawieniu, lecz to jeszcze wcale nam nie daje filozoficznego dowodu możliwości tegoż objawienia. Filozoficzny przebieg tej rozprawy nazbyt by rozszerzył ciasne pole krótkiego sprawozdania. Zwracamy się więc raczej do drugiego działu teologicznych artykułów.

Na polu egzegetycznem napotykamy przedewszystkiem piękną rozprawę ks. Christyana Pesch'a T. J. o zgodności czterech ewangelij. Pobudką do tej pracy było dla autora dziełko ks. Lohmann'a T. J. p. n.: *Das Leben unseres Herrn und Heilandes Jesus Christus, nach den vier Evangelien zusammengestellt.* Dziełko to prawdziwie znakomitem jest źródłem do krytycznego uzasadnienia i wyświecenia niezmąconej zgodności czterech ewangelij. Ks. Pesch, sięgając w przeszłość, ukazuje nam wszystkie, udane lub nieudane, próby skreślenia historyi Chrystusa P., opartej na źródłach Ewangelii, a tworzącej harmonijną całość. Autor wytyka błędy jednych a podnosi zalety drugich. Badania swe kończy twierdzeniem, że harmonijne zestawienie życia Chrystusa, uwzględniające porządek historyczny czyli chronologiczne następstwo wypadków wtedy tylko da się uskutecznić, jeśli przewodnią nicią opowiadania będzie Ewangelia św. Łukasza, uzupełniona Ewangelią św. Jana. Co do św. Marka — temu w wyborze materyi św. Mateusz był wzorem, w jej zaś uporządkowaniu św. Łukasz. Sam zaś św. Mateusz często pomija wzgląd na rozkład treści chronologiczny, aby nie zmącić logicznego [1].

Ks. J. Knabeubauer T. J., podaje w osobnym artykule nowe uzupełniające objaśnienia do ksiąg Hiobowych.

Ks. Karol Münnchen bada ponownie, głośny już powszechnie dokument: διδαχὴ τῶν δώδεκα Ἀποστόλων. Wynikiem wielostronnych jego badań są wnioski następujące: Początek chronologiczny tego dokumentu odnieść należy do I. wieku i to raczej do czasu przed r. 70. niż do późniejszych dziesiątków tegoż stulecia. Miejsce jego pochodzenia jest Jeruzalem, gdzie na tę naukę apostolską składały się stopniowo ustne kazania i praktyka książąt Kościoła, katecheza i rozporządzenia kościelne stale zachowywane. Wyciąg tych wszy-

[1] Bardzo pochlebną ocenę tego komentarza skreślił w zeszycie III. prof. dr. Bickell.

stkich nauk apostolskich, rozporządzeń i praktyk kościelnych spisał jakiś jerozolimczyk, by go przesłać innej gminie chrześciańskiej — i w ten właśnie sposób powstała apostolska διδαχή.

Ks. Grisar T. J., w rozprawie o najstarszych kanonach mszalnych Rzymskiego kościoła, skreślił zajmującą ilustracyę do dziejów obrządków mszy św.

Dogmatycznej a zarazem kościelno-prawniczej treści jest artykuł ks. Józefa Blötzera T. J. p. n. „Jakie prawo ma Stolica apostolska odnośnie do ogłaszania i potwierdzania synodów powszechnych?“ Badanie tej kwestyi opiera się na dziejach soboru chalcedońskiego. Autor występuje w obronie powszechnie przyjętego zdania teologów i kanonistów, dowodząc jej prawdziwości przeciw teoryi odświeżonej przez prof. dr. Fr. Ksaw. Funka.

Na polu dziejów kościelnych wdzięcznej podjął się pracy ks. Rattinger T. J., wyjaśniając upadek świetnego niegdyś kościoła kartagińskiego. Ks. Swoboda bada znów początki wojny 30-letniej, roztrząsając fakty nieraz za przyczynę tej wojny uważane tj. zamknięcie kościołów w Klostergrab i Braunau. Ks. Bernard Dulir T. J. podnosi jeden epizod z dziejów reformacyi angielskiej. Bohaterem jest ks. Edward Petre T. J., którego Jakób II. przyjął za swego najpoufniejszego doradcę, przez co ściągnął nań nienawiść całej protestanckiej Anglii. Autor wykazuje całą bezpodstawność oskarżeń przeciw niemu podnoszonych, nawet przez katolickich pisarzy.

W celu wyświecenia kwestyi zabójstwa spełnionego na Alfonsie, księciu Biselli, przez Cezara Borgię, przedłożył Teodor Hagen zbiór dokumentów historycznych. Lecz, niestety, nawet i ten zbiór nie wyjaśnia jeszcze dostatecznie tego wypadku.

Z działu teologii moralnej rozpoczął ks. Wiktor Fries T. J. szereg artykułów o kwestyach moralności. W pierwszej z nich zapytuje autor „czy moralność jest bezwzględnie koniecznem, wiekuistem prawem i czy niezbędnie na Bogu, jako swym Twórcy, zasadzać się musi?“ Jakkolwiek najznakomitsi uczeni kwestyę tę rozstrzygają twierdząco, ks. Fries jednak przeciwnej trzyma się teoryi, i stara się wykazać jej słuszność tak na drodze dowodzenia dodatniego, jak i przez zbijanie przeciwnych dowodów. Czy w tej kwestyi spornej już od tak dawna postąpiono choćby krok naprzód, o tem

niech osądzi każdy, kto zechce wziąść do ręki tę zajmującą rozprawę.

Z działu katolickiej literatury naukowej znajdujemy tu liczne a sumienne krytyki najnowszych prac na polu teologicznem.

X. A. Langer.

Rozmaitości.

„Mir" o Szkole.

W *Mirze* z d. 16 p. m. b. r. czytamy godny uwagi artykuł o szkołach ludowych i charakterze konfesyjnym, jaki mieć powinny:

... U wszystkich narodów chrześcijańskich panuje zasada, że Kościołowi należy się decydujący wpływ na szkoły. Jestto dlań obowiązkiem, jemu to bowiem powiedziano: „idąc tedy nauczajcie wszystkie narody"... On też ma się starać, aby mógł na to odpowiedzieć: „któreś mi dał strzegłem i żaden nie zginął z nich". Ale aby to spełnić musi napominać swych wiernych: „nie dasz syna twego obcemu na wychowanie". Kościół jedynie naucza „wszelkiej prawdy" i pod jego tylko kierownictwem spełniają się słowa: „poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi".

Lecz gdzie są obowiązki tam są i odpowiednie prawa. Tych dwóch pojęć nie można rozłączać... Trzeba więc Kościołowi te prawa przyznać jeśli ma spełniać swoje obowiązki .. Przytaczamy tu co odnośnie do tego przedmiotu wyrzekł były minister wyznań i oświaty, radykalno-liberalny dr. Hasner, dnia 2 kwietnia 1868 r. na publicznem posiedzeniu izby poselskiej: „W szerokich kołach najliberalniejszych pedagogów panuje przekonanie, że usuwanie ze szkoły ludowej konfesyjnego czynnika jest, ze stanowiska dydaktyczno-pedagogicznego fałszywym krokiem, we wszystkich prawie prawodastwach, nawet w krajach protestanckich utrzymano jako zasadę wyznaniowość szkoły".

Dla nas (tj. Rusinów, ale niemniej i dla Polaków. przyp. red. n.) kwestya ta ma specyalniejsze jeszcze niż ogólno-pedagogiczne znaczenie. U żadnego ludu życie narodowe nie zrosło się tak ściśle z kościelnem jak u nas... Szkoły nasze ludowe wtedy tylko osiągają swój prawdziwy cel, jeśli działają ręka w rękę z Kościołem. Poucza nas o tem tak historya kilku ubiegłych stuleci jak i obecne doświadczenie, które wskazuje, że szkoła, jeśli nie postępuje harmonijnie i zgodnie z Kościołem — uważana jest przez same gminy jako jakiś niepotrzebny i nieprodukcyjny ciężar. A ta opieszałość gmin względem szkół ludowych i wstręt do nich w ostatnich czasach zaczyna się tem bardziej powiększać, gdy na kierowników tychże szkół zaczęto mianować Żydów. Lud... nie może pojąć, jakim sposobem Żyd może być pedagogiem dzieci, których dziadowie i ojcowie

są duszą i ciałem przywiązani do Kościoła, tego korabia będącego dla nich jedynem schronieniem w gorzkich dniach niedoli...

Mówią ogólnie: czytanie, pisanie, geografia, historya naturalna nie są ani katolickiemi, ani protestanckiemi, ani muzułmańskiemi. Twierdzenie to o ile się tyczy konkretnej treści — jest prawdziwe, lecz postawione jako zasada nieograniczenie — powszechna, prowadzi do fałszywych wyników. Spojrzyjmy na wychowanie w jego całości, na konsekwentny system nauczania: Czytanie i pisanie nie jest celem, lecz tylko środkiem kształcenia. Szkoła nie tylko ma zadanie dać dziecku pewne kwantum wiadomości — lecz powinna działać przez naukę na serce, rozum i wolę dziecięcia; tj. żywem słowem i objaśnieniami przedmiotu nauki, uszlachetniać i rozszerzać krąg jego poglądów. Czyż przy nauce historyi naturalnej nie można wszczepić w serce dziecka coś z antyreligijnych i niemoralnych teoryj? a przy objaśnianiu geografii czyż nie można czynić rozmaitych uwag obrażających uczucie narodowe? A w takim razie czyż szkoła odpowiada swemu wysokiemu zadaniu?!

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya zniesienia konkordatu i budżetu wyznań we Francyi. — Zamysły o „narodowym kościele“ we Włoszech. — Poselstwo Sułtana tureckiego i Mikady japońskiego do Papieża.

Czyżby we Francyi republikańskiej i to właśnie pod rządami Gobleta, zaciętego i jawnego wroga konkordatu, nastąpić miał jeśli nie pokój, to zawieszenie broni w walce z Kościołem; czy na to wywalczyliśmy ministerskie fotele dla zdecydowanych naszych stronników, aby ci w stanowczej chwili przeciw nam się zwrócili i odejmowali nam od ust owoc, niemal już zerwany za rządów Ferrego i Freycineta. Tak głośno lamentuje część radykalnej prasy, choć wyjąwszy paru szalonych anarchistycznych dzienników, wszystkie wyznać muszą między wierszami, że obecna chwila pełna niepewności o jutro, najmniej jest stosowną do prowadzenia wojny domowej, kiedy lada iskierka zapalić może straszną wojnę z najbliższym, potężnym sąsiadem. Temu też wyłącznie oportunistycznemu względowi zawdzięczyć trzeba chwilowy odwrót na całej linii w walce przeciw Kościołowi we Francyi; ale odwrót to widocznie chwilowy, i skoro tylko horyzont się rozjaśni, a ręka Boża nie zacięży tymczasem na szali wypadków, to tak tu, jak gdzieindziej przygotować się trzeba będzie na nowe, cięższe ciosy.

Oportunistyczny ten zwrot objawił się najwyraźniej w peryodycznie podnoszonej w parlamencie kwestyi, zerwania konkor-

datu z Rzymem. Goblet, wbrew możliwym oczekiwaniom, oświadczył w komisyi, że zdaniem jego należałoby raczej pogrzebać chwilowo tę drażliwą kwestyę, bo stronnicy zupełnego rozłączenia państwa od Kościoła ani w parlamencie, ani w kraju nie znajdą większości. Osobiste to moje wrażenie, oświadczył Goblet; jeśli chcecie podajcie izbie odpowiedni projekt, a ja jako Goblet najchętniej głosowałbym za nim, ale jako prezydent ministeryum, które ledwo parę tygodni liczy sobie życia, solidaryzować się z nim nie myślę. Napróżno kilku deputowanych usiłowało skłonić Gobleta do kategoryczniejszych oświadczeń; odpowiedź brzmiała wciąż jednakowo: róbcie, co chcecie, ale mnie do waszych robót nie wciągajcie, bo wiem, że te roboty, choćby nawet tylko chodziło o powzięcie pewnych przygotowawczych kroków, wam się nie udadzą.

Pomimo tych ostrzeżeń, jeden z czerwonych deputowanych, niejaki p. Pichon, nie mógł wytrzymać i z okazyi dyskusyi nad budżetem wyznań, postawił wniosek o zniesienie konkordatu i zupełne rozłączenie państwa od Kościoła, które znosząc budżet wyznań, przysporzyłoby przecież wycieńczonemu skarbowi francuskiemu, tyle milionów franków. Cała mowa p. Pichon, mowa akademicka, jak ją z przekąsem nazywają francuskie gazety, wcale nie źle oddeklamowana, była poprostu streszczeniem licznych artykułów, które w ostatnich czasach pojawiły się na ten temat w republikańskich dziennikach; nie przyszło też z trudnością biskupowi Frepplowi wykazać nicość i czczość tych deklamacyj. Przedewszystkiem byłoby czemś więcej, niż nieprawidłowością, byłoby międzynarodowem bezprawiem znosić budżet wyznań, przed zniesieniem konkordatu, obowiązującego państwo do dania należytego utrzymania katolickiemu duchowieństwu — choćby państwo nie było do tego obowiązanem z natury rzeczy, aby wynagrodzić w ten sposób choć w części krzywdę, wyrządzoną przez konfiskatę majątków kościelnych. Bezprawie to byłoby tem większe, że ludność cała, z wyjątkami bardzo nielicznemi, jest mu przeciwną. A nadto, zważyć jeszcze należy jedną ważną okoliczność: „Kwestya budżetu wyznań jest kwestyą wewnętrzną, — ani słowa. Ale pomimo tego, „nie możemy przeszkodzić, aby świat cały, przysłuchując się z uwagą „naszym rozprawom, nie oczekiwał z niecierpliwością ich rezultatu. „Historya nasza znajduje się dziś w chwili, w której bardzo nam

„na tem zależeć powinno, aby ani jednych zbyt nie ucieszyć, ani „drugich nie zniechęcić. Wiecie doskonale, jaki wniosek przeciw „nam wyciągnąć zamierzają pewne koła; gdybyście nieszczęściem „roztrzygnęli tę kwestyę w sposób, jaki wam tu przedłożono — na „całym świecie nie byłoby katolika, któryby nie zwrócił się ku „Francyi z zasmuconym wzrokiem. Co do mnie najbardziej mię „wzrusza, iż naprzód już widzę cały ogrom boleści i smutku, wy„pływający z tej decyzyi pod cieniem sztandaru, którego wam bli„żej oznaczać nie potrzebuję. I wiem również, z jaką radością „przyjmą ją gdzieindziej. W dniu, w którym Francya zerwie z Ko„ściołem, brzegi Sprei zajaśnieć będą mogły rzęsistą iluminacyą, „i — zajaśnieją nie bez powodu".

„Więcej mówić nie chcę; ostatnie to moje słowo".

Czy te słowa wymownego biskupa, uderzające tak silnie w patryjotyczną strunę, czy następna mowa Gobleta, niemniej wymowna, bo pochodząca z ust radykała, głośnego wroga Kościoła, przekonały izbę że, za zrzeczeniem się najświętszych zobowiązań względem Papieża i katolików, stoczyć się może do przepaści narodowa jedność i siła Francyi, — dość że budżet wyznań przeszedł w całości daleko znaczniejszą większością głosów, niż w latach poprzednich. Cały budżet, rozłożony na 32 paragrafów, załatwiony został w niespełna trzy kwadranse. Na jednym punkcie, odnośnie do pensyi dawniej kreowanych kanoników, wszczęła się dyskusya, ale gdy Goblet wezwał izbę, aby wstrzymując się od szykan i drobnych dokuczań katolickiemu duchowieństwu nie psuła w szczegółach tego, co sama w zasadzie uchwaliła, wygrał sprawę. Dla radykałów była to klęska niemała. Dzienniki skrajne, z *Lanterne* na czele, pocieszają się w niej okolicznością, że ministeryum zwyciężyło tylko dzięki poparciu monarchicznej prawicy, podczas gdy większość republikanów, 173 przeciw 156 oświadczyła się za zniesieniem budżetu wyznań. Słaba to pociecha, a która jeśliby czego dowodziła wobec stanowczego usposobienia większości w kraju, usposobienia stwierdzonego przez samego Gobleta, to chyba tego tylko, że większość republikańska politykuje na własną rękę, ale o życzenia i wolę wyborców się nie troszczy. To też niektóre dzienniki republikańskie, jak *National* i *Libérté* napominają, aby raz wreszcie uregulować pokojowe stosunki z Watykanem i zaprzestać „zbrodniczej zabawki",

mogącej bardzo drogo kosztować Francyę. Niestety, nie zdaje się, aby wrogowie wiary zasmakowawszy raz w tej zabawce, mieli ochotę z rąk ją wypuścić. Komisya konkordatowa, idąc raczej za wskazówkami danemi przez dawnego, niż przez dzisiejszego Gobleta, zawotowała większością dwóch głosów rozdział państwa od Kościoła, a zatem zniesienie konkordatu. Gdyby istotnie przyszło do tego kroku, byłby on może dla katolicyzmu we Francyi z pewną, choć sądzimy, że przemijającą szkodą; dla samej Francyi byłby z pewnością niepowetowaną klęską i dobrze zasłużyłby sobie na iluminacyę w Berlinie.

Minister oświaty Berthelot, fanatyczny republikanin, niepodejrzany podobnie jak Goblet o należenie do klerykalnej partyi, wystąpić przecież musiał przeciw niemniej „zbrodniczej zabawce“ kilku deputowanych, żądających usunięcia kapelanów z liceów rządowych. Jeśli wypędzicie kapelanów, zawołał minister, zadecydujcie ruinę naszych gimnazyów. Niewolno bezkarnie naruszać przekonań ojców i matek, którzyby wtedy z pewnością dzieci swe z tych szkół wycofali. Niektóre licea spróbowały usunąć kapelanów, lecz za kapelanami poszła połowa uczniów; pocóż powtarzać takie smutne próby? Przy innej okazyi już nie Berthelot, ale znowu Goblet, wyraził się z wielkiem uznaniem o Siostrach Miłosierdzia; co większa, wziął nawet w obronę Jezuitów, a raczej ich uczniów. Prawda, że jeśli kiedy to tą razą akt oskarżenia przeciw Jezuitom był dziwnie nieliberalnie zredagowany, a w sobie samym przypomina najgorsze tradycye wielkiej rewolucyi. Młody deputowany lugduński, Burdeau, pragnąc ozdobić swą skroń wieńcem nie wiele kosztującej, ale popularnej sławy, wzniósł akt oskarżenia przeciw Jezuitom, którzy wypędzeni z Francyi, znaleźli przytułek w Jersey, i tam odważają się przygotowywać francuskich młodzieńców do szkoły marynarki w Brest, co gorsza, odważają się ich przygotowywać tak dobrze — że wielu z tych jezuickich uczniów chlubnie zdaje przepisane egzaminy. Czy rząd wie o tym skandalu, interpelował Burdeau, i jakich użyć myśli środków dla zapobieżenia temu niebezpieczeństwu grożącemu ojczyźnie? Rząd wie o tem, odparł Goblet z odcieniem lekkiej ironii, ale wie również, że w danym razie dotychczasowe prawa nie dozwalają mu żądać od żadnego ucznia, przystępującego do egzaminów, paszportu zaświadczającego, że nie

kończył nauk u Jezuitów, lub w innych klerykalnych szkołach. Jeśli p. Burdeau uważa tego rodzaju środek za konieczny, niech poda projekt do odpowiedniego prawa. Burdeau dotychczas przynajmniej projektu nie podał, a sarkazm tem pełniejszy goryczy, że wychodzący z ust własnych stronników, przekonał go już może, że nawet napaść na Jezuitów nie zawsze jednakowe i bezwarunkowe gotuje tryumfy.

Dotąd powtarzali katolicy, dziś, nauczeni smutnem doświadczeniem, powtarzają za nimi ludzie jak Goblet lub Berthelot; dzienniki i przeglądy, jak *Liberté* lub *Révue des Deux Mondes*, że wojna podjęta przeciw Kościołowi, jest ostatecznie wojną przeciw prawu i wolności. Poważnem i znaczącem echem tego przekonania, wyrabiającego się u wszystkich ludzi rozumnie myślących, jest artykuł republikanina M. E. Lamy, umieszczony w drugim tegorocznym zeszycie *Révue des Deux Mondes*, a traktujący wyczerpująco ze stanowiska liberalnego i francuskiego, kwestyę rozdziału państwa od Kościoła. Rozdział ten, ostrzega autor, w innych krajach, w Stanach Zjednoczonych, w Irlandyi, a po części w Belgii, w innych ustanowiony warunkach i oparty na zasadach względnie sprawiedliwych, nie przeszkadza rozwojowi kościelnego życia; we Francyi nie dając w zamian Kościołowi żadnych przywilejów, ma być w myśli swych twórców, narzędziem wolnej jego śmierci, a w każdym razie będzie aktem rabunku. Katolicy nie mogą uledz bez protestu, więc rozpocznie się walka, walka ciągła i na każdem polu, mniej lub bardziej w legalne formy przybrana, ale której ostatecznym wynikiem będzie zawsze osłabienie Francyi na wewnątrz, a tem samem na zewnątrz. „W chwili, w której mądrość „wszystkich ludów daje te same nauki, kończy walki wyznaniowe „i szuka przymierza z katolicyzmem, na jednym tylko punkcie „świata, ludzie mniemający że znają się na polityce i uważający „się za patryotów, gotują wojnę między Kościołem i społeczeń„stwem... Rozpoczęli nieprzyjazne kroki w dniu, w którym w na„rodzie zniszczonym ciężką walką, każda niezgoda była świętokradz„twem... Dziś, dokonać zamyślają swego dzieła, kiedy Francya „odosobniona dla samej już formy swego rządu, zostająca wszędzie „w podejrzeniu z winy swych dowódców, ma w papiestwie ostat„niego przyjaciela, a najsilniejszym jej środkiem działania na ze-

„wnątrz jest protektorat nad katolikami; dziś, oni prawami swemi „szerzą dalej złe, którego początek zawdzięczamy broni najezdnika. „Są zbrodniarzami, bo w czasie pokoju rabują ojczyźnie siłę, nie- „tkniętą w czasie wojny. Ludzie ci, czy wiedzą o tem, czy nie wie- „dzą, są wrogami Francyi".

Z większą jeszcze, a raczej tylko z bardziej namacalną prawdą możnaby słowa te zastosować do Włoch, wyrosłych i wychowanych na katolickim gruncie, tyloma już nie tylko religijnemi, ale nawet ziemskiemi węzłami z Kościołem połączonych. Awanturnicza wyprawa do Massawy jest tylko słabym obrazem stokroć bardziej awanturniczej, o wiele zgubniejszej w skutkach wyprawy przeciw Kościołowi; dziś wprawdzie rząd, lękając się otaczających go wkoło niebezpieczeństw, ściągnął chwilowo z placu walki waleczne hufce wojowników, występujących przeciw Papieżowi i zakonnicom; ale łatwiej rzucić hasło, niż je odwołać: zły posiew, rzucony w ziemię, nie przestaje tu i owdzie wydawać owoców. Jednym z takich owoców, wypielęgnowanych już nie tylko przez ostatnie antykościelne agitacye, ale przez długoletnią wolnomularską działalność we Włoszech, są ostatnie odezwy słynnego, niestety! bardzo wpływowego Bonghi'ego, tego samego, który dawniej nazwał papiestwo, „wrzodem Włoch", a obecnie w artykule: *Minghetti, Papiestwo i Włochy* umieszczonym we florenckim *Przeglądzie międzynarodowym* wprost i wręcz namawia do schyzmy. Dotąd naczelnicy liberałów włoskich z parlamentarnej trybuny i przy puharze, w gazetach i książkach głosili światu, że zabór Rzymu jest dla Papieża największem dobrodziejstwem bo, odejmując mu troski o sprawy ziemskie, ułatwia zarząd Kościoła. Dziś Bonghi znudzony zbyt długą komedyą zrzuca maskę i mówi poprostu: W Rzymie dwóch monarchów obok siebie, Watykan obok Kwirynału stać nie może; dopóki katolicy włoscy uważać będą Papieża za duchowną swą głowę, dopóty jedność Włoch wciąż wisi na włosku. Jakiż więc sposób zapewnić Włochom siłę, pogodzić religijne interesy z politycznemi? Otóż, odpowiada Bonghi: ponieważ propaganda protestancka nie ma u nas warunków powodzenia — w samym łonie Kościoła powstać musi ruch między klerem i ludem, zrywający z Papieżem dla dobra ojczyzny. Ruch ten rozwinąć się może prędzej, niż ogół przypuszcza; niech tylko rząd włoski nie szczędzi środków

dla poparcia intelektualnego i moralnego życia w kraju, a wtedy wszystko co umiera, umrze.

Grożenie „Kościołem narodowym“ zardzewiała to broń, a we Włoszech podobno nie zbyt niebezpieczna W ostatnich latach, kilku biednych księży próbowało urzeczywistnić marzenia Bonghiego, zakładając katolicki kościół włoski, który niebawem rozpłynął się w śmieszności i dziś ani śladu z niego nie pozostało; nowa schyzma rozpoczęta pod masońską egidą Bonghiego nawet na takie rezultaty rachować nie może. Najprawdopodobniej też skończy się wszystko na pogróżkach, ale zawsze smutno, że słyszeć się dają i to we Włoszech tego rodzaju pogróżki, wskazujące na coś więcej, niż na samo tylko obałamucenie pojęć.

Chcąc zasięgnąć pomyślniejszych wiadomości, trzeba z Paryża i Rzymu sięgnąć okiem do Yeddo i Konstantynopola. Sułtan Abdul-Hamid II., zrywając z dawnemi tradycyami stambulskiego dworu, obdarzył już czterech kardynałów i trzech prałatów papieskich wysokiemi dekoracyami, a samemu Papieżowi w dowód swego szacunku i przyjaźni przysłał drogocenny złoty pierścień, wysadzany brylantami. Niebawem znowu przybyć ma do Watykanu poselstwo japońskie z własnoręcznym listem Mikady, w którym tenże, odpowiadając na odezwę Ojca św., zaręcza raz jeszcze chrześcijanom najzupełniejszą wolność i monarszą swą opiekę. A nie są to tylko czcze słowa i próżne ceremonie: przed niewielu laty męczono jeszcze za wiarę w Japonii, dziś rozwija się tam Kościoł swobodniej, niż w niejednem państwie europejskiem.

Ks. Jan Badeni.

Kronika warszawska.

Ciężkie czasy i przygnębienie ogólne. — Nowe pisma wobec upadku materyalnego dawnych. — Życie. — Tygodnik powszechny. — Głos. — Jego religia i dążenia społeczne. — Postępowe absurdy. — Gdzie konsekwencya? — Nowy zwrot, czy wybryk „Głosu“ — Skutki naszej filozofii i jej propagatorów. — „Prawda“ propagująca budaizm. — Nieoględność „Wieku“. — Katolicyzm i „Przegląd tygodniowy“. — Wystawy obrazów. — Grunt Warszawiaków. — Jak u nas godzą się zasady i tendencye. — Pochopność warszawska. — „Albert, wójt krakowski“. — Wystawa potrzeb mieszkalnych. — Ś. p. Wacław Szymanowski. — Słówko do „Roli“.

W życiu naszem od czasu ostatniej mej kroniki nic się nie zmieniło. Ciągle obracamy się w kółko a wśród ogólnej stagnacyi,

wśród zastoju w handlu, przemyśle, literaturze i kroku naprzód ruszyć nie możemy. Wśród takiego usposobienia wśród ciągłych narzekań na złe czasy, biedę i t. p., prawdziwą niespodzianką dla ogółu była zapowiedź aż trzech nowych pism tygodniowych. Jakto, wołano, w chwili, gdy wydawcy żalą się na straty, a co najmniej na brak dawnych zysków, gdy np. *Wszechświat* pomimo płaczliwych nawoływań zdolnych poruszyć kamień, nie może znaleść małego stosunkowo funduszu dla zapewnienia sobie bytu na rok bodaj jeden, w tych tedy czasach znajdują się ludzie zakładający nowe pisma! W oczach pesymistów było to szaleństwem, a jednak wydawcy puścili w świat prospekty i oczekują pomyślniejszych rezultatów; czy nadzieje ich ziszczą się, to inne pytanie, a podobno nie ziszczą, jeśli idąc utartym torem, pod nowemi tytułami dawać będą tę samą w niczem nie przerobioną strawę, która kilkudziesięciu innym zmarłym na suchoty literackie i prenumeratorskie w przeciągu kilkunastu ostatnich lat tygodnikom i dwutygodnikom, nie mogła zapewnić zdrowia i życia.

Bądź co bądź, na długo, czy na krótko, mamy tymczasem trzy nowe tygodniki: *Życie*, *Tygodnik powszechny* i *Głos*.

Pierwszy obwieścił światu, iż koniecznem jest zwrot ku pięknu, sztuce i przedewszystkiem poezyi. Rozbudzanie zamiłowania do poezyi i literatury pięknej ma być celem Życia? Jak dotąd nie różni się ono niczem od pism ilustrowanych i beletrystycznych. Później też o niem pomówimy, gdy przez pewien przeciąg czasu będzie mogło okazać rezultaty i drogi, któremi do celu dąży.

Tygodnik powszechny pod redakcyą Wiktora Czajewskiego nie jest bynajmniej wskrzeszonym dawnym *Tygod. powszechnym* ilustrowanym, jakby z tytułu domyślać się można. Redaktor na polu dziennikarskiem występuje po raz pierwszy, lecz jako autor, kilka już prac wydał. Pismo jego odróżnia się od innych i to korzystnie bo oto, co się u nas rzadko zdarza, powiada autor w prospekcie wyraźnie: „Uważamy za konieczne zaznaczyć, iż uznajemy wiarę dla każdego społeczeństwa, a tem więcej dla naszego za niezbędną, gdyż ona może tylko umoralniająco wpływać na ogół i dać mu najgruntowniejsze podstawy“. Mędrsze to i rozumniejsze słowa, niż szumne dytyramby o cywilizacyi, postępie, oświacie, o wielkości naszego wieku, pracowitości redaktora i geniuszu jego współpracowników,

któremi zapełnione bywa zazwyczaj kilka programowych kolumn każdego nowo rodzącego się pisma. Ale i tutaj poczekajmy na fakty, bo dobry program to ćwierć zadania, ale ćwierć tylko!

Trzecim wreszcie tygodnikiem jest *Głos*. Wychodzi już od kwartału i przedstawia ciekawy a bogaty materyał. *Głos* jest pismem „postępowem“ i „pozytywnem“ i kto tam wie jakiem jeszcze. Redaktor jego Władysław Kiersz, jest urzędnikiem banku, właścicielem sklepu korzennego i zakładu fotograficznego — ale aby miał zostać redaktorem, tego chyba i sam nie przypuszczał. Prawda mógł poprzestać na roli wydawcy, oddając kierunek literacki ludziom fachowo uzdolnionym i zdarza się to u nas. Tymczasem z *Głosem* ma się rzecz trochę inaczej, bo oto po kwartale redaktor literat usunął się, a p. Kiersz musi szukać zastępcy, lub objąć ster osobiście. Może to postępowo, ale nie wiem czy zdrowo, przynajmniej ze względu na materyalny interes pisma, bo ze względu na moralną korzyść ogółu, najzdrowiej podobno będzie, kiedy *Głos* zaliczonym zostanie do pism przeszłości.

Prospekt *Głosu* wywołał w Warszawie prawdziwą burzę; właściwie wart był tylko śmiechu. Redakcya widzi dokoła zamęt pojęć i przekonań, upadek dawnych programów i haseł — więc postanawia zaprowadzić ład, wskazać nam program, hasło, któreby odrazu ów zamęt usunęły. Tylko przyklasnąć takim zamiarom, tembardziej gdy redakcya żali się na zniżenie ideałów i aspiracyj zbiorowych. A więc je zapewne dźwignie, wzmocni, nowym otoczy blaskiem... Otóż i szczegółowy rozwój programu. *Głos* żąda uznania „ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej“. Jeśli lud rzeczywiście jest takim składnikiem, to uznania tego niewiedzieć ustnego czy pisemnego nie potrzebuje, jak np. *Głos* nie potrzebuje publicznie się dopraszać, aby go uznano za organ dla społeczeństwa naszego szkodliwy; jeśli zaś lud jest dotąd czynnikiem bezwątpienia najliczniejszym, ale biernym, nierozumiejącym i nie mieszającym się zupełnie do spraw krajowych, to nie rozumiemy co pomódz może takie platoniczne uznanie jego ważności, i możliwego wpływu, któremu zresztą w zasadzie nikt nie zaprzecza. Wychodząc z nielogicznego założenia, *Głos* brnie dalej i coraz głębiej w absurdach: „Stojąc na gruncie realnych interesów ludu, będziemy stanowczo „potępiać samozwańcze pretensye do kierowania nawą społeczną

„tych sterników, co występując w imię naszej tysiącletniej kultury „i tradycyi nie chcą widzieć czy zapominają o tem, że ideały tej „tradycyi i formy tej kultury są obce większości narodu". Ponieważ zaś, dowodzi dalej *Głos*, lud jest większością, zatem wszystkie inne interesy jego interesowi należy podporządkować; dawniej była szlachta uprzywilejowana, ale ponieważ przywileje wszelkie są rzeczą złą, niesłuszną, zabytkiem ciemnych i gorzej jeszcze, bo katolickich wieków średnich, dlatego trzeba odebrać je szlachcie a dać je ludowi, pod warunkiem wszakże, aby nie nazywał się szlachtą, lecz po dawnemu ludem. Co najlepsze, choć się tego można było spodziewać, to że Redakcya, jak ślepy nawet z pierwszych numerów zobaczy, zna lud chyba tylko ze sceny teatralnej, a oryginalny program miał, zdaje się, posłużyć do zwrócenia na siebie uwagi. Zresztą niczem *Głos* nie różni się od *Prawdy* i w ogóle pozytywistyczno-postępowych organów. Nawet tak samo jak tamte pisma daje w dodatku dzieła Herberta, Spencera! Co za związek może mieć „System filozofii syntetycznej" z interesami naszego ludu, tego chyba my odgadnąć nie potrafimy.

Nie pominął też *Głos* religii, owszem bardzo się nią gorliwie zajął. Już w prospekcie powiedział: „W sprawie filozoficznej i naukowej *Głos* czerpać będzie swą siłę z najnowszych kierunków niepodległego badania i walczyć będzie z prądami wstecznemi, które chcą życie i naukę współczesną oplątać w klerykalne sieci". Wprawdzie uznaje *Głos* „potężną siłę uczuć religijnych w życiu ludowem" — w ogóle przypisuje im „wysokie znaczenie, oraz moralny wpływ we właściwej sferze działania", ale nie jest to religia w zwykłem i właściwem tego słowa znaczeniu, lecz jakaś inna, co prawda niezbyt określona i zrozumiała, a której wynalazek, opierający się podobno na zupełnej nieznajomości nie samego wyłącznie katechizmu, redaktorom *Głosu* nie przyniesie chwały. Wynalazek ten zrobiony zaraz w pierwszych numerach *Głosu* opiera się na odkryciu dwojakiej religii: pańskiej i chłopskiej. Pańska religia to klerykalizm, uznanie potęgi i siły papiestwa — chłopska to odrobina zwyczajów świątecznych, jak „jajo wielkanocne, święcone, opłatek, wianki, sobótka, zielone święta i tp.". „Na większą odrębność lud nasz zdobyć się nie umiał". W przeciwstawieniu do kosmopolitycznego klerykalizmu panów, religia naszego ludu jest religią s w o j-

ską, odrębną w sobie i różną od innych, a to dzięki tkwiącym w niej domieszkom pogaństwa.

O tyle zatem religia chłopska jest dobra i na pochwałę zasługuje, o ile lud przechował przyćmioną pamięć pogańskich zabobonów; pogańskie zabobony są więc dla *Głosu nec plus ultra*, rozumu, religijności, uczucia. Polemikę z tego rodzaju bzdurstwami nie umiejącemi nawet rozróżnić lokalnych zwyczajów, uświęconych błogosławieństwem kościoła od ogólnie katolickich obrzędów i dogmatów wiary, zostawiamy postępowcom, którzy w skrytości serca bardzo się muszą gniewać na te kompromitujące wybryki swego *l' enfant terrible*. A prawdziwie straszne to dziecko! — nigdy naprzód żadnego jego kroku nie można obliczyć. Niedawno np. prawda, że po pewnych zmianach jakie zaszły w redakcyi, *Głos* w artykule „Obniżenie ideałów", woła jakby krytykując całe swe dotychczasowe postępowanie:

„W strasznym upadku ducha w tem poniżeniu dobrowolnem, które sromocie swej rade, w tym ponurym mroku apatyi, kiedy pogasły lub zaćmiły się wszystkie gwiazdy ideałów, wskazujące drogi, błądzić możemy tylko omackiem, zbaczając z toru lub potykając się o przeszkody. W mroku tym krześmy więc iskry zapału, aby oświecić sobie szlaki nieznane". Lecz nie dość tego. W tymże samym numerze stawia *Głos* trzy ideały godne uwielbienia: piękna, prawdy i miłości, wyrażając się o Bogu w ten sposób: „Twórco świata — Twórco piękna, źródło natchnienia dla miłości i czci, jaką tchnę cały dla Ciebie, wyrazu nie mam i w uwielbienia zachwycie milknę". Czyżby istotnie *Głos* wstąpił na drogę do Damaszku, czy piękne te choć niedość jasne i określone wykrzykniki mają być lepem na łatwowiernych? Przesądzać nie chcemy, ale cieszylibyśmy się serdecznie, gdyby *Głos* zechciał naprawić szkody, wyrządzone dotąd społeczeństwu.

Obok *Głosu* czy może nawet ponad *Głosem* stoi *Prawda* pana Świętochowskiego, nazwana tak dlatego, że gdzie może z prawdą się mija. W bieżącym roku *Prawda*, którą, mówiąc nawiasem, Redakcya wpycha studentom do rąk za połowę ceny, rozpoczęła propagandę — budaistyczną. W roku przeszłym była gorącą zwolenniczką materyalizmu, teraz powiedziała sobie, że jednak jakaś religia, jakieś obrzędy i jacyś kapłani potrzebni, a ponieważ chrystia-

nizm z góry jest wykluczonym, czemuż nie mielibyśmy pokłonić się Budzie? Do tego też zachęca *Prawda* swych czytelników, a zachęca w artykule tak ciepło i z takiem przejęciem, z jakiem dotychczas rzadko zdarzało się jej występować. Może to dlatego, że po raz pierwszy podobno z absolutnej negacyi przeszła do afirmacyi śmiesznej i bezrozumnej, ale zawsze do afirmacyi. Jeśli tak dalej pójdzie to na rok przyszły, wystąpi niezawodnie *Prawda* z wyrozumowanym artykułem zachęcającym do pokłonienia się afrykańskim fetyszom.

Prawdzie takie rzeczy uchodzą. Natomiast ze zdziwieniem spostrzegliśmy, iż *Wiek*, który antykatolickim nigdy nie był i o propagandzie innych religij nie myślał wcale, obecnie popełnił omyłkę — pewni jesteśmy, że bez złej intencyi. Oto w swym dodatku powieściowym zamieścił powieść napisaną z prawdziwym talentem przez F. Marion Crawford'a p. t. *Mr. Izaacs*, w której wpośród zręcznej fabuły przewija się coś, coby prawie uwielbieniem dla budaizmu nazwać można. Obok adepta Ram Lal'a bledną wszystkie postaci i wszystkie religie, chociaż spotykamy tu i katolików i anglikanów i mahometanina. Budysta Ram Lal przerasta wszystkich o głowę i otoczony aureolą cudotwórczości i wielkiej piękności charakteru, gwałtem pociąga ku sobie. Jesteśmy przekonani, iż redakcya *Wieku* nie dopatrzyła się tej tendencyi utworu, która istotnie bardzo zręcznie jest zamaskowaną, ale dla tego byćby mogła tem bardziej oszałamiającą.

Rozpisawszy się obszernie o kwestyi religijnej u nas, dodać winienem jeszcze jeden ciekawy szczegół. Oto *Przegląd tygodniowy* wystąpił w końcu ubiegłego roku z obroną... Kościoła! Trudne do wiary, a jednak czytamy w tem piśmie najwyraźniej: „Dzisiejszy krajowy postęp, jeśli swojskim pozostać pragnie, ma obowiązek nietylko najzupełniej uwzględnić, ale i popierać religijne interesy katolicyzmu“ Niestety, zbyt dobrze znamy *Przegląd*, aby się dać złapać na lep frazesu, niewiadomo z jakiej racyi a czy może bez żadnej racyi napisanego.

Na wystawie obrazów mamy Siemiradzkiego „Chrystus w domu Marty“, Matejki „Joanna d'Arc“, ale obok tych dwóch płócien, ileż miernot, i gorzej niż miernot! Ot i teraz salon Krywulta wystawił powtórnie „Rozkoszne marzenia“ Suchorowskiego, autora

bezwstydnej, a tak niedawno rozgłośnej „Nany“. A publiczność sunie tłumnie, płaci i popiera lichotę artystyczną, nędzę moralną, bezmyślną.

I nie samo malarstwo tylko doświadcza łask publiczności. Rzecz pozornie nie do wiary, a jednak w Warszawie taż sama publiczność przyklaskuje St. Tarnowskiemu, Wł. Spasowiczowi i... Brandesowi. Każdy z tych prelegentów innemi kroczy tory, ostatni wprost neguje w pojęciach pierwszego — ale to nic nie szkodzi, nas stać na oklaski dla każdego! Doświadczyliśmy już tego kilkakrotnie i jesteśmy pewni, że gdyby po hr. Tarnowskim, którego oczekujemy, zjechał znowu Brandes, to znalazłby niewątpliwie słuchaczy, wielbicieli, reklamistów i gościnnych gospodarzy, którzyby mu otwarli podwoje.

Nie wesoły to objaw tolerancyi, ale niestety prawdziwy. Co zaś z nim idzie w parze, to łatwa zapalność naszej publiczności inteligentnej i... stąd częste zawody. Oto niedawno temu stworzono nową wielkość, odkryto znakomitego dramaturga, wylewano łzy nad jego pierwszem dziełem i... zapomniano go zupełnie. Któż bo mówi dziś o Stanisławie Kozłowskim, autorze dramatu nagrodzonego na konkursie p. t. „Albert, wójt krakowski“. Rzecz napisaną nie bez talentu, podniesiono do doskonałości, bez względu na to, że początkowość zawodu pisarskiego przebija tu z każdego słowa, bez względu na to, że autor traktuje Kościół i jego reprezentantów z pogardą, dochodzącą aż do fałszów historycznych. I wogóle historya nasza w tym dramacie niegodziwie została pokrzywdzoną, a autor dał dowód, iż nie rozumie jej zupełnie i zaniedbał przestudyowania bodaj tej epoki, na tle której swe dzieło osnuł.

Mniejsza o to; na drożdżach reklamy, p. Kozłowski wyrósł na wielkiego człowieka; dziś drożdże opadły i — nikt się o niego nie troszczy.

Wspomnieć bodaj należy o wystawie potrzeb mieszkalnych i strojów, urządzonej przez tutejsze muzeum dla handlu i przemysłu. Wystawa godna zwiedzenia: piękna, bogata i zasłużonem cieszy się powodzeniem.

Piśmiennictwo nasze poniosło znowu stratę w osobie ś. p. Wacława Szymanowskiego. Był to pisarz zacny, katolicki i jako taki

uczciwie redagował *Kuryera warszawskiego*. Ostatnie lata, pełne cierpień, zniewoliły go do usunięcia się od pracy.

Kończąc ten list dorzucić muszę parę słów z powodu poprzedniego. Oto dowiedziałem się, iż p. Jan Jeleński ma pretensyę z powodu zarzutu jaki mu uczyniłem. Bo przedewszystkiem pozwoli mi p. J. mieć swobodę sądzenia czynów publicznych. Tę i jemu najzupełniej przyznajemy. Powiedzieliśmy, iż sposób jakim Rola traktuje sprawę żydowską jest niewłaściwym i szkodliwym. Możemy się różnić pod względem zapatrywań na tę kwestyę. Przyznajemy chętnie p. Jeleńskiemu wysokie zalety redaktorskie: jest przedewszystkiem żarliwym obrońcą kościoła i dobrej spuścizny dni ubiegłych, szermierzy gorliwie przeciwko pozytywistom — i to zasługa, ale że czasem zagalopuje się w gorliwości, że nie zawsze słowa jego mają wagę argumentów — to nam się zdaje widocznem. Dość tu przypomnieć wytykanie pochodzenia tych, którzy już są chrześcijanami i to nieraz w drugiem lub trzeciem pokoleniu, czego z punktu miłości chrześcijanina pochwalić nie możemy. Zresztą zapewniamy p. J., iż pracę jego należycie oceniamy. Ale przedewszystkiem swoboda sądu nam się należy — możemy się czasem mylić, lecz skrzywdzić nie chcielibyśmy nikogo.

Ed...

Listy z Australii.

Wracam jeszcze do opisu Australii. Jak niebogata tu fauna i flora, takie też ubóstwo i co do zwierząt; Australia bowiem nie posiada nawet wszystkich gatunków zwierząt, znajdujących się na tym samym stopniu szerokości geograficznej w innych częściach świata. Nie masz tu onych strasznych królów lasu, wstrząsających rykiem całą okolicą, porywających bydło i groźnych nawet myśliwców. Jedynie *dingo*, rodzaj psa dzikiego, przypominający z układu lisa, tylko o wiele od niego większy i silniejszy to jedyny drapieżny zwierz, straszny dla bydła, na które się rzuca w braku kangurów. Kot za to dziki, nie tak drapieżny jak nasz żbik, zadawalnia się ptakami,

na które napada w nocy, kiedy się ułożą do snu w wydrążeniach drzew. Kangur to cel myśliwca, bo mięso jego smaczne, a ogon, jak niegdyś u nas łapy niedzwiedzie, uchodzi tu za delikatesy. Również polują i na inne zwierzęta jak *walaby*, *oposum* i *dydelfa*, których mięso bywa dosyć smaczne. Z ptactwa prócz orłów, sokołów, kazuarów i wiecznie wrzeszczących papug osobliwością tu kruki i to śpiewające, wprawdzie nie tak wdzięcznie jak słowiki, ale zawsze nie tak ordynarnie kraczące jak nasze. Płazów za to jak żółwiów jaszczurek tu mnóstwo, a węże jadowite spotyka się co krok.

Australia nie dość ciekawa dla przyrodnika, nie zbyt ponętna dla myśliwca, ale dla hodowcy bydła jest niezrównaną. I tak słynną jest wełna australska, ale bo i krów i koni takich jak tu nie łatwo gdzie znaleść. Sport wyścigowy, który tu kwitnie aż do manii, wykazał, że szybkość tutejszych wyścigowców jest znaczniejsza niż angielskich nawet, a wytrwałość bez porównania większa. Słowem jestto kraj, który kiedyś będzie jednostajnym ogrodem i fermą kiedyś, jeśli to kiedyś wodę z sobą przyniesie. I ta kwestya jest tu teraz, chociaż może jeszcze przedwcześnie ze względu na szczupłe zaludnienie, kwestyą mądrości stanu. Jak w Europie zadawano niegdyś stereotypowe pytanie każdemu politykarzowi: *was meinen Sie über Russland?*, tak tutaj: *what do gau mean on the matter of water conserwation?*, jest pytaniem, na które odpowiedź robi rzeźników ministrami, lub viceversa ministrów znów prostymi tylko śmiertelnikami. Fakt autentyczny, który się tu powtarza peryodycznie mniej więcej co sześć tygodni, tak że za mego pobytu przeżyłem już trzy ministerya.

Bardzo niedokładne ma się u was, w Europie, pojęcia o stosunku rządu tutejszego i w ogóle kolonii do Anglii. Jest to samodzielność polityczna jak największa. Kraj rządzi się absolutnie sam: wolno mu mieć własną armię, flotę, robić długi, ile mu się podoba, zakładać kolonie, jemu tylko bezpośrednio podległe, na sąsiednich wyspach, nie zajętych dotąd przez nikogo; nakładać cła wszelkie nie wyjmując i produktów angielskich: h. S. W. hołduje jednak zasadzie handlu wolnego i — cła, prócz na spirytus i tytoń, nie ma tu żadnych zresztą. W Wiktoryi natomiast wszystko oclone. Wolno pobierać dowolnie podatki etc. Symbolem zaś łączności z krajem macierzystym jest: 1) namiestnik, reprezentujący jedynie o s o b ę

królowej angielskiej, i jako taki z rządzeniem w ogóle nic nie mający wspólnego; 2) pełnomocny minister czyli rodzaj ambasadora kolonii w Londynie, czuwający szczególnie nad handlowemi interesami kolonii. Jest nim też w chwili obecnej jakiś żyd tutejszy, pewnie syn lub wnuk jakiego Icka arendarza w Galicyi: jest tu takich wielu. Pod względem politycznym jest to kraj idealny. Wolność pod każdym względem złota. Nikt się o ciebie nie troszczy. Ani policya, ani biuro meldunkowe swych obwieszczeń ci nie przysyłają. Wojsko tylko z ochotników i grubo płatne. Ale co dla Europejczyków jest rzeczą niesłychaną, nie do pojęcia prawie: że tu podatków nie ma absolutnie żadnych! prócz taksy za wyszynk spirytualiów, jeśli to można nazwać podatkiem. Wszystkie wydatki kolonialne rządowe opędzają się z sum ze sprzedaży i dzierżawy gruntów pochodzących. Sprzedaż odbywa się jednak tylko w pewnych granicach: 2 miliony akrów rocznie. Połowa wszystkiej ziemi jest jeszcze nierozkupioną, i dochód zapewniony stały na lat dwieście! Przeciw temu systemowi powstaje coraz więcej stronników teoryi, że ziemia powinna wieczyście pozostać zbiorową własnością społeczeństwa, tj. kraju, i że rząd tylko ją wydzierżawiać ma prawo na dłuższy lub krótszy okres czasu. Bil odnośny czeka już lat kilka załatwienia w parlamencie tutejszym, który składa się także z dwóch izb, co trzy lata wybieralnych.

Roboty wodne są dopiero w zawiązku. Bądź co bądź, mają one olbrzymi zakrój czegoś, co nigdy dotąd na świecie nie istniało. Wykonanie całego planu kanalizacyi kraju całego i rezerwuarów wodnych, potrzebowałoby do wykończenia więcej niż dwóch wieków pracy! Jednakowoż system jest tak obmyślany, że częściowe wykonanie sekcyami oddałoby już ogromne korzyści. Bo woda w Australii ostatecznie jest, tylko trzeba ją umieć złapać i zatrzymać. Rzeki tutejsze, które przez trzy ćwierci roku można przejść suchą nogą, wylewają w czasie peryodycznych deszczów tropikowych na kilkaset mil angielskich szeroko po obu stronach łożyska. Australia w czasie takim wygląda *à vol d'oiseau*, jak archipelag wysepek niezliczonych na ogromnem morzu. Setki tysięcy owiec ginie przy tej sposobności corocznie śmiercią m o k r ą; inne znów setki tysięcy giną na s u c h o, w porze letniej, kiedy rosy nawet

nie ma na lekarstwo od śmierci z pragnienia. A mimo to, jest Australia nie bajeczną wcale ojczyzną złotego runa.

A propos złota! O tem ostatniem słychać tu najmniej. Mamy jednak właśnie w domu u nas pacyenta, polaka, towarzysza jeszcze Korzelińskiego, staruszka 72 letniego, zaciekłego kopacza złota. Miewał już po milionie i znów schodził na biedaka. Obecnie ma minę, którą oceniają na ½ miliona funtów, toczy o nią proces, który wygrał, tylko wyegzekwować wyroku nie może, dzięki pewnego rodzaju adwokatom, jakich tu więcej może, niż gdzieindziej. Starzec ten zdziecinniały już trochę na umyśle, choć zresztą rześki bardzo, jest maniakiem kompletnym na punkcie szukania i wydobywania złota. Kopie złoto dla złota, i prócz tej jednej idei i tego jednego celu, nic go nie zajmuje. W kraju nie ma nikogo bliskiego ani tutaj. Powiada, że w stosunkach europejskich żyćby już nie mógł i ani tęskni do ojczyzny, ani zamierza tam powrócić. Gdyby mu kto wagon złota darował, nie wiedziałby pewnie co z niem zrobić, aniby go miał na co użyć. A martwi się i gryzie swym procesem, do desperacyi: jestto ciekawy przykład egzystencyi ludzkiej. Maniak ów nazywa się Dębicki, należał do rewolucyi w 1848 r. we Lwowie.

Nakoniec doniosę ci jeszcze tylko, że wciąż jestem zdrów, i wciąż po cztery funty tygodniowo zarabiam, i po dwa z nich odkładam, co najważniejsza, i część poszlę ci przez Dra Piotrowskiego, który odjedzie stąd w połowie maja. A teraz bądź mi zdrów.

Karol.

Sprawy szkolne w Sejmie.

II.

Zmiana ustawy o nadzorach szkolnych.

Nie omyliliśmy się pisząc w poprzednim artykule, iż na zakończonej niedawno sesyi sejmowej dla jej krótkości nie będzie

można ani szerzej omówić, ani merytorycznie załatwić wiele spraw z zakresu szkolnictwa krajowego. Mimo to, nie da się zaprzeczyć, że sesya ta nie przeminęła bez pewnych na tem polu cennych rezultatów. Pominąwszy już uznania godne zabiegi około organizacyi i rozwoju krajowych szkół przemysłowych i rolniczych, których obraz dokładny przedstawiliśmy poprzednio, uchwalił Sejm wskutek inicyatywy posła St. hr. Badeniego ważną nowellę do ustawy szkolnej o władzach nadzorczych, miejscowych i okręgowych dla szkół ludowych.

Obecnie jest Galicya podzieloną na 37 okręgów szkolnych, z których dwa stanowią miasta: Lwów i Kraków. Podział na okręgi szkolne przeprowadzony jest w ten sposób, że każdy okręg obejmuje po dwa, a nawet po trzy powiaty polityczne, a z tego wypływa, że zmiany terytorytne, zachodzące w powiatach politycznych, odnoszą się tem samem do zmian w okręgach szkolnych. Takie zmiany zaszły w okręgach szkolnych wskutek zmian w powiatach politycznych, to przedstawia zeszłoroczna publikacya krajowego bióra statystycznego, w której p. Starzecki zestawił zmiany w podziele terytoryalnym kraju, zaszłe od 1 stycznia 1883 r. Ze zestawienia tego dowiadujemy się, iż nawet po podziale między jednym a drugim okręgiem szkolnym zachodzą czasami rażące niezgodności, gdyż zdarza się, że gmina, mająca szkołę u siebie, należy do jednego okręgu szkolnego, gmina zaś przydzielona do tej szkoły leży w granicach innego okręgu szkolnego, a tem samem podlega innej Radzie szkolnej okręgowej. Zestawienia bióra statystycznego dają nam nadto dokładne wyobrażenie o nadzwyczajnej rozległości okręgów szkolnych. I tak w Galicyi jedna rada szkolna okręgowa i jeden inspektor przypada na 2.241 kilom. kw., na 165.230 ludności i na 88 szkół. Są to jednak cyfry przeciętne, bo istnieją u nas cztery okręgi obejmujące więcej, niż 3.000 kil. kw., sześć okręgów obejmują wyżej 200.000 ludności, a okręg złoczowski zawiera przeszło 200 szkół. W innych krajach naszych stosunek pod tym względem nie jest ani w przybliżeniu tak niekorzystnym, jak w Galicyi. Wobec wzrostu zaś ogólnej ilości szkół i ich frekwencyi, zwiększają się z roku na rok, znacznie agendy kancelaryjne Rad szkolnych okręgowych, wskutek czego nie mogą inspe-

ktorowie podołać w zupełności swemu zadaniu pedagogicznemu i dydaktycznemu. Inspektorowie obecnie czynni coraz bardziej się do służby zniechęcają, Rada szkolna napotyka coraz większe trudności w należytem obsadzeniu posad tych inspektorów, których zakres obowiązków u nas jest nierównie obszerniejszy i uciążliwszy niż w innych krajach koronnych; inspektor w Galicyi ma bowiem nie tylko doglądać i kierować już prawidłowo funkcyonującym aparatem szkolnym, ale nadto powołanym jest do organizowania nowych szkół.

Wśród takich anormalnych stosunków okazuje się koniecznem pomnożenie liczby inspektorów okręgowych. Uznały to autonomiczne władze szkolne, a uznał także i rząd centralny, gdyż, jak namiestnik p. Zaleski oświadczył w Sejmie, zażądał minister oświaty wniosków, mających na celu pomnożenie liczby inspektorów okręgowych w Galicyi. Pomnożenie to chce przeprowadzić ministerstwo w drodze administracyjnej tj. na mocy §. 31 obowiązującej ustawy, który dopuszcza ustanowienie więcej inspektorów w jednym okręgu. Jak się dowiadujemy, zaproponowała Rada szkolna dodanie drugiego inspektora dla okręgu złoczowskiego, sokalskiego i stryjskiego już w tym roku; a dla okręgów krakowskiego zamiejskiego, jarosławskiego, lwowskiego zamiejskiego i tarnopolskiego od 15 stycznia 1888 r.

Lecz Sejm idąc za zdaniem swej komisyi szkolnej uznał, iż obecne niedostatki nadzoru szkolnego okręgowego nie dadzą się uchylić przez samo powiększenie liczby inspektorów okręgowych, w drodze administracyjnej. Z powiększeniem liczby inspektorów wypada pomnożyć ilość okręgów szkolnych w ten mianowicie sposób, aby każdy powiat polityczny był okręgiem szkolnym i miał swoją Radę szkolną okręgową. Wtedy bowiem Rady szkolne okręgowe będą mogły mieć nierównie dokładniejszą znajomość stosunków i potrzeb swego okręgu i w bliższem zostawać będą zetknięciu z ludnością; wtedy łatwiej będzie się im zbierać na posiedzenia niż dziś, kiedy z powiatów, nie będących siedzibą Rady okręgowej, członkowie często z miejsc o mil kilkanaście i więcej odległych przybywać mają; wtedy ożywi się w powiatach, w których Rady szkolne nie mają dziś siedziby, interes ludności dla

spraw szkolnych, obecnie znacznie mniejszy, niż w powiatach będących siedzibą Rady okręgowej. W tym też duchu uchwalił Sejm następującą zmianę §. 21 ustawy z d. 25 czerwca 1771 r.: „każdy powiat polityczny w każdoczesnych granicach swoich tworzy osobny okręg szkolny z osobną Radą szkolną okręgową, której siedzibą jest siedziba politycznej władzy powiatowej. Każde miasto rządzące się osobnym statutem może stanowić osobny okręg szkolny z osobną Radą szkolną okręgową". W następstwie tego postanowiono również, iż w każdym okręgu szkolnym ma być ustanowiony osobny inspektor okręgowy. Inspektora takiego mianuje minister oświaty na podstawie terna przez Radę szkolną przedłożonego. Ponieważ jednak natychmiastowe przeprowadzenie tego przepisu natrafiłoby przedewszystkiem na trudności finansowe a nadto w niektórych powiatach za mało jest jeszcze obecnie szkół, przeto uchwalona przez Sejm ustawa nie żąda bezzwłocznego mianowania wszystkich inspektorów. Dodaje bowiem, że „zanim to postanowienie będzie mogło w całym kraju wejść w życie, może być inspektorowi przydzielony jeszcze jeden sąsiedni okręg". W końcu wezwał Sejm rząd o rychłe ustanowienie na właściwej drodze etatu i płacy inspektorów okręgowych. Mimo bowiem przyrzeczenia złożonego w ustawie z roku 1873, nie uregulował rząd jeszcze dotąd ani etatu, ani płacy inspektorów okręgowych, i inspektorat pozostaje jeszcze zawsze instytucyą prowizoryczną. Ta prowizoryczność jest właśnie powodem częstej zmiany osób na stanowisku inspektorów: pedagogowie zdolniejsi już po kilkuletniem urzędowaniu ustępują ze swych posad, na których w razie korzystniejszego i stałego uposażenia mogliby rozwinąć zbawienną działalność. Wśród takich warunków nie może się rozwijać instytucya tak ważna dla naszego szkolnictwa ludowego, szczególnie w jego okresie organizacyjnym. Słusznie też powiedział poseł hr. Badeni, iż póki dla każdego powiatu politycznego nie będzie ustanowiony inspektor, póki inspektorowie nie będą mieli zapewnionej sobie przyszłości, jednem słowem, póki inspektor będzie wynagradzany za to, czem był, a nie za to czem jest, dotąd nie ma co mówić, o należytem nadzorze szkolnym. Przez powyżej wskazaną zmianę ustawy odpowiada Sejm wszystkim trzem postulatom posła Badeniego, łącząc okręgi szkolne z powiatami polity-

cznemi, żądając w zasadzie dla każdego okręgu osobnego inspektora i domagając się dla inspektorów stałego etatu i stosownej płacy. Nie ma też wątpliwości, że ustawa ta, skoro tylko po uzyskaniu sankcyi wejdzie w życie, uchyli jednę z najważniejszych wad w naszej organizacyi szkół ludowych i stanie się doskonałym środkiem pomyślnego i prawidłowego ich rozwoju.

M. Chyliński.

Z Berlina.

Polacy w Berlinie. — Żołnierze Polacy. — Socyaliści.

Liczbę Polaków zamieszkałych w Berlinie podają na 30.000. Czy się ta cyfra zgadza z rzeczywistością? Nie wiemy, na czem opiera się statystyka władzy policyjnej; przy spisach ludności, nie pytano się o ile pamiętam nigdy, kto się zalicza do ludności polskiej: prawdopodobnie tedy, brzmienie nazwiska i pochodzenie ze wschodnich prowincyi Prus upoważniły do podania wymienionej liczby. Przypływ ludności polskiej zostaje w ścisłym związku ze stosunkami ekonomicznemi na krańcu wschodnim państwa pruskiego. Odkąd przemysł i handel począł rozwijać się nie tylko w Berlinie, lecz w całych Niemczech, poczęli robotnicy zwłaszcza Polacy wychodzić ze stron rodzinnych gromadnie po łatwiejszy i korzystniejszy zarobek. Upadek rolnictwa w całym kraju spotęgował jeszcze ten ruch wychodźczy. W ślad za robotnikami poszli rzemieślnicy. Robotnicy zazwyczaj na zimę wracali do domu z groszem zaoszczędzonym zachęcając i przez innych do wędrówki za chlebem. Tym sposobem emigracya wzrosła w ciągu lat ostatnich, i całe rodziny powynosiły się z okolic polskich do Niemiec. Powstały liczne kolonie polskie w Niemczech, po większych zwłaszcza miastach i w oko-

licach fabrycznych w Westfalii i nad Renem. Tak zwanej inteligencyi jest mało na obczyźnie, mianowicie całych rodzin polskich jest niewiele, ale raczej są jednostki, rozbitki, nie mające punktu oparcia się wśród rodziny i kraju. Część ludności polskiej nie ma stałego siedliska, lecz stosownie do warunków ekonomicznych przenosi się z miejsca na miejsce.

Polacy, choć ich sporo w Berlinie, giną w morzu ludności innoplemiennej. Stolica nadsprewska, licząca przeszło $1^1/_3$ miliona mieszkańców, zajmuje tak wielki obszar, że ludność polska nie może znaleść punktu środkowego, około którego mogłaby się skupić. Nie masz tu parafii polskiej ani szkoły ludowej, gdyż rząd na otworzenie jej nigdyby nie przystał. Biedna dziatwa polska porozrzucana po szkołach niemieckich — w znacznej części nawet protestanckich — nie usłyszy w nich ani słowa polskiego ani religii w swoim języku uczyć się nie może. Jaki będzie z tego wynik, nietrudno odgadnąć. Jeśli nie obecne pokolenie, to następne muszą się zniemczyć, Polacy zwłaszcza nie związani węzłami rodzinnemi przywykają do używania języka obcego, i faktycznie stają się Niemcami, chociaż nieraz serce jeszcze polskiem pozostanie. Polacy pożenieni z Niemkami przystają łatwo na wynarodowienie swych dzieci. Nieraz znów Polki, mówiące z mężami po polsku, do dzieci odzywają się po niemiecku. Dzieci polskie stanowiące drobną mniejszość, wstydzą się znienawidzonego języka, lękają się przezwisk i mówią z sobą po niemiecku. W rodzinach wprawdzie niektórych rodzice więcej dbają o biedną dziatwę i wychowują ją po polsku, ale rodzin takich niewiele. W jednej dzielnicy miasta n. p. jest dzieci po katolickich szkołach mniej więcej 2.400; za egzaminach publicznych pokazało się, że połowa egzaminowanych miała nazwiska polskie, ale tylko tyle im pozostało. Niejeden ojciec z boleścią serca patrzy na wynarodowienie się własnych dzieci, i gdy im środki pozwalają, wysyła dziecko do Księstwa lub do Prus, aby tam przynajmniej naukę religii mogło pobierać w języku ojczystym. Jeden tylko znam przykład, że matka Polka, mając Niemca protestanta za męża, dzieci po polsku wychowuje, tak iż dzieci te popłaczą się, gdy je kto, sądząc z nazwiska, za niemieckie weźmie.

To nam tłumaczy, czemu Niemcy nie myślą powstrzymać ruchu emigracyjnego Polaków na zachód. W ogóle jednak do wychodźtwa są skłonne nie najlepsze żywioły narodu; kto silnie przywiązany do ziemi ojczystej i do wiary, woli ciężką dolę wytrzymać w okolicach polskich. Kto policzy łzy biednych ziomków, którzy do Berlina przybyli i narzekają, że do kraju już powrócić nie mogą! Ci, którzy skosztowali gorzkiego chleba na obczyźnie, rzadko całą prawdę rozpowiadają o Berlinie, a pozory korzystne niejednego ściągają do stolicy niemieckiej, gdzie wrzekomo tylko schylić się trzeba aby z bruku podnieść złoto.

Istnieją tu wprawdzie stowarzyszenia polskie, ale główna ich działalność polega na wspieraniu najbardziej potrzebujących: nad tem pracuje Przytulisko i Towarzystwo św. Wincentego a Paulo. Towarzystwo Przemysłowców liczy tylko kilkudziesięciu członków, również Towarzystwo Polek; założone niedawno towarzystwo Oświaty nie długo wegetować będzie, a najsilniejsze liczebnie Towarzystwo polsko-katolickie liczy zaledwo stu kilkudziesięciu członków. Dawniej nie bywało nawet w Berlinie kazań polskich, teraz poprawiły się stosunki o tyle, że co niedzielę bywają dwa kazania polskie, na które po kilkaset Polaków schodzi się.

Większych objawów życia polskiego mało w Berlinie. Razporaz odbywają się przedstawienia amatorskie. Ściągają one zawsze ogromne tłumy, zwłaszcza jeśli po niem następują tańce. Tam najlepiej przekonać się można o liczbie Polaków tutejszych. Ludność polska, która się tam zbiera, składa się prawie wyłącznie z rzemieślników i robotników. Dzienniki niemieckie po kilkakroć już zwracały na to uwagę sfer wyższych, policya jednakże nie robiła dawniej rodakom naszym żadnych trudności. Obecnie atoli zaczynają się inaczej na te zabawy zapatrywać. Na ostatniem przedstawieniu w Towarzystwie polsko-katolickim nie mogła wprawdzie policya dopatrzeć się żadnej agitacyi karygodnej, gdyż nawet pozoru do tego nie było, ale zaczepiła o to, że na przedstawieniu były obecne także osoby, nie będące członkami towarzystwa i nałożyła na rodaka urządzającego przedstawienie, karę 20 m., odnośnie 2 dni więzienia.

Znane kroki rządowe przeciwko polskim stowarzyszeniom katolickim w Niemczech zostały jedynie spowodowane niechęcią na-

rodową. Nie chodziło rządowi bynajmniej o to, aby młodzież pozostała wierną ideałom naukowym i moralnym, bo gdyby taki był cel władz rządowych, miałyby one obszerne pole do pracy wśród burszów niemieckich, którzy zadanie życia akademickiego zakładają na wychylaniu ustawicznem nieskończonych kufli piwa, na menzurach i birbantowaniu. Te zarzuty podnosił niedawno nawet przyboczny organ Bismarkowy przeciwko znacznej części młodzieży niemieckiej dodając wszelako, że nie potrzeba ścieśniać „swobody akademickiej“, jak się to w innych krajach dzieje. Młodzież posiada zaufanie żelaznego kanclerza, który po niej spodziewa się ślepego posłuszeństwa, gdy po złożeniu formalnego egzaminu odda się karyerze rządowej.

Wiadomo, że władze uniwersyteckie zawezwały z osobna wszystkich akademików Polaków, do wystąpienia z polskich związków. Minister Gossler przyjął z rąk deputacyi młodzieży tutejszej spis odczytów i wykładów, aby porównać go z denuncyacyą. Minister zostawił wprawdzie młodzieży niejaką nadzieję, że będzie mogła zawiązać inne stowarzyszenie, i sędzia uniwersytecki wyraził się w podobny sposób, ale piśmiennej odpowiedzi nie otrzymali jeszcze oni, na przedstawienie swoje. Akademików mamy tu obecnie około 100.

Podobnie na wszystkie związki w Berlinie zwraca rząd baczne oko. Na posiedzeniach Towarzystwa Przemysłowców bywa teraz regularnie władza policyjna. Od wszystkich stowarzyszeń polskich zażądano spisu członków; co wielu odstrasza w pracach towarzystwa. Smutno wprawdzie, ale wyznać musimy, że wśród Polaków zaczyna wschodzić posiew socyalizmu. Kilku już Polaków wydaliła policya na mocy ustawy antysocyalistycznej. Niedawno zakazała ona sprzedaży kartek z napisem polskim: „Dla familii wygnanych“, miały one być zaopatrzone w pieczęć kółka socyalistów polskich. Dochód z sprzedaży tych kartek był przeznaczony na rodziny wygnanych socyalistów; podobne kartki sprzedawali także niemieccy socyaliści, którym również tego wzbroniono. Wdzierając się do stowarzyszeń polskich, socyaliści wyrządzają nie tylko szkodę moralną, lecz nadto narażają istnienie towarzystw na niebezpieczeństwo rozwiązania przez władzę policyjną. Podwójny więc mają rodacy nasi w Berlinie powód wystrzegania się socyalistów.

W rozmaitych załogach niemieckich znajduje się jeszcze obecnie niemało żołnierzy Polaków, administracya wojskowa dotąd nie upatrywała w tem jeszcze osobliwego niebezpieczeństwa, — obecnie rozpraszają rekrutów polskich po całych Niemczech, pozbawiając ich „ostatniej pociechy“, jak się wyraził w parlamencie p. Kościelski. Stąd znajdują się ci biedacy w przykrem położeniu pod względem duchownym. Opieki duchownej nie mają tam, gdzie kapelanami wojskowymi są Niemcy, niewładający językiem polskim. Tutaj np. w Berlinie ma zaradzić potrzebie duchownej jeden jedyny kapelan, pochodzący z Górnego Szląska, mający w samym Berlinie duszpasterstwo blisko 2000 żołnierzy Polaków. Ksiądz ten prawie rok cały podróżuje, zwiedzając rozliczne załogi. W zachodnich prowincyach państwa żołnierze Polacy nigdy nawet nie usłyszą z kazalnicy lub w konfesyonale języka polskiego. Żale na to doszły posła Letochy, Górnoszlązaka, radcy sądowego w Berlinie. Zajmując się gorliwie dolą ludu Górno-Szląskiego, podniósł on tę sprawę w parlamencie, domagając się od administracyi wojskowej, aby pamiętała o żołnierzach Polakach. Minister wojny tłumaczył się chwilowym brakiem księży odpowiednich, przyrzekając, na przyszłość wedle możności, złemu zaradzić, ale dotąd nie rozwinął on właściwej sobie w innych sprawach energii i zabiegliwości. Inny członek frakcyi katolickiej wykazał, że w samym Magdeburgu znajduje się 688 żołnierzy Polaków, pozbawionych zupełnie opieki duchownej.

Walka przeciwko socyalistom toczy się coraz energiczniej. Wyrok trybunału lipskiego przeciwko uczestnikom w kongresie socyalistów w Kopenhadze podał rządowi broń pożądaną, ostrzejszą nad tę, o której mówi ustawa wyjątkowa. Na mocy wyroku, o którym wspomniałem w poszycie październikowym *Przeglądu*, występują prokuratorzy przeciwko socyalistom rozrzucającym pisma zakazane jako przeciwko członkom zakazanych związków. Minister Putkamer wydał osobny okólnik do władz policyjnych, nakazując podobny sposób działania; a bezwątpienia i w innych państwach rzeszy niemieckiej, rządy zastosują się do tego; w kilku miastach wielkich, wytoczono już procesy przeciwko socyalistom na mocy rozporządzenia ministeryalnego.

Bronią, podaną przez ustawę wyjątkową, siecze rząd socyalistów swoją drogą. Niedawno zaprowadzono w Frankfurcie nad Menem i w najbliższej okolicy tego miasta stan oblężenia, a powoli wszystkie większe miasta mogą się spodziewać tego obostrzenia, jakkolwiek pewną jest rzeczą, że tym sposobem nie wypleni się socyalistów. Rząd tłumaczy postępowanie swoje tem, że w Frankfurcie istnieje silna organizacya socyalistyczna, mająca największy udział w sprowadzaniu pism zakazanych z Szwajcaryi. Wiadomo, że przed dwoma laty w Frankfurcie zamordowano radcę policyjnego Rumpfa, znanego z gorliwości, z jaką ścigał socyalistów. Ciekawa jednak rzecz, że pierwszy burmistrz Frankfurtu, członek izby panów dr. Miquel, jakkolwiek zwolennik rządu, przeciwny był zaprowadzeniu stanu oblężenia. Na mocy ustawy wyjątkowej wydalono z Frankfurtu kilkudziesięciu socyalistów, między nimi posła do parlamentu, Sabor'a, dawniejszego nauczyciela żydowskiego z księstwa poznańskiego. Sabor niedawno odziedziczył 80.000 talarów; nietrudno mu więc będzie, gdzie indziej utworzyć sobie egzystencyę. Opinię publiczną jednakowoż oburzało to, że policya osobom skazanym na wydalenie, w samą wigilię Bożego Narodzenia wręczyła pozwy zapowiadające termin w pierwsze święto.

X.

Druk ukończony dnia 25 lutego 1887.

STEFAN BATORY.

(W TRZECHWIEKOWĄ ROCZNICĘ JEGO ŚMIERCI).

(Dokończenie).

II.

Rzecz charakterystyczna, że księcia Stefana, który pisał o sobie do papieża: *ego, qui per Dei gratiam catholicus semper vixerim,* i który władzy królewskiej surowo, jak rzadko kto przestrzegał, forytowali na tron polski różnowiercy i taki awanturnik, jak Samuel Zborowski. Ten ostatni po zabójstwie Wapowskiego na zamku królewskim 1574 r. schronił się jako banita na dwór księcia Stefana a odpłacając się za gościnność, rozwinął silną akcyą między różnowierczymi panami w Polsce za jego kandydaturą, a podobno on pierwszy podsunął mu myśl pokuszenia się o koronę polską. Posłowie też Stefana na konwokacyą, a potem na elekcyą byli zaciekli różnowiercy Emeryk Sulyok i Jerzy Blandrata, medyk książęcy, arianin; Berzewiczky tylko był katolikiem. Z trzynastu polskich posłów, którzy zawiadomić mieli Stefana o dokonanym jego wyborze i sprowadzić do Polski, jeden tylko był katolikiem, wszyscy inni różnowiercami[1]. To też nawet Stanisław Karnkowski, biskup kujawski, który był duszą partyi króla Stefana i główną całej akcyi wyborczej sprężyną, podejrzywał swego elekta o sprzyjanie nowinkom i dla usunięcia niemałych w tej mierze wątpliwości, wysłał kanonika Solikowskiego na przeciwko niemu do Śniatyna. W dłuższej sekretnej rozmowie kładł Solikowski nacisk na to, żeby król Stefan „szczerze wyznał swą wiarę i szczerze z Bogiem postępował, i szedł śladami dawnych królów polskich, na mszy św. co-

[1] Solikowski. Commentarius rer. pol. str. 53.

dziennie bywał, biskupów jak ojców szanował i rad ich słuchał, rzymskiego papieża aby za najwyższego Chrystusowego zastępcę na ziemi uznawał, praw kościelnych dochował, senat miłował, kolu rycerskiemu ufał, a podszeptom heretyków aby ucha nie dawał ... Słuchał Solikowskiego król elekt z rozrzewnieniem a z wielką swoją pociechą". Uczynił zaraz przed nim publiczne wyznanie wiary, a nazajutrz słuchał mszy św. klęcząco i księgę ewangielii nabożnie ucałował. Święta wielkanocne 1576 r. przepędził król w opactwie cysterskiem w Mogile — i tu przysłał mu Karnkowski trzech mistrzów teologii, aby go w rzeczach wiary wybadali i gruntownie wyuczyli. Jednego z nich uczonego a wymownego ks. Stanisława Sokołowskiego, zatrzymał król jako przybocznego swego teologa i dworskiego kaznodzieję, który przez lat pięć, po łacinie przed królem każąc, urząd ten sprawował [1]. Po jego śmierci zastąpił go w obojej tej duchownej usłudze Jezuita Marcin Laterna. Po dokonanym obrzędzie koronacyjnym i ślubie z Anną Jagiellonką, król zabrał się do spraw publicznych.

Przebieg ich znany dobrze czytelnikom; chodzi nam głównie o uchwycenie ich religijno-moralnego momentu, aby tem łatwiej zrozumieć i ocenić Stefana Batorego człowieka.

Wielkie zachodziło podobieństwo urządzeń politycznych i miejscowych stosunków w Siedmiogrodzie i w Polsce. Tamto wprawdzie lennicze księstwo, ta niezależna „prześwietna rzplta", ale tu i tam tron obieralny, konstytucya autonomiczna, stan szlachecki uprzywilejowany, rozpolitykowany, zuchwały, do tworzenia stronnictw i spisków skory, urzędów i nowych swobód łakomy, królowi czy księciu hardy i tylko z musu posłuszny. Na początku swoich rządów w Siedmiogrodzie spotyka się Stefan z buntem Bekesza, w Polsce z buntem gdańskim i burzliwą sprawą Samuela Zborowskiego — tu i tam składać musi na winnych zbrodni stanu sądy sejmowe i przypominać sędziom prawa monarsze, świętość przysięgi obywatelskiej, i ciężkość zbrodni, gdy się te prawa i przysięgi łamie. Tam i tu ma przeciw sobie potężnych przeciwników, których bądź co bądź pozyskać trzeba, i ruchliwą akcyę różnowierczą, którą umiejętnie kierować należy. Dzięki tej analogii księstwa Transsyl-

[1] Solicovii de reb. pol. Comment. 61—65.

wanii i rzpltej polskiej, stało się, że pięcioletnie rządy księstwa były szkołą i jakby nowicyatem do podobnych ale trudniejszych nierównie rządów w Polsce, a książe Stefan wstępując na tron polski, wszedł nań nie jako *homo novus*, który dopiero pierwsze kroki stawiać i próby trudnej sztuki rządzenia krajem drogo opłacać musi, ale jako *vir expertus*, wytrawny polityk i doświadczony władzca. To nam tłumaczy tę pewność, męską stanowczość i dojrzałość jego rządów od pierwszej chwili wstąpienia na ziemię polską. „Pierwsze kroki jego królowania pewne, zręczne, świadome celu, znamionują naprzód tęgiego monarchę“ [1].

Najbardziej naglącą sprawą dla nowego króla było pozyskanie licznej opozycyi. Znaczna część panów, przeważna część episkopatu z prymasem Uchańskim na czele, stała po stronie cesarza Maksymiliana, którego popierał Grzegorz XIII. tak dalece, że posłów Stefanowych nawet do posłuchania nie przypuścił. Nuncyusz papieski Mondovi, wzbraniał się uznać go królem, tłumacząc się brakiem instrukcyj i wyjechał do Wrocławia. Litwa cała nie przystąpiła jeszcze do niego; miasta pruskie stały twardo przy cesarzu, Gdańsk podniósł bunt jawny. Cóż na to król Stefan? Roztropnem ale stanowczem działaniem ubezwładnia jednych, szczerą, szlachetną iście królewską otwartością pozyskuje drugich; Łaskiego wypędza orężem Górki z Lanckorony, prymasa wzywa do posłuszeństwa, a równocześnie wysyła oddział zbrojny na zajęcie jego Łowicza, Litwinom i miastom pruskim zatwierdza przywileje w Warszawie, iż go uznają swym panem, a zuchwałych Gdańszczan ogłasza buntownikami i wojenną przeciw nim gotuje wyprawę. Zwolennikom swoim i przyjaciołom, którzy go na tron wprowadzili, nie daje się opanować, ale on rządzi nimi. W Zborowskich dopatruje się odrazu anarchicznego ducha, i żadnemu z nich, pomimo że się o to dopominali, nie oddaje kanclerstwa; za to Jana Zamojskiego, przedstawiciela szlachty mianuje podkanclerzym, do tajnych rad i zwierzeń przypuszcza, a niebawem kanclerzem i hetmanem w. k. i walną podporą tronu czyni. Kując żelazo póki gorące, przeprowadza u szlachty na sejmie koronacyjnym objaśnienie drażliwego punktu: *de non praestanda obedientia:* tylko w razie „gdyby król przez

[1] Szujski. Dzieje Polski III, 46.

siłę prawa i swobody nasze niszczył, a na przestrogi senatu i rycerstwa wcale uważać nie chciał", naród wypowiedzieć mu może posłuszeństwo. Żądaniom szlachty, aby monarsze prawo rozdawnictwa wakansów przelał na wybory wojewódzkie, opiera się stanowczo, a zuchwałym trybunom szlacheckiej wolności Niemojewskiemu i Pękosławskiemu daje na sejmie toruńskim twardą odprawę mówiąc: „że malowanym królem być nie chce" [1]. Słowem, zaraz na wstępie swych rządów, czyni wszystko co na razie uczynić można, aby zabezpieczyć się przed domowym nieprzyjacielem, przed anarchią. Później, wśród przygotowań wojennych ulepsza i przyspiesza bieg sprawiedliwości ustanowieniem trybunału dla spraw cywilnych, zamyśla nawet, i z Janem Zamojskim plan wygotowuje, usunięcia najzgubniejszej instytucyi: *electionis regis viritim*. Mądre to wszystko, głęboko polityczne, a przeprowadzone spokojnie, cierpliwie, wytrwale, bez zamachu stanu, bez naruszenia swobód i praw paktami zaprzysiężonych.

Należało jeszcze zabezpieczyć granicę państwa; obowiązywały do tego *pacta conventa*. A więc najprzód dla zażegnania wojny z cesarzem wyprawia król sekretarzy swoich Jana z Krotoszyna i Jana Solikowskiego na sejm rzeszy w Ratysbonie. Dano im tam ubliżającą dla króla odpowiedź, a potem w drodze z powrotem opadnięto i w Lincu uwięziono. Dopiero śmierć Maksymiliana w paźdz. 1576 odwróciła grożącą burzę.

Złamanie potęgi tureckiej było głównem ale zarazem ostatecznym celem akcyi królewskiej; na razie pokój z groźną Turcyą był konieczny; narażały go na szwank częste napady Kozaków w kraje tureckie. Nasz Stefan śle jeszcze z Białogrodu jako kandy-

[1] Siarczyste przemówienie króla do posłów sejmu toruńskiego przechowało się u Heidensteina, w bibliotece watykańskiej, w tekach Naruszewicza. Oburzony srodze król mówił: „Nie w stajni ale człowiekiem wolnym się urodziłem, i zanim tu przyszedłem, nie brakło mi jadła i odzienia, wolność tedy moją kocham i zachowam. Zrządzeniem bożem wybraliście mnie królem, na wasze życzenie i naleganie tu przyszedłem. Wyście mi koronę na głowę włożyli, jestem więc królem waszym nie fikcyjnym i nie malowanym. Rozkazywać i królować chcę, i nie ścierpię, aby mi kto z was rozkazywał. Stróżami jesteście wolności waszej, nie chcę więc mieć was za moich pedagogów i za dozorców mojego senatu. Tak więc pilnujcie swobód waszych, aby wolność wasza nie przeszła w nadużycie". — Rykaczewski. Relacye nuncyuszów I. 299.

dat do tronu posły do Porty przyrzekając dochować wiernie traktatów zawartych między nią a Polską [1], zostawszy królem karze śmiercią wodza najezdników atamana Podkowę, ukrainnych Kozaków ujmuje w twarde ryzy regestru, Zaporozcom nadaje przywileje i ziemie, a z wszystkich i czyni dzielną straż pograniczną, i walną pomoc w wojennej potrzebie. Uspokojony od południa, zwraca swój wzrok i oręż na północ. *Pacta conventa* obowiązały go do odzyskania ziem utraconych, *avulsa a republica*, a więc Inflanty, Biała Ruś, Psków i Nowogród, Smoleńsk, Siewierz i Czernichow. Ten który te prowincye zajął, Iwan Groźny, nie tylko w *pacta* się nie wdaje, ale jeszcze z cesarzem niemieckim na zgubę Stefana się umawia i rozbiór Polski medytuje. A więc wojna. Od lat 15 nie prowadzili Polacy porządnej wojny, bawili się za to zawzięcie w polityków i teologów; niezdrowa to zabawa, zwłaszcza gdy jej zbytek i zniewieściałość towarzyszy. Wyrwać rycerski naród z zaklętego koła bezowocnej słów szermierki i polityczno-religijnych a namiętnych rozpraw na arenę trudów obozowych i krwawych zapasów, — toć to oddana ojczyźnie rzetelna przysługa. Król Stefan w pospolite ruszenie nie wierzył, od szlachty domagał się podatku, z tego regularne pułki formował, zaciągi z Węgier sprowadzał, wodzów dzielnych i taktyki wojennej świadomych dobrze opłacał, nie z ruchawką liczną a bezładną ale z armią wyćwiczoną, w armatę i rynsztunek wojenny dobrze opatrzoną w pole i pod obronne zamki ruszał — i zwyciężał. Wyprawą połocką, wielkołucką i pskowską, Inflanty z rąk Iwana wydobył, urządził i Koronie przywrócił, Białą Ruś odzyskał. Wojownik odważny a przezorny umiał być i obywatelem mądrym: walecznych włościan i mieszczan, którzy się wśród wojny odznaczyli, do nobilitacyi sejmowi przedstawił, rozszerzając przez to pojęcie powszechnego obywatelstwa; próbował polepszyć dolę inflanckiego ludu, wyzyskiwanego i okładanego plagami przez niemieckich panów.

Nie tylko zbyt liberalne instytucye, ale podtrzymywały w Polsce anarchią religijne niezgody różnowierców. Zastał ich król Stefan na pierwszych w kraju dygnitarstwach, w senacie, w kole rycerskiem, na własnym dworze, na pańskich zamkach, po dworkach szlache-

[1] Wolfgang Bethlen II. 391.

ckich, po miastach, przy kościołach nawet i w klasztorach; słowem, wszędzie byli, działali, intrygowali, kłócili się z sobą a niedowierzali królowi, podkopywali powagę władzy i rządu. Pokonać różnowierstwo wstępnym bojem było rzeczą wprost niemożliwą. Istniały wprawdzie przeciw heretykom twarde prawa Jagiellowe i edykta Zygmunta I, ale te *per desuetudinem* poszły w zapomnienie, zniosła je zresztą *de facto* konstytucya 1573 *pacem inter dissidentes in religione servabimus*, miało więc różnowierstwo legalną podstawę. Król Stefan wierny przysiędze nie miał innej drogi, tylko albo poddać rewizyi sejmowej powyższą konstytucyą i inne na rzecz różnowierców zapadłe uchwały, albo umiejętnem rozdawnictwem dygnitarstw i królewczyzn, podźwignięciem katolickiego duchowieństwa, episkopatu zwłaszcza i szkół katolickich zakładaniem, odjąć różnowierstwu te źródła, z których one dotąd moc swoją czerpało. Wobec senatu i koła w trzech czwartych częściach z różnowierców złożonego, rewizya konstytucyi okazała się niemożliwą. Pozostawała więc druga droga, podźwignięcie katolicyzmu — i tu współdziałanie papieża było konieczne.

Po ucieczce Walezego, Grzegorz XIII. znalazł się w trudnych warunkach: Henryk uważał się za króla polskiego i do Polski lada chwila wrócić przyrzekał; cesarz Maksymilian tradycyami rodowemi i ponawianą wielokrotnie obietnicą prowadzenia wojny św. z Turcyą, mając nadto prymasa Uchańskiego na czele swego stronnictwa w Polsce, wydał się po legalnej detronizacyi Henryka 1575 r. najodpowiedniejszym i prawowitym królem Polski. Za takiego uznaje go też Grzegorz XIII. listem z d. 11 lut. 1576 r.[1]. Przeciw Batoremu miał papież wiele do zarzucenia; raz, że jako książe siedmiogrodzki był lennikiem sułtana, który go też na tron polski usilnie polecał, a listem z d. 8 stycz. 1576 r., uznał go pierwszy z panujących królem, zaklinając się na Boga i proroka, że orężem utrzyma go na tronie przeciw Maksymilianowi i Iwanowi. Powtóre, że chociaż katolicyzmowi dosyć sprzyja, *satis addictus*, to jednak obrała go królem partya różnowiercza; katolicyzm Stefana wydał się Grzegorzowi podejrzanym. Że wreszcie zjechawszy już do Krakowa król

[1] Theiner. Annal. Eccl. cath. II. 203.

Stefan prawie wydalił nuncyusza, skoro ten dla braku instrukcyi królem uznać go nie chciał.

Tak naprężone stosunki z Stolicą św. nie były na rękę Stefanowi; czekał chwili, kiedy prymas i cały episkopat, korona i Litwa i wszystkie stany królem go uznają, aby na podstawie tej powszechnej zgody narodu uzyskać uznanie od papieża. Chwila ta nadeszła w lecie 1576 r. i już 5 lipca t. r. wysyła Stefan Jana Grzymałę Zamojskiego z listem do Rzymu, donosząc o swojej elekcyi i przestrzegając papieża, że dalsze popieranie Maksymiliana wywołać może wojnę na całej linii, za którą odpowiedzialność spadnie na „zagranicznych“ ludzi. „Co się zaś tyczy stanu królestwa mojego, niech dokaże tego Ś. W., ażeby starając się o utrzymanie wolności i swobód innych państw chrześcijańskich i miłując ich po ojcowsku, także bronić raczyła wolności rzpltej polskiej, która równie mnie jak Ś. W. jest oddaną, i niechaj nie dopuści ażeby tej wolności jawnie lub skrycie za wiedzą i radą Ś. W. (jak to złośliwe języki w kraju głoszą) przez czyjekolwiek usiłowania zguba lub krzywda jaka stała się. Szlachta bowiem i stany mego królestwa postanowili bądź co bądź, nie taję tego przed Ś. W. swobód swoich bronić i jeżeli trzeba w obronie ich zginąć, tem chętniej, im częściej w obronie cudzej wolności od nieprzyjaciół Chrześcijaństwa życia swego nie żałowali. Ktobykolwiek zaś na prawa i wolność ich nastąpił, ten spokojną tę i kwitnącą rzpltę, przedmurze chrześcijaństwa rzuciłby w największe zamieszania, cały prawie świat wplątałby w wojnę nieszczęsną i zawikłaną a wreszcie na siebie ściągnąłby plamę szkaradnej prywaty, doczesną i wieczną karę bożą“ [1].

Na ten list nie dano odpowiedzi z Rzymu, król jednak przekonany, że zrobił co do niego należało, nie przestawał udawać się do Stolicy św. w sprawach, które uważał dla katolicyzmu za pożyteczne, a protektor Polski, uczony kardynał Sirleti, wspierał go w tych usiłowaniach. W tym celu pragnął król przedewszystkiem wyższe posady duchowne obsadzić mężami prawdziwie kościelnymi. W liście do Grzegorza XIII. z d. 8 września 1576 r. pisze: „pragnąłbym do zarządu dyecezyi takich mężów wysadzić, którzyby sposobni i zdolni być mogli do podtrzymania i pomnożenia powagi

[1] Theiner. Annales II. 207.

kościelnej“ i dlatego prosi, aby papież prawo nominacyi w miesiącach papieskich przelał na niego, bo jemu jako na miejscu będącemu i znającemu dobrze ludzi, wybór odpowiedni łatwiejszy [1]. Ponowił tę prośbę w rok potem względem nominacyi na prałatury i kanonie dyecezyi krakowskiej i płockiej, gdyż z tych to prałatów i kanoników bierze się biskupów, którzy nie tylko są książętami kościoła, ale i senatorami Rzpltej: wiele więc zależy na tem, aby do prałatur i kanonij nie wybierano tylko ludzi kościelnych i politycznie wyrobionych [2]. Z udzielonego sobie później przywileju korzystał dobrze król Stefan. Z jego to wyboru wyszli: Dymitr Solikowski arcb. lwowski 1582; Stanisław Karnkowski arcb. gnieźnieński 1581; Piotr Myszkowski bisk. krakowski 1577; Marcin Kromer bisk. warmiński 1579; Marcin Białobrzeski i Wawrzyniec Goślicki bisk. kamienieccy 1577—1586 r. mężowie *vere ecclesiastici et docti*, nie tylko cnotą ale i głęboką nauką i dziełami wsławieni. Równej świetności jak za króla Stefana episkopat polski już nie miał potem. Z śmiercią cesarza Maksymiliana upadła wszelka zapora dobrych stosunków króla z Stolicą św. Papież przyjął na osobnej audiencyi w styczniu 1577 r. Stefanowego posła a na dwa listy królewskie dał odpowiedź pod d. 8 lut. 1577, zachęcając usilnie do wykonania powziętej przez króla myśli przywrócenia katolikom kościołów wydartych po śmierci Zygmunta Augusta przez heretyków, w Prusiech zwłaszcza i w Warmii: „wszystkiego bowiem spodziewać się możemy po znamienitej pobożności twojej, *omnia nobis pollicetur insignis pietas tua*“ [3]. Utwierdziło te dobre stosunki z Grzegorzem XIII. ponowne poselstwo homagialne, z którem wyprawił król Pawła Uchańskiego starostę drohobyckiego w listop. 1577 r. [4].

A nie były to tylko grzeczne słowa, czcze obietnice lub polityczne fortele te listy i te poselstwa Stefanowe do Rzymu. Towa-

---

[1] Theiner, Annal. Eccl. II. 208.

[2] Tamże II. 315.

[3] Tamże II. 309.

[4] Tamże. Ten Uchański posłował jeszcze drugi raz do Rzymu na wiosnę 1579. Nader uroczysty wjazd jego do świętego miasta, wspaniałą jego wymowę i zachwyt w jaki nią wprawił papieża i kardynałów, opisuje szczegółowo list Jezuity Aratoris Panonii, penitencyarza papieskiego do króla z d. 9 maja 1579 roku.

rzyszyła im objektywna prawda, czyny królewskie w sprawie dźwignięcia upadającego katolicyzmu. Nie tylko przekonania katolickie króla, nie tylko jego charakter prawy, nakazujący mu dotrzymać przysiąg, umów i obietnic, ale zdrowa polityka i konieczność zrestaurowania rozluźnionej królewskości, doradzała pracować usilnie nad restauracyą Kościoła katolickiego w Polsce. Różnowierstwo było zawsze i wszędzie rozkładowym czynnikiem, do wojen domowych, krwi rozlewu i królobójstw prowadziło; tak było w Francyi, w Anglii i Niemczech. W Polsce skończyło swą rozkładową robotę na namiętnych wycieczkach szlacheckiego stanu przeciw duchowieństwu, na zaborze kościołów i dóbr kościelnych i na ubezwładnieniu królewskiej władzy. Król Stefan, który młodzieńcem jeszcze patrzał zbliska na te zgubne dla idei państwa roboty herezyi w Niemczech, mężem dojrzałym będąc doświadczał na sobie samym jej szkodliwego wpływu tak w Siedmiogrodzie jak na samym wstępie swego królowania, nie mógł obojętnym okiem patrzeć na jej rozrost w Polsce. Rozumiał i to, że katolicyzm zawsze był i jest sojusznikiem i podporą każdej uczciwej władzy, a więc i królewskości, bo pojmuje ją jako pochodzącą od Boga i stąd wszyscy katoliccy królowie podpisują się „z łaski bożej *Dei gratia*“. Naturalną więc było rzeczą, że w walce herezyi z Kościołem, mając do wyboru przerzucić się na tę lub na ową stronę, postanowił poprzeć silnie sprawę Kościoła, i wystąpił otwarcie jako król katolicki. Pierwsze tego dowody złożył w Gdańsku. Odebrać parafialnych kościołów, zajętych przez heretyków nie mógł, bo nie siłą oręża, ale drogą układów uzyskał poddanie się Gdańszczan, ale pomiędzy warunkami położył i ten, aby złożyli sumę 20.000 złp. na odbudowanie zburzonego przez motłoch heretycki klasztoru Cysterskiego w Oliwie, a powtóre, aby dali wstęp i swobodny pobyt Jezuitom w swym mieście. Nadto pozostałe katolickie kościoły i klasztory w Gdańsku: Dominikanów, Karmelitów i Brygitek, królewską swą opieką otoczył.

Gdyby nie co innego, to już ta jedna okoliczność, że król Stefan tak szczerze i stanowczo wprowadzić pragnął Jezuitów i do swego Siedmiogrodu i do miast polskich herezyą najbardziej zagrożonych, dowodzi niezbicie przekonań jego głęboko katolickich. Czynili to samo cesarz Ferdynand II., Maksymilian bawarski i podobny Stefanowi z wielu względów król francuski Henryk IV. fun-

dując kolegia i szkoły jezuickie w Wiedniu, Gracu, Ingolstadzie, Würzburgu, Paryżu, la Fleche i indziej. Przykład ich zachęcał i utwierdzał króla Stefana w raz powziętej myśli. „Zaraz więc skoro zasiadł na tronie, powiada historyograf zakonny Rostowski, uwolnił kolegia jezuickie od podatków i takowe ze swych dochodów opłacać kazał“ [1]. Jezuici też po koronacyi króla, odprawili po wszystkich kościołach swoich uroczyste za pomyślność jego nabożeństwo, a wileńscy, których rektorem był ks. Skarga, posłali mu obozującemu pod Gdańskiem na ręce Jana Zamojskiego powinszowanie, oświadczając się z gotowością do pracy na niwie bożej i ofiarując modlitwy. Odpowiedział król *ex castris apud Gedanum die 24 Aprilis 1577*, nader uprzejmym listem, że gorącem pragnieniem jego jest, zwrócić wszystką swą pracę do rozkrzewienia chwały imienia bożego. „Ponieważ zaś do tego celu zakon wasz wydaje mi się bardzo potrzebny, dlatego jest on i będzie nam zawsze miłym i damy tego dowód czynami, a nie słowami, skoro tylko sprawy królestwa ułożymy i do pożądanego spokoju dojdziemy“ [2].

Na te „czyny“ królewskiej życzliwości nie trzeba było długo czekać. Utrzymywał króla w tych dobrych usposobieniach sławny w onym czasie Jezuita Possevino, który sprawując poselstwo papieskie w Sztokholmie zjechał także do Krakowa 1578 i do Warszawy 1579 i mając długie z królem i królową konferencye co do spraw szwedzkich, dał się poznać królowi z rozumu swego i znajomości spraw publicznych, zyskał jego szacunek i zaufanie.

Stosunek ten prawie przyjacielski utrwaliła legacya Possewina do Moskwy, w czasie której legat wielokrotne miewał narady z królem. Ledwo ubitą została sprawa moskiewska, przybył Possewin ponownie do Polski w listopadzie 1582 r. jako pośrednik papieski w sporze króla Stefana z cesarzem Rudolfem II. o przynależność zamków Szatmar i Hemeum które cesarz do Węgier królewskich wcielił. Trzy lata wlokło się to pośrednictwo i na trzy zawody podróżował Possewin z Wiednia do Krakowa i na powrót. Korzystał on z częstego pobytu w Polsce, naradzał się często z biskupami

---

[1] Lith. Soc. Jesu hist. Parisiis 1877, str. 55.

[2] Tamże.

i Janem Zamojskim nad poratowaniem sprawy katolickiej w Polsce, a z królem mając, jak to z natury rzeczy wynikało, częste narady, podsycał jego żarliwość o wiarę i śmiało powiedzieć można że według planu przez niego wskazanego, pracował król nad przywróceniem katolicyzmu w odzyskanych zwłaszcza prowincyach północnowschodnich [1].

Podczas oblężenia Gdańska Iwan Groźny zagarnął prawie całe Inflanty. Jeszcze w jesieni 1577 odebrali Polacy fortelem Dynaburg i Kiesę — rok cały 1578 strawił król na przygotowaniach, w lipcu 1578 wydał manifest wojenny w czterech językach i ruszył pod Połock, a ruszył po bożemu; byli przy królu ks. Sokołowski, przy hetmanie Mieleckim niedawno przez Skargę do katolicyzmu przywróconym, Marcin Laterna Jezuita jako kapelanowie obozowi. Podczas oblężenia d. 28 sierp. król wieczerzał w Spasie, u stołu siedział przybyły z Wilna rektor założonej przez biskupa Protaszewicza akademii, ks. Piotr Skarga. W tem wpadła kula wystrzelona przez Moskali z zamku połockiego i obiwszy się parę razy o ściany komnaty, osiadła na stojącym na stole półmisku. „Co to ma znaczyć? spyta król zaniepokojony. Na to mu Skarga: „Moskale zapraszają nas na jutro na wieczerzę do zamku". — „Jeżeli się twa dobra wróżba ziści, odpowie król poważnie, to twoim braciom zafunduję takie kolegium, jakiego dotąd nie macie". Nazajutrz 29 września wzięto szturmem Połock. I zaraz tegoż dnia, opowiada Rostowski, pomny swego ślubu napisał z obozu do ks. Piotra Skargi, rektora wileńskiego kolegium, aby przybywał wraz z swymi towarzyszami i zajął to, co on Bogu w razie zwycięstwa ślubował. Niechaj nie zazdroszczą polscy Jezuici portugalskim i hiszpańskim swym braciom szukającym Boga w Azyi i Ameryce: znajdą oni tu swoich Indów i Japonów w ludzie połockim ruskim, rzeczy bożych zupełnie nieznającym". Wszedłszy do miasta przyzwał król prowincyała Sunnera i Skargę, i spełniając swój ślub założył kolegium połockie, nadając mu dobra Spas, które wtenczas spustoszone wojną, wnet

---

[1] Rostowski str. 58—59. Wielewicki. Hist. domus ad s. Barbaram I. 23—26.

potem do stanu dobrego przyprowadzone, liczyły 16.000 dusz męskich czyli poddanych [1].

Wracając z wyprawy zjechał król do Wilna skromnie, *sine omni triumpho*, bo ostentacyjnych wjazdów nie cierpiał, ale za to zwiedził szkołę jezuicką, gdzie go przyjmowano łacińskiemi odami i oracyami. Wtenczas to jednemu z tych młodych oratorów, ubogiemu ale pilnemu i wymownemu młodzieńcowi powiedział król: *disce latine puer faciam te Mości Panie*. A ponieważ akademia wileńska nie miała jeszcze zatwierdzenia królewskiego, przeto na prośby chorego obłożnie biskupa Protaszewicza a za wdaniem się sekretarza król. Solikowskiego i Jana Chodkiewicza król wydał przywilej. W dokumencie tym uderza prawdziwe chrześcijańskie pojmowanie królewskiego urzędu. „Za ścisły bowiem obowiązek króla, słowa są przywileju, uważamy nie tylko pieczę nad bezpieczeństwem i spokojem podwładnych nam ludów, ale bardziej jeszcze nad ich zbawieniem wiecznem, ażeby po usunięciu ciemności nieuctwa i błędu i dzikiego barbarzyństwa, a po wprowadzeniu światła znajomości prawdziwego Boga i kultury obyczajowej według woli bożej, zakwitnęła tam bojaźń pańska, początek mądrości i chrześcijańskich obyczajów uczciwość, ażeby wszyscy połączeni w to jedno królestwo, złączeni byli także w jedną owczarnię Chrystusa i jego królestwo wieczyste i paszę niebieskiego życia aby osiągnęli. Przekonani bowiem jesteśmy, ze św. katolicko-rzymska wiara i jej kult zbawienny królestw wszystkich jest podstawą i najsilniejszą w niebezpieczeństwach obroną, a głosiciele jej, kapłani i zakonnicy Bogu poświęceni i gardzący wszystkiem co ziemskie, i słudzy ołtarza bożego, że są murem niezdobytym, gdyż za nas i za królestwo nasze modlitwy i święte ofiary codziennie składają“ [2]. Chodziło o przyłożenie pie-

---

[1] Spas, to książęca fundacya Bazylianek unickich a potem prawosławnych. Mieszkała w tym monasterze bł. Prakseda. Po wzięciu Połocka 1562 monaster opustoszał, dobra zabrane na rzecz skarbu, miał więc król Stefan zupełne prawo rozporządzenia niemi, a nadawszy je Jezuitom, wyznaczył komisyę dla uporządkowania fundacyi. Posypały się jak grad pretensye prywatnych osób, a wojewoda połocki Drohojowski, będąc kalwinem, popierał takowe. Przez lat prawie 4 wlokły się roboty komisyi i tylko jedna część książęcej fundacyi ruskiej dostała się Jezuitom; sejm r. 1585 zatwierdził ją. — Wielewicki I, 44, 59, 74.

[2] Teki Naruszewicza 89, str. 7.

części litewskiej. Wzbraniał się uczynić tego wojewoda wileński Mikołaj Radziwiłł kalwin, twierdząc, że taki przywilej sprzeciwia się wolnościom i obliczony jest na pognębienie różnowierstwa. Zapytał go król przez Jasińskiego katolika sekretarza litewskiego: „cóż to za wolność, która ani uczyć się ani być nauczoną nie chce i skądby mieli przywilej na barbarzyńskie nieuctwo, nieznajomość Boga i dzikość obyczajów?“ Zawezwał potem podkanclerzego lit. Wołłowicza, także kalwina, aby pieczęć przyłożył. Wzbraniał się i on, mówiąc że łacińskiego nie zna języka, wytłumaczył mu król przez Jasińskiego treść przywileju i dodał: „albo niech pieczęć przyłoży, albo niech ją odda królowi, król sam to uczyni, ale pieczęci nie zwróci mu więcej“. Wystraszony Wołłowicz przyłożył pieczęć. „Było to, dodaje naoczny świadek Solikowski, pierwsze odwzajemnienie się króla akademii, która go wspaniałemi wierszami, mowami i śpiewem w kościele św. Jana przyjmowała“ [1].

Wnet nastąpił drugi wymowniejszy jeszcze dowód królewskiej łaski. Wspomniałem wyżej, że jeszcze 1572 r. Stefan jako książe siedmiogr. pragnął w swej ojczyźnie otworzyć szkoły jezuickie. Zostawszy królem zachował sobie tytuł i prawa zwierzchnicze nad księstwem, bratu swemu Krzysztofowi powierzywszy namiestnicze rządy, a nie potrzebując się już oglądać na gniewy heretyckich panów, wprowadził 1579 r. kilku Jezuitów do Klausenburga, *ad barbariem depellendam et homines a vita fere silvestri ad omnem humanitatis cultum traducendos*, dla usunięcia dzikości, a wprowadzenia ludzkości, powiada Theiner [2]. Na fundacyą kolegium przeznaczył dobra opactwa Mostor, zabrane jeszcze za rejencyi Izabeli na skarb państwa, a teraz przez niego z własnej szkatuły odkupione. Na mieszkanie wyznaczył opuszczony klasztor i oddał im kościół dawnej fundacyi królewskiej, oraz nowy gmach na seminarium z którego z czasem powstać miała akademia. Grzegorz XIII. opatrzył tę

[1] Rer. pol. Comment. 123—126. W ślad za przywilejem królewskim zatwierdził także Grzegorz XIII. na prośby króla Stefana wileńską akademią. Uczono na niej teologii, filozofii, kanonicznego i rzymskiego prawa, literatury łacińskiej i greckiej, matematyki, a później nieco astronomii. Akademię wileńską przeniósł cesarz Mikołaj do Petersburga pod nazwą katolickiej akademii duchownej z wydziałem filozoficzno-teologicznym, a papież Leon XIII. zatwierdził jej dawne przywileje i nadał prawa uniwersyteckie r. 1885.

[2] Annal. Eccl. III. 446.

szkołę, na prośbę króla, roczną jałmużną 1000 zł. węg. Taka była powaga króla, że stany siedmiogrodzkie lubo przeważnie heretyckie, fundacyę tę jednomyślnie na sejmie zatwierdziły a papieżowi osobnym listem dziękowały [1]. Pierwszym rektorem nowego kolegium był ks. Wujek [2]; w trzy lata potem otwarto kursa filozofii i teologii. W Białogrodzie, stolicy księstwa, Jezuici mieszkali zrazu na dworze książęcym. Dano im jedyny jaki jeszcze pozostał kościół katolicki. Tam mówili kazania, katechizowali i parafialne spełniali obowiązki a wreszcie otworzyli dwie szkoły. Trwało to lat kilka, dopiero w styczniu 1586 erygował król Stefan formalne tam kolegium. Uczynił to samo w Warydanie, dwie wsie przeznaczając na jego uposażenie. Z śmiercią Stefana fundacye siedmiogrodzkie zostały zniszczone, Jezuici wygnani.

Nowy szereg łask królewskich spadł na Jezuitów po traktacie w Kiwerowej-horce. Inflanty całe przywrócone Koronie, król udając się do Rygi w marcu 1582 r. dla urządzenia spraw inflanckich, zawezwał ks. Skargę, aby mu z Wilna towarzyszył, i zaraz na pierwszej naradzie z senatorami, 15 marca wniósł projekt erygowania biskupstwa wendenskiego, urządzenia parafii w całej prowincyi i otwarcia jezuickich kolegiów w Rydze i Dorpacie. Wracał właśnie z Moskwy legat papieski, Possewin, król wyprawił mu wjazd do Rygi nader uroczysty a potem wiele się z nim naradzał nad podźwignięciem katolicyzmu w Inflantach [3]. Z rozkazu tedy króla oddali heretycy, acz bardzo niechętnie, dwa kościoły Jezuitom: św. Jakóba z siedmiu domami i św. Magdaleny. Na pierwszem katolickiem nabożeństwie u św. Jakuba w niedzielę palmową był sam król z dworem obecny, i słuchał łacińskiego kazania ks. Laterny. Jako dotacyą kolegium wyznaczył pewne dochody miejskie i dobra poklasztorne, które już byli rozdrapali nieprawnie heretycy. Kolegium rygskie otwarto w czerwcu 1583, pierwszym jego rektorem był ks. Leonard Ruben. Tegoż roku w październiku objęli Jezuici z rozkazu króla kościół św. Katarzyny i opuszczony klasztor św. Bry-

[1] Wielewicki Hist. diarii dom. prof. ad s. Barbaram I. 8. 84. Annal. Eccl. III. 447.

[2] Rostowski. 66.

[3] Optime enim regem animatum inveniens Possevinus, magis ac magis promovebat in piis propositis ad effectum deducendis. — Wielewicki I, 23.

gity w Dorpacie; oprócz dóbr poklasztornych odebranych heretykom, kilka budynków i część góry przyległej miastu, stanowiły fundacyą tej nowej osady; na bieżące potrzeby wyliczono im z kasy królewskiej 600 złp. [1].

Na ten także rok 1583 przypada wprowadzenie Jezuitów do kościoła św. Barbary w Krakowie. Spory z akademią, trudności z niechętnym z razu biskupem Myszkowskim, opisane szeroko w diariuszu ks. Wielewickiego, usunął i ułagodził król Stefan, i dopomógł im do uzyskania przywileju na otwarcie szkół w Krakowie, których monopol dzierżyła dotąd akademia Jagiellońska. Wszystkie te fundacye według prawa polskiego i siedmiogrodzkiego staraniem króla ściśle uregulowane i zabezpieczone, zatwierdził, także za staraniem króla, papież Grzegorz XIII. Król opiekował się nadal temi fundacyami; ponieważ zniszczone dobra nie starczyły z razu na utrzymanie księży, zasilał je iście królewskiemi jałmużnami, które troskliwie notuje Wielewicki w swym diariuszu. Do kościoła św. Barbary ofiarował drogie aparaty i wspaniały kielich, na budowę nowego kolegium w Lublinie, które założyli Mikołaj Zebrzydowski i biskup Maciejowski, przeznaczył przez pięć lat po 5000 złr. rocznie. Nie mieli Jezuici polscy przedtem ni potem zacniejszego przyjaciela i większego dobroczyńcy jak króla Stefana i to najwymowniejsza ich rehabilitacya z zarzutów, które ich wtenczas od heretyków w gu ście Wolana, a za dni naszych od historyografów i literatów w stylu Bandtkiego i Maciejowskiego spotykają.

Najwyższy wyraz zaufania dla zakonu złożył król wybierając po śmierci ks. Sokołowskiego 1582 r. na spowiednika i kaznodzieję swego, Jezuitę ks. Laternę. „Piękny to zwyczaj katolicyzmu, pisze nie podejrzany w tej mierze Aleksander Dumas, że przy monarsze nieuznającym wyższej władzy nad siebie, stawia widomego ducha bożego w osobie człowieka, który nie uznaje tylko Boga nad sobą. Spowiednik, jeżeli spełnia swoją świętą misyą, staje się tarczą jedyną ludu i narodu, on to przedkłada królowi obraz tego co słuszne a niesłuszne, on to przeciwstawia nierówności życia równość grobu. Otóż królowie w ogóle woleli brać za spowiedników Jezuitów, którzy zazwyczaj uczeńsi jak inni zakonnicy, przedstawiali na mocy

[1] Tamże I. 42.

swej konstytucyi tę jeszcze korzyść, iż czynili ślub nieprzyjmowania żadnej godności biskupiej; okoliczność ważna, przyzna to każdy, dla ludzi, którzy raz zostawszy spowiednikami królów, dzierżyli w swem ręku tekę beneficiów kościelnych“ [1]. Spowiednik króla polskiego takiej zwłaszcza miary jak król Stefan, nie miał tego wpływu co ks. La Chaise, spowiednik Ludwika XIV., o którym pisze Dumas: bo król polski skrępowany jest konstytucyą, a nawet w jedynej swej prerogatywie rozdawnictwa dygnitarstw i urzędów, liczyć się musi z namiętną grą stronnictw i ambicyą możnych panów; ale bądź co bądź wpływ ten był zawsze znaczny i dla sprawy wiary niemałej doniosłości. Wybór nie mógł paść na godniejszą osobistość. Laterna Marcin rodem z Drohobycz, zdolny i pilny uczeń szkoły akademickiej w Kaliszu, poznawszy bliżej Jezuitów w Brunsberdze, wstąpił tamże do nowicyatu 1571 r. Zaszczycony dyplomem doktora teologii w Wilnie, był przez trzy lata kapelanem obozowym w wojnie moskiewskiej. Kraków, Wilno, Brunsbergę, Grodno i Lwów pracami swemi apostolskiemi uświetnił, i w całej Polsce znany z swej nauki, cnoty i poświęcenia, pracowity swój żywot zamknął śmiercią męczeńską z rąk heretyckich Szwedów 1598 r.

Kapłan tej miary przy boku króla, to walna pomoc moralna i dobra rada i ozdoba dworu a miarą jego wymowy prostej, szczerej a jednak pełnej erudycyi to przemówienie jego żałobne na pogrzebie swego królewskiego penitenta. Złożył on tam publiczne świadectwo w najdrażliwszej kwestyi obyczajów króla. Wiadomo, że król Stefan nader chłodne utrzymywał stosunki z starszą od siebie o lat 10 królową Anną, która w listach swoich do rodziny skarżyła się gorzko: „iż ją król Jegomość zaniedbuje“. Obiegały stąd ubliżające dla króla pogłoski o pokątnych miłostkach z córką czy żoną burgrabiego zamku w Niepołomicach, dokąd król miłośnik łowów, z swymi Węgrami często dojeżdżał. Donosiła nawet o nich kamera szląska cesarzowi Rudolfowi. Opowiadano, a starzy Polacy lubowali sobie w tego rodzaju naracyach, i o innych „słabostkach króla“. Laterna, przed którym przez lat 5 otwierały się często najskrytsze tajniki serca królewskiego, tak mówił na onych egsekwiach: „Żył

[1] Louis XIV. et son siecle V. 40. Przytoczone w dziele: Piotr Skarga i jego wiek. I. 224.

Stefan jak na królewską godność przystało, wystawnie, ale i czyście, najzawziętszy wróg wszelkiej rozkoszy i główny wszelkiej niewstrzemięźliwości i szkarady obyczajowej nieprzyjaciel. A że niektórzy, nie wiem już jakie podejrzenia w tej mierze w kurs puścili, i nie wzdrygnęli się wiarę jego małżeńską niczem nieskalaną w wątpliwość podawać — to ja, który przez lat kilka sumienia jego kryjówki i tajniki, bo on tak sobie życzył, badałem, tysiąc razy mogę Boga wezwać na świadka i zapewnić mogę, że wszystko to niańczyne baśnie były i zmyślone kłamstwa". O wstrzemięźliwości króla w obozach i na dworze tak mówi: „Rzadka wiara i pobożność w obozowem życiu: obóz Stefana nazwałbyś obozem Mojżesza, Dawida lub Judy Machabeusza, a dwory jego i sale jadalne jakąś zakonną szkołą chrześcijańskiego żołnierstwa; żadnego tam zbytku, ni opilstwa ni przepychu, ani gier w kostki, ani próżniaków i leniuchów; ale albo modlitwy o pewnych godzinach i msza św. codzienna, albo zbawienne o sprawach Kościoła i państwa rozprawy... albo sądowe spraw roztrząsania z uszczerbkiem nieraz zdrowia, albo spraw przeróżnych załatwienie, i własnoręczne królewskie podpisy tak liczne, że po dwieście rano a po trzysta wieczorem spraw różnych król Stefan przejrzał i podpisał jak to naoczny świadek a poważny senator głośno opowiadał... Prawdomowności był takim miłośnikiem, że kilkakrotnie, pamiętam to, nalegał na mnie, ażebym o wszystkiem coby Boga i cnotę na dworze obrażało, z całą swobodą ustnie i pisemnie go upomniał. Łatwym był i uprzejmym tak dalece, że nikomu do siebie wstępu nie bronił, i sam supliki nawet najlichszych biedaków przyjmował i takowe jako chrześcijańskiej pokory oznaki za czapkę założone publicznie i prywatnie zazwyczaj przy sobie nosił" [1]. Piękne to a rzadkie przymioty serca w prywatnym człowieku, cóż dopiero w królu.

Za komentarz tej surowej moralności króla posłużyć mogą „artykuły czyli rozporządzenia dane wszystkim żołnierzom w wojsku JKM. komendantom zarówno pułków jak ich żołnierzom i wszystkim, którzy na służbę króla IM. i rzpltej przychodzą".

„Pierwszem i najważniejszym jest bojaźń boża, którą skoro zawsze przed oczami mieć będziemy a uczuciem i czynami ją stwier-

[1] Oratio in funus Magni Stephani I. R. P.

dzimy, to z pewnością Bóg wszechmogący będzie zawsze z nami w tej wyprawie, a wtenczas dobrze i pomyślnie dziać się z nami będzie".

„Ktoby kościół zrabował, śmiercią ukarany będzie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi".

„Dziewczynę lub kobietę ktoby zhańbił, ten karę śmierci poniesie, chociażby to było w nieprzyjacielskiej ziemi. Płeć niewieścia niechaj u wszystkich we czci będzie, bo i oni starzy poganie, którzy znajomości prawdziwego Boga nie mieli, czci jednak i przyzwoitości dla niewiast w wojskach swoich przestrzegali".

„W kraju nieprzyjacielskim nie wolno nikomu zabijać dziewic, niewiast, dzieci i starców".

„Niewiasty rozwiązłe niechaj nie wloką się za wojskiem i nikomu nie wolno ich przechowywać; nikt też niechaj się nie waży oprócz prawowitej żony, trzymać jakąkolwiek kobietę czy to u siebie, czy w wojsku lub na gospodzie, pod najsurowszemi karami na tego, kto je utrzymuje, albo u kogoby je znaleziono; tacy wypędzeni będą haniebnie od wojska i z obozu wyświeceni tj. przy pochodni wyprowadzeni. I nie ma tu miejsca żadna wymówka, że niewiasta ta służącą jest żony albo kucharką albo piastunką; jedynie żony prawowite, o których małżeństwie ma się pewne dowody, pozostać mogą przy swoich mężach, jeżeli się uczciwie prowadzą" [1].

Znana jest dzisiaj *licentia militaris;* luzność obyczajowa w obozach XVI wieku była równie znaną; wódz który tak twarde przepisy w tej mierze wydał swemu rycerstwu i wojsku, musiał sam być nieposzlakowanych obyczajów i cnotliwy co się zowie.

Na tronie polskim również jak przedtem był Stefan mecenasem nauk i protektorem ludzi uczonych. Sprowadzał ich na dwór swój białogrodzki, miał ich i na dworze polskim, przebaczał im nawet, że byli aryanami, że przeszłość mieli często bardzo awanturniczą — dosyć że byli uczonymi a to starczyło aby zyskać łaskę królewską. Takimi „uczonymi" heretykami na dworze króla byli zwłaszcza włosi: lekarze Buccella i Simoniusz, historyograf Stefana Bruti, Prosper Profana, Faust Socyn, Rosmini, Bovius, Frabriciusz, Alciati, i nawrócony do katolicyzmu historyk Stefanowy, Heidenstein. Król

[1] Teki Naruszewicza, 88.

pracował nad ich poprawą i nawróceniem, chciał dla nich sprowadzić dwóch sławnych z nauki Jezuitów Toledo i Belarmina. Exmnich wywłoka Bruti zgłosił się z przyjęciem katolicyzmu, nuncyusz za delegowaną władzą papieską miał zdjąć z niego ekskomunikę, ale potem skrewił i pozostał w aryanizmie. Nie lepiej się wiodło królowi z konwersyą innych „uczonych“ ulubieńców[1]. Ten jednak pociąg do mężów nauki potęgował jeszcze w królu szacunek i życzliwość dla Jezuitów, którzy obok gruntownej nauki, rozległej erudycyi odznaczali się jeszcze nieskalaną cnotą i poświęceniem bez granic.

Życzliwość dla Jezuitów była zresztą tylko wynikiem tego ogólnego pojmowania obowiązku: króla katolickiego; ogarniała ona cały stan duchowny w Polsce. Wierny słowu danemu w Śniatynie Solikowskiemu, król stan ten otaczał czcią jak na katolika przystało. Biskupów a nawet księży „ojcami“ nazywał. Wyprawiając się na wojnę moskiewską pisał król korny list 2 lipca 1579 do świątobliwego Karola Boromeusza a drugi do kard. Hozyusza, prosząc o modlitwy o zwycięstwo nad wrogiem. Prosił o to i nuncyusza, z którego polecenia biskupi polscy rozpisali po całym kraju suplikacyjne nabożeństwa. Dekreta synodu piotrkowskiego 1577 r. zaostrzające cenzurę drukową i karność duchowieństwa i przyjmujące za podstawę nauczania wiary uchwały Soboru Trydenckiego, zatwierdził król i papieża listem z d. 17 lipca 1577 r. o zatwierdzenie uprzejmie prosił. Chwalił go za to Grzegorz listem 7 kwietnia 1578 r.: „coś bowiem na ostatnim synodzie uczynił z największą twą chlubą, to, jak spodziewamy się, zawsze uczynić gotowy jesteś“. Kiedy na sejmie 1578 r. ustanawiano trybunał koronny dla spraw cywilnych, a koło rycerskie za wykluczeniem duchownych z tego trybunału wotowało, król oparł się temu stanowczo i przeprowadził, że w sprawach duchownych i mięszanych, sześciu deputatów od kleru polskiego zasiadło. Co więcej, sejm ten, także za perswazyą królewską, uchwalił, aby szlachta ze wszystkich dóbr dziedzicznych i królew-

[1] Annal. Eccl: III. 429. O usiłowaniach króla sprowadzenia sławnych profesorów z Włoch i Hiszpanii do krakowskiej akademii, o utworzeniu przykładem swoim i zachętą całej niemal szkoły historyków krajowych, pisano obszernie gdzie indziej.

skich, dziesięcinę duchowieństwu składała[1]. Na innym sejmie 1584 r., gdy spór o jurysdykcyę biskupią zaostrzył się nie pomału, król błagał biskupów, aby uczynili ustępstwa najdalsze, na jakie kanony kościelne pozwolą, a równocześnie miarkował posłów, aby nie domagali się rzeczy, których sumienie biskupie dozwolić nie może. Na następnym sejmie 1585 r. episkopat w porozumieniu z królem ułożył w największej tajemnicy plan pomnożenia szkół i domów jezuickich w Polsce i na Litwie, przeznaczając na powiększenie dotacyj dawnych i na erekcyę nowych pewne opactwa, opuszczone przez zakonników, a w nieprawych rękach teraz zostające[2].

Dla papieży rzymskich żywił król Stefan afekt prawdziwie synowski. Świadczą o tem nietylko częste poselstwa i listy w nader uprzejmym tonie zredagowane, ale i ta okoliczność, że o wszystkich ważniejszych sprawach w kraju, o przebiegu każdej wojennej wyprawy, szczegółowe relacye spisywał z polecenia króla kanclerz Zamojski i przez nuncyusza takowe Ojcu św. przesyłał. Oceniając ten afekt Grzegorz XIII. przesłał królowi przez posła Uchańskiego 1579 r. miecz i czapkę poświęconą w noc Bożego Narodzenia a dawaną tylko dzielnym obrońcom wiary, wraz z błogosławieństwem na wyprawę wielkołucką[3]. Król w zamian za tę odznakę wyprawia bratanka swego Andrzeja Batorego, młodzieniaszka jeszcze, *juvenem sine barba*, jako nadzwyczajnego posła z relacyą o urządzeniu kościelnych stosunków w Inflantach. Grzegorz mianuje go na samym wstępie posłuchania swoim protonotariuszem i szczególniejszemi względami zaszczyca, w trzy lata potem kładzie nań kardynalski kapelusz i zarząd dyecezyi warmińskiej oddaje.

Toczył się kilkoletni spór króla z cesarzem Rudolfem II. o zamki Szatmar i Hemeum, które cesarz od siedmiogrodzkich Węgier oderwał i zaostrzył się tak dalece, że król Stefan wojną zagroził. Grzegorz XIII. ofiarował swe pośrednictwo i zlecił takowe O. Possevino. Przyjął je z uległością Stefan, acz w pomyślne jego zakończenie niebardzo wierzył; uległość tem cenniejsza, że było to

[1] Theiner. Annal. Eccl. II. 312, 394. III. 69.

[2] Tamże III. 558, 627. „Tota autem hac in re magnum silentium servandum, ne diabolus superseminet zizaniam".

[3] Tamże II. 70—79.

w kilka zaledwie miesięcy po traktacie w Kiwerowej-horce [1], w którym medyacya papieska acz na razie bardzo na rękę królowi polskiemu, w nadziejach swoich okazała się, jak to z góry przepowiedział król Stefan, zawodną.

Z następcą Grzegorza Sykstem V. łączyła króla jeszcze ściślejsza synowska miłość i życzliwość. Przez Possewina najprzód, potem przez bratanka swego kardynała Andrzeja 1585 wtajemniczył król Syksta V. w najbardziej skryte swe plany zawojowania Moskwy, a następnie w sojuszu z książętami Europy, potęgi tureckiej. Wojnę moskiewską obliczał król Stefan na 3 lata, 80.000 wojska i 800.000 dukatów rocznie, a powodem do niej: opór cara Fiedora w oddaniu ziem niegdyś do Litwy należących: Smoleńska, Siewierza, Pskowa i Nowogrodu, które Stefan przysięgą na *pacta conventa* odzyskać obowiązał się. Myśl nowej wojny z Moskwą, nadmieniona lekko na sejmie 1585, napotkała na stanowczy opór posłów i prawie wzgardę, *bellum vix non plane contemptum*, skarży się z goryczą król w liście do bisk. Kromera. Sykst V. wiedząc o tem, a nadto w obawie, aby z wojny polsko-moskiewskiej nie skorzystał „wróg chrześcijaństwa“ Turczyn, wystąpił znowu jako pośrednik między królem Stefanem a w. księciem Fiedorem i trudną tę misyę powierzył znów Possewinowi. Przyjął medyacyą Stefan, ale przekonany, że Fiedor onych ziem nie wróci, on zaś czujność Turczyna uśpić potrafi, nie złożył myśli wojowania z Moskwą, zwołał sejm na 2 lutego 1587 r. do Grodna, aby uzyskać pobór na wojnę potrzebny [2]; Sykst V. zdawał się ostatecznie skłaniać do tych planów, ofiarując na razie pomoc 25.000 dukatów.

Aby dopilnować szczęśliwego składu sejmików i sejmu, król w pierwszych dniach grudnia 1576 r. wybrał się do Grodna. Przebywał on tam chętnie, równie jak na zamku niepołomickim, dla borów i kniejów, w których z zamiłowaniem wielkiem uganiał się za zwierzyną; była to jedyna jego rozrywka i namiętność jedyna. Na owych polowaniach nie obywało się bez przygód. W lutym 1586 polując

[1] Tamże III. 444.

[2] Obszernie o tem pisałem w rozprawie: Wojenne plany króla Batorego, drukowanej w *Przeglądzie Powszechnym* r. 1884 t. III. str. 30—56.

w niepołomickiej puszczy, wjechały sanie królewskie na bagnisko zamarznięte. Pod ciężarem koni i sani pękł lód, zwłaszcza, że już przedtem kilka par sanek z myśliwymi przezeń przejechało, konie zapadły w wodę i potonęły, a król w ostatniem znalazł się niebezpieczeństwie. Zbiegli się myśliwi i służba, aby go ratować, on zaś stanowczym tonem zabronił, aby się nikt nie zbliżał, i pełzając na brzuchu, dowlókł się szczęśliwie do brzegu, a „zaniechawszy łowów wrócił do zamku". Wzięto to za złą wróżbę, dodaje Wielewicki, i prędką śmierć króla przepowiadano [1].

I na owych łowach grodzieńskich przeziębił się król mocno, bo mrozy brały twarde. W drodze z leśnego zamku Kudzynia do Grodna, czuł się chorym, pomimo to w niedzielę 7 grudnia słuchał mszy św. przykładnie w zamkowej kaplicy. W nocy tegoż dnia chwycił go atak epileptyczny, stracił na chwilę przytomność, a upadając, twarz sobie podrapał i skaleczył nogę, na której oddawna w skutek rany otrzymanej za młodu w jednej z licznych utarczek wojennych, nosił fistułę. Po godzinie bezprzytomności przywlókł się do łóżka przy pomocy podkomorzego swego Ferencza, zwanego u nas Weselinem. Jedyny lekarz, który był przy boku jego, Mikołaj Buccella z Padwy, przyniósł doraźną pomoc i wezwał drugiego nadwornego lekarza Szymona Simoniusza z Luki. Ale *discordia medicorum occidit regem*, dwaj lekarze nie „kolegowali z sobą", zgodzić się nie mogli ani na rodzaj choroby, ani na lecznicze środki; drogą więc kompromisu leczyli króla w wielkim sekrecie przed dworem i senatorami, bo król tak rozkazał. Tymczasem ataki epileptyczne ponawiały się coraz częściej, rosła też i *discordia medicorum*, zwłaszcza że do dwóch przybył trzeci lekarz dworzan królewskich Gosławski; d. 12 grud. stan zdrowia króla był groźny. W nocy śmierć nastąpiła, którą Wielewicki tak opisuje: „Gdy coraz bardziej choroba się wzmagała i mało nadziei życia zostawało, do jednego z senatorów król w te odezwać się miał słowa: lat 53 przeżyłem, jakie one były wiem, a nie wiem jakie będą dalsze. Przypomniano mu przyjęcie św. Sakramentów na drogę wieczności; król, ponieważ spodziewał się dożyć dnia następnego i lekarze (obydwaj heretycy) nie mogąc zgodzić się na rodzaj choroby nadzieję jakąś jeszcze robili, sprawę

[1] Hist. diar. dom. S. Barbarae I. 87, 88.

tę do jutra odłożył. Tymczasem choroba się wzmogła, siły opuściły, godzina śmierci nadeszła; umierając powtarzał słowa psalmu: w ręce twoje oddaję ducha mego“ [1].

Nazajutrz po śmierci króla pisał prymas Karnkowski do senatorów: „Właśnie wtenczas kiedy zdawało się, że zasługą jego rzplta polska odetchnęła i do zwyciężenia zupełnego i poskromienia nieprzyjaciół swoich łatwą drogę znalazła, porwany jest z pośrodku nas ten, w którym teraz złożone były nadzieje i powszechne zbawienie nas wszystkich“ [2].

Tym samym żalem tonu po ciężkiej stracie tchnie przemówienie Syksta V. na konsystorzu kardynałów, i siedmnaście listów, które w jednym dniu 10 stycz. 1587 r. z rozkazu jego do biskupów polskich, do królowej Anny i niektórych senatorów rozpisano. Do kardynałów mówił papież: „Wielka gorycz napełnia serce nasze odkąd dowiedzieliśmy się o śmierci króla wielkodusznego, dzielnego i katolickiego: wielkodusznego, bo Stefan dążył zawsze do wielkich celów i nie dawno jeszcze ważył w swej głowie szerokie, wielkie plany; dzielnego, bo nigdy nie cofnął się przed niebezpieczeństwem ani nie upadł na duchu w przeciwnościach; katolickiego, ponieważ oświadczył to sam na sejmie, zwracając ostrze miecza do swej piersi, że przenosi śmierć nad upadek wiary, że zdecydowany bronić jej ze wszystkimi stanami swemi i ze wszystkich sił; a gdyby stany go zawiodły, to sam jeden ze swoim mieczem. Oto król, któregośmy stracili, a z nim nasze nadzieje; przy pomocy bowiem sum pieniężnych, któreśmy mu mieli posłać, oświadczył się z gotowością zwalczenia Turcyi, opanowania Moskwy i połączenia w ten sposób Tatarów z Persami“ [3]. Do episkopatu zaś polskiego pisał: „Z wielką boleścią serca otrzymaliśmy list i wiadomość o śmierci Stefana, króla waszego, którego pamięć niech będzie błogosławioną. Straciliśmy bowiem syna w Chrystusie ukochanego, koło Kościoła bożego znakomicie zasłużonego, wiary katolickiej obrońcę, o rozszerzenie granic sprawy chrześcijańskiej najbardziej troskliwego“ [4].

---

[1] Hist. diar. dom. s. Barb. I. 96.
[2] Teki Naruszewicza. 92.
[3] Hübner, Sixte V. I. 458.
[4] Relacye nuncyuszów I. 455.

A naród? „Naród trzymany jego żelazną ręką, nie pokazał po jego śmierci żalu, a pamięć jego czynów dopiero później świętą być poczęła. W rękopiśmiennym pamiętniku Zbigniewa Ossolińskiego zwie go autor wprost tyranem i cieszy się jego śmiercią“ [1]. Oprócz cudzoziemca, sekretarza królewskiego Heidensteina, który opisał jego wojenne czyny i kilku skromnych wierszy, nie pojawił się ani jeden poemat bohaterski lub elegia żałobna.

Dopiero w półtora prawie roku po śmierci, z końcem maja 1588 odbył się pogrzeb króla Stefana. „Sprowadzone z Grodna zwłoki złożono w sobotę w pałacu łobzowskim. W poniedziałek wyszły naprzeciw procesye wszystkich kościołów. Potem konnica barwnie przystrojona, chorążowie województw i powiatów. Niesiono także feretrony (obrazy) drogo tkaną materyą nakryte. Tuż za wozem żałobnym postępował konno zbrojny rycerz z dobytym mieczem, Franciszek Weselin, obok niego młodzieniec z lancą. Za nimi na koniu bogato przystrojonym ten, który przedstawiał osobę Stefana króla. Tuż przed wozem żałobnym szli senatorowie z godłami królewskiemi. Wóz ciągnęło 12 koni okrytych czarną jedwabną materyą, na nim trumna całunem jedwabnym z krzyżem złototkanym pośrodku, nakryta. Dokoła wozu służba dworska z pochodniami. Za trumną postępował król Zygmunt III. otoczony posłami zagranicznymi. Za nim królowa Anna wdowa, podtrzymywali ją pod ramię Batorowie (bratanki króla) a potem zastęp senatorów (30) i tłumy szlachty. Wprowadziwszy zwłoki do katedralnego kościoła, położono insignia królewskie na trumnie. Po mszy św. i żałobnej mowie ks. Hieronima Powodowskiego kanonika krak. wniesiono zwłoki do kaplicy poza ołtarzem wielkim, rzucono na ziemię godła królewskie, złamano lancę, skruszono pieczęcie królestwa większą i mniejszą, jak niesie zwyczaj pogrzebów królewskich, i włożono do grobu“ [2].

Ks. St. Załęski.

[1] Szujski III. 86.
[2] Wielewicki I. 116.

Z POWODU BROSZURY: „MIĘDZY ROSYĄ A NIEMCAMI".

(*Między Rosyą a Niemcami.* Studyum wysnute z faktów znanych przez Wychowańca szkół rosyjskich. Kraków, druk Wł. L. Anczyca i Sp., 1886).

Bywają rodzice, a częściej jeszcze mentorowie, którzy w gorliwości swojej o dobro wychowanków, wiecznie ich tylko łają, wytykają im jedynie wady i usterki, mówią im wciąż, że są do niczego, że nic dobrego w nich nie ma i nic dobrego z nich nie będzie. Co za skutek bywa z takiej pedagogiki? Z początku wychowanek się buntuje, w końcu daje w siebie wmówić, że jest do niczego — i ulega prostracyi ducha.

Takich mentorów ma dzisiaj naród podostatkiem. Z niniejszą książką przybywa jeszcze nowy. — Bądź co bądź, książka to niepospolita i nieobojętna. Z jakiegokolwiek stanowiska się ją czyta, znajduje się w niej wiele rzeczy głębszych, przenikających, wywołujących w czytelniku okrzyk uznania lub oburzenia. Żal, nie wiem doprawdy czego z dwojga: czy że w tak dobrej książce są tak złe rzeczy, czy że w tak chybionej książce znajdują się rzeczy tak prawdziwe. Autor, trzeźwy i poważny myśliciel, nie pisze dorywczo, lecz myśl długo przetrawianą z pełną świadomością wypowiada. Zna on wybornie Rosyą, mniej, choć jeszcze dosyć dobrze Niemcy, najmniej może Polskę. Kształcił się, jak sam powiada, w szkołach obcych, później nie wiadomo czy wiele w kraju przebywał, w każdym razie tak pisze o nim, jakby nań patrzał z daleka lub z wysoka. Nie wniknął on w obecne jego stosunki, nie podglądnął życia różnych jego warstw; jak ci starzy panowie podolscy, dzieli on

jeszcze naród po dawnemu na szlachtę i chłopa, rzuca ogólne charakterystyki, świadczące o zdolności pióra, ale nie znać w nim znamion obserwatora. Jest katolikiem z przekonania — i to, jak wnet zobaczymy, naprowadza go na tę część prawdy, która się w jego książce znajduje.

Osnowa książki jest jasno i logicznie przeprowadzona w następujący sposób: Polska nie ma ani wewnątrz ani zewnątrz siebie warunków możliwej niepodległości. Nie ma ich wewnątrz: bo samowiedna i odpowiedzialna narodowość polska znajduje się jedynie w szlachcie; szlachta zaś, zdemoralizowana „trzywiekową orgią“ swego panowania, straciła do szczętu przymioty do bytu politycznego, ba nawet do prowadzenia własnych ekonomicznych interesów potrzebne. Nie ma ich zewnątrz: bo w interesie wszystkich ościennych państw leży, żeby ten kraj „który stracił już racyę bytu“, na wieki pogrzebany został. Stąd logiczna konkluzya: wyrzec się raz na zawsze politycznych marzeń, a mieć jedynie przed oczyma zadanie społeczne: bronienie i rozwój rodziny, mienia, języka i narodowych, czyli jak mówi autor, etnicznych znamion społeczeństwa.

Jeżeli ta ostatnia praktyczna część tej konkluzyi była celem pracy autora, to pocóż sobie tę pracę zadawał? Nie pisał przecież dla jednego lub kilku półgłówków, których ani ta, ani żadna poważna książka nie nawróci, ani nie dosięgnie, ale pisał, jak przypuszczam, dla społeczności polskiej. A gdzież dowody, gdzież ślady, żeby ta społeczność miała obecnie przed sobą inny program? Czy jest dziś choć setna, choć tysiączna, choć stutysięczna cząstka tej społeczności, któraby się o co innego starała, czego innego się dobijała jak tych dóbr i tego „bytu etnicznego“? Cóż innego przejawia się nie tylko w czynie, ale nawet w dzisiejszej literaturze, w której się dusza narodu otwiera? Jedyny fakt konkretny, który autor wytyka, to są tak zwane demonstracye. Prawda, że te demonstracye bywają niewczesne, nierozsądne i nieszczęśliwe — ale dla tego niewczesne, nierozsądne, nieszczęśliwe, że im wrogowie podkładają myśl polityczną, że z jednego słówka na wiatr rzuconego biorą assumpt do szkalowania i gnębienia całej społeczności. Ale przedmiotowo rzecz biorąc, demonstracye z ostatnich lat

dwudziestu miały wogóle charakter czy to religijny czy literacki czy narodowy, słowem były objawem „życia społecznego i etnicznej właściwości". — Można słusznie radzić, żeby i takich demonstracyj zaniechano, można dowodzić, że w nieszczęśliwych warunkach, w jakich się znajdujemy, nawet głośniejszych objawów etnicznego życia powinniśmy sobie odmawiać; można nie bez racyi ostrzegać, że w naszem położeniu bawienie się w demonstracye jest grą niebezpieczną z sidłami loży. Ale podstawiać tym demonstracyom charakter separatystyczno-polityczny, upatrywać w nich wogóle czynny objaw buntowniczych aspiracyi — jest to iść dalej niż prawda i sprawiedliwość pozwala. Jeżeli w końcu wstrzymać się należy od wszystkich wystąpień, mogących posłużyć wrogowi za bodziec lub usprawiedliwienie prześladowań, to mianowicie wstrzymać się należało od wydania tej książki: bo i ta jest *sui generis* demonstracyą, nie mniej pod tym względem niepolityczną jak deklamacye tromtadratów.

Ale do tej konkluzyi autora wrócimy jeszcze w swojem miejscu, teraz weźmy na uwagę jego przesłanki. Czy słuszne i prawdziwe jest to ograniczanie narodowości, jako samowiednej i odpowiedzialnej, na samej szlachcie? — Zbyt wielki honor dla szlachty i zbyt wielka dla niej krzywda. Dzielić naród, jak czyni autor, na szlachtę i chłopa, rozwodzić się nad brakiem stanu mieszczańskiego — to stare dzieje. Dziś, odnośnie do życia publicznego, naród dzieli się na inteligencyę (mówiąc po galicyjsku) i na prosty lud. Ta inteligencya, rekrutująca się nieustannie ze wszystkich warstw narodu: z synów włościan jak z synów obywateli, z urzędników, profesorów, oficyalistów, literatów, z mieszczan, którzy chociaż w części pochodzą z germańskiego lub semickiego szczepu, przyjęli się jednak od kilku pokoleń (mimo przeciwnego twierdzenia autora) „etniczną właściwością" naszej społeczności — ta inteligencya, mówię, jest właściwą przewodniczącą i samowiedną częścią narodu; ona odziedziczyła, po „zdetronizowanej szlachcie", jej przewództwo i jej odpowiedzialność, a w pewnej mierze i jej przymioty i wady, jej namiętności i ideały. Cała nasza literatura dzisiejsza jest tego dowodem. Wśród tej inteligencyi znajdują się i herbowi — często w niej zaszczytne, niekiedy naczelne zajmują stanowiska; ale każdy wie, że te same stanowiska są dla wszystkich otwarte. A któż wy-

prawia te demonstracye, na które się autor skarży? kto należy do tak zwanej partyi ruchu? kto pisze po gazetach politycznych te niepolityczne artykuły, które nie tylko naszemu autorowi krew psują, ale prawdziwe niekiedy ściągają nieszczęścia? Zdarzy się między innemi i szlachcic, ale czyni to właściwie inteligencya jako taka — nie szlachta.

W zaborze rosyjskim mniej zapewnie znać, niż w Galicyi, tego wkroczenia elementu nieszlacheckiego w sferę przewodnią, lecz i tam coraz więcej on zajmuje miejsca w świecie literackim, a ten coraz większy wpływ zdobywa. W Poznańskiem nie mogła się też wytworzyć inteligencya urzędnicza, ale tam mieszczaństwo liczniejsze i zamożniejsze niż w innych dzielnicach, i nawet lud wiejski do pełnej świadomości swego bytu etniczego dochodzi.

W ogólności więc dzisiejsza inteligencya polska nie jest wcale tem samem co szlachta — i co ona zasługuje lub zawinia, tego szlachcie żadną miarą przywłaszczać nie można. To przypisywanie całej odpowiedzialności szlachcie jest tylko wodą na młyn wrogów, którzy nawet w obec parlamentów tak samo się wyrażają, wszystkie winy na karb szlachty kładą, usiłując w ten sposób wyłączyć szlachtę od solidarności z narodem i szukając pretekstu do tępienia tej klasy, która bądź co bądź sporą część żywotnej siły i duszy narodu stanowi. Przypisywanie tych win samej szlachcie jest nadto wodą na młyn żywiołów jakobińskich, i u nas się gnieżdżących, które innemi drogami niż obcy wrogowie, ale do tego samego celu, tj. do waśni i rozerwania klas społecznych dążą, a niczego więcej nie pragną, jak słyszeć z ust szlachcica (szlachcicem jest widocznie autor) to, co sami na wszystkie tony powtarzają: że szlachta wszystkiemu winna.

A proszę zauważyć, iż nie tak rozumuję: to oskarżenie szlachty jest niepolityczne, szkodliwe, więc nie mówić, że jest prawdziwe. Ale mówię, że jest fałszywe, i dlatego właśnie jest szkodliwe i niepolityczne.

Drugi krok wywodu autora zależy, jak wspomniałem, na omówieniu procesu rozkładowego naszego społeczeństwa i wyliczeniu niedostatków, które go czynią niezdolnem do samoistnego bytu. Czy-

tając ten rozdział, miałem takie wrażenie, jak gdybym z Kmicicem słuchał rozmowy Wrzeszczowicza z Lisolą w gospodzie pod Częstochową. Łzy w oczach stają, bo autor mówi prawdy gorzkie, gnębiące, upakarzające: wytyka ten „pieszczony, za sercowość uchodzący sentymentalizm, tę krewkość i zmysłowość w temperamentach, niejasność i brak jędrności w umysłach, miękkość w charakterach... rozluźnianie się rodzin... żony wyłamujące się zasadniczo z pod władzy mężowskiej, dzieci wyłamujące się również zasadniczo z pod władzy nieumiejących wychować ich rodziców, mężowie ulegający żonom, ojcowie ulegający dzieciom i psujący je bezmyślnie“... na domiar, to zakażenie znacznej części społeczeństwa „rozkładowym antyreligijnym liberalizmem“... Oby społeczeństwo nasze miało wciąż przed oczyma tę sumienną spowiedź. W każdym z tych wyznań jest wiele niestety prawdy i słuszności.

Ale choćby każdy z tych rysów był najprawdziwszy, czy stąd wynika, że obraz naszego społeczeństwa, który autor z tych rysów składa, jest wierny i prawdziwy? Wcale nie; brakuje mu do prawdy tego właśnie, co brakowało owemu zdaniu Wrzeszczowicza, które się wnet potem fałszywem pokazało: brakuje mu spostrzeżenia, że obok tych ujemnych stron i ciemnych punktów, są punkta jasne, strony dodatnie, części narodu zdrowe i silne. Nawet u pojedyńczej osoby, a tem bardziej w całym jakimś narodzie jest zawsze tyle przywar i niedostatków, że łatwo z nich samych złożyć czarną charakterystykę, niekoniecznie jednak sprawiedliwą. W ten sposób, dobierając samych cieniów, jakżeż desperackie skreślićby można obrazy Francyi, Włoch i innych ludów, niewyjąwszy sąsiadów naszych od Wschodu i od Zachodu! Coby można powiedzieć o ich rodzinie, o ich arystokracyi, o ich moralnym rozkładzie, o antagonizmie klas! i t. d.

Prawda, że inne społeczeństwa, będąc w szczęśliwszych warunkach politycznych, mogą z mniejszą szkodą i mniejszem narażeniem się pozwolić sobie, że się tak wyrażę, na te wybryki — a nam one nie uchodzą, my pozbawieni politycznej spójni, żyjąc wśród wrogiego nam środowiska, z zdwojoną energią powinniśmy podtrzymywać naszą religię, moralność, rodzinę, oświatę i wszystkie czynniki naszego etnicznego bytu, bo najmniejsza w tej mierze utrata jest

dla nas nierównie boleśniejszą; z zdwojoną czujnością powinniśmy się wystrzegać błędów i zboczeń, bo najmniejszą winę w czwórnasób przepłacamy. Prawda to, mówię — i tak niech nam autor prawi, tego niech nam dowodzi; ale niech w nas nie wmawia, że straciliśmy wszelką żywotną siłę, że jesteśmy bezwzględnie gorsi od innych i warunków istnienia już wcale nie mamy — bo to jest na wiatr powiedziane.

Można rodzinie polskiej wiele wytknąć braków; ale obok tego, jak wiele u nas cnót familijnych, jak wiele rodzin przykładnych i typowych! A w którymże kraju na świecie życie familijne, ta podwalina społeczeństwa, w lepszym przeciętnie niż u nas znajduje się stanie. Chyba może na wschodzie od nas znajdziemy obyczajniejszą i uleglejszą małżonkę, albo na zachodzie związki trwalsze, płodniejsze i przeciętnie szczęśliwsze, dzieci posłuszniejsze i dłużej do domu rodzicielskiego przywiązane. Można też ludowi naszemu zarzucać „lenistwo, słowiańską miękkość, i niezaradność"; ale jednak ten sam lud ma wiele gruntownych przymiotów i podnioślejszych uczuć, których mu każdy lud w Europie pozazdrościć może. W biedzie, która go gnębi nie zawsze z jego winy, opiera on się moralnemi środkami i zasadami przeciw socyalistycznym zarzewiom, przez same nawet władze częstokroć rozdmuchiwanym; w warunkach pozwalających mu rozwinąć samodzielność, jak na wychodztwie w Ameryce, okazuje się on zdolnym i dzielnym kolonistą; a gdy przychodzi do wykształcenia, pokazuje się duchowo jednolitym z wyższemi warstwami i z przeszłością narodu. — Można nie bez słuszności karcić „apatię, lekkość, staroszlacheckie narowy" dzisiejszej szlachty naszej; jednakże ta szlachta, prawie jedyna na świecie, siedzi przeważnie na wsi, zachowuje ile może z ludem styczność osobistą i wpływ nań wywiera dobroczynny, mimo częstych usiłowań nieprzychylnych zwierzchników, aby wpływ ten zniszczyć i socyalistyczne zawiści wszczepić; pracuje też w tej roli coraz wytrwalej i umiejętniej i trzyma się jej bądź co bądź tak silnie, że po tylu burzach i tylu orkanach, które ją wykorzenić i zdmuchnąć usiłowały, jeszcze jest po całej Polsce gęsto osiadłą i swój koloryt jej nadaje. Gdy się więc czyta u naszego autora, że ta szlachta wiejska „jeszcze gnuśnieje w swych społecznych tradycyach i obyczajowych narowach,

egoizmem rozluźniona, za wiele próżnością i zawsze jeszcze frazeologią żyjąca, zawsze jeszcze leniwo garnąca się do pracy i światła, zawsze jeszcze do oporu wszelkiej władzy, do zwady i konfederacyi skora, zawsze zamiłowana w hulance i towarzyskiem życiu, zawsze cisnąca się na polityczne widownie i zawsze do nich niezdatna" — gdy się czyta, mówię, te oskarżenia trudno nie zauważyć, że każde z nich jest przesadzonem, owszem każde z tych słów przypomina prawdziwy postęp w przeciwnym kierunku dokonany. Można także w pewnej mierze zarzucać „resztkom dawnych możnowładców dość kosmopolityczne usposobienie, oddzielanie się od masy rodaków, zamykanie się coraz to ściślej w sobie"; — ale przyznać trzeba, że arystokracya nasza nie tak zupełnie się oddziela i w sobie zamyka, nie tak wyłącznie żyje łowami, sportem i teatrem, jak arystokracye tylu innych krajów, których wymieniać nie chcę i niepotrzebuję — ale w znacznej części przykłada rękę do pracy ewolucyjnej społeczeństwa, bierze raz po raz udział w życiu publicznem, gdzie do niego przystęp otwarty, styka się i łączy z innemi warstwami nie tylko w klubie politycznym, ale w pracy, na katedrze uniwersyteckiej, na radzie powiatowej, na sesyach ekonomicznych i dobroczynnych instytucyj; gdzie zaś przystęp do życia publicznego zamknięty, tam przynajmniej walczy całe życie, z prawdziwem niekiedy zaparciem się, o zachowanie każdej piędzi ziemi od ojców przekazanej — walka prawdziwie patryotyczna i najwyższego uznania godna.

Nie brak więc w gruncie naszej społeczności sił, zalet i cnót domowych — niekoniecznie też brak zdolności do życia publicznego i do rządzenia sobą. Jak pod względem ekonomicznym opłakanego stanu dzisiejszego nie należy kłaść wyłącznie na karb „gnuśności i niezaradności słowiańskiej", ale wliczyć trzeba i zewnętrzne warunki, powszechne i miejscowe i pamiętać, że podczas gdy w innych wszystkich krajach rządy robiły zawsze co tylko mogły, ażeby dobrobyt podnieść, w naszych dzielnicach władze obce raz z zaniedbania, drugi raz z umysłu podcinały jego źródła — tak samo i pod względem politycznym trzeba wciągnąć w obrachunek okoliczności wyjątkowe, w jakich się naród znajdywał. Z tem wszystkiem, świetny rozwój Królestwa pod rządami księcia Lubeckiego, ład i karność w ad-

ministracyi, sprężystość wzorowa sądownictwa, bezprzykładne rozbudzenie i organizacya przemysłu, wzrost wszechstronny dobrobytu, podobny też początek reorganizacyi księstwa Poznańskiego, pod administracyą Radziwiłła i Sułkowskiego, dosyć pokazały, że w społeczeństwie naszem nie brak materyału do samoistnego zarządu. A że w Galicyi mniej pomyślnie się udaje samorząd, na to się kilka miejscowych składa czynników: spotęgowanie wad narodowi właściwych przez zetknięcie z podobnemi wadami administracyi austryackiej, — waśń nieszczęśliwa dwóch narodowości — wpływ Jozefinizmu, który przez długi czas paraliżował duchowieństwo — wreszcie zakał ducha z r. 48-go, zagraniczna zaraza, którą Galicya niestety prędzej i głębiej niż inne dzielnice dotkniętą została, i dotąd z niej nie ozdrowiała zupełnie, jakkolwiek i ona jest na drodze wyleczenia.

Ostatecznie więc twierdzenia autora o zupełnej nieudolności naszego społeczeństwa, idąc za daleko, rozchodzą się z prawdą.

Trzeci krok jego argumentacyi zależy, jak widzieliśmy, na dowodzeniu, że polityczne stosunki Europy i dziejowe dążności państw sąsiednich nigdy nie dopuszczą samoistnego bytu Polski. Na ten teren za autorem się nie zapuszczę, bo uważam z góry wszelką dyskusyę o takiem założeniu sa bezpodstawną. Gdyby jeszcze było możliwe rozgraniczenie między dążnościami i aspiracyami dzisiejszych państw, gdyby przez środek Polski np. ciągnęły się jakieś Pyreneje lub Bałkany, stanowiące naturalną i nieprzebytą granicę między Niemczyzną a Słowiańszczyzną — możnaby w takim razie o jakimś stałym układzie mówić. Ale teraz, kiedy interesa polityczne i etniczne aspiracye są tak pokrzyżowane, kiedy narodowość niemiecka sięga aż pod Petersburg, a słowiańska aż po Berlin, kiedy w tej gmatwaninie środkowej Europy sami mężowie stanu okazują się chwiejnymi i nawet tego co, d z i s i a j w interesie ich państw leży, jasno nie widzą — twierdzić, że jakaś kombinacya ani w dalekiej przyszłości wymaganą być albo się uiścić nie może, jest to sądzę grać w wróżbitę i z gwiazd przepowiadać.

Jeden byłby tylko sposób racyonalny prorokowania narodowi zagłady — ten jakim Skarga prorokował: palcem wskazywał wy-

stępki, prywaty i bezprawia — i mówił: Jeśli z grzechów nie powstaniecie, wszyscy poginiecie. „Patrząc na tak srogie bezkar„ności i grzechy królestwa tego, z żałością i z płaczem z wielkiego „bólu serdecznego opowiadamy wam upadek wasz. Nie z objawie„nia Bożego, bo nie wiemy co się w sercu waszem zawiąże „i co z wami i jako i którego czasu uczyni Pan Bóg wasz, ale „z rozkazania i z powinności poselskiej, którą na nas włożył i ka„zał wołać: Jeśli z grzechów nie powstaniecie, wszyscy poginie„cie“ [1]. — Gdyby dziś można powiedzieć, że od czasów rozbiorowych, rozluźnienie, ślepota, narowy i występki społeczeństwa naszego wciąż się jednakowo utrzymują lub wzmagają, wówczas możnaby orzec złowrogie *finis Poloniae*. Ale tego wobec prawdy powiedzieć nie można. Sam autor, aż nadto pessymistycznie na kraj patrzący, uznaje przecież, że „zaszły w tem społeczeństwie, w ciągu ostatnich lat stu, przeobrażenia na lepsze tak znaczne, że wzięte w ogólnych zarysach, jest ono w obecnej dobie nieskończenie wyższem nad to, czem było w końcu XVIII. wieku“ — więc pessymistyczne przepowiednie nie zasługują na wiarę.

Przychodzę już do konkluzyi autora: Byt polityczny Polaków, mówi on, przestał, jak się już dowiodło, być potrzebnym i możliwym; ale zostaje jeszcze byt narodowy. „Wolno mniemać, że Polacy jako utwór etniczny mogą jeszcze usługi oddać ludzkości“. Więc: nadziei i myśli o niepodległości zrzec się raz na zawsze; jąć się podtrzymywania i bronienia naszego bytu etnicznego; punktu oparcia i siły do spełnienia tego zadania szukać koniecznie — w katolicyzmie i Kościele. Dwa pierwsze zdania tej konkluzyi wypływają konsekwentnie z poprzedniej osnowy autora; trzecią przeprowadza on w sposób głęboki i świetny:

„Jeśli ciała Polaków, mówi, z woli Opatrzności wydane zostały świeckiej władzy cezarów, bo duchy ich do cezarów należyć nie mogą. Ojczyznę one sobie powinny wynaleść wspólną, duchową, od władzy świeckiej niezależną. Duchową tą ojczyzną nie może być liberalizm jakobiński — sfera duchowa wrogów. Może nią być tylko

[1] Skarga. „Nawoływanie do pokuty“.

sfera przez tych wrogów polskości znienawidzona a potężna — Kościół".

Wszystkie prawa i pojęcia prawowitości ludzkiego pochodzenia zostały dzisiaj zachwiane i zamącone, przez rozpanoszenie się wszechwładnej siły, pod hegemonią państwa pruskiego. „Otóż z siłą Polacy walczyć nie mogą. Bez siły ku pomocy, próżnoby w obecnym stanie rzeczy o ludzką sprawiedliwość walczyli, próżnoby o nią błagali. Polityczne ich prawa są przedawnione; narodowe, nie uznawane ani przez rządy, ani przez ludy; ludzkie prawodawstwa przeciw nim są zwrócone, wyjątkowe stwarzając im wśród ludzkości stanowisko, wykluczając ich z używalności praw ogólnoludzkich, wytwarzając dla nich ujemny w swoim rodzaju przywilej. Uczucia w sercu innych ludów, w Bułgarach, Włochach, Niemcach, za cnoty uważane, im są poczytywane za zbrodnie. Świat jest przeciwko nim, oni, z pod praw wyjęci, są przeciwko światu bezsilni. Wypada więc im zawrócić się, i w braku materyalnej siły szukać siły duchowej. Siłę tę znajdą oni w murach broniącej się warowni Kościoła. Wspierając słabym swem ramieniem tę twierdzę wyższego prawa, znajdą w niej zarazem opiekę, zasłonę od godzących w n i c h r ó w n i e j a k w n i ą ciosów wyuzdanej siły...

„Tam u tronu św. Piotra znajdą również Polacy zbawienne wskazówki co do zachowania się w politycznem i prywatnem życiu. Nie więcej ich odtąd pociągać będzie ku sobie liberalizm Garybaldego lub Gambetty, jak jednorodzony z nim liberalizm Bennigsena i Falka. Nie będą odtąd straszyć ich hasła przez liberalne zastępy przeciwników na ohydę ich rzucane. Obojętnem im będzie, czy jezuitami zwać ich będą faryzeusze, klerykałami ateusze, reakcyonistami demagogi, feodałami jakobini — czy też rewolucyonistami służalcy rządów, kosmopolitycznymi nihilistami wreszcie, cyniczni kłamcy i potwarcy. Będą oni konserwatystami, zachowawcami, w prawdziwem tego słowa znaczeniu".

Za czem określa autor znakomicie prawdziwy konserwatyzm. „Kto dzisiaj, pyta on, po za obrębem katolickiej nauki, wie na czem konserwatyzm zależy? Dla jednych konserwatyzm jest częścią legitymizmu... ale ten jest raczej dążnością reakcyjną, przeciwną prądowi dziejów... Dla innych konserwatywnemi są stronnictwa

popierające rządy *quand-même*". I taki konserwatyzm nie jest dla Polaków: bo wyklucza samodzielność zasad, obleka w mundur zewnętrznie, ale wewnętrznie nie kształci; w szczególności Polaków pod trzema rządami żyjących zniewalałby taki konserwatyzm do rozszczepienia się w przeciwieństwa między sobą i nawet do wojny z obrońcą ich Kościołem; wreszcie rządowe nawet organa są niekonsekwentne w określaniu konserwatyzmu: te same stronnictwa, które *Dniewnik* za zachowawcze uważa, wręcz przeciwnie bywają piętnowane przez *Gazetę Krzyżową* i odwrotnie...

„Atoli jeśli pod konserwatyzmem rozumieć trzeba strzeżenie wiary w życiu publicznem i prywatnem, chowanie zdrowych obyczajowych tradycyj i przekazywanie ich potomkom, bronienie dóbr materyalnych i moralnych i ich pomnażanie, gruntowanie familij i rodów żywotności pełnych, wreszcie pielęgnowanie języka i cech etnicznych — jeśli pod konserwatyzmem, mówię, takie dążności mają się rozumieć, to taki iście społeczny konserwatyzm jedyną jest Polakom pozostającą drogą".

W końcu — „powtórzymy to raz jeszcze — skoro niepodległość Polski jest niemożliwością... trzeba się z tym pewnikiem pojednać, poprzestając na szukanin niepodległości ducha — na łonie Kościoła".

Co sądzić o tej konkluzyi autora? Nie potrzebujemy powtarzać, że na praktyczną i dodatnią jej część piszemy się najzupełniej, wszelako te same wnioski z innych niż autor wyprowadzamy przesłanek. Autor, chcąc najskuteczniej nakłonić naród do zaniechania demonstracyi i ruchów, a jęcia się oburącz „pracy organicznej", mówi mu: Przeżyłeś się, do bytu politycznego jesteś raz na zawsze niezdolnym, więc myśl wyłącznie o bycie etnicznym, który ci zostaje. — Ale takie bezwzględne postanowienie rzeczy jest nawet nietaktycznem, bo nie jest w stanie trafić do przekonania narodu. Po niepowodzeniu Wielopolskiego, który tak samo kwestyę stawiał, nie warto próby ponawiać. Po drugie, takie postanowienie rzeczy zdaje mi się samo w sobie sprzecznem: bo jeśli społeczność nasza jest tak skarłowaciała, skażona i nieuleczalna, jak autor dowodzi, to jakżeż może jeszcze „ludzkości oddać przysługi"? jakąż może mieć „od Opatrzności rolę na przyszłość"? I odwrotnie, jeśli naród zdolny

jest zachować swą narodowość, z jej duchowemi i materyalnemi zasobami — a tę zdolność autor nam przyznaje, skoro nas do tej pracy zachowawczej wzywa i obiecuje, że „na tych moralnych osnowach oparta społeczność Polska byłaby twierdzą prawdziwie nie do zdobycia“ — to czegóż więcej potrzeba, ażeby ten naród zdolny był do politycznego bytu i ażeby go rzeczywiście posiadł, w chwili kiedy *fortuna variabilis* wrogą konstelacyę uchyli? Zaprawdę mniej zasobów ducha potrzeba na własny rząd, aniżeli na ustrzeżenie wśród ucisków i prześladowań całości wiary i tradycyi obyczajowych i bronienie dóbr materyalnych i moralnych od przodków przekazanych. Po trzecie, co najważniejsza, takie postawienie kwestyi nie jest istotnie zgodnem z prawdą: bo tej bezwzględnej nieudolności w naszem społeczeństwie nie ma; bo i przyszłość Europy nie da się jak zrównanie matematyczne ludzkim rozumem obrachować.

My także uznajemy wyłączne oddanie się pracy społecznej, przez autora wybornie określonej, za obowiązek społeczności naszej, ale tego obowiązku opierać nie chcemy ani na taktyce, jak niektórzy, ani, jak autor, na teoretycznem poglądzie, nie mogącym ani być dowiedzionym, ani do przekonania społeczności trafić — lecz na bezwzględnej podstawie wszelkich obowiązków. — Przyszłość, mówimy, jest w Bożym ręku. W teraźniejszości pracujemy wyłącznie nad obroną i wzrostem tradycyi rodów, języka, mienia, tych wszystkich dóbr duchowych i materyalnych, które skarbiec nasz etniczny stanowią; odpychajmy stanowczo podszepty ducha gwałtu i przewrotu — nie dlatego, że polityka chwili tak nakazuje, ale dla odwiecznej ewangelicznej zasady: nie ma zwierzchności jedno od Boga. Trzymajmy się oburącz opoki Piotrowej i jej nauki, wiarę wcielajmy w prywatne i publiczne życie — nie dla tego w pierwszym rzędzie, że tego narodowy wymaga interes, ale dlatego, że ta wiara jest prawdą Bożą, a Kościół jest strażnicą — zaczem ta wiara wyda nam w następstwie i doczesne owoce, i ta opoka udzieli nam swej niespożytej siły. Szukajmy przedewszystkiem królestwa Bożego i sprawiedliwości jego — a reszta dodaną nam będzie.

Kończy autor swoją książkę świetnym epilogiem, dopisanym „po berlińskich rozprawach z przeszłego roku“. W nim, prócz ubo-

cznych kwestyj: o banicyi Polaków, o prawach antypolskich i o stanowisku koła polskiego w Berlinie, których tu roztrząsać nie chcemy, dopowiada kilka ważnych rzeczy do poprzedniej osnowy. Z jednej strony osłabia on znacznie swój polityczny horoskop o nieuchronnym postępie wrogich nam potęg, przez głęboki pogląd jaki daje na słabe strony i wewnętrzne rozterki dzisiejszych Niemiec, „wśród których, mówi, zatracają się zasady moralne, chwieją się społeczne podstawy, zacierają się dawne kryterya dobrego i złego, a bronienie ich za zdradę i brak patryotyzmu jest ogłaszanem — właśnie jak to u Polaków dziać sią zwykło. Są słowem Niemcy na pochyłości, na której gdyby dalej toczyć się miały, znaleśćby się mogły na drodze zdziczenia".

Z drugiej strony wzmacnia autor świeżemi doświadczeniami to co był powiedział o potrzebie chronienia się jakobińskiego liberalizmu i szukania ojczyzny duchowej w katolicyzmie. „Społeczeństwu polskiemu, mówi, wiele na tem zależeć może, aby nie spuszczało z uwagi, że to co się przeciw niemu stało i dzieje się w Prusiech, nie Niemców ani nawet nie Prusaków jest dziełem, ale jeno niemieckich national-liberałów, tj. niemieckich jakobinów. Po nich przecież niczego lepszego Polacy spodziewać się nie mogli... Jednocześnie przekonali się Polacy że jest w Niemczech liczny zastęp ludzi jak Windhorst, Schorlemer Alst, Meyer z Arnswalde... co w przekonaniach swoich zastraszyć się ani zachwiać nie dadzą... Polacy we własnem przedewszystkiem postępowaniu znaleść mogą obronę przeciw uchwalonym środkom; pomoc jednak w tej obronie zawsze oni zapewnie znaleść będą mogli w wyżej wymienionych mężach, w niemieckich swoich współwyznawcach, a znajdą ją bezwątpienia, jeśli jej sami politycznem swem zachowaniem się paralizować nie będą".

Kończy autor słowami, któremi i my bez zastrzeżenia rzecz naszą zamykamy. „Znieśli niegdyś Niemcy pogańskie nad Łabą i Hawelą szczepy słowiańskie w imię wyższej nauki chrystyanizmu; dziś uderzają oni na ochrzczonych przez siebie Zachodnich Słowian w imię nowożytnego pogaństwa. Znieść ich atoli nie zdołają, bo przewaga wyższości zasad nie po ich na ten raz jest stronie. Nie zniosą też oni Polaków, jeśli Polacy szczerymi katolikami zostaną.

XXXVIII

Jeśli atoli Polacy więcej miłują swoje tak zwane „ideały“ niźli wiarę swoją, jeśli nie katolikami chcą być przedewszystkiem, ale na dzisiejszy „narodowo-liberalny“ sposób Polakami, jeśli nie oni Kościołowi służyć czują się obowiązanymi, ale chcą by Kościół im jako narodowi służył, jeśli i katolicyzm także jest u nich za wypowiedzeniem, skoro aspiracyom ich bezpośrednio nie wtoruje — wtedy pójdą oni na łup podmywającym ich falom, i utonąć będą mogli w rozczynie powszechnego nihilizmu.

„Tak, katolicyzm *sans phrases*, a z nim byt etniczno narodowy — i przyszłość, albo anarhizm lub fenianizm z dynamitem, a po zatem nicestwo: — między temi dwiema drogami winni teraz Polacy wybierać stanowczo“.

X. M. Morawski.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Z POWODU BROSZURY: „MIĘDZY ROSYĄ A NIEMCAMI". Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* (Dodatek) . . XXV

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH. Przez *Dra Baumgartena* 191

O WOLNOŚCI NAUCZANIA. Przez *Jana Popiela* . . . 380

Artykuły naukowe i literackie.

STEFAN BATORY. W trzechwiekową rocznicę jego śmierci, przez *Ks. St. Załęskiego T. J.* (Dodatek) . . . I

SZTUKA RYMOTWÓRCZA HORACEGO, wierszem polskim przełożył *Ks. Biskup Adam Krasiński* 1

KILKA UWAG O WPŁYWIE KOŚCIOŁA na ustawodawstwo świeckie. Przez *Dra Józefa Brzezińskiego* . . . 15, 171

ZAMORSKIE POSIADŁOŚCI WIELKIEJ BRYTANII: III. Indye, IV. Oceania, V. Ameryka północna. Przez *A. M. L.* 33, 224, 341

O OBJAWIENIU. Przez *Ks. A. Langera T. J.* . . . 55

STARE DZIEJE Z NOWEGO ŚWIATA 72

ŹRÓDŁA HISTORYCZNE WSCHODU odnośnie do Pisma świętego. Przez *Ks. W. Zaborskiego T. J.* . . . 153, 352

INDYJSKA TEOZOFIA W EUROPIE. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 208

W SPRAWIE AUTENTYCZNOŚCI RĘKOPISU KRÓLODWORSKIEGO. Przez *Dra Antoniego Kalinę* 235

Stronnica.

Dzisiejszy Ustrój Kościoła w Ameryce. Przez *Ks. Z. Bartkiewicza T. J.* 321

Stosunek Celowości Natury do Boga. Przez *Ks. M. Morawskiego T. J.* 392

Stosunki handlowe z Bułgaryą. Przez *Jana Grzegorzewskiego* 415

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

O Zarazie moralnej. Studyum psychologiczno-społeczne, przez *J. Wł. Dawida* 96

Abraham Kitaj. Powieść z czasów króla Jana, przez *Zygmunta Kaczkowskiego* 98

Żywot świętej Maryi Franciszki, od pięciu ran Pana Jezusa, — Postęp Duszy, przez *O. Faber'a* — Książeczka dla Chorych, mogąca się przydać i zdrowym, p. *A. D.* 100

Illustrowane Dzieje porozbiorowej Polski od r. 1791—1864. Ułożył dla młodzieży *Józef Chociszewski* 101

Podstawy Teoryi Poznania w „Systemie Logiki" J. S. Milla. Przez *Dra Aleksandra Raciborowskiego* 255

Catalogus Codicum manu scriptorum Musei Principum Czartoryski Cracoviensis. Edidit *Dr. J. Korzeniowski (X. I. Polkowski)* 265

Karol Appel i A. Kryński. Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim *(Sz. Matusiak)* 268

Pruska Ustawa kościelno-polityczna z dnia 21 maja 1886. Skreślił *Dr. Wł. Abraham* 269

Nauki na Niedziele i Święta całego roku. Przez *Ks. A. Chmielowskiego* 369

Kwartalnik historyczny, organ Towarzystwa historycznego . 369

Kazania Niedzielne, Świętalne, Passyjne i Majowe. Przez *Ks. Zyg. Goliana* 370

Puławy (1762—1830). Opracował *Ludwik hr. Dębicki (Dr. Ignacy Skrochowski)* 431

Wiara i Niewiara w stosunku do szczęścia osobistego. Napisał *Ks. Z. Szczęsny* 436

Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygiena socyalna, przez *Adolfa Coste'a*, przełożył *Ignacy Świętochowski* 438

Historici Diarii Domus professae S. J. ad S. Barbaram Cracoviae *(Ks. St. Załęski T. J.)* 440

Sprawy włościańskie w Sejmie. Uwagi i wnioski *Teofila Merunowicza* 441

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Główne Kierunki najnowszych Wydawnictw teologicznych *(Ks. Jan Badeni T. J.)* 102

Institutionen des kirchlichen Kirchwahls, von *Dr. Hugo Lämmer, (Ks. A. Kraetzig T. J.)* 108

Strona.

Notions de Géologie Accord de la Cosmogonie scientifique avec la Cosmogonie sacrée, par *A. Raingeabd* 109
Le Naturalisme par *M. Emilie Pardo-Bazan* 110
Очеркъ науки о языкѣ, М. Крушевскаго. [Zarys Nauki o języku *M. Kruszewskiego*] *(Sz. Matusiak)* 110
The forgotten Nation. By *Maude Aushurst Bigss* 271
Ungarn von der Schlacht bei Mohács, von *Dr. Wilhelm Franknói* 272
Les Maitres italiens en Italie, par *Jules Levallois.* 273
Der Lautwerth der Nasalvocale im Altpolnischen, von *Dr. J. Leciejewski (Sz. Matusiak)* 274
Missiones catholicae Ritus latini 274
Dr. P. Schegg. Biblische Archeologie, von *Dr. Wirthmüller (Ks. A. Arndt T. J.)* 441
Codices Graeci Palatini. Edidit *G. B. de Rossi* 445
From Schola to Cathedral. By profes. *Baldwin Brown* . . 445
Der Gottesbegriff in den heidnischen Religionen des Alterthums, von *Christian Pesch S. J.* 446
Der katholische Dichter Aurelius Prudentius Clemens, von *P. Augustin Rössler* 447

Z pism peryodycznych:

Theologisch-praktische Quartalschrift. Linz 1886. *(Ks. A. Kraetzig T. J.)* 112
Przegląd Katolicki. Rok 1886 275
Slovansky Sbornik. Rocznik V. 279
Kronika Rodzinna. Rok 1886. 448
Zeitschrift für katholische Theologie. Jahrgang 1886. Insbruck. *(Ks. A. Langer T. J.)* 450

Rozmaitości:

Przemówienie Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. — Tygodnik Rzeszowski 116
Towarzystwo św. Wincentego a Paulo w Galicyi. — „Przegląd Katolicki“ o dziele Pastora. — Artykuł o Ewolucyonizmie w „Muzeum“. — Nowe książki 284
„Mir“ o Szkole 455

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

Sprawy Kościoła: Chwilowe nieporozumienie między katolikami niemieckimi. — Katolickie *Centrum* bawarskie. — Wzrost katolicyzmu w Anglii. — Kwestya ambasady angielskiej w Watykanie. — Duchowieństwo Irlandzkie. — Układ z Czarnogórą. — Wskrzeszenie arcybiskupstwa Barskiego. — Arcybiskup Milanović. — Nowe zamachy przeciw Kościołowi we Francyi. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 120

Stronnica.

Ze świata Nauk, Odkryć i Wynalazków: Para czy elektryczność? — Transmisya siły z Creil do Paryża. — Amerykański Dynamo-Mammoth. — Projekt przedziurawienia ziemi aż do środka. — Kolosalna statua: „Wolność świat oświecająca“ w New-Yorku. Przez *Dr. Ignacego Skrochowskiego* 132
Listy z Australii 139
Z Berlina: Sprawy kościelno-polityczne. — Gnębienie narodowości. — Socyalizm. — Sprawy kolonialne 143

Luty.

Sprawy Kościoła: Przemowa Papieża do kolegium kardynalskiego. — Wrażenie odniesione z tej mowy w świecie katolickim i niekatolickim. — Dalsze zamachy przeciw Kościołowi we Włoszech. — Okólnik „wielkiego Wschodu włoskiego“ do lóż niemieckich. — Protest episkopatu hiszpańskiego. — Mowa Tajaniego o misyonarzach włoskich. — Kanonizacya męczenników angielskich. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 290
Sprawy szkolne w Sejmie. Przez *Chylińskiego* 298
Listy z Australii 316

Marzec.

Sprawy Kościoła: Kwestya zniesienia konkordatu i budżetu wyznań we Francyi. — Zamysły o „Narodowym kościele“ we Włoszech. — Poselstwo Sułtana tureckiego i Mikady japońskiego do Papieża. Przez *Ks. Jana Badeniego T. J.* 457
Kronika warszawska: Ciężkie czasy i przygnębienie ogólne. — Nowe pisma wobec upadku materyalnego dawnych. — „Życie“. — „Tygodnik powszechny“. — „Głos“. — Jego religia i dążenia społeczne. — Postępowe absurdy. — Gdzie konsekwencya? — Nowy zwrot, czy wybryk „Głosu“ — Skutki naszej filozofii i jej propagatorów. — „Prawda“ propagująca budaizm. — Nieoględność „Wieku“. — Katolicyzm i „Przegląd tygodniowy“. — Wystawy obrazów. — Grunt Warszawiaków. — Jak u nas godzą się zasady i tendencye. — Pochopność warszawska. — „Albert, Wójt krakowski“. — Wystawa potrzeb mieszkalnych. — Ś. p. Wacław Szymanowski. — Słówko do „Roli“ 463
Listy z Australii 470
Sprawy szkolne w Sejmie. Przez *Chylińskiego* 473
Z Berlina: Polacy w Berlinie. — Żołnierze Polacy. — Socyaliści 477

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski. T. J.